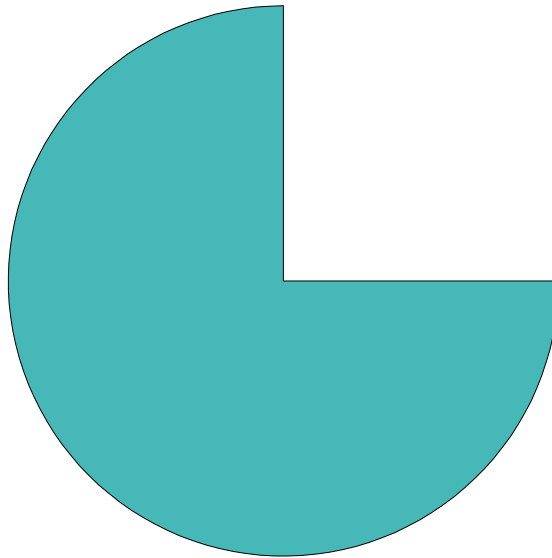


MARIO PUZO

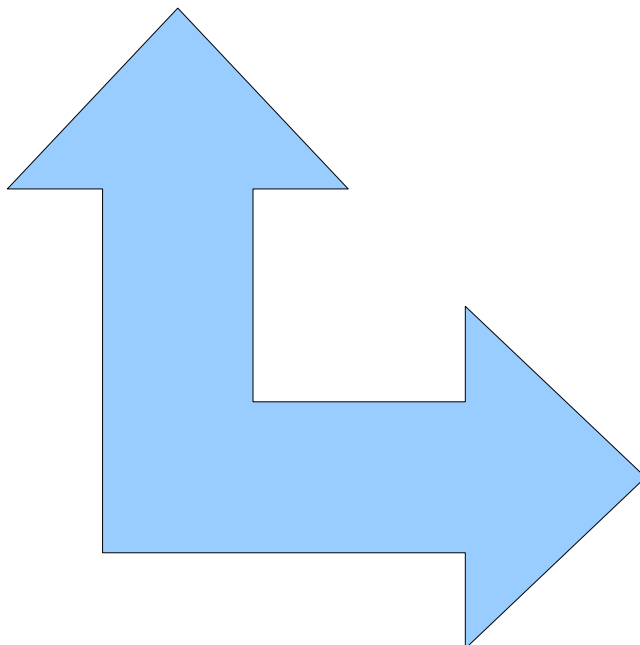


OSTATNI DON

The Last Don

Przełożyła Monika Sujczyńska

Wydanie polskie: 2003



PROLOG

Quogue, 1965

W Niedzielę Palmową, rok po Wielkiej Wojnie z Rodziną Santadio, don Domenico Clericuzio wyprawiał podwójne chrzciny dzieci, w których płynęła jego krew, przy okazji zaś zamierzał dokonać zasadniczej zmiany w swym życiu. W tym celu zaprosił szefów największych Rodzin w Ameryce, jak również Alfreda Gronevelta, właściciela hotelu „Xanadu” w Las Vegas, i Davida Redfellowa, twórcę imperium narkotykowego w Stanach Zjednoczonych. Poniekąd wszystkich swych partnerów.

Najpotężniejszy przywódca Rodziny mafijnej w Ameryce, don Clericuzio, postanowił oto zrzec się władzy, w każdym razie pozornie. Stwierdził bowiem, że nadszedł czas na zmianę taktyki; otwarte sprawowanie władzy stało się zbyt niebezpieczne. Rzecz jasna, wziął pod uwagę, że oddanie władzy jest posunięciem również dość ryzykownym i dlatego chciał je przeprowadzić na własnych warunkach, a zarazem tak, by wyglądało, że jest hojny i wspaniałomyślny.

Ośmiohektarową posiadłość w Quogue otaczał ceglany mur o wysokości trzech metrów, uzbrojony w drut kolczasty i czujniki elektroniczne. Poza rezydencją don Clericuzia znajdowały się tam domostwa jego trzech synów oraz dwadzieścia domków dla zaufanej służby.

Przed przybyciem gości don zasiadł z synami przy białym stole z kutego żelaza w ogrodowej altanie za rezydencją. Najstarszy, dwudziestosiedmioletni Giorgio wyróżniał się małym, srogim wąsikiem oraz wysoką, chudą sylwetką angielskiego dżentelmena, którą zdobił szytymi na miarę ubraniami. Na jego posępnej, mrocznej twarzy malowała się złośliwa inteligencja. Don Clericuzio powiedział mu, żeby zapisał się do szkoły biznesu, gdzie nauczą go, jak kraść pieniądze, nie łamiąc przy tym prawa.

Giorgio pokiwał w milczeniu głową; polecenie ojca traktował jak edykt królewski, a nie zaproszenie do dyskusji.

Następnie don zwrócił się do swego siostrzeńca, Josepha „Pippiego” De Lena. Kochał go na równi ze swymi synami, zresztą nic dziwnego - Pippi był nie tylko krewnym (synem jego zmarłej siostry), ale także doskonałym generałem, który pokonał tego nieokrzesanego Santadia.

- Zamieszkasz na stałe w Las Vegas - rzekł mu. - Będziesz pilnował naszych interesów w „Xanadu”. Teraz, kiedy wycofujemy się z rządu, nie miałbyś tu co robić. Jednakże nadal pozostaniesz „młotem” Rodziny Clericuzio.

Ponieważ Pippi nie miał uszczęśliwionej miny, don uznał, że musi uzasadnić swą decyzję.

- Twojej żonie nie odpowiadałaby na dłuższą metę atmosfera Rodziny i życie w Enklawie Bronxu. Nalene jest inna. Jej tu nie zaakceptują. Dlatego uważam, że musisz urządzić się osobno.

Było to zgodne z prawdą, ale don miał co innego na względzie. Rodzina traktowała Pippiego jak wielkiego bohatera i gdyby nadal pełnił funkcję „mera” Enklawy Bronxu, mógłby zanadto urosnąć w siłę i w przyszłości zagrozić jego synom.

- Postanowiłem mianować cię moim bruglione na Zachodzie - wyjaśnił. - Będziesz bogaty. Ale to odpowiedzialna praca.

Wręczywszy Pippiemu akt własności domu w Las Vegas, zwrócił się ku swemu najmłodszemu synowi, który liczył dwadzieścia pięć lat, był najniższy z całego rodzeństwa i zarazem najgrubszy. Oszczędny w słowach, wrażliwy. Przesiadując na kolanach matki, nauczył się gotowania włoskich wiejskich potraw i dlatego pewnie najbardziej ze wszystkich oplakiwał jej przedwczesną śmierć.

- Kolej na ciebie - oznajmił z uśmiechem don Clericuzio. - Ty otworzysz w Nowym Jorku wytworną restaurację. Nie żałuj pieniędzy. Pokaż Francuzom, co znaczy dobre jedzenie. - Słyszac to, Pippi i młodzi Clericuziowie zachichotali, a i Vincent się uśmiechnął. - Pojedziesz do najlepszej w Europie szkoły restauratorów.

- Czego mnie tam mogą nauczyć? - skrzywił się Vincent, choć był zadowolony z wyroku.

Don Clericuzio spojrzał nań surowo.

- Twoje ciasta są pewnie lepsze. Chodzi jednak o to, żebyś nauczył się zawiadywać finansami takiego interesu. Niewykluczone, że któregoś dnia zostaniesz właścicielem sieci restauracji. Giorgio da ci pieniądze.

Co powiedziawszy, zwrócił się do Petiego, który był średnim i najweselszym z jego synów. Wprawdzie w wieku dwudziestu sześciu lat błaznował jak nastolatek, nie ulegało jednak wątpliwości, że to właśnie on odziedziczył geny swych sycylijskich przodków.

- Petie, teraz, kiedy Pippi obejmuje Zachód, ty zostaniesz „merem” Enklawy Bronxu i będziesz dostarczał Rodzinie żołnierzy. Kupiłem ci firmę budowlaną. Dużą. Remontowanie drapaczy chmur w Nowym Jorku, budowanie koszar dla policji stanowej, asfaltowanie ulic. To intratny interes, liczę więc, że go rozwiniesz. W ten sposób twoi żołnierze będą mieli legalne zatrudnienie, a ty godziwe zarobki. Zaczyniesz od odbycia praktyki u dotychczasowego właściciela firmy, ale pamiętaj, że twoim głównym obowiązkiem jest dostarczanie Rodzinie

żołnierzy.

Zwrócił się ponownie do Giorgia.

- Ty zostaniesz moim następcą. Od dziś obaj z Vincentem jesteście wyłączeni z udziału w niebezpiecznych akcjach, poza wyjątkowymi sytuacjami. Musicie myśleć o przyszłości. Nie możemy pozwolić, by twoje dzieci, moje dzieci, mały Dante i Croccifixio, dorastały w takim świecie, jak wasz. Jesteśmy bogaci, nie musimy więc ryzykować życia, żeby zarobić na chleb. Zostaniemy doradcami finansowymi innych Rodzin. Będziemy wspierać je politycznie, będziemy rozstrzygać ich spory. Naszą kartą przetargową będzie silna armia. Zajmiemy się też pilnowaniem ich forsy, a oni za to, jak się mówi na Sycylii, będą zwilżać nam dzioby.

Za dwadzieścia, trzydzieści lat - podjął po krótkiej przerwie - wtopimy się w praworządne społeczeństwo i będziemy się spokojnie cieszyć naszym bogactwem. Ci dwaj malcy, których dziś chrzczymy, nie będą musieli grzeszyć ani narażać się tak jak my.

- Czy jest więc sens utrzymywania Enklawy Bronxu? - zdziwił się Giorgio.

- Nic nie rozumiesz - odparł don Clericuzio. - Chcemy zostać świętymi, nie męczennikami.

Godzinę później don Clericuzio obserwował przyjęcie z balkonu swej willi.

Na rozległej murawie, zastawionej stołami piknikowymi z zielonymi parasolami rozpostartymi jak skrzydła, zgromadziło się dwieście osób, przy czym znaczną część gości stanowili żołnierze Enklawy Bronxu. Zwykle chrzciny przebiegały bardzo radośnie, tym razem jednak kładł się na nie cień smutku.

Zwycięstwo nad Santadiami kosztowało ich wiele ofiar. Don Clericuzio stracił ukochanego syna Silvia, jego córka Rose Marie straciła męża.

Don obserwował gości snujących się wokół kilku długich stołów, na których stały kryształowe karafki z ciemnoczerwonym winem, błyszczące białe wazy z zupą i pastami, półmiski ze stosami mięs i serów w dużym wyborze, chrupiące świeże chleby rozmaitych kształtów i wielkości. Z tyłu cicho grała niewielka orkiestra. Don wsłuchał się w muzykę; działała nań kojąco.

W samym środku podkowy, utworzonej ze stołów piknikowych, stały dwa wózki przykryte niebieskimi koczkami. Ależ dzielni byli ci malcy! Kiedy pokropiono ich wodą święconą, nawet okiem nie mrugnęli. Przy wózkach pełniły wartę matki - Rose Marie i Nalene De Lena, żona Pippiego. Patrząc z balkonu na niewinne twarzyczki Dantego Clericuzia i Croccifixia De Lena, don czuł się odpowiedzialny za przyszłość tych chłopców. Jeśli uda mu się zrealizować to, co zamierzył, zostaną normalnymi członkami społeczeństwa.

Zdziwiło go, że goście prawie wcale nie zwracali na nich uwagi.

Nieopodal Vincent, o twarzy jak wykutej z granitu, częstował dzieci hot dogami. Wózek, który zbudował specjalnie na tę okazję, był większy od wózków nowojorskich handlarzy, miał bardziej jaskrawy parasol, nie mówiąc już o tym, że oferował smaczniejsze jedzenie. Ubrany w biały, czysty fartuch Vincent serwował hot dogi z kiszoną kapustą i musztardą lub z czerwoną cebulą i ostrym sosem. Zapłatą było cmoknięcie w policzek. Obserwując to, don Clericuzio pomyślał, że ze wszystkich jego synów właśnie Vincent, mimo szorstkiej powierzchowności, miał najbardziej miękkie serce.

Petie grał w bocce z Pippim De Lena, Virginiem Ballazzo i Alfredem Groneveltem. Don skrzywił się z niesmakiem, widząc, że Petie jak zwykle się wygłupia. Robił wszystko, żeby popsuć grę. No i w końcu mu się udało - tak mocno uderzył w kulę przeciwnika, że rozleciała się na kawałki.

Virginio Ballazzo, prawa ręka don Clericuzia, „wykonawca” Rodziny, udał, że chce go za to ukarać, Petie z kolei udał, że się go boi i rzucił się do ucieczki. Zabawne. Petie był urodzonym gangsterem, a i ten wesolek Ballazzo wyrobił sobie niezłą markę.

Żaden z nich jednak nie mógł się równać z Pippim.

Pippi skupiał na sobie spojrzenia wszystkich kobiet. Poza Rose Marie i Nalene, matkami ochrzczonych dziś chłopców. Prezentował się doskonale - rosły, grubo ciosany, silny, przystojny bandzior. Budził ciekawość także wielu mężczyzn, nie wyłączając żołnierzy z Enklawy Bronxu, którzy w milczeniu kontemplowali wygląd i zwinne ruchy legendarnego „młota”, najlepszego z „fachowców”.

Młody, rumiany David Redfellow, najpotężniejszy handlarz narkotyków w Stanach, pochylił się nad wózkami i uszczypnął niemowlęta w policzki. Mina Alfreda Gronevelta, ubranego wciąż w marynarkę i krawat, mówiła, że zupełnie nie odpowiada mu ta dziwaczna gra. Gronevelt, podobnie jak don, zbliżał się do sześćdziesiątki.

Dziś don Clericuzio odmieni życie ich wszystkich. Miejmy nadzieję, że na lepsze.

Na balkonie zjawił się Giorgio i zapowiedział pierwsze spotkanie. W pomieszczeniu na tyłach domu czekało dziesięciu szefów Rodzin, których Giorgio wstępnie zapoznał z zamiarami don Clericuzia. Chrzczyny stanowiły doskonałą przykrywkę dla takiego zebrania, ale ponieważ tych dziesięciu nie łączyły z Rodziną Clericuzio żadne więzy towarzyskie, marzyli o tym, żeby jak najszybciej znaleźć się gdzie indziej.

Pomieszczenie bez okien wyposażono w ciężkie meble i barek. Dziesięciu szefów Rodzin z ponurymi minami siedziało przy marmurowym konferencyjnym stole. Pozdrowiwszy po kolei don Clericuzia, czekali, co ma im do zakomunikowania.

Don posłał po synów, Vincenta i Petiego, wykonawcę Ballazza oraz Pippiego De Lena. Kiedy przyszli, oschły i sardoniczny Giorgio krótko zagał.

Don Clericuzio powiódł po twarzach dziesięciu mafiosów, najpotężniejszych przywódców organizacji, której celem było zaspokajanie elementarnych ludzkich potrzeb.

- Mój syn, Giorgio, wprowadził was w sprawę - powiedział. - Rzecz wygląda następująco: przechodzę na emeryturę we wszystkich branżach poza hazardem. Nowojorskie interesy przekazuję staremu przyjacielowi, Virginio Ballazzowi, który utworzy własną Rodzinę i uniezależni się od Rodziny Clericuzio. Interesy w pozostałej części kraju, w branżach takich, jak związki zawodowe, transport, alkohol, wyroby tytoniowe i narkotyki, postanowiłem scedować na wasze Rodziny. Wraz z moimi znajomościami w policji. W zamian proszę tylko, żebyście mi pozwolili zajmować się pieniędzmi, które zarobicie. W moich rękach będą bezpieczne, a przy tym zawsze dla was dostępne. Nie musicie się martwić, że rząd wpadnie na ich trop. A wszystko za jedyne pięć procent prowizji.

Mafiosi nie wierzyli własnym uszom. Oto don Clericuzio, zamiast przejąć nad nimi pełną kontrolę i zniszczyć ich imperia, przekazywał im swe interesy.

Vincent obszedł stół, nalewając wszystkim po kolei wina. Mafiosi unieśli kieliszki i spełnili toast za pomyślność don Clericuzia.

Kiedy mafiosi dokonali ceremonialnych pożegnań i opuścili pomieszczenie na tyłach willi don Clericuzia, Petie wprowadził Davida Redfellowa, który usiadł w skórzanym fotelu twarzą do dona i przyjął kieliszek od Vincenta. Redfellow wyróżniał się nie tylko długimi włosami, ale również kolczykiem z diamentem w uchu i dżinsową marynarką, noszoną do czystych, wyprasowanych dżinsów. Był Skandynawem, pogodnym, dość inteligentnym blondynem o jasnoniebieskich oczach.

Don Clericuzio miał wobec niego wielki dług wdzięczności. To właśnie David Redfellow dowiedział, że przedstawiciele władzy da się przekupić narkotykami.

- Od dziś kończysz z narkotykami - oznajmił mu don. - Mam dla ciebie coś lepszego.

Redfellow nie zaprotestował. Spytał tylko:

- Dlaczego?

- Dlatego, że rząd zaczął poświęcać narkotynom za dużo czasu i uwagi - odparł don. - Do końca życia nie miałbyś spokoju. Poza tym narkotyki stały się zbyt niebezpieczne. Dotąd chronił cię mój syn Petie i jego żołnierze, ale sytuacja uległa zasadniczej zmianie. Ci Kolumbijczycy są straszliwie głupi i pazerni. No cóż, skoro tego chcą, niech sami się z tym męczą. Ty się przeniesiesz do Europy. Tam jestem w stanie zapewnić ci bezpieczeństwo. Kupisz bank we Włoszech i zamieszkas w Rzymie. Będziesz miał pełne ręce roboty.

- Cudownie - rzekł ironicznie Redfellow. - Zważywszy, że nie mówię po włosku i nie mam zielonego pojęcia o bankowości.

- Nauczysz się jednego i drugiego - powiedział don Clericuzio. - I będziesz żył sobie szczęśliwie w Rzymie. Oczywiście, możesz zostać tutaj, ale wtedy nie będę w stanie cię wspierać, a Petie ochraniać twego życia. Wybór należy do ciebie.

- Kto przejmie moje interesy? - zainteresował się Redfellow. - Dostanę jakieś odstępne?

- Twoje interesy przejmą Kolumbijczycy - odparł don. - To nieuniknione, taki jest bieg historii. Ale zapewniam cię, że rząd zrobi wszystko, by uprzykrzyć im życie. No więc, zgadzasz się czy nie?

Redfellow zadumał się na chwilę, a potem spytał wesoło:

- Od czego mam zacząć?

- Do Rzymu zawiezie cię Giorgio. On pozna cię z moimi ludźmi, a następnie przez kilka lat będzie ci doradzał. - Don wstał i go objął. - Dziękuję, że mnie posłuchałeś. Będziemy nadal współpracować i wierz mi, nie będziesz miał powodów do narzekania.

Po wyjściu Davida Redfellowa don polecił Giorgiowi wezwać Alfreda Gronevelta. Jako właściciel hotelu „Xanadu” w Las Vegas Gronevelt do tej pory znajdował się pod ochroną wysadzanej obecnie z siodła Rodziny Santadio.

- Panie Gronevelt - zaczął don. - Będzie pan nadal prowadził hotel, tyle że pod moim nadzorem. Nie musi się pan obawiać ani o swoje bezpieczeństwo, ani o pieniądze. Hotel pozostanie pana własnością w pięćdziesięciu jeden procentach, ja zaś będę właścicielem czterdziestu dziewięciu procent, należących przedtem do Rodziny Santadio. Będę legalnie reprezentowany. Czy to panu odpowiada?

Gronevelt, który zachowywał się z wielką godnością, mimo wieku zachował wspaniałą prezencję, powiedział ostrożnie:

- Odpowiada, ale pod warunkiem, że będę prowadzić hotel po swojemu. W przeciwnym razie wolę odsprzedać panu swój udział.

- I zrezygnowałby pan z tej kopalni złota? - spytał z niedowierzaniem don. - Nie, niech się pan nie obawia. Przede wszystkim jestem człowiekiem interesów. Gdyby Santadiowie potrafili zachować umiar, nie doszłoby do tych wszystkich strasznych rzeczy. A tak przestali istnieć jako Rodzina. Ale pan i ja jesteśmy ludźmi rozsądnymi. Moi reprezentanci otrzymają działkę Santadiów. A Joseph De Lena, Pippi, otrzyma to, co mu się będzie słusznie należało. Zostanie moim bruglione na Zachodzie z pensją roczną w wysokości stu tysięcy wypłacaną przez hotel „Xanadu” w formie, jaką uzna pan za stosowną. W przypadku jakichś kłopotów

proszę się zwracać do niego. W pańskiej branży trudno się ich ustrzec.

Wysoki, skromny Gronevelt spytał spokojnie:

- Dlaczego właśnie mnie pan tak wyróżnia? Na pewno ma pan mnóstwo innych możliwości.

- Ponieważ pan jest geniuszem w swoim fachu - odparł poważnie don Domenico. - Wszyscy w Las Vegas tak mówią. Szanuję pana i dlatego zamierzam panu coś dać.

Słyszając to Gronevelt uśmiechnął się.

- Dał mi pan dość. Mój hotel. Czy coś może się z tym równać?

Don obdarzył go rozbawionym spojrzeniem, bo choć był poważnym człowiekiem, czasami bawiło go popisywanie się władzą.

- Może pan zgłosić kandydaturę na przewodniczącego Komisji Hazardu w Newadzie. Mają wakaty.

Rzadko zdarzało się, aby Gronevelt był do tego stopnia zaskoczony i pod tak głębokim wrażeniem. Serce zabiło mu radośnie, gdyż oto przed jego hotelem otwierała się przyszłość, o jakiej nie śmiał nawet marzyć.

- Jeśli potrafi pan to załatwić - powiedział cicho - to w najbliższym czasie będziemy bardzo bogaci.

- Już załatwiłem - odparł don. - A teraz zapraszam na przyjęcie.

- Natychmiast wracam do Las Vegas - oświadczył Gronevelt. - Myślę, że nie powinienem być tu widziany.

Don pokiwał głową.

- Petie, niech ktoś podwiezie pana Gronevelta do Nowego Jorku.

W pokoju pozostali już tylko młodzi Clericuziowie oraz Pippi De Lena i Virginio Ballazzo. Wszyscy poza Giorgiem sprawiali wrażenie lekko zdezorientowanych. Nie znali planów don Clericuzia.

Ballazzo był młody jak na bruglione, miał tylko kilka lat więcej od Pippiego. Kontrolował związki zawodowe, transport odzieży, częściowo narkotyki. Don Domenico przyrzekł mu, że od tej chwili będzie niezależny od Rodziny Clericuzio. Miał płacić jej dziesięć procent i rządzić się po swojemu.

Virginio Ballazzo poczuł, że zakreśliło mu się w głowie od tego awansu. Zazwyczaj nie miał kłopotów z wyrażaniem swych uczuć, a nawet słynął z wylewności, teraz jednak wzruszenie odebrało mu mowę i zdobył się tylko na objęcie don Clericuzia.

- Z tych dziesięciu procent pięć będę odkładał na twą emeryturę lub jakiś nieprzewidziany wypadek - powiedział don. - Wybacz, że ci to mówię, ale ludzie się

zmieniają, tracą pamięć, zapominają o wdzięczności. Otóż proszę, żebyś dokładnie prowadził księgowość. - Przerwał. - Miej przy tym na uwadze, że nie jestem z urzędu skarbowego i nie mogę ci wlepić domiaru.

Ballazzo zrozumiał, co to znaczy. Don Domenico wymierzał karę szybko i bez ostrzeżenia. Karą nieodwołalnie była śmierć. Zresztą, jak miał rozprawiać się z wrogami?

Don Clericuzio zwolnił Ballazza. Kiedy odprowadzał do drzwi Pippiego, zawahał się na moment, po czym przyciągnął go do siebie i szepnął mu do ucha:

- Ale pamiętaj, to nasz sekret. I niech tak zostanie. Nigdy ci nie wydałem takiego rozkazu.

Nieopodal wejścia do willi na Pippiego De Lena czatowała Rose Marie Clericuzio, bardzo młoda i bardzo piękna wdowa, choć w czerni zdecydowanie nie było jej do twarzy. Żałoba po mężu i bracie tłumiała jej naturalną żywotność, tak ważną dla śródziemnomorskiego typu urody. Sprawiała, że ogromne brązowe oczy wydawały się zbyt ciemne, a oliwkowa cera ziemista. Urodę Rose Marie ożywiał jedynie błękit śpioszków jej nowo ochrzczonego synka Dantego, którego trzymała na rękach. Przez cały dzień unikała ojca i braci, Giorgia, Vincenta i Petiego, chciała jednak porozmawiać z Pippim De Lena.

Gdy była nastolatką, kochała się w kuzynie do szaleństwa. Niestety, Pippi, dziesięć lat starszy, zawsze zbywał ją żartami, traktował jak smarkulę. Mimo że sływał z pobłażania cielesnym zachciankom, wobec córki don Clericuzia zachowywał daleko idącą wstrzeźliwość.

- Cześć, Pippi - zagadnęła go. - Gratuluję.

Odpowiedział jej czarującym uśmiechem przystojnego brutala. Pochylił się, żeby pocałować niemowlę w czoło, przy czym zaskoczyło go, że pachnące jeszcze trochę kościołem włosy małego były sztywne niczym szczecina.

- Dante Clericuzio. Pięknie brzmi - stwierdził.

Powiedział to nie bez kozery, Rose Marie bowiem za namową don Clericuzia wróciła - wraz z osieroconym synkiem - do panieńskiego nazwiska, z którego to powodu, mimo że argumenty ojca brzmiały bardzo przekonująco, dręczyły ją wyrzuty sumienia. Nimi właśnie podyktowane było jej pytanie:

- Jak ci się udało namówić swą protestancką żonę na katolicką uroczystość i takie religijne imię?

- Moja żona mnie kocha i za wszelką cenę chce mi sprawić przyjemność.

Nalene go kochała, bo go nie znała. W każdym razie nie tak dobrze jak ona.

- Dałeś małemu na imię Croccifixio - stwierdziła. - Myślę, że amerykańskie imię

sprawiłoby większą przyjemność twojej żonie.

- To imię twego dziadka. Nadałem je synowi, aby sprawić przyjemność twemu ojcu - odparł Pippi.

- Wszyscy wciąż staramy się sprawić mu przyjemność - zauważyła Rose Marie. Gorycz tego stwierdzenia została jednak zamaskowana uśmiechem, który dzięki układowi kości policzkowych wydawał się naturalnym wyrazem jej twarzy, dodawał jej wdzięku i łagodził kądziłość uwag. Po chwili milczenia dodała: - Dziękuję za uratowanie mi życia.

Pippi popatrzył na nią, jakby nie od razu rozumiał, o co chodzi, a potem rzekł cicho:

- Nic ci nie groziło. - Położył rękę na jej ramieniu. - Naprawdę. I przestań już o tym myśleć. Zapomnij. Czeka nas szczęśliwa przyszłość. Tylko zapomnij o przeszłości.

Rose Marie przytknęła wargi do główki dziecka, ale po to, by Pippi nie mógł zobaczyć jej miny.

- Zapomnę - mruknęła świadoma, że Pippi powtórzy tę rozmowę jej ojcu i braciom. I dodała: - Pogodziłam się już z tą sytuacją. - Niech wiedzą, że ona ich wciąż kocha i cieszy się z przyjęcia synka (oczyszczonego dziś z grzechu pierworodnego, dzięki czemu nie groziło mu, że będzie się smażył po wsze czasy w piekle) na łono Rodziny.

W tej chwili podszedł do nich z tyłu Virginio Ballazzo, zagarnął ich ramionami i wyprowadził na środek murawy. Z willi wyszedł don Domenico w orszaku synów.

Rodzina Clericuzio - panowie w smokingach, panie w długich sukniach, dzieci w atłasach - ustawiła się półkolem do zdjęcia. Goście zaczęli klaskać i wykrzykiwać życzenia. Chwila ta - chwila pokoju, triumfu, miłości - została uwieczniona na fotografii, która powiększona i oprawiona w ramkę zawiesznie w gabinecie don Clericuzia obok ostatniego portretu jego syna Silvia, poległego w wojnie z Rodziną Santadio.

Don wrócił na balkon sypialni, skąd dalej obserwował przyjęcie na dole.

Pchając przed sobą wózek, Rose Marie minęła grupę graczy w kule^{*1}. Wysoka, szczupła i elegancka żona Pippiego, Nalene, z małym Croccifixiem na rękach przecięła trawnik, żeby się do niej przyłączyć. Położyła synka obok jego kuzyna, a potem obie patrzyły na malców z ogromną czułością.

Serce don Clericuzia przepełniła radość na myśl o tym, że ci chłopcy nigdy się nie dowiedzą, jaką cenę zapłacono za ich szczęśliwe życie.

Teraz do matek podszedł Petie i włożył do wózka butelkę z mlekiem. Wszyscy troje wybuchnęli śmiechem, bo malcy zaczęli ją sobie wyrywać. Rose Marie wzięła Dantego na rękę. Patrząc na nią don wspomniął przeszłość i ciężko westchnął. Wdowa - cóż za rozzierający serce widok. Jakże była piękna i radosna, kiedy kochała.

Rose Marie, jego ukochana córka, niegdyś wesoła, pełna życia dziewczyna, zmieniła się wprost nie do poznania. Utrata męża i brata to dla kobiety straszny cios. Ale don z doświadczenia wiedział, że rozpacz nie trwa wiecznie, a wdowy w końcu zdejmują żałobę. Poza tym miała dziecko. Dzieci są wielką pociechą.

Don Clericuzio pomyślał o własnym życiu i zdziwił się, że tyle dokonał. To prawda, że musiał niekiedy podejmować potworne decyzje, ale niczego nie żałował. Postępował słusznie. Odpowie przed Bogiem za swe grzechy i miejmy nadzieję, że zostaną mu odpuszczone.

Teraz Pippi grał w kule z trzema żołnierzami z Enklawy Bronxu, którzy, choć byli od niego starsi i mieli dobrze prosperujące przedsiębiorstwa, czuli przed nim wielki mores. Pippi, świadom, że jest w centrum uwagi, tryskał humorem. Był legendą, tym, który wygrał w bocce z Santadiami.

Radość go wręcz rozsadzała - za każdym razem, gdy jego kula wybiła z misy kulę przeciwnika, wznosił zwycięski okrzyk. Cały Pippi, pomyślał don. Wierny żołnierz, miły towarzysz. Silny, zwinny, przebiegły, mało wymagający.

Na boisko wszedł teraz Virginio Ballazzo, jedyny człowiek, który mógł z nim konkurować. Rzucił kulą. Po chwili jego celność nagrodzono głośnymi oklaskami. Ballazzo złożył triumfalny ukłon w stronę balkonu. Don Clericuzio zaklaskał, czując coś w rodzaju dumy, że tacy ludzie (i wszyscy inni, którzy zebrali się w tę Palmową Niedzielę w Quogue), rozkwitali i tak dobrze sobie radzili pod jego panowaniem. A dzięki jego dalekowzroczności przetrwają trudne lata, które na pewno nadejdą.

Nie dostrzegał tylko załączków zła w nie uformowanych jeszcze umysłach ludzkich.

KSIĘGA PIERWSZA

Hollywood

Las Vegas, 1990

Rozdział pierwszy

Cytrynowe, charakterystyczne dla kalifornijskiej wiosny światło oblewało marchewkowe włosy Boza Skanneta. Umięśnione ciało mężczyzny drżało; gotował się do skoku. Skannet całym swym jestestwem cieszył się, że świadkami jego wyczynu będzie ponad miliard ludzi na całym świecie.

Wsunięty pod elastyczny pasek spodenek tenisowych mały pistolet zasłonił długą do ud, zapinaną na suwak białą kurtką w pionowe czerwone błyskawice. Włosy przewiązał szkarłatną bandaną w niebieskie kropki. W prawej ręce dzierżył dużą butlę srebrzystej wody Evian. Jak ulął pasował do świata, w który zamierzał za chwilę wkroczyć. Tym światem był tłum przed Pawilonem Dorothy Chandler w Los Angeles, oczekujący przybycia gwiazd filmowych na ceremonię wręczenia Nagród Akademii. Gapie siedzieli na trybunach specjalnie wzniesionych na tę okazję, na ulicy zaś tłoczyły się ekipy stacji telewizyjnych, które postawiły sobie za cel rozesać wizerunki tych współczesnych świętych po całym globie. Dziś wieczorem świat zobaczy wielkie gwiazdy w ich ludzkich wcieleniach - jedne przeżywające triumf, inne przegrane jak zwykli śmiertelnicy.

Gapiów czujnie obserwowali umundurowani strażnicy z błyszczącymi brązowymi pałkami w kaburach. Ale Boz Skannet nie przejmował się strażnikami. Był od nich wyższy, zwinniejszy i silniejszy, to raz, a dwa, że będzie działać z zaskoczenia. Jeśli miałby się kogoś obawiać, to raczej czatujących na wielkie sławy reporterów i kamerzystów, spodziewał się jednak, iż będą woleli jego napad transmitować, niż mu przeciwdziałać.

Pod wejście do pawilonu zajechała biała limuzyna z Atheną Aquitane, okrzykniętą przez niektóre tygodniki „najpiękniejszą kobietą świata”. Kiedy wyłoniła się z samochodu, gapie, skandując jej imię, zaczęli napierać na barierki. Ekipy telewizyjne rzuciły się, by przekazywać jej urodę do najdalszych zakątków Ziemi. Athena Aquitane pomachała im ręką.

Skannet przeskoczył barierkę przy trybunach. Klucząc między płótkami policyjnymi, zobaczył, że brązowe koszule strażników zbiegają się w jednym punkcie. Normalka, pomyślał. Strażnicy ustawili się jednak pod złym kątem i wyminał ich z taką łatwością, z jaką przed laty wymijał zawodników drużyny przeciwnika na boisku piłki nożnej. Dobiegł w chwili, gdy zwrócona do kamer lepszym profilem Athena mówiła coś do mikrofonu. Za nią stało trzech mężczyzn. Upewniwszy się, że jest w polu widzenia kamery, Skannet chlusnął na

Athenę płynem z butelki. I krzyknął:

- Masz tu trochę kwasu, ty dziwko! - A do kamery powiedział spokojnie: - Zasłużyła sobie.

Wtedy dotarła doń pierwsza fala mężczyzn w brązowych koszulach, z pałkami uniesionymi do bicia. Ukląkł na ziemi.

Athena Aquitane dojrzała go w chwili, gdy unosił rękę z butelką i zdążyła się trochę uchylić. Płyn oblał jej policzek i ucho.

Miliard ludzi na całym świecie zobaczyło na ekranach telewizorów srebrzysty płyn, mokry policzek aktorki, jej zaskoczenie na widok napastnika, wyraz autentycznego przerażenia, który przez chwilę oszpecił jej cudną twarz.

Miliard ludzi na całym świecie zobaczył, jak policja wlokła Skanneta, który najpierw uniósł ręce w triumfalnym geście jak jakiś gwiazdor, ale zaraz zgiął się wpół, gdyż rozwścieczony policjant, wymacawszy pistolet za paskiem jego spodenek, wymierzył mu silny cios w nerki.

Athena Aquitane, wciąż oszołomiona, odruchowo otarła ręką policzek. Nie czuła pieczenia. Spojrzała na dłoń. Kropelki prędko wysychały. Jacyś ludzie przypadli do niej, żeby ją ratować, zabrać stąd czym prędzej.

Odepchnęła ich i powiedziała spokojnie:

- To tylko woda. - I na potwierdzenie swych słów zlizwała kropelki z dłoni. Potem uśmiechnęła się smutno i dodała: - Bardzo typowe dla mojego męża.

Zademonstrowawszy opanowanie, z jakiego słynęła, szybkim krokiem weszła do Pawilonu Dorothy Chandler. A kiedy otrzymała Oscara za najlepszą rolę kobiecą, widzowie urządzili jej długą owację na stojąco.

W zimnym wnętrzu apartamentu na najwyższym piętrze hotelu-kasyna „Xanadu” w Las Vegas powoli umierał jego osiemdziesięcioletni właściciel. Tego wiosennego dnia wydawało mu się, że słyszy stłumione przez odległość szesnastu pięter grzechotanie kuleczki z kości słoniowej w czerwonych i czarnych zagłębieniach kół ruletek, chrapliwe zaklęcia graczy, wygłaszane pod adresem toczących się kości, oraz zgrzytanie tysięcy automatów połykających łakomie srebrne monety.

Alfred Gronevelt umierał w pełni szczęśliwy. W ciągu długiego życia był kolejno dziwką, stręczycielem-amatorem, graczem, współmordercą, politycznym mataczem, żeby skończyć jako surowy, ale sprawiedliwy władca „Xanadu”. Z obawy przed zdradą nigdy nikogo nie pokochał, lecz wielu ludziom okazał sympatię. Niczego nie żałował. Teraz cieszył się każdą małą przyjemnością, których niewiele mu już w życiu pozostało. Taką, jak

popołudniowy obchód kasyna.

Do sypialni wszedł Croccifixio „Cross” De Lena, który przez ostatnie pięć lat był jego prawą ręką.

- Jesteś gotów, Alfredzie? - spytał.

Gronevelt z uśmiechem skinął głową.

Cross przeniósł go na wózek inwalidzki, za którym stał już sanitariusz. Pielęgniarka otuliła starca pledem, wręczyła Crossowi pudełeczko z pigułkami i otworzyła mężczyznom drzwi apartamentu. Sama zostawała tutaj, gdyż Gronevelt nie życzył sobie jej towarzystwa w czasie popołudniowych przejazdów.

Pokonawszy bezszelestnie zjadliwie zielony sztuczny trawnik ogrodu apartamentu, wózek zniknął we wnętrzu pospiesznej windy, która zatrzymywała się dopiero szesnaście pięter niżej, w kasynie.

Gronevelt siedział wyprostowany jak świeca i rozglądał się dokoła. Bardzo lubił patrzeć, jak ludzie bezskutecznie usiłują puścić go z torbami. Wózek mijał kolejno sektor ruletki, gry w oko, w bakarata, powoli przedzierał się przez dżunglę stolików, przy których grano w kości. Gracze nie zwracali uwagi na starca o bystrym spojrzeniu, siedzącego w wózku inwalidzkim, nie widzieli zatem rozbawienia na jego wychudłej twarzy. Nawiasem mówiąc, inwalidzi w Las Vegas nie należeli do rzadkości. Pewnie spodziewali się, że los wynagrodzi im kalectwo.

Wreszcie wózek wtoczył się do kafeterii. Posługacz ustawił go w łoży zarezerwowanej dla Gronevelta, sam zaś usiadł przy innym stoliku, oczekując na sygnał.

Za przeszkloną ścianą w oślepiającym słońcu Newady połyskiwał ogromny basen wypełniony szmaragdową wodą, w której pluskały się młode matki z dziećmi, z daleka podobne do kolorowych zabawek. Myśl, że to wszystko jest jego dziełem, napawała Gronevelta dumą.

- Przegryź coś, Alfredzie - zaproponował Cross De Lena.

Gronevelt uśmiechnął się do niego. Cross miał taką urodę, że podobał się kobietom i mężczyznom, a poza tym należał do nielicznych osób, którym Gronevelt ufał.

- Kocham ten hotel, chłopcze - powiedział. - Odziedziczysz moje udziały, będziesz więc musiał się jakoś ułożyć z naszymi partnerami w Nowym Jorku, ale za nic na świecie nie oddawaj im „Xanadu”.

Cross poklepał starca po kościstej, wychudłej dłoni.

- Nie oddam.

Gronevelt poczuł, jak światło słoneczne zza szklanej ściany przenika mu do żył.

- Wszystkiego cię nauczyłem - ciągnął. - Dokonałiśmy razem kilku naprawdę trudnych rzeczy, ale nie należy oglądać się za siebie. Jedno ci tylko powiem: dobro procentuje, dlatego staraj się robić jak najwięcej dobrego. To naprawdę popłaca. Natomiast miłość i nienawiść nikomu nie wychodzą na zdrowie.

Pili kawę. Gronevelt dziobał strudel, Cross popijał kawę sokiem pomarańczowym.

- Jeszcze jedno - przypomniał sobie Gronevelt. - Wille dawaj tylko tym, którzy są gotowi przepuścić milion dolarów. Pamiętaj, te Wille są sławne. Nie wpuszczaj do nich byle kogo.

Cross poklepał Gronevelta po dłoni, ale nie od razu cofnął rękę. Był do niego bardzo przywiązany. Pod pewnymi względami nawet bardziej niż do ojca.

- Nie martw się, Alfredzie - uspokoił go. - Dla mnie Wille są święte. Coś jeszcze?

Gronevelt popatrzył nań zmętniałymi od zaćmy oczyma.

- Bądź ostrożny - rzekł. - Bądź zawsze niezwykle ostrożny.

- Dobrze - odparł Cross. A następnie, chcąc odwrócić myśli starca od śmierci, spytał: - Kiedy mi wreszcie opowiesz o Wielkiej Wojnie z Rodziną Santadio? Wiem, że współpracowałeś z nimi. Dlaczego wszyscy nabrali wody w usta?

Gronevelt westchnął z rezygnacją, w sposób charakterystyczny dla starego człowieka.

- Wiem, że pozostało mi niewiele czasu. Ale nie mogę ci nic powiedzieć. Najlepiej spytaj swego ojca.

- Pytałem. Ale on milczy jak zaklęty.

- Co było, to było - stwierdził Gronevelt. - Zostaw przeszłość w spokoju. Nie grzeb w niej. Nie szukaj w niej usprawiedliwienia czy uzasadnienia. Nie szukaj w niej szczęścia. Jesteś, jaki jesteś, i to samo odnosi się do świata.

Potem Gronevelt wrócił do apartamentu i pielęgniarka go wykąpała. Mierząc mu puls, zmarszczyła czoło, na co Gronevelt powiedział:

- To tylko procenty.

Tej nocy spał zdrowo, a nad ranem stwierdził, że chciałby popatrzeć przez okno. Pielęgniarka posadziła go w ogromnym fotelu, otuliła pledami, sama zaś przycupnęła obok i sięgnęła ponownie po jego dłoń, by zmierzyć puls. Kiedy chciała cofnąć rękę, Gronevelt przytrzymał ją za nadgarstek. Nie oponowała. Trzymając się za rękę, obserwowali wschód czerwonej kuli słońca nad pustynią.

Niebo stopniowo zmieniło barwę z atramentowoczarnej na ciemnopomarańczową. Gronevelt patrzył na kort tenisowy, pole golfowe, basen, siedem Willi oświetlonych niczym Wersal oraz dumnie powiewające flagi hotelu „Xanadu” - białe gołębie na zgniłozielonym

polu. Na bezkresną pustynię w tle.

Wszystko to moje dzieło, dumał. Na ugorze wybudowałem świątynię przyjemności. Żyłem szczęśliwie. Sobie to zawdzięczam. Staralem się być najlepszym człowiekiem na świecie. Czy zostanę osądzony? Myślami wrócił do swojej młodości, przypomniał sobie kolegów, młodocianych filozofów, spierających się na temat Boga i moralności, jak to wówczas mieli w zwyczaju czternastoletni chłopcy.

„Gdyby ci dawali milion dolarów za naciśnięcie guzika i zabicie miliona Chińczyków - zaczął kiedyś jeden z nich z triumfalną miną, jak gdyby stawiał jakąś niemożliwą do rozwiązania kwestię etyczną - zrobiłbyś to?” Po długiej dyskusji zgodzili się, że nie byłiby do tego zdolni. Wszyscy, oprócz Gronevelta.

Teraz wiedział z całą pewnością, że to on miał wtedy rację. Nie dlatego, że odniósł w życiu sukces, ale dlatego, że dziś nikt by takiego pytania już nie postawił. Dylematy tego rodzaju przestały istnieć. Co najwyżej można było je sformułować w następujący sposób:

„Czy nacisnąłbyś guzik, żeby dla marnego tysiąca dolarów zabić dziesięć milionów Chińczyków” (czemu, do diabła, właśnie Chińczyków?). Tak brzmiałoby obecnie to pytanie.

Świat nabierał krwawopurpurowej barwy. Groneveltowi zakręciło się w głowie. Ścisnął dłoń pielęgniarki, żeby nie stracić równowagi. Dzięki katarakcie mógł patrzeć prosto w słońce. Pomyślał sennie o kobietach, które kochał, i o pewnych działaniach, które przedsięwziął. O facetach, z którymi obszedł się bezlitośnie, i o tych, którym okazał miłosierdzie. Pomyślał o Crossie jak o synu i zrobiło mu się go żal. Pomyślał o Rodzinie Santadio i o Rodzinie Clericuzio. Był szczęśliwy, że ma to już za sobą. Tylko jak właściwie należało żyć - szczęśliwie czy moralnie? I czy do znalezienia odpowiedzi na to pytanie koniecznie trzeba być Chińczykiem?

Ta ostatnia myśl zupełnie go skonfundowała. Pielęgniarka poczuła, że dłoń starca nagle stężała i zrobiła się zimna. Pochyliła się nad nim, żeby sprawdzić, czy daje znaki życia. Nie dawał.

Cross De Lena, spadkobierca i następca, urządził Groneveltowi godny pogrzeb. Na tę smutną ceremonię zaprosił (bądź powiadomił o niej) wszystkich luminarzy z Las Vegas, najwierniejszych graczy, znajome Gronevelta, cały personel hotelu. Albowiem Alfred Gronevelt, geniusz hazardu z Las Vegas, był człowiekiem cieszącym się powszechnym szacunkiem.

Inicjował i finansował budowę kościołów wszelkich wyznań, gdyż uważał, że „graczom wierzącym w Boga należy się nagroda”. Będąc wrogiem biedy i slumsów, budował pierwszorzędne szpitale i znakomite szkoły. I zawsze mówił, że robi to we własnym interesie.

Pogardzał Atlantic City, gdzie za aprobatą władz stanowych przywłaszczano sobie wszystkie pieniądze, lekceważąc tamtejsze społeczeństwo.

Gronevelt usilnie przekonywał opinię społeczną, że hazard nie jest karygodnym występkiem, lecz rozrywką klasy średniej, taką samą, jak golf lub baseball. On to sprawił, że hazard wyszedł z podziemia. Dlatego właśnie Las Vegas chciało oddać mu cześć.

Cross starał się panować nad emocjami. Miał poczucie głębokiej straty, bo, odkąd sięgał pamięcią, z Groneveltem łączyła go silna więź uczuciowa, ale nie wolno mu było zapomnieć, że został właścicielem pięćdziesięciu jeden procent hotelu „Xanadu”. Wartych, z grubsza licząc, pięćset milionów dolarów.

Rozumiał, że teraz w jego życiu nastąpi wiele zmian. Taka władza i takie pieniądze łączą się z większymi zagrożeniami. Zmienia się także jego stosunki z don Clericuziem i Rodziną - odtąd będzie ich współnikiem w interesach.

Pierwszy telefon wykonał do Quogue. Odebrał Giorgio i udzielił mu pewnych instrukcji. Powiedział, że Rodzinę na pogrzebie reprezentować będzie Pippi. Dante poleci do Las Vegas najbliższym samolotem, aby doprowadzić do końca pewną misję, o której rozmawiali wcześniej, ale nie pojawi się na pogrzebie. O tym, że Cross został właścicielem połowy hotelu, nawet się nie zająknął.

Następnie Cross zadzwonił do swej siostry Claudii, która wcześniej próbowała się z nim skontaktować. Niestety, u niej też odezwał się automat. Również Ernest Vail prosił go o telefon. Cross go lubił i miał jego rewersy na pięćdziesiąt paczek, ale tym razem Vail będzie musiał wziąć na wstrzymanie i poczekać, aż będzie po uroczystościach.

Wiadomość zostawił też Pippi, długoletni przyjaciel Gronevelta, którego Cross teraz potrzebował, żeby mu wyjaśnił, co dalej. Ciekawe, jak ojciec ustosunkuje się do jego nowej pozycji, bogactwa? To może być drażliwa sprawa, podobnie jak uświadomienie klanowi Clericuzio, że ich bruglione na Zachodzie nie jest już byle kim.

Cross nie miał wątpliwości, że don się potrafi znaleźć w tej sytuacji, i był prawie pewny, że nie zawiedzie się na ojcu. Ale jak zareagują Giorgio, Vincent i Petie Clericuzio, nie mówiąc o Dantem? Z Dantem byli zaprzysiężonymi wrogami od dnia, kiedy zostali razem ochrzczeni w prywatnej kaplicy don Clericuzia. Ich wzajemna niechęć stała się w Rodzinie dyżurnym dowcipem.

A tu Dante ma przyjechać do Las Vegas, żeby się zająć Dużym Timem, zwanym też Cyganem. Ta myśl nie dawała spokoju Crossowi, który do Dużego Tima miał jakąś dziwną słabość. Domyślał się, że los Cygana został przesądzony przez samego don Clericuzia, chciałby jednak wiedzieć, w jaki sposób Dante zamierzał „się nim zająć”.

Takiego pogrzebu w Las Vegas nie pamiętano. Alfredowi Groneveltowi oddawano hołd jak jakiemuś świętemu. Zwłoki wystawiono na widok publiczny w wybudowanym za jego pieniądze kościele protestanckim, który łączył majestatyczność katedr europejskich z brązowymi, pochyłymi ścianami indiańskich tipi. Motywy indiańskie królowały również na ogromnym parkingu, będącym przejawem osławionego praktycyzmu Las Vegas.

Chór z uniwersytetu, na którym Gronevelt finansował trzy etaty na wydziale humanistycznym, polecał go w swych pieśniach Bogu.

Żałobnicy, którzy zdobyli wykształcenie dzięki stypendiom fundowanym przez Gronevelta, sprawiali wrażenie szczerze smutnych. Za trumną szli również gracze, którzy stracili w „Xanadu” całe fortuny; ci z kolei nie kryli zadowolenia, że choć raz górą są oni, nie Gronevelt. Samotnie przybyły kobiety, niektóre w średnim wieku, cicho popłakiwały. W pogrzebie wzięli też udział przedstawiciele synagog i kościołów katolickich, do których zbudowania Gronevelt się walczy przyczynił.

Oczywiście zamknięcie kasyna byłoby bardzo nie po myśli zmarłego, wobec tego na uroczystość przybyli tylko szefowie sal i krupierzy, którzy tego dnia pracowali na nocną zmianę. Zjawili się nawet niektórzy goście z Willi, traktowani przez Crossa i Pippię ze szczególną atencją.

Przybył również - w asyście mera - gubernator stanu Nevada, Walter Wavven. Zamknięto w części miasta ruch, aby umożliwić spokojne dotarcie na cmentarz procesji złożonej ze srebrnego karawanu, czarnych limuzyn oraz żałobników idących pieszo i aby Alfred Gronevelt mógł po raz ostatni przejechać przez stworzony przez siebie świat.

Tego wieczora obywatele-goście Las Vegas złożyli mu ostatni hołd. Hołd, który niewątpliwie bardzo by mu się spodobał. Grali tak wysoko, że ustanowili nowy rekord plajty, jeśli oczywiście nie brać pod uwagę nocy sylwestrowych. Okazali Groneveltowi szacunek, grzebiąc wraz z nim swe pieniądze.

Wieczorem Cross De Lena był gotów do rozpoczęcia nowego życia.

Tego samego wieczora Athena Aquitane siedziała na kanapie w swym domu przy plaży w Malibu Colony i próbowała podjąć jakąś decyzję. Przez otwarte drzwi wpadał wiatr znad oceanu, przyprawiając ją o dreszcze.

Sławną na całym świecie aktorkę trudno sobie wyobrazić jako małą dziewczynkę. Trudno sobie wyobrazić, jaka była, nim stała się kobietą. Charyzmat gwiazdy każe nam wierzyć, że wyskoczyła w pełni ukształtowana - podobnie jak kreowane przez nią piękne bohaterki - z głowy Zeusa. Słynne aktorki nigdy nie siusiały w majtki, nie były szczerbate, nie miały trądziku, nie jękały się onieśmiałe, nie dostawały fioła w wieku dorastania, nie

masturbowały się, nie kochały się bez wzajemności, nie zmagaly się z losem. Jej samej trudno było wygrzebać z zakamarków pamięci obraz siebie, kiedy była taką normalną osobą.

Zawsze uważała się za osobę w czepku urodzoną. Wszystko przychodziło jej szalenie łatwo. Miała cudownych rodziców, którzy w porę zwrócili uwagę na jej zdolności i zadbali o ich rozwój. Mimo że była bardzo ładna, nie ograniczyli się do zachwytów nad jej urodą. Ojciec uczył ją sportów, matka literatury i sztuki. Athena nie przypominała sobie, żeby w dzieciństwie była kiedykolwiek smutna, nieszczęśliwa. Aż do skończenia siedemnastu lat.

Wtedy to zakochała się w Bozie Skannecie, który był od niej cztery lata starszy, w college'u zaś uchodził za lokalną gwiazdę piłkarską. Jego rodzina posiadała największy bank w Houston. Boz był równie przystojny, co Athena piękna, do tego adorował ją w zabawny, czarujący sposób. Gdy ich doskonale ukształtowane ciała przyłgnęły jak magnesy, a zakończenia nerwów zaiskrzyły niczym przewody pod wysokim napięciem, odnieśli wrażenie, że znaleźli się w raju. Chcąc w nim pozostać na zawsze, pobrali się.

Athena szybko zaszła w ciążę, ale nie przybierała specjalnie na wadze i nie odczuwała mdłości. Cieszyła się na swego dzidziusia. Chodziła dalej do college'u, studiowała aktorstwo, grała w golfa i w tenisa. Na korcie tenisowym wygrywał Boz, na polu golfowym lepsza była Athena.

Boz otrzymał posadę w banku ojca. Po urodzeniu dziecka, dziewczynki, której dała na imię Bethany, Athena wróciła do szkoły, zwłaszcza że Boza stać było na opłacenie niańki i służącej. Małżeństwo tylko zaostrzyło apetyt Atheny na naukę. Mnóstwo czytała, głównie dramaty. Zachwycała się Pirandellem, Strindberg budził w niej mieszane uczucia, płakała nad Tennessee Williamsem. Stała się bardziej rzutka, a inteligencja doskonale harmonizowała z jej urodą, dodając godności, której czasem brakuje pięknu. Nic więc dziwnego, że durzyli się w niej wszyscy mężczyźni, młodzi, starzy, w średnim wieku. Przyjaciele zazdrościli Bozowi Skannetowi takiej żony. Athena dumnie obnosiła swą doskonałość i dopiero po latach dowiedziała się, że drażniła nią wielu ludzi, zarówno znajomych, jak i kochanków.

Boz powiedział wtedy żartem, że tak samo drażnił ich rolls-royce, którego co wieczór parkował na ulicy. Boz nie był głupi i sam widział, że ma niezwykłą żonę, stworzoną do innego życia. Czuł, że utraci ją tak samo, jak swe marzenia o karierze sportowej. Niestety, nie szykowała się żadna wojna, w której mógłby wykazać się odwagą, czego żałował, bo czuł, że rozpiera go wściekłość. Wyglądał dość pociągająco, ale nie posiadał żadnego szczególnego talentu. Nie interesowało go też zbijanie majątku.

Athena miała talent i wiedziała, czego chce od życia. Jakże jej tego zazdrościł.

Dlatego postanowił wyjść naprzeciw przeznaczeniu. Zaczął pić, uwodzić żony

kolegów, a w banku ojca zawierać niezbyt czyste transakcje. Cieszył się ze swego sprytu, jak każdy mężczyzna z nowo nabytej umiejętności, i postanowił wykorzystać go do ukrycia swych prawdziwych uczuć do żony. Nienawidzenie kogoś tak pięknego i doskonałego, jak Athena, uważał za nie lada bohaterstwo.

Mimo rozwiązłego trybu życia cieszył się doskonałym zdrowiem. Spodobało mu się to. Zaczął chodzić do siłowni, trenować boks. Kochał ring, gdyż mógł przywalić komuś pięścią w twarz, zniemacka przejść od lekkich kuksańców do ciosu sierpowego. Podobał mu się stoicki spokój tej walki. Uwielbiał polowanie, strzelanie do zwierząt. Czerpał przyjemność z uwodzenia naiwnych kobiet, bawiła go banalna powtarzalność romansów.

Dumny ze swego sprytu zaczął się zastanawiać, jak go najlepiej spożytkować w konkretnej sytuacji. Zrobić Athenie więcej dzieci? Czwórkę, piątkę, szóstkę. Dzieci by ich znowu do siebie zbliżyły. Dzieci powstrzymałyby Athenę od skoków w bok. Ale Athena przejrzała go na wylot i dała mu zdecydowany odpór. Co więcej, powiedziała: „Jeśli chcesz mieć więcej dzieci, niech ci je urodzą kobiety, które pieprzysz”.

Pierwszy raz rzuciła mu w twarz tak grubiańskie słowa. Inna rzecz, że wcale się nie krył ze swą niewiernością. Na tym w istocie polegała jego chytryść. Wolał, żeby Athena odeszła od niego z płaczem, niż porzuciła dla innego.

Athena widziała, co działo się z Bozem, ale była zbyt młoda i zbyt zajęta sobą, żeby się nim przejmować. Dopiero wtedy, gdy Boz zrobił się okrutny, dwudziestoletnia Athena stwierdziła, że wszystko ma swoje granice.

Boz zaczął zachowywać się w sposób typowy dla mężczyzn, którzy nienawidzą kobiet. Athena odnosiła wrażenie, że jej mąż zbzikował.

W drodze powrotnej z banku Boz zwykle wstępował do pralni chemicznej po ich ubrania, co uzasadniał tak: „Twój czas jest cenniejszy od mojego, skarbenku. Nie dość, że ciężko pracujesz, to jeszcze chodzisz na jakieś strasznie ważne kursy”. Obojętnym tonem maskował zawartą w tej uwadze złośliwość.

Pewnego dnia wrócił z naręczem jej sukien w chwili, kiedy właśnie brała kąpiel. Popatrzył na nią z góry, na jej złote włosy, białą skórę, krągłe piersi, brodawki polukrowane pianą i powiedział grubym głosem: „Ciekawe, jaką będziesz miała minę, kiedy wrzucę ci te łachy do wanny”. Ale nie wrzucił, tylko odwiesił suknie do szafy, a ją wyjął z wanny, wytarł różowym, szorstkim ręcznikiem, a potem się z nią kochał. Kilka tygodni później sytuacja się powtórzyła. Tylko że tym razem ubrania wylądowały w wodzie.

Pewnego wieczora przy kolacji Boz zagroził, że potłucze naczynia. Skończyło się na pogrózkach, ale tydzień później rozbił w drobny mak wszystko, co było w kuchni. Po takich

wybrykach zawsze bardzo przeproszał żonę. I zawsze chciał się z nią kochać. Ona jednak nie miała na to najmniejszej ochoty. W tym czasie sypiali już w osobnych pokojach.

Kiedy indziej przy kolacji Boz uniósł pięść i powiedział: „Twoja twarz jest zbyt doskonała. Może gdybym złamał ci nos, nabrałaby charakteru jak twarz Marlona Brando”.

Pobiegła do kuchni, on rzucił się za nią. Ze strachu chwyciła za nóż. Boz się roześmiał i stwierdził: „Do tego akurat nie jesteś zdolna”. Miał rację. Bez trudu odebrał jej nóż. „Ja tylko żartowałem - rzekł. - Jedyną twą wadą jest zupełny brak poczucia humoru”.

Dwudziestoletnia Athena śmiało mogła poskarżyć się rodzicom, ale nie zrobiła tego. Trzymała też fason przed przyjaciółmi. Ufna w swą inteligencję postanowiła sama znaleźć wyjście z tej sytuacji. Wiedziała już, że szkoły nie skończy. Na jakąś oficjalną pomoc też nie mogła liczyć. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie rozkochać Boza jeszcze raz w sobie, ale na samą myśl o pójściu z nim do łóżka dostawała gęsiej skórki. Czuła, że nie potrafiłaby udawać miłości w sposób przekonujący, choć sam pomysł bardzo przemawiał do jej aktorskiej wyobraźni.

To, co sprawiło, że w końcu zdecydowała się wziąć sprawy w swoje ręce, miało związek nie z nią, lecz z Bethany.

Boz lubił podrzucać ich roczną córeczkę do góry i do ostatniej chwili udawać, że nie zamierza jej złapać. Raz, niby niechcący, upuścił ją na kanapę. A któregoś dnia, tym razem z całą pewnością umyślnie, upuścił małą na podłogę. Athena krzyknęła z przerażenia. Rzuciła się do Bethany, podniosła ją, przytuliła, zaczęła uspokajać. Całą noc obserwowała dziecko, siedząc obok łóżeczka. Bethany miała na głowie ogromny guz. Boz ze łzami w oczach przeproszał i przysięgał, że ostatni raz bawił się z nią w ten sposób. Ale Athena podjęła już decyzję.

Następnego dnia wyjęła wszystkie pieniądze z konta. Dla zmylenia ewentualnej pogoni dokonała rezerwacji w różnych biurach podróży. Dwa dni później Boz wrócił z pracy i zastał dom pusty.

Sześć miesięcy później Athena wypłynęła - bez dziecka - w Los Angeles i rozpoczęła karierę aktorską. Znalazła sobie agenta średniej klasy i na początku występowała z małymi trupami teatralnymi. Po głównej roli w sztuce wystawianej w teatrze „Mark Taper Forum” przysłyły epizodyczne role w rozmaitych filmikach, aż w końcu obsadzono ją w pierwszoplanowej roli w pierwszorzędnym filmie. W kolejnym filmie zagrała już główną rolę i wtedy w jej życie ponownie wkroczył Boz Skannet.

Zapłaciła mu alimenty za trzy lata z góry. Jego popis przed Pawilonem Dorothy Chandler wcale jej nie zdziwił. To był stary numer jej męża. Teraz oblał ją wodą... następnym

razem w butelce będzie kwas.

- W LoddStone Studios mają straszny zgryz - powiedziała tamtego ranka Molly Flanders do Claudii De Lena. - Kłopoty z Atheną Aquitane. Boją się, że z powodu tego incydentu przed Oscarami nie wróci już na plan. Bantz prosi, żebyś do niej wpadła. Liczą, że potrafisz na nią wpłynąć.

Claudia przysłała do biura Molly w towarzystwie Ernesta Vaila.

- Dobrze, porozmawiam z nią, jak tylko skończymy z tą sprawą - przyrzekła. - Aż tak się przejęła?

Molly Flanders była prawnikiem w branży rozrywkowej, jednym z najlepszych i to w mieście, w którym nie brakowało świetnych prawników. W sali sądowej zamieniała się w groźną tygrysięcę i prawie zawsze wygrywała, ponieważ nie tylko była doskonałą aktorką, ale w małym palcu miała całe prawo.

Wcześniej była najbardziej wziętym obrońcą w Kalifornii. Wyreklamowała od komory gazowej dwudziestu morderców. Najgorszy z jej klientów dostał kilka lat za nieumyślne spowodowanie śmierci. Ale nie wytrzymała tego nerwowo i przerzuciła się na prawo przemysłu rozrywkowego. Wybrała tę branżę, bo tu trup nie ścielił się tak gęsto, a łajdacy, z którymi miała teraz do czynienia, byli inteligentni i czarujący.

Reprezentowała reżyserów pierwszej kategorii, kasowych aktorów oraz wziętych scenarzystów. Nazajutrz po rozdaniu Oscarów wizytę złożyła jej ulubiona klientka, scenarzystka Claudia De Lena. Przysłała ze swym kolegą po fachu, niegdyś głośnym powieściopisarzem, Ernestem Vailem.

Claudia De Lena była klientką Molly Flanders, a zarazem jej dobrą znajomą. Zatem kiedy Claudia poprosiła ją, żeby pomogła Vailowi, Molly zgodziła się bez wahania. Jakże teraz tego żałowała. Vail zwrócił się do niej ze sprawą, której nie była zdolna załatwić. Na dobitkę budził w niej wstręt fizyczny, choć nigdy nic takiego nie czuła do żadnego ze swych klientów morderców. Pocieszyła się myślą, że dzięki temu łatwiej jej przyjdzie odprawić go z kwitkiem.

- Erneście - powiedziała. - Przejrzałam wszystkie kontrakty, wszystkie oficjalne dokumenty i nie widzę podstaw do wytoczenia procesu LoddStone Studios. Prawa do swych bohaterów możesz odzyskać tylko w jeden sposób, mianowicie, przenosząc się na tamten świat, zanim wygasną prawa autorskie do książki. To znaczy, w ciągu najbliższych pięciu lat.

Dziesięć lat wcześniej Ernest Vail był bezsprzecznie najślawniejszym pisarzem Ameryki, wychwalanym przez krytyków, czytany przez ogromne rzesze ludzi. Bohater jednej z jego powieści przypadł do gustu wytwórni filmowej LoddStone Studios. Kupili

prawa, nakręcili film, odnieśli ogromny sukces. Nakręcono dwa następne filmy o tej samej postaci, które też zarobiły spore pieniądze. Wytwórnia miała w planie cztery „dokrętki”. Na swoje nieszczęście Vail w pierwszym kontrakcie scedował na LoddStone Studios prawa do bohaterów powieści i jej tytułu - na wszystkich planetach we Wszechświecie, we wszystkich rodzajach działalności podejmowanych przez wytwórnię. Standardowy kontrakt dla pisarzy, którzy nie wyrobili sobie jeszcze marki w świecie filmowym.

Ernest Vail miał wiecznie skrzywioną, niesympatyczną minę. Zapewne nie bez powodu. Wprawdzie jego książki krytycy wciąż wychwalali, ale ludzie już ich nie czytali. W ogóle życie mu się niezbyt udało. Opuściła go żona wraz z trojgiem dzieci. Na książce, według której nakręcono udany film, zarobił masę forsy, ale jednorazowo, podczas gdy LoddStone Studios dalej zbijały fortunę.

- Wytłumacz mi to - rzekł Vail.

- Kontrakty zostały tak sformułowane, że w żaden sposób nie da się ich podważyć - odparła Molly. - Właścicielem twoich postaci jest wytwórnia filmowa LoddStone Studios. Przeoczyli tylko jeden drobny szczegół. Otóż prawo autorskie stanowi, że po twojej śmierci wszystkie prawa do twojej spuścizny przechodzą na twoich spadkobierców.

Vail pierwszy raz się uśmiechnął.

- Zbawienne prawo.

- A o jakiej kwocie mówimy? - zainteresowała się Claudia.

- Przy dobrym układzie - wyjaśniła Molly - o pięciu procentach. Jeśli przyjmiemy, że zrobią z tej książki pięć filmów, które nie okażą się niewypałami i zostaną obejrzone miliard razy na całym świecie, kwota ta wyniesie trzydzieści, czterdzieści milionów. - Przerwała na chwilę i uśmiechnęła się ironicznie. - Gdybyś umarł, mogłabym załatwić twym spadkobiercom sporo forsy. Przyparłabym LoddStone Studios do muru.

- Zadzwoń do nich - powiedział Vail - i umów mnie na spotkanie. Zagrozę, że się zabiję, jeśli nie zmienią kontraktu.

- Nie uwierzą ci.

- To się zabiję - zagroził Vail.

- Nie wygłupiaj się, Ernestie - rzekła pojednawczo Claudia. - Masz tylko pięćdziesiąt lat. Jesteś za młody, żeby umierać dla pieniędzy. Dla zasad, dla dobra kraju, dla miłości, to tak. Ale nie dla pieniędzy.

- Muszę zadbać o żonę i dzieci - rzekł Vail.

- Byłą żonę - przypomniała mu Molly. - Na miłość boską, byłeś dwukrotnie żonaty.

- Mówię o prawdziwej żonie - stwierdził Vail. - Tej, która urodziła moje dzieci.

Molly coraz lepiej rozumiała, dlaczego Vaila nie lubiano w Hollywood. Powiedziała:

- LoddStone Studios nie dadzą ci złamanego centa. Nie uwierzą, że się zabijesz. Nie uwierzą pisarzowi. Gdybyś był kasowym aktorem, to kto wie? Albo pierwszorzędnym reżyserem. Ale pisarz? Oni kichają na pisarzy. Przepraszam cię, Claudio.

- Ernest to wie i ja też wiem - zgodziła się Claudia. - Gdyby nie to, że odczuwają śmiertelny lęk przed pustą kartką papieru, dawno by z nas zrezygnowali. Naprawdę nie możesz nic zrobić?

Molly westchnęła i wykreśliła numer Eliego Marriona. Była na tyle znana, że mogła poprosić o rozmowę z Bobbym Bantzem, prezesem wytwórni LoddStone Studios.

Potem Claudia i Vail wstąpili do „Polo Lounge”, żeby się czegoś napić.

- Duża kobieta z tej Molly - rzekł Vail w zamyśleniu. - Czy wiesz, że duże kobiety łatwiej się uwodzi? I że w łóżku są lepsze od małych?

Nie pierwszy raz Claudia zadała sobie pytanie, dlaczego lubi Vaila. Wbrew wszystkiemu. Co innego jego powieści. Te ją niezmiennie zachwyciły.

- Kretyn - stwierdziła.

- Chciałem tylko powiedzieć, że duże kobiety są miłsze. Podają człowiekowi śniadanie do łóżka i oddają drobne przysługi. Kobięce przysługi.

Claudia wzruszyła ramionami.

- Duże kobiety mają dobre usposobienie - ciągnął Vail. - Raz jedna odwiozła mnie do domu z przyjęcia i nie wiedziała, co ze mną począć. Rozglądała się po sypialni z taką miną, z jaką moja matka rozglądała się po kuchni, kiedy w domu nie było nic do jedzenia, a ona musiała z czegoś ugotować obiad. Zastanawiała się, jak w tej sytuacji najlepiej spędzić czas.

Sączyli swoje napoje. Claudia pomyślała, że Vail bywa rozbrajający i jak zwykle w takich momentach poczuła do niego silny pociąg.

- Wiesz, jak poznałam Molly? - spytała. - Broniła jakiegoś faceta, który zamordował narzeczoną, i powiedziała mi, że potrzebuje dobrego dialogu do wykorzystania w sali sądowej. Napisałam jej scenę jak do filmu. Klient Molly dostał wyrok za nieumyślne zabójstwo. Napisałam dialogi i fabułę jeszcze do trzech innych spraw, a potem z tym skończyliśmy.

- Nienawidzę Hollywoodu - stwierdził Vail.

- Nienawidzisz Hollywoodu, gdyż LoddStone Studios zrobiły cię w konia - zauważyła Claudia.

- Nie tylko dlatego - odparł Vail. - Widzisz, rzecz w tym, że jestem przeżytkiem, członkiem starej cywilizacji jak Aztecy, Chińczycy z czasów cesarstwa, amerykańscy

Indianie, których wyparli ludzie o bardziej zaawansowanej technologii. Jestem pisarzem z prawdziwego zdarzenia, piszę powieści, które przemawiają do umysłów. Taki rodzaj pisarstwa jest jednak bardzo nienowoczesny. Nie mogę konkurować z filmami. Filmy mają kamery, plany filmowe, muzykę i sławne twarze. Jak pisarz ma stawać z nimi w zawody, dysponując tylko słowami? Tym bardziej że filmy zawężyły pole walki. Nie zdobywają umysłów, tylko serca.

- To ja nie jestem pisarzem, tak? - obruszyła się Claudia. - Scenarzysta nie jest pisarzem? Rozumiem, że przemawia przez ciebie gorycz.

Vail poklepał ją po ramieniu.

- Ja tobą nie pogardzam - rzekł. - Nie pogardzam nawet filmem. Po prostu definiuję.

- Masz szczęście, że ubóstwiam twoje książki - stwierdziła Claudia. - Nie dziwi mnie, że nikt cię tutaj nie lubi.

Vail uśmiechnął się łagodnie.

- Nie, nie - zaprotestował. - Nie mów, że mnie nie lubią. Mają mnie za nic, to wszystko. Ale zobaczysz, jak zaczną mnie szanować, kiedy moja rodzina odziedziczy po mnie prawa do moich bohaterów.

- Nie mówisz poważnie - rzekła Claudia.

- Owszem, mówię. To bardzo kuszący pomysł. Samobójstwo. Czy popelnienie samobójstwa uchodzi w dzisiejszych czasach za nietakt?

- Niech cię diabli - zdenerwowała się Claudia i objęła go za szyję. - Słuchaj, wojna się dopiero zaczyna - powiedziała. - Jestem pewna, że zmienię zdanie, gdy z nimi pogadam. Zgadzasz się?

- Nie ma gwałtu - odparł Vail z uśmiechem. - Zanim wymyślę, jak to zrobić, minie z sześć miesięcy. Nienawidzę przemocy.

Do Claudii nareszcie dotarło, że Vail mówi poważnie. Ku swemu zaskoczeniu poczuła strach. Nie, żeby go kochała, choć przez jakiś czas sypiali ze sobą. Nie chodziło nawet o to, że go lubiła. Przeraziła ją myśl, że pieniądze liczyły się dla niego bardziej od tych pięknych książek, które pisał. Że jego sztuka skapitulowała wobec czegoś tak przyziemnego jak forsa. Z tego przerażenia powiedziała:

- W najgorszym przypadku pojedziesz do Las Vegas i porozmawiasz z moim bratem Crossem. On coś wymyśli. Lubi cię.

Vail roześmiał się.

- Nie aż tak.

- Cross ma dobre serce - zapewniła Claudia. - Znam swojego brata.

- Czyżby? - spytał niedowierzająco Vail.

Natychmiast po rozdaniu Nagród Akademii Athena wróciła do domu i od razu położyła się do łóżka. Nie mogła jednak zasnąć, godzinami przewracała się z boku na bok. Miała napięte wszystkie mięśnie. Nie dopuszczała, żeby zrobił to drugi raz, powtarzała w myśli. O, nie. Nie chcę znowu żyć w ciągłym strachu.

Zaparzyła herbatę, ale kiedy zobaczyła, jak drży jej ręka, zirytowana odstawiła filiżankę i wyszła na balkon. Stała tam dłuższą chwilę wpatrzona w ciemne nocne niebo, spokój jednak nie nadchodził.

Przebrała się w białe szorty i tenisówki i zeszła na plażę. Na horyzoncie właśnie pokazało się czerwone słońce. Pobiegnęła przed siebie, mocząc nogi w zimnej wodzie. Starła się trzymać linii brzegowej, nie zbacać z twardego, mokrego piasku. Musi odzyskać spokój. Nie dopuści, by Boz zrujnował jej życie. Tyle się napracowała. Boz chce ją zabić, to pewne. Ale najpierw będzie się z nią bawić jak kot z myszą, będzie się nad nią pastwić. Potem ją oszpeci, okaleczy, licząc, że w ten sposób zmusi ją do powrotu. Athena poczuła, że za chwilę zemdleje, na szczęście wiatr spryskał jej twarz zimną bryzą z oceanu. Nie, nie!

Pomyślała o LoddStone Studios. Że się wściekną i będą jej grozić. Tak, ale im chodzi tylko o forszę. Pomyślała o Claudii i zrobiło się jej przykro, że zaszkodzi przyjaciółce. Co do innych zaś, to pomyślała, że w tej sytuacji nie stać jej na luksus martwienia się o nich. Ludzie będą usiłowali przemówić Bozowi do rozsądku, nie wiedząc, że mają do czynienia z psychopatą. Boz ich nabierze, a oni ucieszą się, że odnieśli sukces wychowawczy. Athena była od nich mądrzejsza. Nie zaryzykuje. Nie może sobie na to pozwolić, gdyż...

Zadyszana dotarła do ogromnych czarnych głazów na północnym krańcu plaży i usiadła. Gdy czekała, aż oddech się jej wyrówna, usłyszała pisk mew. Uniosła głowę. Ptaki pikowały w dół, a potem szybowały tuż nad powierzchnią wody. Athenie łzy napłynęły do oczu, ale postanowiła wziąć się w garść. Przelknęła, żeby pozbyć się dławienia w gardle. Pierwszy raz w życiu żałowała, że nie jest bliżej rodziców. Poczula się jak dziecko, które ma ochotę pobiec do domu, bo wie, że ktoś je tam przytuli i powie, że wszystko będzie dobrze. Kiedyś wierzyła w takie zaklęcia. Uśmiechnęła się gorzko. Teraz była powszechnie kochana, podziwiana, uwielbiana... i co z tego? Nie sądziła, że kiedykolwiek będzie jej doskwierać pustka, samotność. Chociaż czasem, mijając na ulicy jakąś zwykłą kobietę z mężem i dziećmi, kobietę wiodącą normalne życie, odczuwała dziwną tęsknotę. Dość! - przyrzekła sobie. Wszystko jest w twoich rękach. Opracuj plan działania i trzymaj się go. Jesteś kowalem swego losu...

Słońce było już wysoko na niebie, kiedy ruszyła w drogę powrotną. Szła z głową

dumnie uniesioną i patrzyła prosto przed siebie. Wiedziała już, co zrobi.

Boz Skannet spędził całą noc w areszcie. Kiedy go zwolniono, adwokat zwołał konferencję prasową, na której Skannet oświadczył dziennikarzom, że choć nie widział Atheny Aquitane od dziesięciu lat, jest jej mężem, i że chciał tylko zażartować. Płyn, którym ją oblał, to zwykła woda z kranu. Na koniec stwierdził, że Athena z całą pewnością nie wniesie pozwu. W ten sposób dał do zrozumienia, że zna jej jakąś wstydliwą tajemnicę. Miał rację. Athena skargi nie wniosła.

Tego dnia Athena Aquitane zawiadomiła wytwórnię kręcącą najdroższy w historii kina film, że nie wróci do pracy. Po ataku, który miał miejsce przed Pawilonem Dorothy Chandler, bała się o swe życie.

Bez Atheny jednak nie mogło być nawet mowy o skończeniu filmu, historycznej epopei pod tytułem Messalina. To tak, jakby wyrzucono w błoto pięćdziesiąt milionów dolarów. Athena domyślała się, że już żadna wytwórnia nie odważy się jej obsadzić.

LoddStone Studios podały do publicznej wiadomości, że odtwórczyni głównej roli w kręconym właśnie filmie poczuła się bardzo zmęczona, ale przez miesiąc na pewno wypocznie i wróci na plan.

Rozdział drugi

Dla LoddStone Studios zerwanie przez Athenę Aquitane kontraktu byłoby druzgocącym ciosem. Zazwyczaj jeden talent nie mógł zbyt szkodliwie zaszkodzić tej najpotężniejszej wytwórni Hollywoodu, ale zbliżało się Boże Narodzenie i Messalina miała pełnić funkcję tak zwanej lokomotywy, czyli filmu, który pociągnie za sobą wszystkie inne filmy, nakręcone przez LoddStone Studios podczas długiej, ciężkiej zimy.

Przypadek zdarzył, że w następną sobotę w Beverly Hills, w posiadłości Eliego Marriona, głównego udziałowca i prezesa LoddStone Studios, odbywał się bankiet dobroczynny z okazji dorocznego Festiwalu Braterstwa.

Ukryta w głębi kanionów ponad Beverly Hills rezydencja Eliego Marriona liczyła dwadzieścia pokoi, ale - ciekawostka! - tylko jedną sypialnię. Eli Marrion nie lubił bowiem, żeby ktokolwiek nocował w jego domu. Dla gości wybudował kilka bungalów, jak również dwa korty tenisowe i ogromny basen. Sześć pokoi jego willi zajmowała olbrzymia kolekcja malarstwa.

Na ów bankiet, na który wstęp kosztował tysiąc dolarów od osoby, zaproszono pięćset najznamienitszych postaci Hollywoodu. Do ich dyspozycji oddano specjalne namioty - z barami, bufetami oraz parkietem, na którym do tańca przygrywała orkiestra. W wesole udekorowanych, zmyślnie zaprojektowanych namiotach umieszczono przenośne toalety.

Natomiast rezydencja, bungalow, korty tenisowe i basen odgradzono sznurem i obstawiono ochroniarzami. Goście jednak nie czuli się tym dotknięci; zresztą Eli Marrion był na tyle niezwykłym człowiekiem, że nie można było się na niego obrazić.

Gdy goście przechadzali się po murawie, wymieniali ploteczki i tańczyli obowiązkowo przez trzy godziny, gospodarz przyjęcia zamknął się w wielkiej sali konferencyjnej rezydencji z grupą ludzi, którym leżała na sercu sprawa ukończenia Messaliny.

Zebraniu oczywiście przewodniczył Eli Marrion. Wprawdzie stuknęła mu już osiemdziesiątka, ale dzięki sprytniej charakteryzacji wyglądał najwyżej na sześćdziesiąt lat. Siwe włosy były idealnie przystrzyżone i ufarbowane na srebrzysty kolor, a ciemny garnitur tak skrojony, że poszerzał go w ramionach i maskował cienkie jak patyki golenie. Mahoniowe buty zakotwiczały go w ziemi. Białą koszulę przecinał na pół różowy krawat, który dodawał koloru szarawej cerze starca. Eli Marrion rządził LoddStone Studios jednak tylko wtedy, kiedy miał na to ochotę. Często wolał pozostawić podejmowanie trudnych decyzji zwykłym śmiertelnikom.

Odmowa Atheny Aquitane ukończenia filmu, na który poszło już tyle pieniędzy, zanedo go denerwowała, by miał się nią sam zajmować. Messalina, produkcja za sto milionów dolarów, „lokomotywa” wytwórni, z prawami z góry sprzedanymi dystrybutorom kaset wideo, telewizji publicznej i kablowej, w kraju i zagranicą, była dla nich skarbem, który niebawem miał osiąść na dnie oceanu niczym stary hiszpański galeon.

Plus sprawa samej Atheny Aquitane. Trzydziestoletnia gwiazda podpisała już kontrakt z LoddStone Studios na kolejny kasowy film. Była autentycznym, niekwestionowanym talentem, który Marrion darzył wielkim podziwem.

Wiedział, że talenty są niebezpieczne jak dynamit. Że trzeba postępować z nimi nader ostrożnie. Otaczać miłością, zasypywać fałszywymi, tanimi pochlebstwami, obdarzać ziemskimi dobrami. Być im ojcem, matką, bratem, siostrą, a nawet kochankiem. Ponościć wszelkie ofiary. Ale przychodził czas, kiedy należało przyjąć twardą, bezlitosną postawę.

Egzekwowanie jego woli należało do Bobby’ego Bantza, Skippy’ego Deere’a, Mela Stuarta oraz Dity Tommey.

Patrząc na ludzi, zebranych w milej jego sercu sali konferencyjnej, obwieszanej obrazami wartości dwudziestu milionów dolarów, wyposażonej w stoły, krzesła, dywany, kryształowe kieliszki i karafki o łącznej wartości co najmniej pół miliona dolarów, Eli Marrion czuł, jak miękną mu kości. Miał coraz większe trudności z prezentowaniem się światu w roli człowieka apodyktycznego, za jakiego powszechnie uchodził.

Rankiem nie czuł się wcale wypoczęty, męczyło go golenie się, zawiązywanie krawata, zapinanie guzików u koszuli. Od osłabienia fizycznego bardziej jednak zasmucało go osłabienie umysłowe, które przejawiało się w litowaniu się nad bliźnimi. Coraz częściej więc wyręczał się Bobbym Bantzem, pozwalając mu rządzić. Bantz był o trzydzieści lat młodszy, a przy tym bardzo oddany i zawsze lojalny.

Bantz pełnił funkcje prezesa i dyrektora administracyjnego LoddStone Studios. Od ponad trzydziestu lat stanowił prawą rękę Marriona i przez ten czas zdążyli zżyć się ze sobą jak ojciec i syn. Uzupełniali się. Po przekroczeniu siedemdziesiątki Marrion stał się za miękki do pewnych spraw, które jednak musiały zostać załatwione.

Tak więc to Bantz bezceremonialnie odbierał reżyserom zbyt ambitne filmy i dopasowywał je do gustów publiczności. To Bantz ustalał stawki reżyserów, gwiazdorów, scenarzystów, a oni albo biegli na skargę do sądu, albo kładli uszy po sobie i brali, ile im dawał. To Bantz wreszcie negocjował korzystne dla wytwórni kontrakty z talentami. Zwłaszcza ze scenarzystami.

Scenarzystów Bantz nie traktował zbyt przychylnie. Wprawdzie bez scenariusza trudno cokolwiek zacząć, ale Bantz uważał, że żyje się i umiera z obsadzania ról. Wierzył w siłę gwiazd. Z reżyserami należało mieć się na baczności, ponieważ mogli obłupić cię ze skóry. Producenci, mistrzowie złodziejskiego fachu, byli potrzebni, aby wprawić film w ruch.

Ale scenarzyści? Mieli tylko naszkicować coś na pustej białej kartce. Potem zatrudniało się dziesięciu innych, żeby to rozwinęli. Potem producent nadawał kształt intrydze. Reżyser wymyślał akcję (niekiedy cały nowy film), a aktorzy dialogi. Na końcu podopieczni kierownika literackiego wytwórni w długich, starannie opracowanych memorandumach tłumaczyli zamysł scenarzystów, formułowali ich życzenia. W swej karierze Bantz widział mnóstwo takich sytuacji, że scenarzysta wziął za scenariusz milion dolarów, a po skończeniu filmu okazało się, że nie było w nim ani jednego z pierwotnych wątków czy dialogów. Owszem, Eli miał wyraźną słabość do scenarzystów, ale chyba tylko dlatego, że łatwo było ich wykiwać w kontraktach.

Marrion i Bantz zjeździli razem kawał świata, prezentując filmy na festiwalach, sprzedając je na targach filmowych w Londynie, Paryżu, Cannes, Tokio i Singapurze. Wspólnie decydowali o losie młodych artystów. Rządzili tym imperium niczym cesarz i jego główny wasal.

Eli Marrion i Bobby Bantz zgadzali się, że talenty, czyli ci, którzy pisali, grali, reżyserowali, należeli do najbardziej niewdzięcznych ludzi na świecie. Och, na początku, kiedy jeszcze nie wiedzieli, czy im się powiedzie, byli nadzwyczajnie mili, wdzięczni i

zgodni. Zdobywszy jednak sławę, zmieniali się nie do poznania. Miododajne pszczołki przeobrażały się we wściekłe szerszenie. Marrion i Bantz trzymali więc na podorzędziu dwudziestu prawników, którzy w razie czego umieli poskromić je siatką.

Czy naprawdę musieli sprawiać tyle kłopotów? Mazać się z byle powodu? Jedno jest pewne: ludzie, którzy postawili w życiu na sukces materialny, dłużej go odnosili, lepiej się bawili i cieszyli się większą sympatią społeczeństwa od artystów, którzy wierzyli, że zostali stworzeni do wyższych celów. Szkoda, iż nie można nakręcić o tym filmu. O tym, jak to pieniądze są w życiu ważniejsze od sztuki i miłości. Ale publiczność by tego nie kupiła.

To Bobby Bantz zgarnął ich z bankietu. Jedynym talentem w tej grupie była reżyserka Messaliny, Dita Tommey, profesjonalistka, stawiająca w pracy na kobiety, co w Hollywood oznaczało obecnie nie lesbijkę, lecz feministkę. Fakt, że była również lesbijką, nie miał najmniejszego znaczenia dla mężczyzn zgromadzonych w sali konferencyjnej. Filmy Dity Tommey nie dość, że mieściły się w kosztorysie, to jeszcze przynosiły zysk, a jej preferencje erotyczne wywoływały znacznie mniej awantur na planie niż w przypadku dowolnego reżysera płci męskiej. Kochanki sławnych kobiet były dyskretniejsze.

Eli Marrion zajął miejsce u szczytu stołu konferencyjnego i pozwolił Bantzowi prowadzić naradę.

- Wyjaśnij dokładnie, Dito - zaczął Bantz - w jakim stadium jest film i co, twoim zdaniem, należy zrobić w tej sytuacji. Psiakrew, ja w ogóle nie rozumiem, na czym polega problem.

Dita Tommey był niska, nabita i bardzo konkretna. Powiedziała:

- Problem polega na tym, że Athena jest śmiertelnie wystraszona. Nie wróci do pracy, dopóki twoi geniusze nie wymyślą, jak ją uspokoić. Jeśli Athena nie wróci, będziecie pięćdziesiąt milionów dolarów do tyłu. Bo bez niej tego filmu się nie skończy. - Przerwała na chwilę. - W zeszłym tygodniu robiłam dokrętki, żeby nie płacić ludziom za bezczynne siedzenie.

- Pieprzony film - zdenerwował się Bantz. - Od początku byłem mu przeciwny.

Jego stwierdzenie wywołało wśród zebranych żywą reakcję. Kierownik produkcji Skippy Deere zawołał:

- No wiesz, Bobby.

A Melo Stuart, agent Atheny Aquitane, mruknął:

- Gówno prawda.

Prawdą było bowiem to, że Messalina została przyjęta przez wszystkich entuzjastycznie. Żaden film w historii kina nie otrzymał tak łatwo zielonego światła.

Messalina, z feministycznego punktu widzenia, pokazywała Cesarstwo Rzymskie pod rządami Klaudiusza. Napisana przez mężczyzn historia odmalowała cesarżową Messalinę jako zepsutą, okrutną wszetecznicę, która w ciągu jednej nocy zdemoralizowała wszystkich mieszkańców Rzymu. Nakręcony prawie dwa tysiące lat później film miał pokazać ją jako tragiczną bohaterkę, kolejną Antygonę lub Medeę. Kobieta, która, posługując się jedyną dostępną jej bronią, próbowała zmienić świat rządzony przez mężczyzn, traktujących kobiety, połowę rasy ludzkiej, jak niewolnice.

Świetny pomysł połączenia nieokiełznanego seksu z modnym tematem wymagał tylko odpowiedniego podania - podania, które by go uwiarygodniło. Gdy Claudia De Lena napisała błyskotliwy scenariusz z dobrze zarysowaną historią życia Messaliny, rozejrzano się za reżyserem. Wybór - pragmatyczny, politycznie poprawny - padł na Dite Tommey, która była inteligentna i niejednokrotnie się już sprawdziła jako reżyser. Rolę Messaliny powierzono Athenie Aquitane, która zupełnie zdominowała film. Miała piękną twarz i ciało, a grała wprost bosko. Przede wszystkim jednak była jedną z trzech najbardziej kasowych gwiazd na świecie. Claudia, genialna scenarzystka, specjalnie dla niej napisała scenę, w której Messalina wrusza się losem chrześcijan i ratuje ich od męczeńskiej śmierci na arenie. Przeczytawszy tę scenę Dita Tommey powiedziała do Claudii:

- No to już chyba gruba przesada.

Na co Claudia odparła z uśmiechem:

- Nie w filmie.

Głos zabrał Skippy Deere:

- Dopóki nie nakłonimy Atheny do powrotu, nie pozostaje nam nic innego, jak tylko czekać. A to będzie nas kosztować sto pięćdziesiąt paczek dziennie. Na dziś sytuacja wygląda następująco: wydaliśmy pięćdziesiąt milionów i jesteśmy w połowie roboty. Bez Atheny nie zwojujemy, a o podstawieniu na jej miejsce kogoś innego nie ma nawet co myśleć. Słowem, jeśli ona nie wróci, będziemy musieli pożegnać się z filmem.

- To odpada - odparł Bantz. - Ubezpieczenie nie zapłaci nam za to, że gwiazda odmówiła współpracy. Jeśli wyrzuciłbyś ją z samolotu, to co innego. Melo, zmusz ją, żeby wróciła. Jesteś jej agentem.

- Widzisz, kobiety tego typu trudno do czegokolwiek zmusić - stwierdził Melo Stuart.

- Powiem tak: ona się autentycznie czegoś wystraszyła i nie są to żadne głupie fochy. Athena jest inteligentna. Nie zachowywałaby się tak bez powodu. To bardzo delikatna sytuacja.

- Jeżeli storpeduje film za sto milionów - rzekł Bantz - niech nie liczy, że ktoś ją jeszcze zatrudni. Czy ona zdaje sobie z tego sprawę?

- Owszem, zdaje - odparł Stuart.

- Czy jest ktoś, kto potrafi przemówić jej do rozumu? Skippy'emu się nie udało. Melowi też nie. Dito, wiem, że zrobiłaś wszystko, co w twojej mocy. Nawet ja próbowałem.

- Ty się nie liczysz, Bobby - zauważyła Dita Tommey. - Athena cię nie znosi.

- To, że ktoś mnie nie lubi, to jeszcze nie powód, żeby mnie nie słuchał - bronił się Bantz.

- Talenty z reguły cię nie lubią - rzekła cicho Dita Tommy - ale Athena cię nienawidzi.

- No wiesz - obruszył się Bantz. - Dałem jej rolę, która uczyniła z niej gwiazdę.

- Athena urodziła się gwiazdą - zauważył spokojnie Melo Stuart. - Ty zaś miałeś szczęście na nią trafić.

- Dito, Athena jest twoją przyjaciółką. Musisz jakoś sprowadzić ją z powrotem na plan - uciął Bantz.

- Athena nie jest moją przyjaciółką - zaprzeczyła Dita Tommey. - Jest koleżanką, która odnosi się do mnie z sympatią, ponieważ grzecznie się wycofałam, gdy dała mi kosza. W przeciwieństwie do ciebie, Bobby. Ty latami usiłowałeś zaciągnąć ją do łóżka.

- A kimże ona jest, żeby mi tego odmawiać? - zdziwił się Bantz. - Eli, ty jej każ wrócić.

Wszystkie oczy zwróciły się na starca, który sprawiał wrażenie bardzo znudzonego całą tą rozmową. Eli Marrion był tak chudy, że - jak złośliwie zauważył pewien gwiazdor - gdyby nosił na głowie gumkę do ścierania, to można by go wziąć za ołówek. Gwiazdor nie miał jednak racji, gdyż Marrion był stosunkowo ciężkim facetem o twarzy goryla, szerokim nosie i grubych wargach, przy czym emanowała z niej dziwna dobroduszość, nawet szlachetność, na którą można by się nabrać, gdyby nie spojrzenie jego szarych oczu - zimne, inteligentne, skupione. Spojrzenie to mroziło wielu ludzi. Prawdopodobnie z tego powodu nalegał, żeby zwracano się do niego po imieniu.

Marrion stwierdził głosem wypranym z wszelkich emocji:

- To nic nie da, skoro ona nikogo nie słucha. Mój autorytet nie robi na niej wrażenia. I co ją tak przestraszyło? Ten idiotyczny atak? A swoją drogą, nie dałoby się przemówić temu facetowi do ręki?

- Można spróbować - odparł Bantz. - Ale to nie zmieni postanowienia Atheny. Ona mu nie wierzy.

Głos zabrał Skippy Deere, kierownik produkcji:

- Próbowaliśmy wyrzucić na niego presję. Mam w policji kilku znajomych i prosiłem ich, żeby go przycisnęli, ale to twardy gość. Wściekł się i to wszystko. Zresztą jego rodzina

ma pieniądze i znajomości w policji.

- Ile dokładnie wytwórnia straci, gdyby film diabli wzięli? - spytał Stuart. - Postaram się, żebyście odbili to sobie w przyszłych kontraktach.

Nie byli pewni, po co mu ta informacja. Tak czy siak był agentem Atheny. Marrion skinął do Bobby'ego Bantza. Bantz skrzywił się, ale odpowiedział:

- Wydaliśmy już pięćdziesiąt milionów. Okej, tyle byśmy przełknęli, ale musimy oddać forszę zagranicznym dystrybutorom i tym od kaset wideo. Nie mówiąc o tym, że nie będziemy mieć lokomotywy na Boże Narodzenie. To będzie nas kosztować kolejne... - zamilkł, bo nie chciał zdradzić tej sumy - a jeśli dodamy stracone zyski, to wychodzi... to wychodzi dwieście milionów dolarów. Będziesz musiał się bardzo gimnastykować, Melo, żeby nam to wyrównać.

Stuart uśmiechnął się na myśl, że będzie musiał podnieść stawkę Atheny.

- Ale tak naprawdę tracicie tylko te pięćdziesiąt milionów, które już wydaliście - stwierdził.

Teraz odezwał się znowu Marrion:

- Krótko mówiąc, Melo, ile będzie nas kosztowało skłonienie twojej klientki do powrotu na plan? - Słyszając ten twardy ton, zrozumieli, co się stało. Marrion podszedł do sprawy, jak gdyby chodziło o zwykły szantaż.

Stuart w lot pojął aluzję. Ile chcesz od nas wyciągnąć tą sztuczką? Marrion zakwestionował jego uczciwość, ale on postanowił nie dać się sprowokować. Nie Marrionowi. Gdyby zaatakował go Bantz, to oczywiście bardzo by się obraził.

Stuart był kimś, kto w tym świecie wiele znaczył. Nie musiał płaszczyć się nawet przed Marrionem. Miał w swej stajni pięciu reżyserów klasy A, może nie tych najbardziej kasowych, ale też świetnych; dwóch supergwiazdorów oraz jedną supergwiezdę, Athenę. To oznaczało, że dysponował trzema osobami, które zapalały zielone światło dowolnemu filmowi. Mimo to niemądrze byłoby zdenerwować Marriona. Siła Stuarta polegała na zręcznej ocenie sytuacji. Z pewnością był to dobry moment, żeby przyprzeć ich do muru, ale czy warto? Nadarzała się wyjątkowa okazja, kiedy szczerłość mogła się opłacić.

Największym atutem Mela Stuarta była szczerłość; on naprawdę wierzył w to, co sprzedawał, a w talent Atheny uwierzył już dziesięć lat wcześniej, kiedy była jeszcze zupełnie nieznaną. Teraz też w nią wierzył. Może jednak uda się zmienić jej postanowienie i sprowadzić ją z powrotem na plan? Warto jeszcze raz spróbować. Trzeba jeszcze raz spróbować.

- Tu nie chodzi o pieniądze - rzekł Stuart z przejęciem. Zachwyciła go jego własna

szczerosc. - Athena nie wróci, nawet gdybyście podnieśli jej gażę o milion. Musicie rozwiązać jej kłopoty z tym niby to mężem.

Zapadła złowrózba cisza. Nastawili ucha. Padła jakaś suma. Czyżby początek pertraktacji? Melo Stuart powtórzył z naciskiem:

- Athenie nie chodzi o pieniądze.

Dita Tommey wzruszyła ramionami. Nie wierzyła mu. Ale to nie były jej pieniądze. Bantz patrzył w zamyśleniu na Stuarda, który z kolei utkwił spojrzenie w Marrionie.

Marrion analizował słowa Stuarda. Athenie nie chodzi o pieniądze. Ach, te talenty. Czas kończyć to zebranie. Zwrócił się do Stuarda:

- Melo, wytłumacz swojej klientce, że jeśli w ciągu miesiąca nie wróci na plan, wytwórnia będzie zmuszona oddać film na przemiał, przez co poniesie duże straty. Athena Aquitane powinna być świadoma, że już nigdy nie dostanie tutaj pracy. - Z uśmiechem powiódł po twarzach osób siedzących przy stole. - Wiecie, co? Zapomnijmy o całej tej sprawie. W końcu to tylko pięćdziesiąt milionów.

Wiedzieli, że Marrion mówi poważnie, że wyczerpała się jego cierpliwość. Dita Tommey wpadła w panikę, bo dla niej ten film znaczył więcej niż dla innych. To było jej dziecko. Gdyby odniosła teraz sukces, znalazłaby się w gronie najbardziej kasowych reżyserów. Jej akceptacja zapalałaby zielone światło. Wystraszona powiedziała:

- Może niech Claudia De Lena jeszcze z nią porozmawia. To jej bliska przyjaciółka.

Bobby Bantz prychnął pogardliwie.

- Nie wiem, co jest gorsze - powiedział - pieprzenie się z kamerzystą czy przyjaźń z pisarką.

W tym momencie Marrion ostatecznie stracił cierpliwość.

- Bobby, my tu rozmawiamy o interesach. Dobrze, niech Claudia z nią porozmawia. Ale tak czy owak zamknijmy tę sprawę. Mamy inne filmy na tapecie.

Następnego dnia do LoddStone Studios dostarczono czek na pięć milionów dolarów. Od Atheny Aquitane. Zwróciła zaliczkę za Messalinę.

Teraz wszystko było w rękach prawników.

W ciągu zaledwie piętnastu lat Andrew Pollard uczynił z Agencji Ochrony „Pacyfik” najbardziej prestiżową agencję ochrony na Zachodnim Wybrzeżu. Zaczynał od biura w hotelu, a obecnie był właścicielem trzypiętrowego biurowca w Santa Monica, w którym zatrudniał na stałe ponad pięćdziesięciu wykwalifikowanych pracowników, pięciuset detektywów i strażników na rocznych kontraktach plus grupę dorywczych pracowników, dla których miał zajęcie przez większą część roku.

Agencja Ochrony „Pacyfik” świadczyła usługi ludziom bardzo bogatym i bardzo sławnym. Przy pomocy uzbrojonego personelu i urządzeń elektronicznych ochraniała domy magnatów filmowych. Dostarczała goryli gwiazdom i producentom. Dostarczała umundurowanych strażników do pilnowania tłumów w czasie tak ważnych wydarzeń, jak wręczanie Oscarów. Prowadziła działania prewencyjne, mające na celu zniechęcenie potencjalnych szantażystów.

Andrew Pollard odniósł sukces, ponieważ zwracał uwagę na najdrobniejsze szczegóły. Na trawnikach przed domami swych bogatych klientów umieszczał tabliczki z napisami STRZELAMY BEZ OSTRZEŻENIA, które nocą błyskały na czerwono, ponadto rozstawiał patrole wokół otoczonych murem posiadłości. Starannie dobierał pracowników i płacił im tak, żeby im zależało na utrzymaniu tej pracy. Stać go było na przyzwoite opłacanie swych pracowników. Jego klienci zaliczali się do najbogatszych ludzi w kraju. Andrew Pollard zadbał też o ułożenie sobie dobrych stosunków z policją na wszystkich szczeblach w Los Angeles. Był kolegą po fachu Jima Loseya, legendarnego detektywa, idola szeregowych policjantów. A co najważniejsze, Andrew Pollard współpracował z Rodziną Clericuzich.

Piętnaście lat wcześniej, gdy był jeszcze młodym i niedoświadczonym oficerem policji, wpadł w sidła zastawione przez Wydział Spraw Wewnętrznych Departamentu Policji w Nowym Jorku. Powodem był udział w drobnym szwindlu, którego prawie nie mógł uniknąć. Nie dał się jednak złamać i nikogo nie wydał. Obserwowali to wysłannicy Rodziny Clericuzio, którzy natychmiast pociągnęli za odpowiednie sznurki. Postawiono mu wtedy ultimatum: zrezygnuj z pracy w Departamencie Policji w Nowym Jorku, to unikniesz kary.

Pollard wraz z żoną i dziećmi przeniósł się do Los Angeles, Rodzina zaś dała mu pieniądze na uruchomienie Agencji Ochrony „Pacyfik”. Następnie powiadomiono kogo trzeba, że klientów Pollarda należy omijać z daleka, do ich domów nie wolno się włamywać, nad ich służbą nie wolno się pastwić, ich kosztowności nie wolno kraść, a jeśli się przez pomyłkę ukradło, to należy czym prędzej zwrócić. Dlatego też na błyskających czerwonymi lampkami tabliczkach z napisem STRZELAMY BEZ OSTRZEŻENIA umieszczano nazwę agencji Pollarda.

Sukces Andrew Pollarda zakrawał na cud, gdyż na chronione przez jego firmę posiadłości nigdy nie napadano. Jego ochroniarze pod względem zdyscyplinowania prawie nie ustępowali funkcjonariuszom FBI i dlatego praktycznie nie było żadnych skarg na spartaczenie roboty, napastowanie seksualne lub molestowanie nieletnich, co w tym fachu było nierzadkie. Owszem, zdarzyło się kilka przypadków próby szantażu, kilku ochroniarzy udzieliło sensacyjnych informacji prasie brukowej, ale to były wyjątki. Ogólnie rzecz biorąc,

agencja Pollarda cieszyła się opinią uczciwej i bardzo skutecznej firmy.

Andrew Pollard miał dostęp do danych komputerowych na temat ludzi wszelkiej proweniencji. Nic więc dziwnego, że kiedy Rodzina Clericuzio potrzebowała jakichś informacji, otrzymywała je natychmiast. Pollard zawdzięczał Rodzinie nie tylko dobre zarobki, ale również pomoc fachową. I tak kiedy zdarzała się robota, której nie mógł zlecić swym podwładnym, zwracał się do zachodniego bruglione.

Nie brakowało bowiem cwaniaków, którzy Los Angeles i Hollywood traktowali jak dżunglę, rojącą się od potencjalnych ofiar w rodzaju nieuczciwych kierowników planu, puszczalskich gwiazd filmowych, reżyserów sado-masochistów, producentów pedofilów, którzy dawali się szantażować z obawy, żeby ich brudne sprawy nie wyszły na jaw. Pollard był znany z tego, że załatwiał takie sprawy delikatnie i dyskretnie. Potrafił wynegocjować możliwie najniższy okup i coś takiego zrobić, żeby szantaż już nigdy się nie powtórzył.

Nazajutrz po wręczeniu Nagród Akademii Bobby Bantz wezwał do swego biura Andrew Pollarda.

- Chcę, żebyś zebrał dane o tym całym Bozie Skannecie - zażądał. - A przy okazji sprawdź przeszłość Atheny Aquitane. Podejrzenie mało o niej wiemy. Chcę też, żebyś zawarł z nim układ. Ponieważ przez następne trzy do sześciu miesięcy Athena będzie potrzebna na planie, zmusz go, żeby na ten czas się stąd wyniósł. Zaproponuj mu za to dwadzieścia baniek miesięcznie. Gdyby się targował, możesz dojść nawet do stu.

- A potem niech robi, co chce? - spytał Pollard cicho.

- Potem niech już policja się nim zajmuje - odparł Bantz. - Słuchaj, Andrew. Facet ma wpływową rodzinę, dlatego obchodź się z nim bardzo delikatnie. Gdyby wniósł oskarżenie, zaszkodziłby zarówno filmowi, jak i wytwórni. W grę wchodzi więc tylko układ. A dodatkowo wynajmiemy u ciebie kilku ochroniarzy.

- A jeśli facet na to nie pójdzie? - spytał Pollard.

- To będziesz musiał pilnować jej dzień i noc. Dopóki nie skończymy filmu.

- A może jednak go trochę przycisnąć? - zasugerował Pollard. - W legalny sposób, oczywiście. Ja tylko głośno myślę.

- On ma znajomości - rzekł Bantz. - Policja się z nim cacka jak z dzieckiem. Nawet Jim Losey, kumpel Skippy'ego Deere'a, powiedział, że palcem go nie tknie. Abstrahując od tego, co by ludzie sobie o nas pomyśleli, wytwórnia mogłaby się narazić na proces o zniesławienie. Nie mówię, że należy się z nim obchodzić jak ze śmierdzącym jajem, ale...

Pollard zrozumiał aluzję. Mógł faceta trochę postraszyć, ale miał mu zapłacić, ile zechce.

- Przydałaby się jakaś umowa - powiedział.

Bantz wyjął z szuflady biurka kopertę.

- Niech podpisze się na każdej z trzech kopii. Tutaj masz czek na sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów zaliczki. W umowie jest wolne miejsce na kwotę. Wpiszesz ją, jak już się z nim dogadasz.

Kiedy Pollard wychodził, Bantz rzucił za nim:

- Twoi ludzie dali wczoraj plamę. Spali na stojąco, czy co?

Cały Bantz, pomyślał spokojnie Pollard.

- To byli tylko strażnicy do pilnowania tłumów - wyjaśnił. - Nie martw się. Do obstawy Atheny Aquitane dam najlepszych.

Dwadzieścia cztery godziny później do komputerów Agencji Ochrony „Pacyfik” spłynęły wszystkie dane na temat Boza Skanneta. Trzydzieści cztery lata, absolwent Uniwersytetu Teksasńskiego, grał w obronie w międzyuczelnianej drużynie futbolowej. Po studiach przez jeden sezon grał w futbol zawodowo. Ojciec okazał się właścicielem banku w Houston, ale to nic w porównaniu ze stryjem, który prowadził w Teksasie kampanię polityczną partii republikańskiej i znał dobrze prezydenta. Obrzydliwie bogaty.

Sam Boz Skannet był nietuzinkowym facetem. Jako wiceprezydent w banku ojca ledwo uniknął odpowiedzialności za udział w jakiejś aferze z ropą naftową. Sześć razy aresztowany za czynną napaść. W jednym przypadku pobił dwóch policjantów tak brutalnie, że znaleźli się w szpitalu. Przed sądem nie stanął tylko dlatego, że zapłacił im odszkodowanie. Natomiast był sądzony o napastowanie seksualne. Wcześniej, w wieku dwudziestu jeden lat, ożenił się z Atheną, a w następnym roku został ojcem dziewczynki o imieniu Bethany. Następnie dwudziestoletnia żona Skanneta uciekła z domu i zabrała z sobą córeczkę.

Przeczytawszy te informacje Andrew Pollard wiedział już, z kim ma do czynienia. Ze złym człowiekiem. Z człowiekiem, który przez dziesięć lat chował urazę do swej żony, z człowiekiem, który pobił uzbrojonych policjantów, i to tak, że trafili do szpitala. Szanse, że się takiego postraszy, były zerowe. Zapłać mu, skłoń do podpisania kontraktu i trzymaj się od niego z daleka.

Pollard zatelefonował do Jima Loseya, który z ramienia policji w Los Angeles zajmował się sprawą Skanneta. Pollard szanował Loseya - kiedyś chciał być takim właśnie policjantem. Utrzymywali ze sobą kontakty zawodowe. Agencja Ochrony „Pacyfik” co roku wysyłała Loseyowi prezent na Boże Narodzenie. Teraz Pollard chciał, by Losey mu się zrewanżował.

- Jim, czy możesz mi przysłać dane niejakiego Boza Skanneta? - powiedział do słuchawki. - Potrzebny jest mi jego adres w Los Angeles, no i w ogóle chciałbym się czegoś o nim dowiedzieć.

- Jasne - rzekł Losey. - Ale oskarżenie przeciwko niemu zostało wycofane. Dlaczego się nim interesujesz?

- Mam kogoś przed nim chronić - odparł Pollard. - Czy jest bardzo niebezpieczny?

- Facet jest zdrowo porąbany - stwierdził Losey. - Powiedz swym ochroniarzom, żeby strzelali, jak się tylko zbliży.

- Jasne, a ty mnie za to aresztujesz - roześmiał się Pollard. - Prawo nie pozwala strzelać do porąbanych facetów.

- Fakt - przyznał Losey. - Dlatego musiałbym cię aresztować. Pieprzony kawał, co?

Boz Skannet mieszkał w skromnym hotelu przy Ocean Avenue w Santa Monica, co bardzo zmartwiło Andrew Pollarda, ponieważ było to tylko o piętnaście minut jazdy samochodem od domu Atheny w Malibu Colony. Przykazał pilnować domu Atheny czteroosobowym grupom, a w hotelu umieścił dwóch strażników. Następnie zawiadomił Skanneta, że po południu złoży mu wizytę.

Udał się do niego w asyście swych trzech największych i najsilniejszych ludzi. Nigdy bowiem nie wiadomo, co takiemu strzeli do głowy.

Skannet wpuścił ich do swego pokoju. Był uprzejmy, przywitał się z nimi z uśmiechem, ale nie zaproponował nic do picia. Pollarda nieco zaskoczyło, że nosił krawat, koszulę i marynarkę, jak gdyby dawał do zrozumienia, że przede wszystkim jest urzędnikiem bankowym. Pollard przedstawił siebie i trzech ochroniarzy, którzy pokazali legitymacje Agencji Ochrony „Pacyfik”. Skannet pokiwał głową.

- Niezłe z was byczki. Ale stawiam sto dolców, że w ucziwej walce rozkwasilibym wam pyski.

Dobrze wyszkoleni ochroniarze uśmiechnęli się w odpowiedzi, ale Pollard rozmyślnie się zdenerwował. Wkalkulowana obraza.

- Przyszliśmy tu w interesach, panie Skannet, a nie wysłuchiwać pogrózek - powiedział. - Wytwórnia LoddStone Studios jest skłonna zapłacić panu pięćdziesiąt tysięcy do ręki i po dwadzieścia tysięcy przez kolejne osiem miesięcy, jeśli zgodzi się pan opuścić Los Angeles. - Wyjął z teczki kontrakt i wielki zielono-biały czek.

Skannet zamyślił się.

- Prosta sprawa - powiedział w końcu. - Można ją załatwić bez prawnika. Ale i pieniądze nie są wielkie. Wolałbym sto baniek na początek i po pięćdziesiąt tysięcy

miesięcznie.

- To za dużo - powiedział Pollard. - Mamy sądowy nakaz aresztowania pana, gdyby się pan zbliżył do Atheny Aquitane na odległość stu metrów. Zapewniamy jej ochronę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Moi ludzie będą pana śledzić. Więc te pieniądze są jakby znalezione na ulicy.

- Powinienem być już dawniej przyjechać do Kalifornii - rzekł Skannet. - Skoro takie pieniądze leżą tu na ulicy. A właściwie o co chodzi?

- Wytwórnia LoddStone Studios chce, żeby zostawił pan Athenę Aquitane w spokoju - powiedział Pollard.

- Tak, to wielka gwiazda - zauważył Skannet z rozmarzeniem. - Zawsze była nadzwyczajna. Pomyśleć, że kiedyś pieprzyłem ją pięć razy dziennie. - Mrugnął porozumiewawczo do ochroniarzy Pollarda. - A przy tym miała łeb do interesów.

Pollard spojrział na niego z zainteresowaniem. Facet z wyglądu przypominał przystojnego trapera z reklamy marlboro, z tą tylko różnicą, że był ogorzały i od słońca, i od alkoholu i bardziej krępy. Mówił z wdzięcznym południowym zaśpiewem, który budził w ludziach dreszcz zachwytu pomieszanego ze strachem. W takich facetach z miejsca zakochiwały się wszystkie kobiety. Tak właśnie wyglądali niektórzy policjanci w Nowym Jorku, ci, którzy mieli największe powodzenie. Wysłałeś takiego, żeby porozmawiał z wdową, a on zaraz ją pocieszał. Jak dobrze się nad tym zastanowić, to takim gliną był Jim Losey. Pollardowi nigdy się to nie udało.

- Wróćmy do sprawy - odezwał się Pollard. Chciał, żeby Skannet podpisał kontrakt i wziął czek w obecności świadków. W razie czego LoddStone będzie mogła oskarżyć go o niedotrzymanie umowy.

Skannet usiadł przy stole.

- Ma pan coś do pisania? - spytał.

Pollard wyjął z teczki długopis i wpisał do kontraktu kwotę dwudziestu tysięcy miesięcznie. Nie uszło to uwagi Skanneta, który powiedział wesoło:

- Aaa, czyli mogłem wytargować więcej. - Po czym podpisał trzy kopie. - Kiedy mam wyjechać z Los Angeles?

- Jeszcze dziś - odparł Pollard. - Odwiozę pana na lotnisko.

- Nie trzeba - rzekł Skannet. - Myślę, że pojedę do Las Vegas i postawię tę forszę.

- Będę miał oko na pana - uprzedził go Pollard. Nadszedł czas, żeby trochę gościa postraszyć. - Uprzedzam, że jeśli wróci pan do Los Angeles, aresztuję pana za niedotrzymanie umowy.

Na czerwonej twarzy Skanneta wykwitł uśmiech.

- Fajnie - ucieszył się. - Stanę się sławny jak Athena.

Tego wieczora ludzie Pollarda donieśli, że Boz Skannet opuścił hotel, ale tylko po to, żeby zameldować się w hotelu „Beverly Hills” i że kwotę z czeku przelał na konto w Banku Amerykańskim. Nasuwały się dwa wnioski. Pierwszy, że Skannet miał w Los Angeles znajomości, bo inaczej nie dostałby tak łatwo pokoju w „Beverly Hills”, drugi, że gwizdał na umowę. Pollard zreferował sprawę Bobby’emu Bantzowi i spytał, co ma z tym fantem zrobić. Bantz kazał mu siedzieć cicho, pokazano już bowiem kontrakt Athenie i zapewniono ją, że może bezpiecznie wrócić do pracy. Bantz nie powiedział Pollardowi, że Athena roześmiała się im w twarz.

- Zakwestionuj czek - poradził mu Pollard.

- Nie - odparł Bantz - bo kiedy go zrealizuje, będziemy mogli oskarżyć go o oszustwo, wyłudzenie pieniędzy czy coś w tym guście. Nie chcę, żeby Athena dowiedziała się, że facet jest w mieście.

- Podwoję jej ochronę. Ale jeśli to wariat i jeśli naprawdę chce jej zrobić krzywdę, to w końcu dopnie swego.

- Błefuje - stwierdził Bantz. - Wtedy jej nic nie zrobił, to znaczy, że nie ma takiego zamiaru.

- Nie ma? To posłuchaj - rzekł Pollard. - Zakradliśmy się do jego pokoju. Zgadnij, co znaleźliśmy? Pojemnik z kwasem. Prawdziwym.

- Psiakrew! - zdenerwował się Bantz. - Możesz szepnąć o tym policji? Nadajmy sprawę Jimowi Loseyowi.

- Posiadanie kwasu nie jest przestępstwem - odparł Pollard. - A włamanie tak. Losey może mnie za to zamknąć.

- Słuchaj, ja o niczym nie wiem. Tej rozmowy nie było. Zapomnij o wszystkim.

- Oczywiście, panie Bantz - zgodził się Pollard. - Nawet nie wystawię panu rachunku za tę informację.

- Wielkie dzięki - odrzekł sarkastycznie Bantz. - Odezwij się kiedyś.

Skippy Deere robił odprawę Claudii. Instruował ją, jak zwykle producent instruuje autorkę scenariusza.

- Masz paść Athenie do nóg - mówił. - Masz się przed nią czołgać, masz płakać, masz się załamać nerwowo. Masz przypomnieć jej wszystko, co kiedykolwiek zrobiłaś dla niej jako przyjaciółka i jako koleżanka po fachu. Masz sprawić, żeby Athena wróciła na plan.

Claudia była przyzwyczajona do manier Skippy’ego.

- Dlaczego ja? - spytała spokojnie. - Ty jesteś producentem, Dita reżyserem, a Bantz prezesem LoddStone Studios. To wy się przed nią czołgajcie. Macie w tym więcej wprawy.

- Ten film od początku był twoim pomysłem - odparł Deere. - Napisałaś scenariusz, a potem namówiłaś mnie i namówiłaś Athenę. Jeśli film upadnie, twoje nazwisko stanie się synonimem plajty.

Kiedy Deere odszedł i Claudia została sama w gabinecie, przyznała mu w duchu rację. Zrozpaczona pomyślała o bracie Crossie. Był jedynym człowiekiem na świecie, który mógł jakoś unieszkodliwić tego okropnego Boza. Poczula się niezręcznie, bo Athena nigdy by się nie zgodziła, żeby rozmawiała o jej prywatnych sprawach z osobami trzecimi, ale wiedziała, że brat nie odmówi jej pomocy. Nigdy nie odmawiał.

Zatelefonowała do hotelu-kasyna „Xanadu” w Las Vegas, ale dowiedziała się, że Cross wyjechał do Quogue. To słowo obudziło w niej wspomnienia z dzieciństwa, które usilnie starała się wymazać z pamięci. Nie, do Quogue nie zadzwoni. Nie miała ochoty na kontakty z Rodziną Clericuzio. Nie chciała wracać do wspomnień z dzieciństwa, nie chciała myśleć o ojcu ani nikim z Rodziny.

KSIĘGA DRUGA

Rodzina Clericuzio i Pippi De Lena

Rozdział trzeci

Legenda o okrucieństwie Rodziny Clericuzio zrodziła się ponad wiek temu na Sycylii. Clericuziowie przez dwadzieścia lat toczyli świętą wojnę z inną Rodziną o kawałek lasu. Patriarcha tego drugiego klanu, don Pietro Forlenza, przetrwał osiemdziesiąt pięć lat wojen podjazdowych po to tylko, żeby w końcu dostać wylewu, który według przewidywań lekarza miał ostatecznie położyć kres jego życiu. Kiedy don Pietro Forlenza dogorywał, do jego sypialni wtargnął jeden z członków Rodziny Clericuzio i zadźgał go nożem wrzeszcząc, że stary nie zasłużył na spokojną śmierć.

Don Domenico Clericuzio często przytaczał tę historię, aby pokazać, jacy głupi byli kiedyś ludzie. Zabijanie wszystkich jak leci don uważał za zwykłą brawurę. Okrucieństwo jest zbyt cenną bronią, żeby ją marnować. Owszem, człowiek powinien być okrutny, ale tylko wtedy, kiedy to służy czemuś ważnemu.

Dowodem potwierdzającym słuszność jego nauk był fakt, że właśnie okrucieństwo doprowadziło na Sycylii Rodzinę Clericuzio do upadku. Zaczęło się od tego, że faszyci po objęciu władzy przez Mussoliniego postanowili zniszczyć mafię. I dokonali tego - gwałtem i bezprawiem. Zniszczyli mafię kosztem tysięcy niewinnych ludzi, którzy w wyniku czystki wyładowali w więzieniach lub na wygnaniu.

Przeciw faszystowskim dekretem odważył się zaprotestować czynnie jedynie klan Clericuzio. Zamordowali miejscowego faszystowskiego prefekta, napadli na garnizony wojskowe. Doprowadzili do białej gorączki Mussoliniego, kradnąc mu podczas przemówienia melonik i parasol, które sprowadził sobie specjalnie z Anglii. Po chłopsku burleskowe i pomysłowe akcje ośmieszania Mussoliniego skończyły się jednak dla nich tragicznie. Na Sycylię wysłano wojsko. Pięćset osób z Rodziny Clericuzio zginęło na miejscu. Drugie tyle zesłano na spalone słońcem wyspy, służące za karne kolonie. Z całego klanu Clericuzio przeżył jedynie jego rdzeń. Młodego Domenica wyprawiono do Ameryki. Tam obudziła się w nim krew Clericuziów i zbudował własne imperium, wykazał przy tym jednak więcej sprytu i rozsądku niż sycylijscy przodkowie. Domenico Clericuzio nigdy nie zapomniał, że największym nieszczęściem jest dyktatura. Dlatego tak pokochał Amerykę.

Zaraz na początku usłyszał gdzieś znaną maksymę amerykańskiego sądownictwa mówiącą, że lepiej wypuścić na wolność stu winnych ludzi, niż ukarać jednego niewinnego. To piękne, pomyślał. Wtedy właśnie obudziły się w nim uczucia patriotyczne do Ameryki. To

mój kraj. Zostanę tu na zawsze.

Patriotyzm ten zainspirował go do wybudowania w Ameryce silniejszego imperium Rodziny Clericuzio, niż kiedyś udało się to jego klanowi na Sycylii. Za pomocą drogich prezentów i łapówek pozyskał przychylność wszystkich instytucji administracyjnych i sądowych. Nie polegał na jednym czy dwóch źródłach dochodu, lecz zgodnie z najlepszą amerykańską tradycją robił interesy w różnych dziedzinach. W budownictwie, w składowaniu śmieci, w transporcie. Ale najgłębsza rzeka gotówki płynęła z hazardu, będącego jego wielką miłością, w przeciwieństwie do handlu narkotykami, do którego to źródła dochodów, skądinąd bardzo intratnego, nie miał jakoś przekonania. Zatem w późniejszych latach Rodzina Clericuzio angażowała się czynnie jedynie w hazard. A co do innych interesów, to tylko moczyła w nich dziób, innymi słowy, zadowalała się prowizją w wysokości pięciu procent.

Po dwudziestu pięciu latach plany i marzenia don Domenica zaczęły się urzeczywistniać. Obecnie hazard uchodził za godziwą rozrywkę i, co ważniejsze, wychodził z podziemia. Loterie stanowe, bezczelne oszustwo, którego rząd się dopuszczał w stosunku do obywateli, mnożyły się jak grzyby po deszczu. Wypłatę wygranej rozkładano na dwadzieścia lat, co było równoznaczne z tym, że obywatel nigdy jej nie otrzymywał, a tylko odsetki od przetrzymywanych przez stan pieniędzy. I to opodatkowane. Koń by się uśmieł. Don Domenico dobrze znał te mechanizmy, gdyż sam był właścicielem jednej z firm, prowadzących owe loterie w kilku stanach. Złoty interes.

Ale don Domenico czekał na dzień, w którym zakłady sportowe staną się legalne w całych Stanach Zjednoczonych, nie tylko w Nowadzie. To dopiero będą dochody. Potrafił je ocenić po dziesięcinie, którą ściągał od nielegalnego hazardu. Jeśli zakłady sportowe zostaną zalegalizowane, to przychody z samego tylko superpucharu piłki nożnej osiągną miliard dolarów w jeden dzień. Podobny zysk przyniosą mistrzostwa świata. Zawody sportowe młodzieży akademickiej w piłce nożnej, hokeju, siatkówce - istne rzeki pieniędzy. Nie wspominając już o dodatkowych zakładach z okazji rozmaitych wydarzeń sportowych. Legalne kopalnie złota. Don Domenico wiedział, że on tego nie dożyje, ale co za wspaniała przyszłość czeka jego dzieci! Clericuziowie dorównają renesansowym książętom włoskim. Zostaną cenionymi mecenasami sztuki, doradcami polityków, przywódcami, o których będą pisać w podręcznikach do historii. Ciągący się za nimi złoty tren zatrze ślady pochodzenia ich bogactwa. Ich potomkowie, następcy, przyjaciele będą już zawsze czuć się bezpieczni. Don Domenico widział przyszłą cywilizację, przyszły świat jako drzewo rodzące owoce; drzewo, które zapewni ludzkości strawę i schronienie. A w korzenie tego wspaniałego drzewa był wplątany nieśmiertelny wąż Rodziny Clericuzio, czerpiący pożywienie ze źródła, które

nigdy nie wyschnie.

Jeśli przyjąć, że liczne rodziny mafijne rozrzucone po całych Stanach Zjednoczonych uważały Rodzinę Clericuzio za swój kościół, to don Domenico był jego papieżem, szanowanym nie tylko za inteligencję, lecz również za siłę.

Don Domenica poważano również za surowe zasady moralne, które wpoił Rodzinie Clericuzio. Głosił, że bez względu na okoliczności, nawet najbardziej niesprzyjające, wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci ponoszą całkowitą odpowiedzialność za swe postępowanie. O człowieku bowiem świadczą jego czyny, nie słowa; słowa są jak pierdnięcie na wietrze. Don Domenico gardził socjologią i psychologią. Po katolicku wierzył, że człowiek odpokutuje grzechy i uzyska przebaczenie na tamtym świecie. Ale zaciągnięte długi musi spłacić na tym świecie. Don Domenico miał bardzo rygorystyczne poglądy na życie.

I na lojalność. Na pierwszym miejscu stawiał ludzi, w których żyłach płynęła jego krew, na drugim Boga (miał w domu kaplicę), na trzecim - obowiązki wobec podkomendnych Clericuziów.

Równanie to nie uwzględniało natomiast - mimo wspomnianego patriotyzmu don Clericuzia - ani społeczeństwa, ani rządu. Na Sycylii, gdzie się urodził, społeczeństwo i rząd stały po dwóch stronach barykady. Jego koncepcja wolnej woli była nader prosta. Człowiek ma do wyboru: albo być niewolnikiem i wieść żywot pozbawiony godności i nadziei, albo zdobywać chleb powszedni w sposób budzący powszechny szacunek. Społeczeństwem don Clericuzia była Rodzina, sędzią Bóg, obrońcami podlegli mu ludzie. Jego zadanie polegało na dopilnowaniu, żeby mieli co do ust włożyć i żeby świat ich dobrze traktował.

Nie po to budował swe imperium, żeby jego dzieci i wnuki miały któregoś dnia zasilić szeregi bezwolnych mas. Budował i umacniał imperium po to, by Rodzina i jej bogactwo przetrwały tak długo, jak Kościół katolicki. Zdobywać chleb powszedni na tym świecie i prosić Boga o przebaczenie na tamtym - oto przeznaczenie człowieka. A co do społeczeństwa, to niech je pochłoną fale oceanu. Wraz z jego niewydolnymi instytucjami.

Don Domenico wprowadził Rodzinę do grona najbardziej wpływowych sfer w Ameryce. Aby to osiągnąć, musiał się wykazać okrucieństwem godnym Borgiów, przebiegłością, której nie powstydzilby się sam Machiavelli, a także typowo amerykańską umiejętnością robienia interesów. Ale wszystkim jego działaniom przyświecała patriarchalna miłość do ludzi, którzy mu zawierzyli. Nagradzał ich cnoty. Mścił krzywdy. Zapewniał środki do życia.

W końcu zgodnie z jego planami Rodzina Clericuzio wspięła się tak wysoko, że nie musiała - poza jakimiś wyjątkowymi sytuacjami - dłużej brudzić sobie rąk. Inne rodziny

mafijne miały wprowadzić własnych baronów, czy też brugliones, ale w razie kłopotów zwracali się oni do Rodziny Clericuzio o pomoc. Tu wyjaśnijmy, że po włosku „baron” i „bruglione” się rymują, przy czym w gwarze włoskiej „bruglione” oznacza kogoś, komu się zleca niezbyt skomplikowane zadania. Znudzony ciągłymi prośbami baronów o pomoc don wpadł na pomysł, żeby ich przechrzcить na „bruglionów”. Rodzina Clericuzio godziła inne rodziny mafijne, wyciągała je z więzień, ukrywała ich nielegalne zarobki w Europie, organizowała im przerzut narkotyków do Ameryki, wykorzystując swe wpływy w sądownictwie i rozmaitych urzędach, zarówno stanowych, jak i federalnych. Nie interweniowała tylko u władz lokalnych, wychodząc ze słusznego założenia, że bruglione, który nie potrafi załatwić sobie wpływów we własnym mieście, nie zasługuje na to, by w ogóle zawracać sobie nim głowę.

Władzę Rodziny Clericuzio ugruntował ekonomiczny geniusz najstarszego syna don Domenica, Giorgia. Prał on - niczym jakaś niebiańska pralnia - sterty brudnych pieniędzy, wypływanych przez współczesną cywilizację. To właśnie Giorgio zwykle mitygował ojca. Przede wszystkim zaś starał się, by ich Rodzina nie rzucała się zanadto w oczy. Rodzina Clericuzio była zatem czymś w rodzaju UFO, nawet dla władz. Od czasu do czasu zdarzały się jakieś przecieki, plotki, gadki o jej wielkim okrucieństwie, a zarazem wielkiej dobroci. Do kartotek FBI i policji trafiały wówczas odpowiednie wzmianki. Ale nie do gazet. Gazety milczały jak zakłète, nie wyłączając tych, które normalnie lubiły rozpisywać się o wyczynach Rodzin mafijnych - Rodzin, którym z powodu nadmiernej pewności siebie powinęła się noga.

Nie, żeby Rodzina Clericuzio zamieniła się w bezzębnego tygrysa, co to, to nie. Dwaj młodszy bracia, Vincent i Petie, choć może nie tak bystrzy jak Giorgio, okrucieństwem nie ustępowali ojcu. Do tego dysponowali armią żołnierzy mieszkających w Enklawie Bronxu, która zawsze była włoska. W enklawie tej, liczącej dwadzieścia na dwadzieścia przecznic, można by nakręcić film o dawnych Włoszech. Tutaj nie widywało się brodatych chasydów, Murzynów, Azjatów, artystów; w Enklawie Bronxu interesy prowadzili wyłącznie Włosi. Trudno w to uwierzyć, ale nie znalazłoby się tam ani jednej chińskiej restauracji. Jeśli jakieś nieruchomości w okolicy nie należały do Rodziny Clericuzio, to podlegały jej w jakiś inny sposób. Oczywiście, w niektórych rodzinach młode pokolenie buntowało się, zapuszczało długie włosy i grało na gitarach. Takich wysyłano do krewnych w Kalifornii, a na ich miejsce sprowadzano co roku z Sycylii starannie wybranych imigrantów. Enklawa Bronxu, mimo że otoczona dzielnicami o najwyższych wskaźnikach przestępczości na świecie, była oazą spokoju.

Jak wiadomo, Pippi De Lena z „mera” Enklawy Bronxu awansował na stanowisko

bruglione Las Vegas. Podlegał jednak nadal Rodzinie Clericuzio, która w pewnych sprawach nie mogła się bez niego obejść.

Pippi był *qualificato*, czyli „fachowcem” w pełnym tego słowa znaczeniu. Zaczynał wczesnie, chrzest bojowy przeszedł już w wieku siedemnastu lat, a jego czyn zrobił tym większe wrażenie, że zastosował garotę. Młode pokolenie Włochów w Ameryce ze znanych tylko sobie powodów nie chciało posługiwać się sznurem. Pippi był silny i, jak to się mówi, słusznego wzrostu oraz wagi. Rzecz jasna, doskonale się znał na broni palnej i materiałach wybuchowych. Przy tym był sympatycznym, tryskającym humorem facetem, który swym zachowaniem sprawiał, że ludzie czuli się dobrze w jego towarzystwie. Kobiety traktował z galanterią sycylijskiego chłopca skrzyżowaną z czarem amanta z amerykańskiego filmu. Do swojej pracy podchodził bardzo poważnie, równocześnie jednak wyznawał pogląd, że w życiu należy się dobrze bawić.

Nie był wolny od drobnych słabości. Ostro pił, grał i podrywał. Jeśli nie był tak bezwzględny, jak by sobie tego życzył don Clericuzio, to tylko dlatego, że lubił ludzi. Gdy przychodziło do działania, wszystkie te występki w jakiś dziwny sposób dodawały mu energii. Widać był człowiekiem, na którego nałogi działały jak odtrutka, nie trucizna.

W zrobieniu kariery pomógł mu oczywiście fakt, że był siostrzeńcem don Clericuzia. W Pippim płynęła krew Clericuziów, co miało swoje znaczenie, kiedy złamał tradycję rodzinną.

Nikomu nie udało się przejść przez życie bez popełnienia błędów. Pippi De Lena w wieku dwudziestu ośmiu lat ożenił się z miłości, a na domiar złego wybrał sobie na żonę kobietę zupełnie nieodpowiednią dla „fachowca”.

Nazywała się Nalene Jessup i tańczyła w kabarecie w hotelu „Xanadu”. Pippi zawsze z dumą podkreślał, że nie była zwykłą gurlaską, która w pierwszym rzędzie kręci pupą i potrzasa cyckami, ale tancerką w całym tego słowa znaczeniu. Nalene była także intelektualistką - w każdym razie według standardów Las Vegas. Czytała książki, interesowała się polityką, a z racji tego, że należała do warstwy Amerykanów, którzy pielęgnują tradycje przodków, w tym przypadku osadników brytyjskich i skandynawskich w Sacramento w Kalifornii, hołdowała starym wartościom.

Różnili się diametralnie. Pippi nie miał żadnych zainteresowań tego typu, nie czytał książek, nie słuchał muzyki, na palcach jednej ręki dałoby się policzyć, ile razy w życiu był w kinie lub teatrze. Twarz Pippiego przywodziła na myśl byka, twarz Nalene kojarzyła się z kwiatem. Pippi był ekstrawertykiem, sympatycznym i równocześnie groźnym mężczyzną. Nalene z natury była tak łagodna, że żadnej z koleżanek nie udało się wciągnąć jej w kłótnię,

traktowaną przez tancerki jako rozrywkę.

Pippi i Nalene tak naprawdę połączył taniec. Albowiem kiedy Pippi De Lena, ten siejący postrach „młot” Rodziny Clericuzio, wchodził na parkiet, przeistaczał się w genialnego idiotę. Była w nim poezja, której nie czytał, średniowieczna rycerskość, wielka wrażliwość i wykwinność manier. Dosięgał wtedy czegoś, czego nie był zdolny pojąć.

Nalene Jessup odnosiła wrażenie, że zagląda mu w duszę. Wielogodzinny taniec przed pójściem do łóżka czynił seks czymś eterycznym, prawdziwym porozumieniem dusz. Kiedy tańczyli w jej mieszkaniu lub na dansingach w hotelach w Las Vegas, Pippi dużo z nią rozmawiał.

Zabawiał ją opowiadaniem rozmaitych historyjek, którymi sypał jak z rękawa. Adorował Nalene, schlebując jej w inteligentny sposób. Gdy Nalene zaczynała mówić, składał u jej stóp, niczym niewolnik, fanfaronadę i słuchał. Nalene mówiła o książkach, o teatrze, o obowiązkach państwa wobec ludzi nieprzystosowanych społecznie, o prawach Murzynów, o wyzwoleniu RPA, o misji nakarmienia nieszczęsnego trzeciego świata, a on słuchał z dumą i zainteresowaniem. Był do głębi poruszony jej wrażliwością, która była dla niego czymś bardzo egzotycznym.

Niemalą rolę odegrało to, że pasowali do siebie seksualnie i czuli do siebie silny pociąg. Nie bez znaczenia dla ich miłości był również fakt, że Pippi widział prawdziwą Nalene, ale Nalene nie widziała prawdziwego Pippiego. Widziała tylko mężczyznę, który ją adorował, zarzucał prezentami i wysłuchiwał jej zwierzeń.

Pobrali się po tygodniu znajomości. Nalene miała zaledwie osiemnaście lat i żadnego doświadczenia. Dwudziestoosmioletni Pippi miał i był autentycznie zakochany. Jego też wychowano w szacunku dla staroświeckich wartości, choć, rzecz jasna, krańcowo różnych, i oboje marzyli o założeniu rodziny. Rodzice Nalene już nie żyli, a z ojcem i synami Clericuzio Pippi nie chciał się dzielić swym szczęściem. Podejrzewał zresztą, że nie zrozumieliby jego uczucia dla Nalene. Pomyślał więc, że postawi ich przed faktem dokonanym, a potem wszystko się jakoś ułoży. Wzięli ślub w kaplicy w Las Vegas.

Jednak w tym przypadku błędnie ocenił sytuację. Don Clericuzio przyjął jako rzecz całkiem naturalną, że Pippi się ożenił. Mało to razy mówił, że „podstawowym obowiązkiem człowieka jest zarabianie pieniędzy na życie”? A po co człowiekowi pieniądze, jeśli nie ma żony i dzieci? Szkoda tylko, że Pippi się go nie poradził i że nie wziął ślubu w obecności Rodziny Clericuzio. Tak czy owak był ich krewnym.

„Niech sobie tańczą, aż ich pochłoną fale oceanu”, skomentował złośliwie don wiadomość o ślubie Pippiego, ale wysłał im drogie prezenty. Ogromnego buicka, akt

własności agencji inkasowania należności przynoszącej królewski, jak na tamte czasy, dochód w wysokości stu tysięcy dolarów rocznie. Kopniak w górę. Pippi De Lena został mianowany zachodnim bruglione Rodziny Clericuzio, ale z powodu żony wykluczono go z Enklawy Bronxu. Nie chciano tam Nalene, była obca jak muzułmanie, Murzyni, chasydzi czy zgoła Azjaci (ci ostatni byli wręcz wyjęci spod prawa). W rezultacie Pippi, choć pozostał „młotem” Rodziny Clericuzio i miejscowym baronem, w Quogue miał już niewiele do powiedzenia.

Druzbą na ich skromnej ceremonii ślubnej był Alfred Gronevelt, właściciel hotelu „Xanadu”. Po zaślubinach wydał niewielkie przyjęcie, po którym młoda para tańczyła do białego rana. Między Groneveltem a Pippim De Lena zawiązała się serdeczna przyjaźń.

Pippi i Nalene spłodzili dwoje dzieci - syna i córkę. Starsze dziecko, syn, który na chrzcie otrzymał imię Croccifixio, ale wołano nań Cross, w wieku dziesięciu lat zaczął przejawiać fizyczne podobieństwo do matki, miał bowiem zgrabną sylwetkę i ładną, niemal kobiecą twarz. Równocześnie był silny i sprawny fizycznie jak ojciec. Młodsze dziecko, córka Claudia, odziedziczyła po ojcu pospolite rysy (w wieku dziewięciu lat była bardzo brzydka, tyle że po dziecięcemu świeża i niewinna), ale nie charakter. Po matce miała zamiłowanie do książek, muzyki, teatru, a także wielką wrażliwość. Naturalną rzeczą było, że Cross trzymał z Pippim, a Claudia z Nalene.

W ciągu jedenastu lat, które poprzedziły rozpad rodziny De Lena, wszystko układało się jak najlepiej. Pippi ustalił w Las Vegas swoją pozycję bruglione i inkasenta z ramienia hotelu „Xanadu”, nadal też pełnił funkcję „młota” Rodziny Clericuzio. Stał się bogatym człowiekiem, żył dostatnio, ale zgodnie z dekalogiem don Domenica - nie rzucał się zanadto w oczy. Pił, grał, tańczył z żoną, bawił się z dziećmi i starał się przygotować je do dorosłego życia.

Jego własne, najeżone niebezpieczeństwami życie nauczyło go przewidywania przyszłości. Dzięki temu, między innymi, odniósł sukces. Cross był jeszcze chłopcem, ale Pippi widział w nim już mężczyznę. Chciał, by ten przyszły mężczyzna został jego sprzymierzeńcem. A może po prostu marzył o tym, żeby móc wreszcie komuś zaufać.

Edukację Crossa rozpoczął od wtajemniczenia go w rozmaite sztuczki w grach hazardowych. Zabrał go na kolację z Groneveltem, żeby zapoznał się z tajnikami prowadzenia kasyna. Gronevelt wszystkie swe opowieści zaczynał słowami: „Co noc miliony ludzi przewracają się z boku na bok w łóżku, kombinując, jak puścić mnie z torbami”.

Pippi zabierał Crossa na polowania i uczył go oprawiania zwierzyny. Kazał mu wachać krew, zanurzać w niej dłonie. Wysłał go na treningi bokserskie, by przyzwyczaił się do bólu, pokazał, jak się obchodzić z bronią. Nie nauczył go tylko garoty, którą uznał za

niezbyt praktyczną w tych nowoczesnych czasach. Zresztą, bał się reakcji Nalene.

W górach Newady Rodzina Clericuzio posiadała dom myśliwski, w którym Pippi lubił spędzać wakacje. Zabierał dzieci na polowanie, a Nalene w tym czasie w przytulnym wnętrzu domu oddawała się lekturze. Cross bez trudu zabijał wilki, jelenie, a nawet górskie tygrysy i niedźwiedzie, dowodząc, że jest zdolnym myśliwym, który zręcznie obchodzi się z bronią, a w niebezpieczeństwie nie traci głowy. Nie oponował, kiedy Pippi kazał mu wyciągać zakrwawione wnętrzności i obślizgłe jelita. Oprawianie, ćwiartowanie zwierzyny nie robiło na nim najmniejszego wrażenia.

Claudia nie wykazywała takich cnót. Podskakiwała nerwowo na dźwięk strzału, wymiotowała podczas obdzierania jelenia ze skóry. Rychło przestała uczestniczyć w polowaniach, wolała spędzać czas z matką, czytać lub spacerować do pobliskiego potoku. Nie chciała nawet łowić ryb, bo nie znosiła wbijania metalowego haczyka w miękkiego robaka.

W tej sytuacji Pippi skupił się na synu. Wpajał mu podstawowe reguły życia. Nigdy nie okazuj gniewu i nie opowiadaj o sobie. Szacunek zdobywa się czynami, nie słowami. Szanuj krewnych. Gry hazardowe to rozrywka, nie sposób zarabiania na życie. Kochaj ojca, matkę, siostrę, a z innych kobiet tylko swą żonę. Żoną zaś jest ta kobieta, która urodzi ci dzieci. Kiedy już do tego dojdzie, musisz zrobić wszystko, by zapewnić im chleb powszedni.

Cross był pojętym uczniem i ojciec wprost oszalał na jego punkcie. Podobało mu się, że Cross wyglądem przypomina Nalene, że odziedziczył jej wdzięk, ale bez tych intelektualnych ciągót, które teraz rozkładały ich małżeństwo.

Pippi nie wierzył, że następne pokolenie będzie mogło żyć uczciwie, nie był nawet przekonany, czy byłoby to mądre. Chylił głowę przed geniuszem don Clericuzia, ale to jego marzenie uważał za romantyczną mrzonkę. Zresztą, wszyscy ojcowie pragnęli, aby synowie kontynuowali ich dzieło, byli do nich podobni; bądź co bądź coś takiego jak więź krwi istnieje i będzie zawsze istniała.

Jak się okazało, to Pippi miał rację. Mimo że don Clericuzio wszystko starannie zaplanował, nawet jego wnuka Dantego nie dało się skierować na inny tor. Gdy Dante dorósł, odezwała się w nim sycylijska krew, głód władzy i upór. Nie wzdragał się przed łamaniem praw społecznych i boskich.

Kiedy Cross miał siedem, a Claudia sześć lat, Cross, z natury agresywny, nabrał zwyczaju bicia Claudii w brzuch i często robił to w obecności ojca. Pippi, jako rodzic, mógł zareagować na kilka sposobów. Mógł kazać mu przestać, a gdyby Cross nie usłuchał, mógł złapać syna za kark i unieść do góry jak kociaka, jak zresztą często robił. Mógł powiedzieć Claudii, żeby nauczyła się bronić. Mógł też się zdenerwować i cisnąć Crossem o ścianę, co

raz czy dwa razy miało już miejsce. Jednakże za którymś razem, może dlatego, że właśnie zjadł kolację i nie chciało mu się ruszyć, a może dlatego, że Nalene denerwowała się, gdy stosował przemoc fizyczną wobec dzieci, zapalił spokojnie cygaro i powiedział: „Od dziś Claudia będzie dostawać ode mnie dolara, ilekroć ją uderzysz”. Ponieważ Cross kontynuował boksowanie siostry, na Claudię - ku jej wielkiej radości - spłynął deszcz jednodolarowych banknotów. Sfrustrowany tym Cross zaniechał agresji.

Pippi obsypywał żonę prezentami trochę tak, jak pan nagradza niewolnika za posłuszeństwo. Miały one osłodzić Nalene brak wolności. Były to kosztowne prezenty - pierścionki z brylantami, futra, podróże do Europy. Ponieważ nienawidziła Las Vegas, kupił jej letni dom w Sacramento. Przebrany za szofera sprezentował jej bentleya. Tuż przed rozpadem małżeństwa podarował jej stary pierścionek, posiadający świadectwo przynależności do kolekcji Borgiów. Ograniczał jej tylko korzystanie z kart kredytowych - jeśli już się jakąś posłużyła, musiała spłacić dług z pieniędzy, które jej dawał na domowe wydatki. Sam kart kredytowych nie używał.

Ogólnie rzecz biorąc, był bardzo liberalny. Nalene cieszyła się całkowitą wolnością fizyczną, gdyż Pippi w przeciwieństwie do innych Włochów nie był zazdrosny. Sam podróżował jedynie w interesach, ale nie miał nic przeciwko temu, żeby Nalene wybrała się do Europy z przyjaciółkami. Wiedział, jak marzyła o zobaczeniu muzeów w Londynie, baletu w Paryżu, opery we Włoszech.

Nalene czasem nawet się dziwiła, że Pippi nie jest zazdrosny. Dopiero po latach zrozumiała, że po prostu nikt, kto go znał, nie odważyłby się do niej zalecać.

- Czy oni zamierzają przetańczyć całe życie? - wydziwiał kiedyś don Clericuzio.

Odpowiedź, jak się okazało, brzmiała negatywnie. Nalene nie mogła tańczyć zawodowo, jako że miała - o ironio! - za długie nogi. Była też zbyt poważną kobietą, aby włączyć się z przyjęcia na przyjęcie. Dlatego zdecydowała się na zamążpójście. I przez pierwsze cztery lata była bardzo szczęśliwa. Wychowywała dzieci, studiowała na uniwersytecie stanu Newada i mnóstwo czytała.

Ale Pippiego prędko przestała interesować ochrona środowiska i wcale go nie obchodził los Murzynów, którzy nawet nie potrafili kraść tak, żeby ich nie złapano. Z jego punktu widzenia ich wszystkich - łącznie z rdzennymi Amerykanami, czy jak ich tam nazywano - mogły pochłonąć fale oceanu. Dyskusje o książkach czy muzyce w najmniejszym stopniu go nie pociągały. Szczytem wszystkiego były dla niego poglądy Nalene na sprawę bicia dzieci. Przecież małe dzieci są jak zwierzęta, które tylko rzucaniem o ścianę można zmusić do posłuszeństwa. Poza tym nie wyrządzał im krzywdy.

W rezultacie, w czwartym roku małżeństwa, Pippi zaczął brać sobie kochanki. Miał po jednej w Las Vegas, Los Angeles i w Nowym Jorku. Nalene odbiła to sobie zdobywając dyplom nauczycielski.

Próbowali ratować swój związek. Kochali dzieci i bardzo o nie dbali. Nalene czytała im, śpiewała i tańczyła. Małżeństwo trzymało się dzięki poczuciu humoru Pippiego. Jego żywotność i zwierzęca zgoła radość jakoś odwracała ich uwagę od małżeńskich niedostatków. Dzieci kochały matkę i liczyły się z ojcem - kochały matkę, bo była czuła, delikatna, piękna i pełna matczynej miłości, liczyły się z ojcem, bo był silny.

Oboje rodzice byli wsłaniałymi nauczycielami. Od matki dzieci nauczyły się obycia towarzyskiego, manier, tańca, ubierania się, dbania o siebie. Ojciec nauczył je, jak żyć, jak nie dać się skrzywdzić, jak grać hazardowo, jak ćwiczyć ciało. Dzieci nigdy nie miały pretensji do ojca o to, że traktował je szorstko, głównie dlatego, że robił to, by przywołać je do porządku, a nie, żeby się nad nimi pastwić. Zresztą nigdy się na nie długo nie gniewał.

Cross był nieustraszony, ale dawał się naginać. Claudia nie miała odwagi brata, za to była dość uparta. Na ich charaktery na pewno wpłynął fakt, że nigdy nie zaznali biedy.

W miarę upływu lat Nalene zaczęła zauważać pewne rzeczy. Początkowo drobne. Na przykład, kiedy Pippi uczył dzieci grać w karty - w pokera, oko, tysiąca - najpierw ogrywał je z ich kieszonkowych pieniędzy, a na końcu pozwalał im niespodziewanie wygrać, tak że szły spać syte zwycięstwa. Co ciekawe, mała Claudia o wiele bardziej lubiła grać od Crossa. Później Pippi zaczął pokazywać dzieciom, w jaki sposób je oszukuje. Nalene to bardzo denerwowało, odnosiła wrażenie, że Pippi bawi się ich kosztem. Pippi tłumaczył się, że uczy je życia. Nalene stwierdziła, że uczy nie życia, lecz nieuczciwości. Na co Pippi odparł, że on przygotowuje je do prawdziwego życia, a ona tylko do jego pięknej strony.

Pippi zawsze nosił przy sobie sporo gotówki, co w oczach Nalene (podobnie jak w oczach urzędu skarbowego) było podejrzaną sprawą. Pippi posiadał agencję inkasowania należności, która przynosiła niezłe zyski, ale chyba nie aż tak dobre.

Pewnego razu wyjechali na wakacje na Wschód, gdzie spędzali dużo czasu w towarzystwie Clericuziów. Uwagi Nalene nie uszedł wówczas szacunek, z jakim Rodzina traktowała Pippiego. Gesty, pełne uwagi spojrzenia, długie narady w męskim gronie.

Do tego doszły inne drobiazgi. Pippi przynajmniej raz w miesiącu wyjeżdżał w interesach. Nigdy jej nie mówił, dokąd ani po co jedzie. Posiadał legalne pozwolenie na posiadanie broni, co było zrozumiałe, zważywszy, że miał do czynienia z pieniędzmi. Pilnował, aby żona i dzieci nie mogli się do niej dostać, naboje trzymał w osobnych skrzyneczkach.

Z czasem Pippi więcej wyjeżdżał, a Nalene siedziała w domu z dziećmi. Pippi i Nalene odsunęli się od siebie fizycznie, a ponieważ wyrozumiałość i czułość Pippiego miała źródło w jego pożądaniu, oddalali się od siebie coraz bardziej.

Mężczyzna nie może przez całe życie ukrywać swego prawdziwego oblicza. Nalene już wiedziała, że Pippi myśli tylko o zaspokajaniu swych własnych apetytów, że z natury jest człowiekiem porywczym, choć nie w stosunku do niej. Że tylko udaje szczerego, a naprawdę jest bardzo tajemniczy. Że tylko wydaje się sympatyczny, a naprawdę jest okrutny.

Miał małe bziki, niektóre dość sympatyczne. Lubił, na przykład, żeby dzielić z nim radość. Kiedyś wybrali się ze znajomymi do włoskiej restauracji. Widać jednak ludzi tych tamtejsze jedzenie nie zachwyciło, gdyż jedli bez entuzjazmu. Kiedy Pippi to spostrzegł, z miejsca stracił apetyt i nie skończył swej porcji.

Czasami opowiadał o swej pracy inkasenta. Do jego klientów należały niemal wszystkie ważne hotele w Las Vegas. Od markierów dostawał dane o długach graczy, a następnie przystępował do ich ściągania. Twierdził, że nigdy nie stosuje przemocy, a jedynie perswazję. Spłacanie długów jest sprawą honoru człowieka, każdy ponosi odpowiedzialność za swoje czyny, mówił Pippi. Nie mógł pojąć, że ludzie dobrze sytuowani usiłovali wykręcić się od zobowiązań. Lekarze, prawnicy, szefowie korporacji chętnie korzystali z bezpłatnych usług hotelu, a potem fru! Ale od nich łatwo się odbierało pieniądze. Wystarczyło wejść do gabinetu i narobić krzyku tak, żeby mogli usłyszeć to ich klienci i koledzy po fachu. Nie groziłeś, a tylko wymyślałeś im od łajdaków, degeneratów, którzy są w szponach hazardu i zaniedbują pracę.

Właściciele małych biznesów byli twardsi; te groszorozy na każdym zainwestowanym cencie chciały zarobić dolara. Potem się schytrzyli i zaczęli wystawiać чеки bez pokrycia, a przyciśnięci do muru twierdzili, że zaszła pomyłka. To była ich ulubiona sztuczka. Dawali ci czek na dziesięć tysięcy dolarów, posiadając na koncie tylko osiem. Ale Pippi miał dobry wywiad w bankach, więc po prostu przelewał dwa tysiące na konto gościa, a następnie podejmował całą dziesiątkę. Opowiadając o tym Nalene, zaśmiewał się do łez.

Chodzi nie tyle o to, żeby gość spłacił dług, a o to, żeby dalej grał, tłumaczył Pippi Nalene. Nawet splukany gracz miał dla kasyna wartość. Pracował. Zarabiał. Należało mu przedłużyć termin płatności i namówić, by grał dalej, tyle że już za swoją forszę. Że niby zapłaci dług, kiedy wygra.

Pewnego wieczoru Pippi opowiedział Nalene historyjkę, którą uważał za niebywale zabawną. Był właśnie w swym biurze, które mieściło się w małym centrum handlowym nieopodal hotelu „Xanadu”, kiedy z ulicy dobiegł go odgłos strzelaniny. Wybiegł i zobaczył,

że ze sklepu jubilerskiego obok ucieka dwóch zamaskowanych, uzbrojonych facetów. Niewiele myśląc, wyciągnął pistolet i wystrzelił. Złodzieje jednak zdążyli dać nurka do czekającego samochodu i odjechali. Kilka minut później zjawiała się policja i po przesłuchaniu świadków aresztowała jego. Miał pozwolenie na posiadanie pistoletu, ale strzelając z niego, popełnił przestępstwo określane jako „lekkomyślne obchodzenie się z bronią”. Alfred Gronevelt przyszedł na policję i zapłacił za niego kaucję.

- Co też mi przyszło do głowy? - zastanawiał się głośno Pippi. - Alfred mówi, że mam duszę myśliwego. Naprawdę, nie potrafię siebie zrozumieć. Ja miałbym strzelać do złodziei? Stawać w obronie społeczeństwa? Do tego jeszcze mnie przymknęli. Mnie.

Ale ta dziwna szczerłość była do pewnego stopnia chytrym posunięciem ze strony Pippiego, obliczonym na zmylenie czujności Nalene. Zdecydowała się na rozwód dopiero, gdy Pippi De Lena został aresztowany pod zarzutem morderstwa.

Danny Fuberta był właścicielem biura podróży w Nowym Jorku, kupionego za forszę, którą zarobił na lichwiarstwie, będąc pod ochroną nie istniejącej już Rodziny Santadio. Ale głównym źródłem jego zarobków było „naganianie”.

„Naganiacz” podpisywał umowę z dyrektorem dowolnego hotelu w Las Vegas, że będzie mu regularnie dostarczał wakacyjnych graczy. Danny Fuberta raz w miesiącu werbował w przybliżeniu dwustu klientów na wycieczkę do hotelu „Xanadu”. Za tysiąc dolarów zapewniał im przelot wycarterowanym boeingiem 747 z Nowego Jorku do Las Vegas i z powrotem, jedzenie i napoje podczas lotu, zakwaterowanie w „Xanadu” z jedzeniem i napojami. Fuberta miał zawsze długie listy oczekujących, a klientów wybierał starannie. Musieli wykonywać dobrze płatną, choć niekoniecznie legalną pracę, i lubić spędzać w kasynie najmniej cztery godziny dziennie. Dobrze też, żeby nie mieli oporów przed zaciągnięciem kredytu.

Najcenniejszym kapitałem Fuberta były jego znajomości - z różnymi oszustami, rabusiami banków, sprzedawcami narkotyków, szmuglerami papierosów, kombinatorami z firm odzieżowych i innymi mętami, zbijającymi szmal w kloakach Nowego Jorku. Ci byli najlepszymi klientami. Cokolwiek o tym sądzić, prowadzili nerwowe życie i potrzebowali się czasem zrelaksować. Zarabiali kupę forsy na czarno, w gotówce, i kochali hazard.

Za każdy taki samolot z dwustoma klientami dostarczonymi do „Xanadu” Danny Fuberta otrzymywał równe dwadzieścia tysięcy dolarów. Jeśli jego klienci przegrali więcej niż inni, dostawał premię. Przy czym stanowiło to zaledwie dodatek do okrągłej sumki w postaci miesięcznej pensji. Niestety, sam Fuberta był nałogowym graczem. Niekiedy przegrywał w „Xanadu” więcej, niż zarobił.

Ale że miał łeb nie od parady, wymyślił, jak sobie z tym poradzić. Do obowiązków naganiacza należało między innymi udzielanie gwarancji za klientów, którzy prosili kasyno o kredyt.

Fuberta zwerbował bandę rabusiów specjalizujących się w napadach na banki i wraz z nimi opracował plan wyłudzenia ośmiuset tysięcy dolarów z hotelu „Xanadu”.

Wyposażył rabusiów w fałszywe zaświadczenia, że są właścicielami firm odzieżowych i obracają dużymi sumami. Szczegółowe dane miały znajdować się w jego kartotece. Podpisawszy im upoważnienie do otwarcia w „Xanadu” kredytu na dwieście tysięcy baniek, wsadził ich do swego samolotu.

- Och, ci to sobie nie żalowali - opowiadał potem Gronevelt.

Podczas dwudniowego pobytu w „Xanadu” Fuberta i jego banda nabili astronomiczne sumy na rachunku hotelowym. Zaprosili na przykład na kolację wszystkie tancerki z kabaretu i obdarowali je drogimi prezentami, które wzięli na kredyt w hotelowym sklepie z upominkami. Ale to był dopiero wstęp.

Wzięli z klatki czarne sztony i podpisali rachunek. Następnie podzielili się na dwa zespoły i zaczęli grać w kości. Pierwszy obstawiał numery parzyste, drugi nieparzyste. W ten sposób mogli albo trochę przegrać, albo wygrać tyle, ile akurat było na stole. Z boku wyglądało, że grają zapamiętane, ale tak naprawdę to tylko bili pianę. Zrobili wielką pokazówkę, doskonale wczuwając się w swoją rolę - zaklinali kości, rwali włosy z głowy, kiedy przegrywali, skakali pod sufit z radości, kiedy wygrali. Pod koniec dnia oddali żetony Fubertowi, żeby zamienił je na gotówkę, sami zaś udali się po nowy kredyt. Kiedy cała ta komedia skończyła się dwa dni później, rabusie nacięli kasyno na osiemset tysięcy dolarów, nie mówiąc o dwudziestu tysiącach na rachunku hotelu. Ich dług w klatce kasyna wynosił milion.

Danny Fuberta, jako mózg całego przedsięwzięcia, wziął sobie czterysta baniek. Rabusie nie protestowali, tym bardziej że obiecał im następną taką akcję. Co mogło być lepszego od długiego weekendu spędzonego w ekskluzywnym hotelu z darmowym żarciem, gorzałą i pięknymi ciziami? Nie mówiąc o stu bańkach kieszonkowego. Żadnego porównania z napadem na bank, w którym ryzykowało się życie.

Gronevelt odkrył oszustwo już następnego dnia. Raport wykazał ogromny dług po stronie klientów Fuberty. Równocześnie pieniądze, które zostały w kasynie po ostatniej nocy, stanowiły zbyt małą sumę w stosunku do tego, ile postawiono. Gronevelt zażądał taśmy z kamery filmującej, co się dzieje na sali. Wystarczyło mu kilka minut, żeby pojąć, na czym polegała akcja. I że weksle na milion dolarów nadawały się na makulaturę, bo faceci byli

podstawieni.

Gronevelt wściekł się. W swej karierze nieraz dał się oszukać, ale nigdy tak głupio. Pomyśleć, że lubił Danny'ego Fubertę. Prawda, że dzięki niemu zarobił mnóstwo pieniędzy. Domyślał się, co tamten powie - że też został oszukany, że sam padł ofiarą tych czterech.

Gronevelt nie mógł pogodzić się z brakiem kompetencji swego personelu. Markier powinien się połapać, co jest grane, a już na pewno krupier przy stole do gry w kości powinien zorientować się, że faceci obstawiają parzyste i nieparzyste. Przecież to nie był żaden chytry chwyt. Ale ludzie żyjący w dobrobycie tracili czujność i pod tym względem Las Vegas nie należało do wyjątków. Pomyślał z żalem, że musi wyrzucić markiera i krupiera. No, może przeniesie ich do ruletki. Ale Fubercie nie popuści. Powiadomi o wszystkim Rodzinę Clericuzio.

Zaczął od tego, że wezwał do hotelu Pippiego De Lena i pokazał mu raporty oraz film z „podniebnego oka”. Pippi znał Fubertę, ale tych czterech typów widział pierwszy raz w życiu. Wobec tego Gronevelt kazał zrobić zdjęcia z klitek filmu.

- Jak, do diabła, Danny mógł dać się tak nabrać? - spytał Pippi, kręcąc głową z niedowierzaniem. - Miałem go za inteligentnego naganiacza.

- To gracz, a tacy wierzą, że Opatrzność im sprzyja - odparł Gronevelt i umilkł na chwilę. - Danny będzie przysięgał, że nie ma z tym nic wspólnego. Nie zapominajmy jednak, że za nich zaręczył. Wiem, powie, że go nabrali. Ale naganiacz sprawdza, czy ludzie, których przywozi, są tymi, za których się podają. Czyli, że musiał wiedzieć.

Pippi uśmiechnął się i poklepał Gronevelta po ramieniu.

- Nie martw się, mnie nie nabierze.

Roześmiali się. Nieważne, czy Fuberta był winny. Popułnił błąd i musiał ponieść konsekwencje.

Nazajutrz Pippi poleciał do Nowego Jorku, aby przedstawić sprawę w Quogue.

Minąwszy dobrze strzeżoną bramę wjazdową, jechał długą wybrukowaną drogą, która przecinała długi, porośnięty trawą płaskowyż, ogrodzony wysokim murem z drutem kolczastym i czujnikami elektronicznymi. W drzwiach willi stał strażnik. W czasach pokoju!

Giorgio go przywitał i poprowadził przez dom do ogrodu z drugiej strony. W ogrodzie rosły pomidory, ogórki, sałata, a nawet melony, a na jego skraju figowce o dużych liściach. Don nie widział sensu w hodowaniu kwiatów.

W tym pachnącym figami ogrodzie Rodzina spożywała południowy posiłek przy okrągłym drewnianym stole. Don, który tryskał zdrowiem mimo swych siedemdziesięciu lat, popijał wino. Karmił przy tym dziesięcioletniego wnuka Dantego, który był ładnym, lecz

bardzo niezdolnym chłopcem. Pippiego zawsze swędziała ręka, żeby wlepić mu klapsa. Don jednak dawał się urabiać wnukowi jak plasteliną; teraz ocierał mu brodę i szeptał coś czule. Vincent i Petie mieli skwaszone miny. Nikt się nie odzywał. Czekali, aż mały skończy jeść i Rose Marie, jego matka, będzie mogła go zabrać. Don Domenico odprowadził malca czułym spojrzeniem. Dopiero wtedy zwrócił się ku Pippiemu.

- O, mój martello - powiedział. - I co powiesz o tym draniu Fubercie? Dajemy mu zarobić, ale jemu to nie wystarcza.

- Gdyby spłacił dług, mógłby być dla nas dalej przydatny - rzekł pojednawczo Giorgio. Użył takiego argumentu, licząc, że skłoni ojca do okazania łaskawości.

- Suma jest całkiem spora - zauważył don. - Pytanie, czy da się ją odzyskać. Co sądzisz o tym, Pippi?

Pippi wzruszył ramionami.

- Mogę spróbować. Ale w tym przypadku nie mamy do czynienia z ludźmi, którzy odkładają na czarną godzinę.

Vincent, który był człowiekiem konkretnym, powiedział:

- Pokaż zdjęcia.

Pippi rozłożył fotografie na stole. Vincent i Petie obejrżeli je w skupieniu.

- Znamy ich - stwierdził Vincent.

- Świetnie - ucieszył się Pippi. - W takim razie proponuję, żebyście się nimi zajęli.

Teraz, co zrobić z Fubertą?

Głos zabrał don:

- Obrazili nas. A kim oni są? Jakimiś pętakami. Nie poskarżą się policji. Vincent i Petie, pomożecie Pippiemu. Chcę odzyskać te pieniądze i chcę, aby tych mascalzoni spotkała zasłużona kara.

Zrozumieli: Pippi obejmuje kierownictwo. Na kolesiów Fuberty zapadł wyrok śmierci. Don wstał i udał się na spacer po swym ogrodzie. Po jego odejściu Giorgio westchnął.

- Staruszek jest za twardy na te czasy. To gra niewarta świeczki.

- Jeśli Petie zajmie się tymi czterema łbami, ryzyko będzie znikome - stwierdził Pippi.

- To ci odpowiada, Vince?

- Giorgio, porozmawiaj jeszcze z ojcem - zwrócił się do brata Vincent. - Ci czterej na pewno są goli. Musimy się z nimi dogadać. Zarobią, zapłacą, to puścimy ich wolno. Jeśli ich pogrzebiemy, forsy w życiu nie zobaczymy.

Vincent był realistą. Żądza krwi nie zaślepiła go tak, żeby nie dostrzegał praktyczniejszych rozwiązań.

- Dobra, spróbuję mu to sprzedać - zgodził się Giorgio. - Bądź co bądź, byli tylko pomagierami. Ale Fubercie nie popuści.

- Trzeba się rozejrzeć za innym naganiaczem - stwierdził Pippi.

- Jakiej premii się spodziewasz, kuzynie? - spytał go Giorgio z uśmiechem.

Pippi nienawidził, kiedy Giorgio zwracał się do niego w ten sposób. Vincent i Petie nazywali go „kuzynem” przez sympatię, Giorgio robił to tylko przy negocjacjach.

- Rozprawienie się z Fubertą w zasadzie należy do mych obowiązków - stwierdził Pippi. - Jestem inkasentem, dostaję pensję z „Xanadu”. Jednakże odebranie tej forsy to trudne zadanie i dlatego sędzę, że coś mi się ekstra należy. Tak samo jak Vince’owi i Petiemu za tamte łby.

- W porządku - odparł Giorgio. - Ale to nie jest zwykle odebranie długu. Nie możesz liczyć na pięćdziesiąt procent.

- Oczywiście, że nie - zgodził się Pippi. - Pozwólcie mi tylko umoczyć dziób.

Roześmiali się, słysząc to stare sycylijskie powiedzonko.

Petie powiedział:

- Nie bądź skąpy, Giorgio. Nie chcesz chyba oszwabić mnie i Vincenta.

Petie dowodził teraz Enklawą Bronxu. Był szefem „wymuszaczy” i zawsze głosił, że „cyngle” powinni dostawać więcej forsy. Postanowił, że podzieli się swym udziałem z ludźmi.

- Aleście zachłanni - zauważył Giorgio z uśmiechem. - Proponuję dwadzieścia procent dla staruszka. - Pippi wiedział, że Giorgio zejdzie do piętnastu lub dziesięciu procent. Zawsze tak robił.

- A gdyby tak po równo? - Vince zaproponował Pippiemu. Miał na myśli, żeby podzielili między siebie całą odzyskaną forszę, nieważne, kto tego dokona. Był to z jego strony miły gest. O wiele bardziej prawdopodobne było odzyskanie pieniędzy od ludzi, którym pisane było żyć, niż od tych, którzy mieli gryźć ziemię. Vincent cenił Pippięgo.

- Zgoda, Vince - odparł Pippi. - To mi odpowiada.

W drugim końcu ogrodu don spacerował, trzymając Dantego za rękę. Pippi usłyszał głos Giorgia:

- To niesłychane, jak przypadli sobie do gustu. Ze mną ojciec nie spędzał tyle czasu. Cały czas coś do siebie szepczą. Ale to dobrze. Dzieciak się dużo nauczy.

W tej chwili chłopiec uniósł głowę i spojrzał na dziadka. Patrzyli na siebie tak, jak gdyby właśnie posiadli tajemnicę, która pozwoli im zapanować nad Niebem i Ziemią. W przyszłości Pippi pomyśli, że to, co wtedy podejrzwał, zemściło się na nim, obróciło się w jego

nieszczęście.

Pippi De Lena latami pracował na swą reputację. Nie był furiatem, działał planowo i metodycznie. Podchodził do sprawy psychologicznie. Z Dannym Fubertą wiązały się trzy trudności. Po pierwsze, musiał ściągnąć z niego forszę. Po drugie, operację tę powinien skoordynować z działaniami Vincenta i Petiego Clericuziów. (To właściwie było łatwe. Vincent i Petie wykonywali swą robotę sprawnie. Dwa dni wystarczą im do wytropienia „łbów”, zmuszenia ich do mówienia i ustalenia, w jaki sposób oddadzą dług.) Po trzecie, musiał zabić Danny'ego Fubertę.

Wymyślił, że wpadnie na niego niby przypadkiem, uda, że strasznie się cieszy z tego spotkania, i zaprosi go do chińskiej restauracji w East Side. Fuberta oczywiście wiedział, co wiąże Pippiego z „Xanadu”, w końcu pracowali u tego samego człowieka, ale ponieważ Pippi sprawiał wrażenie szczerze uradowanego ich przypadkowym spotkaniem w Nowym Jorku, nie mógł się wymówić od zjedzenia z nim lunchu.

Pippi nie spieszył się. Odczekał, aż kelner przyjmie od nich zamówienie, po czym powiedział:

- Gronevelt powiadomił mnie o oszustwie. Pamiętasz, że odpowiadasz za facetów, którzy dostają u nas kredyt.

Fuberta przysiągł, że jest niewinny.

- Nie czaruj, Danny. - Tu Pippi uśmiechnął się od ucha do ucha i po przyjacielsku poklepał go w ramię. - Gronevelt ma to wszystko na filmie. Zresztą twoi kumple puścili farbę. Znalazłeś się w trudnej sytuacji, ale wyciągnę cię z niej, jeśli oddasz szmal. Może nawet uda mi się załatwić, że nadal będziesz naszym naganiaczem. - Na potwierdzenie swych słów wyjął cztery fotografie. - To twoi kumple - powiedział. - Wsypali cię. Wszystko zwalili na ciebie. Powiedzieli nam, jak się podzieliliście. Oddaj więc swoje czterysta paczek, a będziesz czysty.

- Tak, znam tych gości - stwierdził spokojnie Fuberta. - Ale to twardziele. Nikt z nich nic nie wyciągnie.

- Nawet Clericuziowie?

- O, kurde - jęknął Danny. - Clericuziowie? Nie wiedziałem, że mają udziały w hotelu.

- To teraz już wiesz - odparł Pippi. - Lepiej oddaj tę forszę.

- Pójdę już.

- Co ty? - zdziwił się Pippi. - Ta kaczka po pekińsku jest pyszna. Słuchaj, wszystko da się zatuszować, to nic trudnego. Każdy od czasu do czasu próbuje zrobić jakiś przekręt, no nie? Oddaj forszę i będzie po krzyku.

- Nie mam - odparł Fuberta.

Pierwszy raz Pippi nie potrafił ukryć irytacji.

- Okaż trochę szacunku, chłopie - powiedział. - Oddaj stówę, a na trzysta wystawisz weksel.

Fuberta żuł w milczeniu smażoną kluskę.

- Mogę dać pięćdziesiąt - powiedział w końcu.

- Dobra, może być pięćdziesiąt - zgodził się Pippi. - Resztę spłacisz z pensji naganiacza. To ci odpowiada?

- Chyba tak - odparł Fuberta.

- A teraz przestań już martwić się tą forszą i rozkoszuj się żarciem - rzekł Pippi. Zawinał kawałek kaczki w naleśnik, posmarował go czarnym słodkim sosem i podał Fubercie. - Pychota, Danny. Wcinaj. Potem wrócimy do interesów.

Na deser zjedli krem czekoladowy. Umówili się, że Pippi zgłosi się po forszę do biura podróży Fuberty już po jego zamknięciu. Rachunek za obiad zapłacił Pippi gotówką.

- Zauważyłeś, Danny - rzekł - że w chińskich restauracjach dają do kremu czekoladowego mnóstwo kakao? I to w najlepszym gatunku. Wiesz, jak to tłumaczyć? Otóż do przepisu, który dostała pierwsza chińska restauracja w Ameryce, musiał wkraść się błąd i tak już zostało. Mniam mniam. Co za krem!

Danny Fuberta nie przeżyłby jednak czterdziestu ośmiu niezbyt chlubnych lat życia, gdyby był frajerem. Po rozstaniu z Pippim natychmiast zszedł do podziemia, zostawiając wiadomość, że musi zdobyć pieniądze, które jest winien hotelowi „Xanadu”. Pippiego wcale to nie zaskoczyło. Fuberta zachował się jak każdy człowiek w podobnej sytuacji. Schował się w bezpiecznym miejscu, żeby móc negocjować. A to oznaczało, że rzeczywiście nie miał forsy. Jeśli Vincent i Petie nic nie wycisną z „łbów”, można się pożegnać z premią.

Pippi rozesłał po mieście ludzi z Enklawy Bronxu. Poszła wiadomość, że Rodzina Clericuzio poszukuje Danny'ego Fuberty. Minał tydzień. Pippi był coraz bardziej wkurzony. Że też nie przewidział, jak Fuberta zareaguje na żądanie zwrotu pieniędzy. Domyślił się, że pięćdziesiąt tysięcy, nawet gdyby je miał, nie załatwi sprawy.

Minał następny tydzień. Pippi był już tak zniecierpliwiony, że kiedy dostał wiadomość, na którą czekał, zapomniał o elementarnych zasadach zachowania ostrożności.

Danny Fuberta wypłynął w knajpie w Upper West Side. Właściciel, żołnierz Rodziny Clericuzio, natychmiast zatelefonował, gdzie trzeba. Pippi przybył w momencie, gdy Fuberta już wychodził, i na widok Pippiego wyciągnął pistolet. Fuberta był oszustem, nie żołnierzem. Strzelił i oczywiście spudłował. Pippi władował w niego pięć kul.

Źle się stało. Po pierwsze, byli świadkowie. Po drugie, zanim Pippi zdążył się zmyć, przybył policyjny samochód patrolowy. Po trzecie, Pippi nie zaplanował tej strzelaniny; zamierzał zabrać Fubertę w jakieś inne miejsce. Po czwarte, Pippi nie mógł zważyć wszystkiego na obronę własną, bo świadkowie stwierdzili, że to on strzelił pierwszy. Sprawdziło się stare porzekadło, że najgorzej być niewinnym. Na domiar złego Pippi, przygotowując się do przyjacielskiej pogawędki z Fubertą, założył tłumik.

Dobrze jeszcze, że zachował się, jak należało w tej sytuacji. Nie próbował się ratować strzelaniną i ucieczką, od razu się poddał. Clericuziowie wyznawali żelazną zasadę: pod żadnym pozorem nie wolno strzelać do przedstawiciela prawa. Pippi nie strzelał. Rzucił pistolet na chodnik i kopnął go daleko od siebie. Dał się aresztować i zaprzeczył kategorycznie, że znał człowieka, którego trup leżał nieopodal.

W przeszłości rozważali teoretycznie różne przypadki i zastanawiali się, jak w danej sytuacji postąpić. Żeby nie wiadomo, jakie środki ostrożności przedsięwziąć, zawsze mogło zdarzyć się coś nieprzewidzianego. Pippi poczuł, że wir pecha wciąga go w czarną otchłań, ale wiedział, że jeśli zachowa spokój, to Rodzina Clericuzio go wyłowi i przyholuje na brzeg.

Przed wszystkim mieli doskonałych prawników, którzy mogli załatwić mu zwolnienie za kaucją. Poza tym potrafili przekonać sędziów i prokuratorów, że działał w obronie własnej; wystarczy, że świadków zawiedzie pamięć, a „pozytywnie nastawiona” ława przysięgłych na wszelki wypadek go nie skaże. Żołnierz Rodziny Clericuzio nie musiał ratować się strzelaniną i ucieczką jak byle pęta.

Jednakże pierwszy raz w swej długiej służbie dla Rodziny Clericuzio Pippi De Lena musiał stanąć przed sądem. A zwykła w takich przypadkach strategia wymagała, by na procesie wystąpiła jego żona i dzieci. Chodziło o uświadomienie sędziom przysięgłym, których serca musiały stwardnieć w obliczu prawdy, że od ich decyzji zależy los niewinnej rodziny. Na szczęście istniała instytucja tak zwanej „umotywowanej wątpliwości”, pozwalająca zdjętym litością sędziom przysięgłym wybrnąć z trudnej sytuacji.

Podczas procesu policjanci zeznali, że ani nie widzieli pistoletu w ręku Pippiego, ani tego, jak go rzucił na ziemię i kopnął. Trzech świadków nie było w stanie zidentyfikować oskarżonego, a dwóch innych zrobiło to z gorliwością, która wzbudziła nieufność przysięgłych i sędziego. Żołnierz Rodziny Clericuzio, będący właścicielem restauracji, zeznał, że wybiegł za Dannym Fubertą, ponieważ ten nie zapłacił rachunku, i widział strzelaninę, i że tym, który strzelał, z całą pewnością nie był oskarżony Pippi De Lena.

Na pistolecie nie było odcisków Pippiego, bo nosił rękawiczki. Obrona przedstawiła zaświadczenie lekarskie, że Pippi De Lena cierpi na sporadyczne, tajemnicze i nieuleczalne

wykwity skórne i dlatego zalecono mu noszenie rękawiczek.

Na wszelki wypadek przekupiono jednego przysięgłego. Bądź co bądź Pippi był wykonawcą Rodziny. Ale ten środek ostrożności, do którego uciekano się tylko w ostateczności, okazał się zupełnie zbędny. Pippi został uwolniony od zarzucanego mu czynu. W oczach sądu był niewinny.

Ale nie w oczach żony. Pół roku po procesie Nalene oświadczyła Pippiemu, że chce się z nim rozwieść.

Ludzie żyjący w wielkim napięciu płacą za to chorobami. Zużywają się ich różne organy. Za dużo jedzą i piją, co nadwęża wątrobę i serce. Źle śpią, nic ich nie cieszy, nikomu nie ufają. Cierpieli na to oboje, Nalene i Pippi. Nalene nie chciała dzielić z Pippim łóżka, Pippi nie mógł darować Nalene, że nie śmieje się z jego dowcipów. Nalene nie potrafiła pogodzić się z faktem, że jej mąż jest mordercą. On z kolei czuł wielką ulgę, że nie musi już przed nią udawać kogoś innego.

- Dobra - zgodził się - ale dzieci zostaną ze mną.

- Wiem już, kim jesteś - odparła Nalene. - Nie chcę z tobą mieszkać i nie chcę, żeby dzieci z tobą mieszkały.

To zaskoczyło Pippię. Po raz pierwszy Nalene mu się postawiła. Wywaliła kawę na ławę. Zaskoczyło go, że odważyła się rozmawiać z nim w ten sposób. Ale kobiety nie grzeszą rozsądkiem. Zastanowił się nad swą sytuacją. Nie miał odpowiednich warunków do wychowywania dzieci. Cross skończył jedenaście lat, Claudia dziesięć i było jasne, że - choć Cross był z nim bardzo zżyty - oboje wybiorą matkę.

Pippi chciał być w porządku wobec Nalene. Jakkolwiek na to patrzeć, dała mu wszystko, czego chciał - rodzinę, dzieci, sens życia potrzebny każdemu człowiekowi. Kto wie, co by się z nim stało, gdyby nie ona?

- Bądźmy rozsądni - powiedział. - Rozstańmy się w pokoju. - Roztoczył swój czar: - Do diabła, Nalene, przeżyliśmy razem dwanaście lat. Zdarzały się nam dobre chwile. A dzięki tobie mamy dwoje cudownych dzieci. - Przerwał zaskoczony jej srogą miną. - Daj spokój, jestem dobrym ojcem, w każdym razie dzieci na mnie nie narzekają. We wszystkim ci pomogę. Nie mam nic przeciwko temu, żebyś zatrzymała nasz dom w Vegas. Załatwię ci jeden ze sklepów w hotelu. Suknie, biżuteria, antyki. Możesz zarobić dwieście paczek na rok. Umówimy się, po ile będziemy łożyć na dzieci.

- Nienawidzę Las Vegas - powiedziała Nalene. - Mam dyplom nauczycielki i posadę w Sacramento. Zapisałam już dzieci do tamtejszej szkoły.

W tym momencie Pippi pojął - z niejakim zaskoczeniem - że Nalene jest mu wroga, a

tym samym niebezpieczna. Była to dla niego nowość. Dotąd żadnej ze znanych mu kobiet nie przysłoby do głowy żywić do niego takich uczuć. Żonie, kochance, ciotce, przyjaciółce żony ani nawet córce don Clericuzia, Rose Marie. Dotąd żył w świecie, w którym nie musiał się obawiać kobiet. Nagle zakipiała w nim wściekłość, którą zwykle czuł tylko w stosunku do mężczyzn.

- Ani mi się śni jeździć do Sacramento, żeby się widywać z dziećmiakami - wycodził przez zęby. Zawsze był zły, kiedy ludzie nie ulegali jego czarowi, nie przyjmowali wyciągniętej do nich ręki. Każdy, kto się tak zachowywał, prosił się o kłopoty. Kiedy Pippi raz zdecydował się na konfrontację, oznaczało to koniec. Zaskoczyło go też, że żona zdążyła już zrobić plany na przyszłość.

- Wiesz już, kim jestem, więc lepiej uważaj - powiedział. - Proszę bardzo, wynieś się do Sacramento. Jeśli o mnie chodzi, to mogą cię pochłonąć fale oceanu. Ale weźmiesz z sobą tylko jedno dziecko. Jedno zostanie ze mną.

Nalene spojrzała na niego zimno.

- O tym zadecyduje sąd - odparowała. - Niech twój adwokat zwróci się do mojego. - Na widok jego zdumionej miny, niemal parsknęła śmiechem.

- Znalazłaś sobie adwokata? - spytał z niedowierzaniem Pippi. - Chcesz mnie włóczyć po sądach? - Wybuchnął śmiechem. Śmiał się tak, jak gdyby nie mógł przestać. Histerycznie.

Nalene patrzyła zdumiona, jak mężczyzna, który przez dwanaście lat zabiegał o jej miłość, pieścił jej ciało, szukał w jej ramionach zapomnienia o świecie, zmienia się we wściekłą bestię. Nagle zrozumiała, czemu w Quogue odnosili się do niego z takim respektem, dlaczego się go bali. Jego czar już na nią nie działał. Dziwne, Nalene była nie tyle przestraszona, co urażona, że nic nie zostało z jego miłości. Bądź co bądź dwanaście lat obejmowali się, śmiali się, tańczyli, wychowywali dzieci i tak się jej odwdzięczał za to szczęście, które mu bezinteresownie dała.

W końcu Pippi się uspokoił.

- Mam gdzieś, co postanowiłaś - stwierdził. - Mam gdzieś sąd. Jeśli będziesz zachowywała się rozsądnie, to możesz liczyć na moją przychylność. Stawianiem się niczego nie uzyskasz.

Pierwszy raz poczuła odrazę do jego silnego ciała, które niegdyś kochała, do dużych, ciężkich dłoni, nieregularnych, grubych rysów, które uważała za bardzo męskie, choć dla innych były po prostu brzydkie. Pippi przez całe małżeństwo zachowywał się bardziej jak zalotnik niż mąż, nigdy nie podnosił na nią głosu, nie żartował sobie jej kosztem, nie gniewał się, kiedy wydała za dużo pieniędzy. I był dobrym ojcem; łajał dzieci tylko wtedy, kiedy, jego

zdaniem, nie okazywały jej należytego szacunku.

Zrobiło jej się słabo, ale twarz Pippiego, rzeźbiony, obramowana jakimś dziwnym cieniem, nabrała większej wyrazistości. Policzki sprawiały wrażenie wywatowanych, dołek w brodzie wydawał się wypełniony grudką czarnego kitu. Siwizna znaczyła tu i ówdzie grube brwi, ale włosy na masywnej czaszce były czarne i sztywne niczym końskie włosie. Oczy, zwykle takie błyszczące, zmatowiały.

- Myślałam, że mnie kochasz! - zawołała Nalene. - Jak możesz mi grozić? - Rozpłakała się.

To go rozbroiło.

- Więc słuchaj tylko mnie, a nie adwokata - powiedział łagodnie. - Załóżmy, że wygrasz w tym sądzie. Ale to nie znaczy, że oddam ci dzieci. Nalene, nie zmuszaj mnie, żebym obszedł się z tobą ostro. Rozumiem, że nie chcesz mieszkać ze mną pod jednym dachem. I tak miałem szczęście, że trwało to tyle lat. Chcę, żeby ci było dobrze. Dostaniesz ode mnie więcej, niż przyzna ci jakikolwiek sąd. Ale ja się starzeję i nie chcę zostać bez rodziny.

Ten jedyny raz w życiu Nalene nie mogła darować sobie drobnej złośliwości.

- Przecież masz rodzinę - zauważyła. - Rodzinę Clericuzio.

- I chwała Bogu - odparł Pippi. - Chodzi mi jednak o to, że nie chcę zostać na starość sam.

- To zdarza się wielu mężczyznom - rzekła Nalene. - I kobietom.

- Bo są bierni - odparował Pippi. - Pozwalają, by obcy decydowali o ich losie. Żeby wykreślili ich z życia. Ja na to nikomu nie dam zgody.

- Sam wykreślisz ich z życia, prawda? - spytała złośliwie Nalene.

- Prawda - odparł Pippi. Uśmiechnął się do niej z góry. - Ażebys wiedziała.

- Będiesz mógł dzieci odwiedzać, kiedy tylko zechcesz - przyrzekła Nalene. - Ale muszą mieszkać ze mną.

Na te słowa Pippi odwrócił się do niej tyłem i powiedział cicho:

- Rób, jak uważasz.

- Pippi, poczekaj.

Odwrócił głowę. Na jego twarzy malowała się ślepa zawziętość.

- Jeśli któreś zechce mieszkać z tobą, nie będę się sprzeciwiała - zapewniła.

Pippi nagle poweselał, jak gdyby problem został już rozwiązany.

- Wspaniale - stwierdził. - Jedno dziecko będzie odwiedzać ciebie w Sacramento, drugie mnie w Vegas. Wspaniale. Załatwmy to jeszcze dziś wieczorem.

Nalene zdobyła się jeszcze na jeden wysiłek.

- Czterdziestka to nie starość - powiedziała. - Możesz jeszcze założyć rodzinę.

Pippi pokręcił głową.

- Ani mi się śni - odparł. - Jesteś jedyną kobietą, która się dla mnie liczyła. Ożeniłem się późno i wiem, że drugi raz tego nie zrobię. Na twoje szczęście rozumiem, że nie mógłbym cię zatrzymać, a na swoje, że nie moglibyśmy zacząć od nowa.

- To prawda - zgodziła się Nalene. - Nie potrafiłabym cię drugi raz pokochać.

- Za to ja potrafiłbym cię zabić - uśmiechnął się Pippi. Jak gdyby żartował.

Nalene spojrzała mu w oczy i zrozumiała, dlaczego ludzie się go bali. Wykrzesła z siebie resztkę odwagi.

- Ale pamiętaj, jeśli nie zechcą z tobą zamieszkać, nie będziesz ich zmuszać.

- Kochają swego tatusia - stwierdził Pippi. - Na pewno nie zechcą go opuścić.

Tego wieczora po kolacji w domu, w którym klimatyzacja utrzymywała miły chłód, podczas gdy na zewnątrz panował pustynny upał, jedenastoletni Cross i dziesięcioletnia Claudia zostali zapoznani z sytuacją. Nie wydawali się zaskoczeni. Cross, po matce przystojny, po ojcu twardy, rozważny i nieustraszony, oświadczył bez zastanowienia:

- Zostanę z mamą.

Claudia wystraszyła się, że musi wybierać. Z chytryością małego dziecka powiedziała:

- Chcę być z Crossem.

Pippi poczuł ogromny zawód. Cross był z nim zżyty bardziej niż z Nalene. Razem polowali, grali w karty, w golfa, boksowali się. Cross nie podzielał obsesji matki książkami i muzyką. Przychodził do niego, kiedy Pippi w soboty ślęczał w biurze nad papierami. Pippi bardzo na niego liczył. Wiązał z nim duże nadzieje.

Rozbawiła go natomiast odpowiedź Claudii. Mała spryziuka. Ale dziewczynka była podobna do niego, a on nie miał ochoty oglądać codziennie jej brzydkiej buzi. Logika podsuwała, że Claudia odejdzie z matką. Claudia podzielała jej zamiłowania. Co on miałby z nią robić, do diabła?

Pippi popatrzył badawczo na dzieci. Właściwie powinien być z nich dumny. Wybrali matkę, bo wiedzieli, że ją łatwiej będzie urabiać. Nalene ze swym teatralnym instynktem dobrze się przygotowała do tej sceny. Czarne spodnie, czarny sweter, cienka czarna przepaska na złotych włosach. Błada owalna twarz. Pippi był świadom, jakie wrażenie robi na dzieciach jego brutalny wygląd.

Włączył swój czar.

- Proszę tylko, żebyście dotrzyмали mi towarzystwa - zawołał wesóło. - Nie bronię

wam się widywać. Prawda, Nalene? Chcecie zostawić ojca samego w Vegas?

Dzieci miały poważne miny. Pippi zwrócił się do Nalene:

- Musisz mi pomóc. Sama dokonaj wyboru - powiedział, a pomyślał ze złością: Dlaczego, psiakrew, tak się tym przejmuję?

- Obiecałeś, że nie będziesz się sprzeciwiał, jeśli dzieci zechcą iść ze mną - przypomniała mu Nalene.

- Przedyskutujmy jeszcze tę sprawę - zaproponował Pippi. Nie czuł się zraniony, wiedział, że dzieci go kochają. To naturalne, że bardziej lgnęły do matki. Nie musiały jednak jej wybrać.

Nalene powiedziała pogardliwie:

- O czym tu dyskutować? Obiecałeś.

Pippi nie wiedział, że wygląda jak upiór. Nie wiedział, że jego oczy stały się zimne. Myślał, że panuje nad głosem, myślał, że mówi rozsądnie.

- Musisz dokonać wyboru. Obiecałem, że w ostateczności pogodzę się z losem. Ale najpierw dajcie mi szansę.

Nalene pokręciła głową.

- Jesteś śmieszny. Odwołamy się do sądu.

W tym momencie Pippi podjął decyzję.

- Dobra - powiedział. - Niech będzie, jak chcesz. Ale przemyśl to jeszcze. Pomyśl o naszym wspólnym życiu. Pomyśl, kim jesteście i kim ja jestem. Błagam cię, bądź rozsądna. Pomyśl o naszej przyszłości. Cross jest podobny do mnie, Claudia do ciebie. Crossowi będzie lepiej ze mną, Claudii z tobą. Uwierz mi. - Przerwał na chwilę. - Czy nie wystarczy ci świadomość, że kochają cię bardziej niż mnie? Że za tobą będą bardziej tęskniły niż za mną? - Ostatnie zdanie zawisło w powietrzu. Nie chciał, by dzieci zrozumiały, o czym on mówi.

Ale Nalene rozumiała. Wystraszona przyciągnęła Claudię do siebie. Claudia spojrzała błagalnie na brata i powiedziała:

- Cross...

Cross miał niewzruszoną piękną twarz. Poruszał się z gracją.

- Zostanę z tobą, tato - powiedział stając przy ojcu, a Pippi z wdzięczności wziął go za rękę.

- Będziesz mnie odwiedzał, ilekroć przyjdzie ci na to ochota. Będziesz miał w Sacramento swój pokój. Nikt nie będzie w nim mieszkał - powiedziała przez łzy Nalene. Chcąc nie chcąc, poczuła się zdradzona.

Pippi promieniował radością. Spadł mu z serca wielki ciężar. Zadowolony, że nie

będzie musiał zrobić tego, co postanowił, zaproponował:

- Uczcijmy to. Rozchodzimy się, ale to znaczy tylko tyle, że zamiast jednej szczęśliwej rodziny będą dwie. Dwie szczęśliwe rodziny. - A widząc, że nie dzielają jego entuzjazmu, dodał: - Dlaczego, do diabła, miałyby się nam nie udać?

Claudia odwiedzała brata i ojca w Vegas tylko przez pierwsze dwa lata. Cross jeździł co roku odwiedzić matkę i siostrę, ale gdy skończył piętnaście lat, jego wizyty w Sacramento zaczęły ograniczać się wyłącznie do świąt Bożego Narodzenia.

Rodzice byli dwoma różnymi biegunami w ich życiu. Claudia i matka jeszcze bardziej się do siebie upodobniły. Claudia dzieliła jej pasje, lubiła szkołę, książki, teatr, filmy. Nalene dostrzegła w niej optymizm Pippiego, jego urok osobisty. Podobała jej się prostota Claudii, nie mająca nic wspólnego z brutalnością Pippiego. Dobrze im było razem.

Po skończeniu studiów Claudia postanowiła przenieść się do Los Angeles i spróbować szczęścia w branży filmowej. Nalene myślała z przykrością o rozstaniu z córką, ale sama zdomowiała się już w Sacramento, nawiązała miłe znajomości, była wicedyrektorką jednej z prywatnych szkół średnich.

Cross i Pippi też stanowili szczęśliwą rodzinę, ale jakże inną. Dla Pippiego liczyły się fakty. Cross był czołowym lekkoatletą w liceum, ale miernym uczniem. Nie wybierał się na studia. A mimo że był wyjątkowo przystojny, nie uganiał się za dziewczętami.

Crossowi odpowiadało życie z ojcem. W gruncie rzeczy dobrze się złożyło. Stało się tak, jak przewidywał Pippi, zostali dwiema szczęśliwymi rodzinami. Osobnymi. Pippi okazał się takim ojcem dla Crossa, jak Nalene matką dla Claudii - ukształtował syna na swoje podobieństwo.

Crossowi odpowiadała praca w „Xanadu”, manipulowanie klientami, polowanie na oszustów. Tancerkami z kabaretu interesował się tyle, ile trzeba (Pippi uważał, że za mało, ale to dlatego, że mierzył syna własną miarą). Pippi postanowił, że Cross zostanie członkiem Rodziny. Jego dewizą były słowa don Clericuzia: „Najważniejszą rzeczą w życiu jest zarobić na swe utrzymanie”.

Na początek Pippi uczynił Crossa współnikiem w agencji inkasowania należności. Wziął go do „Xanadu” na kolację z Groneveltem. Tak pokierował rozmową, że Gronevelt zainteresował się przyszłością chłopaka i zaangażował go do gry w golfa z klientami „Xanadu”. Obsadzał go zawsze w parze z klientem. Siedemnastoletni Cross cieszył się opinią golfowego asa, a im wyższe były zakłady, tym lepiej rozgrywał dany dołek. Cross i jego partner zwykle zwyciężali. Pippi z godnością znosił te porażki. Kosztowały go wprawdzie mnóstwo forsy, ale zjednywały przychylność syna.

Zabierał Crossa do Nowego Jorku na spotkania towarzyskie z Rodziną Clericuzio - zwłaszcza na święto Czwartego Lipca, które obchodzili nader uroczyście, wyznaczając na ten dzień wszystkie śluby i pogrzeby. Cross był ich kuzynem w pierwszej linii, w jego żyłach płynęła krew don Clericuzia.

Raz w tygodniu Pippi robił obchód stolików w kasynie, by przy pomocy rozdających wygrać swoją pensję w wysokości ośmiu tysięcy dolarów. Cross towarzyszył mu i obserwował. Pippi nauczył go zasad wszystkich rodzajów gier. Poinstruował, co ma robić z wygraną forszą, powiedział, żeby nie grał, jeśli nie czuje się dobrze, żeby jednego dnia nie grał więcej niż dwie godziny, żeby nie grał częściej niż trzy razy w tygodniu, żeby nie stawiał dużych sum, jeśli ma pechowy dzień, a jeśli dzień jest dla niego szczęśliwy, to niech tak czy owak zachowa umiar.

Pippi nie widział nic niewłaściwego w tym, że zapoznaje syna z brzydką stroną życia. Cross, będąc jego współnikiem w agencji inkasowania należności, musiał wiedzieć pewne rzeczy. Albowiem odbieranie długów nie zawsze odbywało się tak spokojnie, jak opowiadał kiedyś żonie.

Cross spełniał funkcję inkasenta bez obrzydzenia. Młody i ładny nie wzbudzał strachu, ale jego krzepa robiła wrażenie.

Raz Pippi, chcąc sprawdzić syna, wysłał go ze szczególnie trudną misją, ale taką, w której wolno mu było użyć wyłącznie perswazji, nie siły. Wysłanie Crossa było z jego strony znakiem dla dłużnika, że nie zamierza go naciskać, ale spodziewa się z jego strony okazania dobrej woli. Dłużnik, bruglione niewielkiej rodziny mafijnej działającej w północnym zakątku Kalifornii, był winien „Xanadu” sto baniek. Zbyt mało, żeby prosić o interwencję Rodzinę Clericuzio; sprawę można było załatwić na niskim szczeblu, w rękawiczkach, nie pięścią.

Cross zastał mafijnego barona w złym humorze. Facet ten, niejaki Falco, wysłuchał mowy Crossa, po czym wyciągnął pistolet i przystawił mu go do gardła.

- Jeszcze jedno słowo, a przetrzele ci twoje zaszrane migdały - warknął.

Cross, ku swemu zaskoczeniu, wcale się go nie przestraszył.

- Niech będzie pięćdziesiąt baniek - powiedział. - Zastrzelisz mnie z powodu głupich pięćdziesięciu baniek? Mój ojciec nie byłby tym zachwycony.

- Kto to taki? - spytał Falco, nie opuszczając pistoletu.

- Pippi De Lena - wyjaśnił Cross. - Sam mnie zastrzelił za to, że się zgodziłem na pięćdziesiąt baniek.

Falco zachichotał i odłożył pistolet.

- Okej, powiedz mu, że zapłacę przy następnej wizycie w Vegas.

- Jak przyjedziesz, zgłoś się do mnie. Załatwię ci darmowe zakwaterowanie.

Falco naturalnie wiedział, kim jest Pippi De Lena, ale powstrzymał go spokój na twarzy Crossa. Ani cienia strachu, spokojna odpowiedź, żart. To wszystko zapachniało mu kimś, kto miał nie byle jakich przyjaciół. Cross natomiast obiecał sobie, że od tej chwili będzie chodził z gorylem i nosił broń.

Dla uczczenia jego odwagi Pippi zafundował synowi i sobie krótkie wakacje w „Xanadu”. Gronevelt przydzielił im dwa ładne apartamenty, a Crossowi ofiarował woreczek czarnych sztonów.

W tym czasie Gronevelt liczył już osiemdziesiąt lat. Był biały jak gołębek, ale wciąż pełen energii, szczupły. On też miał pedagogiczne zapędy. Uwielbiał pouczać Crossa. Wręczając mu sakiewkę czarnych sztonów, powiedział:

- Nie wygrasz, więc i tak do mnie wrócą. A teraz posłuchaj uważnie. Mój hotel oferuje inne rozrywki. Pole golfowe, na które przyjeżdżają gracze aż z Japonii. Mamy wyśmienitą restaurację i wspaniałe koncerty z udziałem największych gwiazd filmu i estrady. Mamy korty tenisowe i baseny. Możesz się przelecieć samolotem nad Wielkim Kanionem. Wszystko za darmo. Nie musisz przegrać pięciu tysięcy, które są w tej torbie. Po prostu nie graj.

Podczas tamtych trzydniowych wakacji Cross zastosował się do rady Gronevelta. Ranki spędzał na polu golfowym z Groneveltem, ojcem oraz przebywającym w „Xanadu” pewnym twardym hazardzistą. Stawki były wysokie, ale nie niebotycznie. Gronevelt zauważył z aprobatą, że Cross grał najlepiej, kiedy ustalono najwyższe stawki.

- Chłopak ma stalowe nerwy - powiedział Pippiemu.

Najbardziej jednak podobało mu się, że dzieciak jest rozsądny, inteligentny i wcale nie trzeba mu mówić, co ma robić. Ostatniego ranka ich japoński partner był bardzo posepny, a miał ku temu poważne powody. Wprawny, zagorzały gracz, cholernie bogaty właściciel sieci porno-klubów przegrał w nocy prawie pół miliona dolarów. Nie martwił się straconymi pieniędzmi, ale tym, że zamiast odejść w odpowiedniej chwili od stolika, uparł się, że przełamie złą passę. Popełnił błąd nieopierzonych graczy. Tego rana na propozycję Gronevelta, żeby przyjąć średnią stawkę w wysokości pięćdziesięciu dolarów za dołek, rzekł drwiąco:

- Po tym, jak mnie wczoraj oskubałeś, możesz chyba zapłacić tysiąc dolarów.

Gronevelt poczuł się urażony. Poranną grę w golfa traktował towarzysko i łączenie jej z interesami w hotelu było wyrazem złych manier. Ale odparł ze zwykłą uprzejmością:

- Proszę bardzo. Oddam ci nawet mojego partnera. Zagram z Crossem.

Zagrali. Magnatowi od porno-klubów szło całkiem dobrze. Pippiemu także. Groneveltowi też. Jedynie Cross zawodził. Nigdy dotąd się nie zdarzyło, żeby grał tak źle, jak tego ranka. Jego piłki leciały krzywo, lądowały na piasku, a jedna utonęła w jeziorcu (którego urządzenie na pustyni w Nowadzie kosztowało majątek); kierując piłkę do dołka denerwował się i przestrzelał. Magnat od porno-klubów, wzbogaciwszy się o pięć tysięcy dolarów, poczuł się podniesiony na duchu do tego stopnia, że chciał zjeść z nimi śniadanie.

- Przepraszam, że pana zawiodłem - powiedział Cross do Gronevelta.

Gronevelt popatrzył na niego ponuro i odparł:

- Pewnego dnia, jeśli twój ojciec się zgodzi, zaproponuję ci pracę.

Przez te wszystkie lata Cross obserwował bacznie przyjaźń ojca z Groneveltem. Raz w tygodniu jadali razem kolację. Cross zauważył, że Pippi miał dla Gronevelta większy respekt niż dla członków Rodziny Clericuzio. Z kolei Gronevelt traktował go bez strachu i przyznawał mu wszelkie przywileje z wyjątkiem Willi. Uwagi Crossa nie mogły oczywiście ująć cotygodniowe wygrane Pippiego w wysokości ośmiu tysięcy dolarów. Złożywszy jedno do drugiego, domyślił się: Alfred Gronevelt był współnikiem Rodziny Clericuzio.

Gdy Cross zauważył, że Gronevelt darzy go specjalnymi względami, zaczął traktować go z większym szacunkiem. Jak w przypadku tych czarnych sztonów. Do tego dochodziły inne łaski. Cross posiadał wstęp wolny do „Xanadu” - dla siebie i swych przyjaciół. Za maturę dostał od Gronevelta kabriolet. Kiedy skończył siedemnaście lat, Gronevelt osobiście przedstawił go tancerkom z kabaretu, żeby mu ułatwić wejście za kulisy. Cross przez te wszystkie lata widział, że Gronevelt często zapraszał kobiety na kolację do swego apartamentu na górze, a z tego, co mówiły o nim tancerki, wynikało, że był bardzo przez nie lubiany. Nie angażował się w długie romanse, ale swe wybranki obdarzał takimi prezentami, że nie miały powodów do narzekań. Każda z dziewczyn, której udało się cieszyć jego względami przez miesiąc, wychodziła z tej przygody bardzo bogata.

W czasie jednej z lekcji, gdy Gronevelt zapoznawał go z tajnikami prowadzenia hotelu-kasyna, Cross zadał mu pytanie, w jaki sposób traktuje kobiety, które u niego pracują.

Gronevelt uśmiechnął się.

- Tancerki pozostawiam kierownikowi kabaretu. Inne traktuję na równi z mężczyznami. Jeśli jednak prosisz mnie o radę w sprawach bardziej intymnych, powiem ci, że powinieneś wystrzegać się dwóch rodzajów kobiet. Pierwszy, a zarazem najbardziej niebezpieczny, to kobiety solidarne z powodu odtrącenia. Drugi to kobiety przewyższające cię ambicją. Nie myśl jednak, że jestem bez serca, po prostu uważam, że kobiety nie powinny być celem życia. Cieszę się, że najbardziej ze wszystkiego na świecie kochałem „Xanadu”. Jeśli

czegoś żałuję, to tylko tego, że nie mam dzieci.

- Moim zdaniem, wiódł pan bardzo szczęśliwe życie - stwierdził Cross.

- Tak sądzisz? - spytał Gronevelt. - Płacę za nie.

W Quogue kobiety z Rodziny Clericuzio wprost nie mogły nazachwycać się Crossem. W wieku dwudziestu lat był on w pełnym rozkwicie męskości - przystojny, zgrabny, silny i, jak na młody wiek, zaskakująco wytworny. Ze złośliwą szczerością sycylijskich chłopów mówiono, że urodę, dzięki Bogu, odziedziczył po matce, nie po ojcu.

W Wielką Niedzielę, kiedy w gronie ponad stu krewnych świętowano Zmartwychwstanie Chrystusa, Cross dzięki Dantemu odnalazł brakujący fragment łamigłówki o swym ojcu. Oto w otoczonym murem rozległym ogrodzie posiadłości Clericuziów pewna śliczna dziewczyna przyjmowała liczne hołdy zebranych tam młodzieńców. Ale kiedy Pippi, który podszedł do bufetu nałożyć sobie na talerz pieczonej kiełbasy, coś do nich zagadnął, dziewczyna ostentacyjnie odwróciła się do niego plecami. Crossa zatkało. Pippi na ogół podobał się kobietom, rozbierał je swym wyglądem, wesołością, dowcipem.

Dante też widział tę scenę.

- Piękna dziewczyna - zauważył z uśmiechem. - Chodźmy się z nią przywitać... Lilu, przedstawiam ci naszego kuzyna, Crossa - dokonał prezentacji.

Lila liczyła tyle lat co oni, ale nie była jeszcze w pełni rozwiniętą kobietą - cechowała ją ciut niedoskonała uroda wieku dorastania. Włosy Lili miały kolor miodu, skóra błyszcząca, jakby była nawilżana od środka, a sweterek z białej angory podkreślał jej złotawą karnację. Wargi dziewczyny były niewinne, nie do końca uformowane. Cross się natychmiast w niej zakochał.

Kiedy jednak spróbował nawiązać rozmowę, Lila zajęła miejsce wśród matron po drugiej stronie stołu, traktując go jak powietrze.

- Chyba się jej nie spodobałem - mruknął zmieszany.

Na twarzy Dantego zakwitł złośliwy uśmieszek.

Dante był bardzo energicznym młodzieńcem o przebiegłej, lisiej twarzy. Miał sztywne, czarne włosy swych przodków, na których nosił zabawny toczonek z renesansowych obrazów. Nie wyrósł, liczył zaledwie metr sześćdziesiąt wzrostu, ale bynajmniej nie odbierało mu to pewności siebie, gdyż wiedział, że jest ulubieńcem don Clericuzia. Był bardzo złośliwy.

- Lila nosi nazwisko Anacosta - wyjaśnił.

Cross znał je. Przed rokiem Rodzina Anacosta przeżyła wielką tragedię. W pokoju

hotelowym w Miami zastrzelono głowę Rodziny Anacosta i najstarszego syna. Dante patrzył na Crossa wyczekująco.

- I co z tego? - spytał Cross.

- Pracujesz u swego ojca, prawda? - upewnił się Dante.

- Tak - potwierdził Cross.

- I chciałbyś poderwać Lilę? - zdziwił się Dante. - Ty chyba masz nierówno pod sufitem. - Roześmiał się.

Cross nic z tego nie rozumiał, ale bał się spytać. Milczał. Dante jednak drażył dalej.

- Nie wiesz, czym się zajmuje twój stary? - spytał.

- Ściąganiem forsy - odparł Cross.

Dante pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Czyżbyś nie wiedział, że twój stary likwiduje niewygodnych ludzi? Jest „młotem” numer jeden Rodziny Clericuzio.

Cross odniósł wrażenie, że oto dmuchnął jakiś wiatr i rozwiął mgłę, w której żył dotąd. Nagle wszystko stało się jasne. Zachowanie matki, respekt, z jakim traktowali ojca znajomi i Clericuziowie, jego zagadkowe zniknięcia na całe tygodnie, broń, którą stale nosił przy sobie, cienkie aluzje, których on, Cross, nie chwycił. Ojciec był oskarżony o morderstwo. Zapomniał o tym wszystkim tamtego wieczora, kiedy ojciec wziął go za rękę. Nagle wezbrała w nim wielka czułość, pomyślał, że musi stanąć po jego stronie, zwłaszcza teraz, kiedy Pippi został przed nim niejako obnażony.

Ale nade wszystko ogarnął go gniew na Dantego, że miał czelność powiedzieć mu prawdę.

- Ja o tym nie wiem. Ty też o tym nie wiesz. Nikt o tym nie wie - powiedział. Mało brakowało, żeby dodał: „I radzę ci, odpieprz się od niego, głupku”, ale się tylko uśmiechnął i spytał: - Skąd wytrzasnąłeś ten idiotyczny berecik?

Virginio Ballazzo, urodzony klaun, organizował tradycyjną zabawę dla dzieci, polegającą na wyszukiwaniu w ogrodzie czekoladowych jaj. Zebrał wokół siebie zaróżowione z przejęcia dzieciaki, w świątecznych ubrankach podobne do słodkich kwiatuszków - twarzyczki w kształcie płatków, cera jak skorupki jajek, kapelusiki z różowymi wstążkami - i z głośnym całusem wręczył każdemu słomiany koszyczek. Potem krzyknął: „Start!” i dzieciaki rozbiegły się po ogrodzie.

Na niego też miło było popatrzeć; garnitury kupował w Londynie, buty we Włoszech, koszule we Francji, a włosy strzygł na Manhattanie u mistrza o imieniu Michelangelo. Życie, które było dla niego wyjątkowo szczodre, pobłogosławiło go śliczną córką.

Lucille lub, jak kto woli, Ceil miała osiemnaście lat i tego dnia grała rolę jego asystentki. Mężczyźni na jej widok z zachwytem cicho pogwizdywali. Ubrana była w szorty i białą koszulową bluzkę. Cerę miała śniadą, ale jakby z domieszką gęstej śmietany. Czarne włosy upięła w koronę. Z racji urody, doskonałego zdrowia i pogody ducha mogła pretendować do roli młodej królowej.

Zerkając kątem oka na Crossa i Dantego doszła do wniosku, że się pokłócili. Cross zagryzał wargi, jak gdyby przeżył przykrość.

Podeszła do nich i zagadnęła, wyciągając przed siebie koszyczek:

- Czy któryś z was miałby ochotę poszukać jajek?

Patrzyli na nią oszołomieni z zachwytem. Skóra dziewczyny złociła się w popołudniowym świetle, w oczach igrały ogniki. Biała bluzka uwypuklała się kusząco, a zarazem niewinnie; szorty ukazywały krągłe, mlecznobiałe uda.

W tej chwili jakaś dziewczynka zapiszczała przeraźliwie. Spojrzeli w jej kierunku. Okazało się, że znalazła olbrzymie jajo, jajo wielkości kuli do gry w kręgle, pomalowane na czerwono i niebiesko. Wytrzeszczając oczy ze zdumienia, usiłowała włożyć je do koszyczka, ale miała z tym niejakie trudności. Tak się zmagала, że przekrzywił jej się śliczny biały kapelusik. Nagle jajo pękło i wyfrunął z niego mały ptaszek. Dziewczynka przelękła się nie na żarty.

Petie podbiegł, żeby ją uspokoić. To był jeden z jego dowcipów. Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Mała doprowadziła do porządku kapelusik, po czym krzyknęła cienkim głosikiem: „Ach, ty, nabrałeś mnie!” i uderzyła kucającego przed nią Petiego w twarz. Goście pokładali się ze śmiechu, patrząc jak dziewczynka ucieka, a on biegnie za nią, przepraszając. W końcu ją dogonił i wziął na ręce. Dał jej wysadzone kamieniami jajko wielkanocne na złotym łańcuszku. Dziewczynka prezent przyjęła i cmoknęła go w policzek.

Ceil ujęła Crossa za rękę, by poprowadzić go na kort tenisowy, położony w odległości stu metrów od willi. Skierowali się ku ławce schowanej pod wiatą.

Dante patrzył za nimi z zazdrością. Czuł się wzgardzony, a zarazem dumny, że ma tak przystojnego kuzyna. Ze zdziwieniem stwierdził, że trzyma koszyk, wzruszył więc ramionami i przyłączył się do zabawy.

Kiedy usiedli, Ceil ujęła twarz Crossa w dłonie i zaczęła całować go w usta. Delikatnie, ledwo muskając wargami. Odsunęła się jednak, gdy Cross wsunął rękę pod jej bluzkę.

- O tym, żeby cię pocałować, marzyłam od czasu, kiedy miałam dziesięć lat - wyznała

z promiennym uśmiechem. - Dziś się wreszcie zdecydowałam.

Podniecony jej pocałunkami Cross spytał cicho:

- Dlaczego?

- Dlatego, że jesteś piękny, idealny - wyjaśniła Ceil. - W taki dzień jak dziś wszystko musi się udać. - Wzięła go za rękę. - Prawda, że mamy wspaniałą rodzinę? - spytała. A po chwili zadała jeszcze jedno pytanie: - Właściwie dlaczego zostałeś z ojcem?

- Rodzice tak się umówili - odparł Cross.

- Przed chwilą pokłóciłeś się z Dantem, prawda? To bałwan.

- Bałwan to za dużo powiedziane. Po prostu trochę się wygłupiał. To kawalarz jak wuj Petie.

- Nie lubię Dantego - stwierdziła Ceil i znowu go pocałowała. Nie wypuszczała jego dłoni. - Wiesz, mój ojciec kupuje dom w Kentucky i rolls-royce'a z dwudziestego roku. Ma już trzy stare samochody. W Kentucky będzie hodować konie. Przyjedź jutro do nas obejrzeć te samochody. Pamiętam też, że smakowało ci jedzenie mojej mamy.

- Jutro muszę wracać do Vegas - rzekł Cross. - Pracuję w hotelu „Xanadu”.

Ceil szarpnęła go za rękę.

- Nie znoszę Las Vegas - powiedziała. - To obrzydliwe miasto.

- Moim zdaniem jest wspaniałe - uśmiechnął się Cross. - Nigdy tam nie byłaś, skąd więc ta niechęć?

- Ludzie wyrzucają w błoto ciężko zarobione pieniądze - tłumaczyła Ceil z młodzieńczą zadziornością. - Na szczęście mój ojciec nie gra. I tyle tam tych strasznych kobiet.

Cross roześmiał się.

- Na kobietach się nie znam. Obsługuję pole golfowe. W kasynie w ogóle nie bywam.

Wiedziała, że się z niej nabija, ale spytała:

- Odwiedzisz mnie w college'u?

- Jasne - przyrzekł Cross, który w tej grze był bardziej doświadczony. Rozczułała go niewinność dziewczyny. Trzymała go za rękę jak dziecko i nie miała pojęcia, czym zajmuje się jego ojciec i Rodzina Clericuzio. Uległa pokusie, bo świeciło słońce, a w niej budziła się kobieta. Był wzruszony jej słodkimi, niewinnymi pocałunkami. - Lepiej wracajmy - powiedział. Trzymając się za rękę pomaszzerowali w stronę reszty towarzystwa.

Pierwszy zauważył ich jej ojciec, Virginio. Potarł palcem o palec.

- Wstydziłobyście się - zawołał i objął ich serdecznie.

Z tego dnia Cross zapamiętał tylko uczucie niewinności, dzieci ubrane na białą

cześć święta Zmartwychwstania Chrystusa i to, że w końcu pojął, kim jest jego ojciec.

Po powrocie do Vegas nic już nie było jak dotąd. Pippi musiał się domyślić, że Cross poznał jego tajemnicę, bo zaczął traktować go ze szczególną czułością. Natomiast Cross nie zmienił swego stosunku do ojca, czemu nawet sam się trochę dziwił. Dalej bardzo go kochał i nie potrafił wyobrazić sobie życia bez niego, bez Rodziny Clericuzio, bez Gronevelta i hotelu „Xanadu”. Ale mimo że nie narzekał na swój los, zaczęło się w nim rodzić jakieś zniecierpliwienie. Przyszedł czas na zrobienie kolejnego kroku.

KSIĘGA TRZECIA

Claudia De Lena

Athena Aquitane

Rozdział czwarty

Jadąc samochodem ze swego mieszkania przy Pacific Palisades do Malibu Colony, Claudia De Lena zastanawiała się, jak namówić Athenę do powrotu na plan Messaliny.

Zależało jej na tym nie mniej niż wytwórni. Messalina była pierwszym samodzielnie napisanym przez nią scenariuszem, a nie jak poprzednie adaptacją czyjejś powieści, poprawką bądź przeróbką cudzego dzieła czy wreszcie pracą zbiorową.

Poza tym była koproducentem Messaliny, co dawało jej władzę, jakiej dotąd nigdy nie miała. Nie wspominając o forsie. Liczyła na autentycznie duże pieniądze. Zostając scenarzystą-producentem, wspięła się na kolejny szczebel w karierze. Nawiasem mówiąc, była chyba jedyną osobą na zachód od Missisipi, która nie rwała się do reżyserowania. Reżyserowanie filmu wymagało twardej ręki, której ona nie miała.

Z Atheną łączyło ją coś więcej niż zwykła zawodowa znajomość lub przyjaźń oparta na wspólnocie interesów. Athena dobrze wiedziała, ile ten film dla niej znaczył. Nie była przecież głupia. Tym bardziej zastanawiał jej strach przed Bozem Skannetem. Zazwyczaj się nikogo ani niczego nie bała.

Jednego Claudia była pewna. Mianowicie, że wyciągnie od Atheny, czego się właściwie boi. Wtedy będzie można jakoś jej pomóc. Za żadne skarby nie wolno dopuścić, żeby Athena zepsuła sobie karierę. Ostatecznie, kto lepiej od niej, Claudii, orientuje się w zawiłościach i pułapkach filmowego światka?

W młodości Claudia De Lena marzyła o karierze pisarki nowojorskiej. W wieku dwudziestu jeden lat napisała powieść, którą odrzuciło dwudziestu wydawców. Postanowiła więc przenieść się do Los Angeles i spróbować sił w tworzeniu scenariuszy filmowych.

A ponieważ była błyskotliwa, energiczna i zdolna, w krótkim czasie nawiązała w Los Angeles liczne znajomości. Zapisła się na kurs pisania scenariuszy na tamtejszym uniwersytecie i poznała syna sławnego chirurga plastycznego. Zaczęła z nim sypiać. Tak go oczarowała swym ciałem i inteligencją, że z „dziewczyny” prędko awansowała na „narzeczoną”. Chłopak zabrał ją do rodziców na kolację. Zrobiła wrażenie na jego ojcu, który po kolacji objął dłońmi jej twarz i powiedział:

- To niesprawiedliwe, że jesteś brzydka. Zaslugujesz na ładniejszą buzię. Nie obrażaj się, tak w życiu bywa. Ale od czego mój fach? Mogę odmienić wyrok losu.

Claudia nie obraziła się, lecz rozzłościła.

- Wcale nie chcę być ładna. Co mi po urodzie? - I dodała z uśmiechem: - Dla pana syna jestem wystarczająco dobra.

- Nie tylko dla niego - przyznał chirurg. - Kiedy z tobą skończę, będziesz dla niego za dobra. Jesteś miłą, inteligentną dziewczyną, ale uroda daje kobiecie władzę. Czy chcesz do końca życia patrzeć, jak mężczyźni uganiają się za przystojnymi kobietami, które inteligencją nie dorastają ci nawet do pięt? Chcesz siedzieć pod ścianą jak jakaś niedojda tylko dlatego, że masz kaczy nos i brodę gangstera? - Poklepał ją po ramieniu i dodał łagodnie: - Nie będzie z tym dużo roboty. Masz piękne oczy i wargi. A ze swoją figurą mogłabyś zostać modelką.

Claudia odsunęła się od niego. Wiedziała, że jest podobna do ojca, ale porównanie do gangstera podziało jej na nerwy.

- Mniejsza z tym - mruknęła. - Zresztą nie mam pieniędzy.

- Powiem ci jeszcze jedno - nie ustępował chirurg. - Znam świat filmu. Przedłużyłem młodość wielu znanym aktorkom i aktorom. Wkrótce zechcesz sprzedać scenariusz jakiejś wytwórni. W tym wypadku twój wygląd będzie miał duże znaczenie. To może ci się wydać niesprawiedliwe, bo z tego, co o tobie wiem, jesteś bardzo zdolna. Ale taki jest ten świat. Więc pomyśl, że zrobisz to z powodów zawodowych, a nie, żeby podobać się mężczyznom. Co w końcu na jedno wychodzi. - A gdy zauważył, że dziewczyna się zastanawia, dodał: - Operację przeprowadzę za darmo. Będzie to prezent ode mnie dla ciebie i mojego syna. Choć myślę, że wkrótce go rzucisz.

Claudia nagle uświadomiła sobie, że ojciec zawsze wolał Crossa, i zadała sobie pytanie, czy przypadkiem brzydota nie miała wpływu na jej los. Po raz pierwszy spojrzała z zainteresowaniem na chirurga. Był przystojny i patrzył na nią tak, jak gdyby czytał w jej myślach. Roześmiała się.

- Niech będzie - powiedziała. - Proszę ze mnie zrobić pięknego łabędzia.

Chirurg nie posunął się aż tak daleko. Zwęził nieco jej nos, zaokrąglił brodę, naciągnął skórę. Zwrócił ją światu jako dumną, przystojną kobietę o idealnym nosie, nie tyle może ładną, co atrakcyjną.

Nowy wygląd rzeczywiście działał cuda. Claudia, mimo braku protekcji, zdołała dotrzeć przed oblicze Mela Stuarta, który łatwo zgodził się zostać jej agentem. Zaczął od załatwiania jej scenariuszy wymagających drobnych przeróbek. Zabierał ją też na przyjęcia, na których poznawała producentów, reżyserów i sławnych aktorów. Wszyscy byli nią zafascynowani. Mimo młodego wieku znalazła się w grupie pierwszorzędných scenarzystów związanych z pierwszorzędnymi filmami. Zmieniło się również jej życie prywatne. Chirurg

miał rację, przewidując, że jego syn nie wytrzyma konkurencji. Claudia dokonywała seksualnych podbojów - niekiedy zgoła rozbojów - których nie powstydziliby się niejedna gwiazda filmowa.

Claudia kochała ten świat. Chętnie współpracowała z innymi scenarzystami. Uwielbiała wyklócać się z producentami i reżyserami - z producentami o pieniądze na zrealizowanie filmu zgodnie ze scenariuszem, z reżyserami o zrealizowanie scenariusza na najwyższym poziomie artystycznym. Drżała przed aktorami i aktorkami, w których wykonaniu napisane przez nią dialogi brzmiały bardziej przekonująco i wzruszająco. Uwielbiała sesję zdjęciową, przez większość ludzi uważaną za okropną nudę, odpowiadały jej kumpłowskie stosunki między członkami ekipy i bez uprzedzeń sypiała z technicznymi. Przed premierą odczuwała treść, z zapartym tchem śledziła dalsze losy filmu - odniesie sukces, czy zrobi klapę? Do swej pracy miała zgoła nabożny stosunek i kiedy zlecano jej przeróbkę scenariusza, czuła się odpowiedzialna jak lekarz wezwany do chorego. Wprowadzając poprawki, nie myślała o tym, czy jej nazwisko znajdzie się w czołówce. W wieku dwudziestu pięciu lat cieszyła się doskonałą opinią zawodową, przyjaźniła się z wieloma gwiazdami, najbliższej z Atheną Aquitane.

Najbardziej zdumiała ją jej własna swoboda seksualna. Pójście do łóżka z mężczyzną traktowała jako coś najzupełniej naturalnego. Nie robiła tego interesownie, nie musiała; czasami mówiła żartem, że aktorzy sypiają z nią, licząc, że napisze dla nich scenariusz.

Pierwszą przygodę erotyczną miała z chirurgiem, który okazał się lepszy w łóżku od swego syna. Nie wiadomo, może zakochał się w swym dziele, w każdym razie zaproponował jej mieszkanie i skromne utrzymanie za przyjemność spędzania z nią czasu. Claudia mu odmówiła.

- Czy mi się zdawało, czy mówiłeś, że operacja będzie za darmo? - śmiała się.

- Za operację już mi zapłaciłaś - odparł chirurg. - Chciałbym jednak od czasu do czasu się z tobą spotkać.

- Załatwione - przyrzekła Claudia.

Odkryła w sobie niezwykłą cechę, a mianowicie, że może kochać się z mężczyznami w różnym wieku, typie, o różnym wyglądzie. I czerpać z tego przyjemność. Była jak smakosz, który chce popробować rozmaitych egzotycznych potraw. Wobec początkujących aktorów i scenarzystów odgrywała rolę mentora, ale na dłuższą metę ta rola jej nie odpowiadała. Wolą sama się uczyć. I dlatego lgnęła do starszych mężczyzn.

Pewnego pamiętnego dnia przeżyła króciutki romans z samym Elim Marrionem. Mile go wspominała, choć nie mogła powiedzieć, że sprawił się w stu procentach.

Poznali się na przyjęciu wydanym przez LoddStone Studios. Zwrócił na nią uwagę, ponieważ się go nie bała i pozwalała sobie na uszczypliwe uwagi pod adresem ich ostatniej, bardzo kasowej produkcji. Słyszał też, jak miłosne zaloty Bobby'ego Bantza skwitowała dowcipem, który nikogo nie uraził.

Eli Marrion już od kilku lat nie zawracał sobie głowy kobietami. Praktycznie był impotentem i seks odbierał bardziej jako mękę niż przyjemność. Kiedy zaprosił Claudię do bungalowu będącego do dyspozycji wytwórni, a ona zaproszenie przyjęła, uznał, że po prostu nie miała odwagi mu odmówić. Do głowy by mu nie przyszło, że kierowała nią seksualna ciekawość. Jak to jest iść do łóżka z kimś, kto jest wielką szychą, a do tego ma tyle lat? Zresztą Marrion mimo wieku podobał się Claudii. Jego goryla twarz wyprzystojniała, kiedy się uśmiechnął, a uśmiechnął się, mówiąc, że wszyscy, łącznie z jego wnukami, zwracają się do niego per „Eli”. Claudia wiele słyszała o jego brutalności, tym bardziej więc zaintrygował ją jego naturalny urok i inteligencja. Uznała to za interesujące zestawienie.

W sypialni apartamentu w bungalowie należącym do hotelu „Beverly Hills” Claudia zauważyła z rozbawieniem, że Eli jest nieśmiały. Ale nie przyjęła tego do wiadomości. Pomogła mu się rozebrać, a potem, podczas gdy on wieszał z namaszczeniem swe ubrania na oparciu wyściełanego krzesła, sama wyskoczyła z ciuchów, objęła go i wciągnęła między prześcieradła.

- Kiedy król Salomon umierał, przysłano mu do łóżka dziewice, żeby go rozgrzewały - próbował żartować Marrion.

- W tej sytuacji nie spodziewaj się po mnie zbyt wiele - odparła Claudia.

Pocałowała go i popieściła. Miał przyjemne, ciepłe wargi. Skóra przypominała pergamin, ale nie budziło to w niej wstrętu. Po zdjęciu ubrania i butów prawie zniknął, co dowodziło, jak może człowieka odmienić garnitur za trzy tysiące dolarów. Ale ją wzruszała ta drobna figurka z dużą głową. Nie czuła do niej wstrętu. Po dziesięciu minutach pieszczot i pocałunków (wielki Marrion całował jak mały chłopiec), oboje zrozumieli, że nic z tego nie będzie. Ostatni raz jestem w łóżku z kobietą, pomyślał Marrion. Westchnął, odprężył się i pozwolił Claudii kołysać się jak dziecko.

- Dobra, Eli - powiedziała Claudia. - Wytlumaczę ci, dlaczego twój film jest do kitu, zarówno z finansowego, jak i artystycznego punktu widzenia. - I nie przestając go pieścić, przeprowadziła wnikliwą analizę scenariusza, reżyserii i gry aktorów. - Powiedzieć o tym filmie, że jest zły, to mało, tego filmu nie da się oglądać - podsumowała. - To, że jakiś zakichany reżyser robi slajdowisko i wyobraża sobie, że opowiada historię, nie oznacza wcale, że film ma fabułę. A aktorzy wiedzą, że to gówno, więc tylko markują grę.

Marrion słuchał jej z dobrodusznym uśmiechem. Odczuwał wielką błogość. Uświadomił sobie, że właściwie jego życie dobiegało końca i teraz czeka już tylko na śmierć. Świadomość, że nigdy więcej nie pójdzie do łóżka z kobietą, a nawet nie będzie tego próbował, nie przygnębiała go. Claudia nikomu nie opowie o tej nocy, a jeśli nawet opowie, to co z tego? Przecież mu to nie zaszkodzi. Do śmierci będzie decydować o losach tysięcy ludzi. Swoją drogą, ciekawie mówiła.

- Nic nie rozumiesz - zaproponował. - Potrafię doprowadzić do nakręcenia jakiegoś filmu, ale nie stoję za kamerą. Co do reżysera, to masz rację, więcej go nie zatrudnię. Tracę pieniądze, ale odpowiedzialność ponosi talent. Mnie tylko interesuje, czy dany film przyniesie dochód. Jeśli przy okazji okaże się dziełem sztuki, uznam to za miłe zrządzenie losu.

Mówiąc to, Marrion wstał z łóżka i zaczął się ubierać. Claudia tego nienawidziła. Kiedy mężczyźni zaczynali się skupiać na zapinaniu guzików i wiązaniu krawata, trudniej się z nimi rozmawiało. Mogło się to wydawać dziwne, ale nagi Marrion był, przynajmniej dla niej, znacznie sympatyczniejszy; rozczulały ją jego nogi jak u pająka, drobna sylwetka, olbrzymia głowa. Zdumiał ją penis Marriona - w stanie spoczynku był większy niż u innych mężczyzn w stanie erekcji. Postanowiła spytać o to swego chirurga. Czy taki bezużyteczny penis rośnie?

Kiedy zauważyła, że Marrion męczy się z guziczkami przy koszuli i spinkami, wyskoczyła z łóżka, żeby mu pomóc.

Marrion przyglądał się z zainteresowaniem jej nagiemu ciału. Miała lepszą figurę niż większość aktorek, z którymi sypiał, ale nie podniecało to ani jego wyobraźni, ani ciała. I naprawdę nie było mu z tego powodu choć trochę przykro.

Claudia pomogła mu wciągnąć spodnie, zapięła koszulę, wpięła spinki w mankiety. Wygładziła kasztanowaty krawat, palcami przeczesała siwe włosy. Wsunąwszy ręce w rękawy marynarki Marrion był znowu sobą, władcą. Claudia pocałowała go i powiedziała:

- Było bardzo miło.

Marrion spojrział na nią spod zmrużonych powiek, jak gdyby oceniał siły przeciwnika. A potem na jego twarz wypłynął ów słynny uśmiech, który znosił brzydotę jego rysów. Niewinność Claudii złożył na karb jej młodości. Życie ją zmieni, pomyślał, a szkoda.

- W każdym razie mogę cię nakarmić - zaproponował. Sięgnął po słuchawkę i połączył się z recepcją.

Claudia była głodna. Zjadła z apetytem zupę, kaczkę z jarzynami i ogromną porcję lodów truskawkowych. Marrion jadł jak ptaszek, ale wypił przypadającą na niego połowę butelki wina. Rozmawiali o filmach i o książkach. Claudia stwierdziła ze zdumieniem, że

Marrion czytał więcej od niej.

- Chciałbym być pisarzem - wyznał. - Lubię pisać, a książki dają mi wiele przyjemności. Rzadko jednak spotykam pisarzy, z którymi miałbym ochotę się zaprzyjaźnić, nawet jeśli podobają mi się ich powieści. Weźmy Ernesta Vaila. Pisze świetnie, ale sam jest okropny. Jak to wytłumaczyć?

- Nie należy utożsamiać pisarzy z ich dziełami - powiedziała Claudia. - Książki są esencją tego, co w nich najlepsze. Są jak diamenty, do których otrzymania trzeba skruszyć tonę skał, choć nie dałabym głowy, czy to tak właśnie się robi.

- Znasz Ernesta Vaila? - spytał Marrion. Claudii spodobało się, że w jego głosie nie było lubieżności. Na pewno słyszał o jej romansie z Vailem. - Widzisz, bardzo lubię książki Vaila, ale jego nie trawię. A to, co wygaduje o wytwórni, jest po prostu chore.

Claudia poklepała go po dłoni. Uważała, że skoro widziała go nago, może sobie pozwolić na taką poufałość.

- Wszystkie talenty narzekają na wytwórnię - zapewniła. - Nie bierz sobie tego do serca. Inna sprawa, że robienie z tobą interesów nie należy do przyjemności. Jestem chyba jedyną scenarzystką w tym mieście, która cię lubi. - Roześmiali się.

Na pożegnanie Marrion powiedział:

- Zadzwon, gdybyś kiedyś potrzebowała mojej pomocy.

W ten sposób dał jej do zrozumienia, że nie zamierza spotykać się z nią na prywatnym gruncie.

- Nie ośmieliłabym się nadużywać twojej wspaniałomyślności - odparła Claudia. - Ale ty się nie krępuj i koniecznie skontaktuj się ze mną w razie jakichś kłopotów ze scenariuszem. Poradę uzyskasz za darmo, za napisanie scenariusza zażądam godziwej zapłaty. - W ten sposób dała mu do zrozumienia, że to on będzie potrzebował jej pomocy. Marrion pomyślał, że Claudia jest bardzo pewna siebie. Rozstali się w przyjaźni.

Na Pacific Coast Highway jazda odbywała się w ślimaczym tempie. Claudia spojrzała na lewo, gdzie połyskiwał ocean. Zdziwiło ją, że na plaży jest tak mało ludzi. Zupełnie inaczej niż na Long Island, dokąd jeździła w dzieciństwie. Uniosła głowę. Tuż nad przewodami elektrycznymi przesybowali parolotniarze, kierując się ku plaży. Po prawej stronie zobaczyła wóz transmisyjny i olbrzymie kamery otoczone wianuszkami ludzi. Kręcono jakiś film. Boże, jak ona kochała tę autostradę. I jak nienawidził jej Ernest Vail. Mówił, że przejazd po Pacific Coast Highway przypomina przeprawę przez Styks.

Claudia poznała Vaila przy okazji swej pierwszej pracy. Zatrudniono ją wówczas do napisania scenariusza na podstawie jego bestselleru. Lubiła książki Ernesta Vaila - jego

eleganckie zdania przypominały frazy muzyczne. Vail rozumiał nieubłagane prawa życia i tragizm jednostki. Zaskakiwał pomysłami, które działały na jej wyobraźnię tak silnie jak bajki w dzieciństwie. Bardzo się cieszyła, że go pozna. Ale spotkanie ją rozczarowało.

Miał wówczas pięćdziesiąt kilka lat. Jego wyglądowi daleko było do wytworności jego prozy. Był niski, gruby i łysiał, nie starając się tego ukryć. Bohaterów swych powieści rozumiał, ale w życiu codziennym wykazywał niesłychaną naiwność. Zresztą, była to jedna z jego sympatyczniejszych cech. Poznawszy go lepiej, Claudia stwierdziła, że pod tą dziecięcą naiwnością kryje się wielka inteligencja. Niekiedy Vail, podobnie jak dzieci, nie uświadamiał sobie, że dokonuje błyskotliwych spostrzeżeń. Charakteryzował go też dziecięcy kruchy egotyzm.

Podczas tamtego śniadania w „Polo Lounge” Ernest Vail sprawiał wrażenie najszcześliwszego człowieka na świecie. Jego powieści cieszyły się uznaniem krytyków i dobrze się sprzedawały. Kolejna powieść zrobiła furorę na rynku, została bestsellerem, a LoddStone Studios postanowiły nakręcić według niej film. Vail napisał scenariusz, który Bobby Bantz i Skippy Deere wychwalali pod niebiosa. Claudia zauważyła ze zdumieniem, że Vail spija z ich warg pochlebstwa niczym początkująca aktoreczka. Nawet nie zada sobie pytania, co ja tu do cholery robię, pomyślała. Było jej smutno, bo poprzedniego dnia ten sam Bantz i ten sam Deere powiedzieli jej, że „ten scenariusz jest syfiasty”. Nie mieli nic złego na myśli. „Syfiasty” oznaczało coś, co niezupełnie się nadawało.

Claudii nie odrzuciła przeciętność wyglądu Vaila. Sama wyglądała przeciętnie, póki nie wyprzystojniała pod skalpelem chirurga. Była nawet nieco zauroczona jego dziecięcą łatwowiernością i entuzjazmem.

Wreszcie Bantz powiedział:

- Poprosiliśmy Claudię, żeby ci trochę pomogła, Erneście. Nikt lepiej od niej nie zna się na problemach technicznych. Claudia zrobi z tego świetny film. Nos mi podpowiada, że to będzie przebój. I pamiętaj, dostajesz dziesięć procent od dochodów netto.

O, rany, ta ofiara losu nie wie, że to prawie tyle co nic, pomyślała Claudia, widząc, że Vail połknął haczyk.

Vail sprawiał wrażenie autentycznie wdzięcznego za propozycję pomocy.

- Chętnie się czegoś nauczę. Pisanie scenariuszy wydaje się znacznie łatwiejsze od pisania powieści, ale może rzeczywiście słabo mi to wyszło.

- Ależ nie, Erneście, masz wielki dryg do tego - uspokoił go Skippy Deere. - Znaczna część twego scenariusza jest świetna. Niewątpliwie zarobisz na tym filmie wielkie pieniądze. Zwłaszcza gdy okaże się przebojem. Zwłaszcza gdy zdobędzie Oscara.

Claudia obserwowała ich w milczeniu. Dwóch szczwanych kutasów i palant, to w Hollywood nie taka znowu rzadkość. Zresztą na początku sama nie była sprytniejsza. Czyż Skippy Deere nie zerznął jej, dosłownie i w przenośni? Ale i tak go lubiła. Wydawał się stuprocentowo szczery.

Claudia wiedziała, że projekt tego filmu stał pod znakiem zapytania i że za jej plecami niezrównany Benny Sly przerabiał inteligentnego bohatera Vaila na kogoś w rodzaju Jamesa Bonda skrzyżowanego z Sherlockiem Holmesem i Casanovą. Po jego przeróbkach z książki Vaila zostanie doprawdy niewiele.

Claudii było go żal i dlatego przystała na propozycję zjedzenia razem kolacji i zastanowienia się, w jaki sposób będą pracować nad scenariuszem. Aby odnieść sukces w pracy tego rodzaju, należało unikać zadurzenia się w partnerze, dlatego Claudia na spotkaniach roboczych z Vailem starała się wyglądać możliwie najmniej atrakcyjnie. Romansowanie przeszkadzało jej w pisaniu.

Te dwa miesiące, które przepracowali ramię przy ramieniu, zanim zabrano im scenariusz i dano go komuś innemu, zaowocowały - o dziwo! - przyjaźnią. Na pocieszenie wybrali się razem do Vegas. Claudię zawsze bardzo pociągał hazard, a Vail podzielał jej pasję. W Vegas przedstawiła go swemu bratu Crossowi. Ci dwaj tak przypadli sobie do gustu, że zupełnie o niej zapomnieli. Claudia nie mogła tego pojąć. Skąd ta przyjaźń? Ernest był intelektualistą i nie interesował się żadnymi sportami, a golfem w szczególności. Cross natomiast od lat nie wziął do ręki żadnej książki. Spytała Ernesta, co robią, kiedy są razem.

- Och, ja mówię, a on słucha - odparł.

Claudia pomyślała, że się wykręca od odpowiedzi, i spytała o to samo Crossa, którego w gruncie rzeczy mało знаła, mimo że był jej rodzonym bratem. Pomyślał, a w końcu powiedział:

- Nie musisz go pilnować, on niczego nie chce.

To prawda, pomyślała Claudia i nagle doznała olśnienia. Ernest Vail, na swoje nieszczęście, był człowiekiem, który nie miał ukrytych zamiarów.

Jej romans z Ernestem Vailem był inny. Ten sławny na całym świecie pisarz w Hollywood nie robił na nikim wrażenia. Poza tym brakowało mu oglądy towarzyskiej. Faktycznie budził antypatię. W artykułach, które publikował, pisał o bolesnych problemach społecznych w sposób politycznie niepoprawny, czym nie wiadomo dlaczego rozsierdzał obie strony. Drwił z amerykańskiej demokracji; pisząc o kobietach, twierdził, że tak długo będą podporządkowane mężczyznom, dopóki nie dorównają im fizycznie, i doradzał feministkom zakładanie organizacji paramilitarnych. Na temat kwestii rasowych napisał esej, w którym

apelował, by czarnoskórzy Amerykanie zaczęli określać siebie „kolorowymi”, ponieważ słowo „czarny” ma i zawsze miało wiele pejoratywnych (może tylko poza sukienką zwaną małą czarną) konotacji - czarne myśli, czarny diabeł, czarny charakter.

Rozwścieczył już nie tylko Murzynów, dodając, że do „kolorowych” powinny zaliczać się wszystkie rasy śródziemnomorskie. W tym Włosi, Hiszpanie, Grecy i tak dalej.

Pisząc o podziale klasowym twierdził, że bogaci muszą być okrutni i nieufni, biedni zaś muszą łamać prawo ustanowione przez bogatych z myślą o ochronie siebie i swego bogactwa. Uważał, że zasiłki wymyślono dla zażegnania wybuchu rewolucji. Pisząc o religii, zalecał dawkowanie jej jak lekarstwa.

Trudno było się zorientować, czy facet rzeczywiście tak myśli, czy nabiera czytelników. W powieściach tych spraw nie podejmował, więc czytanie ich nie pomagało w rozszyfrowaniu jego poglądów.

Ale pracując nad scenariuszem według jego bestsellera, Claudia bardzo go polubiła. Vail okazał się pilnym uczniem, traktował ją z wielką atencją, ona zaś ze swej strony śmiała się z jego nieco kwaśnych uwag i cierpliwie wysłuchiwała jego socjologicznych wywodów. Okazało się, że Vail, który w praktyce nie dba o pieniądze, teoretycznie ma do nich bardzo poważny stosunek. Zupełnie nie pojmował, na jakich zasadach funkcjonuje świat, a szczególnie Hollywood. Kiedy się zaprzyjaźnili, Claudia odważyła się dać mu swą powieść do przeczytania. Czowała się mile połączona, kiedy nazajutrz przyszedł do wytwórni z notatnikiem, w którym zapisał na gorąco swe wrażenia z lektury.

Powieść Claudii doczekała się publikacji na fali jej sukcesów w roli scenarzystki i w wyniku usilnych zabiegów jej agenta Mela Stuarta. W prasie pojawiło się kilka krytyk, z których część była dość pochlebna, część zjadliwa, głównie z tego powodu, że autorka na co dzień parała się pisywaniem scenariuszy. Ale Claudia i tak kochała swą książkę. Książka się nie sprzedała, w Hollywood nie kupiono do niej praw, ale najważniejsze, że została wydrukowana. Claudia napisała na egzemplarzu dla Vaila: „Największemu żyjącemu amerykańskiemu pisarzowi”. Niewiele to pomogło.

- Masz wielkie szczęście, że żyjesz z pisania scenariuszy - powiedział jej Vail. - Nie nadajesz się na powieściopisarkę. - Po czym bez złośliwości i chęci dokuczenia jej przez pół godziny rozkładał powieść na czynniki pierwsze, wykazując, że jest straszną bzdurą, że brak jej struktury i głębi, że bohaterowie są papierowi, że nawet dialog, który przecież jest jej mocną stroną, w tej książce wypada okropnie, owszem, brzmi inteligentnie, ale brak w nim puenty. Ten brutalny atak został przeprowadzony z taką logiką, że Claudia nie mogła odmówić Vailowi racji. Zakończył w sposób, który jemu wydawał się uprzejmy. - Całkiem

dobra książka jak na osiemnastolatkę - rzekł. - Te wszystkie niedostatki wynikają z braku doświadczenia, którego nabędziesz, jak jeszcze trochę pożyjesz. Jednej tylko rzeczy nie da się nauczyć, języka.

W tym momencie okropnie zgnębiona Claudia pomyślała, że musi się bronić. Niektórzy recenzenci chwalili ją za liryzm.

- Tu się mylisz - powiedziała. - Na początku nawet próbowałam pisać idealnie skomponowanymi zdaniem. Jeśli coś naprawdę podoba mi się w twoich książkach, to właśnie poetyckość twego języka.

Vail pierwszy raz się uśmiechnął.

- Dzięki - powiedział. - Nie staram się być poetyczny. Mój język oddaje emocje bohaterów. Twój język, twoja poetyckość jest sztuczna. Całkowicie fałszywa.

Claudia rozplakała się.

- Cholera, za kogo ty się masz? - spytała. - Jakim prawem mówisz mi takie przykre rzeczy? Co cię upoważnia, żeby się tak mądrzyć?

Vail sprawiał wrażenie rozbawionego.

- Kobieto! Co komu z tego, że wydadzą mu książkę, jeśli zdechnie z głodu? Co innego być genialną scenarzystką. A co do tego, że się mądrzę... to jest jedyna rzecz, jaką naprawdę dobrze robię. Może nie?

- Owszem, ale to nie zmienia faktu, że jesteś sadystycznym kutasem - zawołała Claudia.

Vail popatrzył na nią zmęczonym wzrokiem.

- Jesteś uzdolniona - zapewnił. - Masz doskonale ucho do dialogu i wycucie tempa akcji. Czujesz film. Dlaczego chcesz być kowalem, skoro jesteś mechanikiem samochodowym? Jesteś scenarzystką, nie pisarką.

Claudia otworzyła oczy ze zdumienia.

- Nawet sobie nie zdajesz sprawy, jak mnie obrażasz.

- Owszem, zdaję sobie z tego sprawę - odparł Vail. - Mówię to dla twojego dobra.

- Wierzyć mi się nie chce, że jesteś tym samym człowiekiem, który napisał twoje książki - wycodziła jadownicę. - Szczerze mówiąc, nikt w to nie wierzy.

Vail aż cmoknął z zachwyty.

- Prawda? - odrzekł. - Czyż to nie cudowne?

Przez cały następny tydzień traktował ją bardzo oficjalnie. Kontynuowali pracę nad scenariuszem, ale Vail sądził, że ich przyjaźń nie wytrzymała próby. Wreszcie Claudia nie wytrzymała.

- Czemu jesteś taki sztywny, Erneście? Przebaczam ci. Zresztą przyznaję ci rację. Tylko czy musiałeś być taki brutalny? Już podejrzewałam, że to jakaś męska demonstracja siły. Najpierw mnie upokorzysz, a potem wepchniesz do łóżka. Wiem jednak, że jesteś na to za głupi. Na miłość boską, dlaczego nie osłodziłeś mi tej gorzkiej pigułki?

Vail wzruszył ramionami.

- Poza pisaniem nic się dla mnie nie liczy. Jeśli tu nie będę szczery, to gdzie? A że byłem brutalny... Tak, byłem, bo cię lubię. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jaka jesteś niezwykła.

- Pod względem talentu, inteligencji czy urody? - spytała z uśmiechem.

Vail machnął ręką zniecierpliwiony.

- Nie o to chodzi. Jesteś błogosławioną, szczęśliwą osobą, której nie załamię żadna tragedia. To właśnie jest w tobie niezwykłe.

Claudia zastanowiła się.

- Wiesz, to mi brzmi jakoś obraźliwie. Chcesz powiedzieć, że jestem zasadniczo głupia? - Przerwała na chwilę. - Panuje powszechne przekonanie, że melancholicy są wrażliwsi.

- Zgadza się - odparł Vail. - Jestem melancholikiem, więc jestem wrażliwszy od ciebie, prawda?

Roześmiali się i Claudia go objęła.

- Dziękuję za szczerość.

- Tylko nie bądź zarozumiała - ostrzegł ją Vail. - Jak mawiała moja matka: „Życie jest jak skrzynka z granatami, człowiek nigdy nie wie, kiedy przeniesie się na tamten świat”.

- Chryste, czy ty zawsze musisz wieszczyć? - spytała Claudia ze śmiechem. - To zdanie dowodzi, że nie nadajesz się do pisania scenariuszy.

- Kiedy to szczerą prawdą - bronił się Vail.

Zanim skończyli pracę nad scenariuszem, Claudia wciągnęła Vaila do łóżka. Tak go polubiła, że koniecznie chciała rozebrać go do naga, żeby móc z nim naprawdę porozmawiać.

Brak maestrii w seksie Vail nadrabiał entuzjazmem. Okazywał też większą wdzięczność niż inni mężczyźni. Najbardziej lubił rozmawiać - gdy było już po wszystkim - nagość nie przeszkadzała mu się mądrzyć, wygłaszać kategoriycznych osądów. Claudia uwielbiała jego nagość. Nagi Vail objawiał zgoła małą ruchliwość i żywiołowość, a poza tym był bardzo owłosiony - miał dywanik na piersiach i futrzane łaty na plecach. Czepiał się jej nagiego ciała, jakby była owocem zwisającym z gałęzi. Claudię to bardzo bawiło. Rozkoszowała się komicznością seksu. I podobało się jej, że Vail jest znany na całym świecie

i że występuje w telewizji. O literaturze mówił wprawdzie zbyt patetycznie i za bardzo przejmował się zgnilizną moralną świata, ale z fajką, którą zresztą rzadko palił, i w marynarce ze skórzanymi łatami na łokciach wyglądał na rasowego pisarza. W łóżku był jednak fajniejszy niż w telewizji, bo nikogo nie udawał.

Nigdy nie wyznali sobie miłości, nie planowali małżeństwa. Claudia nie miała takich potrzeb, dla Vaila miłość była jedynie wątkiem powieści. Był od niej starszy o trzydzieści lat i poza sławą nie miał jej nic do zaproponowania. Łączyła ich wyłącznie literatura. Zgodzili się, że to za mało do zawarcia małżeństwa.

Claudia lubiła się z nim kłócić na temat filmów. Vail upierał się, że ruchome obrazy nie są sztuką, że w istocie są cofnięciem się w stosunku do prymitywnych malowideł odkrytych w jaskiniach. Że film nie ma języka, a ponieważ postęp gatunku ludzkiego zależy od języka, film grozi uwsteczaniem.

- Aha, więc twoim zdaniem malarstwo to nie sztuka - ripostowała. - Bach i Beethoven to nie sztuka, Michał Anioł to nie sztuka. Pieprzycie, kolego. - Nagle uświadomiła sobie, że on się z niej nabija, że lubi ją prowokować, ale na wszelki wypadek dopiero po seksie.

Zdążyli się zaprzyjaźnić, zanim odebrano im scenariusz. Vail przed powrotem do Nowego Jorku podarował Claudii mały kanciasty pierścionek z czterema kamieniami, każdym innej barwy. Pierścionek, choć nie wyglądał na drogi, był antykiem i wyszukanie go zajęło mu dużo czasu. Claudia nigdy się z tym pierścionkiem nie rozstawała. Uwierzyła, że przynosi jej szczęście.

Wyjazd Vaila oznaczał jednak koniec ich romansu. Potem, ilekroć Vail wpadał do Los Angeles, Claudia była uwikłana w jakąś nową historię. Zresztą Vail doszedł do wniosku, że nigdy nie czuli do siebie wielkiej namiętności, a tylko przyjaźń.

Claudia w prezencie pożegnalnym zrobiła mu wykład na temat Hollywoodu. Powiedziała, że ich scenariusz jest w rękach wielkiego Benny'ego Slya, legendarnego „poprawiacza” scenariuszy, z myślą o którym chciano nawet ustanowić specjalnego Oscara. I że Benny Sly specjalizuje się w przerabianiu niekasowych historii w kasowe. Można było się spodziewać, że zrobi on film, którego Vail będzie się wstydzić, ale który z całą pewnością zrobi kasę.

Vail wzruszył ramionami.

- Co mi tam - powiedział. - Mam zagwarantowane dziesięć procent o zysku netto. Będę bogaty.

Claudia zrobiła wielkie oczy.

- Netto? - spytała z niedowierzaniem. - Może jeszcze w banknotach Konfederacji?

Guzik dostaniesz, bez względu na to, ile film zarobi. LoddStone Studios zatrudniają magika od dematerializowania pieniędzy. Słuchaj, ja też miałam procenty od zysków netto i to w pięciu filmach. Nie zobaczyłam ani centa. Tak samo będzie w twoim przypadku.

Vail znowu wzruszył ramionami. Sprawiał wrażenie, że ma w nosie pieniądze. Dlatego jego zachowanie w późniejszych czasach wydawało się takie dziwne.

Powiedzenie Ernesta, że życie jest jak skrzynka z granatami, Claudia przypomniała sobie przy kolejnym romansie. Niby taka inteligentna, a pierwszy raz w życiu się zakochała, acz ostrożnie, w całkowicie nieodpowiednim mężczyźnie - w młodym „genialnym” reżyserze. Po nim zakochała się, już nieostrożnie, w mężczyźnie, będącym obiektem westchnień wszystkich kobiet na świecie. Ten również był nieodpowiedni.

Duma, że potrafi zwrócić na siebie uwagę TAKICH samców, prędko ustąpiła miejsca niedowierzaniu, jak też ci mężczyźni ją traktowali.

Reżyser o niesympatycznej twarzy fretki był od niej tylko kilka lat starszy, a na swoim koncie miał już trzy ekscentryczne filmy, które nie tylko zachwyciły krytyków, ale na dobitkę zarobiły kupę forsy. Wytwórnice wyrwały go sobie z rąk. LoddStone Studios podpisały z nim z góry kontrakt na trzy filmy, Claudia zaś dostała do przeróbki scenariusz pierwszego z nich.

Jego geniusz polegał między innymi na tym, że dokładnie wiedział, czego chce. Zaczął od dokuczania Claudii, ponieważ była kobietą i scenarzystką, a jedno i drugie sytuowało ją nisko w hierarchii Hollywoodu. Klócili się.

Na przykład zlecił jej napisanie sceny, która odstawała od reszty filmu. Claudia z miejsca pojęła, że scena ta ma być jego puszczeniem oka do widowni.

- Mowy nie ma - zaprotestowała. - Ta scena nie pasuje do historii przedstawionej w filmie. To tylko akcja i kamera.

- Na tym właśnie polega kręcenie filmów - stwierdził szorstko reżyser. - Napisz mi tę scenę tak, jak powiedziałem.

- Szkoda twojego i mojego czasu - odparła Claudia. - Sam sobie ją napisz.

Reżyser nawet się nie zdenerwował. Nie wdając się w dalszą dyskusję, oznajmił:

- Jesteś zwolniona. Zejdź mi z oczu. Natychmiast! - Klasnął w dłonie.

Ale Skippy Deere i Bobby Bantz postanowili ich pogodzić, co by się nie udało, gdyby reżysera nie zaintrygował jej upór. Film odniósł wielki sukces i Claudia musiała przyznać, że bardziej dzięki reżyserii utalentowanego reżysera niż jej scenariuszowi. Cóż, nie rozumiała jego wizji. Do łóżka trafili niemal przez przypadek, ale na tym polu reżyser bardzo ją rozczarował. Za żadne skarby nie chciał się rozebrać do naga i kochał się z nią w koszuli. Mimo to Claudia liczyła, że będą dalej razem robić wspaniałe filmy. Marzyła, że stworzą

jeden z tych wspaniałych tandemów reżyser-scenarzysta. Chętnie by się mu podporządkowała, nie miała nic przeciwko temu, by służyć swym talentem jego geniuszowi. Stworzą razem wielką sztukę, staną się legendarni. Tymczasem ich romans skończył się po miesiącu, w dniu, w którym Claudia skończyła szkic scenariusza Messaliny i dała mu go do przeczytania. Przeczytał i cisnął w ką.

- Feministyczna bzdura pełna cycków i dup - stwierdził. - To nie jest film, na który chciałbym zmarnować rok życia.

- To dopiero pierwsza wersja - broniła się Claudia.

- Jezu, jak ja nie znoszę ludzi, którzy wykorzystują znajomości, żeby się wkręcić do filmu - rzekł reżyser.

W tym momencie Claudia poczuła, że się odkochała. Zagotowała się z wściekłości.

- Wcale nie muszę się z tobą pieprzyć, żeby zrobić film - wycedziła przez zęby.

- Wiem - odparł reżyser. - Jesteś bardzo zdolna i masz opinię jednej z najlepszych dup w przemyśle filmowym.

Claudię zatkało. Ona nie obgadywała swych kochanków. I ten ton! Powiedział to, jakby uważał, że powinna się wstydzić.

- Jesteś zdolnym reżyserem, ale co za facet pieprzy się w koszuli? Jedno ci powiem, ani razu nie poszłam do łóżka, żeby dostać robotę.

W ten sposób zakończyła się ich znajomość. Claudia pomyślała wtedy o Dicie Tommey. Komu jak komu, ale kobiecie musi spodobać się jej scenariusz.

Co on sobie wyobrażał, złościła się, jadąc po Pacific Ocean Highway. Cham, nawet się porządnie nie rozebrał, a po seksie nie można go było namówić na żadną rozmowę. Jak na geniusza miał mało do powiedzenia. Jak na geniusza był nawet interesujący pod warunkiem, że rozmowa nie dotyczyła filmu.

Claudia dojechała do miejsca, w którym autostrada skręcała. Jej oczom ukazało się olbrzymie zwierciadło oceanu, w którym odbijały się skały wznoszące się po prawej stronie. Jak ona kochała to miejsce! Jego piękno przyprawiało ją o dreszcze. Do Malibu Colony pozostało już tylko dziesięć minut jazdy. Claudia zaczęła układać sobie w myśli, co powie Athenie: wróć, bo w przeciwnym razie film diabli wezmą. Nagle sobie uświadomiła, że kilka razy była związana z kimś, kto w innym momencie życia związany był z Atheną. Fakt, że podobała się mężczyznom, którzy kochali Athenę, napawał ją wielką dumą.

Słońce świeciło oślepiająco. Fale na Pacyfiku połyskiwały niczym ogromne diamenty. Claudia gwałtownie zahamowała, bo odniosła wrażenie, że jeden z lotniarzy wylądował na masce jej samochodu. Widziała go dokładnie, a raczej ją, bo oto wiatr rozwiął bluzkę i

odstąpił pierś. Wylądowawszy na plaży, dziewczyna do niej pomachała. Dlaczego im na to pozwalają, gdzie się podziała policja? Claudia pokręciła głową i nacisnęła pedał gazu. Ruch był tu mniejszy, a autostrada znowu zakręcała, oddalając się od oceanu, by kilometr dalej ponownie się do niego zbliżyć. Zupełnie jak miłość, pomyślała Claudia. Miłość w jej życiu też się tak zjawiała i znikwała.

Swą pierwszą prawdziwą miłość odczuła jako bolesne, a zarazem bardzo kształcące doświadczenie. Ale co miała robić? Mężczyzną, w którym się zakochała, był sam Steve Stallings, znany amerykański gwiazdor, bożyszczko kobiet na całym świecie, o arcymęskiej urodzie, zniwalającym uroku oraz ogromnym temperamentem, generowanym starannie odmierzonymi dawkami kokainy. Był również utalentowanym aktorem. Przede wszystkim jednak donżuanem. Pieprzył, co tylko mu weszło w ręce - na planie w Afryce, w małym miasteczku na amerykańskim Zachodzie, w Bombaju, Singapurze, Tokio, Londynie, Rzymie, Paryżu. Obdarzał kobiety względami, jak gdyby rozdawał jałmużnę - w akcie chrześcijańskiego miłosierdzia. Żadna nigdy nie liczyła na stały związek, podobnie jak zaproszony na obiad żebrak nie liczy, że zamieszka w domu swego dobroczyńcy. Claudią był tak oczarowany, że ich romans trwał aż dwadzieścia siedem dni.

Dwadzieścia siedem dni upokorzeń, choć oczywiście również przyjemności. Dzięki kokainie Steve Stallings był nieprawdopodobnie namiętnym kochankiem. Nago czuł się lepiej od niej. Trudno się temu dziwić, gdyż zbudowany był jak grecki posąg. Claudia kilka razy przyłapała go na krygowaniu się przed lustrem. Przypominał wtedy kobietę, która podziwia siebie w nowym kapeluszu.

Claudia zdawała sobie sprawę, że facet traktuje ją per noga. Umawiał się z nią, potem dzwonił, że będzie za godzinę, a zjawiał się z sześciogodzinnym opóźnieniem. Czasami w ogóle odwoływał spotkanie. Była mu potrzebna tylko do łóżka. Na dobitkę za każdym razem upierał się, żeby razem z nim zażywała kokainę, co, owszem, było fajne, ale Claudia czuła się potem otepiała i przez kilka kolejnych dni nie nadawała się do pracy, a nawet jeśli zdołała coś napisać, to nie była pewna, czy to się do czegośkolwiek nadaje. Stała się kobietą, jakimi zawsze gardziła - kobietą zależną od kaprysów mężczyzny.

Upokarzał ją fakt, że jest czwarta lub piąta w kolejce, ale o to go nie winiła. Winiła siebie. Bądź co bądź, Steve Stallings mógł mieć dowolną kobietę w Ameryce, a wybrał ją. Facet liczy się z tym, że wkrótce się zestarzeje, zbrzydnie, przestanie być sławny i będzie potrzebował coraz większych dawek kokainy. Kosi więc, póki może. Claudia była zakochana i bardzo nieszczęśliwa, co jej się rzadko zdarzało.

Zatem dwudziestego siódmego dnia, kiedy zadzwonił zapowiedzieć godzinne

spóźnienie, wypaliła:

- Nie spiesz się, Steve, odchodzę z tego domu dla nałożnic.

W słuchawce zapanowała cisza. Kiedy wreszcie się odezwał, nie sprawiał wrażenia zaskoczonego:

- Pozostaniemy przyjaciółmi. Dobrze mi było z tobą.

- No, myślę - odparła i odwiesiła słuchawkę. Pierwszy raz nie miała ochoty na kontynuowanie znajomości z mężczyzną, z którym zerwała romans. Przygnębiała ją świadomość, że okazała się taka głupia. Teraz widziała jasno, że całe jego zachowanie było obliczone na zniechęcenie jej. Czemu potrzebowała aż tyle czasu, żeby to pojąć. Przerazające. Jak mogła być taką idiotką? Rozplakała się. Po tygodniu stwierdziła, że w ogóle nie tęskni za miłością. Była teraz panią swego czasu. Cieszyła się, że wyzwoliła się od kokainy i miłości i może wrócić do pisania.

Sześć miesięcy strawiła na poprawienie scenariusza odsądzonego od czci i wiary przez genialnego reżysera.

Claudia De Lena napisała scenariusz Messaliny w formie dowcipnej agitacji feministycznej. Po pięciu latach pracy w branży filmowej wiedziała, że jeśli chce się przekazać jakieś przesłanie, to trzeba je przyprawić chciwością, seksem, morderstwem oraz wiarą w ludzkość. Wiedziała też, że musi napisać świetną rolę nie tylko dla odtwórczyni tytułowej postaci, czyli Atheny Aquitane, ale również przynajmniej dla trzech aktorek grających role drugoplanowe. Dobre role dla kobiet rzadko się zdarzały, można więc było oczekiwać, że Messalina przyciągnie znane nazwiska. Musiała też wprowadzić jakiegoś drania z gatunku inteligentnych, przystojnych, czarujących brutalni. Szkicując tę postać miała przed oczyma swego ojca.

Z początku myślała o producencie w spodnicy, ale ważniacy w wytwórniach decydujący o tym, czy film dostanie zielone światło, nosili zwykle spodnie. Wiedziała, że scenariusz im się spodoba, ale będą się bali, że w rękach kobiety producenta i kobiety reżysera film przybierze postać zbyt nachalnej propagandy feminizmu. Dlatego będą chcieli, żeby pieczę nad nim sprawował jakiś mężczyzna. A Claudia już postanowiła, że reżyserem będzie Dita Tommey.

Wiedziała, że Dita Tommey się zgodzi, bo miał to być film z rozmachem. Sukces niewątpliwie uplasuje ją w czołówce reżyserów. A jeśli film się nie uda, to też żadne nieszczęście. Wysokobudżetowy film, nawet nieudany, oznacza nieraz większy prestiż niż niskobudżetowy film, który odniósł sukces komercyjny.

Poza tym, pomyślała Claudia, Dita Tommey jest lesbijką, a reżyserując ten film będzie

miała do czynienia z czterema pięknymi kobietami.

Wybrała Dite, ponieważ już kiedyś razem pracowały i zapamiętała to jako dobre doświadczenie. Dita była bardzo bezpośrednia, bardzo inteligentna i bardzo utalentowana. Nie należała do tak zwanych scenarzystobójców, czyli reżyserów, którzy do przerobienia scenariusza zatrudniali swych znajomych i umieszczali ich nazwiska w czołówce. Sama się też nie dopisywała, chyba że dokonała ważnego wkładu, no i nie wykorzystywała nikogo seksualnie, co często miało miejsce w przypadku reżyserów płci męskiej. Inna sprawa, że termin „wykorzystywanie seksualne” śmiesznie brzmi w kontekście Hollywoodu, gdzie, co tu ukrywać, handluje się seksapilem.

Claudia wysłała swój scenariusz Skippy’emu Deere’owi w piątek, ponieważ słyszała, że w weekendy czytał je uważnie. Zdecydowała się na Deere’a, gdyż mimo licznych wad uchodził za najlepszego producenta w mieście. A także dlatego, że miała słabość do starych znajomych. I udało się. W niedzielę rano zadzwonił telefon. Skippy Deere zapraszał ją na lunch.

Wrzuciła komputer do mercedesa, ubrała się roboczo - w dzinsową luźną koszulę, spłowiałe dzinsy, rozdeptane tenisówki. Włosy przewiązała czerwoną bandaną.

W Santa Monica zjechała na Ocean Avenue. Ocean Avenue od Pacific Coast Highway dzielił Pallisades Park, w którym bezdomni zbierali się właśnie na niedzielny posiłek. Co niedziela do tego parku z drewnianymi stołami i ławami ustawionymi na świeżym powietrzu przyjeżdżali wolontariusze i wydawali im obiad. Claudia wybierała tę drogę, ilekroć chciała przypomnieć sobie o istnieniu innego świata; świata, w którym ludzie nie mają mercedesów, basenów i nie robią zakupów na Rodeo Drive. Dawniej też uczestniczyła w podobnych akcjach, teraz tylko wysyłała czek do kościoła, który wydawał darmowe posiłki. Stykanie się z tymi nieszczęśnikami stało się dla niej zbyt bolesne i zabijało wiarę w sens tego, co robiła. Ludzie ci byli nędznie odziani, żyli w ruderach, a mimo to mieli w sobie jakąś wewnętrzną godność. Wiedli życie pozbawione wszelkiej nadziei. Pomyśleć, że było to tylko kwestią pieniędzy - pieniędzy, które ona tak łatwo zarabiała na pisaniu scenariuszy. Przez sześć miesięcy potrafiła zarobić tyle, ile żaden z tych nędzarzy nie zobaczy przez całe życie.

Wreszcie dojechała do rezydencji Skippy’ego Deere’a w kanionach Beverly Hills. Gospodyni zaprowadziła ją nad basen, przy którym stały niebiesko-żółte domki dla gości. Deere siedział rozparty na wyściełanym leżaku. Obok stał niski marmurowy stolik z telefonem i stertą scenariuszy. Skippy Deere miał na nosie okulary w czerwonych oprawkach, które wkładał wyłącznie w domu, w dłoni trzymał oszronioną szklanekę wody Evian.

Na widok Claudii zerwał się z leżaka.

- Claudio - powiedział obejmując ją serdecznie - musimy to szybko załatwić.

Claudia nadstawiła ciekawie ucha. Z tonu potrafiła zwykle określić, jaki zapadł wyrok. Ostrożnie wyrażana pochwała na ogół oznaczała „nie”. Wesoły, entuzjastyczny głos też nie wróżył nic dobrego - zaczynało się od zachwytów, a kończyło na podaniu co najmniej trzech powodów odrzucenia scenariusza: inna wytwórnia już pracowała nad podobnym pomysłem, nie skompletuje się odpowiedniej obsady, temat jest zbyt kontrowersyjny. Ale Deere mówił jak ktoś, kto ma na widoku dobry interes. Konkretnie. Czyli „tak”.

- Widzę to jako bardzo duży film - ciągnął. - Bardzo, bardzo duży. Zresztą mały być nie może. Rozumiem twój zamysł, jesteś mądrą dziewczyną, ale ja muszę sprzedać go wytwórni jako film erotyczny. Aktorkom, rzecz jasna, sprzedam scenariusz jako film feministyczny. Znajdziemy też dobrego aktora, pod warunkiem, że zmienisz trochę tego faceta, pozwolisz mu od czasu do czasu być miłym. Wiem, że chcesz być koproducentem, ale to ja będę o wszystkim decydował. Możesz jednak liczyć, że czasami zgodzę się na twoje propozycje.

- Chcę wybrać reżysera - rzekła Claudia.

- Dobrze, ale musi go zaakceptować wytwórnia i odtwórcy głównych ról - odparł Deere ze śmiechem.

- Nie sprzedam scenariusza, jeśli nie otrzymam zgody na mojego reżysera - zagroziła Claudia.

- W porządku - zgodził się Deere. - Więc najpierw powiedz wytwórni, że sama chcesz reżyserować, potem się wycofaj, a oni się tak ucieszą, że zgodzą się na każdego, kogo zaproponujesz na swe miejsce. - Umilkł na chwilę. - Kogo masz na myśli?

- Dite Tommey - rzekła Claudia.

- Świetnie, sprytnie - pochwalił Deere. - Aktorki ją uwielbiają. Wytwórnia też. Dita zawsze mieści się w budżecie i poważnie traktuje robotę. Ale zanim ją zatrudnimy, sami wybierzemy aktorów.

- A jakiej wytwórni to proponujesz? - spytała Claudia.

- LoddStone Studios - odparł Deere. - Liczą się tam ze mną, więc nie będzie trzeba toczyć wielkich bojów o obsadę i reżyserów. Napisałaś, Claudio, genialny scenariusz. Mądry i ciekawy. Przedstawiasz historię z feministycznego punktu widzenia, który jest dziś bardzo modny. Że nie wspomnę o seksie. Usprawiedliwiasz postępowanie Messaliny i w ogóle kobiet. Powiem o twoich warunkach Melowi i Molly Flanders, a Molly przedstawi sprawę działowi finansowemu LoddStone Studios.

- Ty draniu! - zawołała Claudia. - Przyznaj się. Rozmawiałeś już z nimi?

- Wczoraj wieczorem - przyznał Deere z uśmiechem. - Zawiozłem im scenariusz, a oni mi obiecali zielone światło, jak tylko wszystko dogadamy. Nie złość się na mnie, Claudio. Domyślam się, że masz zgodę Atheny i dlatego jesteś taka harda. - Zamilkł na chwilę. - W każdym razie tak powiedziałem w LoddStone Studios. A teraz bierzmy się do roboty.

I tak to się zaczęło. Czy miała teraz pozwolić, żeby tyle zachodu spełzło na niczym?

Dojechała do świateł, przy których należało skręcić w lewo, a następnie zjechać na boczną drogę do Malibu Colony. Po raz pierwszy poczuła lęk. Athena jest wyjątkowo uparta (bez tego nie zostaje się gwiazdą) i na pewno nie zmieni postanowienia. No, trudno. W tej sytuacji trzeba będzie polecieć do Las Vegas i poprosić o pomoc Crossa. Cross nigdy jej nie zawiódł. Ani kiedy byli dziećmi, ani kiedy zamieszkali osobno, ani po śmierci matki.

Claudia pamiętała pobyty w posiadłości Clericuzio na Long Island. Sceneria jak z bajek braci Grimm - wysoki mur, dzieci bawiące się pod figowcami. Dwie grupy chłopców w wieku od ośmiu do dwunastu lat. Tej drugiej przewodził Dante, wnuk don Clericuzia, który zwykle czaił się w oknie na piętrze niczym smok.

Dante był zawadiaką. Lubił się bić i komenderować. Jako jedyny spośród tamtejszych chłopców miał odwagę wyzwać Crossa na pojedynek. Kiedyś Cross nadszedł w chwili, gdy Dante, chcąc zmusić Claudię do posłuszeństwa, przewrócił ją na ziemię i zaczął okładać pięściami. Cross był spokojny, natomiast Dante wpadł w szał. I Cross go łatwo pokonał.

Claudia nie rozumiała, jak matka mogła woleć ją od Crossa? Z nich dwojga on bardziej zasługiwał na miłość. Wykazał charakter, kiedy postanowił, że pójdzie z ojcem. Było oczywiste, że chciał zostać z nimi.

Po rozejściu się rodziców utrzymywali (luźne, bo luźne, ale jednak) kontakty. Z rozmów i zachowania się ludzi w ich otoczeniu Claudia wywnioskowała, że Cross poszedł w ślady ojca. Ale nadal go kochała, mimo że teraz należeli do całkiem różnych światów. Cross, w odróżnieniu od niej, był członkiem Rodziny Clericuzio.

Claudia przeniosła się do Los Angeles, a dwa lata później, po dwudziestych trzecich urodzinach, dowiedziała się, że lekarze zdiagnozowali u jej matki Nalene raka. Cross, który w tym czasie pracował u Gronevelta w „Xanadu”, a także wyrabiał sobie pozycję w Rodzinie Clericuzio, przyjechał do Sacramento i mieszkał z nimi przez dwa tygodnie. Zaangażował kucharkę, gosposię i całodobową pielęgniarkę. Pierwszy raz od rozpadu rodziny żyli we troje pod jednym dachem. Ale na odwiedzinę Pippiego Nalene się nie zgodziła.

Z powodu nowotworu Nalene traciła wzrok, więc Claudia czytała jej pisma, gazety, książki. Cross robił zakupy. Od czasu do czasu leciał na kilka godzin do Vegas załatwić pilne sprawy, ale wieczorem wracał.

Nocami Cross i Claudia na zmianę trzymali matkę za rękę, szepcząc słowa pocieszenia. I chociaż Nalene była na silnych środkach znieczulających, jej uścisk nie słabł ani na chwilę. Czasami miewała halucynacje i myślała, że Cross i Claudia to jeszcze dzieci. Którejś nocy płakała i prosiła Crossa, żeby przebaczył jej to, jak z nim postąpiła. Cross objął ją i zapewnił, że obróciło się to tylko na dobre.

Wieczorami, kiedy matka spała narkotycznym snem, Cross i Claudia opowiadali sobie o swym życiu.

Z tego, co mówił Cross, wynikało, że sprzedał agencję inkasowania należności i rozstał się z Rodziną Clericuzio, chociaż to dzięki nim pracował w „Xanadu”. Zaproponował Claudii, żeby przyjeżdżała do Vegas, kiedy tylko zechce - pokój w „Xanadu”, jedzenie i napoje będzie miała za darmo.

- Jakże to tak? - zdziwiła się.

Na co Cross wyjaśnił z dumą:

- Ja tam rządzę.

Ta duma rozśmieszyła i trochę zasmuciła Claudię.

Po śmierci matki rozpaczała bardziej od Crossa, ale to smutne przeżycie znowu ich do siebie zbliżyło. Przypomnieli sobie dzieciństwo. Claudia zaczęła jeździć do Vegas, gdzie poznała Gronevelta, który do Crossa miał bardzo serdeczny stosunek. Potwierdziło się, że jej brat miał w „Xanadu” sporo do powiedzenia. Z Rodziną Clericuzio Claudia już dawno zerwała wszelkie więzi, nie bywała na pogrzebach, ślubach i chrzcinach, nie mogła więc wiedzieć, jak naprawdę sytuacja wygląda. Cross nigdy jej o tym nie powiedział. Ojca widywała bardzo rzadko. Pippi zupełnie nie interesował się córką.

Mimo że na sylwestra do Vegas przylatywali ludzie z całego kraju, dla Claudii miejsce zawsze się znalazło. Claudia nie była hazardzistką, ale pewnego razu ją trochę poniosło. Przywiozła ze sobą jakiegoś początkującego aktora i starała się wywrzeć na nim wrażenie. W rezultacie zadłużyła się w klatce na pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Cross wparował do jej pokoju z rewersami w ręce. Patrzył jakoś dziwnie. Kiedy się odezwał, Claudia poznała tę minę. Była to mina ojca.

- Claudio, miałem cię zawsze za mądrzejszą. Co to jest, do cholery jasnej?

Claudia mało nie ziewnęła. Cross wielokrotnie jej mówił, żeby grała o małe stawki. I żeby ich nie podwyższała, jeśli przegrywa. I żeby grała maksimum dwie, trzy godziny dziennie, ponieważ największą pułapką jest czas spędzany w kasynie. Złamała wszystkie przykazania...

- Za parę tygodni wszystko ci spłacę - zapewniła.

Reakcja brata bardzo ją zdumiała.

- Prędeż cię zabiję - warknął. Po czym przedarł weksle na pół i schował je do kieszeni. - Zapraszam cię nie po to, żeby na tobie zarobić, ale żeby się z tobą zobaczyć. Tu nie wygrasz, wybij to sobie z głowy. Ta gra nie ma nic wspólnego ze szczęściem lub pechem. Zaręczam ci.

- Tereferere - mruknęła Claudia.

- Nie chodzi o te weksle, tylko o twoją głupotę - zezłościł się Cross.

Więcej już do tego nie wracali, ale ta sprawa nie dawała jej spokoju. Kim naprawdę był Cross? Czy Gronevelt pozwalał mu na darcie rewersów, czy w ogóle o tym wiedział?

Zdarzyły się jeszcze inne incydenty, a najbardziej znaczący miał związek z niejaką Loretą Lang.

Loretta śpiewała i tańczyła na scenie kabaretu „Xanadu”. Spodobała się Claudii, bo była bardzo śmieszna. Po przedstawieniu Cross zaprowadził siostrę za kulisy.

W życiu prywatnym Loretta była osobą równie zabawną, co na scenie. Claudia jednak zauważyła, że na Crossa jej dowcip nie działał, a nawet jakby nieco go drażnił.

Następnym razem Claudia przyjechała do „Xanadu” z Melem Stuartem - prosto na występ Loretty. Melo zgodził się Claudii towarzyszyć głównie dlatego, żeby jej zrobić przyjemność. Występ Loretty oglądał jednak z rosnącym zainteresowaniem, a potem zauważył:

- Wiesz, ta dziewczyna jest naprawdę świetna. Śpiewa i tańczy słabo, ale jest autentycznie śmieszna. Kobieta komik to bardzo rzadki okaz.

Kiedy udali się za scenę poznać Loretę, Melo zmrużył oczy i rzekł:

- Podobasz mi się bezgranicznie, Loretto. Bezgranicznie. Możesz przyjechać do Los Angeles w przyszłym tygodniu? Nagramy cię na taśmę i pokażemy w zaprzyjaźnionej wytwórni filmowej. Najpierw jednak musisz podpisać kontrakt z moją agencją. Rozumiesz, że zanim zarobię jakieś pieniądze, muszę się nieźle nagimnastykować. Interes to interes, ale pamiętaj, że bardzo mi się podobasz.

Loretta zarzuciła mu rękę na szyję. Wyglądało to na spontaniczną reakcję. Ustalili datę spotkania, potem we troje wybrali się uczcić to kolacją, a o świcie Melo złapał samolot powrotny do Los Angeles.

Podczas kolacji Loretta wyznała, że ma już podpisany kontrakt z agencją specjalizującą się w nocnych klubach. Kontrakt opiewał na trzy lata. Melo zapewnił ją, że to się da załatwić.

Ale się nie dało. Agencja Loretty upierała się, że będzie kierować jej karierą przez trzy

lata i ani dnia krócej. Zrozpaczona Loretta poprosiła Claudię, żeby przedstawiła sprawę Crossowi.

- Dlaczego właśnie Crossowi? - zdziwiła się strasznie Claudia

- On dużo może w tym mieście - odparła Loretta. - Tylko on jest w stanie zmienić mój kontrakt. Proszę cię, Claudio.

Kiedy Claudia udała się do apartamentu na ostatnim piętrze hotelu i przedstawiła sprawę bratu, Cross skrzywił się i pokręcił niechętnie głową.

- O co ci chodzi? - zdenerwowała się Claudia. - Tylko się za nią wstaw. O nic więcej cię nie proszę.

- Nic nie rozumiesz - odparł Cross. - Ja znam takie panienki. Załatwisz im coś, a one odwrócą się na pięcie i tyle je widziałas.

- No i co z tego? - obruszyła się Claudia. - Loretta jest naprawdę utalentowana. Melo Stuart mógłby odmienić jej życie.

Cross znowu pokręcił głową.

- Nie prosz mnie o to - powtórzył twardo.

- Ale dlaczego? - nie ustępowała Claudia. Często prosiła kogoś, żeby coś komuś załatwił, na tym między innymi polegała praca w branży filmowej.

- Dlatego, że tego nie uda się załatwić - odparł Cross.

- Nie szkodzi. Ja cię tylko proszę, żebyś spróbował - ciągnęła Claudia. - Loretta zobaczy, że chcieliśmy jej pomóc.

Cross roześmiał się.

- Ty naprawdę nic nie rozumiesz - powiedział. - No dobrze. Przekaż Lorecie i jej agentowi, żeby do mnie jutro przyszli. Punktualnie o dziesiątej. Ty też możesz przyjść.

Następnego ranka Claudia miała wreszcie okazję poznać agenta Loretty. Nazywał się Tolly Nevans i ubrany był - jak to w Las Vegas - swobodnie (no, może nieco staranniej dla podkreślenia powagi tego spotkania), to znaczy w niebieskie dżinsy, białą koszulę bez kołnierzyka i niebieski blezer.

- Cześć, Cross. Cieszę się, że cię znowu widzę - powiedział.

- My się znamy? - zdziwił się Cross. Nie zajmował się osobiście kabaretem.

- Raz się spotkaliśmy - zapewnił niezmiyszany Nevans. - Kiedy Loretta angażowała się do „Xanadu”.

Claudia z miejsca dostrzegła różnicę między nim a agentami w Los Angeles, mającymi do czynienia ze sławami. Nevans zachowywał się nerwowo, a jego wygląd nie budził szacunku. Brakowało mu pewności siebie Mela Stuarta.

Loretta w milczeniu cmoknęła Crossa w policzek i usiadła obok Claudii. Była przygaszona i wyraźnie spięta.

Cross był w stroju do golfa - białe płócienne spodnie, biała bawełniana koszulka, białe tenisówki. Plus niebieska czapka do baseballu. Zaproponował wszystkim coś do picia, ale zgodnie odmówili.

- Przystąpmy więc do interesów - odezwał się cicho. - Słuchamy cię, Loretto.

- Tolly żąda prowizji od wszystkiego, co zarobię - zaczęła drżącym głosem. - W tym także od gaży filmowych. Naturalnie agencja w Los Angeles będzie mi potraçała swoją działkę. Do tego Tolly chce mieć decydujący głos w sprawach moich przyszłych kontraktów. Ludzie z Los Angeles tego nie zniosą, nie mówiąc o mnie.

Nevans wzruszył ramionami.

- Mamy kontrakt. Chcemy tylko, żebyś przestrzegała umowy, którą z nami zawarłaś.

- No tak, ale w tej sytuacji mój agent filmowy nie załatwi mi żadnej roli - stwierdziła Loretta.

- Sprawa wydaje się łatwa do rozwiązania - stwierdził Cross. - Po prostu, Loretto, musisz zapłacić odszkodowanie za zerwanie kontraktu.

- Loretta jest zdolną artystką i zarabia dla nas dużo pieniędzy - zaproponował Nevans. - Promowaliśmy ją, wierzyliśmy w jej talent. Zainwestowaliśmy w nią. Mamy ją puścić teraz, kiedy zaczyna nam się to zwracać?

- Zapłać mu odszkodowanie, Loretto - powtórzył Cross.

Claudia próbowała powściągnąć uśmiech. Cross nie próbował. Nevans sprawiał wrażenie urażonego.

- Wiesz co, Claudio? - rzekł Cross. - Skocz po swoje kije do golfa. Rozegramy dziewięć dołków. Spotkam się z tobą na dole przy okienku kasjera, jak tylko tu skończę.

Claudia od początku zastanawiała się, czemu Cross ubrał się na to spotkanie na biało. Jak gdyby nie podchodził do sprawy poważnie. Uraziło ją to i na pewno uraziło Lorette. Za to podziałało krzepiąco na Tolly'ego. Facet nie zaproponował żadnego kompromisu. Claudia powiedziała:

- Poczekam tutaj. Chciałabym usłyszeć ten salomonowy wyrok.

Cross nie potrafił się gniewać na siostrę. Puścił do niej oko, a następnie zwrócił się do Nevansa:

- Widzę, że nie zamierzasz się poddać. I myślę, że masz rację. Co byś powiedział na prowizję od jej filmów przez okres jednego roku? Pod jednym warunkiem: nie będziesz się do niczego wtrącać.

- Nie zgadzam się! - krzyknęła Loretta.

- Ani ja - rzekł Nevans. - Na prowizję może bym i przystał, ale co będzie, jeśli załatwię ci gdzieś występ, a ty właśnie będziesz zajęta filmem? Poniesiemy stratę.

Cross westchnął i powiedział niemal smutno:

- Tolly, chcę, żebyś zwolnił dziewczynę z tego kontraktu. To prośba. Nasz hotel prowadzi z wami interesy. Zrób to dla mnie.

Nevans trochę się stropił. Zawołał niemal płaczliwie:

- Chętnie bym to dla ciebie zrobił, Cross, ale najpierw musiałbym porozumieć się z moimi współnikami. - Przerwał na chwilę. - Może by mi się udało namówić ich na przyjęcie odszkodowania.

- Co to, to nie - odparł Cross. - Proszę cię o przysługę. Nie o przyjęcie odszkodowania. I chcę usłyszeć odpowiedź natychmiast, żebym mógł spokojnie zagrać partyjkę golfa. - Umilkł, a po chwili dodał: - Powiedz tylko, tak czy nie.

Claudia była zszokowana zmianą, jak się dokonała w jego zachowaniu. Nie, nie straszyl i nie groził, lecz wydawało się, że nagle stracił całe zainteresowanie Loretą i Nevansem. Nevans natomiast był wyraźnie zdenerwowany.

W końcu powiedział:

- Ale to nie jest sprawiedliwe. - Popatrzył z wyrzutem na Loretę, ona zaś spuściła oczy.

Cross ujął w palce daszek baseballowej czapki i pokręcił nią w obie strony.

- To tylko prośba. Możesz odmówić. Decyzja należy do ciebie.

- W porządku, Cross - zaczął się wycofywać Nevans. - Nie miałem pojęcia, że tak ci na tym zależy. Gdybym wiedział, że jesteście przyjaciółmi...

W Crossie zaszła kolejna zmiana. Pochylił się i serdecznie objął Tolly'ego. Na jego twarzy wykwitł uśmiech. Ależ ten drań jest przystojny, pomyślała Claudia. A potem powiedział głosem, w którym słyhać było wdzięczność:

- Nigdy ci tego nie zapomnę, Tolly. Słuchaj, możesz wprowadzić do kabaretu w „Xanadu”, kogo będziesz chciał, na swoich warunkach. Na jeden wieczór załatwię, żeby nasza scena była wyłącznie do dyspozycji artystek przez ciebie poleconych, a ciebie i twoich partnerów zapraszam na kolację. Zadzwoni. Uprzedzę, żeby łączono cię ze mną bezpośrednio. Okej?

Claudia uświadomiła sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, Cross celowo pokazał, ile tu znaczy. Po drugie, zaproponował Nevansowi, że częściowo zrekompensuje jego straty, ale dopiero gdy tamten się poddał, nie wcześniej. Tolly Nevans na jeden wielki wieczór zostanie

kierownikiem kabaretu w hotelu „Xanadu”.

Ponadto Claudia uświadomiła sobie, że Cross, pozwalając jej być świadkiem tej rozmowy, dał jej dowód swej miłości i pokazał, że ta miłość ma materialny wymiar. A ona nagle ze zdziwieniem zauważyła, że pięknie ukształtowana twarz brata, rysy, których zazdrościła mu w dzieciństwie, zmysłowe wargi, idealny nos, owalne oczy, wszystko to stwardniało. Odnosiła wrażenie, że patrzy na marmurową starożytną rzeźbę.

Claudia zjechała z Pacific Coast Highway i skierowała się ku bramie Malibu Colony. Bardzo lubiła tę osadę - domy przy samej plaży, ocean połyskujący tuż pod ich oknami. W oddali znów zobaczyła odbicie gór w wodzie. Zatrzymała samochód przed posiadłością Atheny.

Boz Skannet leżał na plaży publicznej nieopodal ogrodzenia Malibu Colony. Ogrodzenie to, zwykła siatka druciana, wchodziło kilka metrów w ocean. Ale była to tylko pozorna bariera. Bez trudu dawało się ją opłynąć.

Boz szykował się do następnego ataku na Athenę. Dziś przeprowadzał tylko rekonesans, wybrał się więc na plażę ubrany w kąpielówki, bawełnianą koszulkę i spodenki tenisowe. W torbie plażowej, a właściwie w torbie tenisowej, miał owiniętą w ręcznik fiolkę kwasu.

Ze swego stanowiska na plaży mógł obserwować przez oczko w siatce dom Atheny. Po plaży spacerowało dwóch ochroniarzy. Byli uzbrojeni. Skoro tył domu obstawiono, to front tym bardziej. Dałby im radę, ale nie chciał wyjść na szaleńca, który atakuje wszystkich na swej drodze. To by podważyło zasadność jego ataku na Athenę.

Zdjął spodenki i koszulkę, wyciągnął się na kocu i spod przymkniętych powiek patrzył na błękitną płachtę oceanu. Ciepło go rozleniwiało. Myślami krążył wokół Atheny.

Kiedyś w college’u wysłuchał wykładu o esejach Emersona. Profesor przytoczył cytat: „Piękno jest pretekstem dla samego siebie”. Jaki Emerson? Jakie piękno? Tu przecież chodzi o Athenę.

Rzadko człowiek spotyka kobiety, które nie dość, że są piękne, to jeszcze mają mnóstwo innych zalet. Jak Thena. Tak ją zdrobniale nazywano, kiedy była małą dziewczynką.

Dawno temu kochał ją na zabój i wyobrażał sobie, że z wzajemnością. Nie mógł uwierzyć, że życie może być takie przyjemne. A potem wszystko powolutku zaczęło się psuć.

Jak ona śmie być taka idealna? Jak ona śmie wymagać, żeby ją kochano? Jak ona śmie zmuszać ludzi do miłości? Nie zdaje sobie sprawy, że to niebezpieczne?

A on? Co się z nim stało? Dlaczego jego miłość przerodziła się w nienawiść? Na to ostatnie pytanie przypadkiem znał odpowiedź. Po prostu zrozumiał, że nie będzie jej miał do

końca życia, że pewnego pięknego dnia ją utraci. Że Athena pewnego dnia pójdzie do łóżka z innym mężczyzną i opuści ich wspólny raj. I nawet się za siebie nie obejrzy.

Raptem poczuł cień na twarzy i otworzył oczy. Zobaczył nad sobą wysokiego, dobrze zbudowanego i dobrze ubranego mężczyznę ze składanym krzeselkiem w ręku. Poznał go. To Jim Losey, policjant, który go przesłuchiwał, po aresztowaniu za oblanie Theny wodą.

- Cóż za zbieg okoliczności, że obaj opalamy się na tej samej plaży - wycedził Boz, mrużąc oczy od słońca. - Czego, do jasnej cholery, pan tutaj szuka?

Losey rozłożył krzeselko i usiadł.

- Dostałem ten mebel od byłej żony. Pomyślała, że może mi się przydać, skoro przesłuchuję i aresztuję tylu plażowiczów. - Popatrzył na Boza Skanetta prawie z sympatią. - Chcę zadać panu kilka pytań. Po pierwsze, co pan robi tak blisko domu Atheny Aquitane? Złamał pan zakaz sędziego.

- To plaża publiczna, od domu Atheny dzieli mnie siatka, jestem w kąpielówkach. Czy wyglądam na zamachowca?

Losey uśmiechnął się.

- Wie, pan - powiedział - gdybym ja był jej mężem, też starałbym się trzymać jak najbliżej. Pozwoli mi pan zajrzeć do tej torby?

Boz wsadził sobie torbę pod głowę.

- Jeszcze czego - burknął. - Najpierw musiałbym zobaczyć nakaz.

Losey popatrzył na niego przyjaźnie.

- Niech mnie pan nie zmusza, żebym pana aresztował - odparł. - Mogę też panu przyłożyć i zabrać torbę siłą.

Te słowa pobudziły Boza do działania. Zerwał się na równe nogi, podstawił torbę Loseyowi pod nos i natychmiast ją odsunął.

- Spróbuj tylko włożyć do niej łapę - warknął.

Jim Losey był zaskoczony. Nigdy dotąd nie spotkał takiego twardziela. W każdej innej sytuacji wyciągnąłby pałkę lub pistolet i zrobiłby z faceta marmoladę. Może to piasek pod stopami, a może nieustraszona mina Skanneta sprawiały, że nie czuł się najpewniej.

Boz uśmiechał się do niego.

- Będziesz musiał mnie najpierw zastrzelić - zagroził. - Koleś, jestem od ciebie silniejszy. I równie wysoki. Jeśli jednak mnie zastrzelisz, nie będziesz mógł postawić mnie przed sądem.

Losey podziwiał logikę jego rozumowania. Nie chciało mu się z nim bić, a do wyciągnięcia broni nie było podstaw.

- Dobra - poddał się. Złożył krzeselko i już miał odejść, ale jeszcze się odwrócił. - Prawdziwy twardziel z ciebie - stwierdził. - Tym razem wygrałeś, ale uważaj, bo mogę postawić cię przed sądem. Nie zmierzyłem tej odległości, więc nie wiem, czy pogwałciłeś zakaz sędziego.

Boz roześmiał się.

- Nie pogwałciłem, nie bój się, koleś.

Odprowadził go wzrokiem do samochodu. Kiedy Jim Losey odjechał, Skannet wrzucił koc do torby i też poszedł do samochodu. Schował torbę do bagażnika, a kluczyk od stacyjki zdjął z kółka i wsunął pod fotel kierowcy. Po czym wrócił na plażę, żeby opłynąć ogrodzenie.

Rozdział piąty

Sławę Athena Aquitane osiągnęła w tradycyjny sposób, który na ogół ludziom nie imponuje. Przygotowywała się do niej długo i starannie - uczęszczała do szkoły aktorskiej, na kursy tańca i ruchu, brała lekcje śpiewu, czytała dramaty, słowem, nie przeoczyła żadnego istotnego elementu wykształcenia aktorskiego.

Do tego doszła pańszczyzna, czyli wydeptywanie ścieżek do agentów, reżyserów, asystentów reżyserów, nieco lubieżnych producentów, znoszenie końskich zalotów kierowników wytwórni i prezesów.

Przez pierwszy rok zarabiała na życie, występując głównie w reklamówkach, czasem jako modelka, a ściślej, kuso odziana hostessa na wystawach samochodowych. Ale to tylko przez pierwszy rok, bo potem już jej zdolności aktorskie zaczęły dawać owoce. Miała kochanków, którzy zarzucali ją biżuterią i pieniędzmi. Niektórzy nawet oświadczyli się. Romanse te trwały krótko i kończyły się rozstaniem w przyjaźni.

Athena zносиła swój los pogodnie, nawet wtedy, gdy nabywca rolls-royce'a wyobrażał sobie, że kupił ją wraz z samochodem. Usadzała go dowcipem, że za nią musiałby zapłacić drugie tyle. Lubiła mężczyzn, seks sprawiał jej przyjemność, ale traktowała go jak deser lub nagrodę. Mężczyźni nie liczyli się w jej życiu.

Prawdę mówiąc, poza graniem nic się nie liczyło. Ważna była jeszcze tylko tajemnica, którą w sobie nosiła, ta świadomość, że świat jest okropny, ale aktorstwo przedkładała nad wszystko inne. Oczywiście nie te drobne rólki w filmach pozwalające utrzymać się przy życiu, ale duże role w dobrych sztukach wystawianych przez miejscowe teatry, a potem przez „Mark Taper Forum”, który otworzył jej drogę do filmu.

Czuła, że żyje tylko wtedy, gdy się wciela w jakąś postać - jej życie codzienne nie wyróżniało się niczym szczególnym. Owszem, urozmaicała je romansami, ale te były dla niej taką samą nudną rozrywką, jak gra w golfa i w tenisa z przyjaciółmi czy też jądanie z nimi

kolacji.

Prawdziwe życie toczyło się wyłącznie w tym podobnym do katedry teatrze, gdzie nakładając charakteryzację, dodając jakiś kolorowy akcent do kostiumu, krzywiąc twarz od emocji towarzyszących wypowiedanej w myślach kwestii, a potem spoglądając w głęboką czerń widowni (Bóg ukazał wreszcie swe oblicze!), wadziła się z przeznaczeniem. Płakała, zakochiwała się, krzyczała z bólu, potajemnie grzeszyła, błagała o przebaczenie, a czasami doświadczała wielkiej radości z odnalezionego szczęścia.

Jeśli pragnęła sławy i sukcesu, to tylko po to, by pogrzebać przeszłość, wymazać z pamięci obraz Boza Skanneta i dziecka, które mieli razem, zapomnieć o swej urodzie, którą odczuwała jak dar przewrotnej wróżki.

Wzorem wszystkich artystów łaknęła uwielbienia. Wiedziała, że jest nie tylko piękna (trudno, żeby nie wiedziała, skoro ciągle zachwycano się jej urodą), ale również inteligentna. I od początku wierzyła w siebie. Nie spodziewała się jednak, w każdym razie na początku, że posiada niespożyte zgoła siły i wielką zdolność koncentracji. Oraz niepohamowaną ciekawość. Słowem, zadatki na geniusza.

Athena miała dwie pasje - aktorstwo i muzykę, i aby móc oddać im się bez reszty, opanowała do perfekcji inne umiejętności. Nauczyła się naprawiać samochód i gotować, przodowała w sportach. Studiowała seks w literaturze i w życiu, rozumiejąc, jak ważna jest to umiejętność w zawodzie, który wybrała.

Miała jedną jedyną słabość. Nie znosiła zadawać bólu bliźnim, a ponieważ w życiu nie da się tego uniknąć, nie była szczęśliwa. Równocześnie posiadała zmysł praktyczny i właśnie dzięki niemu osiągnęła pozycję gwiazdy pierwszej wielkości, którą chętnie wykorzystywała. Kiedy chciała, potrafiła być równie zimna, co piękna. Mężczyźni stawali na głowie, żeby wystąpiła w ich filmach, spełniali wszystkie jej zachcianki, byle tylko się z nią przespać. Athena decydowała, kto będzie reżyserował film, w którym miała zagrać, i kto będzie jej partnerował. Dopuszczała się drobnych niegodziwości, łamała konwenanse, nie przestrzegała prawie żadnych zasad moralnych, ale czy ktoś wiedział, jaka jest naprawdę? Charakteryzowała się enigmatycznością wszystkich gwiazd pierwszej wielkości, miała dwie twarze i nikt nie był w stanie stwierdzić, kiedy jest naprawdę sobą - w życiu czy na ekranie?

Jednakże to wszystko plus powszechne uwielbienie jej nie wystarczało. Była świadoma swej wewnętrznej brzydoty. Jedna osoba na świecie jej nie kochała. I to ją bardzo bolało. Aktorka należy bowiem do stworzeń, które cierpią, jeśli obok stu pozytywnych recenzji dostaną choćby jedną negatywną.

Przy końcu piątego roku pobytu w Los Angeles Athena otrzymała pierwszą dużą rolę

filmową i odniosła ogromny sukces.

Jak wszyscy odtwórcy głównych ról Steven Stallings miał dużo do powiedzenia w sprawie partnerek. Athenę zobaczył w „Mark Taper Forum” i od razu się poznał na jej talencie. A że pociągała go fizycznie, postanowił ściągnąć ją do swego kolejnego filmu.

Athena była mile zaskoczona. Wiedziała, że ma przed sobą wielką szansę, ale nie wiedziała, w każdym razie na początku, dlaczego ją właśnie wybrano. Oświecił ją dopiero agent Melo Stuart.

Siedzieli w jego przepięknie urządzonej gabinecie, pełnym orientalnych bibelotów, dywanów przetykanych złotą nicią, ciężkich, wygodnych mebli - przy sztucznym świetle, bo grube kotary w oknach skutecznie odcinały światło dzienne. Melo nie lubił chodzić na lunch do restauracji, wolał napić się angielskiej herbaty i zjeść kilka małych kanapek. (Miał przy tym zwyczaj mówić z pełnymi ustami.) Do restauracji zabierał tylko najszlachetniejszych klientów.

- Ta rola ci się słusznie należy - tłumaczył Athenie. - Jesteś bardzo utalentowana. Ale ponieważ przybyłaś do tego miasta zaledwie kilka lat temu i mimo całej swej inteligencji jesteś trochę naiwna, opowiem ci, jak do tego doszło, że ci ją zaproponowano. Tylko się nie obraż. - Przerwał na moment. - Zwykle o tym nie mówię, normalnie nie ma takiej potrzeby.

- Ale ja jestem trochę naiwna - odpowiedziała z uśmiechem.

- No, może nie naiwna - wycofywał się Melo - tylko tak skupiona na pracy, że z wielu rzeczy nie zdajesz sobie sprawy.

Athena była rozbawiona.

- Zamieniam się w słuch.

- Otóż zadzwonił do mnie agent Stallingsa - zaczął Melo - i powiedział, że Stallings widział Cię w „Taper”. Zrobiłaś na nim takie wrażenie, że uparł się, byś zagrała z nim w filmie. Po agencji Stallingsa zadzwonił do mnie producent i ustaliliśmy warunki. Dwieście tysięcy dolarów, jednorazowo, żadnych tantiem, te dostaje się później, żadnych zobowiązań na przyszłość. To naprawdę dobry kontrakt jak dla ciebie.

- Dzięki - odparła Athena.

- Może nie powinienem ci tego mówić, ale Steven ma zwyczaj zakochiwania się w swych partnerkach. Szczerze mówiąc, to jego specjalność.

- Och, nie plotkuj.

- Uznałem, że powinienem cię uprzedzić - przestrzegł ją Melo.

Patrzył na nią z troską. On sam, zazwyczaj tak nieczuły, zadurzył się w Athenie już od pierwszej chwili, ale ponieważ nigdy go nie kokietowała, pomyślał, że lepiej nie zdradzać się

ze swymi uczuciami. Zresztą była zbyt cennym nabytkiem, by miał ją stracić przez głupie amory.

- Czy dajesz mi do zrozumienia, że powinnam usiąść mu na kolanach, jak tylko zostaniemy sami? - spytała sucho. - Nie wystarczy, że mam talent?

- Rzecz nie w talencie - odparł Melo. - Zresztą nikt ci go nie odmawia, ale chyba wiesz, jak się zostaje gwiazdą filmową. Otóż trzeba w odpowiednim momencie dostać odpowiednią rolę. To właśnie jest ta odpowiednia rola. Lepiej nie przegap szansy. Czemu odrzuca cię myśl o zakochaniu się w Stevenie Stallingsie? Wzdycha do niego sto milionów kobiet na całym świecie. Powinno być ci bardzo miło, że wybierze ciebie.

- Będzie mi bardzo miło - powiedziała chłodno Athena. - Ale co mam zrobić, jeśli mi się nie spodoba?

Melo wepchnął do ust kolejną kanapkę i spytał:

- Czemu miałby ci się nie spodobać? Mówię ci, to całkiem miły gość. Przynajmniej z nim flirtuj, dopóki nie nakręcą tyle filmu, że nie będą mogli cię zwolnić.

- Nie dopuszczasz możliwości, że nie będą chcieli mnie zwolnić? - spytała Athena.

Melo westchnął.

- Steven nigdy tak długo nie czeka. Jeśli nie zakochasz się w nim przez pierwsze trzy dni, możesz się pożegnać z filmem.

- To dziś nazywa się molestowaniem seksualnym - zauważyła Athena ze śmiechem.

- W tej branży to nic zdrożnego - stwierdził Melo. - W końcu i tak tylko sprzedajesz swe ciało.

- Chodzi mi tylko o to zakochanie się. Czy nie wystarczy, że pójdę z nim do łóżka?

- Do łóżka to z nim każda pójdzie. On się w tobie zakocha i będzie liczyć na wzajemność. Przez czas kręcenia filmu. - Westchnął ponownie. - Potem się odkochacie, bo oboje będziecie bardzo zapracowani. Zakochanie się w nim nie uwłacza twojej godności, Atheno. Gwiazdor, czyli Steven, deklaruje swoje zainteresowanie. Obiekt, czyli ty, rewanżuje się tym samym lub okazuje brak zainteresowania tym zainteresowaniem. Steven pierwszego dnia wyśle ci kwiaty. Po próbie zaprosi cię na kolację i wspólne studiowanie scenariusza. Nie ma w tym nic zdrożnego. Poza tym, że jeśli nie przyjmiesz zaproszenia, wylecisz z filmu. Nie będę mógł nic zrobić, bo zapłacą ci pełne odszkodowanie.

- Melo, nie sądzisz, że jestem na tyle dobra, że nie muszę sprzedawać ciała? - spytała Athena z lekką pretensją w głosie.

- Oczywiście, że jesteś dobra - zapewnił Melo. - Jesteś młoda, masz tylko dwadzieścia pięć lat. Możesz czekać dwa, trzy, a nawet cztery czy pięć lat. Wierzę bez zastrzeżeń w twój

talent. Ale daj mu szansę. Publiczność uwielbia Stevena.

Wszystko odbyło się tak, jak przewidział Melo Stuart. Pierwszego dnia Athena dostała bukiet. Następnego próbowali z całą grupą. Film był tragikomedią, widzowie powinni śmiać się przez łzy, a to najtrudniej osiągnąć. Athena była pod wielkim wrażeniem aktorstwa Stevena Stallingsa. Czytał swą rolę monotonicznie, bez deklamowania, a mimo to jego kwestie żyły. Z różnych możliwych tonacji zawsze wybierał właściwą. Próbowali jedną scenę na dwanaście różnych sposobów, wchodzili sobie w nastrój, dawali się prowadzić jedni drugim, jak w tańcu. Na końcu Stallings mruknął: „świetnie, świetnie” i uśmiechnął się do niej z uznaniem. Czysto zawodowym.

Dopiero na końcu włączył swój czar.

- Sądzę, że dzięki tobie będzie to wspaniały film - powiedział. - Czy zgodzisz się, żebyśmy spotkali się wieczorem i przestudiowali scenariusz? - Przerwał na chwilę, po czym uśmiechając się jak chłopiec, dodał: - Dobrze nam razem szło.

- Gdzie i kiedy się spotkamy? - spytała rzeczowo Athena.

Na twarzy Stevena odmalowało się udawane niezdecydowanie.

- Och, nie wiem - zastanowił się. - Może ty masz jakiś pomysł?

W tym momencie Athena postanowiła, że weźmie na siebie jego rolę i odegra ją profesjonalnie. On był wielkim gwiazdorem. Ona nowicjuską. On tu rządził, więc jej obowiązkiem było go zadowolić. W uszach dźwięczały jej słowa Mela: „...poczekasz dwa, trzy lub cztery, pięć lat”. Nie mogła czekać.

- Może u mnie? - zaproponowała. - Zrobię jakąś prostą kolację, żebyśmy jedząc, mogli pracować... O siódmej?

Będąc perfekcjonistką, Athena przygotowała się do tego wzajemnego uwiedzenia zarówno psychicznie, jak i fizycznie. Uznała, że kolacja musi być lekka, żeby nie przeszkodziła im ani w pracy, ani w wyczynach seksualnych. Normalnie Athena nie piła alkoholu, tym razem kupiła jednak butelkę białego wina. Pomyślała, że posiłek powinien świadczyć o jej talentach kulinarnych - przygotowuje go w czasie, gdy będą pracować nad rolą.

Teraz sprawa ubrania. Uwiedzenie miało się odbyć niby przypadkowo, bez rozmysłu. Nie powinna go więc ani zachęcać, ani zniechęcać. Jako aktor Steven będzie szukał znaków.

Wybrała spłowiałe dzinsy, które uwydatniały jej kształtne pośladki, a marmurkowy rozbielony błękit sprawiał, że wyglądała ponętnie i wesoło. Bez paska. Co zaś do góry, to stwierdziła, że najlepsza będzie jedwabna plisowana biała bluzka, bez dekoltu, za to z prześwitującego materiału, pozwalającego się domyślić mlecznobiałych piersi pod spodem. Do uszu przypięła małe okrągłe klipsy, zielone dla podkreślenia koloru oczu. Stwierdziła

jednak, że wciąż wygląda trochę nazbyt surowo, nieprzystępnie. To mogło obudzić w nim wątpliwości. Nagle przyszła jej do głowy genialna myśl - przywita go bosso! Wobec tego pomalowała paznokcie u nóg szkarłatnym lakierem.

Steven Stallings przyniósł butelkę czerwonego wina, może nie z tych najdroższych, ale w granicach przyzwoitości. On też był ubrany jak do pracy - wypchnięte na kolanach sztruksowe brązowe spodnie, niebieska dżinsowa koszula, białe tenisówki. Czarne włosy przeczesane niedbale szczotką, pod pachą scenariusz, pozakładany poważnie wyglądającymi żółtymi fiszkami. Jedyne, co zdradzało Stevena, to ciągnąca się za nim smużka zapachu wody kolońskiej.

Zasiedli przy kuchennym stole. Obowiązkowo pochwalili dania. Jedząc, kartkowali scenariusze, porównywali zapiski, likwidowali chropowatości dialogów.

Po kolacji przenieśli się do salonu i próbowali sceny, które wcześniej uznali za trudniejsze. Przez cały czas byli bardzo świadomi siebie, co wyraźnie odbijało się na ich pracy.

Athena stwierdziła, że Steven Stallings jest świetnym aktorem. Bardzo profesjonalnym. W jego spojrzeniu czytała zachwyt jej urodą, podziw dla jej talentu i mistrzostwa gry. Na końcu spytał, czy nie jest zbyt zmęczona na przeciwczenie głównej sceny miłosnej.

Do tego czasu zdążyli już strawić kolację. Do tego czasu zaprzyjaźnili się jak bohaterowie kręconego filmu. Odegrali scenę miłosną, w której Steven pocałował ją lekko w usta, ale nic poza tym. Po pierwszym cnotliwym pocałunku spojrzał jej głęboko w oczy i idealnie ochryłym głosem wyznał:

- Miałem na to ochotę od chwili, w której cię ujrzałem.

Athena wytrzymała jego wzrok. Po chwili przyciągnęła go do siebie i pocałowała cnotliwie. Konieczny sygnał. Zareagował z namietnością, która zdumiała ich oboje. Był lepszym aktorem, niż sądziła. Rozbierał ją z wielką znajomością rzeczy, głaszcząc i sondując. Kiedy językiem poślaskotał wewnątrz jej ud, ciało Atheny przebiegł rozkoszny dreszcz. To wcale nie jest takie straszne, pomyślała, gdy przenieśli się do sypialni. Na klasycznej, nieprawdopodobnie przystojnej twarzy Stevena malowała się namietność inna niż ta, którą udawał w filmach - namietność granicząca z rozpustą. Na ekranie był zwykle bardziej uduchowiony.

Teraz Athena wcieliła się w kobietę opętaną fizyczną namietnością. Synchronizacja wypadła idealnie - szczytowali oboje w tej samej oślepiającej chwili. Potem leżeli wyczerpani i zastanawiali się głośno, jak ta scena wypadłaby na filmie. Doszli do wniosku, że fatalnie.

Nie oddawała ich charakterów i nie posuwała historii do przodu. Brakowało im czułości towarzyszącej prawdziwej miłości czy choćby tylko prawdziwemu pożądaniu. Trzeba by powtórzyć ujęcie.

Steven Stallings zakochał się, ale u niego to normalne. Athena, mimo że w pewnym sensie została zgwałcona, cieszyła się z rozwoju wypadków. Jediną ciemną stroną tej historii była kwestia przymuszenia. Z drugiej strony, każdy wie, że w życiu czasem trzeba pójść na ustępstwo, oczywiście w rozsądnych granicach.

Steven był szczęśliwy, że wszystko ułożyło się po jego myśli. Znalazł dobrą partnerkę. Zanosilo się, że pewien czas spędzą razem, a to załatwiało sprawę jego potrzeb erotycznych. Naprawdę, rzadko zdarzało mu się spotkać kobietę obdarzoną talentem i urodą, a do tego tak dobrą w łóżku. I, oczywiście, na zabój w nim zakochaną, co po skończeniu filmu może okazać się nieco kłopotliwe.

To, co zdarzyło się potem, scementowało ich miłość. Powiedzieli: „Wracajmy do pracy”, i wyskoczyli z łóżka. Wzięli scenariusze i, nadzy, zabrali się znowu do czytania.

W końcu Steven wciągnął łososiowe gatki. Athena skrzywiła się w duchu. Gatki zostały tak skrojone, by uwydatniać jego pośladki i doprowadzać do ekstazy liczne wielbicielki. Inny zgrzyt: Steven pochwalił się, że użył prezerwatywy wykonanej specjalnie dla niego w fabryce, w którą zainwestował. Prezerwatywa była prawie niewyczuwalna. A przy tym absolutnie bezpieczna. Spytał Athene, która z nazw, jej zdaniem, brzmi lepiej - Ekskalibur czy Król Artur? Jemu podobał się Król Artur. Athena udała, że się zastanawia.

A potem powiedziała z udaną powagą:

- Na twoim miejscu wymyśliłabym coś bardziej politycznie chwytliwego.

- Masz rację - zgodził się. - Produkcja tych prezerwatyw kosztuje tyle, że dobrze by było, gdyby kupowały je również kobiety. Jako sloganu reklamowego użyjemy sformułowania: „Tych prezerwatyw używa świat filmu”. Może więc niech się nazywają: „Oscar”.

Zarówno film, jak i romans udały się im nadzwyczajnie. Athena zdobyła sławę. Wszystkie filmy, które potem nakręciła, tylko ją ugruntowywały.

Romans był udany, ale jak większość romansów między aktorami nie potrwał długo. Steven i Athena kochali się przykładnie, jednak o trwałym związku nie mogło być mowy - ze względu na jego sławę i jej ambicje. Każde z nich musiało się pilnować, żeby się nie zaangażować bardziej od partnera. Reszty dokonała geografia. Romans się skończył, kiedy wspólna praca dobiegła końca. Następny film Athena kręciła w Indiach, a Steven we Włoszech. Oczywiście przez pewien czas telefonowali do siebie, na Boże Narodzenie posłali

sobie życzenia i prezenty i nawet polecili na Hawaje, by spędzić tam razem upojny weekend. Ale plan filmowy ma w sobie coś z atmosfery dworu króla Artura - zdobywanie sławy i pieniędzy przypomina poszukiwanie świętego Graala. A to się robi w pojedynkę.

Niektórzy sądzą, że Athena i Steven się pobiorą. Małżeństwo jednak nie wchodziło w grę. Athena cały czas widziała komiczną stronę tego związku. Musiała się powstrzymywać od śmiechu, tym bardziej że za wszelką cenę chciała wypaść na bardziej zakochaną od Stevena. A on odgrywał rolę szczerego, żarliwego i wrażliwego kochanka, tak jak w filmach.

Jego uroda, choć miła dla oka, po pewnym czasie znudziła Athenę. Steven używał narkotyków i alkoholu, acz nader dyskretnie. Poprawiały mu samopoczucie. Dzięki nim nie miał humorów jak inni sławni aktorzy.

Gwoli ścisłości trzeba dodać, że Steven pewnego dnia zaproponował Athenie małżeństwo. Obróciła rzecz w żart i odprawiła go z kwitkiem. Nie przepuszczał niczemu, co się rusza - na planie, w Hollywood, a nawet w klinice rehabilitacyjnej, do której trafił, gdy w końcu przestał panować nad narkotykami. Nie był mężczyzną, z którym chciałaby spędzać mniej ważną część swego życia.

Steven całkiem dzielnie zniósł jej odmowę. Oświadczyły tylko chwilową słabością, wynikającą z nadużycia kokainy. Bodaj nawet odczuł ulgę.

Minęło pięć lat. W tym czasie Athena stała się sławna, gwiazda Stevena natomiast bardzo zbladła. Wprawdzie dla swych wielbicielek wciąż był idolem, ale do filmów miał ostatnio wyraźnego pecha. Nie mówiąc o tym, że z powodu narkotyków i alkoholu opuścił się w pracy. Przez Mela Stuarda zwrócił się do Atheny, żeby mu załatwiła główną rolę męską w Messalinie. Jajo przerosło kurę. Athena chętnie spełniła jego prośbę. Poza perwersyjnym poczuciem wdzięczności kierowało nią przeświadczenie, że się do tej roli naprawdę nadawał. Zaznaczyła przy tym, że nie wymaga, by poszedł z nią do łóżka.

W ciągu minionych pięciu lat Athena miała kilka krótkich romansów. Między innymi z młodym producentem, Kevinem Marrionem, jedynym synem Eliego Marriona.

Kevin Marrion był w jej wieku, ale w branży filmowej uchodził za weterana. Gdy miał dwadzieścia jeden lat, wyprodukował swój pierwszy film. Film zrobił furorę. Na fali sukcesu, który przewrócił mu w głowie, Kevin Marrion wyprodukował trzy chały. Jeśli jeszcze go tolerowano, to tylko ze względu na ojca.

Kevin Marrion był niezmiernie przystojny. Trudno się temu dziwić - pierwsza żona Eliego Marriona uchodziła za jedną z najpiękniejszych kobiet w Hollywood. Niestety, nie był fotogeniczny i przepadał na wszystkich zdjęciach próbnych. Dlatego zajął się produkcją filmów.

Athena poznała go, gdy zwrócił się do niej z propozycją, żeby zagrała u niego główną rolę. Słuchała go z mieszanymi uczuciami; sprawiał wrażenie nawiedzonego.

- Tak wspaniałego scenariusza w życiu nie czytałem - mówił. - Szczerze ci powiem, pomagałem go pisać. Atheno, jesteś jedyną aktorką na świecie godną tej roli. Mógłbym mieć każdą, ale chcę właśnie ciebie. - Spojrzał na nią smutno.

Athena nie mogła pojąć, czemu ten scenariusz tak go zachwyił. Historia opowiadała o bezdomnej kobiecie, która grzebiąc w śmietniku, natrafiła na niemowlę. I tak to ją wzburzyło, że została przywódczynią bezdomnych w Ameryce. Przez pół filmu pchała buchnięty z supermarketu wózek ze swym dobytkiem. Ciężko doświadczona przez alkohol, narkotyki, głód, gwałty i walkę z bezdusznymi urzędnikami o znalezione dziecko, startuje w wyborach na prezydenta Stanów Zjednoczonych jako niezależna kandydatka i rzecz jasna przegrywa. Tej klasy był to scenariusz.

Zdumienie Atheny stopniowo przeszło w przerażenie. Miałaby wcielić się w bezdomną, zdesperowaną nędzarke? O, Boże. Ten scenariusz to jakaś sentymentalna bzdura, napisana w sposób urągający elementarnym zasadom dramaturgii. Beznadziejna chała.

Kevin powiedział:

- Jeśli zagrasz tę rolę, umrę szczęśliwy.

Chyba mu odbiło, pomyślała. Miała przed sobą bardzo ważnego producenta. Szalenie przejętego swą misją. Zrozpaczona poszukała wzrokiem pomocy u Mela Stuarta. Skinął do niej zachęcająco. Athenę zamurowało.

- Świetne. Cudowny pomysł. Bardzo klasyczny. Upadek i podźwignięcie się. Podźwignięcie się i upadek. Dramat, jak się patrzy. Ale wiesz, Kevin, Athena, musi się zastanowić nad koncepcją postaci. Pozwól, że najpierw przeczytamy scenariusz, a potem do ciebie zadzwonimy - odezwał się.

- Oczywiście - zgodził się Kevin i wręczył im po egzemplarzu. - Wiem, że będziecie zachwyceni.

Melo zaprosił Athenę do małej tajskiej restauracji przy Melrose. Zamówili jedzenie i zaczęli kartkować scenariusz.

- Ja się chyba zabiję - zawołała Athena. - Kevin jest niedorozwinięty.

- Wciąż mało rozumiesz - odparł Melo. - Kevin nie jest niedorozwinięty, tylko robi coś, do czego się kompletnie nie nadaje. Widywałem gorsze przypadki.

- Żartujesz? Daj jakiś przykład.

- Trudno mi tak z marszu. Jesteś wystarczająco wielką aktorką, żeby powiedzieć „nie”, ale jeszcze nie stać cię na robienie sobie wrogów.

- W tym przypadku Eli Marrion nie weźmie strony syna. Jest na to za inteligentny - stwierdziła Athena. - Musi zdawać sobie sprawę, że to straszna szmira.

- Na pewno - zgodził się Melo. - Słyszałem, jak mówił, że jego syn robi komercyjne filmy, które przynoszą takie same straty, jak ambitne filmy jego córki. My, w przeciwieństwie do niego, nie musimy utrzymywać jego dzieci. Odmówimy. Tylko że jest tu pewien haczyk. Otóż LoddStone Studios nabyły prawa do wielkiej powieści, w której jest rola w sam raz dla ciebie. Jeśli splawisz Kevina, mogą ci jej nie zaproponować.

Athena wzruszyła ramionami.

- Trudno.

- Może zgódź się na obie role, zaznaczając, że pierwsza ma być powieść. Potem znajdziemy jakiś sposób, żeby cię wyreklamować z filmu Kevina.

- Uważasz, że w ten sposób nie narobię sobie wrogów? - spytała Athena z uśmiechem.

- Pierwszy film będzie tak wspaniały, że nie będzie to miało znaczenia. A potem będziesz mogła sobie pozwolić na zrażenie tego i owego.

- Jesteś pewny, że zdołam się wykręcić od grania w filmie Kevina? - spytała Athena.

- Wyciągnę cię z tego. Jeśli nie, możesz mnie zwolnić - powiedział Melo. Umówił się już w tej sprawie z Elim Marrionem, który nie potrafił wprost odmówić synowi, wymyślił więc salomonowe wyjście z kłopotliwej sytuacji. Wolał, żeby Kevin winił Mela i Athenę. Melo nie miał nic przeciwko temu. Branie winy na siebie należało do jego zawodu.

Początkowo wszystko szło zgodnie z planem. Pierwsza rola w filmie na podstawie powieści uczyniła Athenę gwiazdą pierwszej wielkości. Niestety, sprawa drugiego filmu miała takie konsekwencje, że Athena postanowiła odtąd żyć w celibacie.

Podczas próbnych zdjęć do filmu, który nie miał dojść do skutku, Kevin zgodnie z przewidywaniami zakochał się w Athenie. Jak na producenta był stosunkowo niewinnym młodzieńcem i o względy Atheny zabiegał z istic chłopięcym zapałem. Wzruszała ją też jego wrażliwość na sprawy społeczne. Pewnego wieczora w chwili słabości, podyktowanej poczuciem winy, Athena wzięła go do łóżka. Było tak przyjemnie, że Kevin natychmiast się jej oświadczył.

Wcześniej Athenie i Melowi udało się zaangażować Claudię De Lena do przerobienia scenariusza. Ale Kevin wyrzucił ją na pysk, krzycząc, że zrobiła z tragedii farsę. Miał kompletnego fioła na punkcie swego scenariusza.

Dla Atheny ten romans był wygodny. Pasował do sytuacji. Podobał jej się entuzjazm Kevina w łóżku. Nie mówiąc o jego pomysły, żeby się pobrali i to bez sporządzenia umowy przedmałżeńskiej. To było coś, zwłaszcza że Kevin miał w przyszłości odziedziczyć

LoddStone Studios.

Ale pewnego wieczora, słuchając jego długiego monologu na temat filmów, które mieli w przyszłości razem robić, Athena nagle pomyślała: „Ja tego dłużej nie zniosę”. Jak wielu spokojnych ludzi, doprowadzona do ostateczności nie wytrzymała nerwowo i postanowiła raz na zawsze z tym skończyć. Jednym tchem wygarnęła Kevinowi, że nie tylko nie wyjdzie za niego za męża, ale nie będzie z nim więcej sypiała i nie wystąpi w jego filmie.

Kevina zatkało.

- Mamy kontrakt - wyjąkał po chwili. - Nie pozwolę go zerwać. Oszukiwałaś mnie.

- Owszem. Porozmawiaj z Melem.

Czuła do siebie wstręt. Kevin, rzecz jasna, miał rację. Śmieszne było to, że bardziej zależało mu na filmie niż na niej.

Po tym romansie, mając już wyrobioną pozycję w Hollywood, Athena straciła zainteresowanie mężczyznami. Zaczęła żyć w celibacie. Inne sprawy zaprzętały teraz jej głowę, sprawy, w których nie było miejsca na mężczyzn.

Athena Aquitane zaprzyjaźniła się z Claudią De Lena. Prawdę mówiąc Claudia trochę narzuciła jej tę znajomość. Poznały się przy okazji pracy nad scenariuszem jednego z jej pierwszych filmów, kiedy Athena nie była jeszcze wielką gwiazdą.

Athena zaofiarowała jej wówczas pomoc i Claudia, acz z pewnymi oporami, przystała na tę propozycję. Nie żałowała. Athena, jak się okazało, miała całkiem dobre pomysły, intuicyjnie czuła, jak zarysować postaci i akcję, a przy tym nie myślała o sobie, w każdym razie nie wyłącznie. Nie była głupia; doskonale wiedziała, że otoczona silnymi osobowościami będzie miała lepszą okazję do zaprezentowania swych możliwości aktorskich.

Często pracowały w domu Atheny w Malibu. Przy okazji stwierdziły, że pod wieloma względami są do siebie podobne. Na przykład obie były wysportowane - doskonale pływały, świetnie grały w golfa i w tenisa. Grając w debla z mężczyznami na kortach przy plaży prawie zawsze wygrywały. Wkrótce praca nad filmem dobiegła końca, ale ich przyjaźń trwała nadal.

Claudia nie miała przed Atheną żadnych tajemnic. Opowiedziała jej całe swoje życie. Athena natomiast mówiła o sobie niewiele. Taka to była przyjaźń. Ale Claudia się nie obrażała. Kiedy wyznała Athenie, że miała romans ze Stevenem Stallingssem, przyjaciółka się roześmiała i zaproponowała porównanie wrażeń. Zgodziły się, że Steven był świetny w łóżku. I w ogóle miły facet, a do tego utalentowany aktor.

- Urodą prawie dorównywał tobie - stwierdziła Claudia, dla której wygląd bardzo się liczył.

Athena nie podjęła tematu. Dziwnie głuchła, gdy mówiono o jej urodzie.

- Ale był lepszym aktorem, co? - zażartowała.

- O, nie, ty jesteś wspaniałą aktorką - odparła Claudia. I aby sprowokować Athenę do zwierzeń, dodała: - Co najwyżej był od ciebie weselszy.

- Czyżby? - zdziwiła się Athena. - Hm. Ale to się zmieni któregoś dnia. Będzie smutniejszy niż ja przez całe życie.

- Chyba masz rację - przyznała Claudia. - Narkotyki i alkohol w końcu się na nim zemszczą. Nie zestarzeje się ładnie. Z drugiej strony, to inteligentny facet, więc może się jeszcze z tego wyciągnie.

- Nie chciałabym skończyć tak jak on - zapewniła Athena. - I nie skończę.

- Jesteś moim ideałem - przyznała się Claudia. - Ale nawet ty nie zatrzymasz procesu starzenia. Mimo że nie pijesz i się nie szlajasz. Wiesz, co cię zniszczy? Twoja tajemnica.

Athena roześmiała się.

- Moja tajemnica mnie zbawi - stwierdziła. - Zdziwiłabyś się, jak jest banalna. Ale my, aktorzy, musimy pozować na nieodgadnionych.

W soboty przed południem, jeśli nie pracowały, chodziły razem po sklepach na Rodeo Drive. Claudia nie mogła uwierzyć własnym oczom, że Athena potrafiła się tak przebrać, że nie poznawali jej ani wielbiciele, ani ekspedienci. Wkładała czarną perukę i luźne, maskujące sylwetkę ubrania. Robiła makijaż, który uwydatniał szczękę i pogrubiał wargi, a właściwie, choć trudno w to uwierzyć, gruntownie zmieniał jej rysy. Wkładała też soczewki kontaktowe, które odmieniały jej oczy - z wesołych, zielonych na poważne, migdałowe. I zaciągała jak ktoś z Południa.

Za zakupy płaciła kartą kredytową Claudii, a potem, gdy zasiadały gdzieś do późnego lunchu, wypisywała jej czek. Lubiły tak sobie siedzieć nie rozpoznane w restauracji. Claudia nie musiała się maskować, bo - żartowała - za scenarzystką nie obejrzy się nawet pies z kulawą nogą.

Dwa razy w miesiącu Claudia spędzała w domu Atheny weekend, podczas którego razem pływały i grały w tenisa. Kiedy dała jej do przeczytania poprawioną wersję Messaliny, Athena powiedziała, że chętnie zagrałaby główną rolę w tym filmie. Jak gdyby nie była gwiazdą i nie wiedziała, że Claudia o tym marzy.

Claudia jechała więc do Malibu ufna w powodzenie swej misji. Porzucając film, Athena zburzyłaby życie ich obu.

Na widok ochroniarzy wokół domu przyjaciółki mina jej nieco zrzędła. Zazwyczaj strzeżony był tylko wjazd do Malibu Colony.

Przy bramie posesji stało dwóch mężczyzn w mundurach Agencji Ochrony „Pacyfik”. Dwóch innych patrolowało ogród. Z okien salonu, do którego wprowadziła ją drobna latynoska gospodyni, dojrzała jeszcze dwóch strażników na plaży. Wszyscy byli uzbrojeni w pałki i w rewolwery tkwiące w kaburach.

Athena na powitanie serdecznie objęła Claudię.

- Tęskniłam za tobą - powiedziała. - Za tydzień już mnie tutaj nie będzie.

- Kobieto, co się z tobą dzieje? - spytała Claudia. - Pozwolisz, żeby jakiś bałwan zniszczył ci życie? Że już nie wspomnę o moim. Wierzyć mi się nie chce, że z ciebie taki cykor. Posłuchaj, dziś przenocuję u ciebie, a jutro załatwimy sobie pozwolenie na broń i zapiszemy się na kursy strzelania. Za kilka dni będziemy umiały zastrzelić muchę w locie.

Athena się roześmiała i znowu ją objęła.

- Aha, widzę, że wychodzi z ciebie twoje pochodzenie - zauważyła. Z opowiadań Claudii wiedziała o związkach jej ojca z Rodziną Clericuzio.

Przygotowały sobie coś do picia i usiadły w miękkich fotelach zwrócone do oceanu, który wyglądał zupełnie jak na obrazie marynistycznym.

- Nie licz, że skłonisz mnie do pozostania - odezwała się Athena. - Nie jestem cykor, Claudio. Wyjawię ci tajemnicę, którą zawsze chciałeś poznać, może wreszcie ty i wytwórnia mnie zrozumiecie.

I opowiedziała Claudii historię swego małżeństwa. O sadyzmie Boza, jego okrucieństwie, o tym, jak ją upokarzał i jak od niego uciekła...

Będąc pisarką Claudia wyczuła, że w tej opowieści czegoś brakuje. Że Athena z rozmysłem pominęła jakiś ważny szczegół.

- Co stało się z dzieckiem? - spytała.

Twarz Atheny przybrała nieodgadniony wyraz.

- W tej chwili nie mogę ci tego powiedzieć. I mam do ciebie ogromną prośbę, niech sprawa dziecka zostanie między nami. Nie mów o nim w wytwórni. Wierzę ci, że zatrzymasz to dla siebie.

Claudia zrozumiała, że nie powinna dalej drażnić tego tematu.

- No dobrze, ale czemu rzucasz film? - spytała. - Obiecali ci ochronę. Potem sobie znikniesz.

- Wytwórnia zapewni mi ochronę tylko na czas zdjęć - stwierdziła Athena. - Zresztą, to i tak na nic. Znam Boza. Jego nic nie powstrzyma. Nawet jeśli zostanę, nie uda mi się skończyć filmu.

W tej chwili zobaczyły, że z oceanu wychodzi jakiś mężczyzna i kieruje się ku

domowi. Dwóch strażników zagroziło mu drogę. Na gwizdek jednego z nich przybiegli strażnicy patrolujący ogród. Wobec przewagi liczebnej przeciwnika mężczyzna w spodenkach kąpielowych lekko się cofnął.

Athena wstała z fotela. Drżała na całym ciele.

- To Boz - powiedziała cicho. - Tym razem chce mnie tylko przestraszyć. To nie jest jeszcze prawdziwy atak.

Wyszła na taras i spojrzała z góry na plażę. Claudia wyszła za nią.

Boz Skannet uniósł głowę. Miał opaloną twarz, mrużył oczy. Świetnie wyglądał w spodenkach kąpielowych.

- Cześć, Atheno - powiedział wesoło. - Napiłbym się czegoś. Nie zaprosisz mnie?

Athena obdarzyła go czarującym uśmiechem.

- Żałuję, ale nie mam w domu trucizny. Złamałeś zakaz. Mogę kazać cię aresztować.

- Nie zrobisz tego - odparł spokojnie. - Jesteśmy sobie bardzo bliscy i łączy nas pewna tajemnica.

Mimo uśmiechu miał coś dzikiego w twarzy. Przypominał mężczyzn, których Claudia widywała na przyjęciach w Quogue.

Jeden ze strażników powiedział:

- Oplłynął ogrodzenie. Musiał zostawić gdzieś niedaleko samochód. Oczywiście możemy go przymknąć.

- Nie - odparła Athena. - Odprowadźcie go do samochodu. I powiedzcie szefowi, że życzę sobie jeszcze czterech strażników wokół domu.

Boz przez cały czas stał z głową uniesioną do góry. Przywodził na myśl posąg wkopany w piasek.

- Do widzenia - zawołał, po czym odszedł ze strażnikami.

- Okropny typ - stwierdziła Claudia. - Chyba masz rację, że się go boisz. Takiego armaty by nie zatrzymały.

- Przed wyjazdem jeszcze do ciebie zadzwonię - przyrzekła Athena. - Zjemy razem kolację.

Claudia najchętniej by się rozplakała. Ten okropny facet przypominał jej ojca.

- Natychmiast lecę do Vegas. Porozmawiam z Crossem - postanowiła głośno. - Mój brat jest mądrym człowiekiem, a poza tym ma znajomości. Na pewno ci pomoże. Błagam cię, nie wyjeżdżaj, póki nie wrócę.

- Czemu miałyby mi pomóc? - zdziwiła się Athena. - I w jaki sposób? Należy do mafii?

- Ależ skąd! - obruszyła się Claudia. - Pomoże ci, ponieważ mnie kocha. - W jej głosie

zabrzmiała duma. - Poza ojcem jest jedynym człowiekiem na świecie, który naprawdę mnie kocha.

Athena zmarszczyła czoło.

- Z tego, co o nim opowiadałaś, wydawał się dość podejrzanym typem. Jak na kobietę pracującą w branży filmowej jesteś strasznie naiwna. Swoją drogą, jak do tego doszło, że spałaś z tyloma mężczyznami? Nie jesteś aktorką, a nie wyglądasz mi na puszczałską.

- To żadna tajemnica - odparła Claudia. - A dlaczego faceci sypiają z tyloma kobietami? - Uścisnęła Athenę. - Lecę do Vegas - powiedziała. - Nie ruszaj się stąd, dopóki nie wrócę.

Wieczorem Athena siedziała na tarasie i patrząc na czarny pod bezksiężycowym niebem ocean, z sympatią myślała o przyjaciółce. To zabawne, że Claudia się nie domyśla, kim jest jej brat. Na tym polega miłość.

Tego samego popołudnia Claudia spotkała się ze Skippym Deere'em i opowiedziała mu historię Atheny. Deere zamyślił się głęboko, po czym stwierdził:

- Myślę, że to i owo przemilczała. Widziałem się z Bozem Skannetem. Chciałem mu zapłacić, żeby się od niej odczepił. Nie przyjął forsy. I ostrzegł, że jeśli spróbujemy jakichś sztuczek, to on sprzeda gazetom historię, która nas zrujnuje. O tym, jak Athena zabiła swoje dziecko.

- To potwarz! - wykrzyknęła Claudia. - Każdy, kto zna Athenę choć trochę, wie, że nie byłaby do tego zdolna.

- Masz rację - zgodził się Deere. - Ale nie znaliśmy jej, kiedy miała dwadzieścia lat.

- Zamknij się, Skippy - syknęła Claudia. - Lecę do Vegas porozmawiać z Crossem. W odróżnieniu od was mój brat jest facetem z głową i z jajami. On to załatwi.

- Nie sądzę, że przestraszy Boza Skanneta. Skoro nam się nie udało... - rzekł Deere i znowu się zamyślił.

Znał trochę brata Claudii. Cross chciał się zahaczyć w branży filmowej i zainwestował w sześć filmów Deere'a. Stracił na tym, czyli, że z tą głową nie było u niego najlepiej. Chodziły słuchy, że ma kontakty, zna ludzi z mafii. Ale sama znajomość z tymi ludźmi nic nie daje. Deere nie wierzył, że Cross może im pomóc w tej sprawie. Trzeba jednak spróbować. Producentowi nie wolno przegapić żadnej możliwości. W razie czego postara się namówić Crossa, żeby zainwestował w jego następny film. Był wygodnym współnikiem, nie wtrącał się do roboty nad filmem i nie kwestionował wydatków.

Skippy Deere odchrząknął.

- Lecę z tobą - oznajmił.

Claudia De Lena kochała Skippy'ego Deere'a, mimo że wyrolował ją kiedyś na pół miliona dolarów. Kochała go za jego wady i oszustwa na każdym kroku, i za to, że się dobrze czuła w jego towarzystwie. Była nim zafascynowana.

Zaprzyjaźnili się przed wielu laty, pracując przy tym samym filmie. Już wtedy Deere uchodził za znanego producenta i jedną z barwniejszych postaci w Hollywood. Pewnego razu jakiś aktor na planie pochwalił się, że przeleciał jego żonę, na co Deere, który usłyszał to stojąc na platformie trzy piętra nad nim, skoczył i wylądował facetowi na głowie. Złamał mu obojczyk, ale widać uznał, że to nie wystarczy, bo prawym sierpowym rozkwasił mu nos.

Claudia pamiętała jeszcze inne zdarzenie. Kiedyś spacerowali we dwoje po Rodeo Drive i zobaczyła na wystawie bluzkę, która ją wprost urzekła. Biała, w delikatne zielone prążki, zupełnie jak z obrazu Moneta. Sklep był z rodzaju tych, do których trzeba zatelefonować i umówić się na wizytę jak, nie przymierzając, u dentysty. Nie ze Skippym Deere takie numery. Stwierdził, że zna właściciela, który z kolei jest dobrym znajomym szefów wszystkich wytwórni, prezesów wielkich korporacji, przywódców państw całego zachodniego świata.

Weszli więc spytać o cenę bluzki. Pięćset dolarów, usłyszeli w odpowiedzi. Claudię zatkało, z wrażenia złapała się za szyję.

- Pięćset dolarów? - jęknęła. - Pan chyba nie mówi tego poważnie.

Teraz zatkało ekspedienta.

- To nie jest taki sobie zwykły materiał - bronił się - ręczna robota... A takiej zieleni nie znajdzie pani na całym świecie. Cena z pewnością nie jest wygórowana.

- Daj spokój, Claudio - odezwał się Deere. - Wiesz, ile wybulisz za pralnię chemiczną? Co najmniej trzydzieści dolców. Każde włożenie tej bluzki będzie cię kosztować trzydzieści dolarów. Nie będziesz miała ani chwili spokoju. Nie daj Boże ją zaplamieć. Pożegnaj się też z papierosami. Wypalisz dziurkę i bluzka będzie do wyrzucenia.

Claudia uśmiechnęła się do ekspedienta.

- Co mi pan da za to, że ją kupię? - spytała.

W oczach elegancko ubranego ekspedienta zaśniły łzy.

- Proszę opuścić sklep - wyszeptał.

Wyszli, skręcając się ze śmiechu.

- Do czego to podobne, żeby ekspedienci wyrzucali klientów ze sklepu? - oburzała się Claudia.

- To jest Rodeo Drive - zauważył Skippy. - Ciesz się, że w ogóle cię wpuścił.

Nazajutrz na jej biurku w wytwórni leżała paczka. W środku był tuzin białych bluzek

w zielone prążki i liścik napisany ręką Skippy'ego Deere'a: „Wkładać wyłącznie na uroczystość rozdania Oscarów”.

Teraz wszystko zrozumiała. W sklepie obaj, ekspedient i Deere, zażartowali z niej. Później widziała na jakiejś kobiecie suknię z identycznego materiału, a w innym sklepie także tenisową przepaskę do włosów za sto dolarów.

Prawdopodobieństwo, że film, łzawy melodramat, nad którym pracowała razem z Deere'em, zdobędzie Oscara, było mniej więcej takie, jak to, że Deere otrzyma nominację na sędziego Sądu Najwyższego. Ale była wzruszona.

A potem przyszedł ów dzień, w którym dochód z filmu osiągnął magiczną kwotę stu milionów dolarów i Claudia pomyślała, że nareszcie będzie bogata. Skippy Deere zaprosił ją na uroczysty obiad. Tryskał humorem.

- Dziś jest mój szczęśliwy dzień - oznajmił. - Film przekroczył sto milionów dolarów, sekretarka Bobby'ego Bantza zrobiła mi doskonałą minetę, a moja żona wczoraj zginęła w wypadku samochodowym.

Byli w towarzystwie dwóch innych producentów, którzy słysząc to, skrzywili się z niesmakiem. Claudia pomyślała, że się trochę zagalopował.

- Wiem, że mi zazdrościcie - ciągnął nie zrażony ich minami Deere. - Nie dość, że zaoszczędzę pięćset tysięcy rocznie na alimentach, to jeszcze dzieci odziedziczą po matce majątek, który dałem jej jako odszkodowanie za rozwód, i nie będą mnie już kosztowały ani centa. - A spojrzawszy na smutną Claudię dodał: - Mówię szczerze. Każdy mężczyzna tak myśli, ale żaden nie powie tego głośno.

Dostanie się do branży filmowej nie przyszło Skippy'emu Deere łatwo. Był synem cieśli. Raz pomagał ojcu budować domy dla aktorów z Hollywood i przy tej okazji został kochankiem podstarzałej aktorki (coś takiego może się zdarzyć tylko w Hollywood), która załatwiła mu praktykę u swego agenta, prawdopodobnie, żeby się go pozbyć.

Skippy Deere musiał się nauczyć panować nad wybuchowym charakterem. A przede wszystkim musiał się nauczyć, jak postępować z talentami. Jak kaptować nowych modnych reżyserów, urabiać świeże gwiazdki, wkradać się w łaski wszystkich scenarzystów od siedmiu boleści. Mówił o sobie, że wzoruje się na słynnym kardynale z okresu renesansu, który swą przytomnością umysłu obronił króla Francji przed papieżem. Otóż, gdy król ów dla okazania papieżowi pogardy wypiął się na niego, a następnie wypróżnił, kardynał wykrzyknął: „O, widzę tyłek anioła” i pobiegł go pocałować.

Deere doskonale opanował swe rzemiosło. Nauczył się sztuki negocjacji, którą sprowadził do: „Zgadza się na wszystko”. Podciągnął się w literaturze, wyrabiając sobie oko

do tych powieści, które nadawały się na film. Umiał odkryć talent aktorski. Studiował szczegóły produkcji pod kątem możliwości wykradania pieniędzy z budżetu filmu. Zastępował jako producent, który przynosi na ekran tylko połowę scenariusza i dwie trzecie budżetu.

Na szczęście lubił czytać i potrafił pisać. No może nie na całkiem pustej kartce papieru, ale nieźle mu szło wykreślanie zbytecznych scen i poprawianie dialogów. Wymyślał fragmenty akcji oraz elementy scenografii, które były bardzo interesujące, ale pozostawały w luźnym związku z opowiadaną historią. Najbardziej szczylił się tym, co pomagało filmowi odnieść sukces kasowy, mianowicie, umiejętnością konstruowania szczęśliwych zakończeń, w których dobro prawie zawsze triumfowało nad złem - a jeśli nie, to porażka słodko smakowała. Najważniejszym z jego dokonań było zakończenie filmu o zagładzie atomowej Nowego Jorku, z której wszyscy bohaterowie wyszli jako lepsi ludzie, przepełnieni miłością do bliźniego, w tym również do faceta, który zdetonował bombę. Aby to osiągnąć, musiał zatrudnić dodatkowych pięciu scenarzystów.

Oczywiście dla producenta ważniejsza od bujnej wyobraźni jest smykałka do robienia pieniędzy. A Deere też ją miał. Bez trudu wyciągał forszę od rozmaitych bogaczy i od uwieszonych jego ramienia pięknych kobiet. Aktorom i reżyserom podobało się jego szczere, zgoła sprośne upodobanie do luksusu. Sobie tylko znanymi sposobami potrafił wyciągnąć pieniądze z tak zwanego funduszu inwestycyjnego wytwórni i tak dobrze znał panujące tam układy, że zawsze wiedział, komu trzeba dać w łapę, by dostać zielone światło na film. Miał tasiemcowe listy osób - gwiazd, krytyków piszących do dzienników i tygodników, a nawet ludzi należących do elit politycznych - którym wysyłał na święta życzenia bądź prezenty. Do wszystkich zwracał się per „drogi przyjacielu”, a kiedy stwierdzał, że ktoś nie będzie mu już więcej przydatny, wstrzymywał wysyłanie prezentów, ale nie życzeń.

Uważał, że producent powinien posiadać coś na własność. Musiało to być coś konkretnego, nadającego się do pokazania wytwórni. Na przykład jakąś odrzuconą przez wydawnictwa powieść. Deere zastrzegał sobie prawa na pięć lat, płacąc pięćset dolarów za rok. Lub kupował opcję na sztukę teatralną i przerabiał ją ze scenarzystą na scenariusz filmowy. Praca ta nie należała do łatwych, pisarze bywają okropnie drażliwi. „Drażliwi” - tak określał ludzi, których uważał za stukniętych. Używał tego określenia również do sławnych aktorek.

Jednym z jego najbardziej udanych związków była przyjaźń z Claudią De Lena. Polubił tę małą i postanowił wprowadzić ją w tajniki zawodu. Przez trzy miesiące pracowali razem nad scenariuszem. Jadali razem, razem grali w golfa (Deere był bardzo zaskoczony, gdy Claudia go pokonała). Razem bywali na wyścigach. Pływali w basenie Deere'a, dyktując

swe pomysły sekretarkom siedzącym na brzegu w kostiumach kąpielowych. Claudia zabrała Deere'a do Vegas na weekend w „Xanadu”, gdzie poznał jej brata Crossa. Czasami sypiali ze sobą.

Film zrobił kasę i Claudia spodziewała się sporego honorarium. Kontrakt zapewniał jej część dochodów Deere'a, który, jak było wiadomo, ustawił się z prądem - tak nazywał duże dochody brutto. Claudia nie wiedziała tylko jednego, mianowicie, że kontrakt Deere'a opiewał na dwa rodzaje procentów - od dochodu brutto i od dochodu netto. A klauzula Claudii dotyczyła jego dochodów netto, które, mimo że film zarobił sto milionów, wynosiły praktycznie zero. Sposób rozliczeń w wytwórni, procenty Deere'a od dochodu brutto oraz koszty wyprodukowania filmu pochłonęły cały dochód netto.

Claudia wytoczyła proces. Skippy Deere zaproponował - przez wzgląd na ich przyjaźń, jak się wyraził - niewielkie odszkodowanie. Kiedy Claudia powiedziała mu, co o tym myśli, odparł:

- Ale niech ta sprawa nie popsuje naszej przyjaźni. Zostawmy ją adwokatom.

Skippy Deere mawiał: „Kiedyś byłem człowiekiem, niestety się ożeniłem”. Nie chciał przyznać, że się zakochał. Tłumaczył się, że był młody, a ożenił się, bo myślał, że ma do czynienia z utalentowaną aktorką. I tak w istocie było. Tyle że jego żonie, Christi, brakowało tego czegoś, bez czego trudno zostać gwiazdą. Nie mogła wyjść poza trzecioplanowe role.

Ale Deere ją naprawdę kochał. Kiedy osiągnął ważną pozycję w przemyśle filmowym, robił, co w jego mocy, by zrobić z niej gwiazdę. Prosił kolegów producentów, reżyserów, szefów wytwórni o duże role dla Christi. Załatwił jej kilka drugoplanowych ról. Z biegiem lat grała coraz mniej. Mieli dwoje dzieci. Christi jednak mówiła, że nie czuje się spełniona i sprawa ta spędzała Deere'owi sen z powiek.

Skippy Deere, jak większość producentów, dużo pracował. Podróżował po całym świecie, doglądał swych filmów, załatwiał forsy, opracowywał nowe projekty. Obcując z tyloma pięknymi, czarującymi kobietami, złakniony towarzystwa, przeżywał mnóstwo romantycznych przygód, w których zresztą bardzo gustował, co jednak nie zmieniało faktu, że kochał żonę.

Pewnego dnia dziewczyna z sekcji literackiej przyniosła mu scenariusz i powiedziała, że jest w nim doskonała rola dla Christi, rola, której nie da się skopać, rola na miarę jej zdolności. Była to ponura historia o kobiecie, która z miłości do młodego poety zamordowała męża, a potem nie mogła sobie poradzić z nieszczęściem dzieci i podejrzeniami teściów. Oczywiście na końcu została rozgrzeszona. Piramidalna bzdura, ale mogła chwycić.

Skippy Deere miał dwa problemy: pierwszy, jak przekonać wytwórnię do tego filmu,

drugi, jak przekonać wytwórnę, żeby główną rolę powierzono Christi.

Poprosił o protekcję wszystkich znajomych. Zrezygnował z podbierania forsy filmowi. Przekonał wielkiego gwiazdora, żeby zgodził się grać główną rolę, która była naprawdę ważna, namówił Ditę Tommey, by podjęła się reżyserki. Wszystko się nadzwyczajnie udało. Christi świetnie zagrała, Deere doskonale spisał się jako producent, to znaczy dziewięćdziesiąt procent budżetu praktycznie się zwróciło.

W tym czasie Deere nie zdradzał żony poza jedną nocą, którą musiał spędzić w Londynie i tylko dlatego, że zaintrygowała go nieprawdopodobna chudość tamtej dziewczyny.

Zatem wszystko się nadzwyczajnie udało. Film odniósł komercyjny sukces. Deere, poświęciwszy na początku zyski, w rezultacie zarobił więcej forsy niż gdyby postępował w normalny dla siebie sposób, a Christi dostała Oscara za najlepszą rolę kobiecą.

I, jak Skippy Deere opowiadał potem Claudii, w tym miejscu powinien nastąpić koniec. „A potem żyli długo i szczęśliwie”. Tymczasem jego żona poczuła się pewna siebie, dowartościowana. Była rozrywaną aktorką, czego dowodził fakt, że goniec codziennie przynosił jej scenariusze z rolami dla pięknej celuloidowo-enigmatycznej osobowości. Deere radził Christi, żeby poczekała na coś ambitnego, bo następny film będzie decydujący. Nigdy nie zależało mu na jej wierności, więcej, uważał, że kręcąc film, powinna się dobrze bawić. Ale teraz, kilka miesięcy po Oscarze, kiedy stała się modną osobą w mieście, zapraszaną na wszystkie najważniejsze przyjęcia, opisywaną w rubrykach towarzyskich, adorowaną przez młodych aktorów, którzy liczyli, że tą drogą dostaną rolę, zachowywała się zgoła nieprzyzwoicie. Chodziła na randki, otwarcie flirtowała z aktorami piętnaście lat młodszymi. Dziennikarze z brukowej prasy wzięli ją na języki, feministki stanęły w jej obronie.

Zamieszanie wokół Christi Skippy Deere znosił bardzo dobrze. Był wyrozumiały. Czy sam nie sypiał z młodymi aktorkami? Czemu więc miałby żonie odmawiać tej przyjemności? Z drugiej strony, czy powinien dalej zajmować się jej karierą? Zwłaszcza po tym, jak poprosiła, żeby załatwił rolę jednemu z jej młodych kochanków? Przestał szukać dla niej scenariuszy, przestał zachwalać ją innym producentom, reżyserom, szefom wytwórni. A oni, będąc starszymi panami, solidarnie zaczęli ignorować Christi.

Christi nakręciła jeszcze dwa filmy, oba zrobiły klapę, gdyż główna rola została nieodpowiednio obsadzona. Straciła pozycję, którą miała po zdobyciu Oscara. Po trzech latach grała znowu tylko trzeciorzędne role.

Ostatecznie zakochała się w młodym mężczyźnie, który zamierzał zostać producentem (przypominał zresztą jej męża), brakowało mu tylko kapitału. Christi wystąpiła więc o

rozwód, w wyniku którego dostała pokaźną sumę z podziału majątku i alimenty w wysokości pół miliona dolarów rocznie. Rozstała się z mężem w przyjaźni, gdyż jej prawnicy nigdy nie wpadli na trop jego pieniędzy ulokowanych w Europie. A teraz, siedem lat później, zginęła w wypadku samochodowym. Do końca znajdowała się wśród osób, którym Deere wysyłał życzenia na Boże Narodzenie, ale figurowała również na jego słynnej liście pod tytułem „Szkoda czasu i atłasu” - liście osób, którym nie odpowiadał na telefony.

Miłość Claudii De Lena do Skippy’ego Deere’a była zatem nieco zagmatwana. Raziło ją, że Skippy nie kryje się, jaki jest naprawdę, że ma na względzie tylko własne interesy, że patrzy człowiekowi w oczy i deklaruje przyjaźń, choć jest do niej niezdolny, o czym wszyscy wiedzą, a on najlepiej. Że jest cholernym hipokrytą. Deere miał jednak wielki dar przekonywania. I był jedynym znanym Claudii mężczyzną, który inteligencją dorównywał Crossowi. Dlatego wsiadła razem z nim do najbliższego samolotu lecącego do Vegas.

KSIĘGA CZWARTA

Cross De Lena

Rodzina Clericuzio

Rozdział szósty

Pippi De Lena nie mógł się już doczekać, kiedy Cross skończy dwadzieścia jeden lat i przejmie od niego pałeczkę. Wszyscy ludzie są zgodni co do jednego - najważniejsze to zarobić na swoje utrzymanie. Musisz mieć co włożyć do ust, musisz mieć jakiś dach nad głową, ubranie na grzbiet, musisz nakarmić dzieci. Z kolei, aby utrzymać się na jako takim poziomie, musisz coś na tym świecie znaczyć. Z tego Pippi wyciągał wniosek równie oczywisty jak to, że po nocy nastąpi dzień: Cross powinien wstąpić do Rodziny Clericuzio. W tym zaś celu musiał koniecznie przejść chrzest bojowy.

Cross cieszył się dobrą opinią w Rodzinie. Don Domenico chętnie cytował, smakując każde słowo, to, co Cross odpowiedział Dantemu, gdy usłyszał od niego, że Pippi jest „młotem” Rodziny: „Ja o tym nie wiem. Ty o tym nie wiesz. Nikt o tym nie wie. Skąd wytrzasnąłeś ten idiotyczny berecik?” Ale mu powiedział, zachwycił się don. Młody człowiek, a jaki dyskretny, jaki inteligentny, duży plus dla jego ojca. Trzeba dać temu chłopcu szansę. Słyszając to Pippi, zrozumiał, że nadszedł czas.

Zaczął więc przygotowywać Crossa. Wysyłał go teraz z trudniejszymi misjami, które wymagały użycia siły. Zapoznawał go ze starymi historiami Rodziny, opowiadał mu o akcjach, które przeprowadzili.

- To nic nadzwyczajnego - powiedział na zakończenie. - Wyrafinowane akcje wymagają dokładnego przemyślenia. Zwykle przeprowadzasz możliwie jak najprościej. Wytyczasz obszar działania i umiejscawiasz w nim cel. Następnie organizujesz inwigilację. Następnie organizujesz samochód, wykonawcę i samochody, które zablokują ewentualny pościg, a także kryjówkę na jakiś czas, żeby policja nie mogła od razu was przesłuchać. Tak się organizuje zwykłe akcje. Do wyrafinowanych podchodzisz w sposób wyrafinowany. Możesz zrobić wszystko, co ci tylko przyjdzie do głowy, pod warunkiem, że starannie to zaplanujesz. Wyrafinowane akcje przeprowadzamy tylko wtedy, gdy jest to absolutnie niezbędne.

Zapoznał Crossa nawet z ich żargonem. Przez „komunię” rozumiano zlikwidowanie ciała ofiary. Na tym właśnie polegała wyrafinowana akcja. „Bierzmowanie” oznaczało, że zwłoki pozostają. Zwykła akcja.

Wprowadził go w sprawy Rodziny Clericuzio. Powiedział, że jej panowanie

ustanowiła Wielka Wojna z Rodziną Santadio. O swojej roli w tej wojnie nie wspomniał, w ogóle o sobie mówił niewiele. Za to chwalił Giorgia, Vincenta i Petiego. Ale najbardziej sławił dalekowzroczność don Domenica.

Rodzina Clericuzio trzymała w rękach różne nici, przede wszystkim jednak hazard. Kontrolowała zarówno jawny, jak i niejawną hazard w całych Stanach Zjednoczonych. Wywierała delikatny nacisk na kasyna prowadzone przez Indian i o wiele mniej delikatny na totalizatory sportowe, legalne w Newadzie i nielegalne w pozostałej części kraju. Była właścicielką fabryk produkujących automaty do gier, posiadała udziały w wytwórniach kości i kart do gry, w firmach dostarczających hotelom-kasynom naczynia i sztucce, a także pościel. Hazard był perłą w ich koronie, toteż prowadzili kampanię na rzecz zalegalizowania hazardu we wszystkich stanach.

Zalegalizowanie hazardu we wszystkich stanach przez rząd federalny stało się Świętym Graalem Rodziny Clericuzio. Nie tylko kasyn, loterii, ale również zakładów sportowych obejmujących między innymi baseball, futbol i koszykówkę. Sport w Ameryce jest traktowany jak świętość. Spodziewano się, że świętość ta spłynie na totalizator sportowy, jak tylko zostanie zalegalizowany. A wówczas zyski z niego będą ogromne.

Giorgio, będąc właścicielem niektórych stanowych loterii, zdradzał Rodzinie spodziewane szczęśliwe numery. W całym kraju na superpuchar postawiono minimum dwa miliardy dolarów, w przeważającej mierze nielegalnie. Zakłady sportowe w Vegas, tylko te legalne, przekraczały pięćdziesiąt milionów. Mistrzostwa świata przynosiły w sumie kolejny miliard (dokładna kwota zależała od tego, ile meczy rozgrywano). Przychody z koszykówki były mniejsze, ale z meczami dogrywkowymi dawały kolejny miliard, nie licząc codziennych zakładów w sezonie.

Po zalegalizowaniu hazardu wpływy z totalizatorów sportowych zostaną podwojone lub zgoła potrojone dzięki specjalnym loteriom i kombinowanym zakładom - poza superpucharem, w którego przypadku wzrost wpływów będzie co najmniej dziesięciokrotny, przy czym dochód dzienny może osiągnąć nawet miliard. Ogólnie przychody wyniosą sto miliardów dolarów, a najpiękniejsze jest to, że nie trzeba będzie nic produkować. Jedyne zaś koszty to marketing i administracja. Clericuziowie już się oblizywali na myśl o dochodzie wynoszącym co najmniej pięć miliardów dolarów rocznie.

Rodzina Clericuzio znała się na rzeczy, miała polityczne powiązania i panowała nad większą częścią tego rynku. Giorgio posiadał wykresy, z których wynikało, jaką forszę można zbić na wielkich imprezach sportowych. Tak, hazard to najlepszy sposób na wyciągnięcie dużych pieniędzy z amerykańskich kieszeni.

Hazard był więc stosunkowo bezpieczny i bardzo obiecujący. Aby go zalegalizować, Rodzina była gotowa ponieść wszelkie koszty i podjąć każde ryzyko.

Rodzina miała także duży dochód z narkotyków, ale nie z handlu, który był zbyt ryzykowny. Clericuziowie sprawowali kontrolę nad narkotykami w Europie w ten sposób, że ludziom, którzy się nimi zajmowali, zapewniali ochronę polityków, w razie potrzeby interwencję w sądzie, a ponadto prali im pieniądze. Z prania pieniędzy czerpali największe zyski, a przy tym nikt nie mógł złapać ich za rękę. Brudne pieniądze wpuszczali do sieci banków w Europie i kilku banków w Ameryce. Wiedzieli, jak przechytrzyć prawo.

Niekiedy jednak, napomknął Pippi, byli zmuszeni przypomnieć, kto tu rządzi. Robili to z zachowaniem największej dyskrecji i ze strasznym okrucieństwem. Ale to właśnie wtedy zarabiali na swe dostatnie życie, na swój chleb powszedni.

Wkrótce po skończeniu dwudziestu jeden lat Cross został poddany ostatecznemu sprawdzianowi.

Jednym z najcenniejszych politycznych nabytków Rodziny Clericuzio był Walter Wavven, gubernator Newady. Wysoki, szczupły facet po pięćdziesiątce, noszący kapelusz kowbojski do idealnie skrojonych garniturów. Przystojniak i, choć żonaty, pies na kobiety. Lubił również dobre jedzenie, alkohol i zakłady sportowe. Zagorzały gracz. Ponieważ musiał się liczyć z opinią publiczną, nie afiszował się ze swymi słabościami ani do hazardu, ani do kobiet. Apetyty te zaspokajał dyskretnie w hotelu „Xanadu”, a na zewnątrz zachowywał swój polityczny i osobisty wizerunek człowieka bogobojnego, hołdującego staroświeckim wartościom rodzinnym.

Gronevelt dosyć wcześnie dostrzegł potencjał Wavvena i wspomagał go finansowo podczas wspinania się po drabinie politycznej. Kiedy Wavven został gubernatorem Newady i potrzebował krótkiego wypoczynku, Gronevelt oddał mu do dyspozycji jedną ze słynnych Willi.

Wille były życiowym pomysłem Gronevelta.

Przybył tu w odległych czasach, gdy Las Vegas było małą miejsciną, w której hazard uprawiali kowboje. Zaczął przypatrywać się grze i graczom z uwagą naukowca badającego owady ważne dla procesu ewolucji. Dręczyło go bowiem pytanie - na które do dziś nie znalazł odpowiedzi - dlaczego bardzo bogaci ludzie tracą czas na grę, skoro i tak tarzają się w forsie. Widać starają się odwrócić uwagę świata od jakichś innych nałogów, rozumował Gronevelt, lub chcą przechytrzyć los, ale przede wszystkim chyba im chodzi o wywyższenie się nad bliźnimi. Chcą być traktowani jak bogowie. Wszak grają jak bogowie lub przynajmniej królowie w Wersalu.

Gronevelt zainwestował sto milionów dolarów w budowę siedmiu luksusowych Willi i specjalnego kasyna-bombonierki na terenie należącym do hotelu „Xanadu” (będąc osobą przewidującą, w swoim czasie kupił więcej ziemi, niż faktycznie potrzebował). Wille te były w istocie pałacami, przy czym każdy z nich mógł pomieścić sześć par w sześciu osobnych apartamentach o przepysznym wystroju, na który składały się: ręcznie tkane dywany, marmurowe posadzki, złote łazienki, drogie tkaniny na ścianach. Apartamenty miały osobne jadalnie i kuchnie i były obsługiwane przez służbę hotelową. Dzięki najnowszym wynalazkom audiowizualnym salony mogły pełnić funkcje kin. W barku czekały na gości najlepsze wina i inne alkohole oraz pudełko nielegalnych cygar hawańskich. Każda Willa miała swój własny basen i jacuzzi. Dla graczy wszystko za darmo.

Na starannie chronionym terenie, na którym stały owe Wille, znajdowało się małe owalne kasyno o nazwie „Perła”. Tu gracze mieli zapewnioną absolutną dyskrecję, a minimalna stawka w bakarcie wynosiła tysiąc dolarów. Również sztony w tym kasynie były inne; szton o nominale najniższym - stu dolarów - był czarny, pięciuset dolarom odpowiadał szton biały, przetykany złotymi nitkami, szton za tysiąc dolarów był niebieski ze złotą obwódką, a specjalnie zaprojektowany dla „Xanadu” złoty szton z prawdziwym brylantem kosztował dziesięć tysięcy dolarów. Jednakże w ramach ustępstw wobec pań krupier przy ruletce rozmięniał studolarowe sztony na pięciodolarowe.

Zabawne, jak ci nieprzyzwoicie bogaci ludzie łatwo łapali się na haczyk. Gronevelt obliczył bowiem, że ekstrawagancy goście kosztowali hotel - na papierze - pięćdziesiąt tysięcy dolarów tygodniowo. Przy czym pieniądze te odpisywało się od podatku. Należy przy tym pamiętać, że ceny miały ogromny narzut. Z obliczeń Gronevelta wynikało (prowadził osobną księgowość), że każda Willa przynosi mu średnio milion dolarów tygodniowo. Zysk w postaci odpisów od podatków dawały również wyszukane restauracje, które obsługiwały gości Willi i inne ważne osoby. I tak, na papierze kolacja dla czterech osób kosztowała ponad tysiąc dolarów, ale ponieważ goście za nią nie płacili, kwota ta wchodziła w koszty własne hotelu, które z kolei odejmowało się od kwoty stanowiącej podstawę opodatkowania. Zważywszy, że posiłek kosztował hotel najwyżej sto dolarów łącznie z robocizną, kombinacja ta się naprawdę opłacała.

Tak więc dla Gronevelta jego siedem Willi było jak siedem złotych koron, które wkładał na głowy graczom stawiającym milion dolarów i więcej podczas dwu-, trzydniowego pobytu. Nieważne, przegrali czy wygrali. Liczyło się tylko, że grali o taką stawkę. I musieli prędko spłacić swe długi, jeśli nie chcieli, żeby przeniesiono ich do hotelu, który, choć bardzo elegancki, ani się umywał do Willi.

Zresztą nie chodziło tylko o elegancję, lecz również o możliwość sprowadzania sobie kochanek lub kochanków. W Willi ci wszyscy ważniacy, ludzie na eksponowanych stanowiskach mogli zachować incognito. Zabrzmiało to dziwnie, ale tytani biznesu, faceci warci setki milionów dolarów, bez żon i kochanek czują się samotni i nieporadni. Ogromnie łakną niezobowiązującego towarzystwa miłych, ładnych kobiet. Gronevelt oczywiście dbał, by ich w Willach nie brakowało.

Jednym z takich ludzi był gubernator Walter Wavven. Dla niego jednego Gronevelt odstępował od wymogu milionowej stawki. Wavven grał ostrożnie, żetonami z sakiewki dostarczanej mu dyskretnie przez Gronevelta, ale gdy dług przekroczył pewną sumę, odejmowano go od przyszłych wygranych.

Wavven przyjeżdżał do „Xanadu”, by odpocząć, zagrać w golfa, popić sobie i pozalecać się do hotelowych ślicznotek.

Gronevelt długo się z nim cackał. I przez dwadzieścia lat o nic go nie poprosił. Wystarczało mu bowiem, że może z nim pogadać i przedstawić swe argumenty za zalegalizowaniem hazardu, które by mu znacznie ułatwiło prowadzenie interesów. Gubernator albo przychylił się do jego punktu widzenia, albo naświetlał sytuację polityczną, która mu na to nie pozwalała. Wyświadczył jednak Groneveltowi pewną nader cenną przysługę, mianowicie poznał go z wpływowymi sędziami i politykami, którym w razie czego dałoby się przemówić do ręki.

Gronevelt nosił swój sekret w sercu w nadziei, że kiedyś - mimo że szanse wydawały się nikłe - gubernator Walter Wavven zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych. A wówczas inwestycja zwróci się z nawiązką.

Ale, jak wiadomo, los lubi płać figle. Często tak się dzieje, że na tych wysoko postawionych jakiś łachmyta sprowadza nieszczęście. W tym szczególnym przypadku owym łachmytą okazał się dwudziestopięcioletni kochanek osiemnastoletniej córki gubernatora.

Gubernator był ożeniony z inteligentną, przystojną kobietą, z którą - mimo jej bardziej liberalnych poglądów politycznych - tworzyli zgodne stadło. Mieli troje dzieci. Gubernator traktował rodzinę jako swój polityczny kapitał. Najstarsza córka, Marcy, studiowała na uniwersytecie w Berkeley, który wybrała za namową matki, nie ojca.

Wychowaną w pokazowym, politycznym domu dziewczynę porwała wolność uniwersytetu, jego lewacka orientacja, otwarcie na nową muzykę, głębokie, wspomagane narkotykami przeżywanie rzeczywistości. Marcy, nieodrodna córka swego ojca, nie miała zahamowań seksualnych. Z naturalną w jej młodym wieku wrażliwością solidaryzowała się z biedakami, klasą robotniczą, prześladowanymi mniejszościami. Zafascynowała ją czysta

sztuka. Zaczęła szukać towarzystwa studentów parających się poezją lub muzyką i niebawem zakochała się w przystojnym brunecie, który pisał sztuki, grał na gitarze i był biedny.

Theo Tatoski, bo tak się nazywał, wprost idealnie nadawał się na chłopaka zbuntowanej córki gubernatora. Pochodził z katolickiej rodziny robotników pracujących w fabryce samochodów w Detroit. On jednak, jak twierdził dowcipnie, wolał pieprzenie od zapieprzania. Co nie przeszkadzało, że pracował na pół etatu, musiał bowiem opłacić chesne. Traktował siebie z ogromną powagą. Trochę rozgrzeszał go talent.

Przez dwa lata Marcy i Theo byli nierozłączni. Marcy zawiozła go do domu rodziców. Ku jej radości ojciec nie wywarł na chłopaku żadnego wrażenia. Później, gdy leżeli w łóżku, Theo powiedział, że jej ojciec to bufon.

Zapewne wyczuł w zachowaniu rodziców Marcy protekcyjność - gubernator i jego żona potraktowali go wyjątkowo przyjaźnie, wyjątkowo uprzejmie, sądząc, że powinni uszanować wybór córki, mimo że prywatnie uważali go za wybitnie nieodpowiedni. Matka podeszła do sprawy spokojnie. Przewidywała, że córka z czasem wyzwoli się spod czaru Thea. Ojciec czuł się niezręcznie, ale usiłował nadrobić to przesadną - nawet jak na polityka - grzecznością. Zresztą gubernator uważał się za orędownika klasy robotniczej, w każdym razie taka była jego polityczna wykładnia, a jego żona odebrała liberalne wykształcenie. Powiedzieli sobie, że romans z tym chłopakiem poszerzy dziewczynie horyzonty. Marcy i Theo jednak zamieszkali razem i postanowili, że po skończeniu studiów wezmą ślub. Theo miał pisać i wystawiać sztuki, Marcy - być jego muzą i wykładowczynią literatury.

Stabilny układ. Młodzi nie przejawiali specjalnych skłonności do narkotyków, nie szaleli na punkcie seksu. Gubernator pomyślał, że nawet gdyby doszło do najgorszego, to małżeństwo Marcy z Theo może mu pomóc politycznie - oto pokaże wyborcom, że mimo swego anglosasko-protestanckiego pochodzenia, pieniędzy i kultury demokratycznie zaakceptował robotniczego zięcia.

Słowem, wszyscy starali się dostosować do banalnej sytuacji. Rodzice Marcy woleliby tylko, żeby narzeczony córki był mniej nudny.

Ale młodzież nie zawsze wie, czego chce. Na ostatnim roku studiów Marcy zakochała się w koledze, który był bogaty i miał bardziej odpowiednie pochodzenie. Nie porzuciła Thea, chciała się z nim przyjaźnić. Bawiło ją zonglowanie dwoma kochankami bez popełniania technicznego grzechu zdrady. W swej niewinności myślała, że to możliwe.

Źle myślała. Theo zareagował nie jak tolerancyjny radykał z Berkeley, lecz jak jakiś uszlachcony Polaczek. Zapomniał o poezji, muzycznej bohemie, naukach profesorek feministek, o całej tej berkeleyjskiej atmosferze seksualnego laissez-faire i wściekł się z

zazdrości.

Zawsze był chimerycznym ekscentrykiem, zresztą na tym między innymi polegał jego wdzięk. Głosił ekstremalnie rewolucyjne poglądy, na przykład, że wysadzenie w powietrze stu niewinnych ludzi to niewielka cena za wolność społeczną w przyszłości. Równocześnie Marcy wiedziała, że Theo nie byłby do czegoś takiego zdolny. Wróciwszy raz do domu po dwutygodniowych wakacjach znaleźli w łóżku mysie gniazdo. Theo wyniósł je na dwór, nie robiąc myszkom żadnej krzywdy. Jakże ją wtedy wzruszył.

Ale na wieść o tym drugim mężczyźnie uderzył Marcy w twarz. Potem się rozplakał i zaczął błagać ją o przebaczenie. Przebaczyła mu. Wciąż lubiła się z nim kochać, nawet bardziej niż dotąd, bo teraz, kiedy wiedział, że jest zdradzany, zrobił się czulszy, tkliwszy. Z czasem stawał się jednak coraz gwałtowniejszy, często wybuchały między nimi kłótnie, wspólne życie stopniowo stało się nie do zniesienia, więc w końcu Marcy wyprowadziła się z ich mieszkania.

Ta druga miłość wkrótce też przybladła. Marcy miała kilka następnych romansów. Z Theo jednak nie zerwała kontaktów, od czasu do czasu sypiali ze sobą. Marcy zamierzała wyjechać na Wschód i zrobić magisterium na uczelni należącej do Ligi Bluszczu. Theo przeprowadził się do Los Angeles, by pisać sztuki i starać się o zamówienia na scenariusze. Tymczasem jeden z jego krótkich musicali został wystawiony przez małą trupę teatralną. Zaplanowano trzy przedstawienia. Theo zaprosił Marcy na premierę.

Poleciała. Musical okazał się jednak tak nieudany, że połowa publiczności wyszła w trakcie spektaklu. Marcy zrobiło się żal Thea i została z nim na noc. Trudno dokładnie odtworzyć przebieg dalszych wypadków. Ustalono jedynie, że Theo nad ranem zabił Marcy - przebił jej nożem oczy. Potem wbił go sobie w brzuch i zadzwonił na policję. Jemu zdążono uratować życie, ale dla niej było już za późno.

Odbywająca się w Kalifornii sprawa sądowa była nie lada gratką dla mediów. Oto córka gubernatora Newady została zamordowana przez proletariackiego poetę, którego rzuciła po trzyletnim romansie.

Obrony Thea podjęła się Molly Flanders, specjalistka od zabójstw w afekcie (nawiasem mówiąc, po tej sprawie porzuciła prawo karne, przerzucając się na prawo autorskie). Przyjęła klasyczną linię obrony. Znalazła świadków, którzy potwierdzili, że Marcy miała równolegle przynajmniej sześciu kochanków, a Theo naiwnie liczył, że się pobiorą. Prostolinijny, proletariacki poeta porzucony przez bogatą, prominencką córkę doznał zaćmienia umysłu. Flanders zgłosiła wniosek, by czyn jej klienta zakwalifikować jako popełniony w „stanie chwilowej niepoczytalności”. Najbardziej pamiętne zdanie z jej mowy

obrończej (napisanej przez Claudię De Lena) brzmiało: „Oskarżony nie może wiecznie ponosić odpowiedzialności za swój czyn”. Zdanie to potem doprowadzi do szału don Clericuzia.

Theo podczas zeznań sprawiał wrażenie człowieka załamane. Jego rodzice, praktykujący katolicy, przekonali wpływowych przedstawicieli kalifornijskiego kleru, by stanęli po jego stronie i potwierdzili, że chłopak odrzucił hedonizm i myśli o podjęciu studiów teologicznych. Podkreślano, że Theo chciał się zabić, widać więc żałował swego czynu, co dowodziło niezbitcie, że popełnił go w chwili niepoczytalności, jak gdyby jedno musiało koniecznie wynikać z drugiego. Retoryka Molly Flanders nadała sprawie polityczny wydźwięk. Adwokatka stwierdziła, że społeczeństwo tylko skorzysta, jeżeli nie skaze Thea za nierozważny czyn, do którego popełnienia pchnęła go dziewczyna o wątpliwej moralności, złamawszy jego proletariackie serce. Lekkomysłna, bogata pannica, teraz niestety martwa.

Molly Flanders uwielbiała kalifornijskich przysięgłych. Inteligentni, wykształceni na tyle, by zrozumieć subtelności urazów psychicznych, poddani działaniu wyższej kultury teatru, filmu, muzyki, literatury, przepelnieni byli empatią. Wystarczyło ich wzruszyć, a werdykt niewinniający miało się w kieszeni. Theo został uniewinniony, ponieważ czyn swój popełnił w stanie chwilowej niepoczytalności. Natychmiast podpisano z nim kontrakt na serial telewizyjny oparty na historii jego życia, w którym on miał śpiewać skomponowane przez siebie piosenki, łączące poszczególne epizody. Szczęśliwe zakończenie współczesnej tragedii.

Nie dla wszystkich, gdyż gubernator Walter Wavven, ojciec dziewczyny, zupełnie się załamał. Ku przerażeniu Alfreda Gronevelta, którego dwudziestoletnie wysiłki miały pójść na marne, gubernator Wavven wyznał mu w kameralnym zaciszu Willi, że nie będzie startował w następnych wyborach. Co mu z władzy, jeśli byle skurwysyn może bezkarnie zadźgać jego córkę? Prawie oderznął jej głowę. Na dobitkę gazety i telewizja przedstawiły jego ukochaną Marcy jako pinde, która sama się prosiła o taki los.

Są w życiu tragedie, których nie da się uleczyć. Dla gubernatora taką tragedią była śmierć córki. Starał się spędzać w „Xanadu” jak najwięcej czasu, ale nie był to już ten dawny wesoły facet. Nie interesowały go tancerki z kabaretu, nie wciągała gra w kości. Pił i grał w golfa. Gronevelt miał więc delikatny problem.

Oczywiście, głęboko współczuł gubernatorowi. Trudno inwestować w kogoś przez dwadzieścia lat i go nie polubić, nawet jeśli się nie robiło tego zupełnie bezinteresownie. Prawda jednak była taka, że gubernator Walter Wavven, rezygnując z polityki, tracił swą potencjalną wartość. Był człowiekiem, który niszczył się alkoholem. A jeśli nawet siadał do

stolika, to grał z takim roztargnieniem, że już był zadłużony na dwieście tysięcy dolarów. W tej sytuacji Gronevelt doszedł do wniosku, że musi mu odebrać przywilej korzystania z Willi. Rzecz jasna, zaproponuje mu w zamian luksusowy pokój w hotelu, ale tamten odczuje to niewątpliwie jako degradację. Może więc jeszcze się trochę wstrzymać?

Przy najbliższej okazji Gronevelt namówił gubernatora, żeby zagrał z nim w golfa. W towarzystwie Pippiego De Lena i jego syna Crossa. Gubernator lubił zdrowy rozsądek Pippiego, a Cross był takim przystojnym i dobrze ułożonym młodzieńcem, że starsi zawsze chętnie widzieli go obok siebie. Po grze udali się do Willi na późny lunch.

Wavven bardzo schudł i wyraźnie stracił zainteresowanie wyglądem. Tego dnia nosił poplamioną bluzę i baseballową czapkę ze znaczkiem firmowym „Xanadu”. Był nie ogolony. Często się uśmiechał, lecz jakby z zażenowaniem. Uwagi Gronevelta nie uszły jego poźółkle zęby. Był też bardzo pijany.

Gronevelt postanowił zabrać głos.

- Panie gubernatorze - powiedział - sprawia pan zawód rodzinie, sprawia pan zawód przyjacielom, sprawia pan zawód mieszkańcom Newady. Tak dalej być nie może.

- Dlaczego nie? - burknął Wavven. - Mam gdzieś mieszkańców Newady. Czy ja ich choć trochę obchodzę?

- Oczywiście, że tak - zapewnił Gronevelt. - Mnie pan obchodzi. Zorganizuję pieniądze, a pan wystartuje w następnych wyborach.

- Po cholere? - zdziwił się Wavven. - Nie warto być gubernatorem w tym zaszranym kraju. Co mi z tego, że jestem gubernatorem wspaniałego stanu Newada, skoro byle gówniarz może bezkarnie zamordować mi córkę? Żyje sobie na wolności, a ja muszę to znosić. Ludzie lżyli moją biedną córkę i modlili się za mordercę. Wie pan, o co ja się modłę? Żeby bomba atomowa zmiotła z powierzchni ziemi ten zaszrany kraj, a w szczególności Kalifornię.

Pippi i Cross przysłuchiwali się ich rozmowie w milczeniu. Byli wstrząśnięci stanem gubernatora. Domyślali się też, co kierowało Groneveltem.

- Musi pan zostawić to za sobą - rzekł Gronevelt. - Niech pan nie pozwoli, by ta tragedia złamała panu życie. - Jego obłuda wyprowadziłaby z równowagi nawet świętego.

Gubernator podszedł do barku, cisnął czapką przez pokój i nalał sobie whisky.

- Nie potrafię zapomnieć. Nie śpię w nocy, tylko marzę, żeby wydłubać oczy temu sukinsynowi. Wyobrażam sobie, że go podpalam, odrąbuję mu nogi i ręce. I tak w kółko. - Uśmiechnął się do nich znad szklanki i zatoczył się tak, że z bliska ujrzeli jego żółte zęby i poczuli nieświeży oddech.

Nagle Wavven jakby wytrzeźwiał. Cichym, spokojnym głosem mówił:

- Widzieliście, jak ją zabił? Przekłuł jej oczy. Sędzia nie pozwolił pokazać przysięgłym zdjęć. Żeby się czasem nie uprzedzili. Ale mnie, ojcu, pokazano je bez żadnych oporów. Wyszedł wolny. Głupkowato uśmiechnięty chłopak roztropek. Wbił nóż mojej córce w oczy, a sam ogląda sobie słońce. Chętnie zabiłbym ich wszystkich: sędziego, przysięgłych, adwokatów, wszystkich bez wyjątku. - Dolał sobie whisky. Ze szklanką w ręce zaczął nerwowo spacerować po pokoju, mamrocząc: - Póki ten skurwiel chodzi po świecie, nie mogę stanąć przed ludźmi i pieprzyć im o sprawiedliwości, w którą już nie wierzę. Siedział przy moim stole, moja żona traktowała go jak człowieka, mimo że od początku nie pałaliśmy do niego wielką sympatią. Ale daliśmy mu kredyt zaufania. Bez sensu. Wpuściliśmy go do domu, pozwoliliśmy mu spać z naszą córką, a on przez cały czas sobie z nas kpił. Mówił: „No i co z tego, że jesteś gubernatorem? Co z tego, że masz pieniądze? Co z tego, że jesteście porządnymi, kulturalnymi ludźmi? Jak zechcę, to zabiję waszą córkę i gównem mi zrobicie. Załatwię was wszystkich. Wypierdolę waszą córkę, zabiję ją, a wy możecie mi naskoczyć. - Wavven się potknął i Cross podbiegł, żeby go podtrzymać. Gubernator spojrzał ponad jego głową na malowidło na suficie przedstawiające różowe anioły i ubranych na białą świętych. - Chcę, żeby zdechł - powiedział i rozplakał się. - Chcę, żeby zdechł.

- Walter, to przejdzie - odezwał się cicho Gronevelt. - Musisz tylko trochę poczekać. Startuj na senatora. Masz przed sobą najlepsze lata, możesz jeszcze tyle dokonać.

Wavven wyrwał się Crossowi.

- Nie rozumiesz, że straciłem wiarę w czynienie dobra? - powiedział prawie spokojnie do Gronevelta. - Nie wolno mi się przed nikim z tym zdradzić, nawet przed żoną. O nienawiści, która mnie dusi. I powiem ci coś jeszcze. Wyborcy mną gardzą, uważają mnie za mięczaka. Kto w Newadzie powierzyłby swoje bezpieczeństwo facetowi, który pozwala zamordować sobie córkę? - ironizował. - Ten mały skurwysyn prędzej by wygrał ode mnie... Daj spokój, Alfredzie. Nigdzie nie będę startował.

Gronevelt przyglądał mu się w milczeniu. Zaczynał coś rozumieć. Rozpacz często prowadziła do słabości. Postanowił zaryzykować. Spytał ostrożnie:

- A gdyby spotkała go kara, to stanąłbyś do walki o fotel senatora? Byłbyś znowu takim człowiekiem, jak kiedyś?

Gubernator wydawał się nie pojmować pytania. Prześliznął się wzrokiem po Pippim i Crossie, a potem znowu spojrzał na Gronevelta.

- Zaczekajcie na mnie w biurze - polecił Gronevelt Pippiemu i Crossowi.

Posłusznie wyszli. Kiedy Gronevelt i Wavven zostali sami, Gronevelt powiedział smutno:

- Walterze, pierwszy raz w życiu musimy być ze sobą absolutnie szczerzy. Znasz mnie od dwudziestu lat. Czy kiedykolwiek nie dochowałem jakiejś tajemnicy? Więc odpowiedz na moje pytanie. Nie ma niebezpieczeństwa. Czy wystartujesz w wyborach, jeśli ten chłopak umrze?

Gubernator podszedł do baru i nalał sobie whisky. Ale nie wypił. Uśmiechnął się.

- Pójdę na jego pogrzeb, by pokazać, że mu przebaczyłem - powiedział. - Wyborcom to się bardzo spodoba.

Gronevelt odetchnął z ulgą. Załatwione. Z radości stracił zwykłą powściągliwość i poradził:

- Zaczynij od wizyty u dentysty. Niech doprowadzi ci zęby do porządku.

Pippi i Cross czekali na Gronevelta w gabinecie przy jego podniebnym apartamencie. Zaprosił ich do części mieszkalnej, gdzie wszyscy czuli się swobodniej i zdał im relację z rozmowy z gubernatorem.

- Jak on się czuje? - spytał Pippi.

- Nie jest taki pijany, na jakiego wyglądał - odparł Gronevelt. - Dał mi do zrozumienia, o co mu chodzi, ale nie powiedział tego wprost.

- Lecę jutro na Wschód - oznajmił Pippi. - Musimy uzyskać zgodę Rodziny.

- Przekaż im, że moim zdaniem ten facet wysoko zajdzie - rzekł Gronevelt. - Na sam szczyt. To cenna znajomość.

- Giorgio i don na pewno się zgodzą - stwierdził Pippi. - Ale muszę im wszystko powiedzieć i uzyskać ich akceptację.

Gronevelt uśmiechnął się do Crossa. Następnie zwrócił się do Pippiego:

- Myślę, że nadszedł czas, by Cross wstąpił do Rodziny. Sądzę, że powinniście razem polecieć na Wschód.

Ale Giorgio Clericuzio postanowił, że sam do nich przyleci. Chciał się dowiedzieć, o co chodzi, od samego Gronevelta, a Gronevelt już od dziesięciu lat nie latał samolotem.

Giorgio wraz z obstawą został zakwaterowany w jednej z Willi, mimo że nie zaliczał się do graczy o wielką stawkę. Raz w życiu Gronevelt odstąpił od swych zasad. Odmawiał Willi wpływowym politykom, finansowym rekinom, niektórym głośnym aktorom z Hollywood, pięknym kobietom, z którymi sypiał, bliskim znajomym, a nawet Pippiemu De Lena. Dał Willę Giorgiowi Clericuzio, choć wiedział, że Giorgio ma spartańskie upodobania i nie jest łasy na luksusy. Liczył się gest. Wprawdzie Gronevelt uczynił ich już wiele, ale przecież wystarczy jedno małe przeoczenie, by mu je kiedyś wypomnieli.

Spotkali się w Willi Giorgia. Gronevelt, Pippi i Giorgio...

Gronevelt naświetlił sytuację.

- Gubernator to świetny nabytek dla Rodziny - mówił. - Jeśli się weźmie w garść, to na pewno wygra. Najpierw urząd senatora, potem prezydenta. A wówczas zalegalizowanie hazardu we wszystkich stanach macie jak w banku. Rodzina zarobi na tym miliardy i to nie brudne miliardy, forszę czystą jak łza. Mówię wam, powinniśmy to zrobić.

Czyste pieniądze były o niebo więcej warte od brudnych. Ale Giorgio miał to do siebie, że nie podejmował decyzji na łapu-capu.

- Czy gubernator wie, że jest pan z nami powiązany?

- Nie mówiłem mu o tym - odparł Gronevelt - ale myślę, że słyszał to i owo, a nie jest kretynek. Załatwiłem mu kilka spraw, które go przerastały, o czym świetnie wie. To mądry facet. Powiedział tylko, że by kandydował, gdyby chłopak nie żył. O nic nie prosił. Świetnie udaje, wcale nie był taki pijany, kiedy pękł. Myślę, że dobrze to sobie przemyślał. Był szczerzy, a jednocześnie ze mną grał. Skoro sam na to nie wpadłem, podsunął mi, co mam uczynić. Cierpi i kombinuje równocześnie. - Przerwał na chwilę. - Jeśli to zrobimy, będzie kandydował na senatora. Będziemy mieć własnego senatora.

Giorgio spacerował w zamyśleniu po pokoju, starannie omijając posągi na piedestałach i marmurowe jacuzzi za półprzezroczystą zasłoną.

- Obiecał mu to pan bez naszej zgody? - spytał w pewnej chwili.

- Tak - przyznał Gronevelt. - Musiałem tak postąpić, żeby pomyślał, że w dalszym ciągu wiele może. Że w dalszym ciągu może nadać jakiejś sprawie bieg. Liczyłem, że w ten sposób znowu poczuje smak władzy.

Giorgio westchnął.

- Nie znoszę takich spraw.

Pippi uśmiechnął się pod nosem. Ależ ten Giorgio się zgrywał. Przecież pomógł zmieść z powierzchni ziemi Rodzinę Santadio i zrobił to z taką brutalnością, że don mało nie pękł z dumy.

- Myślę, że potrzebna jest nam ekspertyza Pippiego - stwierdził Gronevelt. - Myślę też, że nadszedł czas, by Cross wszedł do Rodziny.

Giorgio spojrzał na Pippiego.

- Czy twoim zdaniem Cross jest gotów?

- Liznął już tego i owego. Czas, by nauczył się zarabiać na życie.

- Ale czy on to zrobi? - spytał Giorgio. - To duży krok.

- Pogadam z nim - odparł Pippi. - Zrobi na pewno.

Giorgio zwrócił się do Gronevelta:

- Załóżmy, że wyświadczymy tę przysługę gubernatorowi. Co będzie, jeśli on potem o wszystkim zapomni? Zaryzykujemy na darmo. Ten człowiek jest gubernatorem Newady, ale gdy zabili mu córkę, nie zrobił nic w tej sprawie. To facet bez jaj.

- Coś jednak zrobił - odparł Gronevelt. - Przyszedł do mnie.

- I myśli pan, że wygra wybory? - spytał Giorgio.

- Zostawimy go sobie na deser - rzekł Gronevelt. - Mam z nim układy od dwudziestu lat. Gwarantuję, że wygra, jeśli się go umiejętnie poprowadzi. On umie grać, to spryciarz.

- Słuchaj, Pippi - rzekł Giorgio. - Rzecz musi wyglądać na wypadek. Sprawa zyska duży rozgłos. Nie chcemy, żeby gazety i telewizja łączyły ją z gubernatorem. Byłaby to woda na młyn jego wrogów.

- Tak, to bardzo ważne, żeby na gubernatora nie padł nawet cień podejrzenia - potwierdził Gronevelt.

- Czy ta akcja jednak nie będzie za trudna na chrzest bojowy Crossa? - zastanawiał się Giorgio.

- Nie, w sam raz - odparł Pippi.

Nie mogli kwestionować jego opinii, bo on tu był specem. Sprawdzał się w wielu akcjach, zwłaszcza podczas Wielkiej Wojny z Rodziną Santadio. Często mawiał: „Nadstawiam dupę. Jeśli mam w nią dostać, wolę, żeby to było z mojej własnej winy, a nie jakiegoś łamagi”.

Giorgio klasnął w dłonie.

- W porządku. Zróbmy to i miejmy sprawę z głowy. Alfredzie, zagrałby pan jutro rano ze mną w golfa? Wieczorem jadę w interesach do Los Angeles, a pojutrze wracam na Wschód. Pippi, chciałbym, żebyś mi powiedział, kogo z Enklawy będziesz potrzebował do pomocy i czy Cross faktycznie w to wchodzi.

W tej chwili Pippi zrozumiał, że jeśli Cross nie weźmie udziału w tej akcji, to już nigdy nie zostanie przyjęty do Rodziny Clericuzio.

Golf był ulubioną grą członków Rodziny Clericuzio z pokolenia Pippiego; don mawiał złośliwie, że golf został wymyślony specjalnie dla brugliones. Tego popołudnia na pole golfowe hotelu „Xanadu” wybrali się Pippi z Crossem. Nie wzięli wózka, bo Pippi uważał, że dobrze im zrobi trochę ruchu i kontakt z przyrodą.

Nieopodal dziewiątego dołka rosły drzewa i stała ławka. Usiedli na niej.

- Nie będę żył wiecznie - stwierdził Pippi. - A ty musisz zarobić na swe utrzymanie. Agencja inkasowania należności to intratny interes, ale trudny do utrzymania. Dlatego musisz wyrobić sobie dobrą pozycję w Rodzinie Clericuzio.

Pippi wiedział, co robi, wysyłając Crossa z kilkoma misjami, w których należało użyć siły i pozwalając mu słuchać plotek na swój temat. Zarazem czekał na właściwy moment i na odpowiedni cel - cel, który wzbudzi w Crossie odrazę.

- Rozumiem - rzekł cicho Cross.

- Ten gnój zabił córkę gubernatora - ciągnął Pippi z naciskiem. - Pomyśl tylko, taki wypierdek mamuta i nikt mu nic nie zrobił. Toż to woła o pomstę do nieba.

Crossa rozbawiła religijność ojca.

- Zwłaszcza że gubernator jest naszym dobrym znajomym - zauważył.

- No właśnie - potwierdził Pippi. - Słuchaj, synu, możesz powiedzieć „nie”. Ale chciałbym, żebyś pomógł mi zrobić to, co do mnie należy.

Cross ogarnął wzrokiem pole golfowe, chorągiewki nad dołkami śmiertelnie znieruchomiałe w tym pustynnym powietrzu, srebrzyste grzbiety gór na horyzoncie, niebo rozjaśnione neonami, których stąd nie widział. Myśl, że w jego życiu nastąpi teraz zmiana, przeraziła go.

- Zawsze pozostaje mi praca u Gronevelta - zauważył. Równocześnie położył ojcu rękę na ramieniu, dając do zrozumienia, że tylko żartuje.

Pippi uśmiechnął się do niego.

- Tę robotę zlecił nam Gronevelt. Widziałeś, jak się przejmuje gubernatorem. Niech tam ma, skoro tak mu zależy. Załatwił zgodę Giorgia. A ja im powiedziałem, że mi pomożesz.

W dali na jednym z poletek Cross dostrzegł cztery osoby - dwóch mężczyzn i dwie kobiety - w rozgrzanym słońcu drżeli jak postacie na filmie rysunkowym.

- Muszę przejść chrzest bojowy.

Rozumiał, że ma do wyboru: albo wziąć udział w akcji, albo rozejrzeć się za jakimś nowym zajęciem. A on kochał to, co robił, pracę u ojca, „Xanadu”, Gronevelta, tancerki, łatwe zarobki, poczucie władzy. Kiedy przejdzie chrzest bojowy, nie będzie miał już powrotu do normalnego świata.

- Zaplanowanie akcji biorę na siebie - tłumaczył Pippi. - Będę ci towarzyszył. Nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo. Tyle tylko że musisz strzelić.

Cross wstał z ławki. Flagi na siedmiu Willach trzepotały, a na polu golfowym nie czuło się najlżejszego nawet powiewu. Pierwszy raz w życiu poczuł boleśnie, że coś traci. Bezpowrotnie.

- Możesz na mnie liczyć - zapewnił.

Trzy następne tygodnie Pippi poświęcił na indoktrynację Crossa. Wyjaśnił, że czekają

na fotografii i raport grupy zajmującej się obserwacją Thea, jego ruchów i zwyczajów. Do domu w Los Angeles, w którym Theo dalej mieszkał, wprowadziła się sześciuosobowa grupa operacyjna z Enklawy w Nowym Jorku. Plan operacyjny miał być opracowany na podstawie raportu z inwigilacji. Pippi zrobił Crossowi wykład również z filozofii.

- To jest biznes - mówił. - Podejmujemy wszystkie środki ostrożności, by zapobiec wypadce. Zabić każdy potrafi. Sztuka polega na tym, żeby cię nie złapali. Dać się złapać to grzech. I nigdy nie myśl o tych ludziach. Zwalnijąc z pracy pięćdziesiąt tysięcy robotników, dyrektor General Motors tylko wykonuje swoje zadanie. Musi to zrobić, nie może się nad nimi użalać. Papierosy zabijają tysiące ludzi, ale co z tego? Ludzie chcą palić, więc nie zamkniesz interesu, który przynosi miliardy dolarów zysku. To samo z bronią. Każdy ma pistolet, naokoło wszyscy do siebie strzelają, ale to miliardowy przemysł, trudno go zlikwidować. Nie ma wyjścia. Ludzie muszą zarabiać na utrzymanie, nie ma innego wyjścia. Tak było zawsze na całym świecie. Jeśli nie wierzysz, spróbuj żyć na ulicy.

Pippi zapoznał też Crossa z surowymi przykazaniami Rodziny Clericuzio.

- Na każdą akcję musisz uzyskać od nich zgodę. Nie możesz zabić kogoś, ot tak, bo nastąpił ci na odcisk. Rodzina musi być poinformowana, żeby w razie czego wyciągnąć cię z kłopotów.

Cross słuchał w milczeniu. Zadał tylko jedno pytanie.

- Giorgio chce, żeby wyglądało na wypadek, prawda? Jak to zrobimy?

Pippi roześmiał się.

- Nigdy nie daj sobie dyktować, jak masz przeprowadzić akcję. Niech się w nos pocałują. Oni mówią, czego ode mnie oczekują, a ja wykonuję to w sposób dla mnie najwygodniejszy. Czyli prosty. Najprostszy. Kiedy chcą, żeby było wyrafinowanie, musisz się specjalnie przygotować.

Nadszedł raport z inwigilacji. Pippi polecił Crossowi się z nim zapoznać. Raport zawierał zdjęcia Thea, zdjęcia jego samochodu z czytelnymi tablicami rejestracyjnymi oraz mapę jego przejazdu z Brentwood do Oxnard, gdzie odwiedzał narzeczoną.

- Taki ma narzeczoną? - zdziwił się Cross.

- Nie znasz kobiet - stwierdził Pippi. - Jak cię lubią, to dadzą ci nawet sikać do zlewu. A jak cię nie lubią, to będą tobą pomiatać, choćbyś na głowie stawał.

Pippi poleciał do Los Angeles na spotkanie z grupą operacyjną. Wrócił dwa dni później i powiedział:

- Jutro wieczorem.

Wyruszyli nazajutrz przed świtem, by uniknąć pustynnego upału. Podczas przejazdu

przez pustynię Pippi kazał Crossowi odpoczywać. Cross patrzył jak w transie na wschód słońca, które wydawało się zmieniać piasek pustynny w złotą rzekę płynącą u stóp łańcucha gór Sierra Nevada. Odczuwał zdenerwowanie. Chciał to już mieć za sobą.

Przyjechali do domu Rodziny w Pacific Palisades. Tam oczekiwała ich już sześćosobowa załoga z Enklawy Bronxu. Na podjeździe stał skradziony samochód, przemalowany, zaopatrzony w fałszywe tablice rejestracyjne. W domu znajdowała się też broń, którą mieli posłużyć się tego wieczora.

Ku zaskoczeniu Crossa dom okazał się bardzo luksusowy. Miał basen, ogromny taras, z którego roztaczał się piękny widok na ocean po drugiej stronie autostrady. Sześć sypialni. Faceci z Nowego Jorku przywitali się z Pippim jak z dobrym znajomym. Ale Pippi nie przedstawił im Crossa ani ich Crossowi.

Mieli do zabicia jedenaście godzin, bo akcję wyznaczono dopiero o północy. Faceci z Nowego Jorku nie spojrzeli nawet w stronę ogromnego telewizora w salonie, lecz przebrali się w kąpielówki i zasiedli na tarasie do kart. Pippi uśmiechnął się do Crossa i powiedział:

- Psiakostka, zapomniałem o kąpielówkach.

- Nie szkodzi. Popływamy sobie w gatkach - odparł Cross.

Dom stał na uboczu, a poza tym był osłonięty dużymi drzewami i żywopłotem.

- Albo na golasa - rzekł Pippi. - Kto nas może tutaj zobaczyć? Piloci helikopterów wolą podglądać bogate kobitki, które opalają się na swych prywatnych plażach w Malibu.

Przez kilka godzin pływali i opalali się, a potem zjedli obiad przygotowany przez facetów z Nowego Jorku. Posiłek składał się ze steków upieczonych na ogrodowym grillu oraz z różnych gatunków sałaty. Pili czerwone wino - poza Crossem, który wolał wodę sodową. Cross zauważył, że nikomu nie dopisywał apetyt.

Po posiłku Pippi zabrał Crossa skradzionym autem na rekonesans. Pojechali do knajpy w stylu dzikiego zachodu przy Pacific Coast Highway, gdzie spodziewali się załatwić Thea. Raport z inwigilacji donosił, że w środy koło północy w drodze do Oxnard zatrzymywał się tu na kawę i jajka na szynce. O pierwszej jechał dalej. Umówiono się z grupą inwigilacyjną, że zadzwonią, kiedy Theo wyjedzie.

Po powrocie do domu Pippi jeszcze raz powtórzył plan akcji. Ludzie z Nowego Jorku pojedą trzema samochodami. Jeden samochód będzie jechał przed nim, drugi za nim, a trzeci będzie ich obstawiać na parkingu przed restauracją.

Cross i Pippi siedzieli na tarasie, czekając na telefon. Pięć czarnych aut stojących na podjeździe błyszczało w świetle księżycy niczym żuki. Ci z Enklawy grali dalej w karty na moniaki. O wpół do dwunastej zadzwonił telefon: Theo wyjechał z Brentwood i udawał się w

kierunku restauracji. Faceci z Enklawy wskoczyli do samochodów i bezzwłocznie odjechali. Pippi i Cross odczekali kwadrans, po czym wsiedli do skradzionego auta. Cross miał w kieszeni marynarki mały pistolet kaliber .22, który choć bez tłumika, wydawał krótkie, ostre „puk”; Pippi był zaopatrzony w straszliwie głośnego glocka. Od czasu aresztowania za morderstwo Pippi nie używał tłumika.

Prowadził Pippi. Akcja została zaplanowana w najdrobniejszych szczegółach. Między innymi umówili się, że żaden z nich nie wejdzie do restauracji. Wiadomo, że policja przede wszystkim przesłucha klientów. Grupa inwigilacyjna podała szczegóły ubioru Thea, markę jego samochodu, numer rejestracyjny. Ułatwił im zadanie - jechał jaskrawoczerwonym tanim fordem, który należał do rzadkości w tych okolicach, gdzie królowały mercedesy i porsche.

Kiedy Pippi i Cross przybyli na parking przed restauracją, samochód Thea już tam stał. Pippi zaparkował obok, wyłączył światła i zapłon. Siedzieli teraz w ciemności. Po drugiej stronie autostrady migotał ocean, pokryty złotymi smugami księżyca. Jeden z samochodów ich ludzi stał na końcu parkingu. Pippi i Cross wiedzieli, że pozostałe dwa auta zajęły już swe pozycje na autostradzie i czekają, by odeskortować ich do domu, a w razie potrzeby zmylić pogoń.

Cross spojrzął na zegarek. Było w pół do pierwszej. Pomyślał, że przyjdzie im poczekać jeszcze jakieś piętnaście minut. Raptem Pippi stuknął go w ramię.

- Wychodzi wcześniej - powiedział. - Ruszaj!

Z restauracji wyłoniła się jakaś postać. Padające przez otwarte drzwi światło na chwilę wyłuskało ją z mroku. Cross zobaczył chłopięcą sylwetkę, drobną i szczupłą. Burzę włosów nad bladą chudą twarzą. Theo był bardzo wąty jak na mordercę.

Nagle stało się coś nieprzewidzianego. Theo, zamiast podejść do samochodu, skierował się ku autostradzie i, uskakując przed samochodami, przedostał się na drugą stronę. Zszedł na lizaną przez fale plażę. Przez chwilę wpatrywał się w ocean i żółty księżyc na horyzoncie. Potem odwrócił się, przeszedł przez autostradę i skręcił na parking. Ale zanim to zrobił, pozwolił widać dosięgnąć się falom, bo do uszu Crossa dobiegł odgłos wody rozpryskującej się o jego modne wysokie buty.

Cross powoli wysiadł z auta. Theo szedł prosto na niego. Cross poczekał, aż się z nim zrówna, po czym z uśmiechem zrobił krok do tyłu, by Theo mógł otworzyć drzwi samochodu. Kiedy Theo siedział już za kierownicą, Cross wyciągnął pistolet. Ręka wkładająca kluczyk do stacyjki znieruchomiała - Theo poczuł na sobie czyjś cień. Spojrzął do góry przez otwarte okno. Patrzyli sobie w oczy w chwili, gdy Cross wystrzelił. Pocisk ugodził Thea w twarz, przekształcając ją w krwawą maskę z wytrzeszczonymi oczyma. Cross szarpnął drzwiczki

samochoodu i wpakował mu w głowę kolejne dwie kule. Krew Thea opryskała mu twarz. Wysypał na podłogę forda woreczek narkotyków i zatrzasnął drzwi. Pippi uruchomił silnik samochodu już po pierwszym strzale. Teraz uchylił drzwi i Cross wskoczył do środka. Zgodnie z planem nie porzucił pistoletu. Gdyby to zrobił, zabójstwo wyglądałoby na zaplanowany atak, a nie na porachunki handlarzy narkotyków.

Wyjechali z parkingu, obstawa za nimi. Dwa samochody czekające przy autostradzie zajęły swe pozycje i pięć minut później wszyscy byli z powrotem w domu. Dziesięć minut później Pippi i Cross samochodem Pippiego wracali do Vegas. Grupa operacyjna miała się jeszcze pozbyć skradzionego samochodu i pistoletu.

Przejeżdżając obok restauracji nie stwierdzili obecności policji. Widocznie nikt Thea jeszcze nie odkrył. Pippi włączył radio. W wiadomościach też nic nie było.

- Genialnie - stwierdził Pippi. - Grunt to wszystko dobrze zaplanować.

Do Las Vegas dojechali o świcie. Cross pomyślał, że nigdy nie zapomni tej jazdy przez pustynię, najpierw w atramentowych ciemnościach, następnie w bladym świetle księżycy. Kiedy doszedł do wniosku, że ta noc nigdy się nie skończy, weszło słońce, a chwilę potem ich oczom ukazała się neonowa poświata nad Vegas, będąca dla niego symbolem bezpieczeństwa, przebudzenia z koszmarne snu. W Vegas nigdy nie było ciemno.

Mniej więcej w tym samym czasie odkryto zwłoki Thea, który w bladym świetle poranka przypominał ducha. Doniesienia kładły nacisk na fakt, że w samochodzie znaleziono kokainę wartości pół miliona dolarów. Najwyraźniej handlarze nie dogadali się co do ceny. Na gubernatora nie padł nawet cień podejrzeń.

Cross zwrócił wtedy uwagę na kilka rzeczy. Narkotyki, które podrzucił, były warte najwyżej dziesięć tysięcy dolarów, a policja oceniła je na pół miliona; gubernator wysłał kondolencje rodzicom Thea, co wszystkim bardzo ujęło; tydzień później o morderstwie nikt już ani nie pisał, ani nie mówił.

Pippiego i Crossa wezwano na Wschód. Giorgio pochwalił ich obu za inteligentnie zaplanowaną i przeprowadzoną akcją i nawet się nie zająknął, że według umowy śmierć chłopaka miała wyglądać na wypadek. Podczas tej wizyty Cross uświadomił sobie, że jest traktowany z szacunkiem należnym „młotowi” Rodziny. Normalnie nie przyznano by mu procentów od dochodów z totalizatorów, legalnych i nielegalnych, w Las Vegas. W taki oto sposób został oficjalnym członkiem Rodziny Clericuzich, który od czasu do czasu musi wykonać wyznaczone zadanie i dostaje za to premię w wysokości proporcjonalnej do poniesionego ryzyka.

Również Gronevelt dostał nagrodę. Walter Wavven został senatorem. Kiedy przyjechał na weekend do „Xanadu”, Gronevelt pogratulował mu zwycięstwa w wyborach i oddał do dyspozycji Willę.

Senator Wavven był znowu w dobrej formie. Grał i wygrywał, zapraszał tancerki z kabaretu na kolację. Zdawało się, że zupełnie doszedł do siebie. Zrobił tylko jedną aluzję do przeszłości. Powiedział Groneveltowi:

- Alfredzie, daję ci czek in blanco.

Gronevelt uśmiechnął się.

- W dzisiejszych czasach lepiej nie nosić w portfelu czeku in blanco, ale dziękuję.

Nie chciał się nawet zgodzić, by senator spłacił swoje długi w kasynie. Od pieniędzy wolał serdeczną przyjaźń, przyjaźń po wsze czasy.

W ciągu następnych pięciu lat Cross został ekspertem od hazardu i prowadzenia hotelu-kasyna. Asystował Groneveltowi, choć przede wszystkim pracował ze swym ojcem i to nie tylko w agencji odzyskiwania należności, ale również jako „młot” numer dwa Rodziny Clericuzio.

Do czasu ukończenia dwudziestu pięciu lat Cross nosił przydomek „młodego młota”. Sam się sobie dziwił, że ma takie mocne nerwy. Nie znał tych ludzi. Byli dla niego mięsem uwieczonym w bezbronnej skórze; szkielet pod tą skórą przypominał mu dzikie zwierzęta, na które polował z ojcem, będąc chłopcem. W czasie akcji strachu nie odczuwał; jeśli się bał, to tylko retrospektywnie. Zdarzało mu się na przykład, że budził się rano zlany potem, jak gdyby przyśnił mu się jakiś koszmar. Miewał okresy depresji, a wtedy wspominał matkę i siostrę, odwiedziny u nich w różnych okresach życia.

Pamiętał, jak kiedyś tęsknił za ciepłą, satynową skórą jej policzka, przy tym tak porowatą, że zawsze odnosił wrażenie, iż słyszy szum krwi, który napawał go spokojem. Ale w snach ta skóra rozpadała się jak spopielały papier, krew wypływała ze szparek o paskudnym wyglądzie i zamieniała się w szkarłatne wodospady.

Obraz ten przywoływał z kolei wspomnienie ich pożegnań, kiedy to matka, musnąwszy jego czoło chłodnymi wargami, przyciągała go do siebie na krótką chwilę. Nigdy nie brała go za rękę tak, jak Claudię. Wychodził z jej domu ciężko oddychając, z bolesnym uciskiem w piersi. W dorosłym życiu nie odczuwał jej braku, tęsknił za nią tylko w przeszłości.

Myśląc o siostrze, nie odczuwał takiej straty. Mieli mnóstwo wspólnych wspomnień; siostra nadal była ważną osobą w jego życiu, choć może nie aż tak, jak by chciał. Pamiętał, jak kiedyś zimą ze sobą walczyli. Trzymając pięści w kieszeniach kurtek, nacierali na siebie

ciałami. Dziwny pojedynek. Wszystko dobrze się ułożyło poza tym, że czasami tęsknił za matką i siostrą. Ale miał za to ojca i Rodzinę Clericuzio.

W dwudziestym piątym roku życia Cross ostatni raz wystąpił w roli „młota” Rodziny. Celem był ktoś, kogo znał całe życie...

Zakrojone na szeroką skalę działania FBI zrujnowały w całym kraju wielu tytułarnych baronów i niektórych autentycznych brugliones, wśród nich Virginia Ballazza, głowę największej Rodziny na Wschodnim Wybrzeżu.

Virginio Ballazzo był baronem Rodziny Clericuzio przez ponad dwadzieścia lat, a ponieważ nigdy nie zapominał o zwilżaniu im dzioba, Clericuziowie dbali, by mógł się bez przeszkód bogacić. W dniu swego upadku Ballazzo był wart ponad pięćdziesiąt milionów dolarów. On i jego rodzina żyli po królewsku. I nagle stała się rzecz nieoczekiwana: Virginio Ballazzo zdradził tych, którzy wynieśli go na szczyt. Złamał prawo omerta, czyli niepisany zakaz udzielania informacji władzom.

Virginio Ballazzo został oskarżony o morderstwo, ale zdradził nie ze strachu przed więzieniem (w stanie Nowy Jork nie było przecież kary śmierci). Zresztą nawet gdyby przegrał proces, to Rodzina Clericuzio - bez względu na wysokość wyroku - po dziesięciu latach wyciągnęłaby go z więzienia, dopilnowawszy, żeby czas oczekiwania na ten dzień upływał mu w miarę przyjemnie. Wiedział, że na rozprawie świadkowie będą kłamali na jego korzyść, że Rodzina przekupi również przysięgłych. A nawet jeśli zapadnie wyrok skazujący, to po kilku latach proces zostanie wznowiony, adwokaci przedstawią nowe dowody, wykażą, że jest niewinny. Była taka jedna głośna sprawa, w której Clericuziowie wyciągnęli gościa po pięciu latach. Nie dość, że wyszedł na wolność, to jeszcze władze stanowe zapłaciły mu ponad milion dolarów odszkodowania za „niesprawiedliwe” uwięzienie.

Ale Ballazzo nie bał się uwięzienia. Zdradził, bo go postraszyli, że na mocy przyjętych przez Kongres specjalnych ustaw do walki ze skorumpowanymi organizacjami typu mafijnego (RICO) zajmą mu cały majątek. Ballazzo nie mógł znieść myśli, że miałby stracić pałac w New Jersey, luksusowe mieszkanie na Florydzie, stadninę w Kentucky, z której trzy konie biegały w Kentucky Derby. Niesławne ustawy RICO zezwalały rządowi na konfiskatę wszystkich dóbr ludzi zatrzymanych za przestępstwa kryminalne. Zabrano by mu zatem wszystkie akcje i obligacje, nie mówiąc o jego zabytkowych samochodach. Don Clericuzio na wieść o wprowadzeniu tych ustaw powiedział: „Oj, bogaci gorzko zapłaczą, jak pewnego dnia cała Wall Street trafi do więzienia”.

Szczęśliwym trafem, a właściwie dzięki genialnej intuicji don Clericuzia przez ostatnie kilka lat nie wtajemniczano drogiego Virginia w ważne sprawy Rodziny. Zaczął

zanadto - jak na ich gust - rzucać się w oczy. W opublikowanym na łamach „The New York Times” artykule o kolekcji starych samochodów Ballazzo zamieszczono jego fotografię w czapce z epoki za kierownicą rolls-royce’a z 1935 roku. W telewizji pokazano go na Kentucky Derby, jak wymachując szpicrutą, wysławia piękno tego królewskiego sportu. Występował tam jako bogaty importer dywanów. Clericuziowie stwierdzili wówczas, że zupełnie przewróciło mu się w głowie i zaczęli traktować go z rezerwą.

O tym, że Virginio Ballazzo wszedł w układy z prokuratorem okręgowym, poinformował ich jego adwokat. Don, obecnie praktycznie na emeryturze, natychmiast przejął dowodzenie. Sytuacja wymagała sycylijskiej głowy.

Zwołano naradę w składzie: don, Giorgio, Vincent i Petie oraz Pippi De Lena, na której stwierdzono, że struktura Rodziny jest zagrożona. W każdym razie jej dolne poziomy. Giorgio powiedział, że w najgorszym razie centrum dowodzenia można przenieść do jakiegoś innego kraju. Don nie chciał nawet o tym słyszeć. Wyjechać z Ameryki? Z kraju, w którym stali się bogaci? Z kraju, który był silny jak żaden inny na świecie i dbał o swych obywateli? Don często powtarzał: „Lepiej niech stu winnych ujdzie kary, niż miałyby ucierpieć jeden niewinny” i dodawał: „Piękny kraj”. Niestety polegało na tym, że wiodąc spokojny żywot, przestali być groźni. Na Sycylii taki Ballazzo nie odważyłby się zdradzić, nie odważyłby się złamać prawa omerta. Zostałby zabity przez własnych synów.

- Jestem za stary na przeprowadzkę - zakończył don. - Nie dam się stąd wykurzyć byle zdrajcy.

Virginio Ballazzo był symptomem choroby, żeby nie powiedzieć epidemii. Ostatnio namnożyło się takich, którzy nie przestrzegali starej zasady nieafiszowania się swymi pieniędzmi. Na przykład bruglione Rodziny w Luizjanie, inny z Chicago, jeszcze inny z Tamy. Popisywali się bogactwem, władzą, jaką ono daje. A potem ci cafoni wpadali i usiłowali się wykręcić od kary, która im się słusznie należała. Za bezmyślność. Za złamanie prawa omerta. Za zdradę ziomków. Należało wyrwać te chwasty z korzeniami. Tak uważał don Clericuzio, ale najpierw chciał wysłuchać opinii innych; był przecież starym człowiekiem i może nie dostrzegał lepszych rozwiązań.

Giorgio przedstawił aktualną sytuację. Ballazzo układał się z prokuratorami. Zgodzi się pójść do więzienia, jeśli rząd mu zagwarantuje, że jego żona i dzieci zatrzymają majątek. Próbował też, rzecz jasna, wykręcić się od odsiadki - miałyby za to zeznawać w sądzie przeciw ludziom, których zdradził. Potem oboje z żoną zostaną objęci programem ochrony świadków. Zmienia nazwisko, poddadzą się operacjom plastycznym. Dzieci do końca życia będą miały zapewniony odpowiedni poziom życia. Taki był to układ.

Ballazzo, abstrahując od jego rozmaitych wad, był troskliwym ojcem (co do tego wszyscy się zgodzili). Miał troje udanych dzieci. Jeden syn kończył właśnie Harvardzką Szkołę Biznesu, córka Ceil była właścicielką eleganckiej drogerii przy Piątej Alei, drugi syn przeprowadzał ważne obliczenia dla NASA. Zasluziwali na dobre życie. Byli Amerykanami w każdym calu, Amerykanami, którym spełniło się amerykańskie marzenie.

- Zrobimy tak - zaproponował don - wyślemy do Virginia wiadomość, którą powinien łatwo pojąć. Niech kabluje, na kogo chce, może wszystkich posłać do więzienia lub sprawić, że pochłoną ich fale oceanu, ale jeśli piśnie choćby jedno słowo na Clericuziów, zapłacą za to jego dzieci.

- W dzisiejszych czasach takie groźby nie robią na nikim wrażenia - stwierdził Pippi De Lena.

- Moje groźby robią wrażenie - rzekł don Domenico. - Nic mu nie obiecuję. On to zrozumie.

Głos zabrał Vincent:

- Nie znajdziemy go, gdy zostanie objęty programem ochrony świadków.

Don odwrócił głowę do Pippiego.

- A ty, mój martello, co ty o tym sądzisz?

Pippi De Lena wzruszył ramionami.

- Oczywiście, że go znajdziemy. Tyle że podniesie się straszny wrzask, media się wzburzą. Rodzi się pytanie, czy to warto. Czy to coś zmieni?

- Właśnie z powodu tego wrzasku, tych mediów, warto - odparł don. - Wyślemy w świat ostrzeżenie. Dlatego uważam, że należy to zrobić bella figura.

- Moglibyśmy też podejść do sprawy spokojnie - zauważył Giorgio. - Cokolwiek Ballazzo powie, nas to nie pogrzebie. Twoje rozwiązanie, ojczu, jest dobre na krótką metę.

Don zamyślił się.

- Masz rację - przyznał. - Ale czy istnieje rozwiązanie na dłuższą metę? Życie składa się z wielu wątpliwości i krótkofalowych rozwiązań. Wątpisz, czy ta kara powstrzyma innych? Może tak, może nie. Niektórych na pewno powstrzyma. Nie ja wymyśliłem karę za grzechy, lecz Pan Bóg. Porozmawiam osobiście z adwokatem Ballazza. On mnie zrozumie. Przekaze wiadomość. Ballazzo mi uwierzy... - Westchnął. - Po rozprawie zrobimy, co do nas należy.

- Co z jego żoną? - spytał Giorgio.

- To dobra kobieta - odparł don. - Ale się za bardzo zamerykanizowała. Nie wolno nam zostawić pograżonej w smutku wdowy, bo gotowa zacząć krzyczeć z rozpacz.

Wykrzyczy jeszcze jakieś tajemnice.

Teraz odezwał się Petie, który do tej pory milczał.

- A dzieci? - Petie był skrytobójcą z prawdziwego zdarzenia.

- Nie, jeśli nie będzie to konieczne. Nie jesteśmy potworami - stwierdził don Domenico. - Ballazzo nie wtajemniczał dzieci w swe interesy. Chciał, by wierzyły, że jest hodowcą koni. No to niech pochłoną go fale oceanu razem z jego końmi.

Milczeli. Don powiedział smutno:

- Darujmy dzieciom. Zresztą żyjemy w kraju, w którym dzieci nie mszczą się za swych rodziców.

Nazajutrz Virginio Ballazzo otrzymał przez swego adwokata wiadomość od Clericuziów. We wszystkich przekazach tego rodzaju używano bardzo kwiecistego języka. Don Clericuzio, ustami adwokata, wyrażał głęboką nadzieję, że Virginio Ballazzo zachowuje swego starego przyjaciela w miłej pamięci. Rodzina Clericuzio zawsze miała na uwadze najlepszy interes swego nieszczęsnego przyjaciela. Niech drogi Virginio nie martwi się o swe dzieci, ponieważ don osobiście gwarantuje, że nawet w miejscach tak niebezpiecznych jak Piąta Aleja nie przytrafi się im nic złego. Don wie, jak ważne dla drogiego Virginia są jego dzieci i że więzienie, krzesło elektryczne, ogień piekielny nie napawają go takim lękiem, jak to, co może przydarzyć się dzieciom.

- Proszę mu powtórzyć - powiedział na koniec don do adwokata - że ja osobiście, tak, ja, don Domenico Clericuzio, gwarantuję, że włos im z głowy nie spadnie.

Adwokat przekazał to posłanie słowo po słowie swemu klientowi, który odparł:

- Proszę przekazać memu przyjacielowi, memu najdroższemu przyjacielowi, który dorastał z mym ojcem na Sycylii, że polegam na jego gwarancji i jestem mu za nią niezmiernie wdzięczny. Proszę mu też powiedzieć, że o wszystkich Clericuziach myślę jak najlepiej, ze wzruszeniem, którego nawet nie potrafię wyrazić. Całuję don Clericuzia w rękę. Fiu, fiu, fiu - zagwizdał. - Sądzę, że powinniśmy jeszcze raz przeanalizować moje zeznanie. Nie chcielibyśmy narazić na kłopoty naszego drogiego przyjaciela.

- Słusznie - przytaknął adwokat. W każdym razie twierdził, że tak powiedział.

Dalej wszystko odbyło się zgodnie z oczekiwaniami. Virginio Ballazzo złamał prawo omerta i zeznawał. Wysłał do więzienia mnóstwo ludzi, rzucił nawet cień na zastępcę burmistrza Nowego Jorku. Słowem jednak nie wspomniał o Clericuziach. Potem państwo Ballazzo zostali objęci programem ochrony świadków i zapadli się pod ziemię.

Gazety i telewizja donosiły triumfalnie, że zadano śmiertelny cios mafii. Zamieszczono setki zdjęć, w telewizji pokazano, jak bandyci odjeżdżali do więzienia.

Ballazzo zajął całą wkładkę w „Daily News”. KONIEC MAFIOSÓW głosił tytuł artykułu, a fotografie pokazywały Ballazzo ubranego w zapierające dech angielskie ubrania na tle starych samochodów i koni wyścigowych. Słowem, szaleństwo.

Don zlecił Pippiemu wytropić pana i panią Ballazzo i wymierzyć im karę.

- Zrób to w taki sposób - przykazał - żeby było o tym równie głośno, co o nich teraz.

Nie pozwolimy gazetom zapomnieć o naszym drogim Virginio.

Zadanie to jednak zajęło „młotowi” ponad rok.

Cross zapamiętał Ballazza jako hojnego, rubasznego faceta. Raz nawet byli z Pippim u nich na kolacji - pani Ballazzo cieszyła się opinią doskonałej kucharki; szczególnie słynne były jej macaroni oraz kalafior z czosnkiem i ziołami, danie, którego smak Cross pamiętał do dziś. Jako chłopiec Cross bawił się z dziećmi Ballazza, a jako nastolatek kochał się w jego córce Ceil. Po tamtej pamiętnej niedzieli napisała do niego z college’u, ale on nie odpisał. Teraz, znalazłszy się sam na sam z Pippim, powiedział:

- Nie chcę brać udziału w tej operacji.

Ojciec spojrział na niego zdumiony, a potem uśmiechnął się smutno.

- Wiesz, takie rzeczy się czasami zdarzają. Musisz się przyzwyczaić, bo inaczej nie przeżyjesz.

Cross potrząsnął głową.

- Nie mogę tego zrobić.

Pippi westchnął.

- Dobrze. Powiem, że wykorzystam cię przy planowaniu. A do samej operacji niech mi dadzą Dantego.

Tymczasem Pippi zapuścił sondę. Rodzina Clericuzio dzięki wysokim łapówkom dotarła do archiwum programu ochrony świadków.

Państwo Ballazzo czuli się bezpieczni z nowymi dowodami tożsamości, fałszywymi metrykami, nowymi numerami ubezpieczenia społecznego, nowym świadectwem ślubu. Przeszli też operacje plastyczne, które sprawiały, że wyglądali o dziesięć lat młodziej. Jednakże ich sylwetki, gesty i głosy zdradzały ich bardziej, niż sądzili.

Człowiekowi trudno zmienić przyzwyczajenia. Pewnego sobotniego wieczora Virginio Ballazzo wybrał się z żoną do małego miasteczka w Południowej Dakocie niedaleko ich nowego domu, by zagrać w kasynie działającym pod szyldem małej restauracji. W drodze powrotnej zostali zatrzymani przez Pippiego De Lena i Dantego Clericuzia obstawianych przez sześciu facetów. Dante, wbrew umowie, nie mógł sobie odmówić, żeby nie pokazać im swej twarzy, nim pociągnął za cyngiel.

Nie starano się ukryć ciała. Nic nie zabrano. Morderstwo małżeństwa Ballazzo zostało zinterpretowane jako odwet, a o to właśnie chodziło. W prasie i w telewizji zawrzało, władze obiecały, że sprawiedliwości stanie się zadość. Trzęsienie ziemi, które teraz nastąpiło, nie oszczędziło nawet Imperium Clericuzio.

Pippi musiał uchodzić na dwa lata na Sycylię. Dante został „młotem” numer jeden, a Cross - zachodnim bruglione Rodziny Clericuzio. Jego odmowa wzięcia udziału w egzekucji Ballazza została skrętnie odnotowana i skomentowana. Uznano, że nie ma predyspozycji na „młota”.

Zanim Pippi zaszył się na Sycylii, zjadł z don Clericuziem pożegnalny obiad.

- Muszę przeprosić za mojego syna - powiedział. - Cross jest młody, a młodzi są sentymentalni. Bardzo lubił Ballazza i jego żonę.

- Jak my wszyscy - zauważył don. - Virginio był moim ulubieńcem.

- To dlaczego go zabiliśmy? - zdziwił się Giorgio. - Sprowokowało to lawinę niepotrzebnych kłopotów.

Don Clericuzio spojrzał na niego surowo.

- W życiu musi być jakiś porządek. Jeśli masz władzę, twoją powinnością jest z niej korzystać. Ballazzo nas obraził. Pippi to rozumie, nieprawdaż, Pippi?

- Oczywiście, że rozumiem, don Domenico - odparł Pippi. - Ale my dwaj należymy do starej szkoły. Nasi synowie myślą inaczej. - Przerwał na moment. - Chciałbym podziękować za to, że Cross podczas mojej nieobecności będzie zachodnim bruglione. Nie zawiedzie.

- Wiem - rzekł don. - Ufam mu tak samo jak tobie. Jest inteligentny, a jego wrażliwość wynika z młodego wieku. Z czasem jego serce stwardnieje.

Jedli obiad, który ugotowała i podawała im żona mężczyzny pracującego w Enklawie. Zapomniała przynieść tartego parmezanu, więc Pippi wstał i poszedł do kuchni po tarkę, miseczkę i startł ser. Potem patrzył, jak don nabiera go na dużą srebrną łyżkę i wkłada do ust. A następnie popija mocnym domowym winem. Don ma zdrowy żołądek, pomyślał. Dawno przekroczył osiemdziesiątkę, ale wciąż mógł wydać wyrok śmierci na grzesznika, jeść ciężko strawny ser i pić cierpkie wino. Pippi spytał od niechcienia:

- Czy Rose Marie jest w domu? Chciałbym się z nią pożegnać.

- Znowu ma ten swój straszny napad - wyjaśnił Giorgio. - Dzięki Bogu, zamknęła się w pokoju, bo w przeciwnym razie zepsułaby nam obiad.

- Sądziłem, że z czasem dojdzie do siebie - rzekł Pippi.

- Za dużo myśli - stwierdził Don. - Za bardzo kocha Dantego. Nie chce zrozumieć, że świat jest taki, jaki jest, to samo odnosi się do ludzi.

- Pippi, jak ty oceniasz Dantego podczas tej ostatniej operacji? - spytał gładko Giorgio. - Denerwował się?

Pippi wzruszył ramionami i milczał. Don odchrząknął i spojrzał na niego pytająco.

- Z nami możesz być szczery - zapewnił. - Giorgio jest jego wujem, a ja dziadkiem. Płynie w nas wszystkich ta sama krew i dlatego wolno nam się wzajemnie osądzać.

Pippi przestał jeść i spojrzał przed siebie. Powiedział nieledwie ze smutkiem:

- Dante ma zakrwawione wargi.

W ich świecie wyrażenie to oznaczało człowieka, który zachowuje się jak dzikie zwierzę, wykonując zadanie posuwa się do bestialstwa. W Rodzinie Clericuzio takie zachowanie było niedozwolone.

Giorgio odchylił się w krześle i zawołał:

- Jezus, Maria!

Don skarcił go wzrokiem za bluźnierstwo, a potem dał znak Pippiemu, żeby kontynuował. Nie sprawiał wrażenia zaskoczonego.

- Dante jest pojętym uczniem - ciągnął Pippi. - Ma temperament i siłę. Jest szybki i inteligentny. Ale zanadto wyżywa się w robocie. Nie zabił Ballazza od razu. Zanim zastrzelił kobietę, przez dziesięć minut z nimi rozmawiał. To nie w moim guście, a co gorsza, takie zachowanie jest niebezpieczne, przecież każda minuta się liczy. W innej akcji był z kolei niepotrzebnie okrutny. Przypomniały mi się stare czasy, kiedy to wieszano na hakach rzeźnickich. Pozwolicie, że nie będę wdawał się w szczegóły.

- To dlatego, że jest mały - rozzłościł się Giorgio. - Pieprzony karzeł. Już rozumiem, po co nosi te pieprzone doniczki. Gdzie on je, do cholery, kupuje?

- Tam, gdzie Murzyni kupują swoje dziwaczne kapelusze i czapki - odparł rozbawiony don. - U nas, na Sycylii, każdy nosił coś śmiesznego na głowie. Dlaczego? Nie wiem, ale czy to ważne? Przestańcie bredzić. Ja też nosiłem czapki. Może więc ma to po mnie. Matka nakręciła mu w głowie, kiedy był mały. Powinna była wyjść drugi raz za męża. Wdowy są jak pająki. Toczą za dużo śliny.

- Jest dobry w tym, co robi - stwierdził Giorgio z naciskiem.

- Cross mu nigdy nie dorówna - zauważył dyplomatycznie Pippi. - Ale niekiedy zastanawiam się, czy nie jest szalony jak jego matka. - Przerwał. - Czasami mnie przeraża.

Don nabrał do ust sera i wina.

- Słuchaj, Giorgio - przemówił. - Porozmawiaj z siostrzeńcem, wpłyn na niego. Któregoś dnia może nam zaszkodzić. Ale nie mów mu, że to ja ci kazałem. Jest młody, a ja stary, nie chciałbym wywierać na niego żadnej presji.

Pippi i Giorgio świetnie wiedzieli, że nie o to chodziło, ale skoro don się wyłączał, widać miał po temu jakieś powody. W tej chwili usłyszeli nad głową kroki, a potem skrzypienie schodów. Do jadalni weszła Rose Marie.

Boże, znów ją wzięło, pomyśleli ze smutkiem. Miała potargane włosy, dziwny makijaż, krzywo włożone ubranie. A najgorsze, że otwierała usta, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Mówiła ciałem i machaniem ręki. Jej gesty były bardziej wymowne niż słowa. Nienawidziła tych mężczyzn, życzyła im rychłej śmierci, pragnęła, by ich dusze smażyły się w piekle po wsze czasy. Niech się udławiają jedzeniem, oślepną od wina, niech odpadną im kutasy, gdy je wsadzą swym żonom. Wzięła talerz Giorgia i talerz Pippiego i cisnęła nimi o podłogę.

To było jej wolno, ale kiedy pierwszy raz dostała ataku i rzuciła o ziemię talerzem ojca, don kazał ją złapać i zamknąć w pokoju, a następnie umieścić ją na trzy miesiące w domu opieki. Teraz don czym prędzej przykrył miseczkę z serem, bo Rose Marie dużo pluła. Nagle atak ustał, kobieta uspokoiła się.

- Przyszłam się tylko pożegnać - zwróciła się do Pippiego. - Obyś zdechł na tej Sycylii.

Pippiemu zrobiło się jej okropnie żal. Wstał i wziął ją w ramiona. Nie opierała się. Pocałował ją w policzek.

- Wolę umrzeć na Sycylii, niż wrócić i zastać cię w takim stanie - rzekł.

Rose Marie wyrwała mu się i pobiegła na górę.

- Wzruszająca scena - rzekł Giorgio prawie z kpina. - Ty jednak nie musisz znosić tego co miesiąc jak my.

Starał się ukryć to, co wszyscy i tak wiedzieli, a mianowicie że Rose Marie, odkąd przeszła menopauzę, miewała takie ataki znacznie częściej niż raz w miesiącu.

Najmniej przejmował się nią don.

- Albo z tego wyjdzie, albo umrze. A jak nie, to zamknę ją w szpitalu - powiedział spokojnie. I zwracając się do Pippiego: - Zawiadomię cię, kiedy masz wrócić. Odpocznij na Sycylii, bo się starzejesz. Ale miej oczy otwarte i bacz, kogo by zrekrutować do Enklawy. To jest ważne. Musimy mieć ludzi, którzy na pewno nas nie zdradzą, którzy prawo omerta wyssali z mlekiem matki, a nie jak to chamstwo tu urodzone, które chce dobrze żyć, ale jak najtańszym kosztem.

Nazajutrz, po wyjeździe Pippiego na Sycylię, na weekend do Quogue zaproszono Dantego. Pierwszy dzień Giorgio pozwolił mu spędzić z Rose Marie. Przedstawiali sobą bardzo wzruszający obrazek - kochający syn i matka. Dante w jej obecności zmieniał się nie

do poznania, nie nosił nawet swych dziwacznych nakryć głowy. Spacerował z matką wokół domu, zabierał ją na obiad, skakał wokół niej jak francuski firecyk. Kiedy zaczynała płakać histerycznie, kołysał ją w ramionach. Przy synu Rose Marie nie dostawała ataków. Rozmawiali ze sobą przyciszonymi głosami.

Gdy nadszedł czas obiadu, Dante pomógł matce nakryć do stołu, zetrzeć ser dla dziadka. Towarzyszył jej w kuchni, patrząc, jak Rose Marie przygotowuje jego ulubiony posiłek, czyli makaron z brokułami oraz pieczone jagnię faszerowane bekonem i czosnkiem.

Giorgia zawsze zdumiewała zażyłość Dantego z dziadkiem. Teraz Dante zaczął od nałożenia dziadkowi makaronu z brokułami. Starannie, zgoła ostentacyjnie wytarł i wypolerował dużą srebrną łyżkę i włożył ją do miseczki z tartym parmezanem.

- Wiesz, dziadku - powiedział wesoło - gdybyś wstawił sobie zęby, nie musielibyśmy trzeć ci sera. Dentyści dokonują obecnie istnych cudów, wstawiają w szczękę stal. Wprost nie do wiary.

Don wydawał się być w nastroju do żartów.

- Wolę, żeby zęby umarły wraz ze mną - stwierdził. - Jestem za stary na cuda. Dlaczego Bóg miałby je marnować na kogoś tak starego jak ja?

Rose Marie upiększyła się dla syna. Niewiele już zostało z jej dawnej urody. Była wyraźnie zadowolona, że jej ojciec i syn tak się lubią. Zniknął z jej twarzy ten ciągły niepokój.

Giorgio też był zadowolony. Cieszył się, że siostra jest w lepszym humorze. Nie miotała się i ugotowała smaczny obiad. Nie patrzyła na niego oskarżająco, nie wpadała w furię.

Kiedy don i Rose Marie poszli już spać, Giorgio zabrał Dantego do pokoju na tyłach domu, gdzie nie było telefonów, telewizji ani żadnej łączności z domem. Grube drzwi. Na umeblowanie składały się dwie skórzane czarne kanapy i czarne, wyściełane skórą krzesła. Jak dawniej, znajdował się tu barek z whisky, mała lodówka, półka z kieliszkami. Na stole stało pudełko hawańskich cygar. Pokój nie miał okien, przypominał jaskinię.

Mina Dantego, zbyt przebiegła jak na takiego szczeniaka, zawsze denerwowała Giorgia. Spojrzenie Dante też miał zbyt chytre, ale najbardziej Giorgia drażnił jego niski wzrost.

Giorgio przygotował im obu po szklaneczce i zapalił cygaro.

- Dzięki Bogu, że chociaż przy matce nie nosisz tych swoich dziwacznych kapeluszy - zauważył. - A tak między nami, po co je wkładasz?

- Dla przyjemności - wyjaśnił Dante - a także po to, żeby zwrócić na siebie uwagę

drogich wujaszków... Podwyższają mnie - dodał z łobuzerskim uśmiechem.

Rzeczywiście, dobrze wyglądał w tych kapeluszach. Pasowały do jego twarzy fretki, bez nich jego rysy wydawały się dziwnie nieregularne.

- Nie powinieneś wkładać ich na akcje - stwierdził Giorgio. - Ułatwiają identyfikację.

- Martwi nie gadają - rzekł Dante. - A ja zabijam wszystkich świadków.

- Siostrzeńcu, nie rozmawiaj ze mną w ten sposób - zdenerwował się Giorgio. - Nie postępujesz mądrze. Ryzykujesz. Rodzina nie lubi ryzyka. A teraz z innej beczki. Mówi się, że masz zakrwawione wargi.

Dante pierwszy raz się zdenerwował. Zbladł jak ściana. Odstawił szklanę z alkoholem.

- Dziadek o tym wie? - spytał. - To on ci kazał ze mną porozmawiać?

- Don nic o tym nie wie - skłamał Giorgio bez mrugnięcia powieką. - I ja mu nie powiem. Jesteś jego ulubieńcem, zmartwiłby się. Ale mówię ci: skończ z tymi kapeluszami i nie bądź krwiożerczy. Jesteś teraz „młotem” numer jeden. Nie daj się ponosić emocjom, bo to niebezpieczne i wbrew naszym zasadom.

Dante go nie słuchał. Myślał o czymś intensywnie. Po chwili uśmiech wykwitł na jego twarzy.

- Pippi ci powiedział - stwierdził wesoło.

- Tak - przyznał Giorgio. - Pippi jest najlepszy. Wysyłamy cię razem z nim, żebyś mógł się czegoś od niego nauczyć. A wiesz, dlaczego on jest najlepszy? Dlatego, że ma dobre serce. Nie czerpie przyjemności z zabijania.

Dante nagle dostał ataku histerycznego śmiechu. Zwinął się na kanapie, z której po chwili stoczył się na dywan. Giorgio przyglądał mu się z kwaśną miną. Chłopak jest pomyłony jak jego matka, pomyślał. W końcu Dante się uspokoił, wstał z podłogi, łyknął whisky i spytał wesoło:

- Mówisz, że nie mam dobrego serca?

- Tak mówię - potwierdził Giorgio. - Jesteś moim siostrzeńcem, ale mnie nie nabierzesz. Wiem, że zabiłeś dwóch facetów w porachunkach osobistych, nie pytając o zgodę Rodziny. Don nic ci za to nie zrobi, nawet ci nie nagada. Potem zabiłeś dziewczynę, z którą przez rok sypiałeś. Ze złości. Urządziłeś jej „komunię”, żeby jej policja nie znalazła. I nie znalazła. Myślisz, że jesteś chytrym kutasem, ale Rodzina rozpatrzyła dowody przeciw tobie i stwierdziła, że jesteś winny, mimo że nigdy nie zostaniesz skazany przez żaden oficjalny sąd.

- Czy don słyszał te brednie? - spytał Dante, wyraźnie jednak spuszczać z tonu. Nie ze strachu, z wyrachowania.

- Tak - odparł Giorgio. - Ale nadal cię lubi. Powiedział, żebyśmy się nie przejmowali, bo jesteś młody. Że się nauczysz. O twoich zakrwawionych wargach nie chcę mu mówić ze względu na jego podeszły wiek. Jesteś jego wnukiem, twoja matka jest jego córką. To by złamało mu serce.

Dante znowu się roześmiał.

- Don ma serce. Pippi De Lena ma serce, Cross ma strachliwe serce, moja matka ma złamane serce. Tylko ja nie mam serca. A ty, wuju, masz serce?

- Pewnie, że mam - odparł Giorgio. - Inaczej bym z tobą nie rozmawiał.

- Czyli że jestem tutaj jedynym, który nie ma tego zasranego serca - obruszył się Dante. - Kocham matkę i kocham dziadka, ale oni się wzajemnie nienawidzą. Dziadek kocha mnie coraz mniej. Ty, Vinnie i Petie nie lubicie mnie, mimo że płynie w nas ta sama krew. Myślisz, że nie wiem? Kocham was, chociaż wy wolicie tego zakichanego Pippiego De Lena. Uważacie mnie za głupka?

Giorgio był zdumiony tym wybuchem. Tym bardziej że Dante nie udawał.

- Mylisz się mówiąc, że don kocha cię coraz mniej - powiedział. - Don kocha cię wciąż tak samo. Dotyczy to również Petiego, Vincenta i mnie. Czy nie traktujemy cię z szacunkiem? To prawda, że don zachowuje w stosunku do ciebie pewien dystans, ale pamiętaj, że jest już stary. Co do mnie, tylko ostrzegam cię dla twojego własnego dobra. To, co robisz, jest niebezpieczne i dlatego powinieneś uważać. Nie baw się zabijaniem. To katastrofa.

- Czy Vinnie i Petie wiedzą o tej rozmowie? - spytał Dante.

- Nie - skłamał znowu Giorgio. Vincent też sam go prosił, żeby zwrócił uwagę Dantemu. Petie się nie wypowiadał, bo sam był urodzonym mordercą. Ale i on nie przepadał za swym siostrzeńcem.

- Czy coś jeszcze ci się nie podoba w moim sposobie pracy? - spytał Dante.

- Nie - odparł Giorgio. - Nie obrażaj się, Dante. Do tej rozmowy upoważnia mnie nie tylko to, że jestem twym wujem, ale również funkcja, jaką pełnię w Rodzinie. Nie urządź nikomu komunii ani bierzmowania bez zgody Rodziny. Słyszysz?

- Słyszę - odparł Dante. - Ale nadal jestem „młotem” numer jeden, prawda?

- Do czasu powrotu Pippiego z wakacji - odparł Giorgio. - Zresztą to zależy, jak się będziesz sprawował.

- Chodzi ci o to, żebym mniej to lubił - stwierdził Dante. - Załatwione. - Poklepał Giorgia po ramieniu.

- Cieszę się - rzekł Giorgio. - Zaprosz jutro matkę do restauracji na kolację. Dotrzymaj

jej towarzystwa. Dziadkowi to się spodoba.

- Dobra - zgodził się Dante.

- Vincent jest właścicielem restauracji przy East Hampton - podsunął Giorgio. -
Możesz ją tam zabrać.

- Czy jej się pogarsza? - spytał nagle Dante.

Giorgio wzruszył ramionami.

- Nie potrafi zapomnieć o przeszłości. Hodoje w sobie wspomnienia, które już dawno powinna wyrzucić z pamięci. Don jej mówi: „Świat jest taki, a nie inny i to samo odnosi się do nas”, zresztą, pewnie znasz to jego stare powiedzenie. Rose Marie nie chce się z tym pogodzić. - Objął serdecznie Dantego. - A teraz zapomnijmy o naszej rozmowie. Uff, nienawidzę takich misji - zakończył, jak gdyby zapomniał, co mu powiedział don.

Po wyjeździe Dantego w poniedziałek rano Giorgio powtórzył ojcu ich rozmowę. Don westchnął.

- A był takim miłym chłopcem. Co się mogło stać?

Giorgio miał jedną wielką cnotę. Mówił to, co myśli, i nie oszczędzał nawet swego ojca, don Clericuzia.

- Spędzał za dużo czasu z matką. I ma złe geny.

Po tych jego słowach nastąpiło dłuższe milczenie.

- Co z nim zrobimy, kiedy wróci Pippi? - spytał Giorgio.

- Uważam, że Pippi powinien przejść na emeryturę - stwierdził don. - Musimy dać Dantemu szansę poprawy. Tak czy owak, to Clericuzio. Pippi zostanie doradcą swego syna. Jeśli zajdzie konieczność, może udzielić rady Dantemu. W tych sprawach nie ma lepszego od niego. Pamiętasz, jak załatwił Santadiów? Ale powinien dożyć starości w spokoju.

Giorgio mruknął ironicznie:

- „Młot” w odstawce.

Ale don udawał, że nie rozumiał dowcipu. Zmarszczył czoło i rzekł:

- Wkrótce przejmiesz moje obowiązki. Pamiętaj jednak, że chodzi o to, by Clericuziowie w przyszłości stopili się ze społeczeństwem i by Rodzina nigdy nie umarła. Obojętne, jak trudny będzie wybór.

I wyszli. Ale do powrotu Pippiego z Sycylii upłynęły jeszcze dwa lata, nim sprawa zamordowania Ballazzo rozplynęła się w biurokratycznej mgle. Mgle wytworzonej przez Rodzinę Clericuzio.

KSIEGA PIATA

Las Vegas

Hollywood

Quogue

Rozdział siódmy

Cross De Lena przyjął Claudię i Skippy'ego w swym apartamencie. Deere'owi zawsze trudno było uwierzyć, że niezbyt piękna (ale jakże sympatyczna) Claudia i klasycznie przystojny, szczupły, wysportowany Cross są rodzeństwem. Claudia była z natury życzliwa i ciepła, Cross - nienagannie uprzejmy i chłodny. Życzliwość nie jest tym samym co uprzejmość, myślał Deere. Pierwszą cechą dziedziczy się genetycznie, drugą się nabywa.

Claudia i Skippy usiedli na kanapie, Cross zajął miejsce naprzeciwko. Zreferowawszy sprawę, z którą przybyli, Claudia pochyliła się do przodu i powiedziała:

- Proszę cię, Cross, nie zbywaj mnie. Tu nie chodzi tylko o interesy. Athena jest moją najlepszą przyjaciółką. To dobra kobieta, nie znam takich wielu. W swoim czasie mi pomogła. Dotąd nie prosiłam cię o nic tak ważnego. Pomóż Athenie wybrnąć z tych kłopotów, to dam ci spokój do końca życia... Powiedz Crossowi o forsie - zwróciła się do Deere'a.

Deere wyznawał zasadę, że najlepiej zacząć od ataku.

- Przyjeżdżam do twojego hotelu już od ponad dziesięciu lat i jeszcze nigdy nie zaproponowałeś mi Willi. Dlaczego?

Cross roześmiał się.

- W Willach na ogół mamy komplet.

- To wyrzucić kogoś - rzekł Deere.

- Dobra - zgodził się Cross. - Jak zarobię na którymś z twoich filmów i jak zobaczę, że stawiasz dziesięć paczek w bakarata.

- Jestem jego siostrą - rzekła Claudia - i też nie dostałam jeszcze Willi. Nie pieprz, Skippy, tylko powiedz o forsie.

Kiedy Deere skończył, Cross spojrział w notes.

- Sprawdźmy, czy dobrze cię zrozumiałem. Jeśli ta cała Athena nie wróci na plan, ty i wytwórnia straciecie pięćdziesiąt milionów w gotówce plus dwieście milionów spodziewanego dochodu. Ona nie wróci, bo się boi byłego męża o nazwisku Boz Skannet. Możesz mu zapłacić, ale ona i tak nie wróci na plan, bo nie wierzy, że tego faceta cokolwiek powstrzyma. Czy to wszystko?

- Tak - potwierdził Deere. - Na czas kręcenia filmu zapewniamy Athenie ochronę lepszą od tej, jaką ma prezydent Stanów Zjednoczonych. Nie spuszczaamy faceta z oka. Obiecaliśmy jej, że będzie strzeżona przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ale ona i tak nie chce wrócić na plan.

- Nie rozumiem, na czym polega problem - stwierdził Cross.

- Facet pochodzi z wpływowej rodziny w Teksasie - wyjaśnił Deere. - Poza tym to twardziel. Kazałem ludziom z agencji ochrony trochę go postraszyć, ale...

- Z jakiej agencji ochrony? - spytał Cross.

- „Pacyfik”.

- Wobec tego, czemu przychodzicie z tym do mnie? - zdziwił się Cross.

- To nie mój pomysł, lecz twojej siostry - odparł Deere.

- Claudio, skąd ci przyszło do głowy, że mogę wam pomóc? - spytał Cross siostrę.

Claudia skrzywiła się, bo nie o wszystkim chciała mówić przy Skippym.

- Widziałam cię kiedyś w akcji. Wiem, że potrafisz być bardzo przekonujący. Już ty coś wymyślisz. - Uśmiechnęła się niewinnie. - Poza tym, do kogo mam się zwrócić z trudną sprawą, jeśli nie do brata?

Cross westchnął.

- Bierzesz mnie pod włos.

Uwagi Deere'a jednak nie uszło to, jak na siebie patrzyli. Przez chwilę siedzieli w milczeniu. W końcu Deere zdecydował się je przerwać:

- Potraktuj nasz przyjazd niezobowiązująco. Po prostu sprawdzamy różne możliwości. Ale gdybyś chciał zainwestować forszę, to mam w projekcie coś interesującego.

Cross w zamyśleniu spojrział na Claudię, potem na Deere'a.

- Chciałbym poznać tę waszą Athenę. Może uda mi się coś wymyślić, jak ją zobaczę.

- Świetnie! Polecimy jutro - ucieszyła się Claudia. Zerwała się z kanapy i objęła brata.

- Dobra - rzekł Deere, który zaczął się już zastanawiać, czy nie dałoby się namówić Crossa, żeby przejął część jego strat na Messalinie.

Nazajutrz wsiedli do samolotu do Los Angeles. Wcześniej Claudia zadzwoniła do Atheny i poprosiła o spotkanie, potem słuchawkę przejął Deere. Ta rozmowa jednak przekonała go ostatecznie, że aktorka nie wróci na plan. Wkurzony, podczas lotu myślał tylko o tym, jak przekonać Crossa, żeby następnym razem dał mu którąś z tych pieprzonych Willi.

Malibu Colony, gdzie mieszkała Athena, znajdowało się przy plaży oddalonej o czterdzieści minut jazdy samochodem w kierunku północnym od Beverly Hills i Hollywood. W skład osiedla wchodziło niewiele ponad sto siedzib o dość nijakim (żeby nie powiedzieć

ruderowatym) wyglądzie zewnętrznym, choć wartość każdej z nich wynosiła od trzech do sześciu milionów dolarów. Wszystkie domy miały ogrodzenie, niektóre z dość ozdobną bramą.

Dojeżdżało się tu prywatną drogą zamkniętą szlabanem, który otwierali strażnicy siedzący w budce po sprawdzeniu nazwisk gości na swojej liście lub telefonicznie. Mieszkańcy mieli na autach specjalne, co tydzień aktualizowane naklejki. Cross stwierdził, że ta ochrona jest bardziej dla picu.

Co innego agenci rozstawieni wokół domu Atheny. Duże chłopcy, w mundurach, uzbrojeni. Ci sprawiali groźne wrażenie.

Do domu Atheny weszli z uliczki biegnącej równoległe do plaży. Furtka miała zabezpieczenie, które zwalniała sekretarka Atheny, urzędująca w domku gościnnym.

Za furtką natknęli się na dwóch kolejnych ochroniarzy w mundurach Agencji „Pacyfik”, a trzeci stał przy drzwiach do domu. Minąwszy domek gościnny, znaleźli się w ogrodzie pełnym kwiatów i drzew cytrynowych, których miła woń mieszała się ze słonym zapachem oceanu. Wreszcie dotarli do głównego domu.

Do środka wpuściła ich drobna latynoska służąca i poprowadziła przez ogromną kuchnię do salonu, przez którego ogromne okna nie było widać nic poza oceanem. Stały tam bambusowe meble - stoliki ze szklanymi blatami, kanapy koloru morskiej zieleni. Służąca otworzyła szklane drzwi na przestronny taras ze stołami i fotelami. Wystroju dopełniał srebrzysty rower gimnastyczny. Dalej był już tylko niebieskozielony ocean.

Na widok Atheny Cross De Lena poczuł ucisk w gardle. W rzeczywistości była piękniejsza niż na ekranie, co się rzadko zdarzało. Film po prostu nie oddawał barwy jej cery, głębi jej spojrzenia, zieleni jej oczu. Poruszała się jak sportowcy - z gracją i bez wysiłku. Miała krótko obcięte złote włosy; inną kobietę taka fryzura by oszpecała, w jej przypadku jeszcze bardziej podkreślała urodę. Podobnie rzecz się miała z bladoniebieskim dressem, który teoretycznie powinien pozbawiać ją wdzięku. Miała długie w stosunku do tułowia nogi. Była boso, paznokcie u stóp nieumalowane.

Najsilniejsze wrażenie na Crossie zrobiła jednak jej inteligentna, skupiona twarz.

Skippy'emu nadstawiła policzek do pocałowania, Claudię serdecznie objęła, do Crossa wyciągnęła rękę. Cross pomyślał, że jej oczy są dokładnie tej samej barwy, co ocean za jej plecami.

- Claudia opowiadała mi o panu - odezwała się. - O przystojnym, tajemniczym bracie, który jeśli tylko zechce, sprawi, że ziemia przestanie się obracać wokół osi. - Roześmiała się. Wesoło, nie nerwowo jak wystraszona kobieta.

Cross był nią zauroczony. Po prostu. Miała niski, gardłowy głos, którego chciało się słuchać jak jakiegoś urzekającego instrumentu muzycznego. Ocean stanowił dla niej doskonałe tło - dla płaskich kości policzkowych, pełnych warg o naturalnym kolorze czerwonego wina, dla jej inteligencji. Crossowi przebiegła przez głowę jedna z nauk Gronevelta: „Pamiętaj, pieniądze uchronią cię przed wszystkim poza piękną kobietą”.

Cross poznał wiele pięknych kobiet w Vegas, w Los Angeles i Hollywood. Kobiety w Vegas były urodziwe, ale brakowało im talentu i dlatego nie mogły się wybić w Hollywood. W Hollywood uroda musiała iść w parze ze zdolnościami i (rzadziej) artystycznym geniuszem. Oba miasta przyciągały piękne kobiety z całego świata.

Weźmy na przykład gwiazdy. Zostawały nimi tylko te aktorki, które poza wdziękiem i urodą posiadały dziecięcą niewinność i odwagę. Ciekawość rzemiosła, przyjmującego niekiedy formę sztuki, która je uszlachetniała. Mimo że uroda była w obu miastach czymś powszechnym, tylko w Hollywood rodziły się boginie uwielbiane przez cały świat. Athena Aquitane uchodziła za jedną z nich.

- Mnie o pani też. Powiedziała, że jest pani najpiękniejszą kobietą na świecie - odparł chłodno Cross.

- A nie najinteligentniejszą? - roześmiała się Athena.

Oparła się o barierkę okalającą taras i wysunęła do tyłu nogę niczym w ćwiczeniu gimnastycznym. To, co u innej kobiety byłoby pozą, u niej wydawało się zupełnie naturalne. Właściwie przez całe spotkanie z nimi się gimnastykowała, robiła skłony do przodu i do tyłu, zarzucała raz jedną, raz drugą nogę na barierkę, ruchami rąk akcentowała wypowiedzi.

- Nigdy byś nie pomyślała, Theno, że jesteśmy rodziną, prawda? - powiedziała Claudia.

- Prawda - potwierdził Skippy Deere.

Ale Athena przyjrzała się im uważnie i powiedziała z powagą:

- Moim zdaniem jesteście do siebie bardzo podobni.

- Teraz już wiecie, dlaczego ją tak kocham - roześmiała się Claudia.

Athena przestała się na chwilę gimnastykować.

- Podobno może mi pan pomóc - zwróciła się do Crossa. - Ciekawe jak.

Cross starał się na nią nie gapić, nie patrzeć na przeświecone słońcem złoto jej włosów na tle zieleni oceanu za jej plecami.

- Mam dar przekonywania - wyjaśnił. - Jeśli to prawda, że tylko mąż powstrzymuje panią przed powrotem na plan, spróbuję zawrzeć z nim jakiś układ.

- Boż nie przestrzega układów - stwierdziła Athena. - Zresztą wytwórnia już tego

próbowała.

Deere powiedział ściszym - w swoim mniemaniu - tonem:

- Atheno, naprawdę nie masz się czego bać. Daję ci na to moje słowo.

Przerwał, bo poczuł, że nie przekonuje nawet samego siebie. Przyjrzał się im badawczo. Zwykle Athena wywierała silne wrażenie na mężczyznach; zresztą każda aktorka, jeśli tylko chciała, potrafiła zawrócić w głowie mężczyźnie. Ale Cross zachowywał dystans.

- Skippy nie przyjmuje do wiadomości, że mogę porzucić film - dodała Athena. - Film jest dla niego najważniejszy.

- Dla ciebie nie? - zirytował się Deere.

Athena obdarzyła go długim chłodnym spojrzeniem.

- Kiedyś tak. Ale ja znam Boza. Muszę stąd zniknąć i rozpocząć nowe życie. - Uśmiechnęła się łobuzersko. - Wszędzie dam sobie radę.

- Spróbuję zawrzeć umowę z pani mężem - rzekł Cross. - I zagwarantuję, że będzie jej przestrzegał.

- Słuchaj, Atheno, w tej robocie zdarzają się setki podobnych przypadków - powiedział Deere konfidencjonalnym tonem. - Mało to wariatów prześladowuje aktorki. Ale potrafimy was przed nimi obronić. Naprawdę, nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

Athena kontynuowała ćwiczenia. Teraz uniosła nogę nieprawdopodobnie wysoko nad głowę.

- Nie znasz Boza - zaproponowała. - A ja go znam.

- Czy Boz jest jedynym powodem pani odmowy powrotu do pracy? - spytał Cross.

- Tak - odparła Athena. - On nie przestanie mnie śledzić. Zapewnicie mi bezpieczeństwo do końca filmu, a co potem?

- Dotąd zawsze potrafiłem się dogadać - stwierdził Cross. - Dam mu wszystko, czego zechce.

Athena przerwała gimnastykę. Pierwszy raz spojrzała Crossowi prosto w oczy.

- Nie wierzę, że można dogadać się z Bozem - powiedziała z naciskiem i odwróciła się.

- Przepraszam, że przeze mnie zmarnowała pani tyle czasu - powiedział Cross.

- Nie zmarnowałam - rzekła wesoło Athena. - Gimnastykowałam się. - Spojrzała mu w oczy. - Doceniam, że chciał pan mi pomóc. Ja tylko wyglądam na odważną, a tak naprawdę to umieram ze strachu... - Szybko wzięła się w garść. - Claudia i Skippy opowiadali mi o pana słynnych Willach. Czy jeśli przyjadę do Vegas, pozwoli mi się pan ukryć w którejś z nich?

Miała poważną minę, ale oczy tańczyły. Kokietowała go przed Claudią i Skippym.

Spodziewała się, że Cross, choćby tylko z grzeczności, odpowie twierdząco.

- Wille są zwykle zajęte - odparł z uśmiechem. I dodał z powagą, która wszystkich zaskoczyła: - Ale jeśli przyjedzie pani do Vegas, to gwarantuję, że nikt nie zrobi pani krzywdy.

- Nie powstrzyma pan Boza - upierała się Athena. - On się nie martwi, że zostanie złapany. Jeśli coś mi zrobi, to zrobi to jawnie, żeby wszyscy mogli zobaczyć.

- Ale dlaczego? - zniecierpliwiła się Claudia.

- Dlatego, że kiedyś mnie kochał - odparła Athena ze śmiechem. - Dlatego, że powiodło mi się lepiej niż jemu. - Popatrzyła im w oczy. - Czy to nie straszne, że ludzie, którzy się kochali, potrafią się znienawidzić aż do tego stopnia?

Ich rozmowa została przerwana zjawieniem się latynoskiej służącej, która wprowadziła na taras jakiegoś mężczyznę.

Mężczyzna był wysoki, przystojny i ubrany w garnitur od Armaniego, koszulę firmy Turnbull & Asser, krawat od Gucciego, buty firmy Bally.

- Och, służąca nie powiedziała mi, że ma pani gości, panno Aquitane - rzekł. - Pewnie przestraszyła się mojej odznaki. - Pokazał Athenie odznakę policyjną. - Przyszedłem spytać panią o szczegóły wczorajszego incydentu. Mogę jednak poczekać. Albo wpadnę kiedy indziej.

Zachowywał się uprzejmie, ale minę miał zuchwałą. Rozejrzał się wokół siebie.

- O, cześć, Skippy - powiedział.

Skippy Deere spojrzał na niego spode łba.

- Nie wolno ci zadawać Athenie pytań bez jej rzecznika prasowego i adwokata - warknął. - Dobrze o tym wiesz, Jim.

Detektyw wyciągnął rękę do Claudii i do Crossa.

- Jestem Jim Losey - przedstawił się.

Wiedzieli, kto to taki. Najślynniejszy detektyw w Los Angeles. Na jego życiorysie oparto jeden z miniseriów. Sam zagrał kilka mniejszych ról w filmach, a jego nazwisko znajdowało się w spisie osób, którym Deere wysyłał karty świąteczne i prezenty. Pewnie dlatego powiedział doń ugodowo:

- Zadzwoń do mnie później, Jim, to zorganizuję ci spotkanie z panną Aquitane.

- Załatwione, Skippy - zgodził się z uśmiechem Losey.

- Ale ja już tu długo nie będę - przypomniała Athena. - Chętnie od razu odpowiem na pana pytania.

Gdyby nie czujność w oczach i gotowość ciała, będące wynikiem wieloletniego

przestawiania z kryminalistami, można by go wziąć za sympatycznego gościa.

- W obecności tych państwa? - spytał.

- Ufam im bardziej niż policji - powiedziała cicho Athena. Już się nie gimnastykowała i nie kokietowała.

Losey puścił jej słowa mimo uszu. Przyzwyczał się do tego rodzaju uwag.

- Chciałem się tylko dowiedzieć, dlaczego wycofała pani skargę na męża. Groził pani?

- A gdzieżby! - zawołała Athena ironicznie. - Oblał mi twarz na oczach milionów ludzi wodą i krzyknął: „To kwas”. A wy następnego dnia wypuściliście go za kaucją.

- Wycofuję pytanie - rzekł Losey i uniósł dłonie w pojednawczym geście. - Myślałem, że mogę pomóc.

- Zadzwoń później, Jim - powtórzył Deere z naciskiem.

Jego ton zdumiał Crossa. Popatrzył na niego badawczo, omijając starannie wzrokiem Loseya. Losey z kolei omijał wzrokiem Crossa.

- Dobra - zgodził się Losey.

Na jednym z krzeseł wisiała torebka Atheny. Wziął ją do ręki.

- Widziałem takie na Rodeo Drive - stwierdził. - Kosztują dwa tysiące dolarów. Niech mi pani powie, dlaczego ludzie płacą tyle pieniędzy za coś takiego? - spytał patrząc Athenie w oczy.

Athena z kamiennym wyrazem twarzy podeszła do drzwi.

- Pan chce mnie obrazić. Proszę stąd wyjść.

Losey skłonił się i wyszedł uśmiechnięty. Dopiął swego.

- Więc jednak jesteś człowiekiem, a nie maszyną - ucieszyła się Claudia. Objęła Athenę ramieniem. - Czym się tak zdenerwowałaś?

- Nie zdenerwowałam się - odparła Athena. - Po prostu dałam mu coś do zrozumienia.

Pożegnawszy się z Atheną pojechali we troje do Nate, a stamtąd do restauracji „U Ala” w Beverly Hills. Deere przekonywał Crossa, że to jedyna knajpa na zachód od Gór Skalistych, gdzie dają jadalne pastrami, konserwową wołowinę oraz hot dogi w stylu Coney Island.

W czasie jedzenia Deere stwierdził w zamyśleniu:

- Athena do pracy nie wróci.

- Od początku tak przypuszczałam - stwierdziła Claudia. - Nie rozumiem tylko, czemu się tak wściekła na tego detektywa.

Deere roześmiał się i spytał Crossa:

- A ty rozumiesz?

- Nie - odparł Cross.

- Otóż panuje powszechne przekonanie, że hollywoodzkie gwiazdy idą do łóżka z każdym, kto się nawinie. Mężczyźni tak. Nie bez powodu tyle panienek kręci się w pobliżu planów i hotelu „Beverly Wilshire”. Z kobietami jest jednak trochę inaczej... takie szczęście może mieć facet, który pracuje w ich w domu, jakiś stolarz czy ogrodnik, jeśli trafi na moment, kiedy pani poczuła wolę bożą... tak było na przykład ze mną. Majstrowie koszą mnóstwo, a i pomocnikom coś czasem skapnie. Takie szlajanie się jednak może zaszkodzić aktorce w karierze. Chyba że jest supergwiazdą. Nam, starym facetom przy sterach, to się nie podoba. To forsa i układy już nic nie znaczą, psiakrew? - Uśmiechnął się do nich. - A teraz weźcie Jima Loseya. Przystojny gość. Zabija twardzieli i dla ludzi żyjących w tym afektowanym świecie jest wielką figurą. Wie o tym i wykorzystuje swoją pozycję. On nie zaleca się do gwiazd, on je onieśmiela. Dlatego wyskoczył z tą torebką. Prawdę mówiąc, w tym celu tam przyszedł. Użył Boza jako pretekstu, żeby spotkać się z Atheną i spróbować szczęścia. To obraźliwe pytanie było deklaracją jego prawdziwych zamiarów. Athena go usadziła.

- To z niej prawdziwa dziewica - rzekł Cross.

- Jak na aktorkę - odparł Deere.

- Nie pomyślałeś, że Athena nabiera wytwórnę, żeby wyciągnąć więcej forsy? - spytał ostro Cross.

- To nie w jej stylu - obruszyła się Claudia. - Ona jest absolutnie uczciwa.

- A może ma do was jakiś żal i się odgrywa? - sondował dalej Cross.

- Nie znasz zwyczajów tego świata - stwierdził Deere. - Po pierwsze, wytwórnia z przyjemnością dałaby się naciągnąć na większą forszę. Wszystkie gwiazdy to robią. Po drugie, jeśli miałyby do nas jakieś anse, nie kryłaby się z tym. Ona jest po prostu dziwaczką... Nie znosi Bobby'ego Bantza i nie przepada za mną. Od lat mamy na nią ochotę, ale żaden z nas jej nawet palcem nie tknął.

- Szkoda, że nie możesz pomóc - powiedziała smutno Claudia.

Cross milczał. Przez całą drogę z Malibu myślał intensywnie. Że oto nadarza się okazja, której szukał. Dość ryzykowna, ale gdyby się udało, mógłby definitywnie rozstać się z Rodziną.

- Wiesz, Skippy - odezwał się - mam dla ciebie i wytwórni pewną propozycję. Kupię ten film na pniu. Dam za niego pięćdziesiąt milionów, które już zainwestowaliście, dołożę forszę potrzebną do jego skończenia i zgodzę się, by wytwórnia wzięła na siebie dystrybucję.

- Masz sto milionów? - wykrzyknęli jednocześnie Skippy Deere i Claudia.

- Znam ludzi, którzy mają.

- Jak zamierzasz skończyć film, jeśli nie potrafisz sprowadzić Atheny na plan? - rzekł Deere.

- Mówiłem już, że mam dar przekonywania ludzi. Możesz załatwić mi spotkanie z Elim Marrionem?

- Jasne - odparł Deere - ale pod warunkiem, że będę nadal producentem tego filmu.

Spotkania jednak nie dało się tak łatwo zaaranżować. Trzeba było najpierw przekonać LoddStone Studios, to znaczy, Eliego Marriona i Bobby'ego Bantza, że Cross De Lena się nie przechwala, że ma forszę i listy uwierzytelniające. Owszem, był właścicielem części hotelu „Xanadu” w Las Vegas, ale nikt nie znał wartości tego obiektu, a poza tym nie było pewności, czy Cross De Lena potrafi wywiązać się z umowy. Deere twierdził, że można mu zaufać, sprawę jednak rozstrzygnęło dopiero odpowiednie zaświadczenie z banku.

Cross De Lena za namową swej siostry zwrócił się do Molly Flanders, by go reprezentowała przy zawieraniu tej umowy.

Molly Flanders przyjęła go w swej jaskini lwa. Cross słyszał o niej to i owo, był więc trochę nieufny. Nie spotkał jeszcze kobiety, która by w jakikolwiek sposób rządziła, a od Claudii wiedział, że Molly Flanders trzęsie całym Hollywood. Szefowie wytwórni odbierali jej telefony osobiście, agenci-potwory, tacy jak Melo Stuart, zwracali się do niej o pomoc, gdy przychodziło do jakiejś bardzo ważnej transakcji. Gwiazdy w rodzaju Atheny Aquitane dzwoniły do niej w przypadku nieporozumień z wytwórniami. Raz Molly Flanders zatrzymała produkcję jednego z najpopularniejszych miniseriali w telewizji, ponieważ czek nie dotarł na czas do jej klienta.

Cross inaczej ją sobie wyobrażał. Była postawną, proporcjonalnie zbudowaną kobietą. Bardzo elegancko ubraną. Miała twarz młodej wiedźmy, orli nos, pełne wargi i dzikie, brązowe oczy, które trochę zezowały. Inteligentne, zaczepne spojrzenie. Jasne włosy wijące się jak węże. Wyglądała groźnie, póki się nie uśmiechnęła.

Molly Flanders miała słabość do przystojnych mężczyzn. Cross od razu jej się spodobał. Ona też była zaskoczona, bo spodziewała się, że brat Claudii będzie wyglądał pospolicie. Bardziej od urody podobała jej się emanująca od niego siła, której brak było Claudii. Miał minę człowieka, który nie da się niczym zaskoczyć. Mimo to wahała się, czy go reprezentować. Słyszała o jego powiązaniach z mafią, nie lubiła świata Las Vegas. Powątpiewała też w jego determinację. A transakcja była śliska.

- Panie De Lena - zaczęła - chciałabym na początek wyjaśnić pewne sprawy. Reprezentuję Athenę Aquitane jako prawnik, nie jako agent. Wy tłumaczyłam jej, jakie

poniesie konsekwencje, jeśli się będzie upierać przy swym postanowieniu, ale znamy, jej stanowisko. Teraz tak: załóżmy, że kupił pan film od LoddStone Studios, Athena nie wraca do pracy, a pan podejmie przeciw niej legalne kroki. Uprzedzam, że będę ją reprezentowała.

Cross przyglądał się jej intensywnie. Nie potrafił jednak czytać z twarzy takich kobiet. Musiał wyłożyć na stół większość swych kart.

- Podpiszę zobowiązanie, że nie będę skarżył panny Aquitane. Jeśli pani zgodzi się mnie reprezentować, wręczę zaraz pani czek na dwieście tysięcy dolarów. To zaliczka. Potem mi pani wystawi rachunek.

- Upewnijmy się, że dobrze wszystko zrozumiałam. Pan zapłaci wytwórni pięćdziesiąt milionów, które zainwestowali w film. Od razu. Zainwestuje pan pieniądze w dokończenie filmu, minimum drugie pięćdziesiąt milionów. Stawia więc pan sto milionów dolarów na to, że Athena wróci na plan. Stawia pan też na film. Ale film może zrobić klapę. Podejmuje pan wielkie ryzyko.

Cross potrafił być czarujący, jeśli chciał. Wyczuł jednak, że tej kobiety nie nabierze na swoje miny.

- Rozumiem, że z zagranicznymi pieniędzmi, pieniędzmi z dystrybucji filmu na kasetach wideo, sprzedaży filmu do telewizji, o klapie nie może być mowy, nawet jeśli Messalina okaże się chałą - mówił. - Jedynym problemem jest skłonienie panny Aquitane do powrotu na plan. Może pani mi jakoś pomoże?

- Nie, nie pomogę - odparła Molly. - Nie chcę pana zwodzić. Wszyscy już próbowali i nic nie zwojowali. Athena wie, że z Elim Marrionem nie ma żartów. Zamknie film, uda, że pogodził się ze stratą pieniędzy, a potem zrobi wszystko, żeby ją puścić z torbami. Niech jednak nie liczy, że mu się to uda.

Cross był zaintrygowany.

- Nie uda mu się?

- Będzie miał ze mną do czynienia - wyjaśniła. - Marrion jest inteligentny, ale pokonam go w sądzie. Wytwórnia gorzko pożałuje, że w ogóle zaczęła tę hecę. Athena zostanie bez pracy, ale nie bez pieniędzy.

- Jeśli zgodzi się pani mnie reprezentować, to może uratuje pani także karierę swej klientki - rzekł Cross. Z kieszeni marynarki wyjął kopertę i podał ją Molly. Molly zajrzała do środka, pomyślała chwilę, po czym podniosła słuchawkę i wykonała kilka telefonów, by sprawdzić ważność czeku.

- Nie robię tego, żeby pana obrazić - uśmiechnęła się. - Postępuję w ten sam sposób z największymi producentami filmowymi w mieście.

- Takimi jak Skippy Deere? - Cross odwzajemnił uśmiech. - Zainwestowałem w sześć jego filmów, z czego cztery były przebojami, i do dziś nie dostałem złamanego dolara.

- Ponieważ nie reprezentowałam pana. Zanim wyrażę zgodę, muszę jeszcze usłyszeć, w jaki sposób zamierza pan zmusić Athenę do powrotu. - Zawahała się. - Słyszałam o panu różne plotki.

- A ja o pani - odciął się Cross. - Pamiętam, że przed laty, kiedy była pani adwokatką w sądzie karnym, wybroniła pani jakiegoś młodocianego mordercę. Zabił narzeczoną, a pani przekonała sąd, że zrobił to w stanie chwilowej niepoczytalności. Nie minął rok, a facet znowu chodził po ulicach. - Przerwał dla podkreślenia swego zirytowania. - Jego reputacja pani nie przeszkadzała.

Molly spojrzała na niego chłodno.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

Cross uznał, że jak ma kłamać, to z wdziękiem.

- Jak wiesz, Molly... - zaczął. - Czy mogę mówić do pani po imieniu? - Widząc, że adwokatka kiwa głową, kontynuował: - Jak wiesz, Molly, prowadzę hotel-kasyno w Las Vegas. Ta praca nauczyła mnie, że pieniądze mają cudowną moc. Potrafią, na przykład, zagłuszyć lęk. Dlatego zamierzam zaproponować Athenie połowę moich zysków z filmu. Jeśli dobrze przeprowadzisz transakcję i się nam poszczęści, to Athena dostanie trzydzieści milionów... Sama powiedz, nie zaryzykowałabyś życia dla trzydziestu milionów dolarów?

Molly pokręciła głową.

- Athena gwizdże na pieniądze.

- Zastanawia mnie tylko, dlaczego wytwórnia nie zrobi jej takiej samej propozycji.

Pierwszy raz w czasie tego spotkania Molly się do niego uśmiechnęła:

- Nie znasz wytwórni filmowych - stwierdziła. - Boją się tego rodzaju precedensów, bo potem każda gwiazda uciekałaby się do takiego podstępu. Ale idźmy dalej. Sądzę, że wytwórnia zgodzi się na twoją propozycję, ponieważ zarobi mnóstwo forsy na dystrybucji filmu. Od tego nie odstąpią. Będą też chcieli dostać ileś procent od zysków. Ale jeszcze raz powtarzam, Athena na to nie pójdzie... A podobno właściciele kasyn nie są hazardzistami - zakończyła ze złośliwym uśmieszkiem.

- Wszyscy ludzie są hazardzistami - odparł wesoło Cross. - Jeśli zarobek ma być godziwy, nie cofam się przed ryzykiem. Zresztą, zamierzam sprzedać hotel i żyć z filmów... Uważam to za ciekawsze - dodał.

- Ach, tak - rzekła Molly. - Więc nie chodzi o chwilowy kaprys?

- Powiedzmy, o włożenie stopy między drzwi a futrynę. Jeśli mi się to uda, będę cię

dalej potrzebował.

Molly była rozbawiona.

- Zgadzam się reprezentować cię w tej sprawie. Ale co do przyszłości, to porozmawiamy o niej, jak już stracisz te sto milionów.

Sięgnęła do telefonu. Powiedziała kilka słów. Odłożywszy słuchawkę oznajmiła:

- Jesteśmy umówieni na spotkanie z ludźmi z działu finansowego wytwórni w celu wstępnego ustalenia zasad gry. Pozostawiają ci trzy dni na przemyślenie decyzji.

Cross był pod wrażeniem.

- Szybka jesteś - powiedział.

- Oni, nie ja - odparła Molly. - Przestoje w realizacji tego filmu kosztują ich masę forsy.

- Wiem, że nie muszę tego mówić - rzekł Cross - ale chciałbym, by propozycja, jaką zamierzam zrobić pannie Aquitane, pozostała między nami.

- Rzeczywiście nie musiałeś tego mówić - przyznała Molly.

Podali sobie ręce. Po jego wyjściu Molly zamyśliła się. Dlaczego Cross De Lena wspomniał sprawę Tatoskiego? Zwycięstwo, które wtedy odniosła, było głośne. Dlaczego jednak zapamiętał akurat tego chłopaka? Wyratowała od stryczka wielu morderców.

Trzy dni później Cross De Lena znowu przyszedł do biura Molly Flanders. Prawniczka przed wizytą w LoddStone Studios chciała przejrzeć dokumenty, które zamierzał przedstawić wytwórni. Na spotkanie pojechali jej mercedesem SL 300.

Kiedy wjechali na teren wytwórni, Molly powiedziała:

- Spójrz na ten parking. Dam ci dolara za każdy amerykański samochód, który na nim znajdziesz.

Mijali morze eleganckich aut we wszystkich kolorach tęczy - mercedesy, aston martiny, BMW, rolls-royce'y. Cross dojrzał jednego cadillaca i pokazał go triumfalnie Molly.

- A, tak, to pewnie jakiś biedny pisarzyna z Nowego Jorku - stwierdziła wesoło.

Wytwórnia LoddStone Studios zajmowała ogromny teren, na którym stały siedziby niezależnych spółek produkcyjnych. Główny budynek liczył zaledwie dziesięć pięter i przywodził na myśl atrapę. Wzniesiono go jeszcze w latach dwudziestych, na które przypadł początek działalności wytwórni; nic w nim nigdy nie zmieniano, dokonywano tylko niezbędnych napraw. Crossowi przypomniała się Enklawa Bronxu.

Biura w budynku administracyjnym były małe i zagracone, wyjąwszy dziesiąte piętro, na którym mieściły się gabinety Eliego Marriona i Bobby'ego Bantza. Między gabinetami znajdowała się wielka sala konferencyjna z obsługiwanym przez barmana barem w odległym

kącie oraz małą kuchenką. Wokół stołu stały fotele obite ciemnoczerwonym pluszem. Na ścianach wisiały oprawione plakaty filmów wyprodukowanych przez LoddStone Studios.

Eli Marrion, Bobby Bantz, Skippy Deere, główny doradca wytwórni oraz dwaj inni prawnicy już na nich czekali. Molly wręczyła doradcy papiery Crossa. Prawnicy usiedli i zabrali się do ich studiowania. Barman podał wszystkim zamówione napoje, po czym dyskretnie się ulotnił. Skippy Deere dokonał prezentacji zebranych.

Eli Marrion swym zwyczajem poprosił, by Cross zwracał się do niego po imieniu. Następnie opowiedział jedną ze swych ulubionych historyjek. Robił tak zawsze, gdy chciał rozbroić oponentów. Otóż wytwórnię założył jego dziadek we wczesnych latach dwudziestych. Postanowił nazwać ją „Lodestone”, czyli magnetyt, ale że mówił z niemieckim akcentem, prawnicy go nie zrozumieli. Potem, rzecz jasna, odkrył błąd, ale machnął nań ręką, ponieważ wytwórnia była warta wszystkiego dziesięć tysięcy dolarów. Dziś, warta siedem miliardów dolarów, dalej nosi tę bezsensowną nazwę. „Ale słowo pisane nie ma większego znaczenia” - zakończył sentencjonalnie Marrion (każda jego anegdota musiała mieć puentę). Liczy się obrazek kryształu i skupianych przezeń promieni światła, który stał się powszechnie znanym logo.

Teraz Molly przedstawiła propozycję Crossa. Pan De Lena zapłaci wytwórni wydane przez nią pięćdziesiąt milionów, zrzeknie się praw do dystrybucji filmu na rzecz LoddStone Studios, zostawi Skippy’ego Deera jako producenta. Wyłoży pieniądze na dokończenie filmu. Ponadto wytwórnia otrzyma pięć procent zysków. Wysłuchali jej w skupieniu. Głos zabrał Bobby Bantz:

- Uważamy, że pięć procent to śmiesznie mało. Powinniśmy dostać więcej. I skąd mamy wiedzieć, że nie jesteście w zмовie z Atheną? Że to nie jest szantaż?

Cross był zaskoczony reakcją Molly. Nie wiedzieć czemu spodziewał się, że te negocjacje będą przebiegały w sposób bardziej cywilizowany niż w Vegas.

Tymczasem Molly prawie wrzeszczała, wykrzywiając z wściekłości swą jędrzowatą twarz:

- Coś podobnego, Bobby! Jak w ogóle śmiesz podejrzewać nas o spisek? Nie jesteście ubezpieczeni, z rozpaczcy zgodziliście się na to spotkanie. Chyba nie po to, żeby nas obrażać? Jeśli nie przeprosisz, wyjdziemy z panem De Lena, a wy możecie obejść się smakiem.

- Molly, Bobby, dajcie spokój - wtrącił się Skippy Deere. - Jesteśmy tu, żeby uratować film. Przynajmniej...

Marrion obserwował tę scenę ze spokojnym uśmiechem, ale nie zabierał głosu. Odezwie się, gdy trzeba będzie podjąć decyzję.

- Zadałem pytanie - bronił się Bobby Bantz. - W jaki sposób pan De Lena zmusi Athenę do powrotu, skoro nam się to nie udało?

Cross się tylko uśmiechał. Molly mu powiedziała, żeby w miarę możliwości się nie odzywał.

- Widać coś wymyślił - stwierdziła. - Dlaczego miałby wam o tym mówić? Zaproponujcie mu dziesięć milionów dolarów za tę informację, to się zastanowimy. Zresztą dziesięć milionów to mało.

Nawet Bobby Bantz się roześmiał.

- Myślimy, że Cross nie ryzykowałby takiej sumy, gdyby nie był pewny swego - stwierdził Skippy Deere. - Dlatego jesteśmy podejrzliwi.

- Och, Skippy, tak jakbyś ty nigdy nie zapłacił miliona dolarów za powieść, z której nie będzie filmu - powiedziała Molly. - Czego to dowodzi?

- To niezupełnie to samo - zauważył Bobby Bantz. - Skippy płaci pieniędzmi wytwórni.

Wszyscy się roześmiali. Cross zastanawiał się, czy to spotkanie ma jakikolwiek sens. Zaczynał powoli tracić cierpliwość. Starał się mieć minę kogoś mało zainteresowanego, żeby nikt nie był zaskoczony, kiedy zrezygnuje. Odezwał się cicho:

- Widzę, że sprawa jest zbyt skomplikowana. Skoro tak, to dajmy temu spokój.

- Mówimy o kupie forsy - warknął Bantz. - Ten film zarobi z pół miliarda.

- Pod warunkiem, że ściągniecie Athenę z powrotem - zauważyła Molly. - Rozmawiałam z nią dziś rano. Obcięła już włosy, by pokazać, że nie żartuje.

- Wielkie rzeczy. Zrobi się jej perukę. Cholerne gwiazdy... - mruknął w zamyśleniu Bantz, patrząc na Crossa tak, jakby chciał wyczytać coś z jego twarzy. - A jeśli Athena nie wróci i nie będzie pan w stanie dokończyć filmu, kto weźmie to, co jest już nakręcone? - spytał.

- Ja - odparł Cross.

- Aha - rzekł Bantz. - I puści pan to w obieg. Może jako drobny pornosik?

- Niewykluczone - przyznał Cross.

Molly pokręciła głową na znak, żeby Cross trzymał język za zębami.

- Słuchaj, jeśli zgodzicie się na tę transakcję - powiedziała do Bantza - to całą resztę, dystrybucję za granicą, kasety, telewizję i udział procentowy, możecie negocjować. Pod jednym warunkiem. Transakcja musi być utrzymana w tajemnicy. Pan De Lena oficjalnie chce tylko występować jako koproducent.

- Nie mam nic przeciwko temu - stwierdził Skippy Deere. - Rozumiem, że moja

umowa z wytwórnią nadal będzie obowiązywać.

Po raz pierwszy głos zabrał Marrion.

- To zupełnie inna sprawa - rzekł, mając na myśli „nie”. - Cross, czy upoważniasz swoją prawniczkę do prowadzenia wszystkich negocjacji?

- Tak - potwierdził Cross.

- Chciałbym ustalić jedną sprawę - powiedział Marrion. - Trzeba ci wiedzieć, że zamierzaliśmy wyrzucić ten film do śmieci i pogodzić się ze stratą. Jesteśmy przekonani, że Athena nie wróci. Nie obiecujemy ci zatem, że wróci. Jeśli zawrzemy tę transakcję i zapłacisz nam pięćdziesiąt milionów, nie ponosimy za film żadnej odpowiedzialności. Będziesz musiał skarżyć Athenę, a ona nie ma takiej sumy.

- Nie będę jej skarżył - odparł Cross. - Zapomnę o całej sprawie.

- A jak się pan wytłumaczy przed tymi, którzy pana finansują? - spytał Bantz.

Cross wzruszył ramionami.

- Ależ to nieuczciwe - oburzył się Marrion. - Ci ludzie zawierzyli ci swoje pieniądze. Czy to ich wina, że są bogaci?

- Nie mam nic przeciw bogatym - odparł Cross z powagą.

- To jest jakaś sztuczka - zdenerwował się Bantz.

- Potrafię przekonywać ludzi - rzekł Cross poufnym tonem. - Nic innego nie robię, tylko przekonuję bardzo sprytnych ludzi, by postawili pieniądze w moim kasynie w Las Vegas. Zmiękczam ich, starając się ich uszczęśliwić. To znaczy, daję im to, co lubią. Tak samo postąpię z panną Aquitane.

Bantzowi nie podobała się cała ta sprawa. Mógłby się założyć, że ktoś tu robi wytwórnię na szaro. Powiedział ostro:

- Jeśli odkryję, że Athena już wyraziła zgodę na pracę z panem, podam was do sądu. Nie będziemy honorować tej umowy.

- Planuję związać się z przemysłem filmowym na dłuższy czas - rzekł Cross. - Chcę współpracować z LoddStone Studios. Pieniądzy wystarczy dla wszystkich.

Przez całe spotkanie Eli Marrion przyglądał się Crossowi, usiłując go rozgryźć. Ten facet nie był oszustem ani wariatem. Agencja Ochrony „Pacyfik” nie potwierdziła żadnych jego powiązań z Atheną, więc spisek nie wchodził w grę. Decyzja, którą mieli podjąć, wcale nie była tak trudna, jak udawali. Marrion poczuł się bardzo zmęczony - ciążyło mu nawet ubranie. Chciał, żeby już było po wszystkim.

- A może Athenie po prostu odbiło - rzekł Skippy Deere. - Dostała fioła. Na taką ewentualność jesteśmy ubezpieczeni.

- Athena jest przy zdrowszych zmysłach niż ktokolwiek na tej sali - odparła Molly Flanders. - Trudno byłoby ci udowodnić, że zwariowała.

Bobby Bantz spojrzał w oczy Crossowi.

- Czy podpisze pan oświadczenie, że nie zawarł pan z Atheną żadnej umowy w sprawie tego filmu?

- Tak - przyrzekł Cross. Nie ukrywał swej niechęci do Bantza.

Marrion poczuł zadowolenie. Przynajmniej ta część spotkania przebiegała zgodnie z planem - Bantz został uznany za antypatycznego gościa. Ludzie instynktownie go nie lubili. Nie było w tym jego winy, taką miał rolę. Inna sprawa, że do niego pasowała.

- Chcemy dwudziestu procent dochodów z tego filmu - powiedział Bantz. - Zajmiemy się jego dystrybucją w kraju i na świecie. I będziemy współpracować przy epilogach.

- Bobby, wszyscy bohaterowie giną na końcu, więc o jakim epilogu ty mówisz? - jęknął Skippy Deere.

- Rozumiem - odparł Bantz. - W takim razie będziemy współpracować przy prologach.

- A bierzcie sobie swoje prologi, epilogi, pierogi - zdenerwowała się Molly. - Nie liczcie jednak na więcej niż dziesięć procent zysku. Zbijecie majątek na dystrybucji. I bez żadnego ryzyka. Zgadzaście się czy nie?

Eli Marrion miał już naprawdę dość. Wstał. Wyprostował się jak świeca i przemówił:

- Dwanaście procent i umowa stoi... - Spojrzał na Crossa. - To wcale nie jest dużo. A z tego filmu może jeszcze coś wyjść i dlatego nie chcę go wyrzucić. Poza tym bardzo chciałbym wiedzieć, jak to się dalej potoczy. - Zwrócił się do Molly. - Tak czy nie?

Nie patrząc na Crossa Molly odpowiedziała:

- Tak.

Później Eli Marrion i Bobby Bantz siedzieli sami w sali konferencyjnej. Obaj milczeli. Przez wszystkie te lata nauczyli się, że pewnych rzeczy nie mówi się głośno. Wreszcie odezwał się Marrion:

- Mamy tu kwestię moralną.

- Podpisaliśmy zobowiązanie, że zachowamy tajemnicę - powiedział Bantz - ale skoro uważasz, Eli, że tak trzeba, to wykonam telefon.

Marrion westchnął.

- I stracimy film. Ten cały Cross jest naszą jedyną nadzieją. A poza tym, gdyby się dowiedział, że to ty puściłeś parę, mogłoby się to źle dla nas skończyć.

- Kimkolwiek jest, nie odważy się podnieść ręki na LoddStone Studios - stwierdził Bantz. - Boję się tylko jednego. Mianowicie, że pozwolimy mu się wcisnąć do środka.

Marrion sącył swój napój i palił cygaro. Ależ drażnił go ten delikatny, pachnący drewnem dym. Czuł się bardzo zmęczony. Był za stary, by się martwić jakimiś odległymi w czasie nieszczęściami. Messalina była bliżej.

- Nie dzwoń - polecił. - Musimy dotrzymać umowy. A poza tym dziecinnieję i jestem bardzo ciekaw, co też ten magik wyciągnie z kapelusza.

Po spotkaniu Skippy Deere wrócił do domu i wezwał do siebie telefonicznie Jima Loseya. Najpierw kazał mu przysiąc, że dochowa tajemnicy, a następnie opowiedział mu o Crossie.

- Myślę, że dobrze byłoby go poobserwować - zakończył. - Może dowiesz się czegoś interesującego.

Wcześniej obiecał Loseyowi, że da mu małą rolę w filmie o seryjnym mordercy z Santa Monica.

Co zaś do Crossa De Leny, to po powrocie do Las Vegas zamknął się w swym apartamencie na ostatnim piętrze, by spokojnie przemyśleć ostatnie posunięcia. Dlaczego podjął takie ryzyko? Tak, mógł dużo zyskać - nie tylko pieniądze, ale nowy styl życia. Ale co nim faktycznie kierowało? Obraz gimnastykującej się Atheny Aquitane na tle morskiej zieleni? Myśl, że może któregoś dnia, gdy się lepiej poznają, Athena go pokocha? Nie, nie na zawsze, na pewien czas. Jak to mówił Gronevelt? „Najgorzej to ratować jakąś księżniczkę. Wystrzegaj się, mówię ci, wystrzegaj się, nieszczęśliwych księżniczek”.

Ale Cross odsunął od siebie te myśli. Patrzył na Vegas, ścianę barwnego światła, tłumy ludzi przemierzających się w tym świetle, mrówki taszczące bele pieniędzy, by je gdzieś zagrzebać, i po raz pierwszy analizował całą sprawę na chłodno.

Jeśli Athena Aquitane była takim aniołem, to dlaczego jako warunek swego powrotu na plan filmowy postawiła - zachowaniem, nie słowami - śmierć męża? To chyba było jasne dla wszystkich. Nie dała się złapać na zapewnienia wytwórni, że będzie strzeżona podczas pracy nad filmem, ponieważ wiedziała, że to ją tylko zbliży do śmierci. Po skończeniu filmu zostanie sama, a wtedy Skannet uderzy.

Eli Marrion, Bobby Bantz, Skippy Deere doskonale ją rozumieli i wiedzieli, co trzeba zrobić. Ale nikt nie miał odwagi powiedzieć tego na głos. Zbyt wielkie ryzyko. Piastowali wysokie stanowiska, żyli wygodnie, mieli za dużo do stracenia. Skórka nie była warta wyprawki. Woleli stracić film niż swą uprzywilejowaną pozycję. Nie chcieli jej ryzykować.

Zresztą trzeba im oddać sprawiedliwość i powiedzieć, że podjęli mądrą decyzję. Nie znali się na tym, jeszcze powinęłyby im się noga. A stratę pięćdziesięciu milionów dolarów można potraktować jako spadek akcji na giełdzie.

Cross miał dwa zadania do wykonania. Wykończyć Boza Skanneta w taki sposób, żeby nie zaszkodziło to filmowi lub Athenie. Drugim zadaniem, znacznie ważniejszym, było uzyskanie na to zgody ojca i Rodziny Clericuzio. Nie łudził się, że uda mu się utrzymać tę sprawę w tajemnicy.

Rozdział ósmy

Cross De Lena prosił o darowanie życia Dużemu Timowi z dwóch powodów. Po pierwsze, Duży Tim zostawiał rocznie w klatce kasyna „Xanadu” od pół do miliona dolarów. Po drugie, Cross miał do niego słabość, do jego żywiołowości i skandalicznych błazeńskich.

Tim Snedden, przezywany Cyganem, był właścicielem sieci centrów handlowych w północnej Kalifornii. Był również nałogowym graczem. W Las Vegas zatrzymywał się zwykle w „Xanadu”. Najbardziej lubił zakłady sportowe, w których miał niewiarygodne wprost szczęście. Stawiał duże sumy - pięćdziesiąt paczek na futbol i czasem dziesięć paczek na koszykówkę. Straszny był z niego spryciarz, bo małe stawki przegrywał, a duże bez pudła wygrywał. Crossa od razu zastanowiła ta dziwna prawidłowość.

Cygan był potężnym mężczyzną, liczył prawie dwa metry wzrostu, ważył zaś ponad sto pięćdziesiąt kilogramów. Jego apetyt odpowiadał jego konstytucji fizycznej - pożerał wszystko, co zobaczył. Nie tył, bo podobno miał wszczepiony bypass żołądka i jedzenie tylko przez niego przelatywało. Szczycił się, że udało mu się oszukać nawet biologię.

Albowiem Cygan był urodzonym oszustem. Stąd zresztą wziął się jego przydomek. Przebywając w „Xanadu”, zapraszał znajomych do restauracji w ramach darmowych posiłków i naciągał, na co się tylko dało, obsługę pokojową. Na koszt hotelu usiłował też sprowadzać prostytutki i robić zakupy w hotelowym sklepie z upominkami. A kiedy przegrał cały kredyt, ociągał się ze spłaceniem długów aż do następnej wizyty, zamiast uregulować je w ciągu miesiąca jak robią to dżentelmeni.

Mimo że miał niesłychany fart w zakładach sportowych, w kasynie szczęście mu nie dopisywało. Był bystry, znał się na grach hazardowych, ale ponosiło go i tracił to, co wygrał w totalizatorze, a nawet więcej. Clericuziowie zainteresowali się nim nie z powodu jego przegranych, lecz ze względu na swe plany długofalowe.

Jak wiadomo, Rodzinie zależało na zalegalizowaniu zakładów sportowych w całych Stanach Zjednoczonych, a każdy skandal na tym polu mógł sprawie poważnie zaszkodzić. Wzięto więc pod lupę działalność Dużego Tima Sneddena vel Cygana. Wyniki inwigilacji okazały się tak niepokojące, że zawezwano Crossa i Pippię do Quogue. Była to pierwsza operacja Pippię po powrocie z Sycylii.

Pippi i Cross polecili na Wschód razem. Cross podejrzewał, że Clericuziowie wiedzą

już o Messalinie i bał się reakcji ojca. Albowiem Pippi, obecnie pięćdziesięciosiedmioletni, wciąż pełnił funkcję doradcy syna.

Toteż w samolocie Cross opowiedział Pippiemu o filmie i zapewnił go, że nadal bardzo ceni sobie jego rady, ale nie chciał stawiać go w trudnej sytuacji wobec Clericuziów. Wyraził zaniepokojenie wezwaniem na Wschód. Widać don się o wszystkim dowiedział.

Pippi wysłuchał go w milczeniu. Potem westchnął ciężko i powiedział:

- Jakiś ty jeszcze młody. Nie jedziemy tam w sprawie twojego filmu. Don by tak szybko nie zareagował. Poczekałby na ciąg dalszy. Patrząc z zewnątrz można pomyśleć, że Rodziną rządzi teraz Giorgio, w każdym razie tak sądzą Vincent, Petie i Dante. Ale się mylą. Stary don jest sprytniejszy od nas wszystkich razem wziętych. Nim się nie przejmuj, don w takich sprawach jest bardzo rozsądny. Jeśli masz się kogoś obawiać, to raczej Giorgia i Dantego... - Umilkł, jak gdyby nie miał ochoty rozmawiać o Rodzinie, nawet z Crossem.

- ...Zauważyłeś, że dzieciaki Giorgia, Vincenta i Petiego nie mają pojęcia o działalności Rodziny? - podjął po chwili. - Don i Giorgio postanowili, że młode pokolenie będzie się zajmować wyłącznie sprawami legalnymi. Don chciał, by obejmowało to również Dantego, ale on się nie dał oszukać, sam doszedł do prawdy i zażądał włączenia do naszej działalności. Don nie mógł mu tego zabronić. Wyzначzył nam, to znaczy Giorgiowi, Vincentowi, Pietemu, sobie, mnie i Dantemu, rolę tylnej straży, czuwającej nad bezpieczeństwem klanu Clericuzio. Sam to wszystko zaplanował. Ta dalekowzroczność czyni go wielkim. Nie wiem, może będzie nawet zadowolony, że się wycofujesz. Skoro chciał wyłączyć Dantego? Bo chodzi ci o to, żeby się wyłączyć, prawda?

- Tak - potwierdził Cross. Nawet ojcu nie mógł się zwierzyć ze swej słabości. Mianowicie, że kierowała nim miłość do kobiety.

- Postępuj tak jak Gronevelt - poradził mu Pippi. - W odpowiednim momencie porozmawiaj osobiście z don Clericuziem i dopilnuj, żeby Rodzina mogła umoczyć dziób w forsie z tej transakcji. Ale miej się na baczności z Giorgiem i Dantem. Vincentowi i Pietemu będzie wisało, że się przeczucasz na przemysł filmowy.

- Dlaczego mam uważać na Giorgia i Dantego? - spytał Cross.

- Giorgio jest łakomym kutasem - odparł Pippi - a Dante cię nie lubi, bo ci zazdrości, a także dlatego, że jesteś moim synem. Poza tym to szajbus.

Cross był zaskoczony. Ojciec nigdy dotąd nie skrytykował żadnego Clericuzia.

- A dlaczego Vincentowi i Pietemu będzie wisało?

- Dlatego, że Vincent ma swoje restauracje, a Petie firmę budowlaną i Enklawę Bronxu. Vincent chce spokojnie doczekać starości, Petie zaś lubi to, co robi. Czują do ciebie

sympatię, a mnie szanują. W młodości razem pracowaliśmy.

- Więc nie jesteś zły, że się nie poradziłem cię, tato?

Pippi popatrzył na niego spode łba.

- Nie zgrywaj się - skarcił go. - Z góry wiedziałeś, że żaden z nas tego nie pochwali, ani ja, ani don. Teraz taka sprawa, kiedy zamierzasz sprzątnąć tego całego Skanneta?

- Jeszcze nie wiem - odparł Cross. - Rzecz jest trochę skomplikowana, bo trzeba mu urządzić „bierzmowanie”. Jak Athena się przekona, że nie musi się już go bać, zgodzi się wrócić do pracy.

- Opracuję ci plan tej akcji - rzekł Pippi. - A co będzie jeśli ta panna, ta cała Athena, nie wróci do pracy? Stracisz pięćdziesiąt milionów.

- Wróci - zapewnił Cross. - To przyjaciółka Claudii. Claudia powiedziała, że wróci.

- Moja ukochana córeczka - rzekł ironicznie Pippi. - Wciąż nie chce mnie znać?

- Chyba nie - zawahał się Cross. - Ale gdybyś chciał ją zobaczyć, wpadnij do hotelu w czasie, kiedy ona tam będzie.

- Dziękuję, postoję - rzekł Pippi. - Słuchaj, jeśli ta cała Athena nie wróci do pracy, to osobiście wyprawię jej komunię. Nie obchodzi mnie, że jest gwiazdą.

- Wróci, wróci - zapewnił Cross. - Powinieneś jednak zobaczyć Claudię. Bardzo wyładniała.

- To dobrze - stwierdził Pippi. - Jako dziecko była wyjątkowo brzydka. Podobna do mnie.

- Dlaczego się z nią nie pogodzisz? - spytał Cross.

- Nie pozwoliła mi wziąć udziału w pogrzebie mojej byłej żony. Wiem, że mnie nie lubi, więc po co? Powiem ci więcej, kiedy umrę, nie chcę, żeby szła za moją trumną. Mam ją w nosie. - Przerwał na chwilę. - Ależ była brzydkim dzieckiem.

- Powinieneś ją teraz zobaczyć - powtórzył Cross.

- Na razie nic nie mów don Clericuzio o swych planach - zmienił temat Pippi. - To spotkanie dotyczy zupełnie innej sprawy.

- Skąd wiesz? - spytał Cross.

- Wezwałby mnie, żeby sprawdzić, czy cię wydam - stwierdził Pippi.

Jak się okazało, Pippi miał rację.

Giorgio, don Domenico, Vincent, Petie i Dante czekali na nich w ogrodzie pod figowcami. Zwyczaj nakazywał najpierw razem się posilić, a dopiero potem przystąpić do omawiania interesów.

Zagał Giorgio. Inwigilacja wykazała, że Cygan „kupował” niektóre mecze

międzyuczelniane w środkowozachodnich stanach. I prawdopodobnie „załatwiał wyniki” w zawodowym futbolu i zawodowej koszykówce. Po prostu, dawał łapówki organizatorom i wybranym graczom, a to było bardzo niebezpieczne. Gdyby taki kant wyszedł na jaw, podniósłby się okropny krzyk, który miałby fatalne skutki dla starań Rodziny Clericuzio o zalegalizowanie zakładów sportowych we wszystkich stanach. A machlojki tego rodzaju w końcu zawsze wychodzą na jaw.

- ...Policja interesuje się „ustawionymi” meczami bardziej niż seryjnymi mordercami - ciągnął Giorgio. - Nie rozumiem dlaczego. W końcu, co za różnica, kto wygra, a kto przegra? To przestępstwo nie szkodzi nikomu poza bukmacherami, a na nich policja tak czy owak krzywo patrzy. Gdyby Cygan załatwił z drużyną Notre Dame, żeby zawsze wygrywała, cały kraj nosiłby go na rękach.

- Czemu tracimy czas na tę rozmowę? - zniecierpliwiał się Pippi. - Czy nie można go po prostu ostrzec?

- Próbowaliśmy - odparł Vincent. - Ale to wyjątkowy twardziel. W ogóle nie wie, co to strach. Ma gdzieś nasze ostrzeżenia.

- Nazywają go Dużym Timem i Cyganem, a on to kocha - rzekł Petie. - Nie płaci żadnych rachunków, wykiwał nawet urząd skarbowy. Toczy bezustanną wojnę z władzami Kalifornii, ponieważ uważa, że sklepy wchodzące w skład jego centrów handlowych nie muszą płacić podatków. Nie płaci nawet alimentów byłej żonie i dzieciakom. Złodziejstwo ma we krwi. Takemu trudno przemówić do rozsądku.

- Cross, ty go znasz osobiście z Vegas. Co o nim powiesz? - spytał Giorgio.

Cross chwilę myślał.

- Spóźnia się ze spłacaniem długów, ale w końcu zawsze je spłaca. Gra chytrze, nie jak gamoń. Należy do facetów, których trudno lubić, ale że jest bardzo bogaty, ma mnóstwo znajomych, których przywozi do Vegas. Abstrahując od tego, że „ustawia” mecze i zgarnia część należnych nam pieniędzy, jest dla nas pożyteczny. Ja bym zostawił go w spokoju.

Zauważył, że Dante uśmiechnął się pod nosem. Widocznie wiedział coś, czego on nie wiedział.

- Nie możemy zostawić go w spokoju - stwierdził Giorgio. - Ten Cygan jest zdrowo pieprznięty. Podobno wymyślił jakiś kretyński sposób na „ustawienie” superpucharu.

Pierwszy raz zabrał głos don Domenico, który zwrócił się bezpośrednio do Crossa:

- Czy to możliwe, siostrzeńcze?

To pytanie było komplementem. W ten sposób don dawał do zrozumienia, że uważa Crossa za eksperta od hazardu.

- Nie sędzę - odparł Cross. - Nie da się przekupić organizatorów superpucharu, bo nie wiadomo, kto to będzie. Nie można przekupić graczy, ponieważ ci, którzy decydują o wyniku meczów, zgarniają mnóstwo forsy. Poza tym nigdy nie ma stuprocentowej pewności, że wynik meczu będzie taki, a nie inny. Ten, kto by chciał zarobić na superpucharze, musiałby „kupić” pięćdziesiąt do stu meczów. Tylko wtedy by nie stracił w wypadku, gdyby kilka z nich przegrano. Trzeba by zatem przekupić większość drużyn, żeby się taki przekręt opłacił.

- Brawo - pochwalił go don. - Wobec tego, dlaczego bogaty facet porywa się na coś tak kretyńskiego?

- Dla sławy - wyjaśnił Cross. - Aby „załatwić wyniki” superpucharu, musi zrobić coś, co na pewno wyjdzie na jaw. Coś tak szalonego, że nawet trudno mi to sobie wyobrazić. Musi nieźle pogłówkować. No i wierzy, że spadnie na cztery łapy.

- Jeszcze takiego nie spotkałem - stwierdził don.

- To amerykańska specjalność - zauważył Giorgio.

- W takim razie zagraża naszym planom - stwierdził don. - Z tego, co mówicie, wynika, że ten gość nikogo nie słucha. Nie mamy więc wyboru.

- Poczekajcie - wtrącił Cross. - On przynosi „Xanadu” co najmniej pół miliona rocznie.

- To sprawa zasad - odparł Vincent. - Bukmacherzy płacą nam za ochronę.

- Dajcie mi z nim porozmawiać - poprosił Cross. - Mnie może posłucha. I tak się za bardzo nim przejmujemy. On nie jest w stanie „kupić” superpucharu. Nie warto, żebyśmy się w to angażowali... - W tej chwili zobaczył minę ojca i zrozumiał, że się zagalopował.

- Ten człowiek jest niebezpieczny - uciął dyskusję don. - Nie rozmawiaj z nim, siostrzeńcze. On nie wie, kim jesteś. Czemu dawać mu przewagę? Jest niebezpieczny z powodu swojej głupoty, przypomina zwierzę, które chciałoby wszystko pożreć. A kiedy wpadnie w sidła, zacznie kąsać. I postara się pociągnąć za sobą, kogo się tylko da... Wnuku - zwrócił się do Dantego. - Uważam, że to zadanie dla ciebie. Ale niech Pippi zaplanuje akcję. On zna teren.

Dante pokiwał głową.

Ale wpadłem, pomyślał Pippi. Jeśli się coś przytrafi Dantemu, będę za to odpowiedzialny. I uświadomił sobie jeszcze jedno. Mianowicie, że don i Giorgio wyznaczili Dantego na głowę Rodziny Clericuzio. Ale to dopiero w przyszłości. Na razie nie polegali na jego osądzie.

W Vegas Dante wynajął apartament w „Xanadu”. Cygan Snedden spodziewany był tam dopiero za tydzień. Pippi i Cross chcieli wykorzystać ten czas na przygotowanie Dantego.

- Cygan gra wysoko - powiedział mu Cross. - Ale nie tak wysoko, żeby zasługiwał na Willę. Nie należy do tej samej klasy, co Arabowie i Azjaci. Naciąga hotel, na co tylko może. Przyprawia do restauracji znajomych, zamawia najdroższe wina, nie chce płacić za zakupy w sklepiku hotelowym. Na to nie pozwalamy nawet facetom z Willi. Rozdający muszą mieć się z nim na baczności, bo to artysta. Przy stolikach z kośćmi upiera się, że postawił, choć nie postawił. W bakaracie usiłuje stawiać, kiedy zobaczy pierwszą kartę. Przy grze w oko twierdzi, że chciał postawić na osiemnaście, kiedy kolejna karta okazuje się trójką. Zawsze się spóźnia ze spłacaniem kredytu. Ale daje nam zarobić pół miliona rocznie, nawet jeśli są to pieniądze, które ukradł bukmacherom. Jest jak dziecko. Bierze sztony dla znajomych, podpisuje za nich rewery, a my myślimy, że gra wyżej niż w rzeczywistości. Takie numery robili kiedyś faceci od hurtowni odzieżowych. Kiedy szczęście go opuszcza, dostaje świra. W zeszłym roku przegrał dwa miliony, wobec czego urządziliśmy bankiet na jego cześć i podarowaliśmy mu cadillaca, a on miał pretensje, że nie mercedesa.

- Bierze z klatki sztony dla innych? - spytał z oburzeniem Dante.

- Tak - odparł Cross. - Mnóstwo ludzi tak robi. Przymykamy na to oko. Niech myślą, że mają do czynienia z frajerami. Są wtedy pewniejsi siebie przy stołach. Wierzą, że potrafią nas przechytrzyć.

- Dlaczego mówią na niego Cygan? - zainteresował się Dante.

- Dlatego, że za nic nie chce płacić - wyjaśnił Cross. - A jeśli bierze dziewczyny do pokoju, to je gryzie. Nie wiem, chce mieć na pamiątkę kawałek ich mięsa? Ale jakoś uchodzi mu to płazem. Straszny z niego zgrywus.

- Wprost nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę - rzekł Dante z rozmarzeniem.

- Wielokrotnie prosił Gronevelta o Willę. Bezskutecznie. Ja mu też nie daję - ciągnął Cross.

Dante spojrzał na niego spode łba.

- A dlaczego mnie nie dałeś Willi?

- Dlatego, że kosztowałyby to hotel od stu tysięcy do miliona za noc.

- Giorgio jednak dostaje Willę - nie ustępował Dante.

- Dobra, zadzwonię do Giorgia i spytam go, co o tym myśli - obiecał Cross.

Obaj wiedzieli, że Giorgio się oburzy na zachcianki Dantego.

- Daj sobie spokój - poddał się Dante z rezygnacją w głosie.

- Ożeń się, to dostaniesz Willę na miesiąc miodowy - przyrzekł Cross.

Teraz odezwał się Pippi:

- Tego faceta trzeba podejść psychologicznie. Cross, pomożesz nam wciągnąć go w

pułapkę. Dasz Dantemu nieograniczony kredyt, a potem skasujesz jego rewersy. Akcję przeprowadzimy w Los Angeles. Ale facet musi tu koniecznie przyjechać. Pod żadnym pozorem nie wolno mu odwołać rezerwacji. Dlatego, Cross, zawiadom go, że zamierzasz wydać bankiet na jego cześć i podarować mu rolls-royce'a. Kiedy przyjedzie, przedstawisz go Dantemu i mnie. Na tym skończy się twoja rola.

Zaplanowanie szczegółów zajęło Pippiemu raptem godzinę. Dante powiedział z podziwem:

- Giorgio zawsze twierdzi, że jesteś najlepszy. Wkurzyłem się, gdy don kazał ci zaplanować moją akcję. Ale teraz widzę, że miał rację.

Pippi przyjął to pochlebstwo z kamienną twarzą.

- Pamiętaj, że mamy wyprawić mu „komunię”, nie „bierzmowanie” - przypomniał. - Facet ma się ulotnić jak kamfora. Z taką przeszłością, tyłoma sprawami sądowymi, jego zniknięcie nikogo nie zdziwi. I zrezygnuj na razie z noszenia tych swoich śmiesznych kapeluszy. Ludziom takie rzeczy wbijają się w pamięć. Pamiętaj też, że don polecił, by facet puścił farbę, co planował z superpucharem, ale nie jest to naprawdę konieczne. Kiedy zniknie, problem też zniknie. Więc nie rób niczego szalonego.

- Moje kapelusze przynoszą mi szczęście - stwierdził chłodno Dante.

Pippi pokręcił głową z dezaprobatą.

- Jeszcze jedno. Nie próbuj wygrać. To polecenie jest od samego don Clericuzia, który nie chce, by hotel stracił fortunę na tej operacji. Wystarczy, że wykosztują się na rollsa.

- Bądź spokojny, lubię tę robotę... Liczę, że tym razem wystawisz mi dobrą ocenę - dokończył ze złośliwym uśmiechem.

Cross uniósł brwi ze zdziwienia. To jasne, że między tymi dwoma panowała jakaś wrogość. Ale że Dante ośmielił się mówić do jego ojca w ten sposób? Wnuk don Clericuzia czy nie wnuk, mogło się to dla niego źle skończyć.

Pippi jednak zachowywał się, jak gdyby niczego nie zauważył.

- Jesteś Clericuziem. Jakże ja miałbym wystawiać ci ocenę? - Poklepał Dantego po ramieniu. - Mamy coś do zrobienia. Postarajmy się dobrze bawić.

W końcu Cygan Snedden przyjechał. Dante przyjrzał mu się uważnie. Facet był potężny, pokryty grubą warstwą tłuszczu, który się jednak nie przelewał, jak u większości tłuściochów, lecz był przyrośnięty do kości, twardy. Cygan nosił zapiętą na jeden biały guzik dzinsową koszulę z dużymi kieszeniami na piersiach. Do jednej kieszeni włożył czarne studolarowe sztony, do drugiej - biało-złote pięćsetki. Czerwone piątki i zielone dwudziestki piątki napchał w kieszenie szerokich płóciennych portek. Na nogach miał rozdeptane brązowe

sandały.

Cygan grał głównie w kości - ze względu na największe prawdopodobieństwo wygranej. Cross i Dante wiedzieli, że zdążył już postawić dziesięć paczek na dwa międzyuczelniane mecze koszykówki, a u nielegalnych bukmacherów w mieście postawił pięć tysięcy dolarów na wyścigach konnych w Santa Anita. Cygan nie był z tych, co płacą podatki. I robił wrażenie zupełnie spokojnego o postawione pieniądze. W ogóle był w doskonałym humorze.

Szarogęsił się przy tym stole, zachęcał wszystkich do stawiania na jego kości, wesóło pokrzykiwał, żeby nie byli cykorami. Grał czarnymi sztonami, obstawiał nimi wszystkie numery naraz. Kiedy dostał kości, cisnął nimi tak silnie, że odbiły się od przeciwnej ściany i wróciły do niego. Chciał je wtedy chwycić, ale krupier zręcznie je unieruchomił swymi „grabkami” i przytrzymał, póki inni gracze nie porobili zakładów.

Dante usiadł przy stole z kośćmi, obstawił te same numery, co Duży Tim i wygrał. Następnie obstawiał wszystkie numery, które powinny - chyba żeby miał niebywałe szczęście - przegrać. Obstawiał czwórkę i dziesiątkę. Obstawiał dwie szóstki w jednym rzucie kośćmi, jedynkę i jedenastkę równocześnie w stosunku trzydziści i piętnaście do jednego. Podpisał rewers na dwadzieścia tysięcy dolarów i, po otrzymaniu czarnych sztonów, postawił je wszystkie. Poprosił o kolejny kredyt. Do tego czasu zdążył już zwrócić na siebie uwagę Dużego Tima, który w pewnej chwili krzyknął do niego:

- Hej, ty w tym garnku! Lepiej naucz się grać!

Dante pomachał do niego wesóło i kontynuował swoje szalone obstawianie. Kiedy Duży Tim spasował, Dante wziął kości i poprosił o kredyt w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Obstawił czarnymi sztonami cały stół modląc się, żeby nie wygrać. Nie wygrał. Teraz Duży Tim przyglądał mu się więcej niż ze zdawkowym zainteresowaniem.

Duży Tim Cygan jadał w kafeterii, która zarazem była restauracją serwującą popularne amerykańskie potrawy. Rzadko zachodził do eleganckiej francuskiej restauracji, włoskiej trattorii czy też autentycznego angielskiego pubu. Teraz przyłączyło się do niego pięciu znajomych, którym załatwił losy loterii keno. W ten sposób cała grupa urozmaicała sobie posiłek obserwowaniem tablic z numerami. Cross i Dante usiedli przy stoliku w kącie.

Z powodu krótko obciętych jasnych włosów Cygan przypominał rubasznego niemieckiego mieszczanina z obrazów Brueghla. Zamówił całą masę różnych dań w ilości odpowiadającej trzem obiadom, ale trzeba mu oddać sprawiedliwość, bo zmiotł prawie wszystko i jeszcze nawet sięgał do talerzy znajomych.

- Szkoda go - powiedział Dante. - Nie spotkałem faceta, który by się tak cieszył

życiem.

- To sposób na przysporzenie sobie wrogów - rzekł Cross. - Szczególnie, jeśli ktoś się cieszy życiem na koszt innych.

Na koniec Duży Tim podpisał rachunek, którego nie musiał regulować, a znajomemu kazał zapłacić napiwek. Po ich wyjściu Cross i Dante pili leniwie kawę. Cross kochał tę dużą salę ze szklaną ścianą, za którą panowała ciemność rozświetlona różowymi lampami, a zielone trawy i drzewa mieszały się z odbiciem kandelabrow w szybie.

- Pamiętam pewną noc przed trzema laty - odezwał się Cross. - Cygan miał wtedy wielkie szczęście. Wygrał w kości chyba z tysiąc paczek. Była jakaś trzecia nad ranem. Kiedy markier zabrał jego sztony do klatki, Cygan wskoczył na stół i się odlał.

- I co ty na to? - spytał Dante.

- Kazałem bramkarzom odprowadzić go do pokoju, a za zniszczenie stołu policzyłem mu pięć tysięcy. Których i tak nigdy nie zapłacił.

- Wyszarpałbym mu serce - stwierdził Dante.

- Nie pozwoliłbyś nasikać na stół facetowi, który daje ci zarobić pół miliona rocznie? Ale tak między nami mówiąc, to nigdy mu tego nie zapomniałem. Gdyby zrobił coś takiego w którymś z kasyn w Willach, nie wiem, jak bym się zachował.

Nazajutrz Cross zaprosił Dużego Tima na lunch, podczas którego zawiadomił go o bankiecie i rolls-roysie. Podszedł do nich Pippi, Cross dokonał prezentacji.

Duży Tim był jak zwykle nienasycony.

- Rolls rollsem, ale kiedy dostanę Willę?

- Najwyższy czas - zgodził się Cross. - Obiecuję ci Willę następnym razem, choćbym miał kogoś wyrzucić.

Duży Tim vel Cygan spojrział na Pippiego.

- Twój syn jest dużo sympatyczniejszy od tego starego kutasa Gronevelta - powiedział.

- Gronevelt pod koniec życia rzeczywiście trochę zdziwaczał - przyznał Pippi. - Byłem bodaj jego najlepszym znajomym, a też nie dostałem nigdy Willi.

- Chrząć go - rzekł Duży Tim. - Teraz, kiedy twój syn prowadzi hotel, możesz dostać Willę, kiedy tylko zapragniesz.

- A skąd! - obruszył się Cross. - Ojciec nie gra.

Roześmiali się chórem.

Dużego Toma jednak coś gryzło.

- W życiu nie widziałem tak złego gracza w kości jak ten mały facio w garnku na

głowie - stwierdził. - W niecałą godzinę przepuła prawie dwieście paczek. Co o nim wiecie? Szukam inwestorów.

- Nie udzielam informacji o moich graczach - odparł sucho Cross. - Jak by ci się podobało, gdybym opowiadał o tobie? Mogę ci tylko zdradzić, że dałbym mu Willę w każdej chwili, ale on nie chce. Ma skromne wymagania.

- Zapoznaj nas - poprosił Duży Tim. - Jeśli ubiję z nim interes, odpalę ci działkę.

- Nie mogę. Ale mój ojciec też go zna.

- Przydałoby się trochę gotówki - stwierdził Pippi.

- Fajnie - rzekł Duży Tim. - Nabajeruj mu o mnie.

Pippi włączył swój czar.

- Stworzycie we dwóch dobry zespół. Facet tarza się w forsie, ale brak mu twojej smykałki do interesów. Wiem, że jesteś w porządku, Tim, więc daj mi, ile tam uważasz.

Dużemu Timowi aż się oczy zaświeciły. Oto spotkał na swej drodze kolejnego frajera.

- Super - powiedział. - Przyrowadź go wieczorem do kasyna. Znajdziesz mnie przy kościach.

Po dokonaniu prezentacji Duży Tim vel Cygan ku zaskoczeniu obu mężczyzn zerwał z głowy Dantemu kapelusz i zamienił go na swą baseballową czapkę. Wynik był przekomiczny. Renesansowe nakrycie głowy upodobiło Dużego Tima do krasnala z bajki o królewnie Śnieżce.

- Żebyś miał więcej szczęścia - powiedział.

Roześmiali się, ale Pippiemu nie spodobał się złośliwy błysk w oczach Dantego. Był też zły, że Dante mimo jego zakazu włożył kubełek. Przedstawił go Dużemu Timowi jako Steve'a Sharpe'a, króla narkotykowego imperium na Wschodnim Wybrzeżu, który ma do wyprania mnóstwo szmalu. Wspomniał również, że Steve jest zatwardziałym graczem, który potrafi postawić milion na superpuchar i nie przejąć się, gdy go straci. I że w kasynie go bardzo lubią, bo kredyt, który zaciąga, natychmiast spłaca.

Duży Tim zarzucił ciężką rękę Dantemu na szyję i powiedział:

- Wiesz, Steve, chciałbym z tobą porozmawiać. Chodźmy coś przekąsić.

W kafeterii Duży Tim zaciągnął Dantego do stolika na uboczu. Dante zamówił kawę, natomiast jego nowy znajomy zażyczył sobie całej gamy deserów od lodów truskawkowych po napoleonki, tartę bananową z bitą śmietaną plus paterę z kruchymi ciasteczkami.

Następnie przystąpił do godzinnej opowieści o swych cudownych interesach. Posiadał małe centrum handlowe, którego zamierzał się pozbyć; istna maszynka do robienia pieniędzy, a on potrafił załatwić, że kupiec mógłby po cichu zapłacić gotówką. Posiadał też paczkownię

mięsa oraz ciężarówki do przewozu owoców i warzyw, które by można nabywać u hurtowników za trefną gotówkę, a sklepom sprzedawać już za czyste pieniądze. Znał odpowiednich ludzi w przemyśle filmowym, pomógłby więc osobie zainteresowanej finansować filmy, kierowane bezpośrednio do wypożyczalni wideo lub kin pornograficznych.

- Interes palce lizać - zachwalał Duży Tim. - Obracasz się w wielkim świecie, pieprzysz gwiazdeczki i równocześnie pierzesz swą forszę.

Dante dobrze się bawił. Duży Tim perorował z taką pewnością siebie, że ofiara musiała mu uwierzyć. Mimo że starał się mówić od niechcienia, pytania, które zadawał, zdradzały jego podniecenie.

- Daj mi swoją wizytówkę - poprosił Dante - to skontaktuję się z tobą sam albo przez Pippię. Umówimy się na kolację i pogadamy konkretnie.

Duży Tim wręczył Dantemu wizytówkę.

- Ale nie odkładajmy tego zbytnio. Mam na oku jedną absolutnie pewną transakcję, w którą mógłbym cię wciągnąć. Tylko trzeba działać szybko, bo to... - zawahał się - ...coś związanego ze sportem - dokończył.

Dante się nagle bardzo ożywił.

- Ze sportem? Jezu, zawsze o tym marzyłem. Kocham sport. Zamierzasz może kupić pierwszoligową drużynę baseballową?

- Nie, nie - zaprzeczył prędko Duży Tim. - Ale to też coś dużego.

- Kiedy się spotkamy? - spytał Dante.

- Jutro hotel wydaje bankiet, na którym sprezentują mi rollsa - oznajmił dumnie Duży Tim. - Za to, że pozwoliłem im się wycyckać. Pojutrze wracam do Los Angeles. Może więc pojutrze wieczorem?

Dante udał, że się zastanawia.

- Dobra - powiedział w końcu. - Do Los Angeles jadę z Pippim, to każę mu do ciebie zadzwonić. Wtedy się umówicie.

- Super - ucieszył się Duży Tim. Trochę go zdziwiła ostrożność tamtego, ale wiedział, że niepotrzebnymi pytaniami można tylko popsuć interesy. - A dziś pokażę ci, jak się gra w kości.

Dante ziewnął.

- Umieć grać, ale czasem lubię się powyglupiać. Jak się rozejdzie, że nie miałem szczęścia przy stole, trudno mi będzie się opędzić od panienek.

- Jesteś beznadziejny - stwierdził Duży Tim. - Ale kiedyś i tak zarobimy razem kupę szmalu.

Nazajutrz w sali balowej hotelu „Xanadu” wydawano przyjęcie na cześć Dużego Tima vel Cygana. Odbywały się tu bale noworoczne, śniadania świąteczne, śluby graczy o duże stawki, uroczyste wręczenia specjalnych nagród i prezentów, bale z okazji rozgrywek o superpuchar, mistrzostw świata, a nawet konferencje partii politycznych.

Ogromną, wysoką salę udekorowano niezliczonymi balonami, a na środku ustawiono bufety, na których piętrzył się pokruszony lód. Wyzierały z niego kolorowe egzotyczne owoce: przepołowione melony, kuszące złotożółtym mięszem, dorodne purpurowe winogrona, które omal nie pękały pod naporem zgromadzonych w nich soków, kolczaste ananasy, kiwi i kumkwaty, nektarynki, liczi, kawałki arbuza. Kubełki w kształcie łodzi podwodnych zawierały lody w dwunastu smakach. W drugim rzędzie stały mięsa - udziec wołu wielkiego jak bawół, ogromny indyk, biała, przerośnięta tłuszczem szynka, półmiski z włoskimi makaronami popstrzonymi zielonym pesto i czerwonym sosem pomidorowym, a także parował ogromny czerwony sagan ze srebrnymi rączkami zawierający gulasz z „dzika”, a ściślej z wieprzowiny, wołowiny i cielęciny. Dalej leżały rozmaite chleby i bułki. Za stołem z pieczywem stała kolejna chłodnia, tym razem z deserami, kremami, ptysiami z bitą śmietaną oraz tortami w kształcie hotelu „Xanadu”. Kawę i alkohole miały serwować najpiękniejsze kelnerki hotelowe.

Duży Tim vel Cygan przystąpił do pustoszenia bufetów, jeszcze zanim przybyli goście.

Na samym środku sali, na ogrodzonym sznurami podium, stał rolls-royce. Kremowobiały, luksusowy, elegancki, przepięknie zaprojektowany, zupełne przeciwieństwo pretensjonalnego stylu tutejszego świata. Aby umożliwić mu wjazd i wyjazd usunięto jedną ścianę, a zamiast niej powieszono ciężką złotą draperię. W odległym kącie stał skromnie fioletowy cadillac - premia dla pierwszego gościa z numerowanym zaproszeniem, czyli jakiegoś wysokiego gracza lub menedżera kasyna z zaprzyjaźnionego hotelu. Te bankiety były jednym z lepszych pomysłów Gronevelta. Znacznie zwiększały dochody kasyna.

Dzięki wygłupom Dużego Tima przyjęcie udało się znakomicie. Obsługiwany przez dwie kelnerki zdołał „zniszczyć” prawie całe jedzenie. Dał taki popis obżarstwa, że niewiele brakowało, by misja Dantego okazała się zbędna.

Cross wygłosił mowę na jego cześć. Duży Tim wygłosił podziękowanie.

- Jestem wdzięczny hotelowi „Xanadu” za ten wspianiały dar. Dostaję w prezencie wóz warty dwieście tysięcy dolarów. To nagroda za to, że od dziesięciu lat przyjeżdżam tutaj, pozwalam się traktować jak księżę i opróżniać sobie portfel. Oceniam, że moje straty wyrównałoby dopiero jakieś pięćdziesiąt rolls-royce’ów, ale niech im tam, i tak naraz mogę

prowadzić tylko jeden samochód.

Rozległy się gromkie brawa i okrzyki. Cross skrzywił się. Czuł się niezręcznie podczas tych rytuałów, które obnażały fałsz szerokiego gestu hotelu.

Duży Tim objął stojące po jego obu stronach kelnerki i przyjaźnie ścisnął im piersi. Jak doświadczony komik odczekał, aż aplauz ucichnie.

- Bez żartów, jestem autentycznie wdzięczny. To jeden z najlepszych dni w moim życiu. Łącznie z dniem, w którym dostałem rozwód. Mam tylko pytanie: kto mi zafunduje benzynę, żebym mógł dojechać do Los Angeles? „Xanadu” znowu opróżniło mi kieszenie.

Duży Tim wiedział, kiedy należy przestać. Przy akompaniamencie braw i okrzyków wdrapał się na podwyższenie i wsiadł do samochodu. Zastępujące ścianę złote draperie rozsunęły się i rolls-royce wyjechał.

Teraz jednemu z gości wręczono kluczyki do cadillaca. Uroczystości trwały cztery godziny i wszyscy już marzyli o powrocie do kasyna.

Tej nocy duch Gronevelta na pewno zacierał dłonie z zadowoleniem. Kasyno prawie podwoiło zysk. Co się działo w pokojach, można było się tylko domyślać po przenikającym na korytarze zapachu spermy. Zaproszone na bankiet bombowe call girls szybko zawarły znajomość z mniej fanatycznymi graczami, którzy podzielili się z nimi czarnymi sztonami.

Gronevelt często zwracał uwagę Crossowi na różnicę zachowań graczy w zależności od płci. Właściciel hotelu-kasyna powinien takie rzeczy wiedzieć.

Na pierwszym miejscu Gronevelt stawiał, jak to nazywał, „futerko”. „Futerko” zwyciężało wszystko. Mogło nawet otrzeźwić nałogowego gracza. Gośćmi hotelu było wielu ważnych ludzi z całego świata. Uczeni i nobliści, miliarderzy, znani kaznodzieje, prominentni pisarze. Laureat Nagrody Nobla w fizyce, bodaj najtęższy umysł na świecie, przez sześć dni dokazywał z tancerkami z kabaretu. Nie grał dużo, ale hotel czuł się zaszczycony mogąc go gościć. Gronevelt musiał osobiście zapłacić dziewczynom, bo nobliście nie przyszło to do głowy. Dziewczyny opowiadały, że był najlepszym kochankiem na świecie - ochoczym, ognistym i zręcznym, nie stosującym żadnych sztuczek, obdarzonym najpiękniejszym ptakiem, jakiego kiedykolwiek widziały. A najzabawniejsze było to - wprost nie do wiary - że wcale ich nie zanudził poważnym gadaniem. Plotkarskie pindy, oburzał się w duchu Gronevelt. Ale te ich pogaduszki z jakichś powodów wprawiły go w dobry nastrój. To miłe, że taki mądry facet potrafił sobie zdobyć ich uznanie. W przeciwieństwie do Ernesta Vaila, który uchodził za dobrego pisarza, a naprawdę był szczeniakiem w średnim wieku z nieustającą erekcją i niczym poza tym. A także senatora Wavvena, potencjalnego prezydenta Stanów Zjednoczonych, który seks traktował jak grę w golfa. Nie mówiąc o dziekanie z Yale,

kardynale z Chicago, przewodniczącym Krajowego Komitetu Obrony Praw Obywatelskich i niesympatycznym ważniaku z Partii Republikańskiej. „Futerko” sprowadzało ich wszystkich do poziomu dzieci. Jedynym wyjątkiem byli homoseksualiści i ćpuni, ale ci się nie liczyli jako gracze.

Gronevelt zauważył, że gracze płci męskiej wzywali panienki, zanim usiedli do gry. Kobiety natomiast wolały seks po grze. Ponieważ hotel musiał zaspokoić potrzeby seksualne wszystkich gości, a nie istnieją męskie dziwki, co najwyżej fordanserzy, usługi w tym zakresie świadczyli kobietom barmani, krupierzy i szefowie zmiany. To od nich Gronevelt dowiedział się o zwyczajach kobiet. Doszedł wówczas do wniosku, że mężczyźni potrzebują seksu, by nabrać pewności siebie przed bitwą, kobiety - by się pocieszyć po przegranej lub w nagrodę za dobrą grę.

Duży Tim wezwał prostytutkę godzinę przed bankietem na swą cześć, a przegrawszy dużą kwotę, poszedł nad ranem do łóżka ze swymi kelnerkami. Wzbraniały się, bo były porządnymi dziewczynami, ale Duży Tim rozwiązał problem po swoim. Za spędzenie z nim nocy zaproponował kelnerkom czarne sztony o wartości dziesięciu tysięcy dolarów. A jeśli się będzie dobrze bawił, coś jeszcze dorzuci. Rozbawiło go, że tak długo nie mogły się zdecydować. W końcu jednak się złamały. Ale nim do czegośkolwiek doszło, Duży Tim zasnął z przejedzenia i przepicia. Rozwalił się na środku łóżka, spychając dziewczyny na brzegi. Próbowaly się go trzymać, żeby nie spaść, długo jednak nie wytrzymały i ostatecznie noc spędziły na podłodze.

W nocy do Crossa zatelefonowała Claudia.

- Athena zniknęła - oznajmiła. - Wytwórnia szaleje, a ja się martwię. Inna sprawa, że odkąd ją znam, Athena co najmniej raz w miesiącu wyjeżdża dokądś na weekend. Pomyślałam jednak, że powinieneś o tym wiedzieć. Zrób coś, zanim zniknie na dobre.

- Nie martw się - uspokoił ją Cross. Nie powiedział jej, że jego ludzie śledzą Skanneta.

Ale po tej rozmowie nie mógł oderwać myśli od Atheny. Wciąż miał w pamięci jej twarz pełną ekspresji i długie, piękne nogi. Inteligentne spojrzenie, jakby wibrację jakiegoś niewidzialnego instrumentu w jej duszy.

Podniósł słuchawkę i wezwał Tiffany, dziewczynę z kabaretu, z którą się czasem spotykał.

Tiffany była szefową chóru w dużym przedstawieniu. Upoważniało ją to do większej pensji i punktów za utrzymanie dyscypliny w chórze, niedopuszczanie do kłótni i bijatyk między dziewczynami. Urodę miała posagową, ale przepadła na próbnym zdjęciach do filmu, bo była za duża. Na scenie wyglądała świetnie, na ekranie przytłaczała.

Tiffany była zdumiona pośpiechem, z jakim Cross się zabrał do rzeczy. Rzucił się na nią, zdarł z niej ubranie, żarłocznie wycalaował. Wszedł w nią prędko i prędko szczytował. Normalnie się tak nie zachowywał.

- Widzę, że cię wzięło - zauważyła niemal ze złością.

- Żebyś wiedziała - potwierdził Cross i zaczął wszystko od początku.

- Nie mówię o sobie, pacanie - odparła Tiffany. - Kim jest ta szczęśliwa dziewczyna?

Cross był zły, że go tak łatwo rozszyfrowała. Jednocześnie nie potrafił się oderwać od jej ciała. Nie mógł się nacieszyć jej soczystymi piersiami, jedwabnym językiem, aksamitnym wzgórkami między udami, ich niewolącym ciepłem. Kiedy w końcu, wiele godzin później, zaspokoił pożądanie, przed oczyma znów stanęła mu Athena.

Tiffany podniosła słuchawkę i zamówiła śniadanie.

- Biedna będzie ta dziewczyna, gdy już ją zdobędziesz.

Po jej wyjściu Cross poczuł się wolny. Doszedł do wniosku, że miłość do Atheny jest tylko chwilową słabością, skoro pójdzie do łóżka z Tiffany przywróciło mu pewność siebie. O trzeciej nad ranem wybrał się na ostatni obchód kasyna.

W kawiarni natknął się na Dantego w towarzystwie trzech przystojnych, rozbawionych kobiet. Jedną z nich była Loretta Lang, piosenkarka, której niegdyś pomógł zerwać kontrakt z agentem. Udał jednak, że jej nie poznał. Dante pomachał do niego zapraszająco. Cross pokręcił głową. Przed położeniem się do łóżka w swym podniebnym apartamencie połknął dwie tabletki nasenne. Nic nie pomogły. Znowu śnił o Athenie.

Towarzyszki Dantego były żonami hollywoodzkich gwiazdorów, a przy okazji mniej znanymi aktorkami. Zaproszeń na przyjęcie Dużego Tima wprawdzie nie dostały, ale uśmiechnęły się do kogo trzeba i weszły.

Najstarszą była Julia Deere, żona jednego z najbardziej kasowych aktorów. Mieli dwoje dzieci, a w pismach ilustrowanych przedstawiano ich jako wyjątkowo dobraną parę, ekstatycznie szczęśliwe małżeństwo.

Druga nazywała się Joan Ward. Dobiegała pięćdziesiątki, ale wciąż była bardzo atrakcyjna. Grała teraz drugoplanowe role - intelektualistkę, nieszczęśliwą matkę upośledzonego dziecka bądź porzuconą żonę, której tragedia prowadzi do drugiego szczęśliwego małżeństwa. Ewentualnie zagorzałą zwolenniczkę feminizmu. Była żoną szefa wytwórni, który płacił jej rachunki bez mrugnięcia okiem, choćby były nie wiadomo jak wysokie, a wymagał od niej tylko, by czyniła honory domu na licznych przyjęciach, które musiał wydawać. Nie miała dzieci.

Trzecią była Loretta, która z własnego wyboru grała obecnie główne role w

głupawych komedijkach. Ona również dobrze wyszła za mąż - za aktora grającego w bezmyślnych filmach akcji, z powodu których większość czasu spędzał na planach filmowych w najrozmaitszych zakątkach świata.

Zaprzyjaźniły się ze sobą, bo grały w podobnych filmach, robiły zakupy na Rodeo Drive, jadały lekkie posiłki w restauracji hotelu „Beverly Hills”, narzekając na mężów i porównując karty kredytowe. Na te ostatnie nigdy nie narzekały. Karty kredytowe były ich kopalniami złota, bo żaden z mężów nigdy nie kwestionował wysokości rachunków.

Julia narzekała, że mąż nie spędza dość czasu z dziećmi. Joan, której mąż zasłynął jako odkrywca nowych talentów, narzekała, że nie ma dzieci. Loretta narzekała na role, w których obsadzano jej męża. Aż pewnego dnia Loretta powiedziała:

- Och, przestańmy marudzić. Jesteśmy bardzo szczęśliwe. Dobrze wyszliśmy za mąż. Może nam się nie podobać tylko to, że nasi mężowie wysyłają nas na Rodeo Drive, by z czystym sumieniem pieprzyć inne kobiety.

Roześmiały się. Tak rzeczywiście było.

Julia powiedziała:

- Kocham mojego męża, ale on od miesiąca kręci film na Tahiti. I wiem, że nie leży na plaży samotnie. Ponieważ nie chce mi się siedzieć przez miesiąc na Tahiti, on rżnie albo odtwórczynię głównej roli, albo jakąś miejscową ślicznotkę.

- Robiłby to, nawet gdybyś tam była - stwierdziła Loretta.

Joan zauważyła w zadumie:

- Choć mój mąż ma spermy tyle, co kot napłakał; jego fiut przypomina buławę marszałkowską. Jak to się dzieje, że odkrywa talenty tylko w kobietach? Na zdjęciach próbnych zamiast pozować muszą próbować, czy jego fiut zmieści się im w buzi.

Zdażyły się już trochę ululać. Żyły w przekonaniu, że wino nie ma kalorii.

- Nie czepiajmy się ich - mruknęła Loretta. - Obcują z najpiękniejszymi kobietami na świecie. Co mają robić? Chyba nie chcemy, żeby się onanizowali. Weźmy karty kredytowe i chodźmy się trochę zabawić.

I poszły szaleć. Odtąd kiedy mężów nie było w domu, co często miało miejsce, wybierały się na poszukiwanie nocnych przygód.

Ponieważ większość Amerykanów potrafiłaby je rozpoznać, musiały się charakteryzować. Ale to było bardzo łatwe. Wkładały peruki, by zmienić kolor włosów i uczesanie. Malując się, pogrubiały lub zwęzłały wargi. Przebierały się za kobiety z klasy średniej. Ujmowały sobie urody, co jednak nie miało znaczenia, bo jako aktorki potrafiły być bardzo czarujące. I chętnie grały. Uwielbiały wysłuchiwać wynurzeń rozmaitych mężczyzn,

którzy w ten sposób chcieli zaciągnąć je do łóżka, co zresztą na ogół im się udawało. Granie tych tajemniczych postaci bez scenariusza było jak oddychanie prawdziwym życiem. A jakie cudne niespodzianki się zdarzały! Propozycje małżeństwa i wyznania prawdziwej miłości; mężczyźni dzielili się z nimi swym bólem, ponieważ wiedzieli, że już ich nigdy nie spotkają. Podziwiano nie nazwiska ich mężów, lecz je same. Bardzo lubiły się wcielać w coraz to nowe postacie. Czasami były operatorkami komputerów na wakacjach, innym razem pielęgniarzkami, technikami dentystycznymi lub pracownicami socjalnymi. Aby dobrze wczuć się w swoje role, czytały o tych zawodach. Czasami udawały sekretarki z biura ważnego prawnika od show-biznesu i opowiadały niestworzone historie o swych własnych mężach i innych znajomych aktorach. Świetnie się bawiły, ale zawsze poza miastem; Los Angeles było zbyt niebezpieczne, mogły niechcący się napatoczyć na jakichś znajomych, którzy by ich rozpoznali mimo charakteryzacji. Również San Francisco uznały za zbyt ryzykowne. Jacyś homoseksualiści zachowywali się tak, jakby na pierwszy rzut oka wiedzieli, kim one są. Ich ulubionym miejscem stało się więc Las Vegas.

Dante zawarł z nimi znajomość w „Club Lounge”, gdzie gracze przychodzili, gdy chcieli trochę odpocząć, posłuchać zespołu, komika, piosenkarki. Tu właśnie Loretta zaczynała karierę. Żadnych tańców. Hotel chciał, by klienci po krótkim wypoczynku wracali do stołów.

Zwróciły na siebie uwagę Dantego wesołością i niewymuszonym wdziękiem. On też je zainteresował, ponieważ widziały, jak grał i przegrywał niesamowitą ilość pieniędzy, dysponując nieograniczonym kredytem. Z baru zabrał je do ruletki i dał każdej sztony o wartości tysiąca dolarów. Były urzeczone jego nakryciem głowy i przesadną uprzejmością, jaką okazywali mu krupierzy i szef zmiany. I tym jego cwaniackim zachowaniem z domieszką zjadliwego humoru. Dante był inteligentny w wulgarny, niekiedy zgoła odpychający sposób. Podniecał je rozmach, z jakim grał. Same były bogate, czego jak czego, ale gotówki im nie brakowało, tu chodziło jednak o żywą gotówkę, która miała szczególną magię. To prawda, że potrafiły w jeden dzień wydać na Rodeo Drive kilkadziesiąt tysięcy dolarów, w zamian jednak otrzymywały luksusowe towary. Kiedy Dante podpisał rewers na sto tysięcy dolarów, jęknęły z wrażenia, mimo że mężowie kupowali im samochody, które kosztowały znacznie więcej. Ale Dante wyrzucał pieniądze w błoto.

Nie zawsze szły do łóżka z mężczyznami, których poderwały, tym razem jednak udały się do toalety na poradę. Najbardziej zależało na nim Julii, która powiedziała, że o niczym innym nie marzy, jak tylko o tym, żeby nasiusiać do jego śmiesznego „kubelka”. Ustąpiły jej pola.

Zresztą Joan liczyła, że wygra tej nocy z pięć, dziesięć tysięcy. Nie, żeby potrzebowała pieniędzy, ale to była gotówka, prawdziwe banknoty. Loretty natomiast Dante specjalnie nie oczarował. Praca w kabarecie w Vegas uodporniła ją na takich mężczyzn. Lubili robić niespodzianki, nie zawsze przyjemne.

Kobiety miały w „Xanadu” apartament z trzema sypialniami. Zawsze podczas wypadów trzymały się razem ze względu na bezpieczeństwo, a także po to, by móc się dzielić wrażeniami. Z zasady nie zostawały z poderwanym mężczyzną przez całą noc.

Julia zatem przykleiła się do Dantego, który nie protestował, choć wolałby Lorette. Chciał jednak, by poszli do jego apartamentu piętro niżej.

- Potem cię odprowadzę - obiecał chłodno. - Możemy spędzić razem tylko godzinę, bo jutro muszę wstąpić.

Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że wzięła je za prostytutki.

- Jeśli pójdziesz do mnie, to ja cię odprowadzę - odparła.

- Ale ty mieszkasz ze swymi napalonymi przyjaciółkami - rzekł Dante. - Jaką mam gwarancję, że się na mnie nie rzucą i nie zgwałcą? Jestem tylko małym, bezbronnym chłopcem.

Tak ją tym rozbroił, że dała za wygraną. Nie zauważyła jego chytrego uśmiechu. Po drodze powiedziała żartem:

- Chcę nasiusiać do twojego kapelusza.

- Proszę cię bardzo - odparł z kamienną twarzą.

W jego apartamencie nie tracili czasu na pogawędki. Julia rzuciła na kanapę torebkę i ściągnęła suknię z ramion, by odsłonić biust, który był jej prawdziwym atutem. Ale Dante okazał się wyjątkowym mężczyzną. Mężczyzną, którego nie rajcowały piersi kobiety.

Zaprowadził ją do łazienki i rozebrał do naga. Potem sam zrzucił ubranie. Jego penis był krótki, gruby i nie obrzezany.

- Musisz założyć prezerwatywę - powiedziała Julia.

Dante cisnął ją na łóżko. Nie była bynajmniej piórkiem, ale on podniósł ją bez wysiłku i rzucił.

- Domagam się prezerwatywy - powiedziała, kiedy rozsunął jej nogi. - Nie żartuję.

W tej samej chwili zobaczyła gwiazdy. To Dante uderzył ją z całej siły, przyprawiając niemal o utratę przytomności. Spróbowała się uwolnić, ale ten mały facet okazał się niebywale silny. Poczuli dwa kolejne uderzenia, od których twarz zaczęła ją palić jak ogień i rozboleły wszystkie zęby. Po czym Dante w nią wszedł. Zatopił się w niej kilkakrotnie i zwałił się jak kłoda.

Po chwili zaczął przewracać ją na brzuch. Julia dostrzegła, że facet wciąż ma erekcję. Zrozumiała, co zamierza. Szepnęła:

- Nie mam nic przeciwko temu, ale pozwól, że wyjmę z torebki wazelinę.

Wypuścił ją spod siebie. Julia poszła do salonu. Dante przyszedł za nią. Kiedy stanął w drzwiach, zobaczyła, że nadal ma erekcję.

Pogrzebała w torebce, po czym dramatycznym gestem wyciągnęła z niej malutki srebrny pistolet. Był to rekwizyt z filmu, w którym kiedyś grała, ale zawsze marzyła, żeby użyć go w życiu. Wycelowawszy pistolet w Dantego, stanęła w rozkroku, jak nauczył ją reżyser i powiedziała:

- Teraz się ubiorę i wyjdę. Zastrzelę cię, jeśli spróbujesz mi w tym przeszkodzić.

Ku jej zdumieniu nagi Dante wybuchnął głośnym śmiechem. Zauważyła jednak z satysfakcją, że penis mu opadł.

Świetnie się bawiła. Wyobrażała już sobie miny Joan i Loretty, kiedy im to opowie. Dobrze byłoby na koniec nasiusiać mu do kapelusza.

Tu Dante jednak ją zaskoczył, bo zaczął powoli iść w jej kierunku. Uśmiechał się.

- To mały kaliber - powiedział spokojnie - nie zatrzyma mnie, chyba że uda ci się trafić w głowę. Kto używa takiego małego pistoletu? Wpakujesz we mnie trzy kule, a ja i tak cię uduszę. Poza tym źle go trzymasz i nie wiadomo, po co tak stoisz, przecież nie będzie odrzutu. Nie łudź się, że mnie trafisz, te maleństwa są bardzo niecelne. Więc lepiej go odłóż i porozmawiajmy. A potem sobie pójdiesz.

Szedł dalej. Julia rzuciła pistolet na kanapę. Dante podniósł go, obejrzał i pokręcił głową.

- Atrapa? - zdziwił się. - Najlepszy sposób, by stracić życie. - Pokręcił głową z rozbawieniem. - Nie jesteś dziwką, bo byś miała prawdziwy pistolet. Kim jesteś?

Pchnął Julię na kanapę, postawił nogę na jej wżgórku łonowym. Następnie sięgnął po torebkę i wysypał jej zawartość na stolik. Z zasuwanej przegródki wyciągnął portfel z kartami kredytowymi i prawem jazdy i przeczytał je uważnie. Uśmiechnął się z niedowierzaniem.

- Zdejmij perukę - powiedział, a rogiem kapy, którą przykryta była sofa, startł jej makijaż.

- Chryste Panie, toż to Julia Deere - stwierdził. - Pieprzę aktorkę. - Roześmiał się zachwycony. - Słuchaj, nie mam nic przeciwko temu, żebyś nasiusiała do mojego kapelusza.

Przez chwilę przebierał palcami w jej kroczu. Potem podniósł ją z kanapy.

- Nie bój się.

Pocałowawszy odwrócił ją tyłem i tak pchnął, że musiała się złapać rękoma oparcia

kanapy. Stała teraz z piersiami zwisającymi w dół, pośladkami zaś wypiętymi do góry.

- Obiecałeś, że mnie wypuścisz - przypomniała płacząco.

Ale Dante już całował jej pośladki, sondował palcami. Po chwili wszedł w nią tak brutalnie, że krzyknęła z bólu. Kiedy skończył, klepnął ją czule.

- Możesz się ubrać. Przepraszam, że nie dotrzymałem słowa. Ale nigdy bym sobie nie darował, gdybym przepuścił taką okazję i nie mógł opowiedzieć znajomym, że zerznąłem od tyłu samą Julię Deere.

Następnego ranka Crossa wcześniej obudził telefon z recepcji. Czekał go pracowity dzień. Należało wycofać rewersy Dantego z klatki kasyna i zatrzeć po nich wszelkie ślady. W tym celu musiał się dobrać do ksiąg markierów i poprzerać ich zapisy. Następnie trzeba było zająć się sprawą odzyskania rolls-royce'a. Giorgio tak wszystko załatwił, że Duży Tim oficjalnie stawał się jego właścicielem dopiero za miesiąc. Cwaniak z tego Giorgio.

Pracę przerwał mu telefon od Loretty. Była w hotelu i chciała się z nim pilnie zobaczyć. Pomyślał, że może chodzi o Claudię, polecił więc strażnikowi przyprowadzić ją do swego podniebnego apartamentu.

Loretta cmoknęła go na powitanie w oba policzki, a następnie zrelacjonowała przygodę Julii. Powiedziała, że facet przedstawił się jako Steve Sharpe i że przegrał sto paczek w kości. Zrobiło to na nich takie wrażenie, że wydelegowały Julię, by poszła z nim do łóżka. Przyjechały się tylko zrelaksować i trochę pograć. Teraz boją się, że ten facet wywoła skandal.

Cross pokiwał głową ze współczuciem. Co za kretyn z tego Dantego. Zrobić coś takiego przed akcją! I jeszcze rozdawał sztony, sukinsyn.

- Oczywiście, że znam tego gościa - powiedział spokojnie do Loretty. - Kim są te twoje przyjaciółki?

Loretta wiedziała, że z Crossem lepiej nie bawić się w kotka i myszkę. Podała mu nazwiska. Cross uśmiechnął się.

- Często to robicie?

- Czasami. Musimy się trochę zabawić - stwierdziła Loretta.

Cross spojrzał na nią z sympatią.

- Rozumiem - powiedział. - Ale twoja przyjaciółka poszła do niego. Rozebrała się. Chcecie go oskarżyć o gwałt? Co?

- Ależ nie - zaprzeczyła pospiesznie Loretta. - Chcemy tylko, żeby trzymał gębę na kłódkę. Jeśli opowie komuś tę historię, będziemy skompromitowane.

- Nie opowie - zapewnił ją Cross. - To śmieszny facet. Nie zadziera nosa. Ale

posłuchaj mojej rady: trzymajcie się od niego z daleka. A na przyszłość powinniście być jednak ostrożniejsze.

Loretta poczuła się dotknięta jego ostatnią uwagą. Postanowiły już, że będą kontynuować swe eskapady. Nie zrezygnują z nich z powodu jednej wpadki. Szczerze mówiąc, nie zdarzyło się nic strasznego.

- Skąd wiesz, że nie rozpowie?

Cross spojrział na nią poważnie.

- Poproszę go o to.

Po jej wyjściu Cross polecił, by ukrytą kamerę skierowano na panie płacące rachunek w recepcji. Przyjrzał się im uważnie. Teraz, kiedy wiedział, że są ucharakteryzowane, pomyślał, że to się rzuca w oczy. A głupi Dante nic nie zauważył.

Przed wyjazdem do Los Angeles Pippi przyszedł do Crossa na lunch. Cross opowiedział mu o wizycie Loretty. Pippi pokręcił głową z dezaprobatą.

- Gotów zepsuć całą operację, sukinsyn. I mimo mego zakazu nosi ten cholerny kapelusz.

- Podczas tej akcji zachowaj wielką ostrożność. Uważaj na Dantego - przestrzegł go Cross.

- Tak wszystko zaplanowałem, żeby nie dało się spieprzyć - zapewnił syna Pippi. - Już ja mu natrę uszu, jak wieczorem zjawi się w Los Angeles.

Cross powiedział mu, że według dokumentów przygotowanych przez Giorgia Duży Tim stawał się właścicielem rollsa dopiero za miesiąc. W ten sposób po jego śmierci hotel odzyska samochód.

- Cały Giorgio - stwierdził Pippi. - Don by pozwolił, żeby auto przeszło na własność jego dzieci.

Dwa dni później Duży Tim vel Cygan opuścił Vegas, zostawiając w hotelu „Xanadu” dług w wysokości sześćdziesięciu tysięcy dolarów. Późnym popołudniem wsiadł do samolotu do Los Angeles, tam udał się do swego biura, popracował kilka godzin, a następnie pojechał samochodem do Santa Monica na kolację ze swą byłą rodziną. Dzieciom dał wyjęte z różnych kieszeni zwitki banknotów pięciodolarowych wraz z pudełkiem ćwierćdolarówek. Żonie wręczył czek na zaległe alimenty. W przeciwnym razie nie miałby prawa do tej wizyty. Po pójściu dzieci do łóżek pozalecał się trochę do żony, która mu jednak nie uległa, co go specjalnie nie zmartwiło, jako że po Vegas nie miał wielkiej ochoty na seks. Wychodził jednak z założenia, że nigdy nie zaszkodzi spróbować.

Nazajutrz Duży Tim vel Cygan miał istne urwanie głowy. Zjawili się dwaj inspektorzy

z urzędu skarbowego i próbowali na nim wymusić zapłacenie części zaległego podatku. Powiedział, że skierował już sprawę do sądu i wyrzucił ich na zbity pysk. Potem musiał odwiedzić swój magazyn konserw oraz magazyn leków - jedne i drugie były przecenione, bo zbliżał się termin upływu ich ważności. Należało czym prędzej zmienić daty na opakowaniach. W południe spotkał się z wiceprezesem sieci supermarketów, który zgodził się przyjąć te towary do swych sklepów. Poszli razem na lunch, podczas którego Duży Tim wsunął wiceprezesowi kopertę z dziesięcioma tysiącami dolarów.

Po lunchu niespodziewaną wizytę złożyli mu funkcjonariusze FBI, którzy chcieli się dowiedzieć, co go łączy z pewnym kongresmanem, wobec którego toczyło się dochodzenie. Powiedział im, żeby się odpieprzyli.

Duży Tim vel Cygan nie znał uczucia strachu. Może sprawiała to jego słuszną posturą, a może brakowało mu piątej klepki. Nie znał strachu fizycznego i psychicznego. Lekceważył nie tylko ludzi, ale i prawa przyrody. Kiedy lekarze powiedzieli, że umrze, jeśli się będzie tak dalej obżerał, i doradzili dietę odchudzającą, Duży Tim zażądał wszczęcia bypassu żołądka, mimo że była to dość niebezpieczna operacja. Ale udała się. On zaś bezkarnie jadał dalej wszystko, na co mu tylko przyszła ochota.

W podobny sposób zbudował swe imperium finansowe. Zawierał kontrakty, których nie honorował, gdy okazywały się niezbyt intratne, wypinał się na współników i znajomych. Wytaczali mu procesy, ale zawsze musieli zgodzić się na mniej, niż chcieli. Jego życie było jednym pasmem sukcesów i pewnie dlatego zupełnie nie martwił się o przyszłość. Wierzył, że w końcu jego będzie na wierzchu. Doprowadzi do załamania jednostki korporacyjne, wygra animozje między ludźmi. Z kobietami postępował jeszcze bardziej perfidnie. Obiecywał im całe centra handlowe, apartamenty, butiki. Potem musiały się zadowolić jakąś błyskotką w prezencie gwiazdkowym, czekiem na urodziny. Znaczącymi sumami, ale nie tak wysokimi jak obiecane. Dużemu Timowi nie zależało na trwałych związkach. Chciał mieć tylko pewność, że w razie czego bez trudu znajdzie partnerkę do łóżka.

Uwielbiał oszustwa, urozmaicał sobie nimi życie. Pewnego bukmachera w Los Angeles naciął na futbolu na siedemdziesiąt paczek. Bukmacher przyłożył mu lufę do skroni, a Duży Tim powiedział: „Odwal się” i zaproponował dziesięć tysięcy na zgodę. Bukmacher wziął forszę.

Dzięki swemu szczęściu, końskiemu zdrowiu, okazałej sylwetce, brakowi skrupułów Duży Tim odnosił sukcesy we wszystkim, czego się tknął. Jego głębokie przeświadczenie, że każdy ma coś na sumieniu, nadawało mu aurę niewinności, która zjednywała mu nie tylko sympatię kobiet, ale również sędziów. Niewątpliwie miał pewien urok. Sprawiał wrażenie

szachraja, który pozwala zaglądać sobie w karty.

Nie dziwił go zatem sposób, w jaki Pippi De Lena umawiał się z nim na spotkanie. Ten facet był kombinatorem jak on sam. Duże obietnice, małe zyski.

Jeśli chodzi o Steve'a Sharpe'a, to Duży Tim wyczuwał świetną okazję, szwindel na dłuższą metę. Facet na jego oczach przegrał w ciągu jednego dnia przynajmniej pół miliona. To znaczy, że posiadał w kasynie ogromny kredyt, a skoro tak, to widać zarabiał mnóstwo brudnych pieniędzy. Wprost idealny do przekreślenia z superpucharem. Nie tylko dostarczy forsy na zakłady, ale jeszcze zmyli czujność bukmacherów. Wiadomo, że ci faceci nie przyjmowali zakładów od byle chłystka z ulicy.

Duży Tim się rozmarzył. Nareszcie dostanie Willę w Las Vegas. Kogo tam zawieźć? Potraktować rzecz jako interes czy czystą przyjemność? Zaprosić przyszłe ofiary swych matactw czy może wszystkie znajome kobiety? W końcu nadszedł czas kolacji z Pippim i Steve'em Sharpe'em. Zadzwoił do byłej żony i dzieci, zamienił z nimi kilka słów, po czym ruszył w drogę.

Kolację mieli zjeść w małej knajpce w okolicy doków. Nie było tam fagasa parkującego samochody, więc Duży Tim wjechał wprost na parking.

W drzwiach powitał go niski maître. Bez żadnych pytań zaprowadził go do stolika, przy którym czekał Pippi De Lena.

Przywitali się serdecznie.

- A gdzie Steve? - spytał Duży Tim. - Przygląda mi się z ukrycia? Nie mam czasu na takie zabawy.

Pippi włączył swój wdzięk. Klepnął Dużego Tima w ramię.

- A ja to co? Pies? - obruszył się. - Usiądź i jedz. Dają tu świetne ryby. Ze Steve'em się później spotkamy.

Maître podszedł przyjąć zamówienie.

- Proszę przynieść to, co macie najlepszego - polecił Pippi. - Po porcji wszystkiego. Ten pan lubi dobrze zjeść. Ostrzegam, że jeśli wstanie od stolika głodny, poskarżę się Vincentowi.

Maître uśmiechnął się wyniośle. Jedzenie, które tu podawano, było najwyższej jakości. Restauracja należała do Vincenta Clericuzia. Jeśli policja przyjdzie tu szukać śladów Dużego Tima, natrafi na ścianę milczenia.

Jedli po kolei małże, ślimaki, krewetki i homary - po trzy porcje dla Dużego Tima i jednej dla Pippiego. Pippi skończył dużo wcześniej od swego gościa.

- Steve jest moim znajomym. Teraz mogę ci powiedzieć, że robi w narkotykach. Jeśli

to cię przeraża, powiedz szczerze.

- Tak mnie to przeraża jak ten homar - stwierdził Duży Tim, machając Pippiemu przed oczyma ogromnym odnóżem z kleszczami, które właśnie skubał. - Coś jeszcze?

- Musi pracować brudne pieniądze - ciągnął Pippi. - Wasza transakcja powinna to uwzględnić.

Duży Tim jadł ze smakiem. Zapach oceanu mu drażnił nozdrza.

- Wiem o tym. Gdzie go wzięło, do jasnej cholery?

- Jest na jachcie - odparł Pippi. - Nie chce, żeby ktoś was razem zobaczył. To dla twego dobra. Steve jest szalenie ostrożny.

- Mnie to zwisa, czy ktoś nas razem zobaczy - rzekł Duży Tim. - Przede wszystkim ja chcę nas razem zobaczyć.

Wreszcie skończył. Na deser zamówił owoce i kawę espresso. Pippi zgrabnie obrał mu gruszkę. Tim zamówił jeszcze jedną kawę.

- Żeby przypadkiem nie usnął - wyjaśnił. - Ten trzeci homar prawie mnie załatwił.

Nie przyniesiono rachunku. Pippi położył na stoliku dwadzieścia dolarów napiwku, po czym ruszyli ku wyjściu. Maître oklaskami nagroził występ Tima przy stole.

Pippi zaprowadził Tima do małego wypożyczonego samochodu, do którego olbrzym z trudem się wcisnął.

- Chryste, nie stać cię na większy samochód? - zdenerwował się.

- Nie jedziemy daleko - uspokoił go Pippi.

Faktycznie. W pięć minut znaleźli się na przystani. Panowały tu straszne ciemności. Tylko na jachcie przycumowanym do pomostu paliły się światła.

Trap był spuszczonej. Pilnował go facet wzrostem dorównujący Timowi. Inny majaczył w głębi, na pokładzie. Pippi i Duży Tim wspięli się po trapie na pokład. Tam zobaczyli Dantego, który wyszedł im na spotkanie. Na głowie miał swój renesansowy toczek. Duży Tim chciał mu natychmiast go zrzucić, ale Dante się ze śmiechem uchylił.

Sprowadził ich pod pokład do kabiny urządzonej na jadalnię. Usiedli za stołem na wygodnych fotelach przyśrubowanych do podłogi.

Na stole stały butelki z alkoholem, kubek z lodem, taca z kieliszkami. Pippi nalał wszystkim brandy.

W tej samej chwili zawarczały silniki i jacht zaczął się kołysać.

- Dokąd jedziemy, psianoga? - zdziwił się Duży Tim.

- Trochę się przewietrzymy - odparł gładko Dante. - Na otwartym morzu będziemy mogli sobie wyjść na pokład.

Duży Tim był nieufny, z drugiej strony wierzył, że poradzi sobie w każdej sytuacji. Zadowolił się wyjaśnieniem Dantego.

Dante powiedział:

- O ile dobrze rozumiem, chcesz robić ze mną interesy, Tim.

- Nie, to ty chcesz robić interesy ze mną - odparł butnie Duży Tim. - Ja tu rządę. Ty za darmo wypierzesz sobie pieniądze. I jeszcze coś zarobisz. Na przedmieściach Fresno buduję centrum handlowe. Mogę odstąpić ci kawałek za pięć lub dziesięć milionów. Poza tym mam napiętych mnóstwo innych interesów.

- Brzmi obiecująco - stwierdził Pippi De Lena.

Duży Tim spojrzał na niego lodowato.

- A ty co się wciskasz? Już wcześniej miałem o to spytać.

- Pippi jest moim współnikiem - powiedział Dante. - Ściślej doradcą. Ja mam forszę, on łeb. - Zamilkł na chwilę, po czym dodał łagodnie: - Mówił mi o tobie dużo dobrego, Tim. Stąd w ogóle ta rozmowa.

Jacht płynął tak prędko, aż pobrzękiwały kieliszki na tacy. Duży Tim się zastanawiał, czy wprowadzić Steve'a w przekręt z superpucharem. Nos mu mówił, że powinien, a nos go nigdy nie zawodził. Rozsiadł się wygodnie. Popijał brandy i spoglądał na nich obu pytająco. To spojrzenie dobrze wyćwiczył. Spojrzenie człowieka, który zamierza się zwierzyć. Swemu najlepszemu przyjacielowi.

- Powiem wam coś, o czym nikt jeszcze nie wie - oznajmił. - Tylko najpierw zdecydujcie się, czy będziemy robić razem interesy. Kupujecie kawałek centrum handlowego?

- Tak, wchodzę w to - rzekł Dante. - Jutro nasi prawnicy omówią szczegóły. Mam zamiar zainwestować sporo szmalu.

Duży Tim wypił do dna brandy i wychylił się do przodu.

- Potrafię załatwić wyniki superpucharu. - Dramatycznym gestem dał znak Pippiemu, by dolał mu brandy. Ich baranie miny sprawiły mu sporą satysfakcję. - Myślicie, że się przechwalam, co?

Dante zdjął swój „kubek” i studiował go w zamyśleniu.

- Myślę, że chcesz mi naszczać w kapeluszu - powiedział z uśmiechem, jakby coś wspominał. - Nie ty pierwszy. Pippi dobrze się zna na tych sprawach. Pippi?

- To niemożliwe. Superpuchar będzie za osiem miesięcy i jeszcze nawet nie wiadomo, kto będzie grał.

- Pieprzę was - stwierdził Duży Tim. - Nie chcecie wejść w taki pewny interes, to nie.

Ale ja wam mówię, że potrafię to załatwić. Dobra, zostańmy przy sklepach. Zawróć łajbę, bo szkoda mojego cennego czasu na gadanie z wami.

- Zamiast się obrażać, powiedz, jak zamierzasz to zrobić.

Duży Tim łyknął brandy i powiedział z żalem:

- Nie mogę wam tego zdradzić. Ale mogę zagwarantować, że sprawa jest pewna. Postawcie dziesięć milionów i podzielimy się zyskiem. Jeśli się nie uda, oddam wam dziesięć milionów. Czy to wam odpowiada?

Dante i Pippi popatrzyli na siebie z rozbawieniem. Dante wysunął do przodu głowę - w swym renesansowym toczku przypominał do złudzenia wiewiórkę.

- Oddasz gotówkę? - spytał.

- Nie - odparł Duży Tim. - Ale zaproponuję ci następną transakcję i odliczę ci od niej dziesięć milionów.

- Potrafisz przekupić graczy? - spytał Dante.

- Nie da rady - zaproponował Pippi. - Za dużo zarabiają. Najwyżej organizatorów.

Duży Tim wpadł teraz w entuzjazm.

- Nie mogę wam nic powiedzieć, ale to pewniak. Zresztą mniejsza o pieniądze. Pomyślcie o chlubie. Będzie to największy przekręt w historii sportu.

- Tak, a nas zapuszczają - stwierdził Dante.

- Dlatego nie chcę wam nic powiedzieć, chłopaki - rzekł Duży Tim. - Jeśli kogoś zapuszczają, to tylko mnie. A ja mam doskonałych adwokatów i znajomości.

Pierwszy raz Dante wypadł z roli. Spytał Pippiego:

- Jak myślisz, jesteśmy wystarczająco daleko?

- Tak, ale porozmawiajmy jeszcze, to może nam powie.

- Mam go gdzieś - rzekł Dante z uśmiechem. - Słyszysz to, Tim? Chcę, żebyś zdradził nam, na czym ma polegać ten przekręt, ale już. - Powiedział to takim tonem, że Duży Tim zrobił się czerwony na twarzy.

- Ty mały kutasie - warknął. - Myślisz, że mnie nastraszysz? Myślisz, że jesteś twardszy od FBI, urzędu skarbowego i od największego przechery na Zachodnim Wybrzeżu? Ja ci nasram w ten kapelusz.

Dante odchylił się w swym fotelu i walnął pięścią w ścianę. Kilka sekund później otworzyły się drzwi i weszło dwóch rośliwych, groźnie wyglądających facetów. Na ich widok Duży Tim poderwał się i jednym ruchem ręki zmiotł wszystko ze stołu. Butelki z alkoholem, kubek z lodem, taca z kieliszkami wylądowały na podłodze, rozbijając się w drobny mak.

- Nie, Tim, posłuchaj mnie! - krzyknął Pippi. Chciał mu oszczędzić niepotrzebnych

cierpień. Poza tym wolał nie być zmuszony do strzelania, to nie było przewidziane w jego planie. Ale Duży Tim, gotów do walki, zdążył już doskoczyć do drzwi.

Wtedy Dante dał nura w jego ramiona, przywarł do jego ogromnego torsu. Kiedy od niego odstąpił, Duży Tim osunął się na kolana. Stanowił przerażający widok. Brakowało mu połowy koszuli, a tam, gdzie jeszcze przed chwilą miał owłosioną klatkę piersiową, ziała ogromna czerwona rana, z której bluzgała krew, zalewając połowę stołu.

Dante trzymał w dłoni nóż, aż po rękojeść umazany w szkarłatnej krwi.

- Posadźcie go na fotelu - polecił strażnikom. Wziął ze stołu obrus, by zatamować krwotok z piersi Dużego Tima. Duży Tim był w szoku.

Pippi powiedział:

- Nie musiałeś się tak spieszyć.

- To twardy facet - odparł Dante. - Zaraz się przekonamy, jak bardzo.

- Dopilnuję wszystkiego na górze - rzekł Pippi. Nie chciał patrzeć, jak Dante będzie torturował Dużego Tima. Sam nigdy nie torturował. Jego zdaniem, nic nie usprawiedliwiała takiego okrucieństwa. Przecież wystarczy zabić, żeby facet przestał być niebezpieczny.

Okazało się, że jego ludzie wszystko już zdążyli przygotować. Stalowa klatka z ruchomą kratą wisiała na haku. Pokład pokryto plastikową płachtą.

Balsamiczne powietrze pachniało solą. Nocą ocean był fioletowy i nieruchomy. Jacht zwolnił, a potem się zatrzymał.

Przez piętnaście minut Pippi wpatrywał się w wodę. Wreszcie ludzie z dołu przydzwigali zwłoki Dużego Tima. Widok był tak okropny, że Pippi odwrócił głowę.

Trupa włożono do klatki, którą zawieszono nad wodą. Jeden z ludzi unieruchomił drzwiczki na takiej wysokości, by mieszkańcy dna oceanu mogli się do niej wślizgiwać i ucztować. Następnie zaczep został zwolniony i klatka zniknęła pod wodą.

Zanim wzejdzie słońce, z Dużego Tima zostanie już tylko szkielet uwięziony po wsze czasy w klatce na dnie oceanu.

Na pokładzie zjawił się Dante. Widać musiał wziąć prysznic i zmienić ubranie. Włosy pod renesansowym toczkiem były gładko przylizane, mokre. Nigdzie śladu krwi.

- O, widzę, że urządziliście mu już „komunię” - stwierdził. - Mogliście na mnie poczekać.

- Powiedział coś? - spytał Pippi.

- Tak - rzekł Dante. - To miał być bardzo prosty przekręt, choć facet do końca uważał go za strasznie chytrą sztuczkę.

Nazajutrz Pippi poleciał na Wschód. Musiał zdać raport don Clericuziowi i Giorgiowi.

- Duży Tim miał fioła - powiedział. - Przekupił dostawcę jedzenia i napojów dla piłkarzy grających w superpucharze. Zamierzali podawać narkotyki drużynom, które powinny przegrać, żeby oni wygrali zakłady. Nawet gdyby kibice niczego nie zauważyli, trenerzy i zawodnicy łatwo by się połapali. Nie mówiąc o FBI. Miałaś rację, wuju, że skandal mógłby odsunąć w nieskończoność legalizację zakładów sportowych.

- Odbiło mu, czy co? - spytał Giorgio.

- Po prostu chciał być sławny - wyjaśnił Pippi. - Forsa mu już nie wystarczała.

- A co z ludźmi wtajemniczonymi w przekręt? - spytał don.

- Sądzę, że zniknięcie Cygana ich wystraszy - stwierdził Pippi.

- Też tak sądzą - zgodził się Giorgio.

- Doskonale - ucieszył się don. - A mój wnuk dobrze się zachowywał?

Zabrzmiało to jak pytanie retoryczne, lecz Pippi znał don Clericuzia wystarczająco, by wiedzieć, że pyta poważnie. Odpowiedź sformułował najostrożniej jak potrafił, ale jednocześnie tak, by przekazać wszystko, co chciał:

- Powiedziałem mu, żeby nie nosił kapelusza w Vegas i w Los Angeles, ale on zlekceważył mój zakaz. W czasie operacji nie trzymał się scenariusza. Mogliśmy zdobyć tę informację bez tortur, Dante jednak się lubuje w widoku krwi. Pokrajał faceta na kawałki. Odciał mu kutasa, jaja i brodawki. To naprawdę było zbyteczne. Cóż, kiedy on to lubi. Uważam, że stanowi przez to zagrożenie dla Rodziny. Ktoś powinien odbyć z nim poważną rozmowę.

- Twoja kolej, ojciec - odezwał się Giorgio. - Mnie on nie słucha.

Don Domenico milczał przez dłuższy czas.

- Dante jest młody, wyrośnie z tego - stwierdził w końcu.

Pippi zrozumiał, że don niczego nie zrobi. Wobec tego zdecydował się opowiedzieć im o „przygodzie” Dantego z aktorką w wigilię akcji. Słuchając go, don się wzdrygnął, a Giorgio skrzywił z obrzydzeniem. Zapadła grobowa cisza. Pippi przestraszył się, czy aby nie posunął się zbyt daleko.

W końcu don pokręcił głową i powiedział:

- Jak zwykle bardzo dobrze zaplanowałaś akcję, ale teraz już się uspokój, Pippi. Ostatni raz z nim pracowałaś. Musisz jednak zrozumieć, że Dante jest jedynym synem mojej córki. Obaj z Giorgiem chcemy dla niego jak najlepiej. On kiedyś zmańdzeje.

Cross De Lena siedział w swym dyrektorskim apartamencie na ostatnim piętrze hotelu „Xanadu” i rozważał potencjalne niebezpieczeństwa działań, które podejmował. Ze swego punktu widokowego widział cały pas Las Vegas, szereg luksusowych hoteli-kasyn po obu

stronach zatłoczonej ulicy. Widział graczy na polu golfowym hotelu „Xanadu”, sprawdzających, czy uda im się wbić piłkę do dołka za jednym rzutem. Z powodzenia na polu golfowym wróżyli, jak im pójdzie przy stołach.

Pierwsze niebezpieczeństwo: w sprawie z Bozem Skannetem zdecydował się na rozwiązanie ostateczne, nie konsultując sprawy z Rodziną Clericuzio. To prawda, że był administracyjnym baronem okręgu zachodniego, obejmującego Newadę i południową część Kalifornii. To prawda, że baronowie działali niezależnie w wielu rejonach i nie podlegali ściśle Rodzinie Clericuzio pod warunkiem, że zwilżali jej dziób procentami od swych zarobków. Ale istniały ścisłe zasady. Żaden baron, czy jak kto woli bruglione, nie miał prawa przeprowadzić akcji takiego kalibru bez uzyskania aprobaty Rodziny. Jeśli zrobił coś takiego, to nie mógł liczyć, że w razie kłopotów Clericuziowie będą interweniowali w sądzie czy u prokuratora. Że udzieli mu swego poparcia, gdy na jego terytorium pojawi się jakiś inny baron, że będą prac jego pieniądze i odkładać mu emeryturę. Cross wiedział, że powinien porozmawiać z Giorgiem i don Clericuziem.

Ale uzyskanie ich zgody mogło być trudne. Aby sfinansować film musiał zastawić część swego udziału w hotelu „Xanadu”, odziedziczonego po Gronevelcie. To prawda, że pieniądze te należały do niego, ale równocześnie były one niezbędne dla zaspokojenia żywotnych interesów Rodziny Clericuzio. Clericuziowie pomogli mu je zarobić. Mieli taką słabość, jakże ludzką, że czuli się właścicielami pieniędzy swych podwładnych. Na pewno nie pochwala, że zainwestował pieniądze bez naradzenia się z nimi. Ich słabość, choć nie miała legalnych podstaw, przypominała zwyczaj feudalne, kiedy to żaden baron nie mógł sprzedać swego zamku bez zgody króla.

Ważnym czynnikiem była wielkość wchodzącej w grę sumy. Cross odziedziczył pięćdziesiąt jeden punktów Gronevelta, „Xanadu” miał wartość miliarda dolarów. Wytwórni płacił pięćdziesiąt milionów, a drugie tyle zamierzał zainwestować. Ogromne ryzyko ekonomiczne. A Clericuziowie byli bardzo ostrożni i konserwatywni, zresztą inaczej nie przeżyliby w tym świecie.

Tu Cross przypomniał sobie taką sprawę: dawno temu, kiedy Rodzina Santadio i Rodzina Clericuzio były w dobrych stosunkach, interesował je przemysł filmowy. Potem się to skończyło. Po rozgromieniu Rodziny Santadio don Clericuzio kazał zaprzestać infiltracji przemysłu filmowego. „Ci ludzie są za sprytni - powiedział. - I niczego się nie boją, bo dużo zarabiają. Powinniśmy ich wszystkich wyprawić na tamten świat, ale bez nich byśmy sobie nie poradzi. Przemysł filmowy jest zdecydowanie bardziej skomplikowany niż narkotyki”.

Nie, pomyślał Cross. Jeśli się do nich zwróci o pozwolenie, spotka się z odmową. I co

wtedy? Lepiej odpokutować, jak już będzie po wszystkim. Pozwoli Rodzinie Clericuzio zanurzyć dziób w zyskach, sukces często rozgrzesza najbardziej zuchwałe grzechy. A jeśli powinie mu się noga, będzie skończony tak czy owak, z ich zgodą, czy bez. W tym miejscu rodziło się zasadnicze pytanie: Dlaczego to robił? Przypomniawszy sobie przestrożę Gronevelta: „Strzeż się nieszczęśliwych księżniczek”. W życiu spotkał już wiele nieszczęśliwych księżniczek i wszystkie zostawił smokom na pożarcie.

Nie mógł się oszukiwać. Był pod głębokim wrażeniem Atheny Aquitane. I to nie tylko jej urody, twarzy, oczu, włosów, nóg, piersi. Oczarowała go inteligencja tej kobiety i łagodność jej spojrzenia, zarys kości policzkowych, wykrój warg. Czuł, że gdyby mógł ją lepiej poznać, przebywać w jej pobliżu, świat nabrałby innej barwy, inaczej świeciłoby słońce. Przypomniawszy sobie ocean za jej plecami, zielone fale z białymi grzywaczami, które tworzyły wokół jej głowy jakby aureolę. I pomyślał: matka chciała być właśnie taką kobietą.

Zaskoczony tym odkryciem, poczuł wielką ochotę, żeby się zobaczyć z Atheną, porozmawiać z nią, posłuchać jej głosu, poprzyglądać się jej ruchom. A potem pomyślał: O cholera, więc dlatego to robię.

Ucieszył się, że w końcu odkrył prawdziwą przyczynę swego postępowania. Musi się dobrze skupić nad tym, co robi. W obecnej chwili najważniejsze było sprawne przeprowadzenie akcji. Nie myśl teraz o Athenie. Nie myśl o Clericuziach. Masz przed sobą trudną sprawę Boza Skanneta, sprawę, którą należy szybko załatwić.

Wiedział, że się zanadto obnażył. Kolejna trudność. Jeśli coś się przydarzy Bozowi Skannetowi, podejrzenie padnie na niego.

Ustalił, że do planowanej operacji będą mu niezbędne trzy osoby. Pierwszą był Andrew Pollard, właściciel Agencji Ochrony „Pacyfik”, który już i tak został wmieszany w tę sprawę. Drugą osobą był Lia Vazzi, stróż domku myśliwskiego Rodziny Clericuzio w górach Newady. Lia był stróżem i szefem ludzi, którzy oficjalnie pilnowali domu, a w razie potrzeby wykonywali specjalne zadania. Trzecim był Leonard Sossa, fałszerz banknotów na emeryturze, zatrudniany przez Rodzinę do różnych dziwnych zadań. Wszyscy trzej podlegali Crossowi De Lena jako zachodniemu bruglione.

Dwa dni później Cross De Lena zadzwonił do Andrew Pollarda.

- Słyszałem, że ciężko pracujesz. Może byś wpadł do Vegas na krótkie wakacje? Zakwaterowanie, jedzenie i napoje na koszt hotelu. Przyjedź z żoną. A jak cię znudzi gra, wpadnij do mnie na pogawędkę.

- Dzięki - odparł Pollard. - W tej chwili jestem bardzo zajęty. Może w przyszłym tygodniu?

- Dobra - zgodził się Cross. - Tylko, że się miniemy, bo wyjeżdżam.

- W tej sytuacji przyjadę jutro - przyrzekł Pollard.

- Świetnie - odparł Cross i odłożył słuchawkę.

Pollard odchylił się w swym fotelu i zamyślił głęboko. Takie zaproszenie było rozkazem. Przyjdzie mu chodzić po bardzo cienkiej linii.

Leonard Sossa cieszył się życiem tak, jak tylko potrafi cieszyć się życiem człowiek, któremu odroczone wyrok śmierci. Cieszyło go, że słońce wschodzi i że zachodzi. Cieszyło go, że trawa rośnie i że krowy ją żują. Cieszył go widok pięknych kobiet, pewnych siebie młodzieńców, rezolutnych dzieci. Cieszyła chrupiąca skórka na chlebie, szklanka wina, gomółka sera.

Dwanaście lat wcześniej został aresztowany przez FBI za produkowanie banknotów studolarowych dla nie istniejącej już Rodziny Santadio. Jego współnicy poszli na współpracę, sprzedali go i Sossa był pewien, że spędzi w więzieniu najlepsze lata swego życia. Falszowanie pieniędzy uchodzi za przestępstwo gorsze od gwałtu, morderstwa czy podpalenia. Podrabiając pieniądze, atakujesz sam rząd. Kiedy gwałcisz, mordujesz czy podpalasz, jesteś tylko rabusiem, który przywłaszcza sobie kawałek ścierwa ogromnej bestii - przeznaczonego na zatrącenie społeczeństwa. Nie liczył na litość i nikt mu jej nie okazał. Został zamknięty na dwadzieścia lat.

Odsiedział jednak tylko rok. Pewien więzień, będący pod wrażeniem jego wielkiej zręczności w posługiwaniu się atramentem, ołówkiem i piórem, zwerbował go do Rodziny Clericuzio.

Ni stąd, ni zowąd dostał nowego adwokata. Ni stąd, ni zowąd miał po drugiej stronie muru osobistego lekarza, którego wcześniej nigdy nie widział. Wystąpiono z wnioskiem o jego ułaskawienie, bo podobno zdziecinniał i nie stanowił już zagrożenia dla społeczeństwa. Ni stąd, ni zowąd Leonard Sossa znalazł się na wolności.

Rodzina Clericuzio potrzebowała pierwszorzędnego fałszerza. Nie banknotów - podrabianie pieniędzy w oczach władz uchodziło za niewybaczalną zbrodnię. Potrzebowali fałszerza do dużo ważniejszych rzeczy. Giorgio miał na głowie masę papierkowej roboty, musiał zręcznie żonglować krajowymi i międzynarodowymi korporacjami, wpłacać i podejmować ogromne kwoty pieniędzy. Do tego potrzebne były podpisy nieistniejących członków zarządu, parafki. Z czasem Leonard dostawał coraz więcej zadań.

Bardzo przydatne okazały się jego zdolności dla hotelu „Xanadu”. Umarł na przykład bogaty gracz i w klatce zostały jego rewersy. Sprowadzano wówczas Sosse, by podpisał rewersy na jeszcze jeden milion dolarów. Rzecz jasna, spadkobiercy nie spłacali tych długów.

Ale można było wliczyć je w poczet strat hotelu i odjąć od podatku. Zdarzało się to całkiem często, gdyż wśród ludzi oddających się hazardowi panowała nadumieralność. Tak samo postępowano z graczami, którzy nie spłacali długów lub spłacali tylko część.

Za te usługi Leonard Sossa otrzymywał sto tysięcy dolarów rocznie, ale zabroniono mu podejmowania się innych prac, zwłaszcza fałszowania pieniędzy. Taka była polityka Rodziny. Clericuziowie wydali zarządzenie, że członkom-wykonawcom Rodziny nie wolno się angażować w fałszerstwa i porwania. Przystępstwa te budziły szczególne zainteresowanie organów ścigania. Po co kusić los?

Zatem przez dwadzieścia lat Sossa mieszkał w domku w Topanga Canyon, nieopodal Malibu, i udawał artystę. Miał ogródek, kozę, kota i psa. W dzień malował, w nocy pił. W Topanga Canyon nie brakowało młodych, wolnych artystów obu płci.

Nie opuszczał swego domu poza wyjazdami na zakupy do Santa Monica i krótkimi podróżami, nazwijmy je, „służbowymi”, które odbywał dwa razy w miesiącu. Robił, co mu kazano i nie zadawał żadnych pytań. Był cennym żołnierzem Rodziny Clericuzio.

Kiedy więc tym razem przyjechał samochód i kierowca powiedział, żeby zabrał zapas ubrań na kilka dni oraz narzędzia, Sossa o nic nie pytając zamknął dom, a kozę, psa i kota wypuścił do kanionu. Jakoś sobie poradzą, nie są dziećmi. Nie to, żeby nie miał do nich serca, po prostu liczył się z tym, że zwierzęta krótko żyją, zwłaszcza tu, w kanionie, i że tak czy owak je straci. Rok spędzony w więzieniu nauczył go realizmu, a niespodziewane wyjście na wolność - optymizmu.

Lia Vazzi, dozorca domku myśliwskiego Rodziny Clericuzio w Sierra Nevada, przybył do Stanów Zjednoczonych, kiedy miał niespełna trzydzieści lat, a już był najbardziej poszukiwanym człowiekiem we Włoszech. Przez dziesięć lat, jakie minęły od tamtego czasu, nauczył się mówić po angielsku prawie bez obcego akcentu, a także czytać i pisać. Pochodził z bardzo wykształconej i ustosunkowanej rodziny na Sycylii.

Piętnaście lat wcześniej Lia Vazzi był przywódcą mafii w Palermo, doskonałym „fachowcem”. Ale posunął się za daleko.

Było to tak: rząd w Rzymie mianował nowego prokuratora do walki z sycylijską mafią, udzielając mu nadzwyczajnych pełnomocnictw. Prokurator przybył do Palermo z żoną i dziećmi pod ochroną oddziału wojska i hordy policji. Wygłosił płomienne przemówienie, w którym zapowiedział, że nie będzie miał litości dla bandytów, którzy od wieków terroryzują piękną Sycylię. Nadszedł czas, by zapanowało prawo i by o losie Sycylii zaczęli decydować obywatele wybrani w praworządnych wyborach, a nie jakieś typy spod ciemnej gwiazdy i ich haniebne tajne organizacje. Vazzi poczuł się osobiście urażony.

Strzeżony dwadzieścia cztery godziny na dobę prokurator przesłuchiwał ludzi i wydawał nakazy aresztowania. Sąd zamieniono w fortecę, a domu, w którym zamieszkał, pilnowało wojsko. Wydawało się, że facet jest nietykalny. Ale po trzech miesiącach Vazziememu udało się poznać jego grafik, który utrzymywano w ścisłej tajemnicy, by udaremnić ewentualny atak.

Prokurator nieustannie podróżował po Sycylii, zbierając zeznania obciążające mafię. Za bohaterskie wysiłki oczyszczenia wyspy z dopustu bożego, za jaki uważano mafię, przyznano mu medal, którego uroczyste wręczenie miało się odbyć w Palermo. Kiedy Lia Vazzi się o tym dowiedział, wraz ze swymi ludźmi zaminował mostek na trasie przejazdu. Prokurator i jego ochrona zostali rozerwani na tak drobne kawałeczki, że wyławiano ich z wody sitami. Rząd w Rzymie wpadł we wściekłość i odpowiedział masowymi aresztowaniami osób potencjalnie winnych śmierci prokuratora. W tej sytuacji Vazzi musiał zejść do podziemia. Rząd wprawdzie nie miał żadnych dowodów, że to jego sprawka, ale on wolał raczej umrzeć, niż wpaść w ich ręce.

Teraz tak: Rodzina Clericuzio wysyłała co roku na Sycylię Pippię De Lena w celu zrekrutowania mężczyzn chętnych do zamieszkania w Enklawie Bronxu i służenia Rodzinie. Don uważał, że ufać można tylko Sycylijczykom, którzy od stuleci żyją w tradycji omerta. Wychowane w Ameryce młode pokolenie Włochów było zniewieściałe, ogłupione życiem w dostatku, przez co zbyt łatwo dawało się łamać brutalnym prokuratorom.

Filozofia omerta była bardzo prosta: powiedzieć policji coś, co mogło zaszkodzić mafii - to grzech śmiertelny. Nie wolno ci powiedzieć policji, kto zabił twego ojca, nawet jeśli rywalizujący klan zrobił to na twoich oczach. Nie wolno ci powiedzieć policji, kto do ciebie strzelał, nawet jeśli umierasz. Nie wolno ci iść na policję, kiedy skradziono ci muła, kozę, kosztowności. Temu Belzebubowi, jakim były władze, prawdziwy Sycylijczyk w życiu by się nie poskarżył. Jego krzywdy pomszczą Rodzina i mafia.

Dziesięć lat wcześniej Pippi De Lena w ramach szkolenia zabrał na Sycylię syna. Bardziej niż na jego pomocy w rekrutacji zależało mu, by Cross przyjrzał się młodym Sycylijczykom, którzy marzyli o wyjeździe do Ameryki.

Udali się do położonego jakieś osiemdziesiąt kilometrów od Palermo miasteczka, będącego raczej wioską z racji kamiennych domów, przyozdobionych jaskrawymi kwiatami. Zostali przyjęci przez samego burmistrza.

Burmistrz był niskim mężczyzną o wydatnym brzuchu, „brzuchaczem” w dosłownym i przenośnym tego słowa znaczeniu, tak bowiem nazywano na Sycylii szefa mafii.

Miał przy domu miły ogród z figowcami, oliwkami i drzewami cytrynowymi, i tu

właśnie Pippi przesłuchiwał kandydatów. Pomijając kolorowe kwiaty i drzewka cytrynowe, miejsce to dziwnie przypominało ogród don Clericuzia w Quogue. Burmistrz był wyraźnie esteta, bo oprócz ogrodu miał urodziwą żonę oraz trzy prześliczne, młodociane - ale w pełni dojrzałe - córki.

Cross stwierdził, że jego ojciec na Sycylii jest zupełnie innym mężczyzną. Traktował te kobiety z powagą i respektem, nie smalił do nich cholewek, nie próbował ich oczarować. Wieczorem, kiedy znaleźli się w pokoju, który ze sobą dzielili, pouczył Crossa: „Na Sycylii musisz być bardzo ostrożny. Sycylijczycy nie lubią mężczyzn, którzy uganiają się za kobietami. Prześpij się z jedną z ich córek, a nie wyjedziesz stąd żywy”.

Przez kilka następnych dni Pippi prowadził rozmowy z chętnymi na wyjazd do Ameryki. Kryteriami był wiek i stan cywilny „poborowego”. Kandydat powinien mieć między dwadzieścia a trzydzieści pięć lat i co najwyżej jedno dziecko, jeśli był żonaty. Na końcu musiał go zatwierdzić burmistrz. Pippi uważał, że zbyt młodzi mężczyźni mogą się zanadto zamerykanizować, a za starzy będą mieli trudności z adaptacją. Jeżeli mają więcej dzieci, będą się bali ryzykować.

Niektórzy tak podpadli prawu, że musieli wyjechać z Sycylii. Inni chcieli za wszelką cenę znaleźć się w Ameryce. Jeszcze inni byli zbyt inteligentni, by zdać się na los, i bardzo chcieli zostać żołnierzami Rodziny Clericuzio. Ci się najlepiej nadawali.

W końcu tygodnia Pippi miał już swój kontyngent dwudziestu mężczyzn. Dał ich listę burmistrzowi, który obiecał załatwić im wyjazd z Włoch. Burmistrz skreślił jedno nazwisko.

- Wydawał mi się idealny - powiedział Pippi. - Czyżbym się pomylił?

- Ależ skąd - odparł burmistrz. - Jak zawsze dokonałeś właściwego wyboru.

Pippi był zaintrygowany. Wiadomo, że rekruci będą dobrze traktowani. Samotni mężczyźni dostaną mieszkania, a żonaci z dzieckiem domki. Otrzymają stałą pracę. Wszyscy zamieszkają w Enklawie Bronxu. Część z nich zostanie mianowana żołnierzami Rodziny Clericuzio, będzie dobrze zarabiać i mieć przed sobą świetlaną przyszłość. Widać ten, którego burmistrz wykreślił, śmierdzi. Ale jak mu się udało zakwalifikować do rozmowy wstępnej? Pippi wyczuł sycylijskiego szczura.

Burmistrz patrzył na niego, jakby czytał mu w myślach, i to, co czytał, dość mu się podobało.

- Trudno cię oszukać - powiedział. - Wykreśliłem nazwisko mężczyzny, który chce poślubić moją córkę. Dla jej szczęścia muszę go tu potrzymać jeszcze z rok, a potem go sobie zabierajcie. Ale chciał się wam zaprezentować i nie mogłem mu odmówić. Jest jeszcze inny powód, dla którego go skreśliłem. Otóż mam kogoś, kogo, moim zdaniem, powinniście wziąć

zamiast niego. Czy zgodzisz się z nim porozmawiać?

- Oczywiście - odparł Pippi.

- Nie chciałbym ci nic narzucać, ale to jest specjalny przypadek. Ten człowiek powinien natychmiast stąd zniknąć.

- Wiesz, że muszę być ostrożny - rzekł Pippi. - Clerycuziowie są bardzo wymagający.

- Będziecie mieli z niego wielką korzyść - rzekł burmistrz - ale sprawa jest trochę niebezpieczna. - Opowiedział Pippiemu historię Lii Vazziego. O zabójstwie prokuratora pisano na pierwszych stronach gazet, Pippi i Cross znali tę sprawę.

- Skoro policja nie ma dowodu, to czemu Vazzi musi stąd uciekać? - spytał Cross.

- To jest Sycylia, młodzieńcze - przypomniał burmistrz. - Policjanci są Sycylijszymi. Prokurator był Sycylijszym. Wszyscy wiedzą, że zginął z ręki Lii. Dowody nie są ważne. Jeśli wpadnie w ich ręce, zabiją go.

- A potrafisz załatwić mu wyjazd? - spytał Pippi.

- Tak - odparł burmistrz. - Problem polega na tym, żeby go ukryć w Ameryce.

- Czy on jest wart aż tylu kłopotów? - spytał Pippi.

Burmistrz wzruszył ramionami.

- Nie kryję, że to mój dobry znajomy. Ale zapomnijcie o tym. - Przerwał i uśmiechnął się dobrodusznie. Teraz miał pewność, że nie zapomną. - Jest także „fachowcem”. Doskonale zna się na materiałach wybuchowych, a to nie jest byle co. Zna się na wieszaniu, które jest starą i bardzo przydatną umiejętnością. O nożu i pistolecie już nawet nie wspominam. A najważniejsze, że jest bardzo inteligentny. I twardy. Jak skała. Nie mówi. Słucha i potrafi rozwiązywać języki. Powiedzcie, nie przyda się wam ktoś taki?

- O takiego się modliłem - rzekł Pippi gładko. - Ale ciągle nie rozumiem, dlaczego po prostu nie da nogi?

- Dlatego, że w dodatku do wszystkich swoich cnót jest rozważny - odparł burmistrz. - Nie chce kusić losu. Jego dni tutaj są policzone.

- I czy taki fachowiec - ciągnął Pippi - może być szczęśliwy jako zwykły żołnierz w Ameryce?

Burmistrz schylił głowę.

- Jest prawdziwym chrześcijaninem - odparł. - Chrystus nauczył nas pokory.

- Muszę go poznać - stwierdził Pippi. - Choćby tylko dla zaspokojenia ciekawości. Ale niczego nie gwarantuję.

Burmistrz zatoczył ręką szerokie koło.

- Oczywiście. Musi ci pasować - rzekł. - Jest jeszcze jedna rzecz, o której powinienes

wiedzieć. Prosił, żeby cię koniecznie o tym uprzedzić. - Pierwszy raz burmistrz stracił jakby pewność siebie. - On ma żonę i troje dzieci. Muszą wyjechać wraz z nim.

Pippi już wiedział, jaką da odpowiedź. Negatywną.

- Hm, takie buty. To sprawę bardzo komplikuje. Kiedy się będę mógł z nim zobaczyć?

- Będzie w ogrodzie po zmroku - powiedział burmistrz. - Dopilnuję, żeby nie spotkały was jakieś niespodzianki.

Lia Vazzi był małym mężczyzną, lecz o krzepkim wyglądzie, który, jak wielu Sycylijczyków, odziedziczył po arabskich przodkach. Miał przystojną twarz z jastrzębim nosem, cerę śniadą. Biła od niego wielka godność. Mówił trochę po angielsku.

Zasiedli przy stole w ogrodzie burmistrza przy butelce domowego czerwonego wina, misce oliwek z pobliskich drzew, chrupiącym, świeżo upieczonym, okrągłym i jeszcze ciepłym chlebem i nabitej ziarenkami pieprzu niczym czarnymi diamentami szynce. Lia Vazzi jadł, pił i milczał.

- Bardzo mi ciebie polecają - zaczął Pippi uprzejmie. - Ale ja mam wątpliwości, czy człowiek tak wykształcony zechce służyć u kogoś w Ameryce.

Lia spojrział na Crossa, potem na Pippiego.

- Ma pan syna - zauważył. - Czy nie zrobiłby pan wszystkiego, żeby go uratować? Ja muszę zapewnić bezpieczeństwo żonie i dzieciom. Będę dobrze wypełniał powierzone mi obowiązki.

- Sprowadzając cię, narazimy się na pewne ryzyko - rzekł Pippi. - Sam rozumiesz, że musimy się zastanowić, czy jesteś go wart.

Lia wzruszył ramionami.

- Tego nie potrafię gwarantować - powiedział zrezygnowanym tonem. Zrozumiał, że sprawa jest przesądzona.

- Byłoby łatwiej, gdybyś pojechał sam.

- To nie wchodzi w rachubę - odparł Vazzi. - Albo będziemy żyli razem, albo umrzemy razem. - Przerwał na chwilę. - Jeśli ich zostawię, Rzym zrobi wszystko, by obrzydzić im życie. To już wolę od razu oddać się w ręce policji.

- Problem polega na tym, że nie bardzo wiem, gdzie was ukryć - kontrargumentował Pippi.

- Myślałem, że Ameryka jest duża - rzekł Vazzi wzruszając ramionami. Podsunął miskę z oliwkami Crossowi. - A ciebie ojciec by zostawił? - spytał prawie ironicznie.

- Nie - odparł Cross. - Mój ojciec jest równie staroświecki jak ty. - Powiedział to z gorzkim uśmiechem. - Podobno jesteś również farmerem - zmienił temat.

- Oliwki - wyjaśnił lakonicznie Vazzi. - Mam własną tłocznię.

- Co myślisz, tato, o domku myśliwskim Rodziny w Sierra Nevada? - spytał Cross Pippięgo. - Mógłby się nim zająć i zarobić na utrzymanie. To na uboczu. Żona i dzieci by mu pomogły... Zgodziłbyś się mieszkać w lesie? - spytał Li.

Las oznaczał wszystko, co nie było miastem. Lia wzruszył ramionami. Był niedużym mężczyzną, ale miał w sobie coś ujmującego. Poczucie własnej wartości. Patrząc na niego, Pippi poczuł dreszcz - oto ktoś, kto nie boi się ani piekła, ani nieba.

- Tak, to dobry pomysł - rzekł Pippi. - Idealny kamuflaż. Dodatkowo możemy zatrudniać cię w akcjach, to sobie dorobisz. Zadania te będziesz podejmował na własne ryzyko.

Lia zrozumiał, że został wybrany i rozluźnił mięśnie twarzy.

- Dziękuję za uratowanie mojej żony i dzieci - powiedział drżącym głosem patrząc w oczy Crossowi De Lena.

Od tamtego czasu Lia Vazzi zdążył kilka razy odwdzińczyć się za okazaną mu wspaniałomyślność. Z żołnierza awansował na dowódcę wszystkich grup operacyjnych Crossa. Nadzorował sześciu facetów, którzy wraz z nim opiekowali się domkiem myśliwskim Clericuziów. Dobrze mu się powiodło, dostał obywatelstwo, dzieci studiowały na uniwersytetach. Wszystko to zawdzięczał swej odwadze, rozsądkowi, a nade wszystko lojalności. Kiedy więc otrzymał wiadomość, że ma jechać do Las Vegas, bez ociągania się wrzucił walizkę do nowego buicka i wyruszył w długą podróż.

Jako pierwszy zjawił się w Las Vegas Andrew Pollard. Przyleciał z Los Angeles nocnym samolotem. Kiedy już poleżał nad jednym z ogromnych basenów hotelu „Xanadu”, pograł kilka godzin w kości, zaprowadzono go dyskretnie do gabinetu Crossa De Lena przy jego podniebnym apartamencie.

Podali sobie ręce.

- Nie zatrzymam cię długo - oznajmił Cross. - Możesz wrócić do domu jeszcze dziś. Chcę tylko, żebyś mi powiedział wszystko, co wiesz o niejakim Skannecie.

Pollard opowiedział mu o całym zajściu i poinformował go, że Skannet zamieszkał w hotelu „Beverly Hills”. Powtórzył też swą rozmowę z Bantzem.

- Dla mnie jest jasne, że zależy im tylko na filmie, a Athenę mają kompletnie w dupie - podsumował. - Inna sprawa, że wytwórnie nigdy nie traktują poważnie prześladowców. Mam w firmie dwudziestojednoosobową brygadę specjalizującą się w dręczycielach. I nie dziwię się, że aktorki się boją takich typów.

- A co z policją? - spytał Cross. - Nie mogą interweniować?

- Nie - odparł Pollard. - Dopóki nie dojdzie do nieszczęścia.

- A ty? Masz przecież odpowiednio przeszkolonych ludzi.

- Muszę działać ostrożnie. Jeśli będę zbyt ostry, mogę stracić firmę. Wiesz, jacy są sędziowie. Po co nadstawiać karku?

- Ten cały Boz Skannet, co to za typ? - spytał Cross.

- Nieustraszony. Szczerze mówiąc, to on budzi strach. Ten facet się zupełnie nie liczy z konsekwencjami. Ma nadzianą rodzinę, więc myśli, że wszystko mu ujdzie na sucho. A poza tym on lubi mieć kłopoty, są tacy, sam wiesz. Jeśli chcesz się w to wmieszać, musisz iść na całego.

- Zawsze idę na całego - zapewnił Cross. - Czy ty go inwigilujesz?

- Jasne - odparł Pollard. - To facet, który w każdej chwili może wykręcić jakiś numer.

- Odwołaj swoich ludzi. Nie chcę, żeby ktokolwiek za nim chodził. Rozumiesz?

- Oczywiście. Jak każesz... - zgodził się Pollard i dodał po chwili milczenia: - Uważaj na Jima Loseya, bo on go też pilnuje. Znasz Loseya?

- Poznałem go. Chcę cię prosić jeszcze o jedną przysługę. Pożycz mi na kilka godzin swą legitymację służbową. Oddam ci ją tak, żebyś zdążył odlecieć o północy do Los Angeles.

Pollard się zaniepokoił.

- Wiesz, że zrobię dla ciebie wszystko, ale proszę cię, bądź ostrożny. Żyję tu sobie spokojnie i chciałbym, żeby tak zostało. Wiem, ile zawdzięczam Rodzinie Clericuzio, nigdy o tym nie zapominam, tym bardziej że zawsze zostaję godziwie wynagrodzony. Ale to jest bardzo delikatna sprawa.

Cross uśmiechnął się uspokajająco.

- Jesteś dla nas zbyt cenny. Jeszcze jedno. Jeśli Skannet zadzwoni do ciebie i spyta, czy ludzie, którzy się do niego zgłosili, są z twojej agencji, odpowiedz, że tak.

Pod Pollardem ugięły się nogi. Zanosilo się na duże kłopoty.

- Czy jeszcze coś możesz o nim powiedzieć? - naciskał Cross. Ponieważ Pollard się wahał, dodał: - Zrewanżuję ci się. Później.

- Skannet twierdzi, że zna jakąś tajemnicę Atheny i że ona zrobi wszystko, by ta sprawa nie wyszła na jaw - zdradził w końcu Pollard. - Podobno dlatego nie wniosła oskarżenia. Jakaś niesłychana tajemnica, Skannet się nią wprost upaja. Nie wiem, jak bardzo i dlaczego się w to angażujesz, Cross, ale może dobrze byłoby poznać tę tajemnicę.

Pierwszy raz Cross spojrzał na niego bez sympatii i Pollard zrozumiał, skąd się wzięła reputacja Crossa. Spojrzenie było zimne, taksujące, nie wróżące nic dobrego.

Cross powiedział:

- Doskonale wiesz, dlaczego się w to angażuję. Bantz na pewno ci powiedział. Wynajął cię, żebyś mnie sprawdził. Powiedz mi, czy znasz tajemnicę Atheny, czy zna ją wytwórnia?

- Nie - odparł Pollard - nikt nic nie wie. Cross, ja nie knuję przeciw tobie, chyba o tym wiesz.

- Wiem. Ułatwię ci zadanie. Wytwórnia umiera z ciekawości, w jaki sposób zamierzam skłonić Athenę do powrotu na plan. Powiem ci. Zamierzam jej oddać połowę moich dochodów z filmu. Możesz im to sprzedać. Zarobisz punkty, może nawet odpalą ci jakąś premię. - Sięgnął do biurka, wyjął skórzany worek i włożył go do ręki Pollarda. - Pięć tysięcy w czarnych sztonach - powiedział. - Obawiam się, że wzywam cię tu w interesach, a ty przegrywasz w kasynie swoją forszę.

Jego obawy były nieuzasadnione. Andrew Pollard zawsze odnosił sztony do klatki kasyna, by je wymienić na gotówkę.

Ledwo Leonard Sossa zdążył się trochę rozgościć w strzeżonym apartamencie służbowym w „Xanadu”, przyniesiono mu legitymację Pollarda. Sossa wyjął narzędzia i przystąpił do wykonania czterech legitymacji służbowych Agencji Ochrony „Pacyfik”, łącznie z plastikowymi okładkami. Kontroli Pollarda pewnie by nie przeszły, ale to nie było potrzebne - Pollard ich nigdy nie zobaczy. Po skończeniu roboty, kilka godzin później, Sosse odwieziono do posiadłości myśliwskiej w Sierra Nevada. Tam zaprowadzono go do bungalowu położonego głęboko w lesie.

Po południu obserwował kręcącego się nieopodal jelenia i niedźwiedzia. W nocy wyczyścił swe narzędzia i czekał. Nie wiedział ani gdzie jest, ani co będzie tu robić. I nie chciał tego wiedzieć. Dostawał rocznie sto paczek i czuł się wolny jak ptak. Dla zabicia czasu naszkicował niedźwiedzia i jelenia na stu kartkach papieru, a potem poskładał je razem tak, by wyglądało, że to jeleni goni niedźwiedzia.

Lia Vazzi został przywitany w zupełnie innym stylu. Cross go uściskał i zaprosił na kolację w swym apartamencie. Odkąd Vazzi przybył do Ameryki, Cross wielokrotnie był jego szefem. Vazzi, choć do pokornych nie należał, nigdy nie podważał jego autorytetu. Cross za to traktował go jak równego sobie.

Cross od lat jeździł na weekendy do domku myśliwskiego. Często razem polowali. Vazzi opowiadał mu o różnicy życia na Sycylii i w Ameryce. W rewanżu Cross zapraszał go z rodziną do Las Vegas, gdzie zapewniał im darmowe zakwaterowanie w „Xanadu”, jedzenie i napoje plus kredyt w kasynie w wysokości pięciu tysięcy dolarów, którego Vazzi nie musiał spłacać.

Przy kolacji rozmawiali po trochu o wszystkim i o niczym w szczególności. Vazzi niezmiennie zachwycał się życiem w Ameryce. Jego najstarszy syn kończył studia na Uniwersytecie Kalifornijskim i nie miał pojęcia, czym się zajmuje jego ojciec. Vazzi był tym zażenowany.

- Czasami myślę, że w ogóle nie jest do mnie podobny - zwierzył się. - Wierzy we wszystko, co mu mówią profesorowie. Wierzy, że kobiety i mężczyźni są równi, wierzy, że chłopom należy dać ziemię. Trenuje pływanie. Przez wszystkie lata spędzone na Sycylii, a Sycylia jest wyspą, nie widziałem, żeby jakiś Sycylijczyk pływał.

- Poza rybakami wyrzuconymi z łodzi - zażartował Cross.

- Nie. Ci toną od razu.

Po jedzeniu przystąpili do rozmów o interesach. Vazzi nie przepadał specjalnie za jedzeniem w Vegas, ale uwielbiał brandy i cygara. Co roku Cross posyłał mu na Boże Narodzenie skrzynkę brandy i pudełko cienkich cygar hawańskich.

- Mam dla ciebie skomplikowane zadanie - oznajmił Cross. - Coś, co musi być przeprowadzone bardzo inteligentnie.

- Z tym zawsze najtrudniej - stwierdził Vazzi.

- Akcja musi się odbyć w domku myśliwskim - ciągnął Cross. - Przywieziemy tam pewnego faceta. Chcę, żeby napisał kilka listów. Zależy mi na wyciągnięciu od niego pewnej informacji.

Przerwał i uśmiechnął się, bo Vazzi machnął lekceważąco ręką. Vazzi zawsze się irytował, kiedy w amerykańskich filmach bohater pozytywny lub negatywny nabierał wody w usta. „Ja bym go zmusił do mówienia nawet po chińsku”, twierdził.

- Trudność polega na tym, że gość nie może mieć żadnych śladów na ciele ani narkotyków we krwi. W dodatku jest cholernie uparty.

- Pocałunkami tylko kobiety potrafią zmusić mężczyznę do mówienia - rozmarzył się Vazzi, smakując cygaro. - Coś mi się zdaje, że zamierzasz wziąć w tym udział osobiście.

- Nie ma innego sposobu. Twój ludzie też mi będą potrzebni, ale kobiety i dzieci trzeba dokądś wysłać.

Vazzi pomachał cygarem.

- Pojadą do Disneylandu, tego raj, do którego ludzie udają się w szczęściu i w nieszczęściu. Zawsze je tam wysyłamy.

- Do Disneylandu? - zdziwił się Cross.

- Sam tam nigdy nie byłem. Może trafię tam po śmierci. Co to będzie, komunizm czy bierzmowanie?

- Bierzmowanie.

Przystąpili do omawiania spraw. Cross wyjaśnił, na czym ma polegać akcja i w jaki sposób należy ją przeprowadzić.

- Co o tym sądzisz? - spytał na końcu.

- Jesteś bardziej Sycylijczykiem niż mój syn, a przecież urodziłeś się w Ameryce - rzekł Vazzi. - Ale co będzie, jeśli gość tak się uprze, że nie wyciągniemy od niego tej informacji?

- Wina będzie po mojej stronie - stwierdził Cross. - I po jego. A wtedy obaj musimy zapłacić. Pod tym względem Ameryka nie różni się od Sycylii.

- To prawda - zgodził się Vazzi. - To samo zresztą dotyczy Chin, Rosji i Afryki. Jak don często mawia: „Wtedy nas wszystkich pochłoną fale oceanu”.

Rozdział dziewiąty

Eli Marrion, Bobby Bantz, Skippy Deere oraz Melo Stuart zebrali się w domu tego pierwszego dla odbycia narady wojennej. Andrew Pollard zdradził Bantzowi, na czym polega tajemniczy sposób Crossa sprowadzenia Atheny z powrotem na plan. Informację tę potwierdził Jim Losey, który jednak odmówił podania jej źródeł.

- To jest szantaż - stwierdził Bantz. - Melo, jesteś agentem Atheny, więc odpowiadasz za nią tak samo jak za wszystkich innych swoich klientów. Czy mamy rozumieć, że jeśli gwiazda w środku filmu odmawia pracy, to powinniśmy zaproponować jej połowę zysków?

- Jeśli was stać, to czemu nie - odparł Stuart. - Ale dobrze, niech ten De Lena jej zapłaci. Będzie tak robił, to nie utrzyma się długo w tej robocie.

Głos zabrał Marrion:

- Melo, ty mówisz o strategii długofalowej, a my o tym konkretnym przypadku. Jeśli Athena wróci do pracy, to wy oboje nie wypadniecie najładniej. Pozwolisz na to?

Wszystkich zamurowało. Marrion nigdy nie przechodził tak od razu do sedna sprawy. No, może w młodości. Stuart się poważnie zaniepokoił.

- Athena nic o tym nie wie - oświadczył. - Powiedziałyby mi.

- A gdyby wiedziała, toby przystała na taki układ? - spytał Deere.

- Doradziłbym jej, żeby przystała, a potem cichaczem podzieliła się swą połową zysków z wytwórną - odparł Stuart.

- Wtedy całe to gadanie o tym, że się boi, okazałoby się zwykłym blefem. Pieprzeniem, krótko mówiąc. A ty, Melo, też pieprzysz. Czy sądzisz, że wytwórnia zadowoliliby się połową tego, co Athena dostanie od De Leny? Prawnie należy nam się cała forsa. Athena z tym De Leną mogą się obłowić, ale to będzie koniec jej kariery filmowej. Nie

zatrudni już jej nigdy żadna wytwórnia.

- Poza zagranicznymi - zauważył Skippy. - Zagraniczne mogą zaryzykować.

Marrion podniósł słuchawkę i podał ją Stuartowi.

- To wszystko jest bezcelowe. Zadzwoń do Atheny, powiedz jej o ofercie Crossa De Lena i spytaj, czy ją przyjmie?

- W czasie weekendu Atheny nie było w domu - rzekł Deere.

- Wróciła - powiedział Stuart. - Często znika na weekend. - Nacisnął odpowiednie cyfry.

Rozmowa była krótka. Stuart odłożył słuchawkę.

- Athena powiedziała - rzekł z uśmiechem - że nie otrzymała takiej oferty. I że żadna oferta nie zmusi jej do powrotu na plan. Gwizdże na karierę. - Przerwał na moment, po czym dodał: - Wiecie? Chętnie bym poznał tego Skanneta. Facet, który potrafi zmusić kobietę do zrezygnowania z kariery, musi mieć w sobie coś niezwykłego.

- A więc załatwione - podsumował Marrion. - Wyjaśniliśmy tę sprawę. Szkoda. Athena jest wspaniałą aktorką.

Andrew Pollard wypełniał po kolei instrukcje Crossa. Po pierwsze, poinformował Bantza o zamiarach Crossa wobec Atheny. Po drugie, zaprzestał inwigilowania Skanneta. Po trzecie, złożył Bozowi Skannetowi wizytę.

Skannet przyjął Pollarda w swoim apartamencie w „Beverly Hills” w podkoszulku. Zalatywało od niego wodą kolońską.

- Właśnie skończyłem się golić - wyjaśnił. - W tym hotelu stawiają w łazience więcej perfum niż w burdelu.

- Nie wyjechał pan z miasta - zauważył Pollard z naganą w głosie.

Skannet klepnął go w plecy.

- Jutro wyjadę. Musiałem dopiąć kilka spraw. - Ani złośliwy błysk w oku, z jakim to powiedział, ani imponująca klatka piersiowa nie przerażały już Pollarda. Teraz, kiedy w sprawę zaangażował się Cross, było mu żal tego faceta. Mimo wszystko wolał mieć się na baczności.

- Athena nie jest zdziwiona tym, że pan został - stwierdził. - Wiedziała, że wytwórnia nie potrafi z panem rozmawiać. Dlatego chce się spotkać z panem osobiście. Ma nadzieję, że będąc sam na sam łatwiej dojdziecie do porozumienia.

Widząc radość na twarzy Skanneta, przyznał w duchu rację Crossowi. Ten facet nadal był zakochany; istniała zatem szansa, że nabierze się na ich sztuczkę.

Nagle Boz Skannet zrobił się nieufny.

- To nie jest w stylu Atheny. Unika mnie jak ognia, za co zresztą jej nie winię. -
Roześmiał się. - Potrzebna jest jej ta słiczna buźka.

- Athena ma dla pana poważną propozycję: dożywotnie procenty od jej zarobków, o ile to panu dogadza. Ale pragnie porozmawiać z panem osobiście i bez świadków. Zresztą chciałyby jeszcze czegoś od pana.

- Wiem, czego by chciała - stwierdził Skannet.

Jego lubieżna mina przypomniała Pollardowi nieszczerze skruszonych gwałcicieli.

- Siódma wieczorem. O siódmej przyjdzie tu dwóch ludzi i zawiozą pana na miejsce spotkania. Ci dwaj to ochrona panny Aquitane. Moi najlepsi ludzie, uzbrojeni. Radzę więc nie mieć żadnych głupich pomysłów.

Skannet uśmiechnął się.

- Może pan spać spokojnie - odparł.

- Jasne - rzekł Pollard i wyszedł.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Skannet strzelił palcami. Zobaczy się z Atheną w towarzystwie dwóch głupawych prywatnych detektywów. Będzie miał świadków, że to ona zaaranżowała to spotkanie. W ten sposób nikt mu nie zarzuci, że złamał nakaz sądowy.

Przez resztę dnia marzył o spotkaniu z Atheną. Co za niespodzianka. Im więcej o tym myślał, tym był pewniejszy, że Athena odda mu się, by go skłonić do zawarcia układu. Leżał na łóżku, wyobrażając sobie przebieg tego spotkania. Miał przed oczyma obraz ciała Atheny. Biała skóra, nieco zaokrąglony brzuch, piersi z różowymi brodawkami, rozświetlone zielone oczy, ciepłe, delikatne wargi, oddech, płomieniste włosy przywodzące na myśl słońce, gdy o zmierzchu nabiera barwy okopconego mosiądzu. Na chwilę ogarnęła go dawna miłość, podziw dla inteligencji Atheny i odwagi, którą potem złamał. Pierwszy raz, odkąd skończył szesnaście lat, onanizował się. Wyobrażał sobie teraz, że Athena zachęca go do pośpiechu. W końcu osiągnął orgazm. Przez krótki moment był szczęśliwy i kochał.

A potem wszystko się odwróciło o sto osiemdziesiąt stopni. Poczul się zawstydzony i upokorzony. Znowu nienawidził. Nagle przyszło mu do głowy, że to na pewno jakaś pułapka. Właściwie co wiedział o tym całym Pollardzie? Ubrał się pośpiesznie i przeczytał uważnie wizytówkę, którą tamten zostawił. Biuro Pollarda było oddalone od hotelu zaledwie dwadzieścia minut jazdy samochodem. Skannet wybiegł przed hotel i poczekał, aż lokaj przyprowadzi mu samochód.

Kiedy przekroczył próg budynku, w którym mieściła się Agencja Ochrony „Pacyfik”, zdziwił się wielkością wnętrza i jego eleganckim wystrojem. Podszedł do recepcjonistki i przedstawił cel swej wizyty. Uzbrojony strażnik zaprowadził go do gabinetu Pollarda. Na

ścianach wisiały dyplomy przyznane agencji przez Departament Policji w Los Angeles, Stowarzyszenie Pomocy Bezdomnym i inne organizacje, nie wyłączając skautów. Wisiała również jakaś nagroda filmowa.

Andrew Pollard spojrział na niego zdumiony i jakby nieco spłoszony.

- Chciałem tylko powiedzieć - uspokoił go Skannet - że na to spotkanie pojedę własnym samochodem, który sam poprowadzę. Pana ludzie mogą się ze mną zabrać i wskazywać mi drogę.

Pollard wzruszył ramionami. Mniejsza z tym. Zrobił, co mu kazano.

- Niech będzie. Ale dlaczego pan po prostu nie zadzwonił?

Skannet uśmiechnął się głupkowato.

- Byłem ciekaw, jak wygląda pana królestwo. Poza tym chcę zadzwonić do Atheny i sprawdzić, czy się nie rozmyśliła. Wołałbym jednak, żeby to pan ją poprosił do aparatu, bo jak usłyszy mój głos, rzuci słuchawkę.

- Proszę bardzo - rzekł uprzejmie Pollard.

Podniósł słuchawkę. Nie bardzo wiedział, co robić. W głębi duszy pragnął, żeby Skannet odwołał spotkanie, to wówczas on byłby zwolniony z dalszego udziału w tym, co zamierzał Cross, cokolwiek to było. Spodziewał się, że telefonu nie odbierze osobiście Athena.

Wykręcił numer i poprosił Athenę. Włączył głośnik, żeby Skannet mógł wszystko słyszeć. Sekretarka Atheny poinformowała, że panna Aquitane wyjechała i wróci dopiero jutro. Pollard odłożył słuchawkę i spojrział pytająco na Skanneta. Skannet sprawiał wrażenie zadowolonego.

I faktycznie był zadowolony. Zacierał w duchu ręce na myśl, że Athena mu się odda, licząc, że w ten sposób ubije z nim interes. Spędzą razem noc. Na wspomnienie o czasach, kiedy była młoda, kiedy go kochała, kiedy on ją kochał, krew nabiegła mu do głowy, aż pociemniał na twarzy.

Kiedy o siódmej wieczorem Lia Vazzi ze swym podkomendnym przyjechał do hotelu, Skannet już na nich czekał. Ubrany był schludnie, tak bardziej po chłopięcemu. Miał na sobie porządne dzinsy, spłowieła dzinsową koszulę, białą sportową marynarkę. Ogolił się starannie, jasne włosy zaczesał gładko do tyłu. Był blady, przez co wydawał się subtelniejszy. Lia Vazzi i jego człowiek okazali mu sfalszowane legitymacje Agencji Ochrony „Pacyfik”.

Nie zaimponowali mu. Dwóch konusów, jeden mówiący z akcentem, prawdopodobnie Meksykanin. Nie będzie z nimi kłopotu. Te prywatne agencje ochrony miały o sobie naprawdę wygórowane mniemanie - jak ci dwaj mieli obronić Athenę przed kimkolwiek?

Vazzi powiedział:

- Wiem, że pan chce jechać swoim samochodem. Wsiądę z panem, a kolega pojedzie naszym wozem. Czy panu to odpowiada?

- Może być - odparł Skannet.

Kiedy zjechali na dół i szli przez hall, drogę zastąpił im Jim Losey. Wypatrzył ich ze swego miejsca na kanapie przy kominku. Na wszelki wypadek śledził Skanneta. Pokazał im legitymację.

Skannet rzucił na nią okiem i spytał:

- Czego, do cholery, chcesz?

- Kim są ci ludzie? - spytał Losey.

- Nie twój zasrany interes - warknął Skannet.

Vazzi i jego towarzysz milczeli, podczas gdy detektyw taksował ich od stóp do głów.

- Chciałbym zamienić z panem dwa słowa na osobności - powiedział do Skanneta.

Skannet spróbował go odepchnąć, ale Losey złapał go za rękę. Obaj byli wysokimi mężczyznami. Skannet chętnie by się z nim zmierzył, ale w tej chwili miał co innego w głowie.

- Sprawa została umorzona - wycedził przez zęby. - Nie muszę z panem rozmawiać. Radzę ci, zabierz grabę, jeśli nie chcesz zbierać zębów z podłogi.

Losey cofnął rękę. Nie to, żeby się przestraszył, ale musiał coś przemyśleć. Nie znał tych dwóch. Co tu było grane? Ustąpił im drogi, ale poszedł za nimi do miejsca, gdzie przyprawiano gościom samochody. Skannet wsiadł do samochodu z Lią Vazzim, natomiast ten drugi facet ulotnił się jak kamfora, co oczywiście nie uszło uwagi Loseya. Popatrzył, czy z parkingu nie ruszy jakiś samochód. Nie ruszył.

Gonienie ich bądź zawiadomienie drogówki nie miało sensu. Zastanawiał się, czy nie poinformować o tym zajściu Skippy'ego Deere'a, ale zrezygnował. Jedno było pewne - jeśli Skannetowi znowu powinie się noga, będzie gorzko żałować swego dzisiejszego zachowania.

Długo jechali. Skannet marudził, zadawał mnóstwo pytań, groził, że zawróci. Vazziemu jakoś udało się odwieść go od tego zamiaru. Poinformował Skanneta, że spotkanie odbędzie się w domku myśliwskim Atheny w Sierra Nevada i że zostaną tam na noc. Athenie zależało na utrzymaniu tego spotkania w tajemnicy; liczyła, że potrafi załatwić sprawę tak, aby wszyscy byli zadowoleni. Skannet nic z tego nie rozumiał. Czyżby zapomniała o nienawiści, która narastała między nimi przez ostatnie dziesięć lat? Chyba nie była głupia i nie sądziła, że jedna noc spędzona razem i garść banknotów go zmiękcza? Miała go za kretyna? Kiedyś była inteligentna, ale może stała się zadufaną w sobie hollywoodzką

aktorką, która uważa, że za swe ciało i pieniądze kupi wszystko? - myślał, równocześnie mając przed oczyma jej piękną twarz. W końcu, po tylu latach, uśmiechnie się do niego, roztoczy przed nim swe wdzięki, odda mu się. Mniejsza o przeszłość, to stanie się tej nocy.

Lia Vazzi nie wystraszył się zapowiedzi Skanneta, że zawróci. Za nimi jechały trzy samochody z jego ludźmi i wiedział, co ma robić. W najgorszym razie go zabije. Ważne było tylko, żeby Skannet przed samą śmiercią nie doznał żadnych okaleczeń.

Wjechali przez otwartą bramę i ich oczom ukazał się budynek, który wielkością bardziej przypominał mały hotel niż domek myśliwski. Skannet wysiadł z samochodu i przeciągnął się. Pod ścianą budynku stało kilka samochodów, których widok nieco go zaskoczył.

Vazzi podszedł do drzwi i otworzył je. Przekraczając próg Skannet usłyszał za sobą warkot samochodów. Pomyślał, że to przyjechała Athena, odwrócił więc głowę. Zobaczył trzy samochody, z których wysiedli sami mężczyźni, po dwóch z każdego auta. Lia przeprowadził go przez hall do salonu z ogromnym kominkiem. Tam, na kanapie, siedział mężczyzna, którego zobaczył pierwszy raz w życiu. Był nim Cross De Lena.

Teraz wszystko potoczyło się szybko. Skannet warknął: „Gdzie Athena?”, na co dwóch facetów złapało go pod ręce, dwóch innych przystawiło mu pistolety do skroni, a pozornie niegroźny Lia Vazzi kopniakiem podciął mu nogi. Skannet upadł jak długi.

- Jeśli nie chcesz umrzeć, rób, co ci każemy. Nie walcz. Leż spokojnie - polecił Vazzi.

Jeszcze inny facet związał mu nogi, po czym postawiono go twarzą do Crossa. Skannet był zdziwiony swą bezsilnością, nawet gdy uwolniono mu ręce. Unieruchomienie stóp odebrało mu zupełnie siłę. Zamachnął się, żeby przynajmniej uderzyć tego małego skurwiela, ale Vazzi się uchylił, za to on o mało nie stracił równowagi.

Vazzi patrzył na niego z pogardą.

- Wiemy, żeś chojrak, ale teraz lepiej użyj głowy. Siła na nic ci się nie przyda...

Skannet wyglądał, jak gdyby posłuchał jego rady. Myślał, marszcząc czoło. Gdyby chcieli go zabić, już by to zrobili. Chcieli go do czegoś zmusić. W przyszłości będzie ostrożniejszy. Jednego był pewien - Athena nie brała udziału w tej operacji. Zignorował Vazziego, zwrócił się do człowieka na kanapie.

- Ktoś ty, do cholery? - spytał.

Cross odezwał się:

- Zrobisz, co ci każę, to puścimy cię do domu.

- A jeśli nie zrobię, to będziecie mnie torturować, co? - spytał ze śmiechem Skannet.

Zaczynał podejrzewać jakiś głupawy pomysł Hollywood, sztuczkę wytwórni.

- Wcale nie - zapewnił spokojnie Cross. - Żadnych tortur. Nikt cię palcem nie tknie. Usiądziesz teraz przy stole i napiszesz cztery listy. Jeden do LoddStone Studios, w którym obiecasz, że będziesz się trzymał z daleka od ich siedziby. Drugi do Atheny Aquitane, w którym przeprosisz za swe dotychczasowe zachowanie i przysięgniesz, że już nigdy w życiu się do niej nie zbliżysz. Trzeci do policji, w którym wyznasz, że kupiłeś kwas, którym zamierzałeś się posłużyć w następnym ataku na swą żonę, czwarty zaś do mnie, zdradzisz, co to za tajemnica, którą ją szantażujesz. I tyle.

Skannet skoczył w kierunku Crossa, ale jeden z mężczyzn tak go pchnął, że znalazł się na kanapie za swymi plecami.

- Nie ruszać go - rzekł ostro Cross.

Podpierając się rękoma Skannet wstał.

Cross wskazał na biurko, na którym leżał stos kartek.

- Gdzie jest Athena? - spytał Skannet.

- Tutaj jej nie ma - zapewnił Cross. - Proszę, żeby wszyscy poza Lią wyszli z pokoju - zwrócił się do swych ludzi, którzy natychmiast wykonali polecenie.

- Usiądź przy biurku - rzekł do Skanneta.

Skannet usiadł.

- Porozmawiajmy poważnie. Przestań się popisywać odwagą. Posłuchaj mnie i nie rób nic głupiego. Masz wolne ręce, więc pewnie przychodzą ci do głowy różne pomysły. Chcę tylko, żebyś napisał te listy, a puszcę cię wolno.

- Pieprzę cię - warknął Skannet.

Cross odwrócił się do Vazziego.

- Strata czasu - stwierdził. - Zabij go.

Powiedział to ze straszliwym spokojem. Skannet poczuł strach, którego nie pamiętał od dzieciństwa. Dopiero teraz uświadomił sobie znaczenie obecności tych wszystkich ludzi - zostali tu ściągnięci z jego powodu. Lia Vazzi na razie się nie ruszył.

- Dobra. Niech ci będzie. - Skannet sięgnął po kartkę i zaczął pisać.

Co nie znaczy, że dał za wygraną. Pisał lewą ręką. Tak jak niektórzy sportowcy potrafił się posługiwać obiema rękami niemal z taką samą zręcznością. Cross stał za nim i obserwował. Upokorzony swym tchórzostwem Skannet wbił stopy w podłogę. W pewnej chwili przełożył długopis do prawej ręki i skoczył na Crossa, licząc, że uda mu się wykluć skurwielowi oko. Zaangażował w tę akcję całą swą zręczność, zrobił duży zamach, obrócił się całym ciałem, wszystko jednak na nic, gdyż Cross zdążył się uchylić. Skannet mimo skrepowanych nóg nie dawał za wygraną, ponownie spróbował go dosięgnąć.

Cross spojrział na niego smutno:

- Każdy ma prawo raz spróbować. Spróbowałeś. Teraz odłóż długopis i podaj mi kartki.

Skannet wykonał jego polecenie. Cross przeczytał listy.

- Nie zdradziłeś mi tajemnicy Atheny - stwierdził.

- Nie napiszę tego - sprzeciwił się Skannet. - Każ mu wyjść - tu wskazał na Vazziego - to ci powiem na ucho.

Cross wręczył kartki Lii.

- Zajmij się tym.

Vazzi wyszedł z pokoju.

- No dobra - odezwał się Cross do Skanneta - zdradz mi tę tajemnicę.

Zostawiwszy ich samych, Vazzi przebiegł sto metrów do bungalowu, który zajmował Leonard Sossa. Sossa już na niego czekał. Przebiegł wzrokiem podane mu kartki i skrzywił się.

- Napisane lewą ręką. Cross wie, że nie podrabiam mańkutów.

- Przypatrz się temu uważnie - powiedział Vazzi. - Moim zdaniem, ten facet nie jest mańkutom. Kiedy chciał dźgnąć Crossa, przełożył długopis do prawej ręki.

Sossa jeszcze raz obadał kartki.

- Taa... To faktycznie nie jest mańkut. Oszukał was.

Vazzi wziął kartki i wrócił do domku myśliwskiego. Wszedł do biblioteki. Po minie Crossa poznał, że stało się coś nieprzewidzianego. Cross był zamyślony, a Skannet leżał na kanapie z nogami na bocznym oparciu i uśmiechał się zadowolony do sufitu.

- Te listy się nie nadają - oświadczył Vazzi. - Napisał je lewą ręką, a analityk twierdzi, że prawdziwi mańkuci piszą inaczej.

Cross powiedział do Skanneta:

- Widzę, że nie ma rady. Skoro nie potrafisz cię zmusić, żebyś zrobił to, na czym mi zależy, rezygnuję.

Skannet wstał z kanapy i wykrzyknął ze złością:

- Powiedziałem ci prawdę! Wszyscy się w niej zakochują, ale tylko ja ją znam.

- Nie znasz jej - odparł cicho Cross. - I nie znasz mnie. - Podszedł do drzwi i kiwnął ręką. Do pokoju weszło czterech drabów. Teraz Cross zwrócił się do Lii: - Wiesz, czego od niego chcę. Jeśli będzie się dalej stawiał, pozbądź się go. - Wyszedł z pokoju.

Lia Vazzi odetchnął z ulgą. Podziwiał Crossa, chętnie wykonywał jego rozkazy, ale uważał, że jest zbyt cierpliwy. Na Sycylii też wykazywano wielką cierpliwość, wiedziano

jednak, kiedy przestać. Vazzi przewidywał, że ta amerykańska słabość uniemożliwi Crossowi dojście na szczyt.

- Nasza kolej - zwrócił się słodko do Skanneta. A do drabów: - Skrępujcie mu ręce, ale delikatnie. Nie zróbcie mu krzywdy.

Przyskoczyli do Skanneta. Jeden wyjął kajdanki i po chwili Skannet był całkowicie bezradny. Vazzi zmusił go do ukłęknięcia, tamci przytrzymali go w tej pozycji.

- Komedia skończona - rzekł Vazzi. Rozluźnił się, mówił tonem towarzyskiej rozmowy. - Nabazgrzesz te listy prawą ręką. Albo nie nabazgrzesz wcale. - Na te słowa jeden z mężczyzn wyjął duży rewolwer, pudełko naboju i podał je Lii. On naładował rewolwer, pokazując każdy nabój Skannetowi. Podszedł do okna i wystrzelił wszystkie w kierunku lasu. Potem wrócił do Skanneta i włożył do rewolweru jeden nabój. Pokręcił bębenkiem, a następnie podstawił lufę Skannetowi pod nos.

- Nie wiem, w której komorze jest kula. Ty też nie wiesz. Jeśli odmówisz napisania tych listów, pociągnę za cyngiel. No więc jak?

Skannet spojrzał mu w oczy i nie odpowiedział. Lia pociągnął za spust. Rozległ się pusty trzask. Lia pokiwał głową z aprobatą.

- Trzymałem za ciebie kciuki.

Zajrzał w bębenek i włożył nabój do pierwszej komory. Podszedł do okna i wystrzelił. Eksplozja była taka, że w pokoju się zatrzęsło. Lia wrócił do stołu, wyjął z pudełka kolejny nabój, włożył go do pistoletu, zakręcił bębenkiem.

- Spróbujemy jeszcze raz - oznajmił. Podstawił rewolwer Skannetowi pod brodę. Tym razem Skannet się załamał.

- Zawołaj swego szefa. Mam mu do opowiedzenia jeszcze kilka rzeczy.

- Nie zawołam - odparł Lia. - Dość tych błazeństw. Powiedz lepiej, napiszesz te listy czy nie?

Skannet spojrzał w oczy Lii i wyczytał w nich nie groźbę, lecz smutek i żal.

- Dobra. Napiszę.

Natychmiast dźwignięto go do góry i usadzono przy biurku. Vazzi siadł na kanapie. Kiedy Skannet skończył, Vazzi wziął listy i zaniósł je Sossie.

- A na te co powiesz? - spytał.

- Te mogą być - odparł Sossa.

Vazzi wrócił do domku myśliwskiego i zdał relację Crossowi. Potem wszedł do biblioteki i oznajmił:

- To by było wszystko. Niebawem odwiozę cię do Los Angeles.

Odprowadził Crossa do samochodu.

- Wiesz, co masz robić - powiedział Cross. - Ale poczekaj do rana, żebyś zdążył dojechać do Vegas.

- Bądź spokojny - odparł Vazzi. - Myślałem, że już nigdy tego nie napisze. Co za zwierzę. - Zauważył, że Cross jest roztargniony. - Co on ci powiedział po moim wyjściu? - spytał. - Coś, o czym powinienem wiedzieć?

Cross odpowiedział z zawziętością, o którą Vazzi by go nie podejrzewał:

- Powinienem być skorzystać z okazji i zabić go od razu. Że też zawsze muszę być tak cholernie rozsądny.

- Cóż... I tak już po wszystkim - odparł Vazzi.

Patrzył, jak Cross przejeżdża przez bramę. Nagle zateśnił za Sycylią, co przez te dziesięć lat zdarzyło mu się zaledwie kilka razy. Żaden Sycylijczyk nie przejąłby się tajemnicą kobiety. I na Sycylii z nikim by się tak nie cackano. Tego Skanneta już dawno powinny pochłonąć fale oceanu.

O brzasku do domku myśliwskiego podjechała zamknięta furgonetka.

Lia Vazzi wziął od Leonarda Sossy sfalszowany list pożegnalny Skanneta i odprowadził go do samochodu, którym Sossa miał wrócić do Topanga Canyon. Potem sprzątnął bungalow, spalił napisane przez Skanneta listy, zatarł wszelkie ślady obecności Sossy. Leonard Sossa podczas swego pobytu nie widział ani Crossa, ani Skanneta.

Następnie Lia Vazzi przygotował Boza Skanneta do egzekucji.

W operacji brało udział sześciu ludzi. Zawiązali Skannetowi oczy, zakneblowali usta i wsadzili go do furgonetki. Wraz z nim wsiadło do niej dwóch ludzi. Skannet był całkowicie bezradny, miał skrupowane nogi i ręce. Trzeci mężczyzna prowadził furgonetkę, czwarty, uzbrojony w strzelbę go ochraniał. Piąty prowadził samochód Skanneta. Lia Vazzi i szósty mężczyzna jechali w samochodzie kempingowym, otwierającym karawanę.

Lia Vazzi patrzył, jak słońce powoli wyłania się zza gór. Samochód kempingowy przejechał prawie sto kilometrów, po czym skręcił w leśną drogę.

Po pewnym czasie się zatrzymali. Vazzi poinstruował, w jaki sposób powinien stać samochód Skanneta. Następnie wyprowadził więźnia z furgonetki. Skannet nie stawiał oporu, widać pogodził się z losem. Wreszcie zrozumiał, pomyślał Vazzi.

Vazzi wyjął z samochodu linę. Starannie odmierzył jej długość, po czym przywiązał ją do grubej gałęzi pobliskiego drzewa. Dwóch ludzi trzymało Skanneta w pozycji pionowej, żeby Vazzi mógł założyć mu pętlę na szyję. Vazzi wyjął dwa pożegnalne listy sfalszowane przez Leonarda Sossę i włożył je do kieszeni marynarki Skanneta.

We trzech wsadzili Skanneta na dach furgonetki, po czym Lia Vazzi dał sygnał kierowcy. Furgonetka wyrwała do przodu, Skannet zaś ześliznął się z dachu i zadyndał w powietrzu. Wszyscy usłyszeli trzask pękających kręgów. Vazzi sprawdził zwłoki, po czym zdjął kajdanki z rąk i nóg nieboszczyka. Inni usunęli przepaskę i knebel. Zgodzili się, że te drobne zadrapania wokół warg po kilku dniach wiszenia zwłok nie będą widoczne. Vazzi sprawdził nadgarstki i kostki u nóg, czy nie ma na nich śladów kajdanków. Były, ale też bardzo nikłe. Trudno będzie na ich podstawie wyciągnąć jakieś wnioski. Vazzi był zadowolony. Zrobili wszystko tak, jak polecił Cross.

Zwłoki Skanneta odnalazł dwa dni później powiadomiony przez anonimową osobę szeryf powiatu. Musiał odgonić brunatnego niedźwiedzia, który je potraçał łapą. Przybyły potem koroner i jego asystenci stwierdzili, że skóra nieboszczyka zaczęła już gnąć i zagnieździły się w niej robaki.

KSIĘGA SZÓSTA

Hollywoodzka śmierć

Rozdział dziesiąty

Dziesięć gołych damskich pup podniosło się jednocześnie ku mrugającemu oku kamery. Mimo że film był nadal zatrzymany, Dita Tommey zarządziła zdjęcia próbne pup, które ewentualnie mogłyby się nadać do zdublowania pupy Atheny Aquitane.

Albowiem Athena stanowczo odmówiła występowania nago, innymi słowy, nie zgodziła się obnażyć przed kamerą biustu i pośladków - niespotykana skromność u gwiazdy, ale nie fatalna. Po prostu podstawi się piersi i pupę jednej z aktorek, które Dita właśnie „przesłuchiwała”.

Oczywiście kandydatki próbowały również sceny z dialogiem, gdyż Dita nie chciała, żeby poczuły się upokorzone, grając samą pornografię. Ale chodziło tylko o ich udział w kulminacyjnej scenie erotycznej, w której będą baraszkować w łóżku i wystawiać do kamery gołe pośladki. Te przewracanki i wygibasy choreograf scen erotycznych ustalał właśnie ze Steve'em Stallingsem.

Wraz z Ditą egzamin obserwowali Bobby Bantz i Skippy Deere. Poza nimi na planie znajdowali się wyłącznie członkowie ekipy. Deere Dicie nie przeszkadzał, ale czego, do diabła, szukał tutaj Bobby Bantz? Przez chwilę nawet korciło ją, żeby go wyprosić, ale pomyślała, że jeśli Messalina padnie, to ona znajdzie się w niepewnej sytuacji. Lepiej z nim nie zadzierać.

- Czego właściwie szukamy? - spytał Bantz.

- Najładniejszych pośladków na świecie. Oraz dobrze umięśnionych. Mają się schodzić, żebyśmy nie widzieli dziurki - odparł wesoło choreograf scen erotycznych, młody mężczyzna o nazwisku Willis, który był także szefem Grupy Baletowej Los Angeles.

- Rozumiem - rzekł Bantz. - Sflaczałe pośladki są bez szans.

- A jakie muszą być cycki? - zainteresował się Deere.

- Jędrne - odparł choreograf.

- Cycki zaplanowałam na jutro - powiedziała Tommey. - Nie istnieje kobieta, która miałaby równocześnie idealną pupę i idealne cycki, no, może z wyjątkiem Atheny, ale ona nie chce ich pokazać.

- Co najwyżej tobie - zauważył z filuternym uśmiechem Bantz.

- Bobby, jeśli będziemy szukać idealnego dupka, to zwrócimy się do ciebie - powiedziała Tommey, zapominając o swej niepewnej sytuacji. - To, że Athena nie chce iść z

tobą do łóżka, nie oznacza wcale, że jest lesbijką.

- Dobrze, już dobrze - rzekł pojednawczo Bantz. - Lece, bo muszę trochę podzwonić.

- Ja też - zawtórował mu Deere.

- Czy aby na pewno podzwonić? - spytała z przekąsem Tommey.

- Zlituj się, Dito - jęknął Deere. - Jakie my z Bobbym mamy rozrywki? Na grę w golfa jesteśmy zbyt zajęci. Filmy oglądamy z zawodowego obowiązku. Na chodzenie do teatru lub opery nie mamy głowy. Trochę czasu musimy poświęcić naszym rodzinom. Dla siebie udaje nam się wygospodarować najwyżej godzinę dziennie. A co można zrobić przez godzinę? Popieprzyć. To najkrótszy aktywny odpoczynek.

- Spójrz, Skippy, na tę - rzekł Bantz. - W życiu takiej nie widziałem.

Deere pokręcił głową w niemym zachwycie.

- Bobby ma rację - zgodził się. - Trafiona w dziesiątkę. Zaangażuj ją, Dito.

Tommey wytrzeszczyła na niego oczy.

- Ale z was kretyni. Toż to Murzynka.

- Zaangażuj ją tak czy owak - powiedział rozentuzjasmowany Deere.

- Taa... - mruknął w zamyśleniu Bantz. - Może grać etiopską niewolnicę Messaliny.

Swoją drogą, jak ona tu trafiła?

Dita Tommey patrzyła na nich z zainteresowaniem. Oto stało przed nią dwóch największych wyjadaczy w przemyśle filmowym, do których dzwoniły codziennie setki ludzi, a zachowywali się jak młodzi chłopcy marzący o pierwszym orgazmie.

- Przecież dając ogłoszenie o naborze do filmu, nie możemy napisać, że reflektujemy wyłącznie na białe pupy - tłumaczyła cierpliwie.

- Chcę ją poznać - stwierdził Bantz.

- Ja też - zawtórował mu Deere.

Rozmowę przerwało im wejście Mela Stuarta. Uśmiechał się triumfująco.

- Możecie znowu przystąpić do kręcenia - oznajmił. - Athena wkrótce wróci na plan, gdyż Boz Skannet się powiesił. Mamy go z głowy.

Co powiedziawszy, zaklaskał bezgłośnie, tak jak klaszcze ekipa, kiedy jakiś aktor, odegrawszy swą rolę, kończy pracę w filmie. Skippy i Bobby przyłączyli się. Dita Tommey patrzyła na nich z odrazą.

- Eli was wzywa - rzekł Melo. - Ciebie nie, Dito. - Uśmiechnął się przepraszająco. - To narada na temat finansów, nie strony artystycznej filmu.

Kiedy mężczyźni opuścili studio, Dita Tommey zaprosiła do swej przyczepy dziewczynę, która tak im się spodobała. Była cudna, przy tym czarna jak heban.

Impertynencja w jej zachowaniu była, zdaniem Dity, naturalna, nie udawana.

- Daję ci rolę etiopskiej niewolnicy cesarzowej Messaliny - oznajmiła Dita. - Wygłosisz jedną linijkę dialogu, twoja rola właściwie sprowadzi się do pokazywania pupy. Szukamy dublerki dla panny Aquitane i gdybyś nie była czarna, miałabyś największe szanse.

- Obdarzyła dziewczynę przyjaznym uśmiechem. - Nazwiemy cię Falene Fant.

- Niech będzie - zgodziła się dziewczyna. - Dziękuję. Za komplementy i za robotę.

- Jeszcze jedno - powiedziała Dita. - Nasz producent, Skippy Deere, uważa, że masz najpiękniejszą pupę na świecie. Tego samego zdania jest pan Bantz, prezes i dyrektor produkcji wytwórni. Z pewnością zechcą ci to sami powiedzieć.

Falene Fant uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- A co pani sądzi? - spytała.

Dita Tommey wzruszyła ramionami.

- Nie szaleję za pupami tak jak mężczyźni. Ale uważam, że masz wdzięk i jesteś dobrą aktorką. Na tyle dobrą, że mogłabyś wygłosić więcej niż jedną linijkę tekstu. Wpadnij do mnie wieczorem, to pogadamy o twojej karierze. Zjemy razem kolację.

Reżyserka i aktorka najpierw spędziły dwie godziny w łóżku, potem Dita przygotowała posiłek i zasiadły do stołu omówić przyszłość Falene.

- Wiesz, fajnie nam było - zaczęła Dita - ale od tej chwili bądźmy wyłącznie przyjaciółkami i nie mówmy nikomu o tym, co między nami zaszło.

- Dobra - zgodziła się Falene - ale i tak wszyscy wiedzą, że jesteś lesbą. Chodzi ci o to, że mam czarny tyłek? - spytała z uśmiechem.

Dita nie obruszyła się na „lesbę”. Wiedziała, że Falene mści się za to, że - jak jej się zdawało - została odrzucona.

- Nieważne, biały, czarny, zielony czy żółty - powiedziała. - Rzecz w tym, że masz prawdziwy talent. Jeśli będę cię obsadzać w moich filmach, nikt go nie doceni. Poza tym kręcę jeden film na dwa lata, a ty powinnaś dużo pracować. Jak wiadomo, reżyserami są przeważnie mężczyźni. Kiedy dają rolę początkującej aktorce, liczą, że pójda z nią do łóżka. Jak się rozejdzie, że jesteś lesbą, przepadaś.

- Kto się będzie przejmował reżyserem, jeśli ma za sobą producenta i szefa wytwórni? - spytała Falene wesoło.

- Ty - odparła Dita. - Ci dwaj wepchną cię do filmu, ale reżyser, jeśli zechce, wytnie cię i zostawi na podłodze montażowni. Albo zrobi ci takie ujęcia, że pożał się Boże.

Falene pokiwała smutno głową.

- Muszę iść do łóżka z Bobbym Bantzem i Skippym Deerem, choć byłam już z tobą.

Czy to naprawdę konieczne? - spytała otwierając oczy szeroko, niewinnie.

Dita poczuła do niej ogromną sympatię. Oto dziewczyna, która nie udawała świętej.

- Było mi dziś bardzo dobrze. Uderzyłaś we właściwą strunę.

- Szczerze mówiąc, nigdy nie rozumiałam, czemu ludzie robią tyle hałasu z powodu seksu - stwierdziła Falene. - Dla mnie to nic wielkiego. Nie narkotyzuję się i nie piję. Czasem muszę się trochę rozerwać.

- Świetnie - rzekła Dita. - A teraz co do Deere'a i Bantza. Na twoim miejscu wybrałabym tego pierwszego i powiem ci dlaczego. Otóż Deere jest w sobie zakochany i kocha kobiety. On naprawdę coś robi dla ciebie. Znajdzie ci dobrą rolę, bo jest na tyle inteligentny, że dostrzeże twój talent. Bantz natomiast nie lubi nikogo poza Elim Marrionem. Nie ma gustu i nie zna się na talencie. Bantz zawrze z tobą kontrakt, a potem gnij sobie. Tak postępuje ze swą żoną. Aby zamknąć jej usta, załatwia jej dużo roboty za duże pieniądze, ale nigdy dobrej roli. Skippy Deere natomiast, jeśli mu się spodobaś, pomoże ci zrobić karierę.

- Nie jestem taka wyrachowana - stwierdziła Falene.

Dita klepnęła ją w ramię.

- Nie chrzań. Jestem lesbiją, ale również kobietą. I znam aktorów. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety zrobią wszystko, by osiągnąć sukces. Tańczymy tak, jak nam zagrają. Wolisz pracować na etacie w Oklahomie, czy zostać gwiazdą i zamieszkać w Malibu? Z twoich papierów wnoszę, że masz dwadzieścia trzy lata. Z iloma się już pieprzyłaś?

- Wliczając ciebie? Z pięćdziesięcioma. Ale wyłącznie dla przyjemności - dodała tonem usprawiedliwienia.

- A więc kilku więcej nie robi ci różnicy - stwierdziła Dita. - Kto wie, może to wciąż będzie dla ciebie przyjemnością.

- Nie puszczałabym się, gdybym nie miała pewności, że zostanę gwiazdą - stwierdziła Falene.

- Wiem, wiem, wszystkie tak mówią.

Falene roześmiała się.

- A jak było z tobą?

- Cóż, ja nie miałam wyboru - odparła Dita. - Musiałam postawić na talent.

- Biedulka - rzekła Falene.

W LoddStone Studios Bobby Bantz, Skippy Deere i Melo Stuart odbywali naradę z Elim Marrionem.

- Głupi kutas - indyczył się Bantz. - Najpierw wystraszył wszystkich śmiertelnie, a

potem sam się zabił.

- Zakładam, że twoja klientka wraca do pracy, Melo - rzekł Marrion.

- Ma się rozumieć - odparł Stuart.

- I nie ma już żadnych żądań, nie potrzebuje dodatkowej zachęty? - spytał Marrion cichym, martwym głosem.

Melo Stuart dopiero teraz uświadomił sobie, że Marrion jest wściekły.

- Nie. Może przystąpić do pracy choćby jutro.

- Świetnie - ucieszył się Deere. - W tej sytuacji może uda nam się zmieścić w budżecie.

- Zamknijcie się wszyscy i słuchajcie - warknął Marrion.

To grubiaństwo, tak do niego niepodobne, odjęło im mowę.

Marrion zaczął mówić swym zwykłym, niskim, miłym głosem, ale nikt już nie miał wątpliwości, że jest wzburzony.

- Co nas do diabła obchodzi, Skippy, czy film się zmieści w budżecie? To już nie jest nasz film. Wpadliśmy w panikę i popełniliśmy idiotyczny błąd, za który winę ponosimy wszyscy w równym stopniu. Nie my jesteśmy właścicielami filmu, lecz ten przybłąda.

- LoddStone Studios zarobią krocie na dystrybucji - wtrącił Skippy Deere. - Masz też procenty od zysków. To w dalszym ciągu jest dobry interes.

- Ale De Lena zarobi więcej od nas - burknął Bantz. - To nie jest w porządku.

- Chodzi o to, że ten De Lena palcem nie kiwnął, żeby rozwiązać problem - rzekł Marrion. - Na pewno wytwórnia ma jakieś podstawy prawne dla odzyskania filmu.

- Właśnie - poparł go Bantz. - Czort z nim. Chodźmy do sądu.

- Nastraszymy go sądem, a potem dobijemy z nim targu - powiedział Marrion. - Oddamy mu jego forszę i dorzucimy dziesięć procent od spodziewanych dochodów brutto.

- Ależ Molly Flanders nie pozwoli mu przyjąć naszych warunków - roześmiał się Deere.

- Będziemy negocjować bezpośrednio z nim - rzekł Marrion. - Sądzę, że potrafimy go przekonać... Zadzwoń do niego, jak tylko powiadomiono mnie o śmierci Skanneta. Niebawem się tu zjawi. Jak wiecie, należy do szczególnego środowiska, to samobójstwo jest mu zanadto na rękę, myślę, że woli uniknąć rozgłosu.

O śmierci Skanneta Cross dowiedział się z reportażu w gazecie, który przeczytał w swym apartamencie na dachu „Xanadu”. A więc udało się. Dzięki dwóm listom pożegnalnym w kieszeni denata samobójstwo nie obudziło niczyich wątpliwości. Możliwość, że grafolodzy odkryją fałszerstwo, nie wchodziła w grę, gdyż Boz Skannet nie pozostawił po sobie zbyt

obfitej korespondencji, a Leonard Sossa był świetnym fachowcem. Umyślnie luźno zapięte kajdanki na nogach i rękach Skanneta nie zostawiły śladów. Lia Vazzi znał się na tej robocie.

W gabinecie Crossa rozdzwonił się telefon. Pierwszy, jak się można było spodziewać, zadzwonił Giorgio Clericuzio, wzywając go do Quogue. Cross ani przez chwilę się nie łudził, że Clericuziowie nie odkryją jego machinacji.

Drugi zadzwonił Eli Marrion. Zapraszał go do Los Angeles z prawnikiem lub bez. Cross obiecał, że przyjedzie. Przed opuszczeniem Vegas zadzwonił jednak do Molly Flanders i powiedział jej o telefonie Marriona. Molly się wściekła.

- A to gady jedne - wycodziła. - Zabiorę cię z lotniska i pojedziemy do nich razem. Bez prawnika u boku nie wolno ci powiedzieć szefowi wytwórni nawet „dzień dobry”.

Jak tylko weszli do gabinetu Marriona, od razu wiedzieli, że będą kłopoty. Tamtych czterech miało miny gangsterów, którzy za chwilę mają kogoś zabić.

- Postanowiłem przyjść z moją prawniczką - zwrócił się Cross do Marriona. - Mam nadzieję, że to ci nie przeszkadza.

- Jak sobie życzysz - odparł Marrion. - Ja chciałem ci tylko zaoszczędzić ewentualnego zażenowania.

Molly Flanders zmarszczyła groźnie brwi.

- Czuję, na co się zanosi - warknęła. - Chcecie nam odebrać film. Ale nie łudźcie się, kontraktu nie podważycie.

- Masz rację - rzekł Marrion. - Zamierzam jednak zaapelować do poczucia przyzwoitości Crossa. Nic nie zrobił, żeby rozwiązać problem, wytwórnia natomiast zainwestowała w film już mnóstwo czasu, pieniędzy oraz inwencji twórczej, bez których nie udałoby się go nakręcić. Oddamy Crossowi pieniądze. Dorzucimy dziesięć procent od spodziewanych zysków brutto, które ocenimy optymistycznie. Nic nie straci.

- Już stracił - zauważyła Molly. - Obrażasz go tą propozycją.

- Wobec tego pójdziemy do sądu - rzekł Marrion. - Idę o zakład, Cross, że sądy napawają cię takim samym obrzydzeniem jak mnie.

Przywołał na twarz ten swój słynny uśmiech, który sprawiał, że jego goryla fizjonomia nabierała nagle anielskiego wyrazu.

Molly nie posiadała się z wściekłości.

- Ty, Eli, bywasz w sądzie i płacisz wadium dwadzieścia razy do roku. Takie świńskie numery to twoja specjalność. - Odwróciła się do Crossa. - Wychodzimy.

Ale Cross nie mógł sobie pozwolić na długi proces sądowy. Co będzie, jeśli ktoś zwróci uwagę, że szczęśliwe zejście Skanneta nastąpiło zaraz po kupieniu przez niego filmu?

Zaczną kopać w jego przeszłości, rozpisywać się o nim w gazetach, stanie się powszechnie znaną osobą, a tego stary don nie tolerował. Marrion widać o tym wiedział.

- Poczekaj chwilę - powiedział Cross do Molly, a następnie zwrócił się do Marriona, Bantza, Skippy'ego Deere'a i Mela Stuarda: - Kiedy jakiś gracz wygrywa w moim kasynie, płacę mu wielokrotność jego stawki, a nie tyle, ile postawił. Panowie postępują odwrotnie. Dlaczego?

- To są interesy, a nie hazard - prychnął Bantz.

- Na swej inwestycji zrobisz lekko licząc dziesięć milionów - zauważył ugodowo Melo Stuart. - Nie powiesz, że to mało.

- Zwłaszcza, że palcem nie kiwnąłeś - rzekł Bantz.

Jeden Skippy Deere zdawał się trzymać jego stronę.

- Należy ci się więcej, Cross, ale chyba lepiej wziąć tyle, ile ci tu proponują, niż włączyć się po sądach i ryzykować, że się nawet tego nie dostanie. Opuść tym razem, a obiecuję ci, że zrobimy razem interes poza LoddStone Studios. Dobrze zarobisz.

Nie będę ich straszył, pomyślał Cross i uśmiechnął się z rezygnacją.

- Może macie rację, panowie. Skoro chcę się zaczepić w przemyśle filmowym, nie powinienem sobie robić wrogów. Zresztą dziesięć milionów to niezły początek. Molly, zajmij się przygotowaniem papierów. Teraz muszę złapać samolot, więc się pożegnaj.

Wyszedł, Molly za nim.

- Wygralibyśmy - powiedziała.

- Nie chcę iść do sądu - odparł. - Załatw to tak, jak chcą.

Molly spojrzała na niego uważnie.

- Dobrze, ale wyduszę od nich więcej niż dziesięć procent - przyrzekła.

Kiedy nazajutrz Cross zjawił się Quogue, czekali już na niego don Domenico, jego synowie - Giorgio, Vincent i Petie oraz wnuk Dante. Zasiadli w ogrodzie do włoskiego lunchu, na który składały się zimne mięsa, sery, miska sałaty, długie chrupiące bułki. Miseczka tartego sera dla dona. W pewnej chwili don spytał niby mimochodem:

- Czy to prawda, Croccifixio, że zaangażowałeś się w jakiś film? - Upił czerwonego wina. Nabrał łyżkę tartego parmezanu.

- Prawda - potwierdził Cross.

- A czy to prawda, że w celu sfinansowania tego filmu zastawiłeś część swych udziałów w „Xanadu”? - spytał Giorgio.

- Jako bruglione mam do tego prawo - odparł Cross wesoło.

- Jako bruglione ma do tego prawo - poparł go Dante.

Don rzucił wnukowi spojrzenie pełne dezaprobaty, po czym zwrócił się do Crossa:

- Wzgardziłeś naszą mądrością, angażując się w bardzo poważne przedsięwzięcie bez konsultacji z Rodziną. Mało tego, przeprowadziłeś akcję, która mogła pociągnąć ostre reperkusje ze strony władz. Na taką akcję, tu zasady są jasne, powinieneś poprosić nas o zgodę. W przeciwnym razie będziesz musiał sam ponieść konsekwencje.

- Wykorzystałeś własność Rodziny - rzekł ostro Giorgio. - Mam na myśli domek myśliwski w Sierra Nevada. Posłużyłeś się Lią Vazzim, Leonardem Sossą, Pollardem i jego agencją. Tak, to są twoi ludzie, ale są oni również podkomendnymi Rodziny. Na szczęście wszystko się udało. Ale co by było, gdyby powinęła ci się noga? Przecież naraziłbyś nas wszystkich.

- On to wszystko rozumie - przerwał mu zniecierpliwiony don Clericuzio. - Pytanie brzmi, czemu to zrobił. Kilka lat temu poprosiłeś, siostrzeńcze, żeby wyłączyć cię z akcji, które musimy od czasu do czasu przeprowadzać. Zgodziłem się, mimo że uważałem cię za zdolnego wykonawcę. Nagle przeprowadzasz akcję dla własnej korzyści. To zupełnie nie w stylu mojego ukochanego siostrzeńca, jakim niegdyś byłeś.

Cross wiedział, że sympatia dona jest szczerą. Wiedział też, że nie może się przyznać, że porwała go uroda Atheny, bo zabrzmiałoby to głupio, a nawet obraźliwie. I prawdopodobnie przyniosłoby fatalne skutki. To niewybaczalne, żeby pociąg do obcej kobiety wziął górę nad lojalnością wobec Rodziny Clericuzio.

- Dostrzegłem możliwość zarobienia dużych pieniędzy - wyjaśnił. - Możliwość zaangażowania się w coś nowego. Dla mnie i dla Rodziny. Zaangażowania się w interes, który może służyć do prania pieniędzy. Ale musiałem działać prędko. Zapewniam was, że nie zamierzałem niczego przed wami ukrywać, najlepszy dowód, że posłużyłem się podkomendnymi Rodziny, o czym prędzej lub później musieliście się dowiedzieć. Chciałem przyjść do was syty chwałą.

- I przyszedłeś syty chwałą? - spytał don z nutą ironii w głosie.

Wie o wszystkim, pomyślał Cross.

- Niestety, nie - odparł. - Zaistniał kolejny problem.

Opowiedział, jaki układ zawarł z Marrionem. Ku jego zdumieniu don się roześmiał.

- Słusznie postąpiłeś - pochwalił. - Sprawa w sądzie to dopust boży. Niech się udławią swym zwycięstwem. Ale to dranie, co? Dobrze, że trzymaliśmy się z daleka od Hollywood... W każdym razie zarobiłeś dziesięć milionów. To zgrabna sumka.

- Podzielię się nią z Rodziną, to się rozumie samo przez się - zapewnił Cross. - Mimo wszystko uważam, że nie powinniśmy się tak łatwo zniechęcać. Mam pewne pomysły, ale do

ich zrealizowania potrzebuję pomocy Rodziny.

- Najpierw musimy ustalić nasze udziały - stwierdził Giorgio.

On jest nienasycony jak Bantz, pomyślał Cross.

- Nie dzielmy skóry na niedźwiedziu - przerwał synowi zniecierpliwiony don. - Dobrze, masz nasze błogosławieństwo. Ale z jednym zastrzeżeniem. Będziesz się z nami konsultował przed każdym drastycznym posunięciem. Rozumiemy się, siostrzeńcze?

- Tak.

Wyjechał z Quogue z uczuciem ulgi. Don okazał mu miłość.

Don Domenico, obecnie osiemdziesięciokilkuletni, wciąż rządził swym imperium. Uważał, że ma do tego pełne prawo, gdyż stworzył je ogromnym wysiłkiem i takimż kosztem.

W tym sędziwym wieku, kiedy to ludzie na ogół dręczą się popełnionymi grzechami, przed którymi tak czy owak nie byłiby w stanie się ustrzec, rozpamiętują niespełnione marzenia, a nawet kwestionują wybraną przez siebie drogę życiową, don niezachwianie wierzył w słuszność swego postępowania, jak wtedy, gdy miał czternaście lat.

Don Clericuzio był rygorystyczny w swych przekonaniach, rygorystyczny w osądach. Pan Bóg stworzył straszny świat, a ludzie dokładali wszelkich starań, żeby go jeszcze pogorszyć. Świat Boga jest więzieniem, w którym człowiek haruje na chleb powszedni, a jego bliźni to krwiożercze, bezlitosne bestie. Don Clericuzio był dumny z tego, że czuwał nad bezpieczeństwem bliskich mu osób w ich wędrówce przez życie.

Cieszył się, że mimo zaawansowanego wieku wciąż mu się chce wydawać wyroki śmierci na wrogów. Przebaczał im, rzecz jasna, czyż nie był chrześcijaninem, który miał kaplicę w swym domu? Ale przebaczał tak jak Pan Bóg swym owieczkom, równocześnie skazując je na wymarcie.

W świecie przez siebie stworzonym don Clericuzio cieszył się wielką czcią. Jego rodzina, tysiące mieszkańców Enklawy Bronxu, brugliones poszczególnych terytoriów - powierzali mu swe pieniądze i prosili o wstawiennictwo, gdy napytali sobie biedy w oficjalnym świecie. Wiedzieli, że don jest sprawiedliwy. Że w razie biedy, choroby lub jakiegokolwiek innego nieszczęścia mogą pójść do niego, a on odwróci od nich zły los. I za to go kochali.

Don wiedział, że na miłości, choćby najgłębszej, nie wolno polegać. Miłość nie gwarantuje wdzięczności, nie gwarantuje posłuszeństwa, nie zapewnia spokoju w tym tak trudnym życiu. Nikt nie rozumiał tego lepiej od don Clericuzia. Prawdziwą miłość wzbudzał ten, kogo się bano. Sama miłość zasługiwała na pogardę, była niczym, jeśli nie pociągała za

sobą zaufania i posłuszeństwa. Co mu po ich miłości, jeśli nie podporządkowywali się jego rządóm?

Jeśli miał ponosić odpowiedzialność za ich bezpieczeństwo, być źródłem ich powodzenia życiowego, musiał działać w sposób zdecydowany. Musiał być surowy w osądach. Jeśli ktoś go zdradził, jeśli ktoś zniszczył integralność jego świata, to należało przywołać gościa do porządku, odpowiednio ukarać, niekiedy nawet śmiercią. I żadnych usprawiedliwień, żadnych okoliczności łagodzących, żadnego okazywania łaski. Co trzeba zrobić, to trzeba. Giorgio nazwał go kiedyś staroświeckim. Ale inaczej się nie da.

Miał teraz wiele rzeczy do przemyślenia. Dobrze zaplanował te dwadzieścia pięć lat z hakiem, jakie upłynęły od wojny z Santadiami. Był przewidujący i przebiegły, kiedy trzeba - bezwzględny, a kiedy można - wielkoduszny. Teraz Rodzina Clericuzio była u szczytu swej potęgi i nikt jej nie zagrażał. Niebawem stopi się z praworządnym społeczeństwem, a wtedy już nikt jej nic nie zrobi.

Ale don Domenico nie przetrwałby tak długo, patrząc na świat przez różowe okulary. Potrafił dostrzec trujące ziółko, ledwo wykiełkowało. Tym razem zagrożenie było wewnętrzne, a na imię miało Dante. Otóż Dante wyrósł na kogoś niezupełnie po jego myśli.

Drugim problemem był Cross, który - wzmocniony spadkiem po Gronevelcie - dokonywał ważnych posunięć, nie konsultując ich z Rodziną. Tak dobrze zaczął, niewiele brakowało, a zostałby fachowcem jak jego ojciec Pippi. Niestety, załamał się, kiedy przyszło mu załatwić Virginia Ballazza. Z uwagi na jego miękkie serce Rodzina zwolniła go z obowiązku uczestniczenia w akcjach, a on co? Zorganizował prywatną akcję i załatwił niejakiego Skanneta. Bez pozwolenia dona. Don Clericuzio wyjątkowo uległ sentymentom i go nie potępił. Cross chciał wycofać się z tego świata i zacząć życie w innym. Mimo że takie postępowanie mogło zostać uznane za zdradę, don Clericuzio je zaakceptował. Niemniej Pippi i Cross razem byli w stanie zagrozić Rodzinie. Uwagi dona nie uszła też nienawiść Dantego do obu panów De Lena. Pippi był zbyt bystry, żeby nie zdawać sobie z niej sprawy, a Pippi był groźnym człowiekiem. Lojalny czy nie, lepiej mieć go na oku.

Wyrozumiałość dona miała swe podłoże w sympatii dla Crossa i miłości dla Pippiego, który był starym, wiernym żołnierzem, a zarazem synem jego siostry. Cokolwiek powiedzieć, w obu płynęła krew Clericuziów. Jeśli należało się kogoś obawiać, to Dantego.

Don Clericuzio starał się być dla niego dobrym, kochającym dziadkiem. Do dziesiątego roku życia chłopca dziadek i wnuczek byli praktycznie nierozłączni. Potem czar jakoś prysł. Don dostrzegł niepokojące cechy charakteru chłopca.

Dziesięcioletni Dante dokazywał, ile wlaźło. Był wysportowany i bardzo zręczny.

Lubił rozmawiać, szczególnie z dziadkiem, ale odbywał też długie tajemnicze narady ze swą matką Rose Marie. Z wiekiem stał się złośliwy i nieokrzesany. Walczył zajadle z rówieśnikami. Dokuczał bardzo dziewczętom - z bezwstydną i tyleż szokującą, co zabawną. Znęcał się nad małymi zwierzętami - co u małych chłopców, jak don wiedział, nie było niczym niepokojącym - ale raz próbował utopić w basenie młodszego kolegę.

Nie, żeby donem jakoś szczególnie to wstrząsnęło. Wiadomo, dzieci są zwierzętami i cywilizację trzeba wbijać im do głowy oraz tyłka pasem. Z niektórych dzieci wyrastali nawet święci. Jeśli już, to dona bardziej niepokoiła rozmowność wnuka, te jego długie pogawędki z matką, a najbardziej drobne akty nieposłuszeństwa wobec niego samego.

Dona, którego drażniły wybryki natury, zaniepokoiło chyba również to, że w wieku piętnastu lat Dante przestał rosnać. Zatrzymał się na stu pięćdziesięciu siedmiu centymetrach. Zwrócono się w tej sprawie do lekarzy, ale ci zgodnie orzekli, że chłopak urośnie jeszcze z siedem centymetrów, nigdy jednak nie osiągnie wzrostu typowego dla mężczyzn w Rodzinie Clericuzio, czyli metra osiemdziesiąt. Niski wzrost Dantego był złym znakiem, podobnie jak przyjście na świat bliźniąt. Urodzenie się jednego dziecka don uważał za błogosławieństwo, dwojga - za wybryk natury. Kiedy jednemu żołnierzowi w Enklawie Bronxu urodziły się trojaczki, don kupił mu sklep spożywczy w Portland, w Oregonie. Dobre życie, tyle że samotne. Don był również uprzedzony do mańkutów i jakałów. Kto to widział pisać lewą ręką? Dante był leworęczny od urodzenia.

Ale nawet to nie ochłodziło uczuć dona dla wnuka; ludziom, w których płynęła jego krew, gotów był wszystko darować. Z biegiem lat jednak Dante coraz bardziej rozczarowywał dziadka.

W szesnastym roku życia Dante rzucił szkołę i zaczął wtykać nos w sprawy Rodziny. Najpierw pracował w restauracji Vincenta. Był lubianym kelnerem, szybkim i pogodnym, dostawał więc szczodre napiwki. Znudziwszy się restauracją, przepracował dwa miesiące w biurze Giorgia na Wall Street, ale mimo starań wuja, nie wciągnęła go gra na giełdzie. Wreszcie zaangażował się w przedsiębiorstwie budowlanym Petiego. Praca z żołnierzami Enklawy bardzo mu się spodobała. Lubił popisywać się przed nimi swoją coraz bardziej imponującą muskulaturą. Don zauważył z dumą, że Dante po każdym ze swych wujów odziedziczył jakąś cechę - po Vincencie bezpośredniość, po Giorgiu opanowanie, po Petiem brutalność. W tym mniej więcej okresie ukształtowała się ostatecznie jego osobowość; zrobił się cwany i przebiegły, ale nie pozbawiony humoru. Wtedy też zaczął nosić swe renesansowe kapelutki.

Kapelutki te - nikt nie wiedział, gdzie się w nie zaopatrywał - były kolorowe,

opalizujące, jedne okrągłe, inne kanciaste i zdawały się pływać na jego głowie. Nie tylko go podwyższały, ale sprawiały, że wyglądał przystojniej i sympatyczniej. Częściowo dlatego, że były cudaczne, rozbijające, częściowo dlatego, że równoważyły jego dwa profile. Kapelutki mu pasowały. Skrywały czarne jak smoła, przetłuszczone włosy. Typowe dla wszystkich Clericuziów.

Pewnego dnia w pokoju na zapleczu, gdzie na honorowym miejscu niezmiennie stała fotografia Silvia, Dante spytał dziadka:

- Jak on zmarł?

- W wypadku - odparł lakonicznie don.

- To twój ukochany syn, prawda?

Don był zaskoczony tymi pytaniami. Dante miał dopiero piętnaście lat.

- Z czego to wnosisz?

- Z tego, że nie żyje - odparł Dante z krzywym uśmiechem.

Don nie mógł uwierzyć, że szczeniak pozwolił sobie na taki żart.

Don wiedział, że podczas kolacji Dante zakrada się do jego gabinetu i myszkuje. Machnął na to ręką, wiadomo, dzieci są wścibskie, zresztą nie trzymał tam żadnych kompromitujących dokumentów. Ważne informacje, łącznie z rachunkiem dobrych i złych uczynków swych najbliższych, zapisywał na specjalnej tablicy w głowie.

Zaczął wówczas traktować Dantego z jeszcze większą czułością, dając mu do zrozumienia, że jest jednym z jego sukcesorów. Strofowanie chłopca przypadło w udziale wujom, szczególnie Giorgiowi.

W końcu don pogodził się z myślą, że Dante nie dołączy do praworządnego społeczeństwa, i pozwolił mu się szkolić na „młota”.

Rose Marie zawołała ojca na obiad do kuchni, gdzie jadali, kiedy byli sami w domu. Don zasiadł przed wielką kolorową miską makaronu, cienkiego niczym włosy anielskie, z pomidorami i świeżą bazylią z jego ogrodu. Postawiwszy przed ojcem miseczkę z tartym parmezanem - intensywnie żółta barwa oznaczała, że ser jest słodki jak orzechy - Rose Marie usiadła naprzeciwko. Była pogodna, wesoła, a on cieszył się z jej dobrego humoru. Tego wieczora obejdzie się bez jej okropnych ataków. Była taka jak przed wojną z Santadiami.

Ależ to była tragedia, jeden z nielicznych błędów, jakie popełnił w życiu, błąd, który dowiódł, że zwycięstwo nie zawsze jest zwycięstwem. Kto mógł jednak przypuszczać, że Rose Marie pozostanie wdową do końca życia? Liczył, że dziewczyna się jeszcze w kimś zakocha. W tej chwili poczuł bezmierną miłość do córki. Była taka pobłażliwa dla Dantego. Raptem Rose Marie pochyliła się i czule dotknęła białej głowy ojca.

Don włożył do ust czubatą łyżkę tartego sera. Poczuł na dziąsłach jego orzechowe ciepło. Popił winem, obserwując Rose Marie krojącą udziec barani. Podła mu talerz, na którym leżały trzy błyszczące od tłuszczu smażone ziemniaki. Don machnął ręką na swe rozterki. Znajdzie się na nie jakaś rada.

Był tak dobrze usposobiony, że już drugi raz w tym tygodniu dał się namówić Rose Marie na wspólne oglądanie telewizji w salonie. Po czterech godzinach miał jednak dość.

- Co to za świat, w którym każdy robi, co chce? Ci ludzie nie boją się nikogo, nawet Boga, i nie muszą zarabiać na życie. Czy naprawdę istnieją takie rozkapryśzone kobiety? I tacy mięczacy, którzy oddają się wyłącznie zaspokojeniu swych żądz? A gdzie są uczciwi mężowie, którzy muszą zdobywać chleb dla swej rodziny? Czy ktoś się tu zastanawia, jak ochronić dzieci przed złym losem i okrutnym światem? Gdzie podziali się ludzie, którym do szczęścia wystarczy kawałek sera, kieliszek wina i dach nad głową? Czemu ci ludzie uganiają się za jakimś nieokreślonym bliżej szczęściem? Co robią ze swym życiem, dlaczego niepotrzebnie doprowadzają do tragedii? - Pogłaskał córkę po głowie. Machnąwszy z pogardą w stronę telewizora powiedział: - A niech ich pochłoną fale oceanu. - Po czym zakończył swą ulubioną sentencją: - Wszyscy ponoszą odpowiedzialność za swe czyny.

Tej nocy don wyszedł na balkon sypialni. Osiedle było rześkie oświetlone, rozlegało się stukanie o kort piłeczki tenisowej. Don dojrzał nawet sylwetki graczy. O tej porze na dworze dzieci nie było. Przy bramie i wokół willi kręcili się strażnicy.

Don zastanawiał się, jakie kroki powinien przedsięwziąć, by zapobiec przyszłej tragedii. Przejęty miłością do córki i wnuka pomyślał, że dla samej tej miłości warto tak długo żyć. Musi ich chronić. Nagle rozzłościł się na siebie. Dlaczego zawsze przewidywał jakąś tragedię? Rozwiązał w życiu tyle problemów, to i ten też rozwiąże.

W głowie huczało mu od pomysłów. Pomyślał o senatorze Wavvenie. Od lat go finansował, licząc, że ten człowiek doprowadzi do zalegalizowania hazardu. Ale senator wyslizgiwał mu się z rąk jak piskorz. Szkoda, że Gronevelt nie żył, bo Cross i Giorgio jakoś nie potrafili przyprzeć go do muru. Być może nigdy nie dojdzie do zalegalizowania hazardu.

Potem pomyślał o starym druhu, Davidzie Redfellowie, który obecnie żył sobie wygodnie w Rzymie. Najwyższy czas sprowadzić go z powrotem. Cross okazał pobłażliwość swym hollywoodzkim wspólnikom i dobrze zrobił. Ale jest młody i nie wie, że okazanie słabości może się zemścić na człowieku. Tak, trzeba odwołać z Rzymu Davida Redfellowa i kazać mu się zająć przemysłem filmowym.

Rozdział jedenasty

Tydzień po śmierci Boza Skanneta Cross otrzymał - przez Claudię - zaproszenie na

kolację u Atheny w Malibu.

Cross poleciał z Vegas do Los Angeles, tam wynajął samochód i w chwili, gdy słońce zaczynało zapadać się w ocean, znalazł się przy strzeżonym wjeździe do Malibu Colony. Uzbrojeni ochroniarze zniknęli spod domu Atheny, ale w domku gościnnym nadal urzędowała sekretarka, która zwalniała zatrask przy furtce dopiero po usłyszeniu nazwiska przybysza. Cross poszedł ścieżką przez ogród. Do domu wpuściła go ta sama latynoska służąca i zaprowadziła do zielonego salonu, dosięganego niemalże przez fale oceanu.

Athena już na niego czekała. Wydała mu się jeszcze piękniejsza. Ubrana w zieloną bluzkę i spodnie wyglądała tak, jakby za chwilę miała się stopić i zmieszać z mgiełką nad oceanem za plecami. Cross nie mógł oderwać od niej oczu. Athena, zamiast nastawić do cmoknięcia policzki, jak to było w zwyczaju Hollywoodu, uścisnęła mu rękę i podała przygotowany już zimny napój. Była to woda Evian z plasterkiem limony. Usiedli w miękkich fotelach koloru mięty, twarzą do oceanu. Zachodzące słońce rozrzuciło po pokoju złociste monety światła.

Cross musiał spuścić głowę, bo nie mógł spokojnie na nią patrzeć. Był nią zauroczony, złotym kaskiem włosów, kremową skórą, sposobem, w jaki jej długie ciało mościło się w fotelu. Część złocistych monet światła wpadła w jej zielone oczy. Cross poczuł niepoahamowaną chęć, żeby ją dotknąć, zbliżyć się, osiąść.

Athena wydawała się nieświadoma uczuć, które budziła. Sącząc napój powiedziała:

- Chcę ci podziękować za to, że umożliwiłeś mi pozostanie w Hollywood.

Jej głos urzekł go jeszcze bardziej niż przy pierwszym spotkaniu. Nie był namiętny ani kusicielski, miał natomiast aksamitny ton i arystokratyczną pewność siebie. Równocześnie był taki ciepły, że chciało się go słuchać i słuchać. Jezu Chryste, pomyślał Cross, co to jest? Wstydział się, że Athena ma nad nim taką władzę. Z opuszczoną wciąż głową mruknął:

- Myślałem, że wystarczy zaapelować do twojej chciwości, by sprowadzić cię z powrotem na plan.

- Nie jestem chciwa. - Athena odwróciła głowę od oceanu i spojrzała mu w oczy. - Claudia powiedziała mi, że wytwórnia wycofała się z zawartej z tobą transakcji. Musiałeś oddać im film i zadowolić się procentami.

Cross starał się zachować obojętną minę. Liczył, że potrafi zwalczyć swe uczucia do Atheny.

- Widać, nie nadaję się do robienia interesów - stwierdził. Chciał się wydać fajtlapą.

- Ale kontrakt przygotowała ci Molly Flanders - nie dawała za wygraną Athena. - Ona jest w tym bardzo dobra. Mogłeś się im postawić.

Cross wzruszył ramionami.

- To sprawa polityki. Planuję wejść w przemysł filmowy na stałe. Dlatego wolę nie mieć wrogów w wytwórni tak silnej jak LoddStone Studios.

- Mogłabym ci pomóc - upierała się Athena. - Mogłabym powiedzieć, że jeśli nie oddadzą ci filmu, to nie wracam.

Ta solidarność bardzo mu pochlebiła. Zastanowił się. Tak czy owak, wytwórnia pewnie by go pozwała. Zresztą, nie chciał być dłużnikiem Atheny. I wtedy przyszło mu do głowy, że uroda Atheny wcale nie musi iść w parze z inteligencją.

- Niby dlaczego miałabyś mi pomagać? - spytał.

Athena wstała z fotela i podeszła do okna wypełnionego oceanem. Plaże zamieniły się w szare plamy, słońce zniknęło z pola widzenia, a w oceanie odbijały się grzbiety gór wznoszących się nad domem i autostradą Pacific Coast. Athena patrzyła na pomarszczoną niebieskoczarą wodę. Nie odwracając głowy, powiedziała:

- Dlaczego? Po prostu dlatego, że znałam Boza Skanneta lepiej niż kto inny. Nawet sto listów pożegnalnych nie przekonałoby mnie, że popełnił samobójstwo.

Cross wzruszył ramionami.

- Tak czy owak, nie żyje.

- Właśnie - przytaknęła Athena. Odwróciła ku niemu głowę: - Usunął się elegancko zaraz po tym, jak kupiłeś film. Myślę, że go zabiłeś.

Nawet poważna była tak piękna, że nie udało mu się w pełni zapanować nad głosem.

- Dlaczego ja, a nie wytwórnia? - spytał. - Marrion może bardzo dużo w tym kraju. Albo Bantz. Albo Skippy Deere.

Athena pokręciła głową.

- Nie, oni doskonale rozumieli, o co mi chodzi. Tak samo jak ty. A jednak nic nie zrobili, tylko sprzedali ci film. Im wisiało, że po skończeniu zdjęć Boz mnie zabije, tobie nie. Czułam, że mi pomożesz, choć powiedziałeś, że nie. Kiedy dowiedziałam się, że postanowiłeś kupić film, od razu domyśliłam się, co zrobisz, choć nie sądziłam, że tak sprytnie to załatwisz.

Podeszła do niego. Cross wstał. Wzięła go za rękę. Poczł zapach jej ciała, jej oddechu.

- To jedyna brzydka rzecz, jakiej się w życiu dopuściłam - oświadczyła. - Pchnęłam cię do popelnienia morderstwa. To straszne. Powinnam była sama to zrobić. Niestety, nie potrafiłam.

- Skąd wiedziałeś, co zrobię? - spytał Cross.

- Claudia mi tyle o tobie naopowiadała - wyjaśniła Athena - że domyśliłam się, kim

jesteś. Twoja siostra jest bardzo naiwna, do tej pory się nie połapała. Uważa cię za faceta, który ma wielki dar przekonywania.

Cross zrobił się czujny. Zrozumiał, że Athena chce, by przyznał się do zamordowania Boza. A tego nie zrobiłby nawet przed księdzem, nawet przed samym Panem Bogiem.

- I sposób, w jaki na mnie patrzyłeś - ciągnęła Athena. - Mnóstwo mężczyzn tak na mnie patrzy. Nie jestem nieskromna, wiem, że się podobam, słyszę o tym od urodzenia. Zawsze wiedziałam, że mam władzę nad mężczyznami, choć nie mogłam zrozumieć, na czym ta władza polega. Niekiedy to wykorzystuję. To, czyli tak zwaną miłość.

Cross cofnął ręce.

- Czemu się bałaś swego męża? Z powodu kariery?

W oczach Atheny zabłyśł gniew.

- Nie chodziło mi o karierę. Nie chodziło mi też tylko o strach, choć wiedziałam, że chce mnie zabić. Miałam ważniejszy powód... Mogę ich zmusić, żeby oddali ci film. Odmówię współpracy.

- Nie, nie rób tego - poprosił Cross.

Athena uśmiechnęła się i zaproponowała wesoło:

- W takim razie chodźmy do łóżka. Podobasz mi się. Zobaczysz, że będzie nam miło.

W pierwszej chwili Cross się rozzłościł. Co ona sobie wyobraża? Że w ten sposób spłaci dług? Grała i wykorzystywała swą kobiecość tak samo, jak mężczyźni wykorzystują swą siłę. Najbardziej jednak go ubodło, że usłyszał w jej głosie nutkę ironii. Naśmiewała się z jego rycerskości, miłość sprowadzała do pożądania. Jak gdyby mówiła, że on tak samo udaje jak ona.

- Odbyłem z Bozem długą rozmowę - rzekł chłodno - bo usiłowałem się z nim ułożyć. Powiedział, że kiedy byliście małżeństwem, przelatywał cię po pięć razy dziennie.

Athena była zaskoczona, co mu sprawiło pewną przyjemność.

- Nie liczyłam - odparła - ale rzeczywiście sporo tego było. Miałam osiemnaście lat i bardzo go kochałam. Czy to nie absurdałne, że potem pragnęłam jego śmierci? - Zmarszczyła czoło. - O czym jeszcze ci mówił? - spytała niby od niechcienia.

Cross popatrzył na nią smutno.

- Wyjawiał mi waszą straszną tajemnicę. Podobno mu powiedziałaś, że kiedy od niego uciekłaś, dziecko zakopałaś na pustyni.

Twarz Atheny zamieniła się w maskę, zielone oczy zmatowiały. Pierwszy raz tego wieczora nie grała. Takiej bladości nie potrafiła udawać żadna aktorka.

- Naprawdę myślisz, że zamordowałam swoje dziecko? - wyszeptała.

- Boz powiedział, że wie to od ciebie.

- Tak mu powiedziałam - odparła Athena. - A teraz pytam cię drugi raz: czy myślisz, że zamordowałam swoje dziecko?

Potępić piękną kobietę? To straszne. Cross wiedział, że jeśli powie prawdę, to straci Athenę raz na zawsze. Objął ją delikatnie.

- Jesteś na to zbyt piękna. Ktoś tak piękny nie mógłby zamordować dziecka - rzekł, wyrażając wieczną wiarę mężczyzn w niewinność pięknych kobiet. - Nie, ty tego nie zrobiłaś.

Cofnęła się.

- Mimo że jestem odpowiedzialna za śmierć Boza?

- Nie jesteś odpowiedzialna - zaprzeczył. - On sam się zabił.

Athena przyglądała mu się w skupieniu. Wziął ją za rękę.

- Czy sądzisz, że zabiłem Boza? - spytał.

I wtedy Athena uśmiechnęła się domyślnie. Aktorka, która wreszcie zrozumiała, jak ma grać swą rolę.

- A ty sądzisz, że zabiłam swoje dziecko?

Uśmiechnęli się. Upewnili się wzajemnie, że są niewinni. Athena poklepała go po dłoni.

- Teraz zrobię ci coś do zjedzenia, a potem pójdziemy do łóżka.

Co powiedziawszy, poprowadziła go do kuchni.

Ciekawe, ile razy w życiu odgrywała tę scenę, zastanawiał się Cross. Królowa, która udaje, że jest żoną jak zwykła kobieta. Przyglądał się, jak Athena gotuje. Nie włożyła fartucha, robiła wszystko profesjonalnie. Rozmawiając z nim pokroiła warzywa, przygotowała garnek, nakryła do stołu. Podając mu butelkę do otwarcia, przytrzymała go za rękę, otarła się o niego ciałem. Po pół godzinie kolacja znalazła się na stole. Widząc podziw w oczach Crossa, wyjaśniła:

- Kiedyś dostałam rolę kucharki, więc żeby wypaść prawdziwie, skończyłam kurs gotowania. Jeden krytyk napisał wówczas: „Skoro Athena Aquitane potrafi tak dobrze udawać, że gotuje, to na pewno zostanie gwiazdą”.

Jedli we wnęce kuchennej, by móc patrzeć na wzburzony ocean. Jedzenie było pyszne, kawałki wołowiny duszonej w warzywach, potem sałatka z gorzkiej zieleniny. Deska z serami, ciepłe razowe bułeczki, pulchne niczym gołąbki. Na koniec mała kawa z lekką cytrynową tartą.

- Jesteś doskonałą kucharką. Mój kuzyn Vincent w każdej chwili zatrudniłby cię w swej restauracji.

- W ogóle jestem doskonała - zażartowała.

Przez całą kolację dotykała go niby mimochodem, w sposób, który był szalenie erotyczny - jak gdyby szukała jego duszy. Z każdym dotknięciem Cross coraz bardziej pragnął poczuć na sobie jej ciało. Nie bardzo już wiedział, co je. Wreszcie wstali od stołu. Athena wzięła go za rękę i wyprowadziła z kuchni. Weszli po schodach na pierwsze piętro, gdzie znajdowała się sypialnia. Athena robiła to z wdziękiem, niemal nieśmiało, prawie rumieniąc się. Ochocza panna młoda. Cross nie mógł się nadziwić jej zdolnościom aktorskim.

Na samej górze znajdowała się duża sypialnia z małym balkonem wychodzącym na ocean. Ściany były pokryte jakimiś niesamowitymi, jaskrawymi malowidłami, które zdawały się rozświetlać pokój.

Stojąc na balkonie, patrzyli na plażę, której piasek w świetle padającym z pokoju nabrał upiornego żółtego koloru. Patrzyli na inne domy ustawione wzdłuż plaży - świecące pudełka. Ptaki wydawały się grać w jakąś grę - biegły w kierunku nadchodzącej fali, a potem uciekały, żeby nie zamoczyć łap.

Athena położyła Crossowi rękę na ramieniu, objęła go za szyję, drugą ręką przyciągnęła do siebie jego głowę. Owiewani ciepłym wietrzykiem całowali się przez dłuższą chwilę. Potem Athena wprowadziła go do pokoju.

Prędko zdjęła zieloną bluzkę i spodnie. W ciemności rozświetlonej blaskiem księżycy jej białe ciało błyszczało. Była tak piękna, jak sobie wyobrażał. Uniesione piersi z malinowymi brodawkami przywodziły na myśl watę cukrową. Długie nogi, krzywizna bioder, jasne włosy łonowe, a wszystko spowite ciszą i zamglonym powietrzem.

Cross przyciągnął Athenę do siebie. Jej ciało było aksamitne, a wargi pachniały kwiatami. Dotykanie jej sprawiało mu taką przyjemność, że nie mógł robić nic innego. Athena zaczęła go rozbierać. Robiła to delikatnie, głaszcząc go tak, jak on ją. Potem, całując, pociągnęła go na łóżko.

Cross rzucił się na nią z namiętnością, o jaką by siebie nigdy nie podejrzewał. Tak się spieszył, że Athena musiała pogłaskać go po twarzy, żeby się trochę opamiętał. Nie mógł jej puścić nawet po szczytowaniu. Leżeli spleceni, a potem zaczęli od początku. Athena była jeszcze bardziej ognista, jakby chodziło o jakieś zawody, pewnego rodzaju deklarację. W końcu zapadli w ciężki sen.

Cross obudził się, gdy nad horyzontem ukazało się słońce. Pierwszy raz w życiu bolała go głowa. Nagi wyszedł na balkon i usiadł na plecionym krześle. Obserwował, jak słońce podstępnie wstaje z oceanu i zaczyna swą wspinaczkę po niebie.

Niebezpieczna kobieta. Morderczyni swego własnego dziecka, którego kości

zmieszały się już z piaskiem pustynnym. Zbyt zręczna w łóżku. Wykończy go. W tym momencie Cross postanowił, że już nigdy się z nią nie spotka.

Chwilę potem poczuł na szyi jej ręce i odwrócił się, żeby ją pocałować. Athena była w białym puszystym płaszczu kąpielowym, spinki przytrzymujące włosy połyskiwały w słońcu jak klejnoty.

- Weź prysznic, to zrobię ci śniadanie.

Zaprowadziła go do małżeńskiej łazienki z dwiema umywalkami, dwoma marmurowymi blatami, dwiema wannami i dwoma prysznicami. Nie brakowało w niej męskich przyborów toaletowych w rodzaju żyletek, kremów do golenia, płynów po goleniu, szczotek i grzebieni.

Kiedy skończył i znowu wyszedł na balkon, Athena przyniosła tacę z rogalikami, kawą i sokiem pomarańczowym.

- Mogę usmażyć ci jajka na bekonie - zaproponowała.

- To mi wystarczy - odparł Cross.

- Kiedy cię znowu zobaczę?

- Mam mnóstwo zajęć w Las Vegas - odparł Cross. - Zadzwoń do ciebie w przyszłym tygodniu.

Athena spojrzała ze zrozumieniem.

- To oznacza rozstanie, prawda? Tak mi było dobrze w nocy.

Cross wzruszył ramionami.

- Spłaciłaś dług wdzięczności.

Uśmiechnęła się.

- Z własnej, nieprzymuszonej woli. Nie ociągałam się, prawda?

Cross roześmiał się.

- Nie, nie ociągałaś się - przyznał.

Wydawała się czytać w jego myślach. W nocy okłamywali się, rano te kłamstwa już nie działały. Athena domyślała się, że z powodu jej urody Cross boi się jej zaufać. Czuje się zagrożony, zwłaszcza że przyznała się do tylu grzechów. Jedząc, nad czymś myślała.

- Wiem, że jesteś zajęty - odezwała się wreszcie - ale chciałabym ci coś pokazać. Czy możesz poświęcić mi ten rano i polecieć dopiero popołudniowym samolotem? To ważne. Chcę cię dokądś zawieźć.

Cross nie mógł sobie odmówić spędzenia z nią jeszcze kilku godzin. Zgodził się.

Athena powiozła ich swym mercedesem SL 300 autostradą do San Diego. Tuż przed wjazdem do miasta, skręciła w wąską drogę prowadzącą przez góry.

Po kwadransie dojechali do kompleksu ogrodzonego drutem kolczastym. W skład kompleksu wchodziło sześć budynków z cegły oddzielonych trawnikami; z budynku do budynku przechodziło się po pomalowanych na niebiesko chodnikach. Na jednym z zielonych skwerków dwadzieścioro dzieci grało w piłkę. Na innym dziesięcioro dzieci puszczało latawca. Trzy, cztery osoby dorosłe obserwowały zabawę dzieci, ale w tej zabawie było coś bardzo dziwnego. Na pierwszym skwerku dzieci uciekały od spadającej piłki, a na drugim latawce wznosiły się wyżej i wyżej, wlatywały w powietrze i nie wracały.

- Co to jest? - spytał Cross.

Athena spojrzała na niego błagalnie.

- Na razie o nic nie pytaj.

Wjechała w bramę i pokazała strażnikowi przepustkę. Potem podjechała do największego budynku, gdzie zaparkowała.

Weszli do środka. Athena podeszła do pulpitu recepcjonistki i cicho o coś spytała. Cross stał z tyłu, ale usłyszał odpowiedź.

- Była w złym humorze, więc zanieśliśmy jej przytulankę do pokoju.

- O czym ona mówiła? - zdziwił się Cross.

Athena nie odpowiedziała. Wzięła go za rękę i poprowadziła długim, wyłożonym błyszczącymi kafelkami korytarzem do drugiego budynku, który przypominał internat.

Pielęgniarka spytała ich o nazwiska. Skinęła głową i Athena poprowadziła Crossa długim korytarzem. Było tam mnóstwo drzwi. W końcu Athena któreś otworzyła.

Weszli do ładnej sypialni, przestronnej, słonecznej. Cross przypomniał sobie dziwne ciemne malowidła wiszące w domu Atheny; tu podobne wały się po podłodze. Na półce siedziały rzędem lalki w wykrochmalonych strojach Amiszów. Na podłodze leżały również inne rysunki i malowidła.

Przykryte różowym kosmatym kocem łóżeczko ozdabiały białe poduszki haftowane w różyczki. Nie było w nim jednak dziecka.

Athena podeszła do dużej skrzyni, która było otwarta od góry, a wewnątrz wyłożona miękką jasnoniebieską wyściółką. Cross zajrzał do środka. W skrzyni leżała mała dziewczynka. Nie zwracała na nich uwagi, lecz manipulowała gałką nad swą głową, co sprawiało, że ścianki skrzyni się składały, prawie ją zgniatając.

Dziewczynka miała mniej więcej dziesięć lat i stanowiła miniaturową kopię Atheny, tyle że jej twarz była pozbawiona wyrazu, wszelkich emocji, a jej zielone oczy przywodziły na myśl niewidzące szklane oczy lalki. Za każdym jednak razem, gdy pociągnęła za gałkę, a ścianki skrzyni ją ścisnęły, na jej twarzy malowała się błogość. Oni natomiast dla niej

zupełnie nie istnieli.

Athena pochyliła się nad skrzynią. Unieruchomiła gałkę i wyjęła małą. Dziewczynka wydawała się lekka jak piórko.

Tuląc ją jak niemowlę Athena pochyliła się nad dziewczynką, żeby pocałować ją w policzek, ale mała szarpnęła się strachliwie.

- To ja, twoja mamusia - powiedziała Athena. - Nie dasz mi buzi?

Ton jej głosu złamał Crossowi serce. Był rozpaczliwym błaganiem. Dziewczynka jednak wrywała się szaleńczo. Wreszcie Athena dała za wygraną i postawiła ją na podłodze. Dziewczynka rzuciła się na kolana, chwyciła pudełko z farbami, duży kawałek brystolu i zaczęła malować w wielkim zaabsorbowaniu.

Cross obserwował, jak Athena przywołuje zdolności aktorskie, żeby jakoś nawiązać kontakt z dzieckiem. Uklękła obok małej i zaczęła z nią malować, ale dziewczynka nadal nie zwracała na nią najmniejszej uwagi.

Wobec tego Athena usiadła i spokojnym głosem zaczęła opowiadać małej, co się dzieje na świecie. Potem spróbowała z innej beczki - zaczęła zachwycać się obrazami. Dziewczynka natomiast cały czas się od niej odsuwała. Athena sięgnęła po pędzelek, chcąc pomóc jej w malowaniu, ale kiedy mała to spostrzegła, wyrwała jej pędzelek z ręki. Przez cały czas nie wypowiedziała ani jednego słowa.

W końcu Athena dała za wygraną.

- Przyjadę do ciebie jutro, kochanie - obiecała. - Zabiorę cię na przejażdżkę. Przyniosę ci nowe farby. Bo widzisz - tłumaczyła łykając łzy - kończy ci się czerwony kolor.

Kiedy spróbowała pocałować dziewczynkę, dwie małe śliczne rączki odepchnęły ją.

Athena wstała z podłogi i wyprowadziła Crossa z pokoju. Dała mu kluczyki, żeby prowadził, sama zaś ukryła twarz w dłoniach i płakała. Cross nie wiedział, co powiedzieć.

W Malibu Athena wzięła się w garść. Kiedy znaleźli się z powrotem w domu, wyjaśniła:

- To jest dziecko, które podobno zakopałam na pustyni. Czy teraz mi wierzysz?

Pierwszy raz Cross uwierzył, że Athena może go pokochać.

Wprowadziła go do kuchni i zaparzyła kawę. Usiedli we wnęce, skąd widać było ocean. Popijając kawę Athena zaczęła mówić. Mówiła spokojnie, bez emocji.

- Kiedy uciekłam od Boza, dziecko zostawiłam u dalekich krewnych, małżeństwa mieszkającego w San Diego. Mała wydawała się normalna. Nie wiem, czy już wtedy była autystyczna, może nie. Zostawiłam ją u nich, bo chciałam za wszelką cenę zostać sławną aktorką. Musiałam zarobić na nas obie. Wierzyłam, że jestem utalentowana, a wszyscy ciągle

mi powtarzali, że jestem piękna. Myślałam, że jak się ustabilizuję, wezmę małą do siebie. Pracowałam zatem w Los Angeles i kiedy tylko mogłam, odwiedzałam ją w San Diego. Potem zaczęłam się przebijać i odwiedzałam ją rzadziej, raz w miesiącu. Wreszcie miałam już warunki, żeby ją wziąć do siebie i pojechałam na jej trzecie urodziny z różnymi prezentami, ale wtedy Bethany już żyła w innym świecie. Nie reagowała. Nie potrafiłam do niej dotrzeć. Przeraziłam się. Pomyślałam, że może ma guz mózgu, przypomniałam sobie, jak Boz upuścił ją na podłogę. Może doznała wówczas jakiegoś urazu, który dopiero teraz się objawił. Zaczęłam wozić ją po lekarzach, poddałam ją wszelkim możliwym badaniom, byłam z nią u specjalistów, wszystko sprawdzili. Potem ktoś, nie pamiętam już kto, lekarz w Bostonie czy psychiatra w Teksaskiej Klinice Dziecięcej, powiedział mi, że Bethany jest autystyczna. Nie wiedziałam, co to znaczy. Opóźniona w rozwoju? „Nie - wyjaśnił ten lekarz. - To znaczy, że żyje we własnym świecie, nie uświadamia sobie istnienia innych ludzi, nie interesuje się nimi, nie żywi żadnych uczuć do rzeczy i ludzi”. Wtedy zawiozłam ją do kliniki nieopodal mojego domu i tam odkryto, że Bethany pozytywnie reaguje na maszynę do przytulania, którą widziałeś. Lubi tę „przytulankę”, więc postanowiłam ją tam zostawić.

Cross słuchał, nie odzywając się ani słowem.

- Będąc autystycznym dzieckiem - ciągnęła Athena - nigdy mnie nie pokocha. Wiem jednak od lekarzy, że autystyczni ludzie bywają bardzo utalentowani, prawie genialni. Myślę, że Bethany jest geniuszem. Nie tylko w malowaniu. Jest jeszcze coś. Lekarze mi powiedzieli, że wieloletnimi ćwiczeniami można osiągnąć stan, w którym takiej osobie zaczyna zależeć na niektórych rzeczach, na niektórych ludziach. Bywa, że osoba autystyczna prowadzi niemal normalne życie. W tej chwili Bethany nie znosi muzyki i w ogóle żadnego hałasu. Ale kiedyś nie znosiła, kiedy jej dotykałam, potem zaś nauczyła się mnie tolerować i teraz jest znacznie lepiej. Owszem, odpycha mnie, ale już nie tak gwałtownie. Poczyniłyśmy pewne postępy. Kiedyś myślałam, że to kara za to, że opuściłam ją, by zrobić karierę. Ale specjaliści mówią, że autyzm wprawdzie wydaje się chorobą dziedziczną, ale czasem bywa nabyty, choć dokładnie nie wiadomo, jak to się dzieje. Lekarze powiedzieli też, że jej stan nie może być następstwem tego, że upadła na głowę, gdy Boz ją upuścił, ani tego, że zostawiłam ją, ale nie wiem, czy im wierzyć. Zapewnili mnie, że żadne z nas nie ponosi odpowiedzialności, że choroba ta jest wielką niewiadomą, może miała ją w genach. Ich zdaniem nie można było jej zapobiec i nie można jej uleczyć. Ale znowu coś mi mówi, żeby im nie wierzyć.

O niczym innym właściwie nie myślę. Musiałam zrobić to, co zrobiłam. Musiałam zarobić dużo pieniędzy. Umieściłam ją w klinice i spędzałam z nią przynajmniej jeden weekend w miesiącu, odwiedzałam ją również w dni powszednie. W końcu dorobiłam się,

zdobyłam sławę, ale wszystko przestało się dla mnie liczyć. Zaczęło mi zależeć tylko na Bethany. Postanowiłam, że po Messalinie tak czy owak odejdę.

- Dlaczego? - zdziwił się Cross. - Co będziesz robić?

- We Francji jest klinika, w której pracuje pewien wspaniały lekarz - odparła Athena. - Tam właśnie zamierzałam pojechać po skończeniu filmu. Wtedy zjawił się Boz. Przestraszyłam się, że kiedy mnie zabije, Bethany zostanie na tym świecie sama jak palec. Stąd moje zachowanie. Ona poza mną nikogo nie ma. Biorę ten grzech na siebie. To głupsze od oper mydlanych, prawda? - spytała ze smutnym uśmiechem.

Cross patrzył na ocean. W słońcu miał barwę jasnyniebieskiej farby olejnej. Przypomniał sobie dziewczynkę i jej beznamiętną twarzyczkę, która nigdy nie otworzy się dla tego świata.

- Co to za skrzynka, w której leżała? - spytał.

Athena roześmiała się.

- W tej skrzynce cała moja nadzieja. To smutne, prawda? Skrzynka służy do przytulania. Kiedy dziecko jest smutne, wkłada się je do tej skrzynki. Skrzynka je „przytula”, nie narażając na niechciany kontakt z człowiekiem. - Athena wzięła głęboki oddech. - Wiesz, Cross, pewnego dnia zajmę miejsce tego pudełka. To jest teraz celem mojego życia. Czymś, co nadaje mu sens. Czy to nie śmieszne? W wytwórni mi mówią, że dostaję tysiące listów od ludzi, którzy piszą, że mnie kochają. Ludzie wyciągają ręce, żeby mnie dotknąć. Mężczyźni nieustannie wyznają mi miłość. Kochają mnie wszyscy z wyjątkiem Bethany, a ona jest jedyną osobą, na której mi zależy.

- Pomogę ci w każdy możliwy sposób - przyrzekł Cross.

- To zadzwoń do mnie w przyszłym tygodniu - odparła Athena. - Bądźmy razem do skończenia Messaliny.

- Zadzwoń - obiecał Cross. - Nie potrafię dowieść mojej niewinności, ale kocham cię ponad wszystko na świecie.

- Naprawdę jesteś niewinny? - spytała Athena.

- Naprawdę - odparł Cross. Teraz, kiedy wiedział już, że Athena jest niewinna, wołał, żeby nie znała prawdy.

Cross myślał o Bethany, jej twarzyczce tak artystycznie pięknej z jej ostrymi płaszczynami, lustrzanymi oczami. Rzadki okaz istoty ludzkiej zupełnie wolnej od grzechu.

Athena zaś myślała o Crossie. Był jej jedynym znajomym, któremu pokazała Bethany. Miało to być czymś w rodzaju testu.

Największym szokiem w jej życiu było odkrycie, że chociaż jest taka piękna, taka

utalentowana (i jak myślała o sobie nieco ironicznie, taka uprzejma, taka miła, taka wspaniałomyślna), jej najbliżsi znajomi, mężczyźni, którzy ją kochali, krewni, którzy ją podziwiali, w istocie cieszą się z jej niepowodzeń.

To było wtedy, gdy Boz podbił jej oko i znajomi mówili o nim „co za drań z niego”, ale ich spojrzenia zdradzały satysfakcję. Pomyślała wtedy, że jej się przywidziało, że jest po prostu przewrażliwiona. Kiedy jednak Boz podbił jej oko drugi raz i tamci patrzyli na nią w taki sam sposób, poczuła się straszliwie zraniona. Wtedy wszystko zrozumiała.

Oczywiście, że ją kochali. W to nie wątpiła. Ale byli troszkę zawistni. Wspaniałość w każdej postaci budzi zazdrość.

Dlatego między innymi lubiła Claudię. Claudia nie miała nigdy takiej miny.

Musiała ukrywać Bethany przed znajomymi. Trudno byłoby jej znieść, gdyby ludzie, których kochała, cieszyli się, że los pokarał ją za jej urodę.

Zatem, chociaż знаła siłę swej urody i wykorzystywała ją, jednocześnie nienawidziła. Nie mogła się już doczekać, kiedy zmarszczki porają jej piękną twarz, znacząc na skórze drogę, którą wybrała, przeżyta przez nią podróż, z niecierpliwością wyglądała dnia, kiedy jej ciało napełni się, zmięknie i powiększy dla wygody tych, których będzie trzymała w ramionach i kochała, kiedy jej oczy zaszkłają się smutkiem z powodu cierpienia, które widziała, i z powodu łez, których nie wylała. Zmarszczki wokół jej warg zaświadcza, że śmiała się z siebie i z życia. Ależ poczuje się wolna, kiedy przestanie czuć się winna z powodu swej urody, a zacznie się cieszyć znacznie od niej trwalszym spokojem ducha.

Dlatego była ciekawa, jaką minę zrobi Cross De Lena na widok Bethany. Trochę go odrzuciło, ale tylko w pierwszej chwili. Athena wiedziała już o Crossie dwie rzeczy. Po pierwsze, że zakochał się w niej na zabój, po drugie, że nie poczuł złośliwej satysfakcji, poznawszy jej tragedię.

Rozdział dwunasty

Claudia postanowiła zdyskontować swą erotyczną przygodę z Elim Marrionem, zmuszając go do przyznania Ernestowi Vailowi należnych mu procentów. Normalnie gardziła takimi chwytami, ale w tym przypadku była skłonna odstąpić od swych zasad. Bobby Bantz miał węża w kieszeni, a z Elim Marrionem nigdy nic nie było do końca wiadomo, poza tym, że czuł do niej miętę. Zresztą, w świecie filmowym panował taki zwyczaj, że zbliżenie erotyczne, choćby nawet symboliczne, wymagało pewnego materialnego zadośćuczynienia.

Do działania sprowokowała ją zapowiedź Vaila, że popełni samobójstwo. Wtedy prawa do jego powieści przejdą na jego eks-żonę i dzieci, czego Molly Flanders z pewnością dopilnuje. Nikt, łącznie z Claudią, nie wierzył, że Vail targnie się na życie, ale Bobby Bantz i

Eli Marrion, którzy dla pieniędzy sami zrobiliby wszystko, mogą się trochę przestraszyć.

Kiedy Claudia, Ernest i Molly przyjechali do wytwórni, w gabinecie dyrektora zastali Bobby'ego Bantza. Ich pojawienie się zmieszało go, choć starał się to ukryć, witając się z nimi wylewnie, szczególnie z Vailem.

- Nasza narodowa duma - powiedział i skłonił się przed nim z szacunkiem.

Zachowanie Bantza wzbudziło czujność Molly.

- Gdzie jest Eli? - spytała niespokojnie. - Tylko on może podjąć decyzję w sprawie, z którą przyszliśmy.

- W szpitalu Cedar Sinai - odparł obojętnym tonem. - Nic poważnego, zwykle badania kontrolne. Mówię wam o tym w zaufaniu. Nie chcemy, żeby akcje LoddStone Studios spadły na giełdzie.

- Eli ma ponad osiemdziesiąt lat - zauważyła Claudia sucho. - W tym wieku każdy pobyt w szpitalu jest poważny.

- Ależ skąd! - obruszył się Bantz. - Pracujemy normalnie. Eli jest w lepszej formie niż kiedykolwiek. Powiedźcie mi, o co chodzi, to mu przekażę.

- Co to, to nie - ucięła Molly.

- Może jednak mu powiedzmy - zaproponował Ernest Vail.

Przedstawili sprawę. Bantz musiał się uszczypnąć, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- Wiecie, różne rzeczy słyszałem w tym mieście, ale to coś zupełnie nowego - stwierdził. - Zasięgałem języka u naszych prawników i oni powiedzieli, że zgon Vaila nic nie zmieni. To jest bardzo skomplikowana sprawa z prawnego punktu widzenia.

- Radziłabym ci zasięgnąć języka u waszych rzeczników prasowych - rzekła Claudia. - Jeśli Ernest popełni samobójstwo, cała sprawa trafi do mediów i LoddStone Studios zyskają sobie złą sławę. Nie sądzę, żeby Eli tego chciał. On ma większe poczucie przyzwoitości.

- Niż ja? - spytał uprzejmie Bobby Bantz, z trudem hamując wściekłość. Czy ci ludzie nie wiedzieli, kto tu naprawdę rządzi? Odwrócił się do Ernesta. - Jak zamierzasz to zrobić? - spytał. - Strzelisz sobie w łeb, poderzniesz żyły czy wyskoczysz przez okno?

- Popęnię harakiri na twoim biurku - oznajmił Vail wesoło.

Wszyscy się roześmiali.

- W ten sposób niczego nie osiągniemy - powiedziała Molly. - A może byśmy tak wszyscy pojechali do szpitala i odwiedzili Eliego?

- Nie zamierzam nachodzić człowieka złożonego chorobą w szpitalnym łóżku i zawracać mu głowy pieniędzmi - powiedział Vail.

Spojrzeli na niego z sympatią. Oczywiście, w klasycznym ujęciu było to brakiem

taktu. Z drugiej strony, czy choroba powstrzymywała ludzi od planowania morderstw, rewolucji, oszustw, zdrad? Szpitalne łóżko nie jest żadnym świętym miejscem. Zresztą wiedzieli, że protest Vaila to zasadniczo romantyczny konwenans.

- Jeśli chcesz nadal być moim klientem, Erneście, to lepiej się nie odzywaj - poradziła chłodno Molly. - Leżąc w tym łóżku, Eli załatwił na cacy setki osób. Bobby, zawrzyjmy rozsądny układ. Te ciagi dalsze filmu na podstawie Ernestowej książki są kurami znoszącymi złote jaja. Stać was na to, by przyznać mu parę procent od dochodu brutto, tak na wszelki wypadek.

Bantz był przerażony. Poczł gorące ukłucie w jelitach.

- Od dochodu brutto? - upewnił się. - Mowy nie ma.

- No dobra - rzekła Molly. - A co powiesz o pięciu procentach od formalnego dochodu netto? Czyli dochodu netto bez obciążeń na reklamę, bez odliczeń na podatki, bez punktów dla gwiazd.

- Ładne mi netto - obruszył się Bantz. - A poza tym wszyscy dobrze wiemy, że Ernest się nie zabije z powodu takiego głupstwa. Jest na to za inteligentny - powiedział, a pomyślał „tchórzliwy”.

- Ale po co wyzywać los? Wszystko policzyłam. Planujecie co najmniej trzy ciagi dalsze, które przyniosą co najmniej pół miliarda, z kinami za granicą, ale bez wideo i telewizji. Bóg jeden tylko wie, ile forsy zarobicie, pieprzeni złodzieje, na wideo. Czemu więc nie odpalicie czegoś Ernestowi, jakichś dwudziestu milionów? Tyle dalibyście każdej zakichanej gwiazdzie.

Bantz się zastanawiał. Po czym przywołał swój czarujący uśmiech.

- Erneście - powiedział - jako pisarz jesteś naszą dumą narodową. Nikt nie szanuje cię bardziej ode mnie. Eli przeczytał wszystkie twoje książki. On cię uwielbia. Pójdziemy więc na kompromis.

Claudia była zażenowana tym, jak Ernest łatwo połknął haczyk, choć trzeba powiedzieć na jego usprawiedliwienie, że skrzywił się, słysząc, że jest „naszą dumą narodową”.

- Mów konkretnie - rzekł.

Tu Claudia była z niego dumna.

- Co powiesz - Bantz zwrócił się do Molly - na pięcioletni kontrakt po dziesięć tysięcy tygodniowo za pisanie scenariuszy własnego pomysłu oraz przerabianie cudzych. Z zastrzeżeniem, że te własne my oglądamy pierwsi. A za każdą przeróbkę dostanie dodatkowo pięćdziesiąt tysięcy tygodniowo. Przez pięć lat może zarobić nawet dziesięć milionów.

- Podwój stawkę - rzekła Molly - to się zastanowimy.

W tej chwili Vail jakby stracił swą anielską cierpliwość.

- Żadne z was nie traktuje mnie poważnie - powiedział. - Potrafię liczyć, Bobby. To, co mi proponujesz, da najwyżej dwa i pół miliona. W życiu nie kupisz mojego scenariusza, a ja żadnego nie napiszę. Nigdy nie dasz mi żadnych przeróbek. A co będzie, jeśli nakręcicie sześć ciągów dalszych? Zarobicie miliard. - Roześmiał się szczerze ubawiony. - Dwa i pół miliona dolarów mnie nie urządza.

- Z czego się, do cholery, śmiejesz? - spytał Bobby.

Vail zaśmiewał się prawie histerycznie.

- W życiu nie marzyłem o jednym milionie, a teraz nie urządza mnie dwa i pół miliona.

Claudia знаła poczucie humoru Vaila.

- Dlaczego? - spytała.

- Dlatego, że nadal będę żyć - odparł Vail. - Mojej rodzinie są potrzebne duże pieniądze. Zaufali mi, a ja ich zawiodłem.

Może by się wzruszyli, nawet Bantz, gdyby Vail zachowywał się bardziej naturalnie, mniej pewnie.

- Idziemy do Eliego - zawyrokowała Molly Flanders.

Raptem Vail stracił panowanie nad sobą i krzyknął, wybiegając z gabinetu:

- Nie potrafię się z wami dogadać. Mówiłem przecież, że nie zamierzam napastować chorego człowieka.

- I dla tego człowieka chcecie nadstawić karku? - spytał Bobby Bantz, gdy za Vaiłem zatrzasnęły się drzwi.

- Dlaczego by nie? - zdziwiła się Molly. - Broniłam w sądzie faceta, który zadźgał matkę i troje własnych dzieci. Ernest nie jest gorszy od niego.

- A co ty masz na swoje usprawiedliwienie? - spytał Bantz Claudię.

- My, pisarze, musimy się popierać - powiedziała gładko.

Roześmiali się.

- To by było mniej więcej tyle - podsumował Bobby. - Zrobiłem wszystko, co mogłem, prawda?

- Dlaczego nie dasz mu punktu lub dwóch, Bobby? - spytała Claudia. - To mu się słusznie należy.

- Dlatego, że on przez całe życie nabija w butelkę pisarzy, aktorów i reżyserów. To sprawa zasad - stwierdziła Molly.

- Masz rację - rzekł Bantz. - Kiedy oni są górą, to nabijają nas w butelkę. Na tym polega biznes.

- Naprawdę Eli dobrze się czuje? - spytała Molly, udając zafrasowanie. - Nic mu nie jest?

- Bardzo dobrze - odparł Bantz. - Nie sprzedawaj naszych akcji.

- W takim razie może nas przyjąć - stwierdziła Molly.

- I tak chciałabym go odwiedzić - wtrąciła Claudia. - Eli jest mi naprawdę bliski. Dał mi pierwszą szansę.

Bantz pokręcił energicznie głową.

- Będziesz się miał z pyszna, Bobby, jak Ernest się zabije - powiedziała Molly. - Te ciagi dalsze są warte więcej, niż mu powiedziałam. Chciałam się wam przysłużyć.

- Nie zabije się, łajza - orzekł Bantz. - Do tego trzeba być facetem z jajami.

- Raz nasza narodowa duma, raz łajza - zauważyła Claudia z rozbawieniem.

- Wiesz, ten facet jest trochę szurnięty - powiedziała Molly. - Przeniesie się na tamten świat ze zwykłej przekory.

- Ćpa? - spytał trochę niespokojnie Bantz.

- Nie ćpa - odparła Claudia - ale jest nieobliczalny. To ekscentryk, choć nawet nie zdaje sobie z tego sprawy.

Bantz zastanawiał się przez chwilę. A jeśli one mają trochę racji? Zresztą, nie lubił niepotrzebnie przysparzać sobie wrogów. Nie chciał, żeby Molly Flanders czuła do niego urazę. Takiej kobiecie lepiej nie podpaść.

- Zadzwoń do Eliego - oznajmił. - Jeśli się zgodzi was przyjąć, pojedziemy tam razem.

Był przekonany, że Marrion się nie zgodzi. Ale ku jego zdumieniu Marrion powiedział:

- Ależ, oczywiście. Przyjedźcie do mnie wszyscy.

Do szpitala pojechali limuzyną Bantza, długą jak jamnik, ale bynajmniej nie luksusową. Wyposażona była w faks, komputer i telefon komórkowy. Obok kierowcy siedział goryl z Agencji Ochrony „Pacyfik”. Za limuzyną jechał samochód z dwoma innymi ochroniarzami.

Przez zadymione szyby miasto wyglądało jak na starych kowbojskich filmach. W miarę, jak się zbliżali do centrum, budynki stawały się coraz wyższe. Kamienny las. Claudię zawsze zadziwiała, że wystarczy dziesięć minut, żeby z małego, sielankowego, pełnego zieleni miasteczka przenieść się do metropolii z betonu i szkła.

W szpitalu Cedar Sinai korytarze były przestronne jak hale na lotnisku, za to sprasowany sufit kojarzył się z dziwacznym ujęciem w impresjonistycznym filmie niemieckim. Przywitała ich urzędniczka w surowym, ale wyraźnie drogim kostiumie, który przypominał Claudii przyodziewki hostess w lasvegańskich hotelach.

Ekspresową windą wjechali na ostatnie piętro, na którym znajdowały się apartamenty dla specjalnych pacjentów.

Wchodziło się do nich przez ogromne, sięgające sufitu, czarne, rzeźbione, dębowe drzwi z błyszczącymi mosiężnymi gałkami. Otwierały się jak bramy. Apartament Eliego składał się z sypialni, przestronnej jadalni-salonu ze stołem i krzesłami, kanapą i fotelami oraz niszy dla sekretarki, gdzie stały komputer i faks. Do tego dochodziła wnęka kuchenna i łazienka dla gości, oprócz łazienki dla pacjenta. Wysoki sufit i brak ściany między wnęką kuchenną a salonem i aneksem gabinetowym nadawał pomieszczeniu wygląd planu filmowego.

Na białym łóżku szpitalnym z wykrochmaloną pościelą i wielkimi poduchami leżał Eli Marrion. Czytał scenariusz w pomarańczowej okładce. Na stoliku obok łóżka leżały skoroszyty z bieżącymi rachunkami. Po drugiej stronie łóżka siedziała śliczna sekretareczka z notatnikiem. Marrion zawsze lubił otaczać się pięknymi kobietami.

Bobby Bantz pocałował go w policzek.

- Wyglądasz doskonale, po prostu doskonale.

Molly i Claudia też go pocałowały w policzek. Claudia się uparła i przyniosła mu kwiaty. Położyła bukiet na kołdrze. Poufałość taka była usprawiedliwiona chorobą wielkiego Marriona.

Rozejrzała się wokół, usiłując zapamiętać wszystkie szczegóły, które mogły jej się przydać przy pisaniu scenariusza. Dramaty rozgrywające się w szpitalu to finansowy pewniak.

Eli Marrion bynajmniej nie wyglądał „doskonale, po prostu doskonale”. Na wargach miał niebieskoatramentowe bruzdy, mówiąc, łapał ustami powietrze. Z nozdrzy wychodziły mu dwa zielone wąsy, które łączyły się z cienką plastikową rurką, która z kolei biegła do butelki z bulgoczącą wodą, inna rurka ginęła w ścianie, łącząc butelkę z ukrytym gdzieś z drugiej strony zbiornikiem tlenu.

Marrion zauważył zmarszczone brwi Claudii.

- Tlen - wyjaśnił.

- Ale tylko tymczasowo - dodał pośpiesznie Bobby Bantz. - Ułatwia mu oddychanie.

Molly Flanders nie zwracała uwagi na plastikowe rurki.

- Eli - zaczęła - wprowadziłam Bobby'ego w sytuację. Potrzebna jest tylko twoja zgoda.

Marrion wydawał się być w dobrym humorze.

- Wiem, że jesteś najbardziej nieustępliwą prawniczką w mieście, Molly. Nie odpuszczisz nawet człowiekowi leżącemu na marach, co?

Claudia zmartwiła się.

- Bobby zapewniał nas, że nic ci nie jest, Eli. Po prostu chcieliśmy cię odwiedzić - powiedziała zawstydzona.

Marrion uniósł dłoń w geście pojednania i błogosławieństwa.

- Wszystko rozumiem. - Skinął do sekretarki, która posłusznie wstała i opuściła pokój. Pielęgniarka, przystojna, z wyglądu twarda kobieta, czytała książkę przy stole. Marrion dał jej znak, by wyszła. Pokręciła przecząco głową.

Marrion roześmiał się niskim, charczącym śmiechem.

- To jest Priscilla, najlepsza pielęgniarka w całej Kalifornii - przedstawił ją gościom. - Pracuje na oddziale intensywnej terapii, dlatego jest taka harda. Lekarz sprowadził ją specjalnie dla mnie. Ona tu rządzi.

Priscilla skinęła do nich i wróciła do lektury.

- Zgodzę się na ograniczenie jego punktów do maksymalnej kwoty dwudziestu milionów - powiedziała Molly. - Potraktujcie to jak ubezpieczenie. Po co ryzykować? Bądźcie sprawiedliwi.

- Nie jesteśmy niesprawiedliwi - warknął Bantz. - Podpisał kontrakt.

- Och, zamknij się, Bobby - zdenerwowała się Molly.

Marrion nie zwracał na nich uwagi.

- A co ty myślisz, Claudio? - spytał wreszcie.

Claudia myślała różne rzeczy. Na przykład, że Marrion jest bardziej chory, niż mówiono. To okrutne tak przyciskać do muru starca, który miał trudności nawet z mówieniem. Kusilo ją, żeby wstać i wyjść, ale wtedy uświadomiła sobie, że Eli nie pozwoliłby im tu przyjść, gdyby sam nie miał w tym jakiegoś interesu.

- Ernest to facet, który lubi zaskakiwać - powiedziała. - W dodatku uparł się, że ustawi finansowo rodzinę. Poza tym, to pisarz, a ja skądinąd wiem, Eli, że lubisz pisarzy. Zaklasyfikuj ten wydatek jako wsparcie sztuki. Do diabła, Eli, przecież dałeś Metropolitan Museum dwadzieścia milionów dolarów. Dlaczego więc żałujesz forsy Ernestowi?

- Żeby wszyscy agenci skoczyli nam do gardła? - zdenerwował się Bantz.

Eli Marrion wziął głęboki oddech, a zielone „wąsy” weszły mu jeszcze głębiej do

nosa.

- Molly, Claudio, chciałbym utrzymać rzecz w tajemnicy. Dam Vailowi dwa punkty od dochodu brutto, ale nie więcej niż dwadzieścia milionów. Dam mu milion zaliczki. Czy to was zadowala?

Molly zastanowiła się. Dwa punkty od dochodu brutto z wszystkich filmów powinny przynieść minimum piętnaście milionów, a może więcej. Większej sumy nie zdoła od nich wyciągnąć, była nawet zdumiona, że Marrion zaproponował aż tyle. Jeśli zacznie się targować, stary gotów w ogóle się wycofać.

- To mnie bardzo zadowala, Eli, dzięki. - Nachyliła się i pocałowała go w policzek. - Jutro wyślę pismo do twego biura. Wracaj jak najszybciej do zdrowia.

Claudia nie mogła opanować radości i wzięła Eliego za rękę. Miał na skórze dwa brązowe znamiona. Dłoń była zimna, co zwiastowało śmierć.

- Uratowałeś Ernestowi życie.

W tej chwili do pokoju weszła córka Eliego z dwojgiem dzieci. Priscilla, pielęgniarka, wstała od stołu z miną kota, który wywęszył mysz i zagroziła dzieciom drogę. Córka Eliego była dwukrotną rozwódką i nie bardzo się z nim zgadzała, ale Eli pozwalał jej prowadzić na terenie wytwórni własną firmę produkcji filmów, ponieważ uwielbiał wnuki.

Claudia i Molly usunęły się dyskretnie. Pojechały do biura Molly, skąd zadzwoniły do Ernesta i zakomunikowały mu dobrą wiadomość. Ernest uparł się, żeby to uczcić kolacją.

Córka Marriona z dziećmi nie zabawiła zbyt długo. Wystarczająco jednak, żeby wyciągnąć z ojca obietnicę, że kupi bardzo drogą powieść do jej następnego filmu.

Wreszcie Bobby Bantz i Eli Marrion zostali sami.

- Jesteś dziś bardzo ugodowy - zauważył Bantz.

Marrion czuł wielkie znużenie w ciele, w które pompowano bez przerwy powietrze. Przy Bobbym mógł się odprężyć, przy nim nie musiał grać. Tyle razem przeżyli, rządili, wygrywali wojny, podróżowali i intrygowali po całym świecie. Potrafili czytać w swoich myślach.

- Czy ta powieść, którą kupuję mojej córce, nadaje się na film? - spytał Marrion.

- Na niskobudżetowy - odparł Bantz. - Twoja córka natomiast kręci, cytuję, „filmy ambitne”.

Marrion ciężko westchnął.

- Dlaczego zawsze musimy płacić za dobre intencje innych? Daj jej przyzwoitego pisarza, ale żadnych gwiazd. Będzie uszczęśliwiona, a my nie stracimy za dużo pieniędzy.

- Naprawdę zamierzasz przyznać Vailowi punkty od zysków brutto? - spytał Bantz. -

Nasz prawnik mówi, że nawet jeśli on umrze, wygramy sprawę.

- O ile wyzdrowieję - odparł Marrion z uśmiechem. - W przeciwnym razie zrobisz, co zechcesz. Będziesz trząsał tym interesem.

Bantz był zdumiony takim sentymentalizmem.

- Wyzdrowiejesz, Eli, oczywiście, że wyzdrowiejesz.

I mówił to absolutnie szczerze. Nie tylko nie chciał zająć miejsca Eliego Marriona, ale bał się dnia, kiedy będzie musiał to zrobić. Nie czując za sobą Marriona, tracił pewność siebie.

- Zrobisz, co zechcesz, Bobby - powtórzył Marrion. - Prawda jest taka, że ja już z tego nie wyjdę. Lekarze namawiają mnie na przeszczep serca, ale ja sobie tego nie życzę. Z tym zakichanym sercem, co mam, pożyję jeszcze z pół roku, no, może rok. Zresztą, jestem za stary na taką operację.

Bantza zatkało.

- Nie mogą ci zrobić bypassu? - wykrztusił.

Marrion pokręcił głową.

- Nie gadaj takich głupstw, oczywiście, że się poddasz operacji - ciągnął zdenerwowany Bantz. - Zbudowałeś połowę tego szpitala, muszą dać ci serce. Przed tobą dobrych dziesięć lat życia... Widzę, że jesteś zmęczony, Eli, więc porozmawiamy o tym jutro.

Ale Marrion już spał. Bantz postanowił, że porozmawia z lekarzami. Niech szukają nowego serca dla Eliego Marriona.

Ernest Vail, Molly Flanders i Claudia De Lena jedli uroczystą kolację w „La Dolce Vita” w Santa Monica, ulubionej restauracji Claudii. Raz w dzieciństwie była tu z ojcem i zapamiętała, że czuła się jak królowa. Wielkie wrażenie zrobiły na niej wówczas butelki z czerwonym i białym winem, które stały w podokiennych wnękach, na stojakach za ławkami i w ogóle wszędzie. Człowiek wyciągał rękę i brał butelkę, jak gdyby zrywał winogrona.

Ernest tryskał humorem i Claudia sama już nie wiedziała, co o nim myśleć. Wyśmiewał się z wytwórni, że przestraszyła się jego grózb. Doskonałe czerwone wino wprawiło ich wszystkich w wesoły nastrój, połączony z lekką chełpliwością. Byli bardzo z siebie zadowoleni. Jedzenie, na wskroś włoskie, podziało na nich jak zastrzyk energii.

- Zastanawiam się - mówił Vail - czy nie zażądać trzech punktów zamiast dwóch?

- Nie bądź taki pazerny - rzekła Molly. - Zgodziłam się już na dwa.

Vail pocałował ją szarmancko w rękę.

- Jesteś genialna, Molly - stwierdził. - Genialna, ale i bezlitosna. Jak mogłyście napaść na chorego człowieka?

Molly umoczyła chleb w sosie pomidorowym.

- Erneście, nigdy nie zrozumiesz tego miasta. Tu nie istnieje coś takiego jak litość. Nikt nie patrzy na to, czy jesteś pijany, zaćpany, zakochany, zbankrutowany. Miałyśmy zrobić wyjątek dla chorego?

- Skippy Deere powiedział mi kiedyś, że przy kupnie zabiera się ludzi do chińskiej restauracji, a przy sprzedaży do włoskiej. Czy tak?

- Skippy jest producentem - odparła Molly. - Pewnie gdzieś coś takiego przeczytał. Wyrwane z kontekstu nic nie znaczy.

Vail zachowywał się jak facet, który właśnie wyszedł z więzienia - zamówił trzy talerze makaronu z różnymi sosami. Dał trochę na skosztowanie Claudii i Molly, ciekaw, czy im będą smakowały.

- To najlepsze włoskie jedzenie na świecie poza Rzymem - zapewnił. - Jeśli idzie o teorię Skippy'ego, to widzę w niej pewną logikę. Chińskie jedzenie jest tanie, więc zapraszający się nie wykosztuje. Włoskie z kolei działa usypiająco i nastraja ugodowo. Co do mnie, lubię jedno i drugie. Ach, ten Skippy, nigdy nie popuści.

Vail zawsze zamawiał trzy desery. Nie, żeby je zjadał, po prostu lubił kosztować różnych smaków. Wszyscy znajomi traktowali to u niego jako coś normalnego. Nie dziwił też jego niekonwencjonalny sposób ubierania się - jak gdyby uważał, że ubrania służą wyłącznie osłanianiu ciała przed wiatrem lub słońcem - ani nieporządne golenie się z jednym baczkiem obciętym wyżej, drugim niżej. Nawet jego zapowiedź popełnienia samobójstwa nie wydawała się nielogiczna czy osobliwa. Ani jego absolutna, dziecięca szczerłość, która często raniła uczucia ludzi. Claudia była przyzwyczajona do ekscentryków. W Hollywood ich nie brakowało.

- Wiesz, Erneście, pasujesz do Hollywood. Jesteś wystarczająco ekscentryczny - zauważyła.

- Nie jestem ekscentryczny - zaprzeczył Vail - lecz nie dość obyty.

- A twoja deklaracja popełnienia samobójstwa z powodu pieniędzy?

- To była nader spokojna reakcja na naszą kulturę - wyjaśnił Vail. - Jestem zmęczony byciem nikim.

- Jak możesz tak mówić? - zniecierpliwiła się Claudia. - Napisałeś dziesięć książek. Zdobyłeś Pulitzera. Zdobyłeś międzynarodową sławę.

Vail wymiół do czysta makarony i teraz wpatrywał się w przystawkę, trzy perłowe plasterki cielęciny z cytryną.

- To gównu znaczy - stwierdził, sięgając po widelec i nóż. - Nie mam pieniędzy.

Pięćdziesiąt pięć lat zajęło mi odkrycie, że człowiek, który nie ma forsy, jest zerem.

- Nie jesteś ekscentrykiem, lecz wariatem - orzekła Molly. - I przestań jęczeć, że nie jesteś bogaty. Biedny też nie jesteś. Nie siedzielibyśmy tutaj. Nie rób z siebie męczennika sztuki.

Vail odłożył sztuce i poklepał Molly po dłoni.

- Masz rację - zgodził się. - Wszystko, co mówisz, jest prawdą. Zdarzają się chwile, kiedy cieszę się życiem. Ale świat schodzi na psy i to mnie przygnębia. - Upił wina i oznajmił poważnie: - Już nigdy nic nie napiszę. Pisanie powieści nie ma przyszłości, podobnie jak kowalstwo. Teraz liczy się tylko kino i telewizja.

- Nonsens - zaprzeczyła Claudia. - Ludzie zawsze będą czytać.

- Jesteś po prostu leniwy - stwierdziła Molly. - Szukasz wymówki, żeby nie pisać. To prawdziwy powód, dla którego chciałeś się zabić.

Roześmiali się. Ernest dał im na spróbowanie po kawałku cielęciny, a potem podzielił się z nimi deserami. Rycerski bywał wyłącznie przy jedzeniu, widać, wielką przyjemność sprawiało mu karmienie ludzi.

- Tak, to wszystko prawda - przyznał. - Ale pisarz nie może się utrzymać z pisania, chyba że pisze nieskomplikowane powieści. Zresztą nawet nieskomplikowane powieści nie mają przyszłości. Żadna powieść nie jest nigdy tak prosta jak film.

- Dlaczego tak deprecjonujesz filmy? - zdenerwowała się Claudia. - Sama widziałam, jak płakałeś na dobrych filmach. To też jest sztuka.

Vail dobrze się bawił. Wygrał oto wojnę z wytwórnią, miał swoje tantiemy.

- W zupełności zgadzam się z tobą, Claudio. Filmy są sztuką. Jeśli źle o nich mówię, to z zazdrości. Z powodu filmów powieści przestają się liczyć. Straciły sens liryczne opisy przyrody, świata rozgrzanego do czerwoności, krwawego zachodu słońca, śnieżnych czap na grzbiecie górskim, grzmiących fal oceanu - deklamował, gestykulując. - Kto by jeszcze pisał o namiętnych i pięknych kobietach? Co za sens, skoro można pokazać je w technikolorze? Ach, co to za rozkosz zobaczyć te tajemnicze kobiety o pełnych czerwonych wargach i kocich oczach, zobaczyć je bez majtek i z odkrytymi cyckami wyglądającymi smakowicie niczym befsztyk a la Wellington. Kino jest lepsze od prawdziwego życia, a co dopiero mówić o prozie. Po co pisać o niezwykłych wyczynach bohaterów, którzy zabijają setki wrogów, zwyciężają w nierównej walce, oddalają od siebie pokusy, skoro możesz zobaczyć na ekranie twarze ociekające krwią, torturowane, wykrzywione cierpieniem. Aktorzy i kamery załatwiają to automatycznie. Sły Stallone jako Achilles w Iliadzie. Jediną rzeczą, której ekran nie może wtłoczyć w umysły bohaterów, jest myślenie, kontemplowanie złożoności życia. - Przerwał, a

po chwili powiedział w zadumie: - A wiecie, co najgorsze? To, że jestem elitarystą. Chciałem zostać artystą, żeby być kimś wyjątkowym. Nienawidzę filmów za to, że są sztuką demokratyczną. Każdy może nakręcić film. Masz rację, Claudio. Niektóre filmy poruszyły mnie do łez. Równocześnie wiem, że ludzie, którzy je nakręcili, są nieczułymi, niewykształconymi, niemoralnymi kretynami. Scenarzysta jest analfabeta, reżyser egomaniakiem, producent rzeźnikiem moralności, a aktorzy walą pięściami w ścianę lub w lustro, kiedy chcą pokazać, że są sfrustrowani. Ale film działa. Jak to możliwe? Ano, możliwe, bo film wykorzystuje rzeźbę, malarstwo, muzykę, ludzkie ciała i technologię, podczas gdy pisarz dysponuje jedynie słowami, czarnymi literami na białym papierze. Prawdę mówiąc, nie uważam tego za straszne. To jest postęp. Nowa wspaniała sztuka. Demokratyczna sztuka. Sztuka bez cierpień. Wystarczy kupić kamerę i umówić się z przyjaciółmi na spotkanie.

Vail uśmiechnął się promiennie do swych towarzyszek.

- Czy to nie cudowny wynalazek? Sztuka, która nie wymaga prawdziwego talentu. Robisz własny film, co za demokracja, jaka terapia. Kręcenie filmów niebawem zastąpi seks. Ja obejrzę twój film, ty mój. Ta sztuka zmieni świat, i to na lepsze. Ciesz się, Claudio, że działasz w czymś, co jest przyszłością.

- Ale z ciebie protekcyjny kutas - obruszyła się Molly. - Claudia walczyła o ciebie jak lwica, broniła cię. I ja miałam do ciebie więcej cierpliwości niż do jakiegokolwiek z morderców, których broniłam. Zapraszasz nas na kolację, żeby nas obrażać.

Vail wydawał się prawdziwie zdumiony.

- Nie obrażam, definiuję. Jestem wam wdzięczny i obie was kocham. - Umilkł na chwilę, a potem powiedział pokornie: - Nie twierdzę, że jestem lepszy od was.

Claudia wybuchnęła śmiechem.

- Jesteś okropny, Erneście - stwierdziła.

- Tylko w życiu - odparł Vail. - Porozmawiajmy trochę o interesach. Molly, czy gdybym umarł i moja rodzina odzyskała wszystkie prawa, to LoddStone Studios zapłaciłyby pięć punktów?

- Co najmniej - odparła Molly. - Powiedz mi, zamierzasz się zabić dla tych paru punktów więcej? Przestaję cię rozumieć.

Claudia patrzyła na niego, marszcząc czoło. Już nie wierzyła w jego dobry humor.

- Czy dalej jesteś nieszczęśliwy, Erneście? Załatwiłyśmy ci wspaniały układ. Tak się cieszyłam.

- Zupełnie nie rozumiesz, o co chodzi w życiu, Claudio - powiedział ciepło Vail. -

Dlatego świetnie się nadajesz do pisania scenariuszy. Co za różnica, jestem szczęśliwy, czy nie? Najszczęśliwszy człowiek miewa złe okresy w życiu. Przeżywa ciężkie chwile. Spójrz na mnie. Odniosłem wielkie zwycięstwo, nie muszę się zabić. Miałem przyjemność spożyć smaczną kolację w towarzystwie dwóch pięknych, inteligentnych, serdecznych kobiet. Cieszę się, że moja żona i dzieci będą zabezpieczone finansowo.

- No to czemu, do cholery, jęczysz? - zdenerwowała się Molly. - Dlaczego psujesz sobie te przyjemności?

- Ponieważ nie mogę pisać - wyjaśnił Vail. - Co, obiektywnie rzecz biorąc, nie jest tragedią. Pisanie nie jest ważne, ale to jedyna rzecz, którą potrafię robić.

Co powiedziawszy, skończył swoje desery z takim apetytem, że kobiety zachichotały. Vail uśmiechnął się do nich.

- Chyba troszkę nabraliśmy starego Eliego - powiedział.

- Zbyt poważnie traktujesz tę impotencję twórczą - stwierdziła Claudia. - Po prostu trochę odczekaj.

- Scenopisarze nie cierpią na impotencję twórczą, ponieważ nie piszą. Nie mogę pisać, bo nie mam nic do powiedzenia. Porozmawiajmy teraz o czymś bardziej interesującym. Wiesz, Molly, nie potrafię zrozumieć, jak to jest, że mam obiecane dziesięć procent za film, który zarobił brutto sto milionów dolarów, a kosztował tylko piętnaście milionów, i nie dostaję ani pensa. Oto zagadka, którą chciałbym rozwiązać przed śmiercią.

To wprowadziło Molly znowu w dobry nastrój - uwielbiała tłumaczyć tego rodzaju zawiłości. Wyjęła z torby notes i napisała w nim kilka liczb.

- Wszystko się zgadza - stwierdziła. - Oni trzymają się kontraktu, tego kontraktu, którego nie powinieneś być podpisać. Patrz, masz sto milionów dochodu brutto. Kina i tym podobne biorą połowę, więc wytwórnia dostaje tylko pięćdziesiąt milionów, które nazywa się dochodem z dystrybucji...

Teraz tak. Wytwórnia odejmuje koszt filmu, czyli piętnaście milionów dolarów. Zostało trzydzieści pięć. Według twojego kontraktu i większości kontraktów, które zawierają LoddStone Studios, wytwórnia odejmuje trzydzieści procent z dochodów z dystrybucji na pokrycie kosztów własnej dystrybucji. To kolejne piętnaście milionów w ich kieszeniach. Zostało ci już tylko dwadzieścia. Teraz odejmują koszt wykonania kopii i reklamy filmu, które mogą wynieść kolejne pięć milionów. Czyli zostało ci piętnaście. A teraz ich popisowy numer. Zgodnie z kontraktem wytwórnia odejmuje dwadzieścia pięć procent dochodu brutto na pokrycie rachunków telefonicznych, rachunków za elektryczność, za użycie studia dźwiękowego. Zostało ci jedenaście. Dobrze, powiesz, weźmiesz te jedenaście milionów. Ale

nie możesz, bo gwiazda bierze co najmniej pięć procent, reżyser i producent też dostają po pięć procent. Czyli kolejne pięć milionów. Spadłeś do sześciu milionów. Trudno, powiesz, niech będzie sześć. Ale nie ma tak dobrze. Oni teraz potrącają ci wszystkie koszty dystrybucji, pięćdziesiąt tysięcy liczą ci za dostarczenie kopii na rynek angielski i drugie pięćdziesiąt za Francję lub Niemcy. A na końcu obciążają cię procentami od tych piętnastu milionów, które pożyczycy na nakręcenie filmu. W tym miejscu trochę się gubię. Tak czy owak, te ostatnie sześć milionów gdzieś znika. Tak to jest, kiedy się nie zleca mnie zawarcia kontraktu. Ten kontrakt, który teraz piszę, naprawdę załatwi ci kawałek tej żyły złota. Nie dochody brutto dla pisarza, ale bardzo dobrze określone dochody netto. Czy już wszystko rozumiesz?

- No, niezupełnie - roześmiał się Vail. - A co z pieniędzmi za telewizję i wideo?

- Z telewizji dużo nie zobaczysz - odparła Molly. - Co zaś do wideo, to nikt nie wie, ile tego ostatecznie jest.

- A teraz mój układ z Marrionem dotyczy dochodów brutto, tak? Nie wyrolują mnie znowu?

- Nie, jeśli ja napiszę kontrakt - zapewniła Molly. - To będzie całe brutto od początku do końca.

- Skończy się moje zmartwienie - stwierdził Vail markotnie. - Nie będę miał już wymówek, żeby nie pisać.

- Ależ z ciebie ekscentryk - zawołała Claudia.

- Nie, nie - zaprzeczył Vail. - Jestem tylko porąbany. Ekscentrycy robią dziwne rzeczy, by odwrócić uwagę ludzi od tego, co robią lub kim są. Są zawstydzeni. Dlatego ludzie filmu są tacy ekscentryczni.

Kto by pomyślał, że umieranie może być takie przyjemne, że będziesz czuł błogi spokój i wcale się nie bał? Że najlepiej ze wszystkich rozwiążesz tę wspaniałą powszechną zagadkę?

Eli Marrion, podczas nie kończącej się nocy chorego człowieka, ssał tlen z butli w ścianie i snuł refleksje o swoim życiu. Prywatna pielęgniarka Priscilla, pracująca na obie zmiany, czytała książkę przy przyziemnej lampce na drugim końcu pokoju. Marrion widział, jak jej oczy unoszą się co chwila znad książki, jak gdyby po każdej przeczytanej linijce sprawdzała, czy on jeszcze oddycha.

Marrion pomyślał, że ta scena w filmie wyglądałaby zupełnie inaczej, towarzyszyłoby jej wielkie napięcie. W filmie pielęgniarka nie odstępowałaby jego łóżka, lekarze bez przerwy by wchodzili i wychodzili, robiąc mnóstwo hałasu i zamieszania. Tymczasem on leżał sobie

w pokoju, w którym panowała cisza jak makiem zasiał, spokojnie oddychał przez plastikową rurkę, a pielęgniarka czytała książkę.

Tu, na najwyższym piętrze, znajdowały się trzy takie apartamenty dla bardzo ważnych ludzi. Polityków w odstawce, bogatych handlarzy nieruchomościami, trochę już zapomnianych gwiazdorów. Kiedyś królowali w swym świecie, a teraz - nocą, w szpitalu - byli wasalami śmierci. Leżeli bezradni, osamotnieni, zdani na łaskę personelu szpitala, pozbawieni władzy. Z rurkami w ciele, w nozdrzach czekali, żeby chirurdzy naprawili ich szwankujące serca lub, jak w jego przypadku, wstawili cudze, prawie nowe. Ciekawe, czy tamci czuli podobną rezygnację?

Skąd ona się wzięła? Czemu powiedział lekarzom, że nie reflektuje na przeszczep, że woli żyć tylko tak długo, jak długo wytrzyma jego zdezelowane serce? Właściwie, to dobrze, że nie zaczął rozczulać się nad sobą.

Wszystko było jasne, jak koszty filmu - określenie, ile trzeba zainwestować, ile się zwróci, tantiemy, honoraria dla aktorów, reżysera i nieprzewidziane wydatki.

Po pierwsze, był osiemdziesięcioletnim starcem i to wcale nie czerstwym osiemdziesięcioletnim starcem. Zdawał sobie sprawę z tego, że przeszczep serca wyłączyłby go z życia co najmniej na rok. Z całą pewnością musiałby pożegnać się z dowodzeniem LoddStone Studios. Z całą pewnością straciłby władzę w tym świecie.

Po drugie, co komu po życiu, jeśli się nie ma władzy? Co można robić w tym wieku, nawet mając nowe serce? Nie można uprawiać sportów, podrywać kobiet, czerpać przyjemności z jedzenia i picia. Nie, jedyną prawdziwą przyjemnością człowieka jest władza. I co w tym złego? Mając władzę, można zrobić dużo dobrego. Czy nie zlitował się nad Ernestem Vailem, wbrew twardym zasadom, wbrew uprzedzeniom, które żywił całe życie? Czy nie powiedział lekarzom, że rezygnuje z przeszczepu, by nie odebrać szansy na uratowanie życia jakiemuś dziecku lub młodemu człowiekowi? Czy nie wykorzystał swej władzy w imię wyższego dobra?

Przez całe swe długie życie miał do czynienia z hipokryzją, w którą sam teraz popadł. Prawda była taka, że zrezygnował z przeszczepu, ponieważ nie uważał go za dobry interes. Przyznał tantiemy Ernestowi Vailowi, ponieważ zależało mu na sympatii Claudii i na szacunku Molly Flanders, zwykły sentymentalizm. Czy to takie straszne, że starał się zachować dobrze w pamięci ludzi?

Był zadowolony ze swego życia. Przeszedł drogę od biedy do bogactwa, pokonał bliźniego. Doznał wszystkich przyjemności życiowych, kochał piękne kobiety, mieszkał w luksusowych domach, ubierał się w najdelikatniejsze jedwabie. Miał swój udział w tworzeniu

sztuki. Zdobył olbrzymią władzę i wielkie bogactwo. I próbował czynić dobro bliźniemu. Na przykład, zainwestował kilkadziesiąt milionów dolarów w ten szpital. Ale największą przyjemnością sprawiała mu walka z bliźnim. Czy to coś strasznego? W przeciwnym razie nie miałby możliwości czynienia dobra. Nawet teraz żałował ostatniego aktu miłosierdzia wobec Ernesta Vaila. Tego, co się zdobyło, nie wolno oddawać. Zwłaszcza pod groźbą. Ale Bobby się tym zajmie. Bobby się wszystkim zajmie.

Bobby rozgłosi, jak to on zrezygnował z przeszczepu, żeby serce mogło przypaść komuś młodszemu. Bobby zabierze wszystkie tantiemy. Bobby rozpędzi na cztery wiatry firmę produkcji filmów jego córki, która przynosi wytwórni same straty. Bobby weźmie na siebie całą winę.

Gdzieś w oddali usłyszał cichy dzwonek, potem grzechotanie faksu przesyłającego wydruk dochodów z kas kinowych opracowany w Nowym Jorku. To jękanie się było jak refren jego zacinającego się serca.

A teraz prawda. Miał dość życia. To nie ciało ostatecznie go zdradziło, lecz umysł.

A teraz prawda. Ludzie go rozczarowali. Byli nielojalni, żałośni, pazerni na pieniądze i sławę. Ileż obłudy, nieszczerości, dwulicowości widział między kochankami, mężami a żonami, ojcami, synami, matkami, córkami. Dzięki Bogu za filmy, które zrobił, a które dały ludziom nadzieję, dzięki Bogu za wnuki i dzięki Bogu za to, że nie zobaczy, jak się stają dorosłe.

Faks dalej się jąkał, wtórując zdezelowanemu sercu Marriona. Białe poranne światło wypełniło pokój. Pielęgniarka zgasiła lampkę i zamknęła książkę. Smutno mu było umierać, mając u boku tylko tę obcą osobę, gdy kochało go tyle ważnych osobistości. Pielęgniarka poprosiła go, żeby otworzył powieki, przyłożyła mu stetoskop do piersi. Drzwi jego apartamentu rozsunęły się niczym odrzwia jakiejś dawnej świątyni i Marrion usłyszał dzwonięcie naczyń ze śniadaniem...

Po czym pokój wypełnił się bardzo jasnym światłem. Czyjeś pięści zaczęły walić go w pierś i Marrion zadał sobie pytanie, dlaczego mu to robią. W jego głowie utworzyła się chmura, otoczyła mgłą mózg. Przez tę mgłę dochodziły go czyjeś krzyki. W niedotlenionym mózgu kołotało mu zdanie z filmu: „A więc to tak umierają bogowie?”

Poczuł wstrząs elektryczny, uderzenia pięściami, nacinanie mostka w celu przeprowadzenia masażu na otwartym sercu.

Cały Hollywood okryje się żałobą, ale najbardziej będzie go opłakiwać pielęgniarka Priscilla. Wzięła nocny dyżur, ponieważ miała na utrzymaniu dwoje małych dzieci. Zmartwiła się, że Marrion zmarł właśnie na jej zmianie. Jak dotąd miała reputację jednej z

najlepszych pielęgniarek w Kalifornii. Nienawidziła śmierci. Książka, którą czytała, tak ją podnieciła, że zaczęła się zastanawiać, jak namówić Marriona, żeby nakręcił z niej film. Priscilla nie zamierzała być całe życie pielęgniarką, w głębi duszy czuła się scenarzystką. Cóż, może kiedyś jej się to uda. Na tym piętrze ciągle walczyli ze śmiercią jacyś ważniacy z Hollywood.

Ale to wszystko działo się tylko w wyobraźni Marriona, zanim umarł - w wyobraźni pobudzonej do działania tysiącami filmów, które widział.

W rzeczywistości pielęgniarka podeszła do jego łóżka jakieś piętnaście minut po jego śmierci, tak cicho odszedł. Przez trzydzieści sekund zastanawiała się, czy wezwać lekarzy, żeby go reanimowali. Była specem od śmierci. Po co go reanimować? Żeby się znowu męczył? Podeszła do okna i patrzyła na wschodzące słońce i gołębie dumnie kroczące po kamiennych gzymsach. Priscilla była ostatnią instancją decydującą o losie Marriona i najbardziej miłosiernym sędzią.

Rozdział trzynasty

Senator Wavven ma dla Clericuziów dobrą wiadomość, która będzie kosztować pięć milionów dolarów. Tak powiedział kurier Giorgia. Dla Crossa oznaczało to mnóstwo papierkowej roboty. Wyjmując z klatki kasyna pięć milionów, musiał sporządzić odpowiedni zapis tłumaczący ich zniknięcie.

Z Crossem skontaktowali się również Claudia i Vail. Byli w hotelu i zajmowali wspólnie apartament. Chcieli się z nim jak najszybciej zobaczyć. W pilnej sprawie.

Był też telefon od Lii Vazziego z domku myśliwskiego. Prosił o spotkanie. Nie musiał zaznaczać, że to pilne, wiadomo, że inaczej by nie dzwonił. Był już w drodze.

Cross zaczął od pięciu milionów dla senatora Wavvena. Pomyślał, że takiej forsy nie upcha się w walizce ani w dużej torbie podróżnej, zadzwonił więc do sklepiku hotelowego, bo przypomniał sobie, że widział tam staroświecki chiński kufer. Kufer był ciemnozielony, zdobiony czerwonymi smokami, nabijany imitacją zielonych kamieni i miał solidny zamek.

Gronevelt nauczył Crossa, co robić, żeby odciążenie pieniędzy z kasyna nie wzbudziło niczyich podejrzeń. Należało upozorować przelanie pieniędzy na konta rozmaitych dostawców alkoholu i żywności, organizatorów specjalnych programów szkoleniowych i imprez reklamowych; sporządzić listę fikcyjnych dłużników kasyna.

Biedził się nad tym już całą godzinę. Senator Wavven był spodziewany nazajutrz, w sobotę, a te pięć milionów miało trafić do jego rąk, zanim opuści kasyno wczesnym ranem w poniedziałek. W końcu Cross zmęczył się i musiał zrobić przerwę.

Zadzwonił do apartamentu Claudii i Vaila. Odebrała Claudia.

- Mam kłopoty z Ernestem - oznajmiła. - Musimy z tobą porozmawiać.

- Dobra - zgodził się Cross. - Zejdźcie może na dół i pograjcie w kości, a ja za godzinę was znajdę... Pójdziemy na kolację i opowiesz mi, o co chodzi.

- Nie możemy grać - odparła Claudia. - Ernest przekroczył już swój kredyt, a mnie, jak ci wiadomo, nie wolno wziąć z klatki więcej niż zakichane dziesięć tysięcy.

Cross westchnął. To znaczyło, że dług Ernesta Vaila wynosi sto tysięcy dolarów, z którymi można było się pożegnać raz na zawsze.

- W tej sytuacji dajcie mi jeszcze godzinę, a potem przyjedźcie na górę. Zjemy u mnie.

Cross musiał zatelefonować do Giorgia i potwierdzić te pięć milionów dla senatora. Nie, żeby nie ufał kurierowi, po prostu taka była procedura. W rozmowie telefonicznej posługiwali się ustalonym szyfrem. Nazwisko podawali za pomocą kodu liczbowego, a kwotę za pomocą kodu literowego.

Cross wrócił do pracy. Ale zamiast się skupić na papierkach, myślami znowu krążył gdzie indziej. Pięć milionów. Senator Wavven musiał mieć dla Clericuziów nie byle jaką wiadomość. Lia jechał taki szmat drogi. Widać znalazł się w nie lada opałach.

Odezwał się dzwonek przy drzwiach - to strażnik przyprowadził Claudię i Ernesta. Cross przywitał się z Claudią szczególnie wylewnie, żeby przypadkiem nie pomyślała, że jest na nią zły o przegrane pieniądze.

Weszli do salonu. Wręczył im menu, a kiedy wybrali, zadzwonił do obsługi pokojowej i zamówił jedzenie. Claudia usiadła na kanapie twarzą do Crossa, Vail zgarbił się w rogu, nie zwracając na nich uwagi.

- Vail jest w okropnym stanie - oznajmiła Claudia. - Musimy mu jakoś pomóc.

Cross spojrział na Vaila i stwierdził, że wygląda w miarę normalnie. Odprężony, powieki w pół przymknięte, uśmiezek zadowolenia na wargach. Ten uśmiezek go zirytował.

- Jasne, a zacznę od tego, że zamknę mu kredyt we wszystkich kasynach w tym mieście, zanim zgra się do suchej nitki. Chyba nie ma na całym świecie równie złego gracza.

- Tu chodzi o co innego. - Claudia opowiedziała mu o Marrionie, jak to obiecał Vailowi tantiemy od kolejnych ciągów dalszych jego książki, a zaraz potem zmarł.

- I co z tego? - spytał Cross.

- To z tego, że Bobby Bantz nie chce honorować obietnicy Marriona - wyjaśniła. - Został szefem LoddStone Studios i natychmiast woda sodowa uderzyła mu do głowy. Za wszelką cenę chce się upodobnić do Marriona, ale brak mu jego inteligencji i charyzmy. W ten sposób Ernest znowu znalazł się na lodzie.

- Czego ode mnie oczekujesz?

- Pomyślałam, że skoro współpracujesz z LoddStone Studios przy realizacji Messaliny, musisz mieć na nich jakiś wpływ. Chcę, żebyś poprosił Bobby'ego o dotrzymanie obietnicy Marriona.

Niekiedy Claudia doprowadzała Crossa do rozpacz. Przecież musiała zdawać sobie sprawę z tego, że Bantz nie ustąpi, na tym polegała jego funkcja i taki miał charakter.

- Nie, Claudio. Tłumaczyłem ci już wcześniej. Nie mogę zaczynać negocjacji, jeśli wiem, że odpowiedź będzie negatywna. A w tym przypadku tak właśnie będzie.

Claudia zmarszczyła czoło.

- Nigdy tego nie zrozumie - stwierdziła, a po chwili dodała: - Ernest nie żartuje. Popelni samobójstwo, żeby jego rodzina mogła odzyskać prawa do książki.

Teraz Vail jakby się obudził.

- Naprawdę nie rozumiesz, głuptasku? - spytał. - Jeśli twój brat kogoś o coś poprosi, a ten ktoś mu odmówi, to będzie musiał go zabić.

Uśmiechnął się do Crossa porozumiewawczo. Cross chętnie by go udusił za to, że mówi takie rzeczy w obecności Claudii. Na szczęście w tej chwili zjawił się lokaj z wózkiem i nakrył do kolacji. Usiedli do stołu. Cross zdążył się trochę uspokoić, ale nie mógł sobie darować drobnej złośliwości.

- O ile dobrze zrozumiałem, Ernestie, aby rozwiązać swoje kłopoty finansowe, musisz się przenieść na tamten świat. W tym akurat mogę ci pomóc. Dam ci pokój na dziesiątym piętrze, a ty po prostu wymaszerujesz przez okno.

Teraz z kolei Claudia się zdenerwowała.

- To nie jest śmieszne. Ernest jest moim przyjacielem. A ty jesteś moim bratem, który podobno mnie kocha i robi dla mnie wszystko - zakończyła płacziwie.

Cross wstał i podszedł ją przytulić.

- Claudio, naprawdę nie mogę nic zrobić. Nie jestem cudotwórcą.

Ernest Vail jadł z apetytem. Nie wyglądał na kogoś, kto zamierza się zabić.

- Skromność przez ciebie przemawia, Cross - odezwał się. - Nie wyskoczę przez okno. Mam na to zbyt bujną wyobraźnię. Zanim bym spadł, umierałbym po tysiącokroć, wyobrażając sobie, jak będę wyglądać rozprysnięty na asfalcie. A jeszcze, nie daj Boże, spadłbym na kogoś. Jestem za wielkim tchórzem, żeby przeciąć sobie żyły, nie znoszę widoku krwi i śmiertelnie boję się pistoletów, noży i samochodów. Nie chcę też skończyć w roli rośliny, niczego nie osiągnąwszy. Bantz i Deere pękliby ze śmiechu. Ale jedno możesz zrobić: najmij kogoś, żeby mnie ukatrupił. Nie chcę wiedzieć kiedy. Po prostu niech to zrobi.

Cross roześmiał się. Pogłaskał Claudię po głowie i wrócił na swoje miejsce.

- Czy ci się wydaje, że to jest jakiś zakichany film? - spytał Ernesta. - Myślisz, że zabijanie to zabawa?

Podszedł do biurka, odsunął szufladę i wyjął z niej sakiewkę z czarnymi sztonami.

- Masz tu dziesięć paczek - rzekł, rzucając ją Ernestowi. - Pograj sobie, może tym razem będziesz miał więcej szczęścia. Tylko przestań obrażać mnie w obecności mojej siostry.

Vailowi od razu poprawił się humor.

- Daj sobie spokój, Claudio. Twój brat mi nie pomoże. - Co powiedziawszy, schował skwapliwie sakiewkę do kieszeni. Nie mógł się już doczekać, kiedy zjedzie na dół.

Claudia zamyśliła się głęboko. Dodawała jedno do drugiego, ale jednocześnie bała się sprawdzić, co z tego wynika. Spojrzała na jasną, sympatyczną twarz brata. Nie, to nie mogła być prawda. Pocałowała go w policzek.

- Przepraszam cię, ale niepokoję się o Ernesta.

- Niesłusznie. Ernest nie popełni samobójstwa, za bardzo lubi hazard. A poza tym jest geniuszem, prawda?

Claudia roześmiała się.

- Za takiego się uważa i ma rację - odparła. - Jest też straszliwym tchórzem.

Wyciągnęła rękę i dotknęła czule Vaila.

- Dlaczego się z nim prowadzasz? - spytał Cross. - Dlaczego mieszkasz z nim w jednym apartamencie?

- Dlatego, że jest moim drogim i ostatnim przyjacielem - odparła ze złością. - I kocham jego książki.

Po wyjściu Claudii i Vaila Cross wrócił do załatwiania pięciu milionów dla senatora Wavvena. Skończywszy, zadzwonił do menedżera kasyna, wysokiego rangą członka Rodziny Clericuzio, i polecił mu przynieść pieniądze.

Dwa ogromne worki z banknotami zostały dostarczone przez menedżera i dwóch strażników, również członków Rodziny. Pomogli Crossowi przełożyć pieniądze do chińskiego kufra.

- Zmyślny - zauważył dowcipnie menedżer kasyna.

Po ich wyjściu Cross ściągnął z łóżka kapę i owinął nią kufer. A potem zamówił dwa śniadania. Nie minęło kilka minut, jak zadzwonił telefon i strażnik zaanonsował Lię Vazziego. Cross kazał przyprowadzić go na górę. Przywitali się serdecznie. Bardzo się lubili.

- Jakie wiadomości, dobre czy złe? - spytał Cross, gdy już wniesiono śniadanie.

- Złe - odparł Lia. - Ten detektyw, na którego napatoczyliśmy się ze Skannetem w

hallu hotelu „Beverly Hills”, niejaki Jim Losey, zjawił się ni stąd, ni zowąd w domku myśliwskim i zaczął mnie wypytywać, czy dobrze znałem Skanneta. Spławiłem go, ale nie mogę pojąć, skąd wiedział, kim jestem i gdzie mnie szukać. Nie figuruję w kartotekach policyjnych, nigdy nie miałem żadnych kłopotów. Ktoś mnie zakablował.

To zaskoczyło Crossa. W Rodzinie Clericuzio rzadko się zdarzali donosiciele, a z tymi nielicznymi rozprawiano się bezlitośnie.

- Powiadomię o tym dona - przyrzekł. - Co zrobimy z tobą? Może chcesz wyjechać na wakacje do Brazylii, póki nie dowiemy się, co i jak?

Lia zjadł niewiele. Poczęstował się natomiast brandy i cygarem, które Cross wystawił specjalnie dla niego.

- Na razie jestem spokojny. Chciałbym tylko, żebyś pozwolił mi w razie czego załatwić tego faceta.

Cross zaniepokoił się nie na żarty.

- Nie możesz, Lia. W tym kraju nie zabija się policjantów. To nie Sycylia. Powiem ci coś, o czym nie powinieneś wiedzieć. Jim Losey figuruje na liście płac Clericuziów. Dostaje dużą pensję. Na mój gust on myszkuje, bo myśli, że za wytropienie ciebie zakosi premię.

- Dobra - zgodził się Vazzi. - Ale fakt jest faktem. Ktoś sypie.

- Zajmę się tym - obiecał mu Cross. - A Loseyem się nie denerwuj.

Lia dmuchnął dymem z cygara.

- Ten Losey to niebezpieczny facet. Bądź ostrożny.

- Będę - przyrzekł Cross. - Ale ty nie egzekwuj prawa pierwokupu. Jasne?

- Jasne - odparł Lia i wyraźnie się rozluźnił. - Co jest pod tą kapą? - spytał mimochodem.

- Prezent dla bardzo ważnego gościa - odparł Cross. - Przenocujesz w hotelu?

- Nie. Wracam do domu. Przy okazji powiesz mi, czego się dowiedziałeś. Radzę jednak pozbyć się tego Loseya jak najszybciej.

- Porozmawiam z donem - powiedział Cross.

O trzeciej po południu w Willi „Xanadu” zameldował się Warren Wavven wraz ze swym senatorskim entourage'em złożonym z trzech doradców. Jak zwykle, przybył nie oznaczoną limuzyną i bez jakiegokolwiek obstawy. O piątej wezwał do siebie Crossa.

Cross polecił dwóm ochroniarzom postawić owinięty w kapę kufer na wózek golfowy. Jeden ochroniarz usiadł za kierownicą, Cross zajął miejsce dla pasażera i nie spuszczał oka z kufra, który stał z tyłu, gdzie normalnie podróżowały kije do golfa i zmrożona woda. Tylko pięć minut trwała jazda z hotelu do strzeżonego kompleksu, w którego skład wchodziło

siedem Willi.

Cross lubił ich widok, uczucie dumy, jakie w nim budziły. Miniaturowe pałace wersalskie, przy każdym szmaragdowy basen w kształcie rombu, a w środku skwerek z kasynem w kształcie perły do wyłącznego użytku gości Willi.

Cross sam wniósł kufer do Willi senatora. Doradca zaprowadził go do jadalni, gdzie Warren Wavven raczył się zimnym jedzeniem, które nakładał z kopiastych półmisek, i mrożoną lemoniadą. Z alkoholem już dawno skończył.

Senator Wavven był nadal przystojny i ujmujący w obejściu. Wysoko awansował w rozmaitych radach, przewodniczył kilku ważnym komitetom, był również czarnym koniem w najbliższym wyścigu do fotela prezydenckiego. Na widok Crossa poderwał się z krzesła.

Cross postawił kufer na podłodze i ściągnął kapę.

- Upominek od naszego hotelu, panie senatorze. Z życzeniami miłego pobytu.

Senator ujął dłoń Crossa. Miał gładkie ręce.

- Wspaniały kufer - powiedział z uznaniem. - Wielkie dzięki, Cross. Czy możemy zamienić słówko na osobności?

- Oczywiście.

Cross wręczył mu kluczyk do kufra. Wavven wsunął go do kieszeni spodni.

- Zanieście kufer do mojej sypialni i niech jeden z was go pilnuje - polecił swym doradcom. - A nas zostawcie na chwilę samych.

Kiedy wyszli, senator zaczął spacerować po pokoju.

- Mam dobrą i złą wiadomość - oznajmił, marszcząc czoło.

Cross pokiwał głową.

- Tak zwykle bywa - stwierdził, a równocześnie pomyślał, że ta dobra musi być nawet bardzo dobra, skoro kosztuje pięć milionów.

Wavven zachichotał.

- Prawda? A więc najpierw dobra nowina. Bardzo dobra. Jak wiesz, przez ostatnie kilka lat wkładałem dużo wysiłku w przepchnięcie ustawy legalizującej hazard na terenie całych Stanów Zjednoczonych. Zakłady sportowe. Myślę, że w końcu zebrałem dostateczną liczbę głosów w obu izbach parlamentu. Pieniądze w tym kufrze zapewnią kilka najważniejszych głosów. Pięć, prawda?

- Pięć - potwierdził Cross. - Pieniądze dobrze zainwestowane. A ta zła wiadomość?

Senator pokręcił głową ze smutkiem.

- Twoi przyjaciele nie będą zachwyceni. Szczególnie Giorgio, który jest taki niecierpliw. Poza tym to wspaniały facet, naprawdę wspaniały.

- Mój ulubiony kuzyn - rzekł Cross sucho. Ze wszystkich Clericuziów najmniej lubił Giorgia i widać było, że senator żywi podobne uczucia.

Wtedy Wavven rzucił bombę:

- Otóż prezydent powiedział mi, że zawetuje ustawę...

Cross już się ucieszył się, że mistrzowski plan don Clericuzia w końcu odniesie sukces. Plan zbudowania imperium opartego na legalnym hazardzie. Ale co miało znaczyć to ostatnie zdanie? O czym ten Wavven do cholery bredził?

- ...a my nie będziemy dysponowali dostateczną liczbą głosów, by obalić jego weto - zakończył.

Chcąc zyskać na czasie, Cross spytał:

- Czy te pięć milionów jest właśnie dla prezydenta?

Senator zrobił wielkie oczy.

- Ależ skąd! - obruszył się. - Nie jesteśmy nawet w tej samej partii. A poza tym będzie wystarczająco bogaty, kiedy zakończy kadencję. Każda rada nadzorcza każdego wielkiego przedsiębiorstwa będzie chciała mieć go w swym składzie. On nie potrzebuje takich drobnych. - Wavven uśmiechnął się zadowolony. - Prezydent Stanów Zjednoczonych to nie zwykły śmiertelnik.

- A więc niczego nie osiągniemy, póki prezydent nie przeniesie się na łono Abrahama - zauważył Cross.

- Właśnie - podchwycił Wavven. - Jest bardzo lubiany, muszę mu to przyznać, choć jesteśmy w opozycyjnych partiach. Na pewno zostanie wybrany na drugą kadencję. Pozostaje nam cierpliwie czekać.

- Czekać pięć lat, a potem modlić się o prezydenta, który nie zawetuje ustawy, czy tak?

- Nie, niezupełnie - rzekł senator i trochę się zmieszał. - Muszę być z tobą szczery. Za pięć lat skład kongresu może się zmienić, nie będę miał wówczas głosów, które mam teraz. - Przerwał. - Jest wiele różnych czynników.

Cross miał mętlik w głowie. O czym on, do cholery, mówił? Senator poklepał go po dłoni.

- Oczywiście, w razie jakichś nieprzewidzianych okoliczności wiceprezydent podpisze ustawę. Więc, choć brzmi to niezbyt ładnie, módlcie się, żeby prezydent dostał ataku serca, wylewu krwi do mózgu lub żeby rozbił się jego samolot. Takie rzeczy się zdarzają. Nikt z nas nie jest wieczny - zakończył senator wesoło.

Nagle wszystko stało się jasne. Cross poczuł złość. Ten sukinsyn przekazywał mu

posłanie dla Clericuziów: senator zrobił swoje, sprzątnijcie prezydenta Stanów Zjednoczonych, to ustawa przejdzie. Chytrze to sobie wymyślił, w razie czego nikt by mu nie mógł niczego zarzucić. Cross pomyślał, że don na to nie pójdzie, a gdyby poszedł, to on, Cross, dziękuje.

Tymczasem Wavven kontynuował ze słodkim uśmiechem:

- Sprawa wygląda dość beznadziejnie, ale nic nigdy nie wiadomo. Los niekiedy płata figle, a wiceprezydent jest moim dobrym przyjacielem, choć jesteśmy z opozycyjnych partii. Wiem na pewno, że poprze tę ustawę. Musimy tylko poczekać na rozwój sytuacji.

Cross nie wierzył własnym uszom. Mimo słabości do kobiet i do gry w niewinnego golfa senator Wavven uchodził za uosobienie cnót amerykańskich. Miał uczciwą twarz i patrycjuszowski głos. Prezentował się jako jeden z najsympatyczniejszych ludzi na ziemi. A równocześnie sugerował, żeby Rodzina Clericuzio zabiła prezydenta Stanów Zjednoczonych. Ładne kwiatki, pomyślał Cross.

Senator wrócił do jedzenia.

- Zostaję tylko na jedną noc - oznajmił. - Mam nadzieję, że znajdą się tu jakieś tancerzki, które zechcą dotrzymać towarzystwa przy kolacji staremu piernikowi.

Po powrocie do apartamentu na dachu hotelu Cross zadzwonił do Giorgia i zapowiedział się w Quogue następnego dnia. Giorgio obiecał, że wyśle na lotnisko kierowcę Rodziny. Nie zadawał żadnych pytań. Clericuzio nigdy nie omawiali interesów przez telefon.

Kiedy Cross przybył do Quogue, czekano już na niego. W ślepych pokoju siedział nie tylko don, ale również Pippi, synowie dona - Giorgio, Vincent i Petie, a nawet Dante w błękitnym toczku na głowie.

Jedzenia tu nie było, obiad mieli zjeść później. Jak zwykle don kazał wszystkim podziwiać stojącą na półce nad kominkiem fotografię Silvia i zdjęcie z chrztu Crossa i Dantego. „To był szczęśliwy dzień”, mówił z rozmarzeniem. Usiedli na fotelach i kanapach, Giorgio podał napoje, a don zapalił czarne włoskie cygaro.

Cross zdał szczegółową relację z tego, jak dostarczył senatorowi pięć milionów dolarów, a następnie powtórzył - słowo po słowie - ich rozmowę.

Zapadło długie milczenie. Nikomu z obecnych nie był potrzebny komentarz Crossa. Vincent i Petie zwiesili nosy na kwintę. Teraz, gdy Vincent był właścicielem sieci restauracji, ryzyko niezbyt go pociągało. Petie zaś wolał dowodzić swą firmą budowlaną niż żołnierzami Enklawy Bronxu. Na tym etapie życia nie gustowali w takich misjach.

- Ten senator jest chyba stuknięty - stwierdził Vincent.

- Jesteś pewny, że nic nie przekreśliłeś, Cross? - upewniał się don. - Chce, żebyśmy

zabili przywódcę naszego państwa, jego kolegę po fachu?

- Jak to? Przecież nie są w tej samej partii - zauważył sucho Giorgio.

- Nie powiedział tego wprost - odparł Cross. - On tylko przedstawił fakty, licząc, jak się zdaje, że wyciągniemy z nich odpowiednie wnioski.

Teraz głos zabrał Dante. Jemu się spodobał ten pomysł, podniecał go zakres operacji i zysk, jaki by przyniosła.

- Pomyślcie, zalegalizuj hazard. To chyba warto. To najlepsza nagroda.

Don zwrócił głowę ku Pippiemu:

- A co sądzi o tym mój martello? - spytał go.

Pippi nie krył złości.

- Tego nie da się zrobić, tego nie wolno zrobić.

- Kuzynie Pippi - rzekł Dante ironicznie - jeśli zadanie wydaje ci się za trudne, chętnie cię wyęcę.

Pippi spojrzał na niego pogardliwie.

- Jesteś rzeźnikiem, nie taktykiem. Nie zaplanowałbyś takiej operacji nawet za milion lat. Zabicie prezydenta to ryzykowna rzecz. Zrobiłoby się mnóstwo zamieszania. Nie mówiąc o tym, że dokonanie czegoś takiego jest szalenie trudne. Nie wyszedłbyś z tego cało.

- Daj mi tę robotę, dziadku - zażądał Dante. - Ja go załatwię.

- Jestem pewien, że byś to zrobił - odparł don poważnie. - I nagroda byłaby wspaniała. Ale Pippi ma rację. Koniec świata, jaki by potem nastąpił, miałby okropne konsekwencje dla Rodziny. Człowiek popełnia błędy, ale pewnych błędów robić nie wolno. Nawet gdyby nam się udało i gdybyśmy dopięli swego, mielibyśmy tę plamę zawsze na sumieniu. Za wielka zbrodnia. Poza tym nie jesteśmy w sytuacji zagrażającej naszemu istnieniu, chodzi o zdobycie celu, który sobie postawiliśmy. Można go osiągnąć cierpliwym czekaniem. Tymczasem dobrze nam się wiedzie. Giorgio ma biuro na Wall Street, Vincent restaurację, a Petie firmę budowlaną. Cross ma hotel, a ty, Pippi, możesz już przejść na emeryturę i dożyć dni w spokoju. Co zaś do ciebie, wnuku, to musisz zachować cierpliwość, a obiecuję ci, że pewnego dnia będziesz miał swoje imperium hazardu, to będzie twoje dziedzictwo, nad którym nie będzie wisiał cień okropnej zbrodni. Niech więc senatora pochłoną fale oceanu.

Odprężyli się, pękło napięcie - poza Dantem wszyscy ucieszyli się z decyzji don Clericuzia. I także życzyli senatorowi, żeby go pochłonęły fale oceanu. Za to, że miał czelność postawić ich przed takim dylematem.

Jedynie Dante wydawał się być innego zdania.

- Jak śmiesz nazywać mnie rzeźnikiem? - warknął do Pippiego. - A ty kim jesteś,

francowatą Florence Nightingale?

Vincent i Petie wybuchnęli śmiechem. Don pokręcił głową z dezaprobatą.

- Jeszcze jedno - powiedział. - Uważam, że powinniśmy utrzymać nasz związek z senatorem. Nie żałuję mu tych pięciu milionów, ale czuję się urażony, że bierze nas za drani, którzy zabiliby swego prezydenta. Ciekawe też, jaką chciał upiec przy tym pieczeń? Jaką miałby korzyść z tej ustawy? On usiłuje nami manipulować. Kiedy znowu przyjedzie do twego hotelu, Cross, daj mu duży kredyt. Dopilnuj, żeby się dobrze bawił. Nie chcemy mieć w nim wroga, to niebezpieczny człowiek.

Koniec, kropka. Cross nie był zdecydowany, czy powinien poruszyć jeszcze jedną drażliwą sprawę. Ale jednak opowiedział o Lii Vazzim i Jimie Loseyu.

- W Rodzinie jest kapuś - zakończył.

- To twoja akcja i twój ból głowy - powiedział chłodno Dante.

Don pokręcił stanowczo głową.

- Nie ma żadnego kapusia - stwierdził. - Detektyw przypadkowo coś odkrył i chce premię za trzymanie języka za zębami. Zajmij się tym, Giorgio.

- Kolejne pięćdziesiąt paczek - zauważył kwaśno Giorgio. - Cross, to twoja sprawa. Zapłacisz za nią pieniędzmi z hotelu.

Don dopalił cygaro.

- Skoro już tu jesteśmy... czy są jakieś inne kłopoty? Jak tam twoje restauracje, Vincencie?

Granitowa twarz Vincenta zmiękła.

- Otwieram trzy nowe - oznajmił. - Jedną w Filadelfii, jedną w Denver i kolejną w Nowym Jorku. Pierwsza klasa. Czy uwierzysz, tato, że biorę szesnaście dolarów za talerz spaghetti? Obliczyłem, że koszt przyrządzenia takiego dania w domu wynosi pół dolca za porcję. Choćbym nie wiem jak się starał, więcej nie wyjdzie. Wliczam nawet czosnek. Co zaś do kotletów z mięsa mielonego... z drogiej włoskich restauracji jedynie w moich podaje się kotlety mielone... a więc co do kotletów mielonych, to sam już nie wiem, czemu, ale biorę za nie osiem dolarów. Nie są bynajmniej duże. Kosztują mnie dwadzieścia centów.

Chętnie mówiłby dalej, ale don odwrócił się do Giorgia i spytał:

- A jak ci idzie na Wall Street?

- Raz lepiej, raz gorzej - odparł ostrożnie Giorgio. - Ale prowizje handlowe, jakie dostajemy, nie są gorsze od tych, które pokątni sprzedawcy dostają na ulicach, jeśli dobrze bijemy pianę. I bez ryzyka, że zostaniemy napadnięci lub wsadzeni do więzienia. Myślę, że powinniśmy dać sobie spokój ze wszystkimi innymi interesami, może z wyjątkiem hazardu.

Donowi przyjemność sprawiały te sprawozdania, miłe mu były sukcesy, jakie jego synowie odnosili w praworządnym świecie.

- A co u ciebie, Petie? Słyszałem, że miałeś drobne kłopoty.

Petie wzruszył ramionami.

- Dostaję więcej zamówień, niż mogę wykonać, bo wszyscy coś budują. Mamy też pierwszeństwo na budowę autostrad. Moi żołnierze są na etacie i godziwie zarabiają. Ale tydzień temu na naszej największej budowie zjawił się nagle jeden asfalt. A za nim przylazło ze sto asfaltów, wymachując transparentami o prawach obywatelskich. Wziąłem go więc do biura i gość od razu zaczął z innej beczki. Domagał się, żebym do każdej roboty brał dziesięć procent Murzynów, a jemu odpalał po dwadzieścia paczek.

To rozbawiło Dantego.

- Jesteśmy terroryzowani? - spytał, chichocząc. - My, Clericuziowie?

- Staram się myśleć tym samym torem, co tata - odparł Petie. - Muszą zarobić na utrzymanie. Odpaliłem mu dwadzieścia paczek i obiecałem, że będę zatrudniać pięć procent Murzynów.

- Dobrze zrobiłeś - pochwalił don syna. - W porę ukręciłeś łeb całej sprawie. Zresztą, czemu Clericuziowie mieliby stawać na przeszkodzie innym ludziom w ich dążeniu do ucywilizowania się i w ogóle? Postęp, co?

- Ja bym zabił tego czarnego sukinsyna - rzekł Dante. - Przecież on wróci z większymi żądaniami.

- A my je spełnimy - rzekł don. - Póki mieszczą się w granicach przyzwoitości. - I zwróciwszy się ku Pippiemu: - Masz jakieś kłopoty?

- Żadnych - odparł Pippi. - Poza tym tylko, że od kiedy Rodzina wycofała się z działania, nie mam nic do roboty.

- Ciesz się - rzekł don. - Dość się napracowałeś. Wyszedłeś cało z wielu niebezpiecznych sytuacji, więc ciesz się życiem.

Dante, choć niepytany, zauważył:

- Jedziemy na tym samym wózku. Ale ja jestem za młody na emeryturę.

- Graj w golfa jak wszyscy brugliones - poradził sucho don. - I nie martw się, jeszcze będziesz miał dużo pracy i kłopotów. A tymczasem bądź cierpliwy. Czekać, aż przyjdzie na ciebie czas. I na mnie.

Rozdział czternasty

W dniu pogrzebu Eliego Marriona Bobby Bantz napadł z samego rana na Skippy'ego Deere'a:

- To się w pale nie mieści! Oto, dlaczego przemysł filmowy ledwo zipie. Jak mogłeś, cholera jasna, do tego dopuścić? - Podstawił mu pod nos plik spiętych papierów.

Deere spojrział na nie posłusznie. Była to lista osób, które poleciały na zdjęcia do Rzymu.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - mruknął.

Bantz celowo podniósł głos:

- Ci wszyscy ludzie poleciali do Rzymu pierwszą klasą: kamerzyści, amanci, debiutanci, gońcy i asystenci. Z jednym wyjątkiem. A wiesz, kto jest tym wyjątkiem? Inspektor finansowy LoddStone Studios, którego wysłaliśmy, by skontrolował wydatki. On jeden poleciał klasą turystyczną.

- Wciąż nie rozumiem, o co ci chodzi - powiedział Deere.

Bantz nie zamierzał łatwo dać za wygraną.

- W koszt filmu wlicza się chesne za szkołę dzieci wszystkich zatrudnionych w nim ludzi. W koszt filmu wlicza się opłatę za wynajęcie jachtu na dwa tygodnie. Przeczytałem uważnie scenariusz i obliczyłem, że aż dwanaście osób pokazuje się w filmie przez dwie, maksimum trzy minuty. Jacht będzie potrzebny raptem przez dwa dni zdjęciowe. Wytlumacz mi, dlaczego się na to wszystko zgodziłeś.

Skippy Deere uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Proszę cię bardzo. Reżyser Lorenzo Tallufo upiera się, żeby jego ludzie podróżowali pierwszą klasą. Osoby dopisane do scenariusza sypiają z naszymi gwiazdoram. Jacht został wynajęty na dwa tygodnie, ponieważ Lorenzo chce nim popłynąć na festiwal filmowy w Cannes.

- Słuchaj, jesteś producentem, więc przywołaj go do porządku - zawołał Bantz.

- Ja? - zdziwił się Deere. - Lorenzo ma na swoim koncie cztery filmy, które przyniosły po sto milionów dochodu oraz dwa Oscary. Mogę co najwyżej pocałować go w tyłek, podsadzając go na ten jacht. Ty sobie przywołuj go do porządku.

Bantz nic nie odpowiedział. Technicznie rzecz biorąc, szef wytwórni stał najwyżej w hierarchii przemysłu filmowego. Producent był osobą, która czuwała nad konkretnym filmem, pilnowała budżetu i scenariusza. W praktyce jednak, w trakcie pracy nad filmem, to reżyser był pierwszą osobą po Bogu. Zwłaszcza jeśli miał na swym koncie szereg udanych filmów.

Bantz potrzęsnał głową.

- Nie mając za sobą Eliego, nie potrafię rozmawiać z Lorenzo. Każe mi iść w cholerę i po herbacie.

- Słuchaj, wszystko będzie dobrze - uspokoił go Deere. - Co tam, Lorenzo każdemu

filmowi kradnie pięć milionów. Oni wszyscy tak robią. Teraz już się uspokój, żebyśmy godnie wypadli na pogrzebie.

Ale Bantz patrzył na jakiś inny dokument.

- Mam tu rachunek za chińskie jedzenie na wynos opiewający na pięćset tysięcy dolarów. Nikt, ale to nikt, nawet moja żona, nie potrafi wydać pół miliona dolarów na chińskie jedzenie. Na francuskie, to jeszcze. Ale na chińskie? I to na wynos?

Skippy Deere musiał prędko coś wymyślić. Tym razem Bobby go przyłapał.

- Restauracja była japońska, a to jedzenie to suszi. Suszi jest najdroższym jedzeniem na świecie.

Bantz się zamyślił. Coś w tym było, że ludzie zawsze narzekali na ceny suszi. Szef konkurencyjnej wytwórni opowiadał mu, jak to zabrał japońskiego inwestora na obiad do restauracji, która specjalizowała się w suszi. „Wybuliłem tysiąc dolców na dwie osoby za dwadzieścia zakichanych rybich łbów!” Zaimponował mu.

- Niech będzie - zgodził się - ale musisz trochę zacisnąć pasa. W następnym filmie zatrudnij studentów.

Studenci pracowali za darmo.

Hollywoodzki pogrzeb Eliego Marriona odbywał się z większą pompą niż pochówek kasowego gwiazdora. Czciłi go szefowie konkurencyjnych wytwórni, producenci i agenci, szanowali, a niekiedy zgoła kochali gwiazdorzycy, reżyserzy, a nawet scenarzyści. Za jego wspaniałe maniere i wielką mądrość w rozwiązywaniu problemów w świecie filmowym. Cieszył się opinią sprawiedliwego króla, oczywiście w granicach rozsądku.

W późniejszych latach stał się ascetą, nie popisywał się władzą, nie wymagał usług erotycznych od debutantek. LoddStone Studios kręciły więcej świetnych filmów od wszystkich innych wytwórni, a dla ludzi z branży nic się bardziej nie liczy.

Szef kancelarii prezydenta Stanów Zjednoczonych miał wygłosić krótką mowę pogrzebową. Z Francji przyleciał minister kultury, mimo że nie przepadał za produkcjami hollywoodzkimi. Watykan przysłał papieskiego wysłannika, młodego kardynała, tak przystojnego, że mógłby grać w filmach małe, acz znaczące role, tak zwane role-kamee. Jak spod ziemi wyrosła grupa japońskich biznesmenów. Honor Eliemu oddawali najwyżsi kierownicy korporacji filmowych z Holandii, Niemiec, Włoch i Szwecji.

Zaczęły się przemówienia. Najpierw głos zabrali kasowy gwiazdora i kasowa gwiazda, po nich reżyser klasy A, wreszcie hołd Marrionowi złożył scenarzysta Benny Sly. Następny w kolejce był szef kancelarii prezydenta. Po nim, żeby trochę rozładować atmosferę, dwóch największych komików filmowych pośmiało się z rządów Marriona i jego smykałki do

interesów. Na końcu wystąpili syn Eliego, Kevin, córka Dora oraz Bobby Bantz.

Kevin nazwał Eliego czułym ojcem nie tylko swych dzieci, ale wszystkich ludzi związanych z LoddStone Studios. Powiedział, że Eli niósł pochodnię sztuki filmowej. Jego dzieło, zapewnił żałobników, będzie kontynuowane.

Córka Eliego, Dora, wygłosiła bardzo poetycką mowę, napisaną przez Benny'ego Slya. Jej oratorski, z dowcipnym szacunkiem popis odnosił się do cnót oraz osiągnięć Eliego Marriona.

- Kochałam mojego ojca bardziej niż kogokolwiek na świecie, ale cieszę się, że nigdy nie musiałam prowadzić z nim negocjacji. Zwykle miałam do czynienia z Bobbym Bantzem, a jego znacznie łatwiej przechytrzyć.

Publiczność roześmiała się. Przyszła kolej na Bobby'ego Bantza, który chętnie by zamordował Dorę za jej żart.

- Trzydzieści lat budowałem LoddStone Studios z Elim Marrionem. Nie znałem drugiego tak mądrego, tak miłego człowieka. Te trzydzieści lat było najszczęśliwsze w moim życiu. Będę kontynuować jego dzieło. Powierając mi wytwórnię na następne pięć lat, pokazał, że ma do mnie zaufanie. Nie zawiodę go. Ale nie łudzę się, że moje dokonania będą równie znaczące. Eli dał marzenia miliardom ludzi na całym świecie. Dzielił się bogactwem i miłością rzeczywiście jak lodestone, ze swą rodziną i wszystkimi Amerykanami. Promieniował jak magnetyt.

Żałobnicy wiedzieli, że Bobby Bantz sam napisał mowę, ponieważ zawarł w niej przesłanie do całego przemysłu filmowego. A mianowicie, że przez najbliższe pięć lat będzie rządził LoddStone Studios i że spodziewa się od nich takiego samego posłuchu, jakim darzyli Eliego Marriona. Bobby Bantz z Człowieka Numer Dwa stał się Człowiekiem Numer Jeden.

Dwa dni po pogrzebie Bantz wezwał Skippy'ego Deere'a i zaproponował mu stanowisko szefa produkcji wytwórni - swoje poprzednie stanowisko. Sam zajął fotel Marriona, czyli prezesa. Była to oferta nie do odrzucenia. Skippy miał partycypować w zyskach z każdego filmu nakręconego przez LoddStone Studios. Mógł zapalić zielone światło każdemu filmowi, którego budżet wyniesie poniżej trzydziestu milionów dolarów. Mógł wciągnąć swą spółkę produkcyjną pod szyld LoddStone Studios jako niezależną finansowo jednostkę i sam mianować jej szefa.

Skippy'emu zakręciło się w głowie od wspaniałomyślności Bantza. Uznał ją za oznakę jego niepewności. Bantz nie miał polotu i liczył, że się za nim schowa.

Deere przyjął propozycję, a na szefa swej spółki produkcyjnej wyznaczył Claudię De Lena. Nie dlatego, że miała inwencję twórczą, nie dlatego, że znała się na robieniu filmów,

ale dlatego, że była uczciwa i nie przyszłoby jej do głowy wbić mu nóż w plecy. Nie będzie musiał się oglądać za siebie. Wreszcie, co nie było bez znaczenia, lubił jej towarzystwo, jej poczucie humoru. A seks wyeliminowali ze swej znajomości sto lat temu.

Skippy Deere zaczął rozmyślać o tym, jak się teraz wszyscy wzbogacą. Żył na tym świecie nie od wczoraj i wiedział, że nawet gwiazdorom zdarza się klepać na starość biedę. W zasadzie nie mógł narzekać na swą sytuację finansową, ale według jego rozeznania istniało dziesięć stopni bogactwa, a on wspiął się dopiero na pierwszy. Stać go było na luksusowe życie, ale nie na własny odrzutowiec i pięć domów. Ani na harem. Ani na hazard. Nie stać go było na pięć rozwodów. Ani na utrzymanie armii służących. Nie mógł sobie pozwolić na samodzielne finansowanie filmów. I nie stać go było na drogą kolekcję dzieł sztuki, na obrazy Moneta i Picassa, jakie miał Eli. Teraz przeskoczy z pierwszego stopnia na, powiedzmy, piąty. Będzie to wymagać pracy, sprytu, a co najważniejsze niepuszczania oka z Bantza.

Bantz przedstawił mu swe plany, które okazały się bardzo odważne. Widać podchodził do rzeczy poważnie.

Na początek chciał zawrzeć układ z Melem Stuartem, by dał im „prawo pierwokupu” wszystkich talentów z jego agencji.

- Mogę się tym zająć - powiedział Deere. - Dam mu do zrozumienia, że dostanie zielone światło na swoje pomysły.

- Szczególnie mi zależy, żeby Athena Aquitane grała w naszym kolejnym filmie - stwierdził Bobby Bantz.

Tu cię mam, pomyślał Deere. Bantz wyraźnie liczył, że teraz, kiedy rządzi wytwórnią, będzie miał większe szanse u Atheny. Deere pomyślał, że jako szef produkcji też musi spróbować.

- Powiem Claudii, żeby zaraz zabrała się do roboty nad czymś odpowiednim - rzekł Deere.

- Świetnie - ucieszył się Bantz. - Teraz taka sprawa. Przypomniałem sobie, co Eli zawsze chciał zrobić, ale nie mógł, bo był za miękki. Pozbędziemy się spółek produkcyjnych Dory i Kevina. Zawsze tracą pieniądze, a poza tym nie chcę ich na terenie wytwórni.

- Z nimi musisz być ostrożny - przestrzegł Deere. - Posiadają kupę akcji wytwórni.

Bantz uśmiechnął się.

- Tak, ale Eli zostawił mi kierownictwo na pięć lat. Weźmiesz to na siebie. Będziesz systematycznie odmawiał zapalenia zielonego światła ich projektom. Przewiduję, że za rok lub dwa wyniosą się stąd zniesmaczeni, a ciebie obarczą za to winą. Tak działał Eli. Zawsze nadstawiałem za niego karku.

- Moim zdaniem, trudno ci będzie usunąć ich z terenu wytwórni - stwierdził Deere. - To jest ich drugi dom, oni tu dorastali.

- Spróbuję - rzekł Bantz. - Jeszcze jedno. W przeddzień swej śmierci Eli obiecał Ernestowi Vailowi zaliczkę na wszystkie filmy, jakie zrobiliśmy i zrobimy według jego zakichanej powieści. Molly Flanders i Claudia wymogły to na nim, gdy leżał na łożu śmierci, co z ich strony było chamskim posunięciem. Powiadomiłem Molly na piśmie, że nie czuję się prawnie i moralnie zobowiązany do spełnienia tej obietnicy.

- Ernest sam się nie zabije - rzekł Deere po chwili zastanowienia - ale może umrzeć naturalną śmiercią przed upływem tych pięciu lat. Powinniśmy się jakoś zabezpieczyć.

- Nie - rzekł Bantz. - Zasięgaliliśmy z Elim rady u prawników i oni powiedzieli, że Molly nie wygra w sądzie. Mogę dać mu kilka procent, ale nie od zysków brutto. To byłby rozbój na równej drodze.

- I co? Odpowiedziała ci?

- Tak. Przysłała mi kretyński list pełen prawniczych bredni - odparł Bantz. - Poradziłem jej, żeby się pocałowała.

Wykręcił numer znajomego psychoanalityka. Żona od wielu lat namawiała go na terapię.

- Chciałem tylko potwierdzić - powiedział do słuchawki - że przyjdę o czwartej. Tak, w przyszłym tygodniu porozmawiamy o pańskim scenariuszu. - Odkładając słuchawkę, puścił oko do Deere'a.

Deere wiedział, że Bantz umówił się na randkę z Falene Fant w wynajmowanym przez wytwórnię bungalowu hotelu „Beverly”. Terapeuta zgadzał się go kryć, gdyż wytwórnia kupiła jego scenariusz o psychiatrze, seryjnym mordercy. Dowcip polegał na tym, że Deere'owi scenariusz się podobał, Bantz zaś uważał dzieło psychoanalityka za gówno. Jeśli nakręci niskobudżetowy film według tego scenariusza, Bantz będzie do końca życia przeświadczony, że zrobił to dla niego.

Teraz Bantz i Deere zaczęli się głośno zastanawiać, dlaczego towarzystwo Falene sprawiało im taką frajdę. Przyznali, że rozmawiając o tym, zachowują się jak małolaty. Zgodzili się, że Falene jest fajna, bo seks traktuje jak zabawę i niczego nie chce w zamian. Oczywiście, jakiś rewanż rozumiał się sam przez się, ale Falene była utalentowana i wystarczyło tylko w odpowiednim momencie dać jej szansę.

- Boję się tylko, czy kiedy zostanie tak zwaną gwiazdą, będzie jeszcze chciała się z nami bawić - zasepił się Bantz.

- Racja - potwierdził Deere. - Różnie to potem z nimi bywa. Za to zarobi dla nas kupę

forsy.

Z kolei przeszli do omawiania terminów produkcji i premier. Messalina miała być skończona za dwa miesiące, w sam raz, by zostać bożonarodzeniową „lokomotywą”. Dalszy ciąg Vaila był już w puszkach, a do kin trafi za dwa tygodnie. Te dwa filmy razem mogły przynieść dochód - z projekcji na całym świecie i kaset wideo - w wysokości miliarda dolarów. Bantz dostanie premię w wysokości dwudziestu milionów dolarów, Deere pięć. Bobby zostanie okrzyknięty „genialnym następcą Marriona”. Prawdziwym Numerem Jeden wytwórni.

Deere rzekł w zamyśleniu:

- Jaka szkoda, że musimy zapłacić Crossowi pięć procent od przewidzianych zysków brutto Messaliny. Może byśmy tylko oddali mu pięć milionów z odsetkami, a jak mu się nie spodoba, to niech nas skarży. Jak widać, niespieszno mu do sądu.

- Czy on przypadkiem nie jest w mafii? - spytał Bantz, a Deere pomyślał z ironią „aleś ty odważny”.

- Znam Crossa - odparł. - Nie jest w żadnej mafii. Claudia by mnie uprzedziła. Jeśli mamy się kimś przejmować, to tylko Molly Flanders. Chcemy wykołować jej dwóch klientów jednocześnie.

- Dobra - rzekł Bobby. - Chryste, odwaliliśmy kupę roboty. Zaoszczędziliśmy dwadzieścia milionów na Vailu i może dziesięć na De Lenie. To pójdzie na nasze premie. Będziemy bohaterami.

- Taa - zgodził się Deere i spojrzął na zegarek. - Dochodzi czwarta. Czy nie powinienesz już lecieć do Falene?

W tej samej chwili drzwi gabinetu Bobby'ego Bantza otworzyły się z impetem i stanęła w nich Molly Flanders w stroju bojowym, na który składały się spodnie, marynarka, biała jedwabna bluzka. Płaskie obcasy. Na twarzy była purpurowa ze złości, w oczach miała łzy, a mimo to nigdy nie wyglądała piękniej.

- Słuchajcie, tępaki - syknęła ze złością. - Ernest Vail nie żyje. Za chwilę będę miała pismo z sądu, które zabroni wam wyświetlania najnowszego filmu na podstawie jego książki. Czy teraz, debile jedne, jesteście gotowi usiąść i podpisać umowę?

Ernest Vail wiedział, że największa trudność w popełnieniu samobójstwa polega na znalezieniu odpowiedniej metody. Był zbyt tchórzliwy na posłużenie się którymś z popularnych sposobów. Pistolety go przerażały, noże i trucizny były zbyt bezpośrednie, a poza tym zawodne. Wsadzić głowę do piecyka gazowego, zatruć się w samochodzie tlenkiem węgla? To też nie dawało pewności. Podciąć sobie żyły? Nie znosił widoku krwi. Nie, chciał

umrzeć jakąś miłą śmiercią, szybką i pewną, która nie zniekształci jego ciała i nie odbierze mu godności.

Ernest był dumny, że sam wpadł na rozwiązanie, które przyniesie korzyść wszystkim poza LoddStone Studios. W ten sposób stanę finansowo na nogi, odzyskam wiarę w siebie, doprowadzę swe życie do porządku, pomyślał i zachichotał. Nie stracił poczucia humoru, oto kolejny dowód, że nadal był przy zdrowych zmysłach.

Nie wypłynie w ocean, bo to zbyt filmowe, nie rzuci się pod autobus, bo to bolesne i uwłaczające godności człowieka, nie jest przecież bezdomnym lumpem. Jeden pomysł przykuł na chwilę jego uwagę. Tabletki nasenne wyszły z mody, teraz używano się czopków wsuwanych do odbytnicy. Ale czopki też nie były estetyczne ani pewne.

Analizował po kolei wszystkie sposoby pozbawienia się życia, szukając takiego, który zapewni mu łagodną, pewną śmierć. Rozmyślania o samobójstwie wprawiły go w tak doskonały nastrój, że mało brakowało, a zapomniałby o istocie sprawy. Przystąpił do pisania listów pożegnalnych, przywołując na pomoc cały swój kunszt pisarski. Starał się nie użalać nad sobą ani nie wygłaszać samokrytyki. Przede wszystkim zależało mu na tym, żeby jego samobójstwo uznano za akt całkowicie racjonalny, a nie za tchórzostwo.

Zaczął od listu do pierwszej żony, którą uważał za swą jedyną prawdziwą miłość:

„Jak tylko dostaniesz ten list, skontaktuj się z moją prawniczką, Molly Flanders, która przekaze Ci ważną wiadomość. Dziękuję Tobie i dzieciom za tyle szczęśliwych lat. Nie traktuj mojego czynu jako wyrzutu pod swoim adresem. Nie mogliśmy na siebie patrzeć, jeszcze zanim się rozstaliśmy. Nie myśl, że zabiłem się, ponieważ byłem stuknięty lub nieszczęśliwy. Powody mojego czynu wyjaśni Ci moja prawniczka. Powiedz dzieciom, że je kocham”.

Ernest odsunął kartkę na bok. List wymagał, żeby nad nim jeszcze popracować. Napisał listy do drugiej i trzeciej żony, w których informował sucho, może nawet zbyt sucho, że zostawia im po kawałku swego majątku, dziękuje za szczęście, jakie mu dały, i zapewnia, że nie ponoszą winy za jego śmierć. Stwierdził, że chyba nie jest w miłosnym nastroju. Skreślił zatem trzy słowa do Bobby'ego Bantza: „Mam Cię gdzieś”.

Następnie napisał do Molly Flanders: „Dobierz się do tyłków tym sukinsynom”. To wprawiło go w lepszy nastrój.

Do Crossa De Lena napisał: „W końcu to zrobiłem”. Wyczuł bowiem, że Cross przy ostatnim spotkaniu kpił z jego gładzenia.

Otworzył się dopiero, gdy pisał do Claudii: „Tobie zawdzięczam najszczęśliwsze chwile w życiu, mimo że się nie kochaliśmy. Nie wiem, czym to wytłumaczyć. Jak to się

dzieje, że wszystko, co Ty robisz, ma sens, a wszystko, co ja robię, jest go pozbawione? Aż do teraz. Proszę Cię zapomnij, co mówiłem o Twoich scenariuszach, deprecjonując Twoją pracę. Przemawiała przeze mnie zazdrość pisarza, który jest przeżytkiem jak kowal. I dziękuję Ci, że walczyłaś o mnie, choć nic z tego nie wyszło. Liczą się dobre chęci”.

Złożył na kupkę żółte kartki. Listy mu się nie udały, ale przepisując je zmieni jeszcze to i owo.

Jak się okazało, układanie listów pożegnalnych poruszyło jego podświadomość. W końcu wpadł na idealny sposób popełnienia samobójstwa.

Kenneth Kaldone uchodził za najlepszego dentystę w Hollywood i cieszył się w tym małym środowisku niesłychaną sympatią. Nie tylko doskonale leczył zęby, ale był facetem obdarzonym wielką fantazją. Robił wszystko, by zadać kłam lansowanemu przez literaturę i film wizerunkowi dentysty burżuja.

Ubierał się świetnie, miał czarujące maniery, a w poczekalni jego przychodni stał regał z najlepszymi amerykańskimi i angielskimi pismami ilustrowanymi. Na drugim, mniejszym regale leżały pisma w językach obcych: niemieckim, włoskim, francuskim, a nawet rosyjskim. Pierwszorzędne obrazy na ścianach. W labiryncie korytarzy prowadzących do poszczególnych gabinetów wisiały zdjęcia największych sław Hollywood z autografami. Jego pacjentów.

Zawsze był wesóły. Sprawiał wrażenie zniewieściałego, ale nie należało się na to nabierać. Kochał kobiety, tylko unikał zobowiązań. Do seksu przywiązywał taką wagę, jak do obiadu w eleganckiej restauracji, dobrego wina, pięknej muzyki.

Kenneth oddał się bez reszty sztuce dentystycznej. Na tym polu był prawdziwym artystą, pilnie śledził techniczne i kosmetyczne nowinki. Odradzał pacjentom protezy, namawiając ich na implanty, umożliwiające przytwierdzenie sztucznych zębów na stałe. Wygłaszał odczyty na zjazdach stomatologów i cieszył się takim autorytetem, że raz wezwano go, aby wyleczył zęby osobie z rodziny panującej w Monako.

Żaden z pacjentów Kennetha Kaldone’a nie musiał na noc wkładać zębów do szklanki z wodą. Żaden nie cierpiał katuszy, siedząc na jego wymyślnym fotelu dentystycznym. Kenneth bowiem stosował narkotyki, a szczególnie tak zwane „słodkie powietrze”, czyli mieszaninę tlenu azotu z tlenem, która - wdychana przez gumową maskę - cudownie uśmierzała wszelki ból, wprawiając pacjenta w stan jak po zażyciu opium.

Ernest zaprzyjaźnił się z Kennethem już przy pierwszej swojej wizycie w Hollywood przed niespełna dwudziestu laty. A było to tak: podczas kolacji u producenta, starającego się o prawa do jednej z jego książek, Ernesta nieznośnie rozboleł ząb. Producent o północy

zatelefonował do Kennetha, który niezwłocznie przyjechał i zabrał Ernesta do swego gabinetu. Uporawszy się z zainfekowanym zębem, odwiózł Ernesta do hotelu i kazał się zgłosić nazajutrz.

Ernest powiedział producentowi, że wzywianie dentysty o północy wymaga nie lada tupetu. Producent odparł, że Kenneth Kaldone jest szczególnym dentystą. Człowiek, którego boli ząb, jest dla niego jak człowiek, który się topi - trzeba skoczyć na ratunek. Inna sprawa, że Kaldone czytał książki Ernesta i wyrażał się o nich bardzo pochlebnie.

Nazajutrz Ernest udał się do niego i już od progu zaczął dziękować. Kenneth przerwał mu, unosząc dłonie.

- To ja jestem twoim dłużnikiem - powiedział. - Twoje książki dały mi wiele przyjemności. A teraz pozwól, że opowiem ci o implantach.

I zrobił mu wykład, z którego wynikało, że nigdy nie jest za wcześnie na zajęcie się swymi zębami. Że Ernest niebawem straci część zębów, a implanty oszczędzą mu wyjmowania protezy na noc.

- Zastanowię się nad tym - obiecał Ernest.

- Nie - odparł Kenneth. - Nie mogę leczyć człowieka, który mi nie ufa.

- Dobrze, że nie jesteś pisarzem - roześmiał się Ernest. - Niech będzie.

I tak zostali przyjaciółmi. Przy każdym pobycie w Hollywood Vail zapraszał Kennetha na kolację, a niekiedy jechał do Los Angeles tylko po to, żeby powdychać sobie słodkiego powietrza. Kenneth wygłaszał inteligentne sądy o jego książkach, a w ogóle znał się na literaturze nie gorzej niż na stomatologii.

Ernest uwielbiał słodkie powietrze. Nie dość, że uśmierzało ból, to jeszcze wprawiało człowieka w stan oszołomienia, w którym przychodziły mu do głowy najlepsze pomysły. Trwająca kilka lat przyjaźń Ernesta z Kennethem zaowocowała w przypadku tego pierwszego kompletem nowych zębów ze stalowymi korzeniami.

Głównie jednak Ernest interesował się Kennethem z literackiego punktu widzenia. Uważał bowiem, że każdy człowiek jest nieco perwersyjny, a dentysta był tego najlepszym dowodem. Jego perwersja miała charakter seksualny, choć nie w zwykłym, obiegowym sensie.

Zawsze przed zaaplikowaniem Ernestowi słodkiego powietrza trochę sobie gawędzili. Kiedyś Kenneth wspomniał mimochodem, że jego dziewczyna, jego „druga połowa”, odbywa stosunki seksualne z psem, ogromnym owczarkiem niemieckim.

Ernest, który już zaczął wdychać słodkie powietrze, z wrażenia zdjął maskę z twarzy.

- Sypiasz z kobietą, która pieprzy się z psem? I nie boisz się? - spytał, mając na myśli

implikacje medyczne i psychologiczne.

Kenneth go nie zrozumiał.

- Czego? - zdziwił się. - Przecież pies to żaden rywal.

W pierwszej chwili Ernest pomyślał, że Kenneth żartuje. Ale nie, mówił całkiem poważnie. Ernest nałożył z powrotem maskę i pogrążył się w półśnie, a jego umysł, jak zwykle pobudzony, poddał dentystę wnikliwej analizie.

Kenneth najwyraźniej był facetem, który nie traktował miłości jako przeżycia duchowego. Dla niego miłość sprowadzała się do przyjemności fizycznej, działania w pewnym sensie podobnego do uśmierzania bólu. Folgowanie potrzebom ciała w sposób kontrolowany.

Tego wieczora przy kolacji Kenneth mniej więcej potwierdził domysły Ernesta.

- Seks jest lepszy od słodkiego powietrza. Ale jak ono wymaga trzydziestu procent tlenu. - Spojrzał na Ernesta filuternie. - Widzę, że służysz ci słodkie powietrze. Daję ci maksymalną dawkę, a ty ją świetnie znosisz.

- Czy to niebezpieczne? - spytał Ernest.

- Nie - rzekł Kenneth. - Chyba, że nie zdejmowałbyś maski przez kilka dni. Ale nawet wtedy byś nie umarł. Rzecz jasna, czysty tlenek azotu zabiłby cię w piętnaście do trzydziestu minut. Raz na miesiąc urządzałem w moim gabinecie balangę, na którą zapraszam starannie dobrane towarzystwo. Wszyscy są moimi pacjentami, więc znam wyniki analizy ich krwi i wiem, że są zdrowi. Podniecają się tlenkiem azotu. Nawiasem mówiąc, nie czujesz podniecenia siedząc pod maską?

Ernest wybuchnął śmiechem.

- Owszem, zawsze mam ochotę uszczypnąć w pupę twoją pomoc.

- Nie miałaby nic przeciwko temu - rzekł Kenneth z krzywym uśmiechem. - Słuchaj, może byś wpadł jutro o północy do mojego gabinetu. Zabawisz się trochę. - A widząc minę Ernesta, dodał: - Tlenek azotu to nie kokaina. Po kokainie kobiety są bezwolne, po tlenku azotu tylko rozluźnione. Wyobraź sobie, że to cocktail party. Nie musisz niczego robić.

Ciekawe, czy psy są też zaproszone, pomyślał Ernest złośliwie. Obiecał, że wpadnie. Wytlumaczył sobie, że posłuży mu to jako materiał literacki.

Wcale się nie bawił na tamtej imprezie i właściwie nie brał w niej udziału. Tlenek azotu bardziej go usypiał niż podniecał seksualnie, słowem, działał na niego jak narkotyk używany przez wyznawców litościwego Boga. Tymczasem goście Kennetha kopulowali jak zwierzęta i Ernest wreszcie zrozumiał zdawkowy ton dentysty, kiedy mówił o swej dziewczynie i owczarku niemieckim. To, co robili ci ludzie, było tak wyprane z emocji, że aż

nudne. Sam Kenneth w orgii nie uczestniczył, bo zajmował się dozowaniem gazu.

Ale teraz, wiele lat później, Ernest zrozumiał, że znalazł sposób na popełnienie samobójstwa. Bezbolesny zabieg dentystryczny. Nie będzie cierpieć, nie zostanie oszpecony, nie będzie się bał. Przeniesie się na drugi świat, snując złośliwe refleksje. Jak to się mówi, umrze szczęśliwy.

Jedyna trudność polegała na dostaniu się do gabinetu Kennetha nocą i uruchomieniu urządzenia...

Zadzwoił do Kennetha i umówił się na przegląd. W czasie kiedy Kenneth studiował zdjęcia rentgenowskie jego zębów, Ernest powiedział, że pisze książkę o dentyście i dlatego chciałby, żeby Kenneth mu pokazał, w jaki sposób włącza słodki gaz.

Kenneth, nauczyciel z powołania, pokazał mu, co trzeba zrobić, żeby otworzyć zbiorniki z tlenkiem azotu i tlenem, i pouczył, jaki skład powinna mieć mieszanka.

- Ale czy to urządzenie jest bezpieczne? - dopytywał się Ernest. - Na przykład upijesz się i coś źle podłączysz. Zabijesz mnie?

- Nie. Regulacja jest automatyczna. W najgorszym przypadku dostaniesz trzydzieści procent tlenu - odparł Kenneth.

Ernest wahał się przez chwilę, udając zakłopotanie.

- Wiesz, podobała mi się kiedyś ta impreza u ciebie. Teraz poznałem cudnej urody panienkę, która okazała się cholernie nieśmiała. Muszę ją jakoś rozkręcić. Mógłbyś dać mi klucze do gabinetu? Przyproceedziłbym ją tu którejs nocy. Ten gaz pomógłby się jej rozluźnić.

Kenneth nie odrywał wzroku od zdjęć rentgenowskich.

- Zęby masz bez zarzutu - stwierdził. - Jestem naprawdę dobrym dentystą.

- Dasz mi klucz? - nie ustępował Ernest.

- Naprawdę jest taka śliczna? - spytał Kenneth. - Zawiadam mnie, kiedy zechcesz ją tu przyproceedzić, to wpadnę i wszystko ci włączę.

- Nie, nie - zaprotestował Ernest. - To naprawdę porządna dziewczyna. Ucieknie, jeśli będziesz się tu kręcił. - Przerwał na chwilę. - Jest bardzo staroświecka.

- Co ty powiesz? - rzekł Kenneth i spojrzał mu w oczy.

- Zaraz wracam. - Wyszedł z gabinetu.

Wrócił z kluczem w ręku.

- Masz. Idź do ślusarza i każ go sobie dorobić. Ale zachowuj się tak, żeby cię dobrze zapamiętał. Potem odnieś mi mój klucz.

Ernest był zaskoczony.

- Nie ma aż takiego pośpiechu - mruknął.

Kenneth schował zdjęcia rentgenowskie i zwrócił się do Ernesta. Pierwszy raz, odkąd się poznali, na jego twarzy nie było wesołości.

- Nie chcę mieć kłopotów, kiedy policja cię znajdzie martwego w tym fotelu. Nie chcę narazić na szwank mojej reputacji zawodowej i stracić pacjentów. Policja znajdzie przy tobie klucz i odszuka tego, kto ci go dorabiał. Pomyślą, że zrobiłeś to na własną rękę. Zakładam, że zostawisz jakiś list.

Ernesta zamurowało. Najchętniej schowałby się pod ziemię. Nie pomyślał, że może narobić kłopotów Kennethowi. Kenneth patrzył na niego z uśmiechem pełnym dezaprobaty i smutku. Ernest wziął od niego klucz, a następnie pod wpływem rzadkiego wzruszenia niepewnie objął Kennetha.

- Więc mnie rozumiesz. Nie uważasz, że mi odbiło.

- Pewnie, że nie - odparł Kenneth. - Sam często myślę, że to zrobię, kiedy się zestarzeję lub życie mi zbrzydni. Śmierć to żadna rywalka - rzekł wesoło. Roześmiali się obaj.

- Naprawdę wiesz, dlaczego chcę to zrobić? - spytał Ernest.

- Wszyscy w Hollywood wiedzą - odparł Kenneth. - Na jakimś przyjęciu ktoś spytał Skippy'ego Deere'a, czy naprawdę nakręci ten film. A on na to: „Prędej mi kaktus na dłoni wyrosnie, niż Ernest Vail popełni samobójstwo”.

- I nie sądzisz, że oszalałem? - dopytywał się Ernest. - Że robię to dla pieniędzy, których nie będę mógł wydać...

- Skądże - zapewnił Kenneth. - To mądrzejsze niż zabić się z miłości. Ale technicznie wymaga to pewnych zabiegów. Musisz odłączyć rurkę, która doprowadza tlen. Uszkodzisz w ten sposób regulator i będziesz mógł uzyskać mieszankę, w której będzie więcej niż siedemdziesiąt procent tlenu azotu. Zrób to w piątek w nocy, jak sprzątacze pójdą do domu, to odkryją cię dopiero w poniedziałek. W przeciwnym wypadku istnieje możliwość, że zostaniesz odratowany. Oczywiście, jeśli użyjesz czystego tlenu azotu, umrzesz w niespełna pół godziny. - Uśmiechnął się smutno. - Szkoda tylko, że tyle mojej roboty pójdzie na marne.

Dwa dni później, w sobotę, Ernest obudził się w hotelu „Beverly Hills”. Było bardzo wcześnie, słońce dopiero wschodziło. Wziął prysznic, ogolił się, włożył gatki, bawełnianą koszulkę i wygodne dzinsy, a na wierzch rudobeżową płócienną marynarkę. Powiódł wzrokiem po walających się po podłodze ubraniach i gazetach, wzruszył ramionami.

Od hotelu do budynku, w którym mieścił się gabinet Kennetha, szło się pół godziny. Na ulicy Ernest poczuł coś w rodzaju wolności - w Los Angeles nikt nie chodził piechotą.

Poczuł również głód, ale bał się jeść, żeby przypadkiem nie zwymiotować, kiedy już zacznie wdychać tlenek azotu.

Gabinet znajdował się na czternastym piętrze w piętnastopiętrowym budynku. W hallu na dole urzędował tylko jeden strażnik po cywilnemu, w windzie nie było nikogo. Ernest przekręcił klucz w zamku i wszedł. Zamknął się, a klucz schował do kieszeni. W poczekalni panowała niesamowita cisza, okienko rejestratorki połyskiwało wesoło w porannym słońcu, ale komputer był złowieszczo ciemny i milczący.

Ernest otworzył drzwi wiodące do gabinetów. Idąc korytarzem, pozdrawiał zdjęcia gwiazd i gwiazdorów. W sumie było tam sześć gabinetów, trzy po prawej stronie i tyleż samo po lewej. Korytarz zamykało biuro Kennetha i pokój konferencyjny, w którym wielokrotnie gawędzili. Obok znajdował się gabinet wyposażony w specjalny hydrauliczny fotel dentystyczny, na którym Kenneth leczył zęby ważnym pacjentom.

Obity miękką skórą fotel był wyjątkowo wygodny. Na ruchomym stoliku obok leżała maska, przez którą wdychało się słodkie powietrze. Pokręta na konsoli, od której odchodziły dwa węże do ukrytych za ścianą zbiorników z tlenkiem azotu i z tlenem, były ustawione na pozycji zerowej.

Ernest je przestawił, aby zmieszać tlenek azotu z tlenem w proporcji pół na pół. Następnie usiadł na fotelu i przyłożył do twarzy maskę. Odprężył się. Zapomniał o wszystkich nieprzyjemnych sprawach, myślami zaczął wędrować po całym świecie. Czuł się cudownie i wcale nie chciało mu się umierać.

Do głowy zaczęły mu przychodzić różne literackie pomysły oraz spostrzeżenia na temat znajomych - bynajmniej nie złośliwe; to właśnie było sympatyczne w tym tlenku azotu. Psia kostka, zapomniał o przepisaniu listów, i nagle uświadomił sobie, że brzmiały złośliwie, choć wcale tego nie chciał i starannie dobierał słowa.

Znajdował się teraz w ogromnym kolorowym balonie. Szybował nad znajomym światem. Pomyślał o Elim Marrionie, który poszedł za głosem przeznaczenia i rządził wielką wytwórnią, nie bawiąc się w żadne sentymety. A jednak, kiedy wydano jego najlepszą książkę, tę, za którą dostał potem Pulitzera, Eli przyszedł na wydany przez wydawców koktajl. Wyciągnął do niego rękę i powiedział: „Jesteś świetnym pisarzem”. Jego pojawienie się na przyjęciu wywołało w Hollywood rozmaite domysły. Przed śmiercią wielki Eli Marrion przyznał mu udział w zyskach z filmów. Bantz wszystko odwołał, ale to inna para kaloszy.

Nie, Bantz nie jest łajdakiem. Szaleńczo goni za forszą, bo takie są zasady gry w tym świecie. Szczerze mówiąc, wołał go od Skippy'ego Deere'a, który ze swą inteligencją, urokiem osobistym, niespożytą energią, a także instynktowną skłonnością do zdrady był

bardziej niebezpieczny.

Dlaczego zawsze czepiam się Hollywood i filmów, czemu z nich szydę? Czy przemawia przeze mnie zazdrość? - zastanawiał się Vail. Film był obecnie najbardziej uznaną sztuką, sam lubił filmy, w każdym razie, dobre filmy. Jeśli o coś był zazdrosny, to o tę komitewę w czasie kręcenia. Aktorzy, ekipa, reżyser, gwiazdorzy, a nawet asysta, czyli ci bezdennie głupi kierownicy, tworzyli razem zgraną, jeśli nie kochającą się rodzinę, w każdym razie póki praca nad filmem nie dobiegła końca. Wtedy obdarowywali się prezentami, całowali się, obejmowali, przysięgali sobie wieczną miłość. To musiało być bardzo przyjemne. Przypomniawszy sobie czasy, kiedy pisał z Claudią swój pierwszy scenariusz. Marzył wówczas, że zostanie przyjęty do tej rodziny.

Z takim trudnym charakterem, złośliwym poczuciem humoru, wiecznym czepianiem się wszystkich? Ale wdychając słodki tlenek azotu, nie potrafił być dla siebie surowy. Pomyślał, że miał prawo do sympatii, napisał wspaniałe książki (Ernest należał do nielicznych pisarzy, którym podobały się własne książki) i zasługiwał na szacunek.

Dobrodusznie usposobiony tlenkiem azotu pomyślał też, że wcale nie ma ochoty umrzeć. Forsa nie jest taka ważna, a zresztą może Bantz jeszcze się złamie, a jeśli nie, to Claudia i Molly coś wymyślą.

Nagle przypomniał sobie upokorzenia, których doznał w życiu. Żadna z żon go naprawdę nie kochała. Zawsze musiał błagać o miłość, a miłość z litości nie sprawiała mu satysfakcji. Jego książki podobały się, ale nie przyniosły mu wielkich pieniędzy. Krytycy go znieważali, on zaś udawał, że nic sobie z tego robi. Pocieszał się, że na tym polega ich praca. Ale ich uwagi bolały. A weźmy znajomych. Niektórzy chętnie spędzali czas w jego towarzystwie, śmiali się z dowcipów, cenili go za szczerość, nigdy jednak się przed nim nie otworzyli, nawet Kenneth. Claudia go lubiła, ale Molly Flanders i Kenneth tylko się nad nim litowali.

Ernest sięgnął i wyłączył dopływ słodkiego powietrza do maski. Po kilku minutach odzyskał jasność myśli i poszedł posiedzieć w biurze Kennetha.

Wróciła mu depresja. Odchylił się w dyrektorskim fotelu Kennetha i patrzył, jak nad Beverly Hills wstaje słońce. Był tak wściekły na wytwórnę, że nic nie sprawiało mu przyjemności. Nienawidził poranków, wieczorem łykał wcześniej tabletkę na sen i starał się spać możliwie najdłużej... Że też pozwolił się wykiwać tym ludziom, ludziami, którymi szczerze pogardzał. Nie mógł już nawet czytać, a kiedyś znajdował w tym wielką przyjemność. Rzecz jasna, nie pisał. Elegancka proza, tak niegdyś wychwalana, brzmiała teraz fałszywie, pretensjonalnie. Nie lubił już pisać.

Od dłuższego czasu budził się rano przerażony czekającym go dniem, zbyt zmęczony, żeby się ogolić, wziąć prysznic. Do tego był bankrutem. Zarobił tyle milionów, ale je przepuścił, przegrał w kasynie, wydał na kobiety i alkohol. Albo rozdał. Aż do teraz forsa się dla niego nie liczyła.

Od dwóch miesięcy nie był w stanie zapłacić alimentów byłym żonom. Nie miał na utrzymanie dzieci. A w przeciwieństwie do innych mężczyzn lubił wysyłanie tych czeków. Od pięciu lat nie wydał żadnej książki i zrobił się nie do przyjęcia nawet dla siebie samego. Zawsze narzekał na los. Był jak bolący wrzód na tyłku społeczeństwa. To porównanie go szalenie przygnębiło. Swoją drogą, żeby taki dobry pisarz wymyślał takie banalne metafory. Ogarnęła go melancholia; był do niczego.

Wstał i poszedł do pokoju zabiegowego. Kenneth mu wytłumaczył, co ma zrobić. Wyciągnął z gniazdka kabel z dwiema wtyczkami - jedną do tlenu, drugą do tlenku azotu. A potem włączył tylko jedną z nich. Tę z tlenkiem. Usiadł w fotelu dentystycznym, sięgnął ręką do konsoli i przekręcił gałkę. Jednocześnie pożałował, że nie zostawił jednak z dziesięć procent tlenu, to wtedy śmierć nie byłaby taka pewna. Wziął maskę i przyłożył ją sobie do twarzy.

Doznał krótkiej ekstazy, której towarzyszyło całkowite znieczulenie na ból i uczucie senności. Chwilę potem tlenek azotu wyłączył jego mózg. Nim przestał istnieć, doznał krótkotrwałej radości i zdążył pomyśleć, że istnieje Bóg i niebo.

Molly Flanders napadła z furią na Bobby'ego Bantza i Skippy'ego Deere'a. Obaj byli zdania, że gdyby Eli Marrion żył, trochę jednak by się mitygowała.

- Zamierzacie właśnie wypuścić na ekrany kolejny ciąg dalszy historii napisanej przez Ernesta. Załatwię w sądzie nakaz zatrzymania tego filmu. Ta historia jest teraz własnością spadkobierców Ernesta. Jasne, możecie zlekceważyć nakaz i wyświetlić film, ale wtedy was zaskarżę. Jeśli wygram sprawę, spadkobiercy Ernesta zostaną właścicielami filmu i znacznej części dochodów z niego. A z całą pewnością potrafię uniemożliwić wam nakręcenie kolejnych ciągów dalszych jego książki. Teraz tak: możecie zaoszczędzić sobie kłopotów i włączenia się po sądach. Zapłacicie pięć milionów z góry i dziesięć procent zysków brutto z każdego filmu. Żądam również prawdziwego, uczciwego zaświadczenia, ile film zarobi w wypożyczalniach wideo.

Deere był przerażony, Bantz wściekły. Ernest Vail, pisarz, miał dostać większy procent od gwiazd? Czegoś takiego jeszcze nie było.

Bantz natychmiast zatelefonował do Mela Stuarta i głównego radcy prawnego wytwórni. Stawili się w sali konferencyjnej w niespełna pół godziny. Melo musiał być na

spotkaniu, ponieważ partycypował w zyskach z filmu, nie mówiąc o tym, że brał prowizję od zarobków aktorki odtwarzającej główną rolę, reżysera oraz scenarzysty Benny'ego Slya. Zaistniała sytuacja wymagała zrzeczenia się przez niego kilku procent.

Głos zabrał główny radca prawny:

- Przeanalizowaliśmy zasadność żądań pana Vaila już wtedy, kiedy pierwszy raz postraszył wytwórnię.

- Czy popełnienie samobójstwa nazywacie straszeniem wytwórni? - rzuciła się na niego Molly Flanders.

- Straszeniem i szantażowaniem - odparł niezrażony radca. - A wracając do sprawy, to bardzo dokładnie zbadaliśmy stanowisko prawa w tej zawilej sytuacji i powiedziałem szefom wytwórni, że wygrają w sądzie. Twierdzę, że w tym szczególnym przypadku prawo do własności nie przechodzi na spadkobierców.

- Jest pan tego pewien? - syknęła Molly. - Na dziewięćdziesiąt pięć procent?

- Nie - odparł doradca. - W prawie nie ma nic pewnego.

Molly nie posiadała się z radości. Kiedy wygra tę sprawę, zarobi tyle, że będzie mogła spokojnie przejść na emeryturę.

- Mam was wszystkich gdzieś - oznajmiła, wstając. - Do zobaczenia w sądzie.

Bantza i Deere'a z przerażenia sparaliżowało. Bantz dużo by dał, żeby Eli żył w tej chwili.

Jedyny Melo nie stracił głowy, poderwał się, pobiegł za Molly i złapał ją delikatnie za łokieć.

- Hej - zawołał - my tylko negocjujemy. Bądź człowiekiem. - Prowadząc ją z powrotem do stołu, zauważył, że adwokatka ma łzy w oczach. - Dogadamy się. Zrezygnuję ze swoich kilku procent.

- Naprawdę chcesz zaryzykować utratę filmu? - spytała Molly Bantza cichym głosem.

- Czy twój radca może ci zagwarantować, że wygrasz? Nie może. Kim jesteś, biznesmenem czy jakimś zdegenerowanym graczem? Chcesz zaryzykować stratę miliarda dolarów, żeby zaoszczędzić jakieś zafajdane dwadzieścia do czterdziestu milionów?

W końcu dobili targu. Spadkobiercy Ernesta dostali cztery miliony zaliczki i osiem procent zysków z filmu, który miał właśnie wejść na ekrany. W przyszłości mieli dostawać dwa miliony zaliczki i dziesięć procent zysków. Trzy były żony Ernesta i jego dzieci będą jednak bogate.

Na pożegnanie Molly wypaliła z grubej rury:

- Jeśli myślicie, że potraktowałam was ostro, poczekajcie, aż Cross De Lena się dowie,

jak go wystawiliście do wiatru.

Molly delectowała się zwycięstwem. Przypomniała sobie, jak kiedyś zabrała Ernesta z jakiegoś przyjęcia. Upiła się na smutno, a Ernest był taki dowcipny i błyskotliwy, pomyślała więc, że miło będzie spędzić z nim noc. Ale zanim dojechali do domu, zdążyli już wytrzeźwieć. Zaprowadziła Ernesta do sypialni i wtedy się okazało, że ma do czynienia z nieśmiałym chłopcem. Tak się spieszył, że mało nie wlaź pod łóżko.

Ale Molly była porządna. Zamiast go wyrzucić za drzwi, jeszcze raz się upiła. Wciągnęła faceta do łóżka, a on zrobił, co do niego należało. Po ciemku. Strasznie się starał, co Molly tak pochlebiło, że rano podała mu śniadanie do łóżka.

- Dzięki - powiedział z filuternym uśmiechem. - Wielkie dzięki.

Wtedy się domyśliła, że dziękował jej nie tylko za śniadanie, ale również za to, że przejęła inicjatywę w nocy. Szkoda, że nie potrafiła lepiej udawać, ale, do cholery, była prawnikiem. Teraz odwzajemniła mu się za tamto.

Wezwanie don Clericuzia złapało dottore Davida Redfellowa na bardzo ważnym spotkaniu. Doradzał właśnie premierowi Włoch w sprawie nowego przepisu, nakładającego na skorumpowanych urzędników bankowych bardzo ostre kary. Jak łatwo się domyślić, nie popierał tego przepisu. Pospiesznie wygłosił swe racje i odleciał do Ameryki.

W czasie trwającego dwadzieścia pięć lat zesłania we Włoszech Davidowi Redfellowowi powodziło się tak dobrze, że przeszło to jego najśmielsze oczekiwania. Na początku don Clericuzio pomógł mu kupić niewielki bank w Rzymie. Kolejne banki i stacje telewizyjne Redfellow nabył za pieniądze zarobione na handlu narkotykami i zdeponowane w bankach szwajcarskich. Dzięki przyjaciom don Clericuzia, podpowiadającym mu, które tygodniki, dzienniki i stacje telewizyjne, nie mówiąc o bankach, powinien kupować, zbudował we Włoszech własne imperium.

Ale David Redfellow cieszył się również z tego, czego sam dokonał. Mianowicie, stał się zupełnie innym człowiekiem. Miał włoskie obywatelstwo, włoską żonę, włoskie dzieci, standardową włoską kochankę, jak również honorowy doktorat (kosztował go raptem dwa miliony) nadany przez włoski uniwersytet. Ubierał się u Armaniego, godzinę w tygodniu spędzał u fryzjera, spotykał się ze znajomymi w swym barze (nabył go na własność), wszedł do polityki jako doradca rządu i premiera. Raz do roku odbywał pielgrzymkę do Quogue, aby wysłuchać życzeń swego mentora. To nagle wezwanie don Clericuzia nieco go zaskoczyło.

W Quogue czekano na niego z kolacją, którą Rose Marie przygotowała osobiście, jako że Redfellow wyrażał się z wielkim entuzjazmem o rzymskich restauracjach. Do stołu zasiadł cały klan: don, jego trzech synowie - Giorgio, Petie i Vincent, wnuk Dante, a także Pippi i

Cross De Lena.

Witano go jak bohatera. Z króla handlarzy narkotyków, który nie ukończył studiów, przebierańca z kolczykiem w uchu, dziwkarza, zrobił się filarem społeczeństwa. Byli z niego dumni. Więcej, don Clericuzio czuł się jego dłużnikiem. Bo to właśnie Redfellow nauczył go tego i owego o moralności.

Dawno temu don Clericuzio cierpiał na dziwny sentymentalizm. Uważał, że przedstawiciele prawa nie da się skorumpować, gdy w grę wchodzi narkotyki.

W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku David Redfellow miał dwadzieścia lat, studiował i zajął się narkotykami nie dla zysku, ale po to, żeby zapewnić sobie i kolegom stałą tanią dostawę. Amatorskie przedsięwzięcie, ubogi asortyment - kokaina i marihuana. Przez rok biznes jednak tak się rozrósł, że kupili sobie samolot do przewożenia towaru z Meksyku i Ameryki Południowej. Naturalnie prędko weszli w konflikt z prawem. Wtedy dał znać o sobie geniusz Davida. Zarabiali w sześciu kupę forsy. David Redfellow zaczął płacić łapówki i wkrótce na liście płac miał szeryfów, prokuratorów okręgowych, sędziów i setki policjantów na całym Wschodnim Wybrzeżu.

Zawsze mówił, że to proste. Wystarczy dowiedzieć się, ile facet zarabia przez rok, i zaproponować mu pięć razy tyle.

Ale wtedy na scenę wkroczył kartel Kolumbijczyków, dzikszych od Indian ze starych westernów, biorących nie skalpy, lecz całe głowy. Gdy zabili mu czterech współników, David Redfellow skontaktował się z Rodziną Clericuzio i poprosił o ochronę w zamian za połowę swych dochodów.

Przydzielono mu oddział żołnierzy z Enklawy Bronxu pod dowództwem Petiego Clericuzia i tak pozostało do pamiętnego dnia w 1965 roku, kiedy to don Clericuzio zesłał Redfellowa do Włoch. Interes narkotykowy stał się zbyt niebezpieczny.

Teraz zebrani przy stole gratulowali donowi decyzji podjętych przed laty. Dante i Cross słyszeli tę historię pierwszy raz. Redfellow był świetnym gawędziarzem. Wychwalał pod niebiosa Petiego.

- Co za rębajło - zachwycił się. - Gdyby nie on, nie dożyłbym do tego wyjazdu. - Odwrócił się do Dantego i Crossa. - Wyjechałem w dniu waszego chrztu. Pamiętam, że nawet nie drgnęliście, kiedy was topiono w chrzcielnicy. Do głowy mi wtedy nie przyszło, że będę kiedyś z wami, dorosłymi facetami, ubijać interesy.

- Nie z nimi, lecz ze mną i Giorgiem - zauważył sucho don. - W razie potrzeby możemy wciągnąć Pippię. Postanowiłem wejść w interes, o którym ci mówiłem. Giorgio wytłumaczy ci, co i jak.

Giorgio wyjaśnił Davidowi, że zmarł Eli Marrion, a LoddStone Studios przejął niejaki Bantz, który cofnął Crossowi obiecane procenty z Messaliny i oddał mu zainwestowane pieniądze z odsetkami.

Redfellow chichotał, słuchając tej historii.

- Szczwany lis - powiedział wesoło. - Wie, że nie pójdziesz do sądu, więc zabiera ci forszę. Nieźle to sobie wykombinował.

Popijając kawę, Dante patrzył spode łba na Redfellowa. Rose Marie, która siedziała obok, położyła synowi rękę na ramieniu.

- Co właściwie cię tak śmieszy? - spytał Dante Redfellowa.

Redfellow przez chwilę przyglądał się Dantemu. Potem spowaźniał.

- To, że wiem, jaki robi błąd.

Don obserwował tę wymianę zdań z rozbawieniem. W każdym razie, ku wielkiej radości synów, uśmiechał się, co rzadko miało miejsce.

- A ty, wnuku, jak byś rozwiązał tę sprawę? - spytał.

- Sprawilibym, że pochłonęłyby go fale oceanu - wyjaśnił Dante.

Don pokiwał głową i zwrócił się do Crossa:

- A ty, Croccifixio? Jak ty byś rozwiązał tę sprawę?

- Machnąłbym ręką - odparł Cross. - Wyciągnąłbym nauczkę na przyszłość. Przechytrzyli mnie, bo nie sądziłem, że się na to zdobędą.

- Petie i Vincent? - sondował don.

Synowie wykręcili się od odpowiedzi. Znali tę grę.

- Nie można po prostu machnąć ręką - rzekł don do Crossa. - Wyjdiesz tylko na głupca i utracisz szacunek ludzi na całym świecie.

Cross przejął się słowami dona.

- W domu Eliego Marriona wiszą obrazy o wartości dwudziestu, trzydziestu milionów. Ukradnijmy je i zażądajmy okupu - zaproponował.

- Nie, nie - zaproponował don. - W ten sposób byś się odkrył, pokazał swą siłę, co, bez względu na to, jak delikatnie byś to przeprowadził, mogłoby się bardzo źle skończyć. To zbyt skomplikowane. Co ty byś zrobił, Davidzie?

David w zamyśleniu palił cygaro.

- Kupiłbym wytwórnię - rzekł po chwili. - Zachowałbym się jak cywilizowany biznesmen. Wykorzystaj nasze banki i firmy, kup LoddStone.

Cross nie wierzył własnym uszom.

- LoddStone jest najstarszą i najbogatszą wytwórnią na świecie. Nie sprzedadzą jej

nawet za dziesięć miliardów. To nie wchodzi w rachubę.

- Davidzie, mój druhu, dysponujesz dziesięcioma miliardami? - spytał wesoło Petie. - Ty, człowiek, któremu uratowałem życie? Człowiek, który powiedział, że nigdy nie będzie w stanie mi się zrewanżować?

Redfellow machnął ręką.

- Nie rozumiesz. Z pieniędzmi jest jak ze śmietaną. Z małej ilości ubijasz górę za pomocą obligacji, pożyczek, akcji. Pieniądze nie stanowią problemu.

- Problemem jest to, jak usunąć z drogi Bantza - zauważył Cross. - Bantz rządzi wytwórnią i cokolwiek można o nim powiedzieć, jedno nie ulega wątpliwości: to godny następca Marriona. Nie sprzeda wytwórni za żadne pieniądze.

- To pójdę i dam mu buziaka - rzekł Petie.

Don nagle podjął decyzję. Powiedział do Redfellowa:

- Wprowadź w życie swój plan. Bierz się do roboty, ale działaj bardzo ostrożnie. Masz do dyspozycji Pippiego i Croccifixia.

- Jedna uwaga - zwrócił się Giorgio do Redfellowa. - Na mocy testamentu Eliego Marriona Bobby Bantz będzie rządzić wytwórnią przez najbliższe pięć lat. Syn i córka Marriona posiadają w wytwórni więcej udziałów od Bantza. Bantza wyrzucić się nie da, ale jeśli wytwórnia zostanie sprzedana, nowi właściciele będą musieli go spłacić. To jest problem, który musisz rozwiązać.

David Redfellow palił z uśmiechem cygaro.

- Zupełnie jak za dawnych czasów. Jeśli potrzebuję czyjejś pomocy, to tylko pana, don Clericuzio. Niektóre banki we Włoszech nie będą chciały zaangażować się w takie przedsięwzięcie. Proszę pamiętać, że musimy zapłacić znacznie więcej niż wytwórnia jest faktycznie warta.

- Nie martw się - odparł don. - Mam w bankach mnóstwo pieniędzy.

Pippi De Lena czujnym okiem obserwował zebranych przy stole. Niepokoiło go, że tylu ludzi zostało dopuszczonych do tej rozmowy. Normalnie w naradzie wzięliby udział tylko don, Giorgio i David Redfellow. On z Crossem dostaliby osobno polecenie, żeby pomóc Redfellowowi. Czemu wtajemniczano ich w te wszystkie sprawy? A tym bardziej, dlaczego w spotkaniu uczestniczyli Dante, Petie i Vincent? To było zupełnie niepodobne do don Clericuzia, który swe zamiary zawsze otaczał ścisłą tajemnicą.

Przyszła pora snu don Clericuzia. Vincent i Rose Marie musieli pomóc mu wejść po schodach. Don bowiem za nic nie chciał słyszeć o zamontowaniu urządzenia, które wwoziłoby go na górę.

Kiedy zniknęli im z oczu, Dante odwrócił się do Giorgia i spytał zaczepnie:

- A kto dostanie wytwórnię, jak już zostaniemy jej właścicielami? Cross?

- Właścicielem wytwórni będę tylko ja - poprawił go sucho David Redfellow. - Będę ją prowadzić. Twojemu dziadkowi przypadnie udział w dochodach. Tak to zostanie ujęte w dokumentach.

Giorgio skinął potwierdzająco głową.

- Dante, żaden z nas nie może prowadzić wytwórni filmowej - roześmiał się Cross. - To trzeba naprawdę umieć.

Pippi przyglądał im się bacznie. Normalnie był sprytny. Dlatego żył tak długo. Tu jednak działo się coś, czego nie rozumiał. A może don się po prostu zestarzał.

Petie odwiózł Redfellowa na lotnisko Kennedy'ego, gdzie czekał na niego własny odrzutowiec. Cross i Pippi przylecieli z Vegas wycarterowanym samolotem. Don Clericuzio był przeciwny temu, żeby „Xanadu” lub jakiegokolwiek inne jego przedsiębiorstwo posiadało odrzutowiec.

Wynajęty samochód prowadził Cross. W drodze na lotnisko Pippi powiedział:

- Zamierzam zostać kilka dni w Nowym Jorku. Nie oddawaj więc samochodu.

Cross zauważył, że ojciec się czymś martwi.

- Źle wypadłem, prawda?

- Dobrze wypadłeś - zapewnił Pippi. - Ale don ma rację. Dwa razy zrobiono cię w konia. Nie można przejść nad tym do porządku dziennego.

Dojechali na lotnisko. Cross wysiadł, a Pippi przesunął się za kierownicę. Przez otwarte okno podali sobie ręce. Pippi spojrzał na przystojną twarz syna i poczuł gwałtowny przypływ miłości ojcowskiej. Poklepał Crossa po policzku.

- Uważaj - przestrzegł, zmuszając się do uśmiechu.

- Na co? - spytał Cross. Usiłował wyczytać coś z miny ojca.

- Na wszystko - odparł Pippi. A potem, ku zaskoczeniu Crossa, dodał: - Powinienem być pozwolić ci odejść z matką. Zachowałem się samolubnie, zatrzymując cię przy sobie.

Patrząc za odjeżdżającym samochodem, Cross uświadomił sobie, że ojciec się o niego martwił i że go kochał.

Rozdział piętnasty

Ku własnemu zdumieniu Pippi De Lena nagle zapragnął się ożenić. I to nie z miłości, lecz z samotności. Owszem, był popularny w „Xanadu”, miał Rodzinę Clericuzio, licznych znajomych i krewnych. Owszem, spotykał się z trzema kobietami, apetyt mu dopisywał, grał dobrze w golfa, jak również nadal dużo tańczył. Ale dokąd ten taniec go zaprowadzi? Na dno

oceanu, jak mawiał don.

Pod sześćdziesiątkę, krzepki, pogodny, bogaty, w pewnym sensie na emeryturze, poczuł, że tęskni do unormowanego życia, ogniska domowego, a nawet dzieci. Właśnie, czemu nie? Im więcej o tym myślał, tym bardziej podobał mu się ten pomysł. Coś takiego, miał ochotę znowu zostać ojcem, zwłaszcza ojcem dziewczynki. Z Claudią co prawda nie rozmawiał, ale pamiętał, że kiedyś bardzo ją kochał. Była bardzo sprytna, ale szczerą. Torowała sobie drogę przez życie jako scenarzystka. Kto wie, może kiedyś się jeszcze dogadają? Oboje byli bardzo uparci. Właściwie to rozumiał i podziwiał jej bezkompromisowość.

Crossowi nie udało się wejść w przemysł filmowy, ale tak czy owak przyszłość miał zapewnioną. W dalszym ciągu prowadził „Xanadu”, a don pomógł mu przyjść do siebie po tym ostatnim niezbyt rozsądnym posunięciu. Był dobrym dzieciakiem, tyle że jeszcze młodym, a młodych kusi ryzyko. Tak to już jest w życiu.

Zostawiwszy Crossa na lotnisku, Pippi wrócił do miasta, planował bowiem spędzić kilka dni ze swą nowojorską kochanką. Ta przystojna brunetka, sekretarka w firmie prawniczej, była obdarzona dosadnym nowojorskim poczuciem humoru, a do tego świetnie tańczyła. Miała niewyparzony język i wydawała garściami pieniądze. Na żonę była nie tylko za droga, ale i za stara, dobiegała pięćdziesiątki. I jak się dobrze zastanović, była zbyt niezależna. Niezależność jest dobra u kochanki, ale nie u żony, o jakiej myślał.

Weekend, który z nią spędził, był dość miły, jeśli nie brać pod uwagę, że przez pół niedzieli czytała „Timesa”. Jedli w najlepszych restauracjach, tańczyli w nocnych klubach, uprawiali miłość w jej mieszkaniu. Na stałe jednak Pippi potrzebował kogoś spokojniejszego.

Poleciał do Chicago. Tutejsza jego kochanka była erotycznym odpowiednikiem tego zwariowanego miasta. Dużo piła, często chodziła na przyjęcia i śmiała się bez przerwy. Nie można powiedzieć, wesoła babka, ale trochę leniwa i niezbyt porządna, a Pippi cenił sobie w domu porządek. No i za stara na rodzenie dzieci, oficjalnie przyznawała się do czterdziestu lat. Z drugiej strony, chyba nie zamierza uganiać się za jakąś młodką? Po dwóch dniach spędzonych w Chicago tę narzeczoną również skreślił.

Nie ulegało wątpliwości, że z tymi dwiema miałby kłopoty w Vegas. Obie przyzwyczyły się do życia w dużym mieście, a Vegas, tak z ręką na sercu, było wiochą z kasynami zamiast krów. Pippi jednak nie wyobrażał sobie, że mógłby mieszkać poza Vegas - w Vegas nie istniało coś takiego jak ciemność. W nocy miasto błyszczało niczym różowy brylant na pustyni, duchy rozplływały się w świetle neonów, a te, którym udało się gdzieś zacząć i doczekać rana, ginęły w ogniu piekącego niemiłosiernie słońca.

Najlepszą kandydatką na żonę była kochanka z Los Angeles. Pippi był niesłychanie dumny, że tak je sprytnie rozmieścił. W ten sposób w grę nie wchodziły przypadkowe spotkania i nie musiał się głowić, którą wybrać. Nie konkurowały też z jego przelotnymi przygodami miłosnymi. Patrząc wstecz, Pippi konstatował z zadowoleniem, że dobrze pokierował swym życiem. Był śmiały, ale roztropny, odważny, lecz nie szalony, wierny Rodzinie i z wzajemnością. Jedyńm błędem, jaki popełnił, było małżeństwo z Nalene, z drugiej jednak strony, czy nie dawała mu szczęścia przez jedenaście lat? Jak to don mawiał? W życiu wolno popełniać błędy pod warunkiem, że nie są to błędy fatalne.

Postanowił nie zatrzymywać się w Vegas, tylko jechać bezpośrednio do Los Angeles. Zawiadomił Michelle, że jest w drodze, nie zgodził się jednak, żeby wyjechała po niego na lotnisko.

- Po prostu czekaj na mnie. Stęskniłem się za tobą. Muszę powiedzieć ci coś bardzo ważnego.

Michelle liczyła zaledwie trzydzieści dwa lata i była delikatniejsza, serdeczniejsza i mniej denerwująca od tamtych dwóch pań, może dlatego, że urodziła się i wychowała w Kalifornii. Miała temperament w łóżku, choć oczywiście tamtym kobietom też go nie brakowało, jako że dla Pippiego seks był sprawą pierwszorzędnej wagi. Zgodna, nie będzie z nią kłopotu. Była tylko trochę stuknięta na punkcie Nowej Ery, wierzyła w te wszystkie bzdury, jak bioprądy i reinkarnacja, ciągle mówiła o kontaktowaniu się z bytami pokrewnymi, ogólnie jednak była fajna. Jak wiele piękności kalifornijskich marzyła o zagranju w filmie, ale wybito jej to z głowy. Teraz miała hyzia na punkcie jogi, wahadełek, zdrowej żywności, biegania, siłowni. A poza tym zawsze chwaliła karmę Pippiego. Bo, rzecz jasna, żadna z tych pań nie znała jego prawdziwego zawodu. Dla nich był inspektorem hotelowym w Vegas.

Tak, Michelle przeniosłaby się do niego, a mieszkanie w Los Angeles zatrzymaliby na wypadek, gdyby w Vegas umierali z nudów. Wystarczyłoby wsiąść do samolotu i po czterdziestu pięciu minutach wsiąść w Los Angeles. Hm, a może kupić jej sklepik z upominkami w hotelu „Xanadu”, żeby miała jakieś zajęcie? To chyba niezły pomysł. Tylko co będzie, jeśli da mu kosza?

Przypomniało mu się, jak Nalene czytała dzieciom Bajkę o królewnie Śnieżce i krasnoludkach. Był wybredny jak ta Śnieżka. Kochanka z Nowego Jorku była dla niego za twarda, kochanka z Chicago znowu za miękka, a jedynie ta z Los Angeles w sam raz. Uśmiechnął się do swych myśli. W życiu tak naprawdę nic nie było „w sam raz”.

Wysiadł z samolotu w Los Angeles i odetchnął balsamicznym powietrzem Kalifornii, udając, że nie czuje smogu. Wynajął samochód i najpierw pojechał na Rodeo Drive, bo

uwielbiał robić kobietom prezenty w eleganckich sklepach, oferujących luksusowe artykuły z całego świata. W sklepie Gucciego kupił szpanerski zegarek, u Fendich torebkę, dość brzydką na jego gust, za to modną; u Hermésa apaszkę. Perfumy we flakonie udającym rzeźbę. Wybierając drogą bieliznę, powiedział ekspedientce, młodej blondynce, że to dla niego. Dziewczyna spojrzała na niego i mruknęła: „Akurat...”

Wrócił do samochodu uboższy o trzy tysiące dolarów. Położył na przednim siedzeniu wesołą kolorową torbę reklamową od Gucciego, do której wrzucił wszystkie zakupy, i ruszył w kierunku Santa Monica. W Brentwood zatrzymał się w swym ulubionym miejscu, w Brentwood Mart. Uwielbiał stragany wokół placyku zastawionego stolikami piknikowymi, przy których człowiek mógł się pożywić i napić czegoś zimnego. Postanowił coś kupić, bo jedzenie w samolocie było okropne, a na lodówkę wiecznie odchudzającej się Michelle nie miał co liczyć.

W jednym stoisku kupił dwa pieczone kurczaki, tuzin żeberek pieczonych na ruszcie i cztery hot dogi z przyprawami. W drugim bochenek białego i bochenek razowego chleba. Usiadł przy stoliku piknikowym, by wypić ogromny kubek coca-coli i nacieszyć się chwilą samotności. Zjadł dwa hot dogi, pół kurczaka i trochę frytek. W życiu nic mu tak nie smakowało. Siedział skąpany w złotym kalifornijskim świetle słonecznym, słodkie balsamiczne powietrze omywało mu twarz. Niechętnie pomyślał, że musi wstać, bo Michelle czeka. Wykapana, pachnąca, ciut wstawiona. Zaprowadzi go do łóżka, nie dając mu nawet umyć zębów. Pippi postanowił, że się jej oświadczy, zanim zaczną się kochać.

Na torbie z zakupami spożywczymi drukowano jakąś powieść o jedzeniu - intelektualna torba dla intelektualnej klienteli supermarketu. Wkładając ją do samochodu, przeczytał początek: „Owoc jest najstarszym produktem spożywczym. Już w rajskim ogrodzie...” O rany, jęknął Pippi.

Był już w Santa Monica. Samochód zatrzymał przed domem Michelle, należącym do szeregu dwukondygnacyjnych domów w stylu hiszpańskim. Wysiadł i odruchowo wziął obie torby do lewej ręki, prawą pozostawiając wolną. Z przyzwyczajenia rozejrzał się na boki. Na jezdni nie stały żadne samochody, hiszpański styl uwzględniał wygodne podjazdy. Jacyś ludzie biegli przy krawężniku za parawanem z kwiatów i trawy, drzewa o ciężkich gałęziach tworzyły baldachim, dający miły cień.

Pippi musiał przejść kilka kroków wąską uliczką wzdłuż zielonego płotu, pod którym rosły róże. Do mieszkania Michelle wchodziło się od tyłu - pozostałość po starej wiejskiej Santa Monica. Same budynki były z efektownego starego drewna; między domami niebieściły się baseny, otoczone białymi ławkami.

Usłyszał stłumiony odgłos pracującego na jałowym biegu silnika. To wzbudziło jego czujność, zawsze był czujny. W tej samej chwili dostrzegł, że z ławki wstaje mężczyzna.

- Co tu robisz, do cholery? - spytał zdumiony.

Gdy ręka tamtego nie wysunęła się na powitanie, wszystko stało się jasne. Pippi wiedział, co zaraz nastąpi. Przez jego mózg przelatywało tyle myśli, że nie był w stanie się poruszyć. Zobaczył pistolet, mały i pozornie niegroźny, zobaczył skupienie na twarzy zabójcy. Pierwszy raz zrozumiał ludzi, których wyprawiał na tamten świat, to ich niedowierzanie, że życie dobiegło końca. Zrozumiał też, że musi w końcu zapłacić za to, że żył. Przez krótką chwilę łudził się, że zabójca coś przeoczył, bo on sam przeprowadziłby to inaczej.

Starał się jak mógł, ale wiedział, że na litość nie może liczyć. Upuścił torby z zakupami i skoczył do przodu, sięgając jednocześnie po pistolet. Tamten szedł mu na spotkanie. Pippi triumfalnie rzucił mu się do szyi. Nie zdążył. Sześć kul odrzuciło go na kwietnik pod zielonym ogrodzeniem. Poczł zapach róż. Spojrzał na stojącego nad nim mężczyznę i powiedział:

- Przeklęty Santadio.

Ostatnia kula roztrzaskała mu czaszkę. I był to koniec Pippiego De Lena.

Rozdział szesnasty

Rankiem w dniu śmierci Pippiego Cross wpadł do Malibu po Athenę i pojechali do San Diego odwiedzić jej córkę.

Bethany już czekała ubrana przez pielęgniarki w wyjściowy strój. Cross pomyślał, że wysoka jak na swój wiek dziewczynka jest rozmazaną kopią Atheny. Poruszała się niesłychanie powoli, a na jej twarzy i w oczach niezmiennie malowała się bezmyślność. Rysy dziewczynki, jak gdyby rozmyte, starte, kojarzyły się ze zmydlonym częściowo wzorkiem na mydle. Miała na sobie czerwony plastikowy fartuch, żeby nie powalać farbami ubrania. A malowała na ścianie od świtu. Nie zwróciła uwagi na ich wejście, a kiedy matka nachyliła się, żeby ją przytulić i pocałować, odsunęła się, odwróciła głowę.

Robiąc dobrą minę do złej gry, Athena objęła ją.

Na ten dzień zaplanowali piknik nad jeziorem w pobliskim lesie. Athena przygotowała koszyk z jedzeniem.

W samochodzie posadzili Bethany między sobą. Prowadząc, Athena raz po raz odgarniała włosy dziewczynki, głaskała ją po policzku. Mała siedziała jak gdyby kij połknęła i patrzyła przed siebie.

Cross myślami wybiegał ku wieczorowi, kiedy to wrócą z Atheną do Malibu i będą się

kochać. Wyobrażał ją sobie nagą, leżącą na łóżku, i siebie, jak nad nią stoi.

Raptem Bethany coś do niego powiedziała. Do tej chwili traktowała go jak powietrze. Spojrzała na niego pozbawionymi wyrazu zielonymi oczyma i spytała:

- Kto ty jesteś?

- Na imię ma Cross i jest moim najlepszym przyjacielem - wyjaśniła spokojnie Athena, jak gdyby nie widziała nic niezwykłego w fakcie, że jej córka zadała to pytanie.

Ale Bethany chyba już tego nie słyszała, bo znów wróciła do swego świata.

Athena zaparkowała samochód kilka metrów od wtulonego w las jeziora, przywodzącego na myśl malutki niebieski klejnot na ogromnej płachcie zielonego aksamitu. Cross wyjął kosz z jedzeniem. Rozłożywszy na trawie czerwony obrus, Athena przystąpiła do wypakowywania zawartości kosza. Najpierw wyjęła zeń wykrochmalone zielone serwetki i sztucce. Bethany zajęła się oglądaniem obrazków instrumentów muzycznych na obrusie. Athena wypakowała górę kanapek, szklaną miskę z sałatką ziemniaczaną, tacę owoców pokrojonych na plasterki. Na środku postawiła ciastka z kremem. I półmisek z pieczonym kurczakiem. Athena wiedząc, że Bethany lubi jeść, włożyła dużo serca w przygotowanie tego przyjęcia.

Cross wrócił do samochodu, żeby wyjąć z bagażnika skrzynkę z napojami gazowanymi. Potem rozlał je do wyjętych z kosza kubków. Athena podała napój Bethany, ale dziewczynka odepchnęła jej rękę. Nie spuszczała wzroku z Crossa.

Cross odwzajemnił jej spojrzenie. Twarz małej była nadal nieruchoma jak maska, ale jej oczy dosłownie wychodziły z orbit. Zupełnie jakby dusiła się uwięziona w jakiejś jaskini i usiłowała wołać o pomoc. Albo jakby ciało miała pokryte bąblami i bała się, że ktoś ją dotknie.

Zabrali się do jedzenia. Przez cały czas Athena zwracała się do Bethany. Przeobraziła się w nadopiekuńczą mamuszkę. Zachowywała się przy tym tak, jak gdyby autyzm jej dziecka był czymś zupełnie naturalnym. Nie zrażona milczeniem małej mówiła i mówiła bez końca. Cross zgadywał, że tym monologiem starała się zagłuszyć ból.

Wreszcie przyszła kolej na deser. Athena odwinęła z papieru ciastko i podsunęła je Bethany. Bethany odepchnęła jej rękę. Athena zaproponowała ciastko Crossowi. Cross pokręcił przecząco głową. Martwił się, bo choć Bethany zjadła mnóstwo, ciągle boczyła się na matkę. Domyślał się, że Athenie musi być przykro.

W tej sytuacji Athena ugryzła ciastko i krzyknęła, że jest bardzo pyszne. Prędko rozwinęła dwa następne i położyła je przed Bethany. Zwykle mała chętnie jadła słodycze. Dziewczynka przełożyła ciastka z obrusa na trawę. Gdy oblażyły je mrówki, podniosła ciastka

i jedno włożyła sobie do ust, drugie natomiast podała Crossowi, który bez wahania poszedł w jej ślady. Gdy poczuł łaskotanie na podniebieniu i dziąsłach, popił obficie lemoniadą. Bethany spojrzała wyczekująco na Athenę.

Athena zmarszczyła czoło, niczym aktorka, która się zastanawia, jak ma zagrać trudną scenę. Po czym roześmiała się cudownie zaraźliwym śmiechem i klasnęła w dłoń.

- Mówiłam wam, że są pyszne - zawołała.

Odwinęła kolejne ciastko. Ponieważ Bethany i Cross nie reflektowali na dokładkę, rzuciła ciastko w trawę, wzięła serwetkę i wytarła im po kolei wargi. Sprawiała przy tym wrażenie osoby, która się dobrze bawi.

W drodze powrotnej zaczęła zwracać się do Crossa tak samo jak do Bethany. Jak gdyby on również był autystycznym dzieckiem. Mała przez chwilę patrzyła na nią w skupieniu, potem przeniosła wzrok na Crossa. W szpitalu Bethany wzięła Crossa za rękę.

- Jesteś ładny - oznajmiła, ale kiedy Cross nachylił się, żeby pocałować ją na do widzenia, odwróciła głowę i uciekła.

W drodze do Malibu Athena powiedziała z ożywieniem:

- Polubiła cię, to bardzo dobry znak.

- Dlatego, że jestem ładny - zauważył Cross.

- Nie. Dlatego, że jesz mrówki. Ja też jestem ładna, a mnie nienawidzi... - Zabrzmiało to wesoło. Na wspomnienie jej urody Cross doznał znowu zawrotu głowy, co przeraziło go nie na żarty.

- Bethany myśli, że jesteś taki jak ona - rzekła Athena. - Bierze cię za autystyka.

Cross roześmiał się. Spodobał mu się ten pomysł.

- Kto wie, może ma rację. Najlepiej załatw mi miejsce w tym szpitalu.

- Ani mi się śni - roześmiała się Athena. - Nie mogłabym się z tobą kochać, ilekroć przyjdzie mi na to ochota. Zresztą, po skończeniu Messaliny zamierzam ją stamtąd zabrać.

Dojechali do Malibu. Cross wszedł z nią do domu. Wcześniej ustalili, że zostanie na noc. Teraz, kiedy już trochę znał Athenę, wiedział, że jej nienaturalne ożywienie oznacza zdenerwowanie.

- Może wrócę do Vegas - zasugerował.

Zasmuciła się. Cross zadał sobie w duchu pytanie, jaką kocha ją najbardziej - naturalnie ożywną, poważną i surową czy pogrążoną w melancholii? Jej piękna twarz podlegała magicznym transformacjom, a on zawsze starał się wczuć w jej nastrój.

- Myślę, że należy ci się nagroda za ten okropny dzień - zawołała zalotnie. W głosie zabrzmiała nutka kpiny, lecz Cross zrozumiał, że Athena kpi z zadufania w swą urodę.

- Nie uważam, że był okropny - odparł Cross zgodnie z prawdą. Siedząc z nimi w lesie nad jeziorem, odczuwał radość, która przypomniała mu bardzo odległe lata.

- Smakują ci ciastka z mrówkami... - rzekła Athena ze smutkiem.

- Dają się zjeść - odparł Cross. - Czy istnieje szansa, że Bethany wyzdrowieje?

- Nie wiem, ale zrobię wszystko, żeby się tego dowiedzieć - odparła Athena. - Szykuje się długi weekend, w czasie którego nie będziemy kręcić. Zamierzam wtedy polecieć z Bethany do Francji. W Paryżu jest pewien doskonały lekarz. Chcę, żeby ją zbadał.

- A jeśli powie, że nie ma dla niej nadziei? - spytał Cross.

- To mu pewnie nie uwierzę. Zresztą, wszystko jedno. Kocham Bethany i będę się nią opiekowała.

- Do końca życia?

- Tak. - Klasnęła w dłonie, a jej zielone oczy rozbłysły wesoło. - A teraz bawmy się. Zajmijmy się sobą. Pójdziemy na górę, weźmiemy prysznic i wskoczmy do łóżka. Będziemy się kochać długo i namiętnie, a o północy ugotuję coś do jedzenia.

Cross poczuł się znowu tamtym chłopcem, który budził się rano ciekaw, co też dobrego przyniesie mu dzień, zjadał przygotowane przez matkę śniadanie, bawił się z kolegami, szedł z ojcem na polowanie, a wieczorem zasiadał z rodziną do kolacji. Z Claudią, Nalene i Pippim. Po kolacji grali w karty. Wszystko, co robili, było takie niewinne. Teraz czekało go kochanie się z Atheną w półmroku; słońce stoczy się za Pacyfik, niebo przybierze różowoczerwoną barwę, a on będzie się delectować ciepłym ciałem tej kobiety, jej aksamitną skórą. Będzie wpatrywać się w jej piękną twarz, będzie całować wargi. Wziął ją za rękę.

Gdy wchodzili po schodach na górę, w sypialni zadzwonił telefon. Athena podbiegła go odebrać. Zakrywszy dłonią słuchawkę, powiedziała zmienionym głosem:

- To do ciebie. Ktoś o imieniu Giorgio.

Pierwszy raz się zdarzyło, że zadzwoniono do niego tutaj. Jakaś zła wiadomość, pomyślał, i zrobił coś, co go samego zaskoczyło. Pokręcił przecząco głową.

- Nie ma go... Tak, powiem, żeby do pana zadzwonił, jak wróci. - Odłożyła słuchawkę. - Kim jest ten Giorgio?

- Krewnym - wyjaśnił Cross. Był zdumiony swym postępkami, a jeszcze bardziej jego przyczyną, za żadne skarby bowiem nie wyrzekłby się nocy z Atheną. Wiedział, że dopuścił się poważnego przestępstwa. Swoją drogą, ciekawe, skąd Giorgio wiedział, gdzie go szukać, i czego chciał. Widać ma do niego jakąś ważną sprawę. Trudno, musi poczekać do rana. Nie istniało nic ważniejszego od kochania się z Atheną.

Na tę chwilę czekali cały dzień, ba, cały tydzień. Zaczęli się rozbierać. Zamierzali

najpierw wejść pod prysznic, bo byli spoceni po pikniku, ale Cross nie mógł się powstrzymać i objął Athenę. Po chwili Athena wysunęła się z jego objęć, wzięła go za rękę i wprowadziła do kabinki.

Po kąpeli osuszyli się wzajemnie wielkimi pomarańczowymi ręcznikami. Owinąwszy się nimi, wyszli na balkon popatrzeć, jak słońce znika za horyzontem. Potem wrócili do pokoju i położyli się na łóżku.

Kochając się z Atheną, Cross odnosił wrażenie, że wszystkie komórki jego mózgu i ciała dokądś odleciały, a on został w jakimś chorobliwym śnie; był duchem złożonym z samej ekstazy, duchem, który wchodził w ciało kobiety. Zapomniał o ostrożności, o rozsądku, nawet nie patrzył na jej twarz, by sprawdzić, czy maluje się na niej miłość. Kochali się i kochali, dopóki sen ich nie zmógł. Kiedy się obudzili, ich splecione ciała były skąpane w blasku księżyca, który wydawał się świecić jaśniej od słońca. Athena pocałowała Crossa.

- Naprawdę lubisz Bethany? - spytała.

- Naprawdę - potwierdził Cross. - Jest częścią ciebie.

- Myślisz, że wyzdrowieje? Myślisz, że potrafię jej w tym pomóc?

W tej chwili Cross poczuł, że za wyzdrowienie tego dziecka oddałby życie, tak, poświęciłby się dla tej kobiety. Wielu mężczyzn czuje coś podobnego, ale dla niego było to zupełnie nowe doznanie.

- Oboje spróbujemy jej pomóc - oznajmił.

- Nie, muszę to zrobić sama - odparła Athena.

Znowu zasnęli. Błędym świtem obudził ich dzwonek telefonu. Athena podniosła słuchawkę, a po chwili powiedziała:

- Dzwoni strażnik przy bramie. Przyjechało czterech mężczyzn, którzy mówią, że koniecznie muszą się z tobą zobaczyć.

Cross przeraził się nie na żarty. Wziął słuchawkę.

- Proszę podać któregoś z nich do telefonu - polecił.

Głos, który usłyszał, należał do Vincenta.

- Przyjechałem z Petim, Cross. Mamy dla ciebie złą wiadomość.

- Dobra. Daj mi strażnika. Proszę ich wpuścić.

Na śmierć zapomniał o telefonie Giorgia. Oto, co robi z człowiekiem miłość, pomyślał i skrzywił się. Jak tak dalej pójdzie, nie przeżyje do następnego roku.

Piorunem się ubrał i zbiegł na dół. Samochód właśnie podjeżdżał pod dom, a słońce, schowane jeszcze do połowy za horyzontem, już rozświetliło niebo.

Z tylnego siedzenia jamnikowatej limuzyny wysiedli Giorgio i Petie. Został kierowca i

facet na przednim siedzeniu. Petie i Vincent podeszli długą ścieżką do drzwi, które Cross im otworzył.

Nagle obok niego zjawiła się Athena ubrana w krótkie spodenki i pulower na gołe ciało. Petie i Vincent popatrzyli na nią z nieukrywanym zachwytem. Wyglądała wyjątkowo pięknie.

Wprowadziła ich do kuchni i zaczęła przygotowywać kawę. Cross przedstawił przybyszów jako swych kuzynów.

- Jakim cudem tak szybko się tu znaleźliście? - zdziwił się Cross. - Jeszcze wczoraj byliście w Nowym Jorku.

- Giorgio wynajął samolot - wyjaśnił Petie.

Przygotowując kawę, Athena taksowała ich wzrokiem. Zachowywali się spokojnie. Obaj byli wysocy i wyglądali na braci, tyle że Vincent miał twarz szarą jak granit, a Petie czerwoną i ogorzałą, nie wiadomo od wiatru czy od alkoholu.

- Co to za wiadomość? - spytał Cross. Spodziewał się, że don zmarł albo Rose Marie do reszty zwariowała, albo Dante wykręcił jakiś okropny numer i Rodzina znalazła się w opałach.

- Porozmawiajmy na osobności. - Vincent był jak zwykle bardzo oficjalny.

Athena naląła kawę do filiżanek.

- Dzielę się z tobą moimi złymi wiadomościami i tego samego oczekuję od ciebie - zwróciła się do Crossa.

- Wyjdę z nimi na chwilę.

- Och, nie bądź taki cholernie protekcyjny - zdenerwowała się. - Ani mi się waży stąd wyjść.

Vincent i Petie nareszcie zareagowali. Na granitowej twarzy Giorgio odmalowało się zakłopotanie, a Petie spojrzał na Athenę jak na kogoś, przed kim należy się mieć na baczności. Ich miny rozbawiły Crossa.

- No dobra, mówcie - poprosił.

- Twojemu ojcu coś się przytrafiło... - zaczął Petie, starając się przygotować go na cios.

- Jakiś łapserdak strzelał do Pippiego - wywalił Giorgio prosto z mostu. - Pippi nie żyje. Ten łaps też. W chwili gdy uciekał, zastrzelił go gliniarz, niejaki Losey. Musisz pojechać do Los Angeles zidentyfikować zwłoki i podpisać papiery. Ojciec chce pochować Pippiego w Quogue.

Cross nie mógł złapać powietrza. Zachwiał się, zadrżał owiany jakimś ciemnym

wiatrem. Athena podtrzymała go za ramiona.

- Kiedy to się stało? - spytał.

- Wczoraj około ósmej wieczorem - rzekł Petie. - Giorgio dzwonił do ciebie.

Kiedy ja kochałem się z kobietą, mój ojciec leżał w kostnicy. Był wściekły na siebie za tamtą chwilę słabości. Jaki wstyd.

- Muszę jechać - rzekł do Atheny.

Spojrzała na jego ściągniętą smutkiem twarz. Nigdy go takiego nie widziała.

- Bardzo mi przykro - powiedziała. - Zadzwoń.

Sadowiąc się na tylnym siedzeniu limuzyny, Cross usłyszał, że tych dwóch z przodu składa mu kondolencje. Żołnierze z Enklawy Bronxu, pomyślał. Z niemrawego tempa, z jakim przejechali bramę Malibu Colony i włączyli się do ruchu na Pacific Coast Highway, wnioskował, że samochód jest opancerzony.

Pięć dni później w Quogue odbył się pogrzeb Pippiego De Lena. Na terenie posiadłości Clericuziów, obok kaplicy, znajdował się prywatny cmentarz, na którym Pippi spoczął obok Silvia, co było wyrazem szacunku, jakim don darzył siostrzeńca.

W pogrzebie wzięli udział Clericuziowie i najdzielniejsi żołnierze z Enklawy Bronxu. Na życzenie Crossa wezwano Lię Vazziego z domku myśliwskiego w Sierra Nevada. Zabrakło jedynie Rose Marie, która na wieść o śmierci Pippiego dostała takiego napadu szału, że bracia musieli czym prędzej odwieźć ją do kliniki psychiatrycznej.

Przyleciała natomiast Claudia De Lena. Przyleciała, żeby dodać otuchy Crossowi i pożegnać ojca. Postanowiła, że zrobi coś, na co nie mogła się zdobyć za jego życia. Postanowiła przyznać się do niego publicznie, pokazać tym Clericuziom, że Pippi był w takim samym stopniu jej ojcem, jak członkiem ich Rodziny.

Na trawie przed willą Clericuziów położono wieniec wielkości koła młyńskiego i ustawiono stoły z jedzeniem; żałobnikom usługiwali kelnerzy i barman. W dniu żałoby nie omawiano żadnych interesów.

Claudia płakała za wszystkie lata rozłąki z ojcem, Cross przyjmował kondolencje w milczeniu, z godnością, nie uzewnętrzniając uczuć.

Nazajutrz wieczorem stał na balkonie swego apartamentu na dachu hotelu „Xanadu” i patrzył na orgiastycznie barwną główną ulicę Vegas. Dochodziły go stłumione odgłosy muzyki i gwar tłumu przemierzającego Las Vegas w poszukiwaniu szczęśliwego kasyna. Ale było to jedyne miejsce, gdzie mógł spokojnie przemyśleć wydarzenia minionego miesiąca i śmierć ojca.

Ani przez chwilę nie wierzył, że Pippi De Lena zginął z ręki jakiegoś włóczęgi. Takie

rzeczy nie zdarzały się fachowcom.

Analizował fakty, które mu przedstawiono. Ojca zastrzelił czarny ćpun o nazwisku Hugh Marlowe. Ćpun miał dwadzieścia trzy lata i figurował w kartotekach policyjnych jako handlarz narkotyków. Został zastrzelony podczas ucieczki z miejsca zbrodni przez detektywa Jima Loseya, który go śledził z powodu tychże narkotyków. Marlowe trzymał w dłoni pistolet, wycelował go w Loseya, który w tej sytuacji nie miał innego wyjścia jak go unieszkodliwić eleganckim strzałem w kość nosową. Kiedy Losey przeprowadził wstępne dochodzenie i odkrył, że ofiarą Marlowe'a był Pippi De Lena, zadzwonił do Dantego. Dopiero potem zawiadomił policję. Ciekawe, dlaczego tak postąpił, abstrahując od faktu, że był na liście płac Clericuziów? I czy to możliwe, żeby Pippi De Lena, najlepszy „fachowiec”, „młot” Numer Jeden Rodziny Clericuzio przez ponad trzydzieści lat, zginął z ręki jakiegoś obdartego ćpuna?

A przyjmując, że tak było, czemu don wysłał do Malibu Vincenta i Petiego opancerzonym samochodem? Obstawiali go do samego pogrzebu. Skąd te środki ostrożności? Spytał o to dona. W odpowiedzi usłyszał, że póki nie wyjaśniono wszystkich okoliczności śmierci Pippiego, lepiej uważać. Do tej tragedii w zasadzie doprowadził nieszczęśliwy przypadek, głupota jakiegoś włóczęgi, ale jak się dobrze zastanowić, wyjaśnił don, przyczyną większości tragedii jest czyjaś głupota.

Cross nie kwestionował szczerości dona. Zawsze traktował Pippiego jak syna, wyróżniał go spośród innych, a podczas pogrzebu powiedział: „Zajmiesz miejsce swego ojca, Cross”.

Ale teraz, kiedy stał na balkonie, z którego roztaczał się widok na Vegas, Crossa ogarnęło mnóstwo wątpliwości. Czy to nie dziwne, że don, który nie wierzył w zbiegi okoliczności, powiedział coś o nieszczęśliwym przypadku? Czy to nie dziwne, że z tysięcy detektywów i policjantów w Los Angeles na miejscu zbrodni znalazł się właśnie opłacany przez Rodzinę detektyw Jim Losey? Zresztą, mniejsza o detektywa. Don Domenico Clericuzio dobrze wiedział, że Pippiego De Lena nie zaskoczyłby jakiś włóczęga. A zresztą, jaki włóczęga strzela sześć razy i dopiero ucieka? Nie, don nigdy nie wierzył w takie historie.

Zatem rodziło się pytanie: czy Clericuziowie doszli do wniosku, że Pippi, ich najlepszy żołnierz, im zagraża? Czemu miałby im zagrażać? Zapomnieli, jaki był lojalny, bez reszty oddany i jak go lubili? Nie, to nie wchodziło w rachubę. A najlepszym dowodem był fakt, że on żył. Gdyby Clericuziowie zabili Pippiego, don by nie pozwolił zostawić jego syna przy życiu. Tak czy owak, sytuacja nie była dobra.

Cross pomyślał o swym ojcu. Kochał go. Pippi bardzo przeżywał, że Claudia nie

chciała go znać. A jednak przyjechała na jego pogrzeb. Dlaczego? Czyżby w końcu sobie przypomniała, jaki był dla niej dobry, zanim rodzina się rozpadła?

Crossowi stanął przed oczyma ten straszny dzień, w którym zdecydował się pójść z ojcem, ponieważ nagle uświadomił sobie, że ojciec zabije matkę, jeśli ona mu zabierze dwoje dzieci. Podszedł wtedy do niego i wziął go za rękę. Zrobił to nie dlatego, że go kochał, ale dlatego, że zobaczył w oczach Claudii strach.

Dzięki ojcu czuł się bezpieczny w świecie, w którym przyszło im żyć; wierzył też, że ojciec, zadając śmierć innym, sam jest nieśmiertelny. Teraz będzie musiał się sam bronić przed wrogami, może nawet przed Clerizuciami. Komuś tak bogatemu, właścicielowi połowy „Xanadu”, warto odebrać życie.

Ta myśl doprowadziła go do zastanowienia się nad swym obecnym życiem. Po co mu to wszystko? Żeby dożyć starości jak ojciec, nieustannie ryzykując, a w końcu i tak zginąć z cudzej ręki? Pippi lubił swoje życie, władzę, forszę, ale Crossowi wydało się ono teraz puste. Ojciec nigdy nie zaznał szczęścia, jakim jest miłość do kobiety w rodzaju Atheny.

Cross miał zaledwie dwadzieścia sześć lat; mógł rozpocząć nowe życie. Pomyślał o Athenie, że jutro pierwszy raz zobaczy ją w pracy, zobaczy, jak wciela się w inną kobietę, przybiera rozmaite maski. Athena podobałaby się Pippiemu, Pippi lubił piękne kobiety. Przed oczyma stanęła mu żona Virginia Ballazza. Ją też Pippi bardzo lubił, jadł przy jej stole, obejmował serdecznie, tańczył z nią, grał w bocce z jej mężem, a potem obmyślił, jak ich zabić.

Cross wstał z leżaka. Świtało. Światło jutrzeńki zasnuło białą mgiełką lunę nad Las Vegas. Przebiegł wzrokiem flagi wszystkich ważniejszych hoteli z kasynami, „Piaski”, „Cezar”, „Flaming”, „Zajazd Pustynny” oraz neonowy czynny wulkan „Mirażu” - „Xanadu” ze swymi Willami uważano tu za najlepszy. Cross budził się ze snu, w którym żył. Najpierw śmierć Gronevelta, teraz Pippiego.

Wrócił do pokoju, podniósł słuchawkę i zaprosił Lię Vazziego na śniadanie. Przyjechali razem do Vegas. Zamówił w recepcji naleśniki, bo pamiętał, że dla Lii po tylu latach spędzonych w Ameryce wciąż były egzotycznym daniem. Ochroniarz wprowadził Vazziego. Równocześnie kelner wwiózł śniadanie.

- No i co ty o tym sądzisz? - spytał Cross, gdy zasiedli w kuchni do jedzenia.

- Uważam, że powinniśmy zabić tego całego Loseya - powiedział Lia. - Dawno ci to mówiłem.

- Nie wierzysz w jego wersję?

Lia kroił naleśnik w wąskie paski.

- Wstydziłbyś się opowiadać podobne brednie. Taki fachowiec jak twój ojciec nie dałby się podejść jakiemuś łachmaniarzowi.

- A don w to wierzy - zaproponował Cross. - Przeprowadził dochodzenie.

Lia sięgnął po hawańskie cygaro i szklanekę brandy, którą Cross dla niego przyszykował.

- Słów don Clericuzia nie śmiem podawać w wątpliwość. Ale pozwól mi zabić tego Loseya. Tak dla pewności.

- A jeśli stoją za nim Clericuziowie?

- Don jest człowiekiem honoru. Tak, jak go kiedyś pojmano. Gdyby zabił Pippiego, zabiłby również ciebie. Zna ciebie. Wie, że pomścisz swego ojca. Don jest ostrożny.

- Chciałbym, żebyś odpowiedział mi na jedno pytanie. Gdyby kiedykolwiek przyszło ci wybierać, po czyjej stronie byś stanął? Po mojej czy po stronie Clericuziów?

- Nie musiałbym się zastanawiać - odparł Lia. - Byłem blisko z twoim ojcem, jestem zżyty z tobą. Jeśli ciebie zlikwidują, mnie też nie zostawią przy życiu.

Cross pierwszy raz pił z Lią brandy do śniadania.

- A może to naprawdę był nieszczęśliwy zbieg okoliczności?

- Nie - stwierdził stanowczo Lia. - To był Losey.

- Nie miał motywów - powiedział Cross. - Zresztą, my to sprawdzimy. Chcę, żebyś zorganizował sześciu ludzi, najbardziej ci oddanych. Żaden nie może pochodzić z Enklawy Bronxu. Bądźcie gotowi i czekajcie na moje rozkazy.

Lia był trzeźwy jak nigdy.

- Przepraszam cię, Cross. Wiesz, że nigdy się do niczego nie wtrącam. Tym razem jednak chciałbym znać twoje plany.

- Dobrze - zgodził się Cross. - W najbliższy weekend lecę na dwa dni do Francji. Ty w tym czasie dowiedz się jak najwięcej o Loseyu.

- Jedziesz razem z narzeczoną? - spytał z uśmiechem Lia.

Crossa rozbawiła jego elegancja.

- Tak. I z jej córeczką.

- Z tą, której brakuje piątej klepki? - upewnił się Lia. Nie chciał nikogo urazić. We Włoszech mówiono tak również o bardzo zdolnych, roztargnionych ludziach.

- Zgadza się - odparł Cross. - We Francji jest lekarz, który być może ją wyleczy.

- To fajnie - ucieszył się Lia. - Życzę wam wszystkiego najlepszego. Czy ta kobieta jest wtajemniczona w sprawy Rodziny?

- Boże uchovej! - krzyknął Cross i obaj wybuchnęli śmiechem. Swoją drogą, ciekawe,

skąd Lia wiedział tyle o jego prywatnym życiu?

Rozdział siedemnasty

Pierwszy raz Cross miał zobaczyć Athenę przy pracy. Jak udaje uczucia, jak wciela się w kogoś innego.

Umówił się z Claudią, że wpadnie do jej biura na terenie wytwórni i razem pójdą na plan. Został tam dwie nieznajome. Claudia dokonała prezentacji:

- To mój brat Cross, a to reżyser filmu Dita Tommey. I Falene Fante, która kręci dziś swoje sceny.

Rzuciwszy na Crossa zawodowym okiem, Tommey skonstatowała, że jest dość przystojny, ale brakuje mu ognia, pasji, na ekranie więc wypadłby bezbarwnie. Straciła zainteresowanie.

- Właśnie wychodziłam - powiedziała, podając mu rękę. - Bardzo mi przykro z powodu pana ojca. A zmieniając temat, to chcę pana zapewnić, że mile tu pana widzimy. Claudia i Athena wyrażają się o panu w samych superlatywach, choć jest pan producentem.

Po jej wyjściu do świadomości Crossa dotarła wreszcie obecność tej drugiej kobiety. Była koloru ciemnej czekolady, miała arogancką minę i wspaniałą figurę, podkreśloną obcisłym strojem. Była znacznie bardziej bezpośrednia od Tommey.

- A więc brat Claudii jest takim przystojniakiem - zauważyła. - A także bogaczem z tego, co słyszałam. Jeśli będzie pan kiedyś chciał zjeść z kimś kolację, proszę do mnie zadzwonić.

- Nie omieszkam - podziękował Cross. Nie był zdziwiony tym zaproszeniem. Podobnie zachowywały się śpiewaczki i tancerki z kabaretu w „Xanadu”. Ta dziewczyna była pewną siebie flirtiarą i nie miała najmniejszego zamiaru z powodu głupich konwenansów przejść obojętnie obok mężczyzny, który jej się podobał.

- Właśnie wymyśliłyśmy z Ditą, jak zwiększyć udział Falene w filmie. Obie uważamy, że jest bardzo utalentowana.

Falene uśmiechnęła się szeroko do Crossa.

- Zamiast sześciu wypinam teraz pupę dziesięć razy. I mam powiedzieć do Messaliny: „Wszystkie kobiety w Rzymie cię kochają, o, pani, i życzą ci zwycięstwa”. - Przerwała na chwilę. - Słyszałam, że jest pan producentem. Nie mógłby pan wpłynąć na nie, żeby mi pozwoliły wypiąć pupę dwadzieścia razy?

Zachowywała się trochę nienaturalnie. Cross pomyślał, że Falene tą pewnością siebie chce coś zamaskować.

- Ja jestem tylko od dawania forsy - odparł Cross. - A jeśli chodzi o wypinanie pupy,

to każdy w tym czy innym momencie życia musi to zrobić. - Uśmiechnął się i dodał z uroczą prostotą: - W każdym razie życzę pani powodzenia.

Falene pochyliła się i pocałowała go w policzek. Nozdrza Crossa podrażnił zapach jej perfum, ciężki, zmysłowy. Potem objęła go ramieniem.

- Muszę wam coś wyznać, ale zatrzymajcie to w tajemnicy - oznajmiła, pochylając się ku Claudii, która siedziała przy komputerze. - Nie chciałabym narobić sobie kłopotów, zwłaszcza teraz.

Claudia zmarszczyła czoło, ale milczała. Cross cofnął się gwałtownie. Nie lubił niespodzianek.

Falene zauważyła ich reakcję.

- Bardzo mi przykro z powodu waszego ojca - zaczęła niepewnym głosem - jest jednak coś, o czym powinniście wiedzieć. Znałam dobrze Marlowe'a, tego chłopaka, który niby go zabił. Razem się wychowaliśmy. Podobno detektyw Jim Losey zastrzelił Marlowe'a, ponieważ on zastrzelił waszego ojca. Mnie to bardzo dziwi, bo Marlowe nigdy nie nosił broni. Od pistoletów trzymał się jak najdalej. Utrzymywał się ze sprzedaży narkotyków i gry na klarnecie. Był nieprawdopodobnym tchórzem. Tak się bał pudła, że wołał być konfidentem. Jim Losey i jego partner Phil Sharkey brali go do samochodu i obwozili po okolicy, a on im wskazywał handlarzy narkotyków. A tu, ni stąd, ni zowąd okazuje się złodziejem i mordercą. Znam Marlowe'a, muchy by nie zabił.

Claudia milczała. Falene machnęła do niej ręką na pożegnanie i wyszła z pokoju. Zaraz jednak wróciła.

- Pamiętajcie - upomniała ich - powiedziałam wam to w największej tajemnicy.

- Będziemy milczeć jak grób - zapewnił ją Cross z uśmiechem. - Nie wykorzystamy tego.

- Ta sprawa leżała mi na wątrobie. Marlowe był dobrym chłopakiem.

- Co o tym myślisz? - spytała Claudia po jej wyjściu. - O co tu chodzi, do diabła?

Cross wzruszył ramionami.

- Wiesz, z ćpunami nic nigdy nie wiadomo. Może potrzebował forsy na działkę, więc napadł.

- Może - zgodziła się Claudia. - Falene jest naiwna. Broni go, bo to jej kolega z dzieciństwa. Swoją drogą, czy to nie ironia, że ojciec zginął w taki głupi sposób.

- Każdemu może się to zdarzyć - rzekł Cross z kamiennym wyrazem twarzy.

Przez resztę popołudnia patrzył, jak kręcono film. W jednej scenie bohater gołymi rękoma pokonał trzech uzbrojonych napastników. Było to tak idiotyczne, że Cross poczuł się

osobiście dotknięty. Po pierwsze, bohater nie powinien się znaleźć w beznadziejnej sytuacji. A skoro się znalazł, to nie był bohaterem. Potem Cross patrzył, jak Athena kręci scenę miłosną i scenę kłótni. Poczul się trochę zawiedziony, bo Athena jakby mało grała, znacznie mniej od partnerów. Nie znał się na aktorstwie, nie mógł więc wiedzieć, że dzięki temu Athena wypadnie bardziej wiarygodnie, że kamera dokona z jej grą cudów.

I nie zobaczył mistrzowskich zagrań Atheny. Tego dnia występowała tylko w krótkich ujęciach, pomiędzy którymi następowały długie przerwy. Nie dała popisu gry aktorskiej jak w filmach, które widział. A nawet nie wydawała się specjalnie piękna.

Ale jadąc wieczorem do jej domu, nie rozmawiali o filmie. Najpierw jak zwykle poszli do łóżka, potem Athena zabrała się do przygotowania posiłku.

- Nie szło mi dziś najlepiej, prawda? - zagadnęła i uśmiechnęła się do niego tym swoim kocim uśmiechem, od którego zawsze przechodził go przyjemny dreszczyk. - To dlatego, że się ciebie krępowałam. Wiedziałam, że stoisz tam i usiłujesz mnie rozszyfrować.

Roześmiał się, ujęty jej szczerością.

- Rzeczywiście, nie szło ci dziś najlepiej - potwierdził.

- Chcesz, żebym poleciał z tobą w piątek do Paryża?

Zaskoczył ją tym pytaniem. Wyczytał to w jej oczach, bo twarz pozostała nieporuszona - Athena jak nikt potrafiła panować nad mimiką. Zamyśliła się.

- Twoja obecność bardzo by mi pomogła - powiedziała w końcu. - I zobaczylibyśmy razem Paryż.

- Wrócimy w poniedziałek?

- Tak - odparła Athena. - We wtorek rano wznawiamy zdjęcia. Do skończenia filmu pozostało jeszcze tylko kilka tygodni.

- A potem? - spytał Cross.

- Potem przejdę na emeryturę i zajmę się Bethany - odparła. - Nie chcę już dłużej robić tajemnicy z jej istnienia.

- Czy ten lekarz w Paryżu będzie miał ostatnie słowo?

- Nikt nie będzie miał ostatniego słowa - odparła Athena. - Nie w tej materii. Ale to dobry specjalista.

W piątek wieczorem polecili do Paryża wynajętym samolotem. Athena miała na głowie perukę, a na twarzy makijaż, nadający jej dość pospolity wygląd. Figurę zatuszowała luźnym strojem. Ot, paniusia jakich wiele. Na jej widok Cross zupełnie osłupiał. Nawet szła inaczej niż zwykle.

W samolocie Bethany interesowała się wyłącznie przesuwaną się w dole ziemią.

Biegała od okna do okna. Na jej twarzy malowało się zaskoczenie, dzięki czemu wyglądała prawie normalnie.

Z samolotu udali się do małego hotelu nieopodal Georges-Mandel Avenue. Wynajęli apartament z dwiema sypialniami - jedną dla Crossa, drugą dla Atheny i Bethany - oddzielonymi salonikiem. Była dziesiąta rano. Athena zdjęła perukę, zmyła makijaż, przebrała się. W Paryżu nie chciała wyglądać jak paniusia.

W południe udali się we troje do lekarza, który przyjmował w niewielkim château otoczonym parkiem, ogrodzonym żelaznym płotem. Strażnik sprawdził ich nazwiska i otworzył im furtkę.

W drzwiach ukazała się służąca, która zaprowadziła ich do ogromnego salonu, zastawionego gęsto meblami. Tam oczekiwał ich lekarz.

Dr Ocell Grand był ciężkim, zwalistym mężczyzną, ubranym w doskonale skrojony garnitur w brązowe prążki, białą koszulę i odpowiednio dobrany ciemny jedwabny krawat. Miał puciołowatą twarz, która aż się prosiła o wyszczuplającą brodę, i odęte ciemnoczerwone wargi. Przywitał się z Atheną i Crossem, dziecko potraktował jak powietrze. Oboje z miejsca poczuli do niego antypatię. Jakoś nie pasował do zawodu, który laikom kojarzył się z wielką wrażliwością.

Na stole stały filiżanki i patera z ciastkami. Służąca zajęła się nalewaniem herbaty. Teraz dołączyły się do nich dwie młode pielęgniarki w białych czepkach, w bluzkach i spódnicach w kolorze kości słoniowej. Piły herbatę ze wzrokiem utkwionym w Bethany.

Dr Gerard zwrócił się do Atheny:

- Madame, chciałbym podziękować za hojne wspomaganie naszej kliniki dla autystycznych dzieci. Ponieważ życzyła sobie pani zachować anonimowość, zaprosiłem panią tutaj, do mojego prywatnego gabinetu. Proszę mi teraz powiedzieć, czego dokładnie pani ode mnie oczekuje. - Mówił aksamitnym basem. Swym magnetyzującym głosem sprawił, że Bethany gapiała się na niego szeroko otwartymi oczyma, on jednak uparcie ją ignorował.

Athena była zdenerwowana. Doprawdy, coraz mniej podobał jej się ten lekarz.

- Proszę pana o ocenę stanu mojej córki. Chciałabym, żeby mogła prowadzić w miarę możliwości normalne życie, i zrobię wszystko, żeby to osiągnąć. Jeśli zgodzi się pan przyjąć ją do swego instytutu, zamieszkać we Francji i pomogę w jej kształceniu.

Słyszając samowyrzeczenie, przejmujący smutek w jej głosie, a zarazem nutkę nieśmiałej nadziei, pielęgniarki wruszyły się niemal do łez. Cross domyślił się, że Athena uruchomiła swe umiejętności aktorskie w celu przekonania lekarza, aby wziął Bethany pod swe skrzydła. Wyciągnęła rękę i czule poklepała dłoń córki.

Ale na doktorze nie wywarło to żadnego wrażenia. Nie zaszczycając Bethany ani jednym spojrzeniem, zwrócił się do Atheny:

- Proszę się nie oszukiwać. Miłością nie wyleczy pani tej małej. Przejrzałem wyniki jej poprzednich badań, które świadczą niezbicie, że jest autystycznym dzieckiem. Córka nie odwzajemni pani miłości, bo ona nie żyje w naszym świecie. Nie żyje nawet w świecie zwierząt. Żyje na innej planecie, zupełnie sama... Oczywiście, nie ma w tym pani winy - ciągnął. - Ani też, jak mi się wydaje, winy ojca. To jedna z tych złożoności ludzkiej kondycji. Powiem pani, co zrobię: poddam małą dokładnemu badaniu. Potem określe, ile możemy dla niej zrobić. Jeśli uznam, że nie potrafię jej pomóc w żaden sposób, zabierze ją pani do domu. Jeśli natomiast dojdę do wniosku, że dziewczynka rokuje pewne nadzieje na poprawę, zostawi ją pani u mnie na pięć lat.

Powiedział coś po francusku do pielęgniarki, która wyszła, by po chwili wrócić z ogromnym albumem zawierającym reprodukcje sławnych obrazów. Położyła album na kolanach dziewczynki, ale duża książka ześliznęła się z nich na podłogę. Teraz doktor Gerard wreszcie zauważył Bethany. Powiedział do niej coś po francusku. Bethany podniosła książkę, położyła ją na stole i zaczęła kartkować. Chwilę potem oglądała reprodukcje w wielkim skupieniu.

Doktor miał dziwną minę.

- Nie chciałbym być niegrzeczny, ale to w interesie pani dziecka - powiedział z zakłopotaniem. - Wiem, że pan De Lena nie jest pani mężem, ale może jest ojcem małej? W takim przypadku chciałbym go też poddać badaniu.

- Nie znałam jeszcze pana De Leny, kiedy moja córka przyszła na świat - wyjaśniła Athena.

- Bon - rzekł doktor. Wzruszył ramionami. - Wszystko jest możliwe.

- Czyżby dostrzegł pan we mnie podobne symptomy, doktorze? - spytał Cross ze śmiechem.

Lekarz zacisnął odęte czerwone wargi i pokiwał głową.

- Z całą pewnością ma pan pewne symptomy - odparł wesoło. - Zresztą, kto ich nie ma? Wystarczyłoby małe odchylenie, a wszyscy bylibyśmy autystykami. Muszę teraz poddać małą dokładnemu badaniu, przeprowadzić pewne testy. To mi zajmie co najmniej cztery godziny. Może państwo w tym czasie wybiorą się na spacer po naszym pięknym Paryżu? Pan De Lena jest tu pierwszy raz, nieprawdaż?

- Pierwszy - przyznał Cross.

- Chcę zostać z córką - zaoponowała Athena.

- Proszę bardzo - zgodził się, a do Crossa: - Życzę panu miłego spaceru. Co do mnie, to nienawidzę Paryża. Gdyby istniała kategoria miast autystycznych, to Paryż pierwszy by się zakwalifikował.

Wezwano taksówkę, której Cross polecił jechać do hotelu. Nie miał ochoty oglądać Paryża bez Atheny, a poza tym czuł się zmęczony. Zresztą, miał to i owo do przemyślenia.

W uszach dźwięczały mu słowa Faiene. Przypomniawszy sobie, że Losey zjawiał się w Malibu sam. A detektywi zwykle pracują we dwójkę. Przed wyjazdem do Paryża poprosił Vazziego, żeby dowiedział się, kto jest partnerem Loseya.

O czwartej wrócił do lekarza. Czekało już na niego. Bethany nadal oglądała album z malarstwem, Athena była blada, a to dowodziło, że nie grała. Gdy Bethany w pewnej chwili zaczęła bawić się ciastkami, doktor odsunął patelnię, mówiąc coś po francusku. Bethany nie protestowała. Potem przyszła pielęgniarka i zabrała ją do pokoju z zabawkami.

- Proszę mi wybaczyć - zwrócił się doktor do Crossa - ale muszę zadać panu kilka pytań.

- Słucham.

Lekarz wstał z krzesła i zaczął spacerować po pokoju.

- Powtórzę panu to, co powiedziałem pani. W tej chorobie cuda się nie zdarzają. Wszelako, w pewnych przypadkach, bardzo nielicznych, odpowiednim treningiem można uzyskać niezłe rezultaty. Mademoiselle musiałaby jednak zostać w Nicei przynajmniej przez pięć lat. W naszej klinice mamy świetnych fachowców. Dowiemy się, czy dziewczynka jest zdolna do prowadzenia prawie normalnego życia, czy też do końca będzie skazana na pobyt w zakładzie.

W tej chwili Athena zaczęła szlochać. Przyłożyła do oczu niebieską jedwabną chusteczkę. Crossa doleciał zapach jej perfum.

Lekarz spojrzał na nią obojętnie.

- Pani się już zgodziła. Będzie współpracować z naszym instytutem jako nauczycielka. Zatem...

Usiadł na wprost Crossa.

- Dostrzegam pewne dobre znaki. Dziewczynka ma prawdziwy talent malarski, co oznacza, że niektóre jej zmysły nie są cofnięte. Słuchała z zainteresowaniem, kiedy mówiłem po francusku. Nie rozumie tego języka, ale intuicyjnie wyczuła, o co mi chodziło. To bardzo dobry znak. Inny dobry znak to to, że po pana wyjściu dziewczynka zachowywała się, jakby tęskniła, czyli że żywi uczucia w stosunku do innego człowieka. To bardzo niezwykle, ale daje się dość łatwo wytłumaczyć. Kiedy spytałem ją o pana, powiedziała, że jest pan piękny.

Teraz taka sprawa: nie chciałbym, żeby poczuł się pan urażony, panie De Lena. Zadaję to pytanie jedynie ze względów medycznych, żeby pomóc dziecku, a nie żeby pana obrazić. Proszę mi powiedzieć, czy pan w jakikolwiek sposób, może podświadomie, stymulował małą seksualnie?

Cross z zaskoczenia wybuchnął śmiechem.

- Nie wiedziałem, że Bethany tak na mnie reaguje. Nie zrobiłem niczego w tym kierunku.

Athena poczerwieniała ze złości.

- To idiotyczne podejrzenie, doktorze. Pan De Lena nigdy nie był z nią sam na sam.

- Na pewno jej pan nie pieścił? - nie ustępował lekarz. - Nie mówię o głaskaniu po rękę, głowie ani nawet o cmoknięciu w policzek. Dziewczynka jest w wieku dojrzewania. Nie byłby pan pierwszym mężczyzną, będącym obiektem pożądania takiej niewinnej istoty.

- Może ona rozumie, co mnie łączy z jej matką - poddał Cross.

- Matka zupełnie jej nie obchodzi - stwierdził doktor. - Proszę mi wybaczyć, madame, ale musi się pani z tym pogodzić. Dziewczynce jest obojętna pani uroda i pani sława. Pani dla niej nie istnieje. To do pana Bethany wyciąga ręce. Niech się pan dobrze zastanowi. Jakaś niewinna czułośćka, nieuważny gest?

Cross spojrzał na niego chłodno.

- Powiedziałbym, gdyby coś się takiego zdarzyło. Jeśli miałyby to pomóc.

- Czy dziewczynka budzi w panu czułość? - spytał doktor.

Cross zastanowił się.

- Tak - odparł.

Doktor Gerard odchylił się do tyłu i klasnął w dłoń.

- Dobrze, wierzę panu. Fakt, że Bethany lubi pana, napawa mnie wielkim optymizmem. Jeśli dziewczynka czuje coś do pana, to może przy naszej pomocy zacznie czuć coś do innych. Pewnego dnia zacznie nawet tolerować matkę, a to pani wystarczy, prawda, madame?

- Och, Cross - westchnęła Athena. - Proszę cię, nie bądź zły.

- Nie jestem - zapewnił ją Cross. - Naprawdę.

Doktor Gerard przyjrzał mu się badawczo.

- Nie czuje się pan urażony? - spytał. - Większość mężczyzn bardzo by się obraziła. Ojciec jednej pacjentki uderzył mnie. Pan natomiast nie jest zły. Dlaczego?

Nie mógł powiedzieć temu doktorowi ani nawet Athenie, że wzruszył go widok Bethany w jej maszynie-przytulance. Że przypomniało mu to Tiffany i inne tancerki z

kabaretu, z którymi się kochał, kiedy już zupełnie nie mógł znieść pustki. Że jego związki z Clericuziami, a nawet z własnym ojcem, wywoływały w nim uczucie wyobcowania i rozpacz. A wreszcie, że biorąc udział w akcjach Rodziny, odnosił wrażenie, że żyje w jakimś upiornym, nierealnym świecie, który stawał się prawdziwy dopiero w jego snach.

Spojrzał lekarzowi prosto w oczy.

- Może dlatego, że sam jestem autystyczny - powiedział. - A może dlatego, że mam gorsze rzeczy na sumieniu.

Doktor odchylił się do tyłu.

- Aha - rzekł w pełni usatysfakcjonowany. Pierwszy raz się uśmiechnął. - To może przeprowadzimy panu kilka badań?

Roześmiali się.

- Teraz co do pani, madame. Jak rozumiem, jutro rano wraca pani do Ameryki. Proponuję więc, żeby pani już teraz zostawiła u nas córeczkę. Będzie miała tu bardzo dobrą opiekę i zapewniam, że nie odczuje braku pani.

- Ale ja odczuję jej brak - zaprotestowała Athena. - Czy mogłabym jeszcze dziś ją zabrać, a przyprowadzić dopiero jutro rano? Wynajęliśmy samolot, możemy polecieć o dowolnej godzinie.

- Oczywiście - zgodził się lekarz. - Proszę zatem przyprowadzić ją tutaj jutro rano. Pielęgniarki odwiozą ją do Nicei. Pani zna numer telefonu instytutu, więc niech pani do mnie dzwoni, kiedy tylko przyjdzie pani ochota.

Zaczęli zbierać się do wyjścia. Athena z rozpędu pocałowała lekarza w policzek. Doktor zarumienił się, bo, choć wcale tego nie okazywał, jej uroda i sława robiła na nim wielkie wrażenie.

Przez resztę dnia Athena, Bethany i Cross spacerowali ulicami Paryża. Athena kupiła Bethany nowe ubrania, pełną wyprawkę. Kupiła jej też przybory do malowania i ogromną walizkę i kazała je dostarczyć do hotelu.

Na obiad poszli do restauracji na Champs-Élysées. Bethany jadła z wielkim apetytem, szczególnie ciastka. Przez cały dzień nie odezwała się ani słowem, nie reagowała też na matczyne czułości.

Cross pierwszy raz widział, żeby ktoś okazywał dziecku miłość tak jak Athena. Z dzieciństwa zapamiętał obrazek Nalene głaszczącej Claudię po głowie.

Przez cały obiad Athena trzymała Bethany za rękę, strzepywała okruszki z jej twarzy, obiecywała, że wróci za miesiąc i zostanie z nią we Francji przez pięć lat.

Bethany nie zwracała na nią uwagi.

Athena z entuzjazmem opowiadała, jak to obie nauczą się francuskiego, będą chodzić do muzeów, oglądać wspaniałe obrazy, a Bethany będzie mogła malować i malować. Zwiedzą całą Europę, pojadą do Hiszpanii, Włoch, Niemiec. Wtedy Bethany odezwała się pierwszy raz:

- Chcę moją maszynę.

Cross znowu pomyślał o świętej tajemnicy życia. Bethany była jak kopia portretu pędzla znakomitego artysty - martwa. Jak gdyby Pan Bóg stworzył ciało i zapomniał o duszy.

O zmroku pomaszzerowali do hotelu. Prowadząc Bethany za rękę, od czasu do czasu unosili ją nad ziemię. Nie tylko nie protestowała, ale nawet sprawiała wrażenie zadowolonej, minęli więc hotel i poszli dalej.

Cross czuł to samo co na pikniku. Naprawdę, jak niewiele potrzebował do szczęścia - wystarczyło mu, że szli razem, trzymając się za rękę. Zdziwił go i przeraził ten sentymentalizm.

W końcu wrócili do hotelu. Położywszy dziecko spać, Athena przysła do salonu. Usiedli przytuleni na lawendowej kanapie.

- Kochankowie w Paryżu - zauważyła Athena z uśmiechem. - Nawet nie spaliśmy razem we francuskim łóżku.

- Nie jest ci smutno, że zostawiasz Bethany? - spytał Cross.

- Nie - odparła Athena. - Ona nie będzie za nami tęskniła.

- Pięć lat to szmat czasu - zauważył Cross. - Jesteś gotowa rozstać się z zawodem na tak długo?

Athena wstała z kanapy i zaczęła spacerować po pokoju.

- Wiesz, jestem dumna, że potrafię obejść się bez grania - powiedziała z przejęciem. - Jako dziecko marzyłam, żeby zostać wielką bohaterką, Marią Antoniną kładącą głowę na szafot, Joanną d'Arc płonąca na stosie, Marią Curie ratującą ludzkość od jakiejś strasznej choroby. No i oczywiście marzyłam, że poświęcam się ukochanemu mężczyźnie. Co za głupi pomysł. Marzyłam, że zostanę świętą i pójdę do nieba. Wierzyłam, że zachowam czyste myśli i ciało. Odrzucałam myśl o pójściu na kompromis, szczególnie z powodu pieniędzy. Postanowiłam, że nigdy nikogo nie skrzywdzę. I że wszyscy będą mnie kochać, łącznie ze mną samą. Czulałam, że mam zdolności aktorskie, mówiono mi, że jestem piękna, później się okazało, że jestem nie tylko zdolna, ale utalentowana. I co ja zrobiłam z życiem? Wysłałam za mąż za Boza Skanneta. Sypiałam z mężczyznami, którzy mogli mi pomóc w zrobieniu kariery. Dałam życie ludzkiej istotce, która chyba nigdy nie pokocha ani mnie, ani nikogo innego. Wołając: „Uwolnijcie mnie od tego mężczyzny, on chce mnie zabić”, doprowadziłam

do zamordowania mojego męża. - Ścisnęła mu rękę. - Za co bardzo ci dziękuję.

- Nie zrobiłaś nic złego - rzekł Cross z przekonaniem. - Jak mówią w mojej rodzinie, tak było ci pisane. Co zaś do Skanneta, to musiałaś się go pozbyć, ponieważ, że użyję innego rodzinnego powiedzonka, uwierał cię jak kamień w bucie.

Athena pocałowała go w usta.

- Och, ty mój księżę z bajki. Kłopot z tobą polega na tym, że nigdy nie przestaniesz zabijać smoków.

- A jeśli po tych pięciu latach lekarze stwierdzą, że Bethany nigdy się nie polepszy, to wtedy co? - spytał Cross.

- Gwiżdżę na to, co powiedzą lekarze - stwierdziła Athena. - Zawsze jest jakaś nadzieja. Zostanę z nią do końca swego życia.

- Nie będziesz tęsknić za pracą?

- Będę. Będę tęsknić za pracą i będę tęsknić za tobą. Ale nareszcie zrobię to, co powinnam, zamiast odgrywać bohaterkę na ekranie - powiedziała z rozmarzeniem. A potem dodała beznamiętnym tonem: - Chcę, żeby mnie kochała, na niczym innym mi nie zależy.

Pocałowali się na dobranoc i odeszli do swych sypialni.

Nazajutrz odwieźli Bethany do lekarza. Pożegnanie się z córką nie przyszło Athenie łatwo. Przytuliła ją i rozplakała się. Ale Bethany to nie wzruszyło, odepchnęła matkę i przyjęła postawę obronną w oczekiwaniu na gest Crossa. Cross jednak ją zignorował.

Był zły na Athenę, że jest taka bezradna wobec córki. Lekarz, który obserwował tę scenę, zauważył:

- Kiedy pani wróci, będzie się pani musiała nauczyć, jak postępować z tym dzieckiem.

- Wrócę, kiedy tylko będę mogła.

- Nie musi się pani spieszyć - rzekł doktor. - W jej świecie czas nie istnieje.

W samolocie do Los Angeles ustalili, że Cross poleci prosto do Vegas, nie odwiezie jej do Malibu. W czasie podróży Athena przez pół godziny nie mogła powstrzymać łez, które płynęły z jej oczu ciurkiem. Potem się uspokoiła.

Przy rozstaniu powiedziała:

- Bardzo żałuję, że w Paryżu ani razu się nie kochaliśmy.

Ale Cross wiedział, że mówi tak przez uprzejmość. Że tam, w Paryżu, odrzucała myśl o pójściu z nim do łóżka. Że podobnie jak jej córka nie należała do tego świata.

Na lotnisku na Crossa czekała duża limuzyna. Za kierownicą siedział żołnierz z domku myśliwskiego, a na tylnym siedzeniu - Lia Vazzi. Zasunął wewnętrzną szybę, żeby kierowca nie słyszał ich rozmowy.

- Detektyw Losey znowu mnie nachodził - oznajmił. - Jeśli przyjdzie jeszcze raz, skończę z nim.

- Wykaż jeszcze trochę cierpliwości - powiedział Cross.

- Widzę, na co się zanosz, ja się na tym znam - rzekł Lia. - I coś jeszcze. W Los Angeles zjawiała się grupa operacyjna z Enklawy Bronxu. Nie wiem, kto nimi dowodzi. Moim zdaniem, potrzebna ci jest ochrona.

- Jeszcze nie - sprzeciwił się Cross. - Masz swych sześciu ludzi na podorędziu?

- Mam - odparł Lia. - Ale ci ludzie nie staną przeciw Clericuzim.

W „Xanadu” na Crossa czekały dostarczone przez Andrew Pollarda nader interesujące materiały na temat Jima Loseya. Oraz informacja, która wymagała podjęcia natychmiastowego działania.

Cross wyjął z klatki kasyna sto tysięcy w banknotach studolarowych i zapowiedział Lii, że jadą do Los Angeles. Sami. Pokazał mu kartkę od Pollarda. Polecili samolotem do Los Angeles, a następnego dnia wynajęli samochód i pojechali do Santa Monica.

Phil Sharkey kosił trawnik przed domem. Cross i Lia wysiedli z samochodu, przedstawili się jako wysłannicy Pollarda w sprawie pewnej informacji. Lia przyjrzał się badawczo Sharkeyowi, po czym wrócił do samochodu.

Phil Sharkey nie robił może takiego wrażenia jak Jim Losey, ale też wyglądał na twardziela. Wyglądał też na faceta, który w wyniku długoletniej służby w policji stracił zaufanie do ludzi. Jak na dobrego gliniarza przystało, patrzył czujnie, podejrzliwie, nie uśmiechał się. Z całą pewnością nie był szczęśliwym człowiekiem.

Zaprosił Crossa do domu, który w istocie był letnim domkiem o ponurym, zniszczonym wnętrzu. Ani śladu kobiety czy dzieci. Sharkey zaczął od tego, że zatelefonował do Pollarda, by sprawdzić tożsamość swego gościa. Potem, nie bawiąc się w żadne grzeczności, nie proponując Crossowi, żeby usiadł, czegoś się napił, powiedział:

- No dalej, niech pan pyta.

Cross wyjął z teczki paczkę studolarowych banknotów.

- Oto dziesięć tysięcy. Za to, że mnie pan wysłucha. Ale to chwilę potrwa. Może byśmy napili się piwa i gdzieś przysiedli?

Twarz Sharkeya wykrzywiła się w uśmiechu. Miły facet, pomyślał Cross, pewnie dobry partner.

Sharkey schował niedbale pieniądze do kieszeni w spodniach.

- Podoba mi się pan - stwierdził. - Bystry z pana gość. Wie pan, że najlepiej przemawiają do człowieka pieniądze. Żadnego zbytecznego kadzenia.

Z butelkami piwa zasiedli przy okrągłym stoliku na ganku z tyłu domu, skąd rozciągał się widok na piaszczystą plażę i ocean za Ocean Avenue. Sharkey poklepał się po kieszeni, upewniając się, że pieniądze tam są.

- Za poważne odpowiedzi zapłacę dwadzieścia tysięcy. A za dwa miesiące wrócę i dodam jeszcze pięćdziesiąt, pod warunkiem, że utrzyma pan moją wizytę w tajemnicy.

Sharkey znowu się uśmiechnął, tym razem trochę łobuzersko.

- A potem to mogę powiedzieć o niej, komu zechcę, czy tak?

- Tak.

Sharkey spowaźniał.

- Nie usłyszy pan ode mnie niczego, co by mogło komuś zaszkodzić.

- W takim razie nie wie pan, z kim ma do czynienia - rzekł Cross. - Proszę jeszcze raz zadzwonić do Pollarda.

- Wiem, z kim mam do czynienia - zapewnił go Sharkey. - Jim Losey powiedział mi, że mam dobrze pana traktować. Pod każdym względem.

Zrobił minę cierpliwego słuchacza, co należało do jego zawodu.

- Był pan partnerem Jima Loseya przez ostatnie dziesięć lat i obaj dorabialiście na boku - zaczął Cross. - Potem pan przeszedł na emeryturę. Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego.

- A więc chodzi panu o Jima - rzekł Sharkey domyślnie. - Na pana miejscu byłbym ostrożny. To najodważniejszy i najbardziej łebski policjant, jakiego znam.

- A jak u niego jest z uczciwością? - spytał Cross.

- Cóż, byliśmy policjantami, na dodatek w Los Angeles - rzekł Sharkey. - Pan chyba wie, co to znaczy? Gdybyśmy robili to, co do nas należało, czyli dobierali się do tyłków Latynosom i Murzynom, toby nas podali do sądu i stracilibyśmy pracę. Mogliśmy aresztować jedynie białych cwaniaczków przy forsie. Ja tam nie mam uprzedzeń rasowych, ale dlaczego wsadzać do pierdła tylko białych? To nie jest sprawiedliwe.

- Z tego, co wiem, Jim ma kolekcję odznaczeń - rzekł Cross. - Musiało i panu wpaść kilka.

Sharkey machnął ręką z lekceważeniem.

- W tym mieście nietrudno zostać bohaterem, jeśli jest się facetem z jajami. Wielu z tych gości nie pomyślało, że gdyby byli mili, toby się z nami dogadali. A niektórzy od razu strzelali. Musieliśmy się bronić i stąd te medale. Niech mi pan wierzy, nie szukaliśmy guza.

Cross podawał w wątpliwość każde słowo Sharkeya. Jim Losey, choć ubierał się elegancko, był urodzonym zakapiorem.

- Działaliście ramię w ramię, prawda? - upewnił się Cross. - Zawsze wtajemniczał pana we wszystko, co robił?

Sharkey roześmiał się głośno.

- Jim Losey? Skąd, on był szefem. Czasami nie wiedziałem, o co naprawdę chodzi. Nie miałem pojęcia, ile nam płacono. Jim się tym zajmował i odpalał mi działkę. - Przerwał. - Narzucał zasady gry.

- Na czym zarabialiście?

- Byliśmy na liście płac u tych od hazardu - wyjaśnił Sharkey. - Dostawaliśmy trochę szmalu od handlarzy narkotyków. Pamiętam, że kiedyś Jim Losey nie brał od nich forsy, ale potem wszyscy policjanci na świecie zaczęli od nich brać, to my też.

- Czy kiedykolwiek zmuszaliście czarnego chłopaka o imieniu Marlowe, żeby wskazywał wam handlarzy narkotyków? - spytał Cross.

- Jasne. Marlowe. Chłopaczek, który bał się własnego cienia. Długo dla nas pracował.

- Nie zdziwiło pana, że Losey go zastrzelił, kiedy chłopak uciekał, bo obrabował faceta i zabił?

- Skądże! - odparł Sharkey. - Ćpuny potrzebują szmalu. Tak im się ręce trzęsą, że zawsze coś schrzanią. A Jim w takich sytuacjach strzela bez ostrzeżenia, chociaż inaczej nas uczono. Strzela i już.

- Czy to jednak nie dziwny zbieg okoliczności, że trafili właśnie na siebie?

Pierwszy raz twarz Sharkeya jakby straciła zawziętość, posmutniała.

- Tak, to podejrzana sprawa - zgodził się. - Od początku do końca. Chyba powinienem coś panu zdradzić. Jim Losey był cholernie odważny, kobiety go kochały, a mężczyźni podziwiali. Byłem jego partnerem i szanowałem go. Ale tak naprawdę to zawsze wydawał mi się trochę śliski.

- Więc to mogła być pułapka? - spytał Cross.

- Ach, nie - zaprzeczył prędko Sharkey. - Jedno musi pan zrozumieć. W tej robocie bierze się łapówki, ale się nie morduje. W to nie uwierzę.

- Dlaczego więc przeszedł pan na emeryturę?

- Dlatego, że Jim działał mi na nerwy - rzucił Sharkey.

- Nie tak dawno temu spotkałem go w Malibu - rzekł Cross. - Był sam. Często działał na własną rękę?

Sharkey znowu się uśmiechnął.

- Czasami - odparł. - Wtedy akurat zamierzał poderwać jedną aktorkę. Byłby pan zdziwiony, ile on nakosił tych gwiazd. Czasami siedł na lunch z jakimś ważniakiem i nie

chciał, żebym mu się plątał pod nogami.

- Jeszcze jedno pytanie. Czy Jim Losey jest rasistą? Czy to prawda, że nie znosi Murzynów?

Sharkey spojrzał bardzo zdziwiony i nieco rozbawiony.

- Oczywiście, że prawda. A pan to pewnie jakiś zasrany liberał. Uważasz pan, że to straszne, co? No to idź pan i przepracuj rok w policji. A wtedy będziesz pan głosował, żeby ich wszystkich zamknęli w ogrodzie zoologicznym.

- Mam jeszcze jedno pytanie. Czy kiedykolwiek widział go pan w towarzystwie niskiego faceta w fikuśnym kapeluszu?

- Chodzi panu o tego Włocha - odparł Sharkey domyślnie. - Owszem, jedliśmy kiedyś razem lunch, ale potem Jim kazał mi spadać. Upiorny facet.

Cross sięgnął do teczki i wyjął kolejne dwie paczki pieniędzy.

- Dwadzieścia tysięcy - powiedział. - I niech pan pamięta o zachowaniu milczenia, to dostanie pan jeszcze pięćdziesiąt.

- Wiem, kim pan jest.

- Pollard panu powiedział.

- Wiem, kim pan naprawdę jest. - Sharkey wybuchnął zaraźliwym śmiechem. - Dlatego nie odbiorę panu tej teczki. I dlatego będę milczał jak grób przez dwa miesiące. Ciekawe, który z was prędzej mnie zabije, pan czy Losey.

Cross De Lena uświadomił sobie, że znalazł się w trudnej sytuacji. Wiedział, że Jim Losey figurował w księgach Rodziny Clericuzio. Że otrzymywał roczną pensję w wysokości pięćdziesięciu tysięcy i premię za specjalne zadania. Wiedział też, że Pippię zabili Dante i Losey. Do wydania tego werdyktu nie potrzebował żadnych niezbitych dowodów, ostatecznie nie był w sądzie. Nauczył się tego od Clericuziów. Znał charakter i fachowość swojego ojca. Nie dałby się zaskoczyć ćpunowi. Znał także charakter i fachowość Dantego oraz jego antypatię do Pippięgo.

Rodziło się pytanie: czy Dante zabił Pippięgo z własnej inicjatywy, czy na rozkaz dona? Clericuzio jednak nie mieli powodu pozbywać się człowieka, który był im wierny przez przeszło czterdzieści lat i bardzo się przyczynił do obecnej pozycji Rodziny. Przecież był generałem w wojnie z Santadiami. Tu Cross nie pierwszy raz w życiu zadał sobie pytanie, czemu nikt nie chciał mu nigdy opowiedzieć o tej wojnie, ani ojciec, ani Gronevelt, ani Giorgio, Petie i Vincent.

Im więcej o tym myślał, tym bardziej był pewny jednego: don nie przyłożył ręki do zamordowania Pippięgo. Don Domenico wyznawał staroświeckie zasady. Za wierną służbę

nagradzał, nie karał. Był bardzo sprawiedliwy, aż do przesady. Argumentem, który najsilniej przemawiał na jego korzyść, było to, że gdyby zabił Pippię, nie zostawiłby przy życiu jego syna. Fakt, że Cross żył, dowodził niewinności dona.

Don Domenico wierzył w Boga, czasami wierzył w przeznaczenie, ale nigdy w zbieg okoliczności. A już na pewno nie dał się nabrać na to, że policjant Jim Losey przypadkiem natknął się na ćpuna, który sekundę wcześniej zastrzelił Pippię. Don z całą pewnością przeprowadził własne dochodzenie i odkrył powiązania Dantego z Loseyem. Musi wiedzieć, że to Dante zabił Pippię, i musi wiedzieć, dlaczego to zrobił.

A co z Marie Rose, matką Dantego? Ile ona wie? Na wieść o śmierci Pippię dostała okropnego ataku, krzyczała od rzeczy, szlochała niepoohamowanie i don musiał wysłać ją do kliniki psychiatrycznej w East Hampton, którą przed laty ufundował. Miała tam przebywać co najmniej miesiąc.

Don pozwolił ją odwiedzać tylko jej synowi i braciom. Cross wysyłał jej kwiaty i kosze z owocami. Ciekawe, co tak naprawdę wytrąciło ją z równowagi? Czyżby wiedziała, że to Dante zabił Pippię, znała jego motywy? Kiedyś don powiedział, że Dante będzie jego następcą. To straszne. Cross postanowił, że mimo zakazu dona złoży wizytę Rose Marie w klinice. Zaniesie jej kwiaty, owoce, czekoladki, sery i spróbuje podstępnie nakłonić do wydania syna.

Dwa dni później Cross przekroczył próg kliniki psychiatrycznej w East Hampton. Przy wejściu stało dwóch strażników, z których jeden podszedł wraz z nim do lady recepcjonistki.

Recepcjonistka była elegancką panią w średnim wieku. Kiedy Cross przedstawił swą sprawę, uśmiechnęła się czarująco i powiedziała, że musi trochę poczekać, ponieważ Rose Marie jest właśnie na jakimś drobnym zabiegu chirurgicznym. Zawiadomi go, jak już będzie po wszystkim.

Cross usiadł nieopodal recepcji, zamiast w hallu, gdzie stały wygodne fotele i stoliki. Wziął pismo ilustrowane o Hollywood. Trafił w nim na artykuł o Jimie Losey, bohaterskim detektywie z Los Angeles. Autor artykułu wyliczał jego bohaterskie dokonania, ukoronowane zastrzeleniem ulicznego złodzieja i mordercy, niejakiego Marlowe'a. Uwagę Crossa zwróciły dwie rzeczy. Po pierwsze, że jego ojca nazwano właścicielem agencji świadczącej usługi finansowe, czyli typową ofiarę napadów. Po drugie, że z artykułu wynikał morał: gdyby było więcej takich policjantów jak Jim Losey, skończyłyby się napady na ulicach.

Pielęgniarka dotknęła jego ramienia. Wyglądała na kulturystkę, ale uśmiech miała miły.

- Zaprowadzę pana.

Cross sięgnął po bombonierkę i bukiet, po czym wspiął się za nią po schodach na piętro. Tam weszli w długi korytarz pełen drzwi po obu stronach. Zatrzymali się przy ostatnich, pielęgniarka wyjęła z kieszeni klucz, otworzyła drzwi, wpuściła Crossa do środka, po czym zamknęła drzwi.

Rose Marie, ubrana w szary szlafrok, starannie uczesana, patrzyła w mały telewizor. Na widok Crossa zerwała się z leżanki i rzuciła mu się w ramiona. Płakała. Cross ucałował ją w policzek, wręczył czekoladki i kwiaty.

- Przyszedłeś mnie odwiedzić! - wołała. - A ja myślałam, że mnie nienawidzisz za to, co zrobiłam twojemu ojcu.

- Nic nie zrobiłaś mojemu ojcu - uspokoił ją Cross i zaprowadził z powrotem na leżankę. Następnie wyłączył telewizor i ukląkł obok niej. - Martwiłem się o ciebie.

Wyciągnęła rękę i pogłaskała go po głowie.

- Zawsze byłeś taki śliczny. Nienawidziłam cię za to, że byłeś synem swego ojca. Życzyłam mu śmierci. Wiedziałam, że kiedyś spotka go coś strasznego. Zatrulałam mu powietrze i ziemię. Myślisz, że don mi to daruje?

- Don jest człowiekiem. Na pewno ci daruje.

- Oszukał cię tak samo jak innych - powiedziała Rose Marie. - Nie ufaj mu. Zdradził własną córkę, zdradził własnego wnuka i zdradził swego ukochanego siostrzeńca Pippięgo... a teraz zdradzi ciebie - zakończyła piskliwie.

Cross przestraszył się, że Rose Marie znowu dostanie ataku.

- Cicho, ciociu Rose - uspokoił ją. - Powiedz mi, co cię tak zdenerwowało, że znowu tu trafiłaś. - Patrzył jej w oczy i myślał, że musiała być kiedyś piękną dziewczyną. W jej oczach nadal malowała się dziewczęca niewinność.

- Każ im, żeby ci opowiedzieli o wojnie z Santadiami - szepnęła mu do ucha - a wtedy wszystko zrozumiesz.

Przez chwilę patrzyła gdzieś za Crossa, potem zasłoniła oczy rękoma. Cross odwrócił się. W progu stali Vincent i Petie. Milczeli. Rose Marie zeskoczyła z leżanki, wbiegła do łazienki i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Na granitowej twarzy Vincenta malowała się udręka.

- Jezu Chryste! - zawołał. Podszedł do drzwi od łazienki, zapukał, potem krzyknął: - Otwórz, Rose Marie! Jesteśmy twoimi braćmi, nie zrobimy ci krzywdy...

- Cóż za spotkanie - zauważył Cross. - Ja też przyszedłem w odwiedziny do Rose Marie.

Vincent nigdy nie owijał niczego w bawełnę.

- Nie przyszliśmy w odwiedziny. Don wzywa cię do Quogue.

Cross dokonał szybkiej oceny sytuacji. Widać recepcjonistka zatelefonowała do Quogue. Widać takie miała rozkazy. Widać don nie życzył sobie, żeby Cross rozmawiał z Rose Marie. Ale skoro wysłał po niego Petiego i Vincenta, to chyba nie ma zamiaru go zabić, nie działali tak jawnie.

- Zabiorę się z tobą, Cross. Petie pojedzie swoim samochodem - powiedział Vincent, co ostatecznie uspokoiło Crossa, gdyż w Rodzinie Clericuzio nigdy nie atakowano w pojedynkę.

- Nie możemy tak zostawić Rose Marie - zaprotestował.

- Możemy - odparł Petie. - Zaraz przyjdzie pielęgniarka i ją uspokoi.

W czasie jazdy Cross starał się nawiązać rozmowę.

- Szybko się zjawiliście.

- To dlatego, że Petie prowadził - odparł Vincent. - Wiesz, że jeździ jak wariat. - Przerwał, a potem spytał z niepokojem w głosie: - Po co przyszedłeś do Rose Marie, Cross? Znasz przecież zasady.

- Musisz wiedzieć, że jako mały chłopiec ze wszystkich ciotek najbardziej lubiłem Rose Marie.

- Za to don nie lubi takich numerów - nie ustępował Vincent. - Okropnie się wkurzył. Powiedział, że takie postępowanie nie jest w twoim stylu.

- Wszystko mu wytłumaczę - uspokoił go Cross. - Naprawdę niepokoję się o twoją siostrę. Co mówią lekarze?

Vincent westchnął.

- Że pewnie już z tego nie wyjdzie. Mimo że w młodości bardzo lubiła twojego ojca, nikt nie przypuszczał, że jego śmierć aż tak ją poruszy.

Cross dosłyszał fałszywy ton w jego głosie. Vincent coś wiedział.

- Mój ojciec też zawsze ją lubił.

- Ostatnio Rose Marie już go nie lubiła - poprawił Vincent. - Szczególnie gdy miała atak. Powinieneś słyszeć, co na niego wygadywała.

- Brałeś udział w wojnie z Santadiami - rzekł Cross niby od niechcienia. - Dlaczego nie chcecie mi o niej opowiedzieć?

- Dlatego, że nigdy nie opowiadamy o akcjach - odparł gładko Vincent. - Ojciec uważa, że rozpamiętywanie przeszłości do niczego nie prowadzi. Jest tyle bieżących problemów, że nie ma sensu babrać się w przeszłości.

- Ale mój ojciec był bohaterem, prawda? - spytał Cross.

Vincent uśmiechnął się nieznacznie, jego granitowa twarz złagodniała.

- Twój ojciec był geniuszem. Był strategiem niczym Napoleon. Jeśli on zaplanował akcję, nie zdarzały się żadne wpadki. No może raz czy dwa, ale to był pech.

- Zaplanował wojnę z Santadiami, tak?

- Wiesz, co? Zadaj te pytania donowi - zbył go Vincent. - Teraz porozmawiajmy o czymś innym.

- Proszę bardzo - zgodził się Cross. - Czy zamierzacie się mnie pozbyć tak jak mojego ojca?

Zazwyczaj zimna, kamienna twarz Vincenta zmieniła się nagle nie do poznania. Złapał za kierownicę i zmusił Crossa do zjechania na pobocze. Zduszonym ze zdenerwowania głosem spytał:

- Odbiło ci? Czy myślisz, że Rodzina Clericuzio zrobiłaby coś takiego? Przecież w twoim ojcu płynęła nasza krew. Był naszym najlepszym żołnierzem, ocalił nas. Don kochał go jak syna. Jezu Chryste, co ci chodzi po głowie?

- Wystraszyłem się, bo zjawiliście się tak zniecka - odparł potulnie Cross.

- Wracaj na drogę - rzekł skrzywiony Vincent. - W tamtych trudnych czasach twój ojciec, ja, Giorgio i Petie walczyliśmy ramię przy ramieniu. Mowy nie ma o tym, żebyśmy wystąpili przeciw sobie. Pippi miał pecha, zabił go jakiś łachudra.

Przez resztę drogi milczeli.

W Quogue jak zwykle dwóch strażników urzędowało przy bramie, jeden siedział na tarasie. Cross nie zauważył jakiegoś specjalnego poruszenia.

Don Clericuzio, Giorgio i Petie czekali na nich w pokoju bez okien. Obok pudełka z cygarami hawańskimi na barze stał kubek z czarnymi cygarami włoskimi.

Don Clericuzio siedział w ogromnym brązowym skórzanym fotelu. Gdy Cross podszedł do niego, żeby się przywitać, don ku jego ogromnemu zdumieniu dźwignął się z fotela ze zwinnością przeczącą jego wiekowi i objął go serdecznie. A następnie wskazał niski stolik, na którym stały półmiski z wędlinami i serami.

Cross domyślił się, że don nie jest jeszcze gotów do rozmowy. Przygotował sobie kanapkę z serem i szynką, cienko pokrojonym ciemnoczerwonym mięsem z obwódką delikatnego białego tłuszczu. Z białej kuli mozzarelli z grubym słonym supłem na czubku kapalo jeszcze mleko. Jeśli don się czymś chepił, to właśnie tym, że nigdy w życiu nie włożył do ust mozzarelli, która miała więcej niż pół godziny.

Vincent i Petie też się zabrali do jedzenia, podczas gdy Giorgio wziął na siebie funkcję barmana. Donowi podał wino, bezalkoholowe napoje pozostałym. Don jadł jedynie

ociekającą mlekiem mozzarellę i delektował się jej świeżością. Petie podał mu krzywe cygaro i ogień. Don ma jeszcze dobry żołądek, pomyślał z podziwem Cross.

- Croccifixio, powiem ci to, czego chciałeś się dowiedzieć od Rose Marie - zaczął don ostro. - Uważasz, że w tej historii z twoim ojcem coś nie gra. Otóż mylisz się. Przeprowadziłem dochodzenie, które wykazało, że wszystko odbyło się dokładnie tak jak nam powiedziano. Po prostu Pippi miał pecha. Wiem, że był bardzo ostrożny, ale wypadki się zdarzają. Uspokój się więc. Pamiętaj, że twój ojciec był moim siostrzeńcem, drogim przyjacielem.

- Opowiedz mi o wojnie z Santadiami - poprosił Cross.

KSIĘGA SIÓDMA

Wojna z Santadiami

Rozdział osiemnasty

- Z głupimi ludźmi nie da się postępować rozsądnie - zaczął don Clericuzio, popijając wino. Odłożył cygaro. - Słuchaj uważnie. To długa historia i wszystko wyglądało inaczej niż się wydawało. Działo się to niemal trzydzieści lat temu... - Skinął do swych synów. - Uzupełnijcie, jeśli opuszczę coś ważnego.

Pomyśl, że don może zapomnieć o czymś ważnym, wywołał na ich twarzach uśmiech.

Złotomgliste sztuczne oświetlenie tego pokoju było przyćmione od dymu z cygar. Nawet ostry zapach jedzenia zdawał się na nie jakoś wpływać.

- Przekonałem się o tym, kiedy Santadiowie... - przerwał, by popić wina - ...kiedy Santadiowie byli tak samo silni jak my. Ale robili sobie wrogów i zwracali uwagę władz. Poza tym nie byli sprawiedliwi. Stworzyli świat bez wartości. Taki świat nigdy nie trwa długo...

...Dla świętego spokoju zawierałem z nimi rozmaite ugody, szedłem na liczne ustępstwa. Ale że byli silni, chcieli zawsze stawiać na swoim. Byli ograniczeni i wierzyli, że grunt to siła. W ten sposób doszło do wojny między nami.

- Po co opowiadasz tę starą historię Crossowi? - przerwał mu Giorgio. - Co komu z tego przyjdzie?

Vincent omijał wzrokiem Crossa, za to Petie obserwował go spod przymkniętych powiek badawczo. Z jakichś powodów nie chcieli, żeby poznał historię wojny z Santadiami.

- Dlatego, że jesteśmy to mu winni. Jemu i Pippiemu - odparł don Giorgiowi, po czym zwrócił się do Crossa: - Myśl sobie, co chcesz, ale zapewniam cię, że ja i moi synowie nie zrobiliśmy tego, o co nas posądzasz. Pippi był mi jak syn, ciebie traktuję jak wnuka. Obaj z krwi Clericuziów.

- To nikomu nic nie da - obstawał przy swoim Giorgio.

Don Clericuzio machnął niecierpliwie ręką.

- Czy to, co powiedziałem do tej pory, jest prawdą? - spytał synów.

Pokiwali smętnie głowami, a Petie dodał:

- Należało ich sprzątnąć na samym początku.

Don wzruszył ramionami.

- Moi synowie byli młodzi - zwrócił się do Crossa - twój ojciec był młody, żaden z nich nie przekroczył jeszcze trzydziestki. Nie chciałem ich stracić w głupiej wojnie. Don

Santadio, zmiłuj się, Panie, nad jego duszą, miał sześciu synów, ale traktował ich bardziej jak żołnierzy. Najstarszy, Jimmy Santadio, pracował u naszego starego druha, świętej pamięci Gronevelta. W tamtych czasach do Santadiów należała połowa „Xanadu”. Jimmy był z nich wszystkich najrozsądniejszy, on jedyny rozumiał, że pokój jest najlepszym rozwiązaniem. Ale stary Santadio i pozostali jego synowie byli żądni krwi...

Nie chciałem dopuścić do rozlewu krwi. Grałem na zwłokę, próbowałem się z nimi dogadać, przekonać ich do mojej oferty. Proponowałem im przejęcie narkotyków w zamian za hazard. Obiecałem, że jeśli zrzekną się na moją korzyść swojej połowy „Xanadu”, to będą rządzić handlem narkotyków w całej Ameryce. Narkotyki to brudny interes, dla twardzieli. Moim zdaniem, złożyłem im bardzo rozsądną propozycję. Handel narkotykami przynosił wielki dochód i nie wymagał długofalowego planowania, lecz zdeterminowania i siły. W sam raz dla Santadiów. Chciałem, by Clericuziowie przejęli hazard, który nie był tak niebezpiecznym interesem jak narkotyki ani tak intratnym, ale mądrze prowadzony wydawał się lepszym wyborem na dłuższą metę. Ugruntowałyby pozycję Clericuziów. Zawsze myślałem o włączeniu się w społeczeństwo, a hazard mógł być w przyszłości legalną kopalnią złota, nie wymagającą ponoszenia ryzyka i odwalania brudnej roboty. Czas przyznał mi rację.

Niestety, Santadiowie byli nienasyчени. Chcieli mieć wszystko. A trzeba ci wiedzieć, siostrzeńcze, że czasy były bardzo trudne. FBI rozpracowywało nasze organizacje. Rząd, mając do dyspozycji środki finansowe i zaawansowaną technologię, rozbijał Rodzinę po Rodzinie. Pękał mur omerta...

- Młodzi, urodzeni w Ameryce Włosi coraz częściej szli na współpracę z władzami. Na szczęście udało mi się stworzyć Enklawę Bronxu z żołnierzami sprowadzonymi z Sycylii.

Nie pomyślałem tylko o jednym, a mianowicie, że kłopotów przysporzy nam kobieta. Moja córka, Rose Marie, miała wtedy osiemnaście lat. Nie wiem, jak do tego doszło, że Jimmy Santadio tak ją zauroczył. Powtarzała, że są jak Romeo i Julia. Jacy znowu Romeo i Julia? Kim na Boga byli Romeo i Julia? Na pewno nie Włochami. Kiedy się o nich dowiedziałem, w pierwszej chwili nawet się ucieszyłem. Zacząłem nowe negocjacje z Rodziną Santadio, obniżyłem żądania, bo chciałem, żeby nasze Rodziny mogły spokojnie współistnieć. Ale oni w swej głupocie odczytali to jako znak słabości. W ten sposób doszło do tragedii, której skutki trwają po dziś dzień.

Tu zamilkł. Korzystając z przerwy, Giorgio nalał sobie wina i zrobił sobie kanapkę z mlecznym serem. Staął za ojcem.

- Dlaczego do tego wracasz? - spytał.

- Dlatego, że mój siostrzeniec zdenerwował się śmiercią swego ojca i musimy rozwiązać

podejrzenia, jakie żywi w stosunku do nas - odparł don.

- Ciebie, don Domenico, o nic nie podejrzewam - zapewnił go solennie Cross.

- Wszyscy wszystkich podejrzewają - rzekł don. - Taka jest natura ludzka. Ale wróćmy do tematu. Rose Marie była młoda i nic nie wiedziała o świecie. Kiedy obie Rodziny sprzeciwiły się temu małżeństwu, omal nie umarła z rozpacz. Nie знаła jednak przyczyny tej sytuacji. Jak mi potem opowiadała, postanowiła zebrać nas razem, wierząc, że miłość zwycięży podziały. Kochana dziewczyna. Była mi słońcem na niebie. Moja żona zmarła młodo, a ja nie ożeniłem się po raz drugi właśnie dlatego, żeby nie dzielić się z kimś Marie Rose. Niczego jej nie odmawiałem, z jej przyszłością wiązałem wielkie nadzieje. Ale myśli o małżeństwie z Santadio nie mogłem ścierpieć. Zabroniłem jej wyjść za Jimmy'ego. Sam byłem jeszcze młody. Wierzyłem, że moje dzieci słuchają mnie. Chciałem, żeby skończyła studia, wyszła za kogoś z innego świata. Giorgio, Vincent i Petie mieli mi pomagać, potrzebowałem ich wsparcia. Ale miałem nadzieję, że ich dzieci będą żyć już w lepszym świecie. I mój najmłodszy syn Silvio. - Tu don wskazał na fotografię stojącą na półce nad kominkiem.

Cross nigdy nie interesował się tą fotografią, nie znał Silvia. Ze zdjęcia patrzył nań młodzieniec bardzo podobny do Rose Marie, choć nieco delikatniejszy, o szarych inteligentnych oczach. Twarz anioła, pewnie retuszowana, pomyślał Cross.

Giorgio zapalił kolejne cygaro, mimo że dym w tej nie wietrzanej pakamerze szczypał już w oczy.

Don Clericuzio podjął opowiadanie:

- Kochałem Silvia chyba jeszcze bardziej niż Rose Marie. Miał wyjątkowo dobre serce. Zdał na uniwersytet, dostał stypendium. Wszystkie możliwości stały przed nim otworem. Ale był zbyt ufny...

- Do głowy by mu nie przyszło, że grozi mu jakieś niebezpieczeństwo - wtrącił Vincent. - Żaden z nas by tam nie poszedł. W każdym razie nie tak jak on, bez ochrony.

- Rose Marie z Jimmym wynajęli pokój w motelu „Commack” - podjął Giorgio. - Rose Marie wymyśliła, że jeśli Jimmy i Silvio dogadają się ze sobą, to potem pogodzą ze sobą Rodziny. Zadzwoiła do Silvia, który nic nikomu nie mówiąc, udał się do motelu. We troje opracowali plan działania. Silvio mówił do Rose Marie „Roe”. Jego ostatnie słowa brzmiały: „Zobaczysz, Roe, że wszystko się ułoży. Tata na pewno mnie posłucha”.

Ale nie zdążył porozmawiać z ojcem. Na jego nieszczęście Jimmy'ego obstawiali tamtego dnia Fonsa i Italo Santadio.

Ci paranoicy uważali, że Rose Marie zastawiła na ich brata pułapkę. Że zamierza

wyjsć za Jimmy'ego, aby w ten sposób osłabić jego pozycję w Rodzinie. Nawet jej to powiedzieli, ale Rose Marie tak była opętana pragnieniem poślubienia Jimmy'ego, że zapomniała, co to strach i zwymyślała ich od idiotów. Skrzyczała nawet swego ojca, wielkiego don Clericuzia. Nikt nie był w stanie wybić jej z głowy tego małżeństwa.

Teraz, kiedy Silvio wychodził z motelu, rozpoznali go, pojechali za nim i zastrzelili na Robert Moses Causeway. Dla upozorowania napadu na tle rabunkowym zabrali mu portfel i zegarek. Tacy prymitywni byli ci Santadiowie.

Dla don Clericuzia od początku było jasne, kto zabił Silvia. A tu nagle na czuwanie przy zwłokach przychodzi Jimmy Santadio, bez obstawy i broni. Poprosił dona o prywatną rozmowę.

- Don Clericuzio - powiedział - mój smutek nie ustępuje twojemu smutkowi. Weź moje życie, jeśli uważasz, że Silvia zabili Santadio. Pytałem ojca. Mówi, że nie wydał takiego rozkazu. Mam ci powtórzyć, że jeszcze raz rozważy twoje propozycje. Zgadza się, żebym poślubił twoją córkę.

Rose Marie podeszła do Jimmy'ego i wzięła go za rękę. Na jej twarzy malowała się taka żalność, że donowi serce się kroilo. Smutek i strach przydawały jej twarzy tragicznej urody. Donem wstrząsnęły oczy córki, ciemne i mokre od łez. Patrzyła na niego, jak gdyby nie rozumiała, co się wokół niej działo.

Potem uniosła głowę i spojrzała na Jimmy'ego Santadia z bezgraniczną miłością. Widząc to, don Clericuzio był bliski pierwszy raz w życiu dać za wygraną. Jak mógł sprawić ból takiej pięknej dziewczynie?

Rose Marie powiedziała:

- Jimmy jest głęboko wstrząśnięty twoimi podejrzeniami. Wiem, że oni tego nie zrobili. Jimmy obiecuje, że jego rodzina zawrze z tobą ugodę.

Don Clericuzio wydał już wyrok. Jak zwykle nie potrzebował żadnych dowodów. Ale okazanie litości to inna sprawa.

- Wierzę, że jesteś niewinny, Jimmy - oznajmił. I tak rzeczywiście było, choć nie miało to większego znaczenia. - Pozwalam ci poślubić Rose Marie, ale nie w tym domu. Nie chcemy być przy tym obecni. Powiedz ojcu, że jak rzecz się dokona, spotkam się z nim i pogadamy o interesach.

- Dziękuję - odparł Jimmy. - Rozumiem wszystko. Wesele odbędzie się w naszym letnim domu w Palm Springs, dokąd wyjeżdżamy za miesiąc całą rodziną. Przyślemy wam zaproszenia. Czy z nich skorzystacie, to już inna sprawa.

- Nie moglibyście trochę z tym poczekać? - spytał urażony don i wskazał na trumnę.

Rose Marie zarzuciła mu ręce na szyję.

- Jestem w ciąży - wyznała przerażona.

- Ooo - zawołał don i uśmiechnął się do Jimmy'ego Santadia.

- Dam mu na imię Silvio - szepnęła Rose Marie. - Zobaczysz, że będzie do niego podobny.

Don pogłaskał ją uspokajająco po głowie i pocałował.

- Dobrze, już dobrze - rzekł. - Ale na ślubie nie będę.

Rose Marie odzyskała pewność siebie. Cmoknęła go w policzek i powiedziała twardo:

- Ktoś jednak musi przyjechać, ojczu. Ktoś musi odprowadzić mnie do ołtarza.

Z tyłu stał Pippi. Don odwrócił się do niego.

- Będziesz nas reprezentował na ślubie. Jesteś moim siostrzeńcem i lubisz tańczyć.

Poprowadzisz swą kuzynkę do ołtarza, a potem tańcz sobie, aż cię pochłoną fale oceanu.

Pippi schylił się i pocałował Rose Marie w policzek.

- Możesz na mnie liczyć - powiedział rycersko. - A jeśli Jimmy skrewi, porwę cię i uciekniemy razem.

Rose Marie z wdzięczności zarzuciła mu ręce na szyję.

Miesiąc potem Pippi De Lena leciał z Vegas do Palm Springs na ślub Rose Marie. Czas ten spędził w Quogue na naradach z donem, Giorgiem, Vincentem i Petiem.

Don mianował go szefem operacji. Nakazał synom wykonywać wszystkie jego rozkazy, choćby wydały im się niedorzeczne.

Z całego towarzystwa jedynie Vincent odważył się spytać:

- A jeśli Santadiowie nie zabili Silvia?

- To bez znaczenia - odparł don. - Przez ich głupotę nasze życie będzie wiecznie zagrożone. Tak czy owak, będziemy musieli się z nimi rozprawić. Są winni. Zła wola jest jak zabójstwo. Jeśli Silvia nie zabili Santadiowie, to pozostaje nam winić za jego śmierć ślepy przypadek. Wierzycie w ślepy przypadek?

Pippi jeszcze nigdy nie widział dona w takim stanie. Godzinami przesiadywał w kaplicy w podziemiach swego domu. Mało jadł, za to pił dużo wina, co nie należało do jego zwyczajów. Zdjęcie Silvia w srebrnej ramce przez kilka dni stało w jego sypialni. Pewnej niedzieli po mszy poprosił księdza, żeby go wypowiadał.

Ostatniego dnia Pippi spotkał się tylko z donem.

- Pippi - rzekł don - ta operacja będzie wymagała szczególnej bezwzględności. W pewnej chwili możesz stanąć wobec pytania, czy nie powinieneś jednak oszczędzić Jimmy'ego Santadia. Nie, nie powinieneś. Nikt jednak nie może wiedzieć, że to był mój

rozkaz. Weźmiesz ten czyn na siebie. Nie ja, nie Giorgio, nie Vincent i nie Petie, ale właśnie ty. Zgadzasz się?

- Zgadzam się. Nie chcesz, żeby twoja córka cię znienawidziła. Ani braci.

- Takie pytanie może powstać, gdy Rose Marie będzie zagrożona.

- Rozumiem.

Don westchnął.

- Zrób wszystko, żeby moich dzieci nie spotkało nieszczęście. Ostateczna decyzja należy do ciebie. Oficjalnie nigdy nie kazałem ci zabić Jimmy'ego Santadia.

- A jeśli Rose Marie odkryje, że to... - zaczął Pippi.

Don spojrzał mu w oczy.

- Rose Marie jest moją córką, siostrą Silvia. Nigdy nas nie zdradzi.

Posiadłość Santadiów w Palm Springs, wybudowana w stylu hiszpańskim harmonizującym z pustynnym otoczeniem, mieściła czterdzieści pomieszczeń tylko na trzech poziomach. Od pustyni oddzielał ją kolisty mur z czerwonej cegły. Oprócz domu znajdował się tam również ogromny basen, kort tenisowy, a także boisko do gry w bocce.

Z okazji wesela zbudowano palenisko do barbecue, ustawiono podest dla orkiestry, ułożono parkiet do tańca. Wokół parkietu rozstawiono bufety. Tuż za ogromną spiżową bramą parkowały trzy ciężarówki organizatora bankietów.

Pippi De Lena z odświętnym garniturem w walizce zameldował się wczesnym rankiem w sobotę. Przydzielono mu pokój na piętrze, skąpany w złotym świetle pustynnego słońca.

Uroczystość zaślubin miała się odbyć w kościele, oddalonym od posiadłości niespełna pół godziny jazdy samochodem. Potem goście powrócą na wesele.

Pukanie do drzwi zapowiedziało Jimmy'ego Santadia. Promieniował radością. Wyściskał serdecznie Pippię. Nie zdążył jeszcze włożyć stroju ślubnego, ale w szarosrebrnej jedwabnej koszuli i luźnych białych spodniach prezentował się bardzo przystojnie.

- Wspaniale, że przyjechałeś - zawołał, nie wypuszczając dłoni Pippię ze swojej. - Rose strasznie się cieszy, że poprowadzisz ją do ołtarza. Ale najpierw mój ojciec prosi cię do siebie.

Sprowadził go za rękę na parter, skąd udali się do pokoju don Santadia w końcu długiego korytarza. Don Santadio leżał w łóżku ubrany w niebieską bawełnianą piżamę. Wyglądał dużo starzej od don Clericuzia, ale patrzył tak samo czujnie i słuchał w skupieniu. Miał okrągłą jak dynia głowę, zupełnie łysą. Dał znak Pippiemu, żeby się przybliżył.

Wyciągnął do niego obie ręce.

- Cieszę się, że przyjechałeś - wychrypiał. - Liczę, że dzięki twojemu wstawiennictwu nasze Rodziny się uściskają tak jak my obaj. Będziesz naszym gołąbkim pokoju. Niech Bóg cię błogosławi. Niech Bóg cię błogosławi. - Zapadł się w pościel i zamknął oczy. - Jakież jestem dziś szczęśliwy.

W pokoju była pielęgniarka, korpulentna pani w średnim wieku. Jimmy przedstawił ją jako kuzynkę. Pielęgniarka szeptem poleciła im wyjść. Powiedziała, że don zbiera siły przed uroczystością. Przez chwilę Pippi się zastanawiał. Było sprawą oczywistą, że don Santadio długo już nie pożyje. Po jego śmierci Jimmy zostanie głową Rodziny. Może dałoby się jeszcze coś naprawić. Z drugiej strony, don Clericuzio nigdy im nie daruje, że zabili Silvia, a więc nie ma mowy o pokoju między tymi dwiema Rodzinami. Zresztą, co tu myśleć, don dał mu jasne instrukcje.

Tymczasem dwaj bracia Jimmy'ego, Fonsa i Italo, sprawdzali, czy Pippi nie przywiózł z sobą broni i jakichś urządzeń komunikacyjnych. Również wypożyczony samochód Pippiego został poddany szczegółowym oględzinom.

Santadiowie zafundowali swemu księciu wesele jak się patrzy. Posiadłość udekorowano kosztami egzotycznych kwiatów. W kolorowych pawilonach barmani serwowali szampana. Przy akompaniamencie ogłuszającej muzyki z głośników błazen w stylizowanym średniowiecznym kostiumie zabawiał dzieci sztuczkami. Każdy gość otrzymał przy wejściu kupon dający mu szansę wygrania w późniejszym losowaniu dwudziestu tysięcy dolarów. Czy mogło być wspanialej?

Dla ochrony przed pustynnym skwarem na wypielegnowanej murawie rozpięto cyrkowe namioty - zielone nad parkietem tanecznym, czerwone nad orkiestrą. A pod niebieskimi, rozpiętymi nad kortem tenisowym, składano prezenty ślubne. Należał do nich srebrny mercedes dla panny młodej i mały prywatny samolot dla pana młodego od samego don Santadia.

Ceremonia w kościele trwała krótko. Goście wrócili do posiadłości Santadiów, gdzie już grała orkiestra. Czekwały na nich bufety i bary w namiotach, z których jeden ozdabiała sceny z polowania na dziki, w drugim natomiast stały koktajlowe szklanki z owocowymi tropikalnymi napojami.

Pierwszy taniec należał do młodej pary. Czerwone pustynne słońce, które wdzierało się w rogi namiotu, rozświetlało ich szczęśliwe miny, gdy wypływali z cienia i pławili się w jego blasku. Goście wiwatowali na cześć ich miłości, klaskali. Rose Marie nigdy nie wyglądała równie pięknie, a Jimmy Santadio równie młodo.

Kiedy orkiestra przestała grać, Jimmy wyłowił z ponad dwustuosobowego tłumu Pippiego.

- Oto Pippi De Lena, który poprowadził pannę młodą do ołtarza w imieniu Rodziny Clericuzio. Jest moim najserdeczniejszym przyjacielem. Jego przyjaciele są moimi przyjaciółmi. Jego wrogowie są moimi wrogami - oznajmił wszem i wobec, a potem uniósł szklanke i wykrzyknął: - Wypijmy za jego zdrowie! Niech zatańczy z panną młodą.

W tańcu Rose Marie szepnęła mu do ucha:

- Pogodzisz nasze Rodziny, prawda, Pippi?

- Ma się rozumieć - przyrzekł i okręcił ją dookoła.

Pippi robił furorę na tym weselu, takiego biesiadnika nie było jak świat światem. Tańczył bez przerwy i robił to zgrabniej niż niejeden młodzieniec. Tańczył z Jimmym, z jego braćmi, Fonsą, Italem, Benedictem, Ginem i Louisem. Tańczył z dziećmi i z matronami. Wirował z dyrygentem orkiestry, śpiewał z zespołem krzykliwe piosenki w sycylijskim dialekcie. Jadł i pił, bryzgając na smoking sosem pomidorowym, sokami owocowymi i winem. Turlał kule z takim rozmachem, że boisko do bocce na godzinę stało się centrum wesela.

Po meczu Jimmy Santadio odciągnął go na bok.

- Liczę, że pogodzisz nasze Rodziny. Jak Clericuziowie i Santadiowie się zjednoczą, cały świat będzie nasz. Twój i mój - zakończył z czarującym uśmiechem.

- Jasne, stary - odparł Pippi, starając się, żeby jego odpowiedź zabrzmiała jak najszczerzej. Równocześnie pomyślał: Ciekawe, czy Jim jest taki uczciwy, na jakiego wygląda. Musi przecież wiedzieć, że Silvia zamordował ktoś z jego Rodziny.

Jimmy czytał w jego myślach.

- Przysięgam ci, Pippi, że nie miałem z tym nic wspólnego. - Wziął go za rękę. - Nie zabiliśmy Silvia. Wierz mi. Przysięgam na głowę mego ojca.

- Wierzę ci - odparł Pippi i ścisnął mu rękę. Ogarnęły go wątpliwości, ale co tam. Na wątpliwości było już za późno.

Czerwone pustynne słońce chyliło się ku zachodowi. Zapalono lampy i zapowiedziano kolację. Wszyscy bracia Jimmy'ego, Fonsa, Italo, Gino, Benedict i Louis, wzniesli toast za młodą parę. Za ich szczęście w małżeństwie, za Jimmy'ego, za Pippiego De Lena, ich nowego wspaniałego przyjaciela.

Stary don Santadio nie wstał jednak z łóżka, ale przesłał nowożeńcom życzenia, w których nie omieszkał pochwalić się, że podarował synowi samolot. Wzniesiono okrzyki na cześć don Santadia, a panna młoda ukroiła okazały kawałek weselnego tortu i zaniósła go do

sypialni teścia. Ponieważ spał, oddała talerzyk pielęgniarce.

Koło północy przyjęcie dobiegło końca. Jimmy i Rose Marie udali się do swej sypialni, tłumacząc się, że o świcie wyjeżdżają w podróż poślubną do Europy i muszą trochę odpocząć. Słyszając to, goście zaczęli gwizdać i robić wulgarnie przytyki. Wszyscy byli w doskonałych humorach.

Kawalkada samochodów gości opuściła posiadłość i ruszyła pędem przez pustynię. Pracownicy firmy organizującej przyjęcia zabrali się do zbierania sprzętów. Zapakowali na ciężarówki namioty, podesty, stoły i krzesła, przeprowadzili pospiesznie inspekcję, czy czegoś nie zapomnieli. W końcu dali spokój, zostawiając dokończenie sprzątanina na następnym dniu.

Na życzenie Pippiego po odjeździe gości zaplanowano prywatne spotkanie z pięcioma braćmi Santadio w celu wymiany prezentów dla uczczenia nawiązania przyjaznych stosunków między Rodzinami.

O północy zebrali się w ogromnej jadalni. Pippi przyniósł walizkę pełną zegarków firmy Rolex (prawdziwych, nie podróbek). A także duże japońskie kimono z ręcznie malowanymi scenami erotycznymi.

- Hej, zanieśmy je Jimmy'emu! - wykrzyknął Fonsa.

- Za późno - odparł wesoło Italo. - Jimmy i Rose Marie zaczynają właśnie trzecią rundę.

Wybuchnęli śmiechem.

Na zewnątrz pustynny księżyc oblewał dom i murawę zimnym światłem. Na tle białej księżycowej poświaty rysowały się czerwone kręgi rzucane przez chińskie lampiony.

Do bramy posiadłości podjechała z łoskotem ciężarówka opatrzona z boku złotym napisem PRZYJĘCIA I BANKIETY.

Kiedy podszedł do niej strażnik, kierowca poinformował go, że przyjechał po zostawiony przez pomyłkę generator.

- O tej porze? - zdziwił się strażnik.

W tej samej chwili z ciężarówki wyskoczył pomocnik kierowcy i ruszył w kierunku drugiego strażnika. Obaj strażnicy, przejeżdżeni i przepici po weselu, mieli zwolnioną reakcję.

Dwie rzeczy zdarzyły się równocześnie: kierowca sięgnął między nogi, skąd wyciągnął pistolet z tłumikiem i strzelił trzy razy w twarz pierwszego strażnika. Pomocnik kierowcy założył nelsona drugiemu strażnikowi i za pomocą dużego ostrego noża jednym zgrabnym ruchem podciął mu gardło.

Kiedy martwi strażnicy leżeli już na ziemi, rozległo się ciche mruczenie silnika i z tyłu

ciężarówce opuściła się metalowa platforma, z której zeskoczyło dwudziestu żołnierzy Clericuziów. Ubrani na czarno, z pończochami na twarzach, uzbrojeni w pistolety z tłumikami rozbiegli się po całej posiadłości. Jedna ekipa zajęła się przecinaniem kabli telefonicznych, inna przystąpiła do pilnowania posiadłości. Grupa dziesięciu zamaskowanych mężczyzn z Giorgiem, Petim i Vincentem wdarła się do jadalni.

Na ich widok Pippi odskoczył od braci Santadio, którzy właśnie wznosili toast na jego cześć. Nie padło ani jedno słowo. Napastnicy otworzyli ogień i grad pocisków rozerwał na strzępy pięciu braci Santadio. Potem zamaskowany Petie w geście miłosierdzia wpakował każdemu z nich z bliskiej odległości kulę w podbródek. Podłoga połyskiwała od szkła ze zbitych kieliszków.

Giorgio wręczył Pippiemu maskę, czarne spodnie i sweter. Pippi prędko się przebrał, a świąteczne ubranie wrzucił do torby trzymanej usłużnie przez jednego z zamaskowanych mężczyzn.

Pippi, wciąż nieuzbrojony, dał znak i poprowadził Giorgia, Petiego i Vincenta długim korytarzem do sypialni don Santadia. Pchnął drzwi, które otworzyły się na oścież.

Don Santadio jadł właśnie ze smakiem tort. Na widok czterech przybyszów, przeżegnał się znakiem krzyża i zakrył twarz poduszką. Talerzyk spadł z trzaskiem na podłogę.

Petie ze zwinnością kota skoczył w kąt pokoju, gdzie siedziała pogrążona w lekturze pielęgniarzka, zakneblował ją, a następnie przywiązał nylonowym sznurem do krzesła.

Do łóżka podszedł Giorgio. Wyciągnął spokojnie rękę i ściągnął poduszkę z głowy don Santadia. Po krótkiej chwili wahania oddał dwa strzały, pierwszy w oko, drugi w podbródek. Ten drugi strzał poderwał do góry okrągłą łysą głowę.

Teraz przegrupowali się. Vincent wziął od Pippiego długi srebrzysty sznur, wręczając mu w zamian pistolet.

Poszli za Pippim korytarzem, a potem schodami na drugie piętro, gdzie w końcu korytarza znajdowała się sypialnia nowożeńców. Stały pod nią kosze z kwiatami i owocami.

Pippi przekręcił gałkę, ale drzwi okazały się zamknięte. Zdjął rękawiczkę i wyciągnął wytrych, za którego pomocą raz dwa sforsował zamek. Pchnął drzwi.

Na łóżku leżeli rozciągnięci Rose Marie i Jimmy. Właśnie skończyli się kochać i leżeli bez sił. Przezroczyisty neglig Rose Marie był zadarty powyżej pasa, ramiączka zsunięte z ramion, piersi na wierzchu. Prawą dłoń trzymała na głowie Jimmy'ego, lewą na jego brzuchu. Jimmy, zupełnie nagi, na widok przybyszów zerwał się na równe nogi i zasłonił prześcieradłem, które pospiesznie ściągnął z łóżka. Zrozumiał wszystko.

- Nie tutaj, wyjdźmy na zewnątrz - powiedział i ruszył ku drzwiom.

Rose Marie w pierwszej chwili nie wiedziała, o co chodzi. Chwyciła Jimmy'ego za rękę, ale on ją odepchnął. Otoczony trzema zamaskowanymi mężczyznami przekroczył próg. Rose Marie powiedziała:

- Nie rób tego, Pippi. - Tamci odwrócili się w jej kierunku i wtedy domyśliła się, kim są. - Giorgio, Petie, Vincent, nie róbcie tego. Nie róbcie.

Dla Pippiego była to najtrudniejsza chwila. Jeśli Rose Marie wygada, Clericuziowie będą skończeni. Należało ją zabić. Don nie dał mu szczegółowych instrukcji w tej materii. Pippi nie wiedział, jak don zniósłby śmierć własnej córki? I czy jej bracia by go usłuchali? Swoją drogą, skąd wiedziała, że to oni? Pippi podjął decyzję. Zamknawszy za sobą drzwi, poszedł za Jimmym i braćmi Rose Marie.

Co do Jimmy'ego instrukcje były jasne: zadusić. Był to niewątpliwie akt łaski. Zabić go tak, aby nie zmasakrować ciała. Bliscy będą go oplakiwać. Taka była tradycja, że wykonując wyrok śmierci na kimś kochanym, starano się zrobić to czysto, bez rozlewu jego krwi.

Ale Jimmy Santadio puścił nagle prześcieradło i rzucił się na Pippiego. Zanim wykręcili mu z Giorgiem ręce, Jimmy zdążył zerwać Pippiemu kominiarkę z twarzy. Vincent rzucił się na podłogę i przytrzymał go za nogi. Kiedy Pippi zarzucił mu pętlę na szyję i przyginał go do podłogi, z krzywego, smutnego uśmiechu Jimmy'ego wyczytał wiarę, że Los lub jakiś tajemniczy Bóg go pomści.

Pippi zaciągnął pętlę, Petie mu pomógł. Wszyscy osunęli się na podłogę w korytarzu, gdzie białe prześcieradło niczym całun przykryło ciało Jimmy'ego Santadia. Za drzwiami, w sypialni nowożeńców rozległ się wrzask Rose Marie...

Don skończył opowiadanie. Zapalił kolejne cygaro i upił wina.

- Całą strategię opracował Pippi - rzekł Giorgio. - Nie ponieśliśmy żadnych strat, natomiast Rodzina Santadio została starta w proch. Genialne.

- Doskonałe posunięcie - dorzucił Vincent. - Od tego czasu nikt nam nie bruździł.

Don Clericuzio westchnął.

- Decyzja była moja i była zła. Ale czy mogłem przewidzieć, że Rose Marie zwariuje? Znajdowaliśmy się w trudnej sytuacji, a ten ślub wydawał się najlepszą okazją, żeby zadać rozstrzygający cios. Musisz pamiętać, że w tym czasie nie miałem jeszcze nawet sześćdziesięciu lat. Wierzyłem w swą siłę i mądrość. Spodziewałem się, że dla mojej córki będzie to tragedia, z drugiej strony jednak wiedziałem, że wdowy rzadko rozpaczają do końca życia. A poza tym oni zabili Silvia. Córka nie córka, nie mogłem im tego darować. Nauczyło

mnie to jednego: z głupimi nie dojdzie się do porozumienia. Powinienem był zetrzeć ich w proch na samym początku. Jeszcze zanim doszło do tego romansu. Ocaliłbym syna i córkę...

Tak więc Dante jest synem Jimmy'ego Santadia. Jako niemowlęta leżeliście w jednym wózku pierwszego lata w tym domu. Przez te wszystkie lata starałem się wynagrodzić Dantemu brak ojca. Robiłem wszystko, żeby Rose Marie zapomniała o przeszłości. Dante został wychowany jako Clericuzio i wraz z mymi synami będzie moim spadkobiercą.

Cross usiłował zrozumieć, co się wokół niego działo. Trząśł się ze wstrętu do Clericuziów i do ich świata. Pippi odegrał rolę szatana, doprowadzając do zguby Santadiów. I ten człowiek był jego ojcem? Nic dziwnego, że Rose Marie zwariowała. Życie ze świadomością, że jej mąż został zgładzony przez jej ojca i braci? I że zdradziła ją własna rodzina? Teraz, kiedy wina Dantego została stwierdzona, Crossowi zrobiło się go żal. A potem pomyślał o donie. Na pewno nie uwierzył w historię z napadem ulicznym. Czemu więc przyjął ją za dobrą monetę, on, człowiek, który nie wierzył w nieszczęśliwe zbiegi okoliczności. Jak to rozumieć?

Giorgia Cross nigdy nie potrafił rozszyfrować. Czy wierzył, że Pippiego zabił ćpun? Bo Vincent i Petie chyba wierzyli. Teraz Cross już rozumiał, dlaczego Pippiego łączyły z donem i jego synami specjalne więzy. Wspólnie zabili Santadiów. Pippi darował życie Rose Marie.

- Rose Marie nigdy nie wygadała? - spytał Cross.

- Nie - odparł don. - Zachowała się nawet lepiej, zwariowała - rzekł z nutką dumy w głosie. - Wysłałem ją na Sycylię i sprowadziłem z powrotem tuż przed rozwiązaniem. Chciałem, żeby Dante urodził się na ziemi amerykańskiej. Myślałem, kto wie, może pewnego dnia zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych. Wiązałem z tym chłopcem wielkie nadzieje, ale mieszanka krwi Clericuziów i Santadiów okazała się zbyt wybuchowa.

I wiesz, co ci powiem? - ciągnął don. - Uważam, że twój ojciec Pippi popełnił błąd. Nie powinien był darować życia Rose Marie, choć za to właśnie go kochałem. - Westchnął, popił wina. Patrząc Crossowi w oczy powiedział z naciskiem: - Miej się na baczności. Świat jest, jaki jest. I to samo nas dotyczy.

W drodze powrotnej do Vegas Cross łamał sobie głowę, czemu don Clericuzio w końcu zdecydował się opowiedzieć mu o wojnie z Santadiami. Żeby nie poszedł do Rose Marie i nie wysłuchał innej wersji? A może w ten sposób go ostrzegął, żeby nie mścił swego ojca, bo za jego śmierć odpowiedzialny jest Dante? Don był wielką tajemnicą. Ale jednego Cross był pewien. Jeśli Dante zabił Pippiego, to teraz zabije jego. I don Clericuzio musiał zdawać sobie z tego sprawę.

Rozdział dziewiętnasty

Dante Clericuzio znał tę historię. Matka opowiadała mu ją szeptem, odkąd skończył dwa lata - przy każdym napadzie złego humoru, ilekroć nachodził ją smutek z powodu utraty męża, brata, ilekroć ogarniał ją strach przed Pippim i pozostałymi braćmi.

Podczas pierwszego ataku furii winą za śmierć męża obarczyła don Clericuzia. Don odparł, że nigdy nie wydał takiego rozkazu i zaprzeczył, jakoby jej bracia i Pippi wymordowali Santadiów w ich własnym domu. Kiedy napadła na niego drugi raz, zamknął ją na miesiąc w szpitalu psychiatrycznym. Potem wrzeszczała, złościła się, ale z oskarżeniami skończyła.

Dante słuchał uważnie, co mu szeptała. Jako dziecko kochał dziadka i wierzył w jego niewinność. Nie darzył natomiast sympatią wujów, mimo że oni traktowali go serdecznie. Najbardziej jednak nie znosił Pippiego i chociaż wiedział, że to marzenie świętej głowy, przemyślał o zemście. Ze względu na matkę.

Kiedy Rose Marie była normalna, troskliwie opiekowała się ojcem, braciom zaś okazywała siostrzane zainteresowanie. Jedynie do Pippiego odnosiła się z rezerwą. A ponieważ w tych czasach miała słodką twarz, nikt się nie zastanawiał, co jej chodzi po głowie. Rysy twarzy, uśmiechnięte wargi, łagodne brązowe oczy - wszystko to razem zadawało kłam jej złośliwości. Wobec braku mężczyzny w swym życiu całą miłość przelewała na Dantego. Zasypywała go prezentami, podobnie zresztą jak jego dziadek i wujowie, z tą różnicą, że nimi kierowało poczucie winy, ich miłość podsycali wyrzuty sumienia. Kiedy Rose Marie była normalna, nie opowiadała Dantemu o swoim weselu.

Podczas napadów wykrzykiwała plugawe słowa, miotała przekleństwa, a jej słodka twarz nabierała karykaturalnych rysów. Dante nie mógł uwierzyć, że to jego rodzona matka. Kiedy miał siedem lat, do jego duszy zakradło się zwątpienie. „Właściwie skąd wiesz, że to był Pippi i wujowie?”

Rose Marie zachichotała skrzekliwie jak baba-jaga. „Im się wydaje, że są tacy sprytni, że dobrze wszystko wymyślili, maski, czarne ubrania, kominiarki. A wiesz, o czym zapomnieli? O butach, Pippi nie zmienił butów. Był w lakierkach z czarnymi sznurowadłami, tych samych, w których tańczył. A twoi wujowie zawsze chodzili w określonym porządku. Giorgio na początku, Vincent nieco za nim, a po prawej stronie Petie. Żebyś widział, jak czekali, czy Pippi każe mnie zabić. Ponieważ ich rozpoznałam. Drżeli, wtulili głowy w ramiona. Ale gdyby im kazał, toby mnie zabili. Moi bracia” - zakończyła i się rozszlochała. Dante bał się, że nie zdoła jej uspokoić.

Jako siedmioletni chłopiec próbował ją pocieszać. „Wuj Petie na pewno by cię nie

skrzywdził - mówił. - Zresztą gdyby cię tylko tknęli, dziadek by ich pozabijał”. Co do wuja Giorgia i wuja Vinniego nie był przekonany. Jednak w swym dziecięcym sercu największą nienawiść czuł do Pippiego.

Kiedy miał dziesięć lat, nauczył się zapobiegać jej napadom. Słyszając, że woła go i obiecuje, że opowie mu o Santadiach, odprowadzał ją czym prędzej do sypialni, żeby dziadek nic nie usłyszał.

Osiągnąwszy wiek męski, Dante przestał udawać, że nabiera się na niewinne miny Rodziny Clericuzio. Z natury złośliwy dał do zrozumienia dziadkowi i wujom, że zna całą prawdę. Wtedy okazało się, że wujowie nie przepadają za nim. Dziadek przeznaczył go do życia w praworządnym świecie, chciał, żeby Dante nauczył się operacji giełdowych i przejął pałeczkę od Giorgia, ale chłopak nie wykazywał w tym kierunku najmniejszego zainteresowania. Oświadczył Giorgiowi, że to dobre dla mięczaków. Giorgio wysłuchał tego z miną, której szesnastoletni Dante nawet się trochę przestraszył.

- Nie, to nie - powiedział tonem, w którym smutek się mieszał z gniewem.

Kiedy Dante w maturalnej klasie rzucił szkołę, posłano go do pracy w firmie budowlanej Petiego. Dante się nie oszczędzał i wkrótce dorobił się niezłych muskułów. Petie włączył go do brygady złożonej z samych żołnierzy Enklawy Bronxu. Don uznał, że Dante dorósł i mianował go podkomendnym Petiego.

Podjął tę decyzję, wysłuchawszy najpierw opinii Giorgia na temat charakteru Dantego i pewnych czynów, których się dopuścił. Dante bowiem został oskarżony przez śliczną koleżankę szkolną o gwałt, a przez kolegę, rówieśnika, o napad z nożem w rękę. Dante błagał wujów, żeby nie mówili o tym dziadkowi, ale ci, oczywiście, natychmiast na niego naskarżyli. Do rozprawy nie doszło, sytuację załagodzano za pomocą dużych sum pieniędzy.

W tych mniej więcej czasach Dante zrobił się strasznie zazdrosny o Crossa De Lena. Cross wyrósł na wyjątkowo przystojnego młodzieńca, w dodatku bardzo dobrze ułożonego. Wszystkie kobiety z klanu Clericuzio wprost oszalały na jego punkcie. Kuzynki, jedna przez drugą, zabiegały o jego względy, podczas gdy wnuka dona omijały szerokim łukiem. Dante w tych swoich renesansowych nakryciach głowy, złośliwy, niski, umięśniony jak kulturysta budził w nich odrazę. Dante był za inteligentny, żeby się tego nie domyślić.

Chętnie jeździł do domku myśliwskiego w Sierra Nevada, ale zamiast polować, wolał zakładać wnyki. Raz zakochał się w jednej kuzynce, co było naturalne w tak zżytych klanie, niestety, czynił jej awanse w sposób zbyt natarczywy. Uganiał się jak szalony za córkami żołnierzy Clericuziów, zamieszkałymi w Enklawie Bronxu. W końcu Giorgio, któremu przypadła rola surowego opiekuna, przedstawił go dla świętego spokoju właścicielowi

pierwszorzędnego burdelu w Nowym Jorku.

Ale dzięki swej nieokielzanej ciekawości i sprytowi Dante jako jedyny z tego pokolenia odkrył, czym Rodzina Clericuzio się naprawdę zajmuje. Wkrótce zażądał, by go włączono do tej działalności.

W miarę upływu czasu Dante czuł się coraz bardziej obco w Rodzinie. Wprawdzie don nadal go bardzo lubił i dawał wszystkim do zrozumienia, że wnuk zostanie jego spadkobiercą, ale przestał dzielić się z nim myślami, spostrzeżeniami, perełkami mądrości. I nigdy nie popierał jego propozycji ani pomysłów strategicznych.

Wujowie nie byli już dla niego tacy serdeczni, jak kiedyś. No, może z wyjątkiem Petiego, który traktował go życzliwie, ale Petie był jego instruktorem.

Dante nie był głupi. Wiedział, że sam jest sobie winny, bo niepotrzebnie zdradził się przed nimi, że wie o bestialskim zamordowaniu don Santadia i jego synów. Kiedy poprosił Petiego, żeby mu opowiedział o jego ojcu, usłyszał tylko, że bardzo go szanowali i było im przykro z powodu jego śmierci. Nikt nigdy nie powiedział tego wprost, ale było sprawą oczywistą, że Rose Marie wtajemniczyła go w sekret rodzinny. Pragnąc, żeby mu na niczym nie zbywał, traktowali go jak małego księcia.

Najsilniejszy wpływ na charakter Dantego miała jednak jego matka. I jej żal do świata. W szalonym widzie podsycala w nim nienawiść do Pippiego De Lena, a swego ojca i braci z czasem przestała winić.

Wszystko to razem pomogło donowi podjąć ostateczną decyzję, don bowiem potrafił czytać w myślach wnuka jak w książeczce do nabożeństwa. Don zrozumiał, że Dante nie zechce stopić się z praworządnym społeczeństwem. Krew Santadiów i Clericuziów (przyznawał don sprawiedliwie) stanowiła wybuchową mieszaninę. Wobec tego włączył Dantego do grupy, którą tworzyli Vincent, Petie, Giorgio i Pippi De Lena. Razem stoczą ostateczną walkę.

Dante okazał się dobrym żołnierzem, choć nader niesubordynowanym. Jako osoba o silnym poczuciu niezależności gwizdał na zasady Rodziny i odmawiał wykonania pewnych rozkazów. Wykorzystywali jego zamięrowanie do okrucieństwa, kiedy jakiś zdeorientowany bruglione lub niezdiscyplinowany żołnierz wymagał wysłania do mniej skomplikowanego świata. Dante nie liczył się z nikim poza donem, a don z jakichś niezrozumiałych przyczyn nie chciał interweniować.

Dante martwił się o matkę. Jej przyszłość zależała od dona, tymczasem napady furii się nasilały i don miał jej coraz bardziej dość. Szczególnie kiedy rysowała piętą koło, potem pluła w środek i wrzeszczała, że już nigdy nie przekroczy progu tego domu. W takich

przypadkach don odsyłał ją do szpitala.

Dante potrafił matkę uspokoić, obudzić na powrót jej naturalną słodycz i miłość. Obawiał się jednak, że w przyszłości nie będzie w stanie się nią zaopiekować. Chyba że zajmie miejsce dona.

Dante liczył się tylko z jedną osobą na świecie - z donem. Nauczył się go bać jeszcze w dzieciństwie. Wtedy bowiem dostrzegł, że wujowie kochają go, a równocześnie trzęsą przed nim portkami. To go zdumiało. Teraz don miał już ponad osiemdziesiąt lat, był słaby, prawie nie wychodził z domu, zmalał. Kto by się go jeszcze bał?

Owszem, apetyt mu dopisywał, prezentował się imponująco, tyle że stracił zęby i dlatego był skazany na jedzenie makaronów, tartego sera, warzyw gotowanych na parze i zup. Mięsa pokrojonego na kawałki i godzinami duszonego w sosie pomidorowym.

Tak czy owak, stary don niebawem umrze, a wówczas nastąpi zmiana władzy. Co będzie, jeśli Pippi zostanie prawą ręką Giorgia? Jeśli Pippi siłą przejmie władzę? Cross awansuje, zwłaszcza że posiada połowę „Xanadu”.

Istnieją konkretne powody do obaw, mówił sobie Dante, nie kieruje mną nienawiść do Pippiego za to, że miał czelność krytykować mnie przed moją własną Rodziną.

Dante nawiązał kontakt z Jimem Loseyem, kiedy Giorgio przyznał mu punkty i wyznaczył rolę łącznika z detektywem.

Podjęto oczywiście wszelkie środki mające na celu zabezpieczenie Dantego przed zdradą Loseya. Podpisano umowę, w myśl której Losey pracował jako doradca firmy ubezpieczeniowej będącej w gestii Rodziny. W kontrakcie zastrzeżono tajność jego nazwiska i wypłacanie wynagrodzenia w gotówce. W zeznaniach podatkowych firmy ubezpieczeniowej pieniądze te zaliczano do opłat przekazywanych na konto nieistniejącej firmy.

Dante przekazywał Loseyowi pieniądze przez wiele lat, zanim nawiązał z nim bliższą znajomość. Nie onieśmiałła go reputacja detektywa, uważał go za człowieka, który znalazł się na rozdrożu i myśli o zabezpieczeniu się na stare lata. Losey trzymał rękę na wszystkim. Brał łapówki od handlarzy narkotyków, brał pensję od Clericuziów, brał haracz od pewnych bogatych właścicieli sklepów.

Dante wychodził ze skóry, żeby zrobić na nim wrażenie. Loseyowi podobało się jego złośliwe poczucie humoru oraz lekceważenie powszechnie przyjętych norm moralnych. Dante z kolei lubił słuchać jego opowieści o tym, jak rozprawiał się z Murzynami, którzy niszczyli zachodnią cywilizację. Sam Dante nie żywił rasowych uprzedzeń. Murzyni, na swoje szczęście, nie wchodzili mu w drogę.

Dante i Losey mieli wspólną słabość. Obaj byli dandysami, mającymi bzika na

punkcie swego wyglądu, obaj też lubili górować erotycznie nad kobietami. Nie tyle erotycznie, co wręcz fizycznie. Za każdym razem gdy Dante przyjeżdżał na Zachód, spotykali się, szli razem do restauracji, do nocnego klubu. Dante nie miał odwagi zabrać go z sobą do Vegas, zresztą nie chciał.

Dante lubił opowiadać Loseyowi o tym, jak najpierw nikiemnie schlebiał kobietom i jak kobiety wierzą w swą władzę nad mężczyznami. I o tym, jak bawił się tą ich wiarą, wmanewrowując je w sytuację, w której chcąc nie chcąc muszą mu się oddać. Losey krzywił się na podchody Dantego i mówił, że on łamie kobiety od razu na początku swą męską prezencją, a potem je upokarza.

Zgodzili się, że w życiu nie zmusiliby do stosunku kobiety, która na nich nie leciała. Obaj przyznali, że podoba im się Athena Aquitane. Objeżdżali razem nocne kluby w Los Angeles i podrywali, a potem porównywali wrażenia i śmiali się z próżności kobiet, które myślały, że mogą się bawić z nimi w kotka i myszkę. Czasem, gdy za ostro się stawiały, Losey pokazywał im blachę i groził aresztowaniem za uprawianie nierządu. Działo, gdyż większość z nich była kurewkami tylko z przypadku.

Niekiedy spędzali wieczory na rozmowach. Losey, jeśli nie opowiadał swych ulubionych „murzyńskich” historyjek, szufladkował dziwki.

Były więc prostytutki „rączki”, które jedną rękę wyciągały po forszę, drugą łapały cię za kutasa, i „kurewki z przypadku”, które dawały facetowi dupy po przyjacielsku, a rano, zanim wyszedł, przypominały sobie, że okropnie zalegają z czynszem.

Potem szły kurewki, które zakochiwały się we wszystkich facetach po kolei i lubiły długie romanse urozmaicane prezentami w postaci biżuterii na wszystkie okazje, nie wyłączając Świąta Pracy. Dalej szły biurwy puszczone się od dziewiątej rano do piątej po południu, stewardesy, ekspedientki ze szpanerskich butików, które po kolacji w drogiej restauracji zapraszały cię do mieszkania na kawę, a potem - nawet bez wytrzeźpania ci konia - wywalały na ulicę, żebyś zamarzł. Te lubił najbardziej. Uprawianie z nimi seksu było szalenie ekscytujące, miało w sobie coś z wielkiego dramatu - łyzy, zduszone błaganie o wyrozumiałość i cierpliwość owocowały seksem lepszym od każdej miłości.

Pewnego wieczora, po kolacji w „Le Chinois”, restauracji w kalifornijskiej Wenecji, Dante zaproponował spacer po deptaku. Usiedli na ławce i przyglądali się ludziom, pięknym dziewczynom na łyżworolkach, za którymi uganiał się wykrzykujący czułe słówka alfonsi wszelkiej maści, drobnym kurewkom sprzedającym koszulki bawełniane z niezrozumiałymi dla nich napisami. Harekrisznowcom potrząsającym żebraczymi miseczkami, brodatym bardom z gitarami, rodzinom wymachującym aparatami fotograficznymi. Paradowali na tle

czarnego Pacyfiku, na którego piaszczystych plażach kotłowały się pod kocami pary wierzące, że nikt się nie domyśla, co robią.

- Mógłbym każdego z nich zamknąć na dwadzieścia cztery godziny - oznajmił wesoło Losey. - Co za francowate zoo.

- Te ślicznotki na rolkach też? - spytał Dante.

- Oskarżyłbym je o posiadanie niebezpiecznej broni, jaką jest seksapil.

- Za to prawie nie ma tu bambusów - rzekł Dante.

Losey położył się na piasku.

- Może byłek trochi za ostry dla cornych bracisków - powiedział, naśladowując żargon z Południa. - Jak mówią liberałowie, czy oni są winni temu, że byli niewolnikami?

Dante czekał na puentę.

Losey splótł dłonie za głową i podciągnął kurtkę, odsłaniając na wszelki wypadek kaburę. Zupełnie niepotrzebnie, wystarczyło, że wszedł na deptak, a już wszyscy wiedzieli, że to gliniarz.

- Niewolnictwo - mówił Losey. - Niewolnictwo ich zdemoralizowało. Żyli sobie jak u Pana Boga za piecem i stali się kompletnie zależni. Wolność okazała się dla nich za trudna. Na plantacjach mieli opiekę, trzy posiłki dziennie, darmowe zakwaterowanie, ubierano ich, leczono, ponieważ stanowili cenną własność. Nie ponosili odpowiedzialności nawet za swe dzieci. Wyobrażasz sobie? Właściciele plantacji kopulowali z ich córkami, a dzieciom przez nie zrodzonym dawali dożywotnie zatrudnienie. Pewnie, że pracowali, ale równocześnie śpiewali, więc czy mogła to być ciężka praca? Założę się, że pięciu białych zrobiłoby tyle, co setka czarnuchów.

Dante zaniepokoił się. Czy Losey mówił to poważnie? Zresztą nieważne, wyrażał swój stosunek emocjonalny, nie racjonalny.

Dobrze się czuli w swoim towarzystwie, noc była balsamiczna, świat, który przesuwiał się przed ich oczyma, działał na nich kojąco. Ci ludzie im nie zagrażali.

- Mam dla ciebie pewną propozycję - oznajmił nagle Dante. - Chcesz najpierw usłyszeć o forsie czy o robocie?

- Wiadomo, że o forsie - odparł z uśmiechem Losey.

- Dwieście paczek gotówką zaliczki - powiedział Dante. - W rok później etat szefa ochrony w hotelu „Xanadu”. Z pensją pięciokrotnie wyższą od tego, co zarabiasz obecnie. Rozmaite dodatki. Duży wóz, służbowe mieszkanie, żarcie i tyle panienek, ile zdołasz przerobić. Będziesz sprawdzał referencje panienek zgłaszających się do pracy w kabarecie. Premie w wysokości tej co dotychczas. I nie będziesz musiał strzelać.

- Za piękne, żeby mogło być prawdziwe - odparł Losey. - Ale ktoś musi strzelić. Czy nie o tym mówimy?

- Biorę to na siebie - rzekł Dante. - Ja pociągnę za cyngiel.

- Dlaczego nie ja? - zdziwił się Losey. - Mam legitymację, zrobię to w ramach obowiązków zawodowych.

- Dlatego, że nie przeżyłbyś najbliższych sześciu miesięcy - wyjaśnił Dante.

- To co mam robić? - spytał Losey. - Łaskotać cię piórkiem po tyłku?

Dante przedstawił mu plan operacji. Losey zagwizdał z podziwu dla takiego odważnego pomysłu.

- Czemu Pippi De Lena?

- Bo chce zdradzić - stwierdził Dante.

Losey wahał się. Pierwszy raz w życiu miał wziąć udział w planowanym morderstwie. Dante postanowił dorzucić mu coś na zachętę.

- Pamiętasz samobójstwo niejakiego Boza Skanneta? - spytał. - To Cross go załatwił, nie osobiście, ale przy pomocy faceta o nazwisku Lia Vazzi.

- Jak wygląda ten Vazzi? - spytał Losey. Kiedy Dante opisał mu Lię, Losey uświadomił sobie, że widział go owego dnia, kiedy zatrzymał Skanneta w hallu hotelu. - Gdzie go mogę znaleźć?

Dante zawahał się. Oto miał złamać najświętsze prawo Rodziny. Z drugiej strony, Losey pomoże mu się pozbyć Crossa, a Crossa trzeba będzie się pozbyć, bo po śmierci Pippiego może im zagrozić.

- Nie powiem nikomu, od kogo to wiem - kusił go Losey.

Dante jeszcze przez chwilę się zastanawiał, a potem powiedział:

- Vazzi mieszka w naszym domku myśliwskim w Sierra Nevada. Ale nie rób niczego, dopóki nie skończymy z Pippim, dobrze?

- Jak sobie życzysz - zapewnił go Losey, myśląc, że zrobi, co zechce. - Ale te dwieście paczek dostanę z góry, prawda?

- Prawda - rzekł Dante.

- Wchodzę w to - stwierdził Losey. - Jedno zastrzeżenie. Jeśli Clericuziowie mnie dorwą, pamiętaj, że cię wydam, nie zostawię na tobie suchej nitki.

- O to się nie martw - rzekł Dante słodko. - Wcześniej cię zabiję. Teraz musimy opracować szczegóły.

Cała akcja przebiegła tak, jak zaplanowali.

Kiedy Dante wpakował sześć kul w Pippiego De Lena i kiedy Pippi wyszeptał coś,

nazywając go „przeklętym Santadio”, Dante poczuł radość, jakiej jeszcze nigdy nie zaznał.

Rozdział dwudziesty

Lia Vazzi pierwszy raz w życiu rozmyślnie zlekceważył decyzję swego szefa, Crossa De Lena.

Nie dało się tego uniknąć. Detektyw Jim Losey ponownie złożył mu wizytę w domku myśliwskim i wypytywał o Skanneta. Lia wyparł się znajomości ze Skannetem, a to, że detektyw widział go w hallu hotelu tamtego dnia, zaliczył do czystych przypadków. Losey poklepał go po ramieniu, a potem wymierzył mu - tak od niechcienia - policzek.

- Niech ci będzie, panie Kutasiński - powiedział. - Jeszcze się do ciebie dobiore.

Wtedy Lia Vazzi wydał wyrok śmierci na detektywa Loseya. Bez względu na to, co się dalej z nim stanie (a Lia wiedział, że jego przyszłość stoi pod wielkim znakiem zapytania), przypilnuje, żeby Loseya spotkała zasłużona kara. Musiał to jednak zrobić bardzo ostrożnie. W Rodzinie Clericuzio obowiązywała surowa zasada: pod żadnym pozorem nie wolno zabić policjanta.

Lia przypomniał sobie, że niedawno wioził Crossa na rozmowę z niejakim Philem Sharkeyem, partnerem Loseya, obecnie na emeryturze. Od początku trudno mu było uwierzyć, że ten Sharkey będzie trzymał język za zębami skuszony premią w wysokości pięćdziesięciu paczek. Teraz głowę by dał, że Sharkey poinformował Loseya o wizycie Crossa, a także o tym, że Vazzi czekał w samochodzie. A jeśli tak, to obaj z Crossem znajdowali się w wielkim niebezpieczeństwie. Krótko mówiąc, Lia uważał, że Cross popełnił błąd w ocenie sytuacji; policjanci, podobnie jak mafiosi, trzymają sztamę. To ich odpowiednik omerta.

Lia wezwał dwóch swoich ludzi i polecił im się zawieźć do domu Phila Sharkeya w Santa Monica. Liczył, że z rozmowy z Sharkeyem zorientuje się, czy ten doniósł Loseyowi o wizycie Crossa.

Przed domem Sharkeya nie było żywej duszy, na murawie stała zapomniana kosiarka. W garażu, którego drzwi były otwarte, stał samochód. Lia podszedł wybetonowaną ścieżką do drzwi i nacisnął dzwonek. Cisza. Zadzwoił jeszcze raz, a potem poruszył gałką. Dała się przekręcić, czyli że nie były zamknięte na klucz. Miał do wyboru - wejść lub wynieść się jak najszybciej? Końcem krawata starł odciski swych palców z gałki i dzwonka. Znalazłszy się w przedpokoju wykrzyknął nazwisko Sharkeya. Żadnej odpowiedzi.

Obszedł dom; zajrzał do szaf i pod łóżka w sypialniach. Pusto. Przechodząc przez bawialnię, zajrzał pod kanapę, między poduchy. W końcu trafił do kuchni, a z niej wyszedł na patio, gdzie na stoliku stał karton z mlekiem i papierowy talerz z nie dojedzoną kanapką -

biały chleb z żółtym serem i zaschniętym majonezem na brzegach.

Wrócił do kuchni. Za brudnymi brązowymi drzwiami odkrył dwa drewniane schodki prowadzące do płytkiej piwnicy, a właściwie do pomieszczenia bez okien na trochę niższym poziomie.

Zszedł. Za stertą starych rowerów zobaczył drzwi do schowka. Gdy je otworzył, jego oczom ukazał się mundur policyjny wiszący smętnie na wieszaku, para czarnych butów na podłodze, a na butach czapka stójkowego. I to już wszystko.

Podszedł do stojącego na podłodze kufra i uniósł jego wieko. Zaskoczyła go jasność, jaka stamtąd biła - kufer do samej góry wypełniony był starannie złożonymi szarymi pledami.

Lia wrócił do kuchni i na patio, skąd rozciągał się widok na ocean. Tylko głupiec zakopałby ciało na plaży, nie, to nie wchodziło w grę. Może ktoś przyjechał i zabrał Sharkeya? Zabójca raczej wolałby nie ryzykować, że ktoś go zobaczy. Poza tym Sharkey nie dałby się tak łatwo zabić. A skoro tak, rozumował Lia, to Sharkey musi być w tym domu. Wrócił pędem do piwnicy i zaczął wyrzucać z kufra wełniane pledy. Jego oczom najpierw ukazała się wielka głowa, a następnie szczupłe ciało. Sharkey miał przestrzelone prawe oko; zaschnięta na nim krew tworzyła coś w rodzaju czerwonej monety. Skóra, która zdążyła już przybrać woskowy kolor, była popstrzona czarnymi kropkami. Lia, fachowiec, bez trudu odtworzył przebieg wypadków. Ktoś, kogo Sharkey dobrze znał, podszedł i wycelował mu pistolet w samą źrenicę. Te kropki to proch.

Lia starannie złożył pledy, nakrył zwłoki, po czym opuścił dom Sharkeya. Odcisków palców nie zostawił, ale istniało duże prawdopodobieństwo, że włoski z pledów przyczepiły mu się do ubrania. Będzie musiał się go pozbyć. Butów też. Polecił swym ludziom, by zawieźli go na lotnisko. Czekając na samolot do Vegas, w sklepie na lotnisku kupił nowe ubranie i buty. A także niewielką torbę podróżną na stare ubranie.

W Vegas zameldował się w „Xanadu” i poprosił o przekazanie Crossowi, że przyjechał. Wziął prysznic i znowu włożył swe nowe ubranie. Teraz czekał na telefon od Crossa.

Kiedy Cross zadzwonił, powiedział mu, że za chwilę u niego będzie. Wychodząc z pokoju zabrał torbę ze starym ubraniem, a pierwsze słowa, jakie wypowiedział, brzmiały: „Zaoszczędziłeś pięćdziesiąt paczek”.

Cross spojrział na niego rozbawiony. Lia, który zwykle nosił się bardzo elegancko, miał na sobie koszulę w duże kwiaty, niebieskie płócienne spodnie i jasnoniebieską marynarkę. Wyglądał jak bywalec kasyn dla ludzi z gminu.

Lia powiedział mu o Sharkeyu. Gdy zaczął go przeproszać za samowolę, Cross

machnął ręką, żeby dał spokój.

- Sam cię wpakowałem w tę kabałę. Ale jak rozumieć śmierć Sharkeya?

- Myślę, że to proste - odparł Lia. - Sharkey wiedział o powiązaniach Loseya z Dantem. Bez jego świadectwa były one tylko twoim domysłem. To Dante zmusił Loseya, żeby go zabił.

- Dlaczego dał mu się podejść?

Lia wzruszył ramionami.

- Wykombinował sobie, że weźmie forszę od Loseya, a ty i tak mu zapłacisz pięćdziesiąt kawałków. Domyślił się, że Losey wplątał się w coś poważnego, bo inaczej byś mu tyle nie zapłacił. Nie zapominaj, że przez dwadzieścia lat pracował w policji, więc znał się na rzeczy. Nie przewidział tylko, że Losey zabije swego starego partnera. Nie wziął pod uwagę Dantego.

- Przesolili - rzekł Cross.

- W takiej grze dla trzech nie ma miejsca - odparł Lia. - Muszę przyznać, że Dante mi zaimponował, dostrzegając to szczególne zagrożenie. Przekonał o nim Loseya, który na pewno nie miał ochoty zabić starego kumpla. Wszyscy jesteśmy trochę sentymentalni.

- Czyli, że to Dante rządzi Loseyem - podsumował Cross. - A myślałem, że ten Losey to twardziel.

- Mówimy o dwóch różnych gatunkach zwierząt - zauważył Lia. - Losey jest groźny, Dante szalony.

- Dante wie, że ja wiem.

- A to oznacza, że musimy działać szybko - przestrzegł Lia.

Cross pokiwał głową.

- W grę wchodzi tylko komunia. Oni muszą zniknąć bez śladu.

Lia roześmiał się.

- Don Clericuzia i tak nie nabierzesz.

- Jeśli wszystko dobrze przeprowadzimy, nikt nie będzie mógł nam nic zarzucić - rzekł Cross.

Przez kolejne trzy dni Cross i Lia opracowywali strategię. Lia własnoręcznie spalił stare ubranie w hotelowym piecu. Dla relaksu Cross rozgrywał samotnie osiemnaście dołków, a Lia towarzyszył mu, jeżdżąc autem do wożenia graczy. Lia nie potrafił zrozumieć, na czym to polega, że golf cieszy się taką popularnością u wszystkich Rodzin. Dla niego golf był osobliwym zboczeniem.

Wieczorem trzeciego dnia zasiedli na balkonie. Cross wystawił brandy i cygara

hawańskie. Przyglądali się przechodniom na głównej ulicy Vegas.

- Żeby nie wiem jak sprytnie to zrobili, to moja śmierć zaraz po śmierci Pippiego skompromitowałaby Dantego w oczach dona - stwierdził Cross. - Dlatego uważam, że możemy jeszcze poczekać.

Lia puścił dymek z cygara.

- Ale nie za długo. Wiedzą już, że rozmawiałeś z Sharkeyem.

- Musimy załatwić ich obu jednocześnie - rzekł Cross. - Pamiętaj, w grę wchodzi tylko komunia. Ich zwłoki muszą zniknąć.

- Zaczynasz od końca - zauważył Lia. - Najpierw musimy ich zabić.

Cross westchnął.

- To nie będzie łatwe. Losey jest niebezpieczny i ostrożny. Dante potrafi walczyć. Będziemy musieli ich rozdzielić. Gdzie ich zabijemy, w Los Angeles?

- Nie - odparł Lia. - To teren Loseya. Na swoim terenie może być zbyt niebezpieczny. Musimy to przeprowadzić w Vegas.

- Złamiemy zasady - skrzywił się Cross.

- Skoro ma to być komunia, to nikt się nie dowie, gdzie zostali zabici - zauważył Lia. - A zasady złamiemy już tylko dlatego, że zabijemy policjanta.

- Chyba wiem, jak zwabić ich do Vegas jednocześnie. - Cross zapoznał Lię ze swoim planem.

- Trzeba wymyślić jakąś lepszą przynętę - stwierdził Lia. - Musimy mieć absolutną pewność, że przyjadą.

Cross popił brandy.

- Wymyśliłem przynętę - oznajmił. Zdradził Lii, jaki ma pomysł, a Lia pokiwał aprobowująco głową. - Ich zniknięcie będzie dla nas zbawieniem - zakończył Cross. - Wyprowadzimy wszystkich w pole.

- Z wyjątkiem don Clericuzia - zauważył Lia. - Jego jednego nie nabierzemy.

KSIĘGA ÓSMA

Komunia

Rozdział dwudziesty pierwszy

Całe szczęście, że Steve Stallings nie zmarł przed nakręceniem ostatniej sceny Messaliny. Powtórzenie jego scen kosztowałoby miliony dolarów.

Właściwie była to scena ze środka filmu, batalistyczna. Mniej więcej sto kilometrów od Vegas wybudowano na pustyni miasto-garnizon Persów, które miało być zniszczone przez cesarza Klaudiusza (Steve'a Stallingsa), przybywającego tam w towarzystwie żony Messaliny (Atheny Aquitane).

Wieczorem Steve Stallings wrócił do hotelu w małym miasteczku. Czekają tam już na niego kokaina, brandy i dwie panienki na noc, ale był wściekły jak osa. Po pierwsze, jego rola w filmie została okrojona. To mu uświadomiło, że zdegradowano go do pozycji zwykłego aktora. Taki los czeka wszystkich starzejących się gwiazdorów. Po drugie, Athena przez cały czas pracy nad filmem trzymała go na dystans, a on liczył na coś więcej. Po trzecie - ale sam czuł, że ta pretensja jest trochę dziecinna - na kolaudacji i bankiecie pożegnalnym w „Xanadu” nie zostanie odpowiednio uhonorowany, o czym dobitnie świadczył fakt, że nie przydzielono mu słynnej Willi.

Przez tyle lat pracy w przemyśle filmowym Steve Stallings poznał te mechanizmy na wylot. Kiedy był kasowym gwiazdorem, wszyscy się z nim liczyli. Teoretycznie, wytwórnią trząsał prezes, on zapalał zielone światło filmowi. Ustosunkowany producent, który wnosił do wytwórni „środki”, też miał trochę do powiedzenia, jako że składał wszystko do kupy - gwiazdy, reżysera, scenopis, nadzorował pisanie scenariusza i organizował pieniądze od ludzi, których nazywano koproducentami, ale którym nie dawano żadnych uprawnień. Można powiedzieć, że na tym etapie rządził producent.

Ale kiedy zaczynało się kręcenie, władzę przejmował reżyser. Pod warunkiem, że zaliczał się do reżyserów klasy A lub zgoła kasowych reżyserów (czyli takich, którzy gwarantowali filmowi komplet na widowni podczas premiery i potrafili namówić do zagrania w nim kasowych gwiazdorów).

Tak, reżyser miał największą władzę. Wszystko, co się działo w filmie, musiało uzyskać jego akceptację. Kostiumy, muzyka, scenografia i gra aktorów. W przemyśle filmowym najsilniejszym związkiem zawodowym był Cech Reżyserów. Żaden szanujący się reżyser nie zgodziłby się zająć miejsca innego reżysera.

Ludzie ci jednak, choć posiadali znaczącą pozycję, musieli z kolei schylać głowy

przed kasowymi gwiazdami i gwiazdorami. Reżyser, który w swoim filmie miał dwie takie osoby, był jak facet próbujący jechać na dwóch dzikich koniach. Jego jaja niechybnie rozleciałyby się na cztery strony świata.

Kiedyś takim gwiazdorem był Steve Stallings. Kiedyś. W przeszłości.

Dzień wyczerpał go fizycznie, aktor potrzebował relaksu. Wziął prysznic, zjadł duży stek, a kiedy przyszły dziewczyny, miejscowe artystki, które okazały się całkiem, całkiem, uraczył je kokainą i napoił szampanem. Pierwszy raz w życiu machnął ręką na ostrożność, jego gwiazda gasła, co mu po ostrożności. Od dziś nie będzie żałował sobie kokainy.

Dziewczyny - w hołdzie dla jego pośladowców podziwianych przez fanów obu płci na całym świecie - ubrane w koszulki bawełniane z napisem STALLINGS TO NIEZŁY DUPEK z początku były, rzecz jasna, onieśmielone. Dopiero zażywszy kokainy, zgodziły się zdjąć koszulki i pokazać piersi. Ten widok poprawił mu nieco humor. Zażył kolejną porcję. Dziewczyny zaczęły go pieścić, ściągnęły z niego szorty i koszulę. W czasie gdy dziewczyny bawiły się nim, Steve śnił słodki sen na jawie.

Jutro na przyjęciu pożegnalnym zobaczy wszystkie swe podboje miłosne. Pieprzył Athenę Aquitane, pieprzył Claudię, która napisała ten film, pieprzył Ditę Tommey - dawno temu, kiedy jeszcze nie była zdecydowana co do swej orientacji seksualnej. Pieprzył żonę Bobby'ego Bantza, a także żonę Skippy'ego Deere'a, ale to się już nie liczyło, jako że przeniosła się na tamten świat. Zawsze doznawał satysfakcji, kiedy na przyjęciach, w którąkolwiek stronę spojrzał, widział kobiety, z którymi niegdyś sypiał, a które obecnie siedziały jak trusie u boku swych mężów i kochanków. Miał je przed nimi.

Wtem zdarzyło się coś nieprzyjemnego. Jedna z dziewczyn wsunęła mu palec do tyłka, a on tego nie lubił, bo miał hemoroidy. Wstał z łóżka, żeby zażyć więcej kokainy i wypić kieliszek szampana, ale alkohol źle podziałał mu na żołądek. Poczł mdłości, stracił orientację, gdzie jest.

Nagle ogarnęło go straszne zmęczenie; ugięły się pod nim nogi, kieliszek wypadł z ręki. Dziwne. Gdzieś daleko rozległ się pisk jednej z dziewczyn, czemu tak piszczała, głupia? Więcej pomyśleć już nie zdążył, bo piorun trafił go w głowę.

To, co zdarzyło się potem, mogło się zdarzyć jedynie w wyniku połączenia głupoty ze złą wolą. Dziewczyna piszczała, ponieważ Steve Stallings, padając na łóżko, wyładował na niej - z otwartymi oczami i ustami, martwy w tak oczywisty sposób, że panny wpadły w panikę i zaczęły się drzeć jak opętane. Ich wrzask zwrócił uwagę personelu hotelowego oraz gości w małym hotelowym kasynie, w którym były tylko automaty, stół do gry w kości i ogromny, okrągły stół do pokera. Szukając źródła tego wrzasku, ludzie przybiegli na górę.

A tam na korytarzu, w otwartych już drzwiach do pokoju Steve'a Stallingsa, zdążyło zgromadzić się kilka osób i gapiło się na jego nagie, rozwalone na łóżku ciało. Zanim upłynęło kilka, jak się zdawało, sekund, z miasta napłynął tłum ciekawskich, którzy za wszelką cenę chcieli wejść do pokoju i dotknąć ciała.

Na początku były to tylko nabożne muśnięcia palcami mężczyzny, który rozkochał w sobie wszystkie kobiety na świecie. Potem kilka kobiet go pocałowało, inne pomacały mu jądra, penis, a jedna wyjęła z torebki nożyczki i odcięła spory pukiel błyszczących czarnych włosów, odsłaniając bezlitośnie siwy odrost.

Do tej głupoty dołączyła się zła wola, ponieważ Skippy Deere, który przybył jako jeden z pierwszych, nie kwapił się z zawiadomieniem policji. Nie protestował, gdy pierwsza fala kobiet dotarła do zwłok Stallingsa. Aktor miał otwarte usta, jak gdyby śmierć zaskoczyła go podczas śpiewu, a na jego twarzy malowało się zdziwienie.

Pierwsza kobieta (Deere widział ją dokładnie) delikatnie zamknęła nieboszczykowi oczy i usta, a następnie pocałowała go w czoło. Ale natychmiast została odepchnięta przez inne kobiety, o wiele mniej taktowne. I Deere poczuł złośliwe zadowolenie, przypomniał sobie bowiem, że Steve Stallings kiedyś dobrze zalał mu za skórę. A niech tam. Stallings chępił się, że żadna kobieta mu się nie oprze i z całą pewnością coś w nim było, skoro nawet po śmierci był przez nie pieszczony.

Kiedy jednak pozbawiono Stallingsa kawałka ucha i zaczęto przewracać jego śmiertelnie blade ciało na brzuch, żeby dobrać się do słynnych pośladków, Deere zdecydował się na działanie. Zadzwoń na policję, weźmie sprawy w swoje ręce, zaprowadzi porządek. W końcu, od czego byli producenci.

Skippy Deere zarządził sekcję zwłok i odesłanie ciała do Los Angeles, gdzie trzy dni później miał się odbyć pogrzeb.

Sekcja zwłok wykazała, że Steve Stallings zmarł z powodu tętniaka w mózgu, który pękł, powodując wylew.

Deere odnalazł dziewczyny, które były ze Stallingsem, i zapewnił je, że nie tylko nie będą odpowiadać za zażywanie kokainy, ale jeszcze dostaną po niewielkiej rólce w nowym filmie, którego był producentem. Przez dwa lata będzie im płacił po tysiąc dolarów tygodniowo. Jeśli jednak zachowają się podle i opowiedzą komukolwiek o śmierci Stallingsa, zerwą tym samym zawarty z nim kontrakt.

Następnie zatelefonował do Bobby'ego Bantza w Los Angeles i zdał mu relację ze swej działalności. Zatelefonował też do Dity Tommey, powiedział jej o śmierci Stallingsa i poprosił, żeby wiadomość tę przekazała ludziom zatrudnionym przy Messalinie, aktorom i

personelowi pomocniczemu, a na koniec upewnił się, czy Dita weźmie udział w pokazie w Vegas i w przyjęciu pożegnalnym. Potem, przejęty tą śmiercią bardziej niż się spodziewał, połknął dwie tabletki nasenne i położył się do łóżka.

Rozdział dwudziesty drugi

Śmierć Steve'a Stallingsa nie wpłynęła na przebieg kolaudacji ani bankietu pożegnalnego w Vegas. Taka była opinia Skippy'ego Deere'a. I mentalność ludzi filmu. Owszem, Stallings był gwiazdorem, ale już nie gwiazdorem kasowym. Owszem, wiele kobiet obcowało z nim cielesnie, a miliony w wyobraźni, nie było to jednak niczym innym, jak obopólną przyjemnością. Nawet kobiety zatrudnione w tym filmie - Athena, Claudia, Dita Tommey i trzy inne aktorki - mniej go opłakiwały niż chcieliby różni marzyciele. Wszyscy zgodzili się, że Steve Stallings pierwszy byłby przeciwny wstrzymaniu pokazu; nic by go bardziej nie zdenerwowało niż odwołanie bankietu i kolaudacji filmu z powodu jego śmierci.

W przemyśle filmowym człowiek rozstaje się ze swymi kochankami po skończonej pracy równie szarmancko, jak niegdyś żegnano się z partnerami po balu.

Skippy Deere autorstwo pomysłu urządzenia bankietu pożegnalnego w hotelu w Vegas i kolaudacji filmu tego samego wieczora przypisywał sobie. Wiedząc, że Athena za kilka dni wyjeżdża z kraju, chciał się upewnić, czy nie trzeba będzie dokręcić jakichś scen z jej udziałem.

W rzeczywistości to Cross zaproponował, żeby to wszystko urządzić w „Xanadu”. Powiedział, że goszczenie ludzi związanych z Messaliną będzie dla niego ogromnym zaszczytem.

- Nie mówiąc o reklamie dla hotelu. A oto, na co możecie liczyć. Dam wam, to znaczy wszystkim członkom ekipy i ich gościom, pokój na jedną noc, jedzenie, napoje. Tobie i Bantzowi przypadnie Willa. Athenie oczywiście też. Dopilnuję, żeby nikt poza wami i waszymi gośćmi, na przykład, prasa, nie zobaczył roboczej wersji filmu. Od dawna się domagałeś Willi, prawda?

Deere zamyślił się.

- I to wszystko tylko dla reklamy?

Cross uśmiechnął się pod wąsem.

- Przywieziecie tu gromadę ludzi z kieszeniami wypchanymi gotówką. Znaczna jej część zostanie w moim kasynie.

- Bantz nie gra - odparł Deere. - Ja tak. Zgarniesz moją forszę.

- Dam ci pięćdziesiąt paczek kredytu - rzekł Cross. - Jeśli je przegrasz, nie będziemy domagali się zwrotu.

To ostatecznie przekonało Deere'a.

- Dobra. Ale to musi być mój pomysł, w przeciwnym razie nie mogę go przedstawić wytwórni.

- Niech będzie - zgodził się Cross. - Ale wiesz co? Robiliśmy już wiele rzeczy razem i zawsze źle na tym wychodziłem. Tym razem będzie inaczej. Tym razem musisz się trochę wykazać. - Uśmiechnął się. - Tym razem nie wolno ci mnie zawieść.

Deere poczuł dreszczyk niepokoju, choć nie bardzo rozumiał dlaczego. Przecież Cross go nie straszył. Był miły, po prostu stwierdzał fakt.

- Nie martw się - rzekł Skippy Deere. - Skończymy kręcenie za trzy tygodnie. Możesz już zacząć przygotowania.

Następnie Cross musiał się upewnić, czy Athena weźmie udział w bankiecie pożegnalnym i w kolaudacji filmu.

- Mojemu hotelowi twoja obecność bardzo się przyda, a ja będę miał okazję znowu cię zobaczyć - prosił.

Zgodziła się. Pozostawało tylko zwabić do Vegas Dantego i Loseya.

Zadzwoił do Dantego i powiedział mu, żeby przyjechał do Vegas, to porozmawiają o LoddStone Studios i o filmie na podstawie policyjnych przygód Loseya. Losey i Dante nie robili tajemnicy ze swej przyjaźni.

- Chciałbym, żebyś mnie zaprotegował u Jima Loseya. Chętnie zostanę koproducentem jego filmu, który jestem gotów sfinansować w połowie.

Dante sprawiał wrażenie ubawionego tym pomysłem.

- Mówisz poważnie? Czemu zależy ci akurat na tym filmie?

- Duża kasa - odparł Cross lakonicznie. - I dziewczynki.

Dante roześmiał się.

- Ale ty już masz kasę i dziewczynki - zauważył.

- Powiem inaczej: duża kasa i dziewczynki z klasą.

- Czemu nie zaprosisz mnie na ten bankiet? - spytał Dante. - I kiedy wreszcie dasz mi Willę?

- Pogadaj o mnie z Loseyem - odparł Cross - a dostaniesz zaproszenie na bankiet i Willę. Przywieź z sobą Loseya. A jeśli miałbyś ochotę na randkę, to mogę umówić cię z Tiffany. Widziałeś jej występ. Pamiętam, że ci się podobała.

Dla Dantego Tiffany była wcieleniem czystej zmysłowości - duże pełne piersi, gładka, pociągła twarz o wydatnych, szerokich wargach, wysoka sylwetka, długie, zgrabne nogi. Dante zapalił się.

- O kurczę - zaklął. - Jest dwa razy wyższa ode mnie. Wyobrażasz sobie? Dobra, pogadam z Loseyem.

Było to trochę grubymi nićmi szyte, ale Cross liczył, że obowiązujący i przestrzegany przez wszystkie Rodziny zakaz wykonywania wyroków w Vegas uśpi czujność Dantego. Na końcu wspomniał mimochodem:

- Nawet Athena przyjedzie. A ona jest głównym powodem, że chcę się utrzymać w tym biznesie.

Bobby Bantz, Melo Stuart i Claudia przylecieli do Vegas odrzutowcem wytwórni. Athena i reszta towarzystwa przyjechała wprost z planu swymi osobistymi samochodami kempingowymi. Podobnie Dita Tommey. Newadę miał reprezentować senator Wavven oraz gubernator stanu wybrany na to stanowisko przez samego Wavvena.

Dante i Losey dostali apartamenty w tej samej Willi. Pozostałe cztery zajął Lia Vazzi i jego ludzie.

Senatora Wavvena, gubernatora i ich świty Cross umieścił w osobnej Willi. Poleciał przygotować dla nich obiad w towarzystwie wybranych tancerek. Miał nadzieję, że ze względu na ich obecność późniejsze ewentualne dochodzenie nie będzie zbyt dokładne. Senator i gubernator z pewnością użyją politycznych wpływów, żeby nie dopuścić do rozgłosu i sprawy sądowej.

Cross łamał po kolei wszystkie zasady. Athena dostała Willę, to w porządku, ale żeby Claudia, Dita Tommey i Molly Flanders? Pozostałe dwa apartamenty przydzielił czterem ludziom Lii Vazziego, aby czuwali nad bezpieczeństwem Atheny.

Czwartą Willę oddał w użytkowanie Bantzowi, Skippy'emu Deere'owi oraz ich dworom. Do pozostałych trzech wprowadziło się dwudziestu podkomendnych Lii, którzy mieli się wcielić w role strażników hotelowych. Cross umówił się z Vazzim, że żaden z nich nie weźmie udziału we właściwej akcji ani nie zostanie wtajemniczony w spisek. Jedynymi wykonawcami będą Lia i on.

Cross na dwa dni zamknął przynależne do Willi kasyno „Perła”. Ludzi z Hollywood, choć zarabiali nieźle, nie stać było na obowiązujące tu stawki. Superbogatych gości, którzy zdążyli już zamówić Wille, powiadomiono, że ze względu na remont odwołuje się ich rezerwacje.

Cross i Lia ustalili, że Dantego zabije Cross, a Loseya Lia. Gdyby don dowiedział się, że Lia wyprawił na tamten świat Dantego, źle by się to skończyło dla jego rodziny. Na Claudii don zemścić się nie mógł - jakkolwiek na to patrzeć, płynęła w niej krew Clericuziów.

Poza tym Lia miał osobiste powody, żeby zabić Loseya. A że z całego serca

nienawidził oficjeli, czemu nie miałby połączyć przyjemnego z niebezpiecznym.

Prawdziwym problemem była kwestia rozdzielenia Dantego z Loseyem, a potem zlikwidowania ich zwłok. Rodziny w całej Ameryce wyznawały zasadę, że w Vegas nie dokonuje się egzekucji, żeby nie zniechęcić ludzi do uprawiania hazardu. Najzagorzalszym orędownikiem tej zasady był don.

Cross modlił się, żeby Dante i Losey nie zaczęli czegoś podejrzewać. W zasadzie nie powinni, bo nie wiedzieli, że Lia odkrył zwłoki Sharkeya. Innym problemem było zabezpieczenie Crossa przed atakiem Dantego. Dlatego Lia wpuścił do obozu Dantego szpiega.

Molly Flanders przyleciała w dniu bankietu z samego rana, miała bowiem do załatwienia z Crossem pewną sprawę. Przywiozła z sobą sędziego Sądu Najwyższego Kalifornii i biskupa diecezji katolickiej w Los Angeles. Mieli być świadkami podpisania przez Crossa testamentu, który przygotowała. Cross zdawał sobie sprawę, że jego życie wisi na włosku i dlatego pomyślał, że musi coś zrobić ze swą połową hotelu „Xanadu”. Warta była pięćset milionów dolarów, nie w kij dmuchał.

Wysoką, dożywotnią rentę zapisał żonie Lii i jego dzieciom, a resztę pieniędzy postanowił podzielić między Claudię i Athenę, przy czym część Atheny miała stanowić fundusz powierniczy jej córki Bethany. Ze smutkiem uświadomił sobie, że poza tymi osobami nie miał już nikogo, komu chciałby zostawić swe pieniądze.

Molly przywiozła sędziego i biskupa do apartamentu Crossa. Sędzia powiedział, że napisanie testamentu w tak młodym wieku uważa za bardzo rozsądne posunięcie. Biskup w milczeniu lustrował luksusowy apartament, jak gdyby ważył grzechy Crossa.

Obaj byli znajomymi Molly, która pracowała dla nich pro bono. Przywiozła ich na specjalne życzenie Crossa. Chciał takich świadków, których Clericuziowie nie będą mogli ani przestraszyć, ani przekupić.

Na zakończenie ceremonii podpisania testamentu Cross poczęstował ich napojami. Potem sędzia i biskup odjechali. Zostali wprawdzie zaproszeni na bankiet, ale odmówili w obawie, że udział w tego rodzaju imprezie w jaskini hazardu w Las Vegas nadszarpienie ich reputację. Co innego, gdyby należeli do wybieralnych urzędników stanowych.

Cross i Molly zostali sami. Molly wręczyła mu oryginał testamentu.

- Ale zatrzymałaś kopię, prawda? - upewnił się Cross.

- Tak, tak - potwierdziła Molly. - Muszę powiedzieć, że byłam zdziwiona tym zadaniem. Nie miałam też pojęcia, że jesteś tak blisko z Atheną. Poza tym, ona sama jest bardzo bogata.

- Być może będzie potrzebować więcej pieniędzy niż ma - rzekł Cross.

- Na córkę? - spytała Molly. - Wiem o niej. Nie zapominaj, że jestem osobistą prawniczką Atheny. Masz rację, Bethany mogą być potrzebne te pieniądze. Wiesz, inaczej cię oceniałam.

- Naprawdę? Jak?

- Podejrzewałam, że to ty załatwiłeś Boza Skanneta - rzekła Molly półgłosem. - Uważałam cię za gangstera. Przypomniałeś mi tego chłopaka, którego obroniłam przed karą śmierci. Słyszałam, że zabito go w jakichś porachunkach narkotykowych.

- A więc widzisz, że byłeś w błędzie - roześmiał się Cross.

Molly spojrzała na niego chłodno.

- I bardzo się zdziwiłam, kiedy pozwoliłeś się wykiwać Bobby'emu Bantzowi z udziału w zyskach z Messaliny.

- To moniaki - rzekł Cross. Pomyślał o donie i Davidzie Redfellowie.

- Pojutrze Athena wyjeżdża do Francji - powiedziała Molly. - Na dłużej. Jedziesz z nią?

- Nie - odparł Cross. - Mam tu dużo roboty.

- No dobrze - zakończyła Molly. - Zobaczymy się na kolaudacji i na bankiecie. Może robocza wersja filmu da ci pojęcie, z jakiej fortuny oskubał cię Bantz.

- To bez znaczenia.

- A słyszałeś, że Dita zadedykowała film Stallingsowi? Mówię ci, Bantza szlag trafi.

- Dlaczego?

- Ponieważ Steve spał ze wszystkimi kobietami, które jemu dały kosza - wyjaśniła Molly. - Mężczyźni to świnie - zakończyła sentencjonalnie i wyszła.

Cross wyszedł na balkon. Na ulicy poniżej ludzie spieszyli do hoteli-kasyn, stojących rzędem po obu jej stronach. „Cezar”, „Piaski”, „Miraż”, „Aladyn”, „Zajazd pustynny”, „Pył gwiazdny” - głośno gósiły purpurowe, czerwone i zielone neony; tęcza, od której można było uciec jedynie przenosząc wzrok na pustynię i góry na horyzoncie. Nawet oślepiające popołudniowe słońce nie potrafiło ich przyćmić.

Ludzie od Messaliny zaczęli się zjeżdżać dopiero koło trzeciej, a wtedy - jeśli sprawy źle pójdą - zobaczy się z Atheną ostatni raz w życiu. Podniósł słuchawkę telefonu na balkonie i zadzwonił do Willi, w której umieścił Lię Vazzięgo. Poprosił go, żeby przyszedł, to jeszcze raz przedyskutują plany.

Zakończenie zdjęć do Messaliny wyznaczono na południe. Dita Tommey chciała, żeby film kończył się wschodem słońca, wydobywającego z mroku pobojowisko, na które patrz

Athena i Steve Stallings. Stallingsa zastąpiła dublerem stojącym w cieniu. Dochodziła trzecia po południu, kiedy do Vegas wtoczyły się: ciężarówki ze sprzętem filmowym, ogromne samochody kempingowe, które służyły na planie za domy, przewoźne kuchnie, samochody-garderoby oraz pojazdy wiozące broń z czasów Cesarstwa Rzymskiego. Wykorzystując starą, lasvegańską gościnność Crossa, przyjechało też wiele innych.

Obiecał pełne zakwaterowanie łącznie z alkoholem każdemu, kto pracował przy Messalinie, od reżysera do gońca. Wytwórnia przysłała mu listę z ponad trzystu nazwiskami. Owszem, miał szeroki gest, owszem, wykazał maksimum dobrej woli. Ale te trzysta osób pozostawi w kasynie znaczną część swych zarobków. Tego nauczył się od Gronevelta. „Kiedy ludzie mają dobre samopoczucie, kiedy chcą coś uczcić, wtedy grają”.

Projekcję roboczej - bez muzyki i efektów specjalnych - wersji Messaliny zaplanowano na dziesiątą wieczorem. Potem rozpocznie się bankiet. Ogromną salę balową „Xanadu”, w której w swoim czasie wydano bankiet na cześć Dużego Tima, tym razem podzielono na dwie części. W jednej miała się odbyć projekcja, w drugiej, większej - przyjęcie z orkiestrą.

O czwartej po południu wszyscy już byli rozlokowani w hotelu i w Willach. Nikt nie chciał stracić okazji uczestniczenia w spotkaniu się tych dwóch cudownych światów, Hollywood i Las Vegas, w dodatku za darmo.

Nie dopuszczając nikogo do Willi ani sali balowej, ochroniarze rozwścieczyli wysłanników mediów. W jaki sposób mieli sfotografować uczestników tego niecodziennego wydarzenia? Aktorów, panią reżyser, senatora i gubernatora, producenta i szefa wytwórni. Dziennikarzy nie wpuszczono nawet na projekcję roboczej wersji filmu. Kręcili się po kasynie i wtykali łapówki graczom rekrutującym się spośród niższego personelu filmu za ich legitymacje, umożliwiające wejście na salę balową. Niekiedy z pozytywnym skutkiem.

Czterech cynicznych członków ekipy - dwóch kaskaderów i dwie rekwizytorki - sprzedało swoje legitymacje reporterom po tysiąc dolarów.

Dante Clericuzio i Jim Losey pławili się w luksusach Willi. Losey kręcił głową ze zdumieniem.

- Tylko za złoto z tej łazienki włamywacz mógłby żyć przez rok - zauważył głośno.

- Nie mógłby. Po pół roku byłby martwy.

Siedzieli teraz w salonie apartamentu Dantego. Nie zamówili nic do pokoju, ponieważ lodówka w ogromnej kuchni wypełniona była po brzegi kanapkami, kawiozem, butelkami importowanego piwa i najprzedniejszych win.

- Głód nam nie grozi - skonstatował Losey.

- Taa - zgodził się Dante. - A kiedy będziemy już po robocie, poproszę dziadka, żeby mi dał hotel. Wtedy głód nam nie zagrozi do końca życia.

- Ważne, żeby dorwać go samego.

- Już ja to zrobię, nie martw się - zapewnił Dante. - W najgorszym przypadku wywieziemy go na pustynię.

- W jaki sposób ściągniemy go do tej Willi? - spytał Losey. - To jest ważne.

- Powiem mu, że Giorgio przyleciał w tajemnicy i chce się z nim widzieć - odparł Dante. - Wtedy zrobię, co do mnie należy, a ty po mnie posprzątasz. Znasz takie miejsca... Najlepiej będzie wywieźć go na pustynię i zakopać - powiedział z rozmarzeniem. - Nigdy go nie znajdują... Wiesz, tej nocy, kiedy stuknąłem Pippię, Cross olał Giorgia. Nie odważy się zrobić tego drugi raz.

- A jeśli się odważy? - spytał Losey. - Mam tu siedzieć całą noc i się onanizować?

- Willa Atheny jest obok. Wystarczy zapukać.

- Za dużo zachodu.

- Możemy wywieźć ją na pustynię razem z Crossem - rzekł Dante z krzywym uśmiechem.

- Jesteś szalony - stwierdził Losey i nagle uświadomił sobie, że to prawda.

- Czemu nie? Czemu nie mielibyśmy się zabawić? Pustynia jest wystarczająco duża dla dwóch trupów.

Losey pomyślał o ciele Atheny, jej pięknej twarzy, głosie, dumie. Och, tak, zabawią się z Dantem. Skoro zaczął mordować, równie dobrze mógł gwałcić. Marlowe, Pippi De Lena, Phil Sharkey. Był trzykrotnym mordercą, a wzdragał się przed gwałtem. Przypominał kretynów, jakich aresztował przez całe życie. I to z powodu kobiety, która pokazywała swe ciało całemu światu. Co w niczym nie zmienia faktu, że ten kurdupel w doniczce na głowie to czub.

- Dobra, spróbuję - rzekł Losey. - Zaproszę ją na drinka i jeśli przyjdzie, to będzie sobie sama winna.

Dante był rozbawiony tą logiką.

- Wszyscy są sobie winni. My też.

Omówili jeszcze raz szczegóły, a potem Dante poszedł do swego apartamentu. Nalał sobie wody do wanny, bo kusilo go, żeby użyć tych drogich płynów kąpielowych oferowanych gościom Willi. Leżąc w gorącej, perfumowanej wodzie - czarne, końskie włosy Clericuziów miał namydlone i ściągnięte w biały, ciężki węzeł - myślał o tym, co go czeka. Schody zaczną się dopiero, gdy zakopią z Loseyem zwłoki Crossa na pustyni, daleko od

Vegas. Będzie musiał przekonać dziadka o swej niewinności. W najgorszym przypadku przyzna się również do zabicia Pippiego. Ale dziadek mu przebaczy. Don zawsze miał do niego szczególną słabość.

Będzie teraz „młotem” Rodziny. Poprosi o stanowisko bruglione na cały Zachód i szefa „Xanadu”. Giorgio się sprzeciwi, Vincent i Petie wstrzymają się od głosu. Lubią swoje legalne przedsiębiorstwa. Dziadek jednak nie będzie żył wiecznie, a Giorgio jest typem urzędnika. Lepiej, żeby na tronie zasiadł ktoś z jajami. Nie, on nie wtopi się w społeczeństwo. Musi przywrócić Rodzinie jej dawną świetność. Za żadne skarby nie zrezygnuje z bycia panem życia i śmierci.

Wstał i splukał włosy pod prysznicem. Zlał się obficie wodami kolońskimi, do czego zachęcały wyszukane flakony, we włosy wtarł pachnące galaretki, przestudiowawszy najpierw instrukcje na tubkach. Z walizki z kapeluszami wyjął toczek w kolorze budynku waniliowego wysadzany drogimi kamieniami, przetykany złotymi i purpurowymi nitkami. W walizce wyglądał idiotycznie, na głowie zachwycająco. Dante pomyślał, że wygląda w nim jak książę. Szczególnie podobał mu się rząderek zielonych kamieni naszytych na przodzie. Takiego zobaczy go dziś Athena, a jeśli nie Athena, to Tiffany. O ile nie będą musiały trochę poczekać.

Skończywszy się ubierać, Dante jeszcze raz wyobraził sobie swe przyszłe życie. Zamieszka w Willi, która niczym nie ustępuje pałacom. Będzie przebierał w pięknych kobietach, mając do własnej dyspozycji harem, zarabiający na swe utrzymanie tańcem i śpiewem w kabarecie hotelu „Xanadu”. Będzie się stołował w sześciu restauracjach hotelowych, próbując kuchni różnych narodów. Będzie zabijał wrogów, nagradzał przyjaciół. Będzie w takim stopniu rzymskim cesarzem, na ile pozwalają czasy. Na drodze do tego szczęścia stał mu tylko Cross.

Jim Losey, wreszcie sam w swym apartamencie, kontemplował drogę życiową, jaką obrał. Przez pierwszą połowę zawodowego życia był doskonałym policjantem, autentycznym rycerzem broniącym bezpieczeństwa obywateli. Nienawidził przestępców, szczególnie Murzynów. Ale potem stopniowo wszystko się zmieniło. Media zaczęły oskarżać policję o brutalność. Atakowało go to samo społeczeństwo, którego bronił przed łajdakami. Zwierzchnicy w mundurach ze złotymi sznurami trzymali stronę polityków, którzy wciskali obywatelom ciemnotę. Brednie typu, że nie wolno nienawidzić Murzynów. A to niby dlaczego? Czarni popełniali najwięcej przestępstw. Czy jako obywatel wolnego kraju nie mógł nienawidzić, kogo mu się żywnie podobało? Czarni byli jak karaluchy, żerowali na cywilizacji. Nie chcieli pracować, nie chcieli się uczyć, ślęczenie po nocach brzmiało dla nich

jak żart, chyba że chodziło o wrzucanie piłki do kosza w świetle księżyca. Napastowali nie uzbrojonych obywateli, swoje kobiety zmuszali do uprawiania nierządu, żywili nieopisaną pogardę dla prawa i jego przedstawicieli. Do niego należała obrona bogatych przed złośliwością biednych. Tym bardziej że bogactwo mu ogromnie imponowało. Chciał nosić eleganckie ubrania, jeździć świetnymi samochodami, dobrze jeść i pić, a przede wszystkim pragnął luksusowych kobiet, na które tylko bogaci faceci mogli sobie pozwolić. Słowem, był stuprocentowym Amerykaninem.

Najpierw zaczął brać łapówki za osłanianie hazardu, potem nękał handlarzy narkotyków, aby zmusić ich do opłacenia haraczu. Był dumny z tytułu „bohaterskiego policjanta”, który nadano mu za odwagę, ale pieniędzy z tego nie było. Dalej kupował tanie ubrania, dalej musiał tak wydawać forszę, żeby jej starczyło do pierwszego. Przez to, że bronił bogatych przed biedakami za friko, sam był biedny. Gorycz jego pogłębiał fakt, że w ocenie społecznej plasował się niżej od przestępcy. Niektórzy znajomi, przedstawiciele prawa, byli skarżeni i trafiali do pudła za wykonywanie obowiązków. Lub wywalani z roboty na zбитy łeb. Ci, którzy gwałcili, włamywali się, okradali, napadali z bronią w rękę w biały dzień, spotykali się z większą tolerancją niż policjanci.

Przez lata Losey hodował w sobie urazę. Prasa i telewizja prześcigały się w obrzucaniu obelgami przedstawicieli prawa. Francowate prawo Miranda, francowaty Amerykański Związek Obrony Praw Obywatelskich; niechby ci francowaci prawnicy popatrowali ulice przez sześć miesięcy, toby sami powiesili łajdaków na suchej gałęzi.

Owszem, bił i zastraszał łobuzów, żeby zmusić ich do przyznania się do winy, odizolować od społeczeństwa. Ale sprzedać się? Zostać płatnym mordercą? To poniżej godności dobrego policjanta.

A, mniejsza z godnością, grunt, że będzie bogaty. Ciśnie swą policyjną odznakę i dyplomy uznania w twarz rządowi i społeczeństwu. Zostanie szefem ochroniarzy w „Xanadu” z pensją dziesięciokrotnie większą od dotychczasowej i z tego rajy na pustyni będzie się śmiał, że Los Angeles nie daje sobie rady ze wzrastającą przestępczością. Dziś obejrzy Messalinę i weźmie udział w bankiecie. I może uda mu się zaliczyć Athenę. Tu jęknął, bo na samą myśl o tym, jak sobie użyje, poczuł ból w lędźwiach. Na bankiecie pogada ze Skippym o filmie o swoich przygodach, przygodach największego bohatera w Los Angeles. Podobno Cross mówił Dantemu, że chciałby zainwestować w ten film. Uśmieć się można. Czy nie jest głupotą zabijanie faceta, który jest gotów zainwestować w jego film? A jednak to robi. Jeśli się wycofa, Dante da mu popalić. Owszem, był twardzielem, ale nie takim jak Dante. Z tymi Clericuziami lepiej nie zadzierać.

Przez ułamek sekundy pomyślał o Marlowie, który był poczciwym bambusem, sympatycznym, wesołym i zawsze gotowym do pomocy. Lubił go. Szkoda, że go musiał zamordować.

Do projekcji i bankietu zostało jeszcze kilka godzin. Mógł pograć w kasynie, ale to dobre dla frajerów. Nie, żadnego grania. Czekala go trudna noc. Najpierw film i bankiet, a o trzeciej nad ranem muszą z Dantem zabić Crossa De Lena i zakopać go na pustyni.

O piątej po południu Bobby Bantz zaprosił do swej Willi na opicie zakończenia prac nad Messaliną co ważniejsze osoby związane z filmem, jak Athene, Dite Tommey, Skippy'ego Deere'a, a także, przez grzeczność, Crossa De Lena. Ten ostatni odmówił, wymawiając się obowiązkami służbowymi.

Bantz przyprowadził swój najnowszy „nabytek”, niewinnie wyglądającą dziewczę o imieniu Johanna, które odkrył, łowiąc talenty w małym miasteczku w Oregonie. Podpisał z nią kontrakt na dwa lata z pensją w wysokości pięciuset dolarów tygodniowo. Piękna, choć zupełnie pozbawiona talentu, roztaczała wokół siebie aurę dziewictwa, co stanowiło dodatkową atrakcję przyjęcia. Wyglądała na taką, co to nie potrafi zliczyć do pięciu, ale do łóżka zgodziła się - chytruska! - pójść z Bantzem dopiero wtedy, gdy obiecał zabrać ją do Vegas na projekcję Messaliny.

Niestety, Skippy'emu Deere'owi, zajmującemu sąsiedni apartament, spodobało się być dzikim lokatorem w apartamencie Bantza, czym wkurzył tego ostatniego, bo przeszkodził mu ostatecznie w zaliczeniu szybkiego numerka z Johanną. Ale Skippy nie zdawał sobie z tego sprawy, bo snuł pomysł przyszłego filmu, na którego punkcie po prostu zwariował. Tego typu obsesje były czymś normalnym w pracy producenta.

Opowiadał Bantzowi o Jimie Loseyu, bohaterskim gliniarzu z Los Angeles, wielkim, przystojnym draniu, który zagra w tym filmie siebie. W filmie, będącym wspaniałą, żywcem z życia wziętą historią, w której, jak w życiu, wszystko jest możliwe.

Obaj dobrze wiedzieli, że pomysł obsadzenia policjanta w filmie o nim samym to zwykły pic na wodę; miał on służyć wyludzeniu od Loseya jego historii, a także jako chwyt reklamowy.

Skippy Deere nakreślał treść filmu z wielkim entuzjazmem. Nikt nie sprzedałby tej fikcji lepiej. W chwili czystego uniesienia chwycił za słuchawkę i, nim Bantz zdążył zaprotestować, zaprosił detektywa na koktajl o piątej. Losey spytał, czy może kogoś przyprowadzić. Deere odparł, że tak, oczywiście, zakładając, że chodzi o narzeczoną. Skippy Deere, jako producent filmowy, lubił mieszać z sobą różne światy. Nigdy nie wiadomo, co z tego wyjdzie.

W apartamencie na ostatnim piętrze hotelu Cross De Lena i Lia Vazzi omawiali plan akcji.

- Wszyscy moi ludzie są na stanowiskach - raportował Lia. - Kontroluję cały teren Willi. Nie wtajemniczyłem ich w nasze plany, wykonują ściśle określone zadania. Ale doszło do mnie, że Dante zlecił grupie operacyjnej z Enklawy wykopanie dla ciebie grobu na pustyni. Uważaj, bo możesz mieć kłopoty.

- Moje kłopoty zaczną się dopiero po tej nocy - odparł Cross. - Będziemy musieli jakoś to załatwić z don Clericuziem. Wierzysz, że don kupi naszą bajeczkę?

- Nie bardzo. Ale to nasza jedyna nadzieja.

Cross wzruszył ramionami.

- Nie mam wyboru. Dante zabił mi ojca, a teraz chce zabić mnie. - Przerwał na chwilę, a potem powiedział: - Mam nadzieję, że don od początku nie trzymał jego strony. W przeciwnym razie mamy mikre szanse.

- Może zawieśmy akcję i przedstawmy sprawę donowi - zaproponował ostrożnie Lia. - Niech on rzecz rozstrzygnie i podejmie działanie.

- Odpada. Don nie podejmie działania przeciw własnemu wnukowi.

- Masz rację - rzekł Lia. - Ale zauważ, że don się trochę zmienił. Pozwolił tym z Hollywood cię wykiwać, a w młodości nie puściłby im tego płazem. Ani forsy, ani zniewagi.

Cross dolał Lii brandy i zapalił mu cygaro. Nie opowiedział mu o Davidzie Redfellowie.

- Podoba ci się twój pokój? - spytał wesoło.

- Czyste szaleństwo - odparł Lia, puszczając dym z cygara. - Po co komu taki pokój? Ten przepych. Życie w luksusie osłabia. Budzi zawiść. To jest naigrzanie się z biednych. Mieszkając w ten sposób, nie możesz mieć do nich pretensji, że dybią na twoje życie. Mój ojciec był bogatym człowiekiem na Sycylii, ale żył skromnie.

- Nie rozumiesz Ameryki, Lia - rzekł Cross. - Tutaj biedny człowiek na widok takiego wnętrza wpadnie w zachwyty. Ponieważ w głębi duszy wierzy, że któregoś dnia też zamieszka w takim domu.

W tej chwili zadzwonił telefon. Cross podniósł słuchawkę. Serce mu radośnie zabiło, bo w słuchawce rozległ się głos Atheny.

- Zobaczymy się przed projekcją? - spytała.

- Pod warunkiem, że przyjdiesz do mnie - odparł Cross. - Nie mogę teraz stąd wyjść.

- Bardzoś uprzejmy - zauważyła chłodno. - To może spotkajmy się po projekcji. Wyjdę wcześniej, a wtedy ty przyjdiesz do mnie.

- Naprawdę nie mogę.

- Jutro z samego rana lecę do Los Angeles - oświadczyła Athena. - A pojutrze do Francji. Zobaczymy się na gruncie prywatnym, dopiero kiedy tam przyjedziesz... o ile przyjedziesz.

Cross spojrział na Lię, który pokręcił głową, i zmarszczył czoło.

- Proszę cię, przyjdź do mnie - powiedział Cross do słuchawki. - Teraz.

Po drugiej stronie zapadło długie milczenie.

- Dobrze, daj mi godzinę - odpowiedziała w końcu Athena.

- Wyślę po ciebie samochód i ochroniarzy - rzekł Cross. - Będą czekać przed Willą.

Odwiesił słuchawkę.

- Musimy pilnować, żeby nic jej się nie stało - powiedział do Lii. - Dante jest zdolny do wszystkiego.

Ozdobą cocktail party w Willi Bantza były piękne kobiety.

Melo Stuart przyprowadził młodą osobę cieszącą się opinią świetnej aktorki teatralnej, którą obaj ze Skippym Deere'em planowali obsadzić w głównej roli kobiecej w historii Jima Loseya. Miała egipską urodę, dumne rysy, wielkopańskie maniery. Bantz był ze swą cudziwicą Johanną, nazwisko nieznane. Athena, która chyba jeszcze nigdy nie promieniała takim szczęściem, stała w otoczeniu swych przyjaciółek: Claudii, Dity Tommey, Molly Flanders. Niewiele się odzywała, mimo to Johanna i aktorka teatralna Liza Wrongate zerkwały na nią z lękiem i z zawiścią. Obie wyobrażały sobie, że rychło uda im się zająć jej miejsce.

- Nie zaprosiłeś mojego brata? - spytała Claudia Bobby'ego Bantza.

- A jakże. Ale powiedział, że jest zbyt zajęty.

- Dzięki, że dałeś rodzinie Ernesta punkty - rzekła Claudia z ironicznym uśmiechem.

- To był rozbój na równej drodze - stwierdził Bantz, który lubił Claudię pewnie dlatego, że Marrion darzył ją sympatią, ale nie przepadał za jej poczuciem humoru. - Molly przystawiła mi lufę armatnią do skroni.

- Ale mogłeś się nie ugiąć - zauważyła Claudia. - Marrion byłby z ciebie zadowolony.

Bantz spojrział na nią chłodno. Nagle poczuł, że się rozplącze. Nigdy nie dorówna Marrionowi. I bardzo mu go brakowało.

Tymczasem Skippy Deere wciągnął Johannę w kąt i opowiadał jej o scenie w swym nowym filmie, w której handlarze narkotyków gwałcą, a następnie bestialsko mordują niewinną dziewczynę.

- Pasujesz do tej roli. Nie masz wprawdzie doświadczenia aktorskiego, ale jeśli uda mi się to jakoś załatwić z Bobbym, to zaproszę cię na zdjęcia próbne. - Przerwał, by po chwili

dodać konfidencyjnym tonem: - Myślę, że powinnaś zmienić imię. Johanna brzmi zbyt twardo - zakończył, dając jej do zrozumienia, że czeka ją wielka kariera.

Uwagi Deere'a nie uszło, że dziewczyna się zarumieniła. To bardzo wzruszające, jak te młode panienki wierzyły w siłę swej urody, modliły się o rolę w filmie z taką samą żarliwością, jak dziewczęta z epoki renesansu modliły się o łaskę bożą. Przed oczyma stanął mu cynicznie uśmiechnięty Ernest Vail. „Śmiej się, śmiej - pomyślał - ale to też był rodzaj pożądania”. W obu przypadkach prowadziło ono częściej do męczeństwa niż do chwały, ale cierpienie wliczone było w koszty.

Johanna odeszła. Przypuszczałnie, żeby porozmawiać z Bantzem. Deere zbliżył się do Mela Stuarda i jego nowej narzeczonej Lisy, jak się rzekło, utalentowanej aktorki teatralnej. Skippy jakoś nie wierzył w jej przyszłe sukcesy na ekranie filmowym. Kamera bywała bardzo okrutna dla urody tego rodzaju. A inteligencja dyskwalifikowała ją w przypadku wielu ról. Melo domagał się dla niej głównej roli w filmie Loseya, a Melowi trudno się odmawiało. Nie wiedział, że to żadna wybitna rola.

Deere pocałował Lizę w oba policzki.

- Widziałem cię w Nowym Jorku - powiedział. - Cudownie grałaś. - Przerwał, wziął oddech i wyrecytował: - Mam nadzieję, że zgodzisz się zagrać w moim nowym filmie. Melo uważa, że ta rola będzie twoją przepustką do przyszłych filmów.

Liza obdarzyła go zimnym uśmiechem.

- Najpierw muszę przeczytać scenariusz.

Deere poczuł do niej nieodpartą niechęć. To on proponował jej rolę, która miała odmienić jej życie, a ona chrzaniła o czytaniu scenariusza? Spojrzał na Mela, który miał rozbawioną minę.

- Zrozumiałe - zgodził się Deere. - Ale możesz mi wierzyć, że nie zaproponowałbym ci roli, która byłaby poniżej twoich możliwości.

Melo, który nigdy nie był tak żarliwy w miłości, jak w interesach, dodał:

- Lizo, możemy ci zagwarantować wiodącą rolę kobiecą w produkcji klasy A. Scenariusz filmowy nie jest takim świętym tekstem jak sztuka teatralna. Można go zmieniać do woli.

Aktorka obdarzyła Mela nieco cieplejszym uśmiechem.

- Tak myślisz? - spytała. - Ależ oczywiście, że tekst sztuki się zmienia. A co robimy na próbach?

Zanim zdążyli odpowiedzieć, do apartamentu weszli Jim Losey i Dante Clericuzio. Deere rzucił się, żeby ich powitać i przedstawić pozostałym gościom.

Stanowili komiczną parę: przystojny wielkolud, mimo upału ubrany nienagannie - w koszulę z długimi rękawami i krawat - i postępujący krok za nim kurdupel o muskularnym ciele pod opiętą koszulką bawełnianą z krótkimi rękawami, zwracający na siebie uwagę zdobionym świecącymi kamieniami toczkiem z renesansowych obrazów na czarnych szczeciniastych włosach. Zgromadzonym w pomieszczeniu specjalistom od iluzji wystarczyło spojrzeć na nich, żeby wiedzieć, że nie są iluzją, choć wyglądają na kawał. Mieli zbyt antypatyczne twarze. Ich nie dałoby się nikim zastąpić.

Losey bez wahania podszedł do Atheny i powiedział, że już się nie może doczekać, kiedy zobaczy ją w Messalinie. Odrzucił swój arogancki styl, nieomal się łasił. Kobiety zawsze na niego leciały, dlaczego Athena miałyby być wyjątkiem?

Dante wziął sobie coś do picia i usiadł na kanapie. Jedyna Claudia zdecydowała się do niego podejść. Przez te wszystkie lata widzieli się wszystkiego może trzy razy, łączyły ich wyłącznie wspomnienia z dzieciństwa. Cmoknęła go w policzek. Lubiała go, mimo że jako mały chłopiec wyjątkowo jej dokuczał.

- Cugina, pięknie wyglądasz - powiedział, wyciągając ku niej rękę. - Gdybyś była taka ładna w dzieciństwie, pewnie mniej bym cię tłukł.

Zdjęła mu z głowy renesansowy toczek.

- Cross mi opowiadał o twoich kapeluszach. Ten jest odjazdowy. - Umieściła kapelusz z powrotem na jego głowie. - Nawet papież nie nosi takich fikuśnych kapelutków.

- A ma ich całą szafę - dodał Dante. - I kto by pomyślał, że zajmiesz taką ważną pozycję w Hollywood.

- Co porabiasz ostatnio?

- Prowadzę firmę rzeźniczą - odparł Dante. - Zaopatrujemy hotele w mięso. - Uśmiechnął się. - Słuchaj, możesz mnie przedstawić waszej gwiazdzie?

Claudia zaprowadziła go do Atheny, która jeszcze nie uwolniła się od towarzystwa Jima Loseya, wychodzącego ze skóry, żeby ją oczarować. Kapelusz Dantego wywołał na jej twarzy uśmiech. Ależ komiczny gość.

Losey nie przestawał schlebiać Athenie.

- Wiem, że dzięki pani ten film będzie wspaniały. Jeśli się pani zgodzi, to po bankiecie odprowadzę panią do Willi, a goryla zwolnimy - powiedział, udając dobrego policjanta. - Potem możemy się czegoś razem napić.

Athena postanowiła od razu załatwić tę sprawę.

- Chętnie - odparła słodko - ale zamierzam zostać na bankiecie tylko przez chwilę, a pan na pewno nie chciałby nic stracić. Muszę zdążyć na poranny samolot, bo jutro lecę do

Francji. Jak pan widzi, jestem dość zajęta.

Dante podziwiał jej grę. Odrzucała ją od Loseya i bała się go. Ale z jej tonu można było wnosić, że facet przypadł jej do gustu.

- Chętnie polecę z panią do Los Angeles - oferował się Losey. - O której jest ten lot?

- Bardzo pan miły, ale to mały prywatny samolot i wszystkie miejsca są już zajęte - odparła Athena.

Znalazłszy się bezpiecznie w swej Willi, zadzwoniła do Crossa i powiedziała, że właśnie do niego jedzie.

Pierwszą rzeczą, jaka ją uderzyła w hotelu, były nadzwyczajne środki ostrożności. Ochroniarze otworzyli windę specjalnym kluczem i wjechali z nią na górę. Z sufitu zezowały na nich kamery, a kiedy drzwi się otworzyły, oczom Atheny ukazało się pięciu kolejnych mężczyzn. Jeden czekał przy drzwiach windy, drugi siedział przy biurku z baterią monitorów telewizyjnych, dwóch grało w karty w kącie, a jeszcze inny na kanapie i czytał „Sports Illustrated”.

Wszyscy obdarzyli ją dobrze znanym spojrzeniem, w którym zachwyty mieszał się z osłupieniem. Ale tego rodzaju hołdy zamiast łechtać, jak niegdyś, jej próżność, teraz wzmagały jej czujność.

Mężczyzna przy biurku nacisnął guzik, który otworzył drzwi do apartamentu Crossa. Ledwo Athena przestąpiła próg, drzwi się zatrzasnęły.

Była w gabinecie. Cross wyszedł jej na spotkanie, pocałował ją krótko w usta i zaprowadził do części mieszkalnej, ściślej, do sypialni. Bez jednego słowa rozebrali się i przytulili. Trzymając ją w ramionach, patrząc na jej rozpromienioną twarz, Cross westchnął błogo.

- Najchętniej nie robiłbym nic innego, tylko patrzył na ciebie.

W odpowiedzi Athena pogłaskała go po twarzy, pocałowała, a potem pociągnęła na łóżko. Czowała, że ten mężczyzna naprawdę ją kocha i zrobi dla niej wszystko. Sama też była gotowa spełnić każde jego życzenie. Pierwszy raz od długiego czasu pragnęła kogoś fizycznie i psychicznie. Kochała go i kochała się z nim kochać. Równocześnie zdawała sobie sprawę, że Cross jest człowiekiem niebezpiecznym, nawet dla niej, w pewien sposób.

Po godzinie ubrali się i wyszli na balkon.

Las Vegas tonęło w różnokolorowych światłach, późne słońce kładło się na ulicach i budynkach złotą poświatą. A także na pustyni i górach na drugim planie. Czas jakby się zatrzymał; znieruchomiały nawet zielone flagi na Willach.

Athena ścisnęła Crossowi rękę.

- Zobaczą cię na projekcji lub na bankiecie? - spytała.

- Niestety, nie będę mógł przyjść - odparł Cross. - Ale zobaczymy się we Francji.

- Zauważyłam, że bardzo trudno się do ciebie dostać. Co oznacza ta zamknięta na klucz winda i tylu pilnujących?

- To tylko na kilka dni - odparł Cross. - Do miasta zjechało mnóstwo obcych.

- Poznałam twego kuzyna, Dantego - rzekła Athena. - Detektyw jest chyba jego kumplem. Tworzą zabawną parę. Losey bardzo się interesował moim bezpieczeństwem, moim rozkładem zajęć. Również Dante zaproponował mi opiekę. Obu bardzo zależy, żebym dojechała bezpiecznie do Los Angeles.

Cross ścisnął jej rękę.

- Dojedziesz - zapewnił ją.

- Wiem od Claudii, że Dante jest waszym kuzynem - rzekła Athena. - Co on nosi na głowie?

- Dante to miły facet - odparł wymijająco Cross.

- Claudia powiedziała mi, że nigdy się nie lubiliście - zauważyła Athena.

- Owszem - przyznał Cross. - Ale to nie znaczy, że nie jest miły.

Zamilkli. Ulice poniżej pękały od samochodów i ludzi spieszących do hoteli na kolację, żeby zaraz potem wrócić do kasyn. Podekscytowani perspektywą gry zapominali o bożym świecie.

- Czyli że widzimy się po raz ostatni - stwierdziła Athena i potrząsnęła jego dłonią, jak gdyby chciała unieważnić swe słowa.

- Powiedziałem ci, że zobaczymy się we Francji.

- Kiedy? - spytała.

- Nie wiem - odparł Cross. - Jeśli nie przyjadę, to będzie znaczyło, że nie żyję.

- Sytuacja jest aż tak poważna?

- Tak.

- Nie możesz mi nic więcej powiedzieć?

Milczał przez chwilę.

- Tobie nic nie grozi - odezwał się w końcu. - Myślę, że i mnie nic się nie stanie. Ale nic więcej nie mogę ci wyjawić.

- Będę czekać - przyrzekła i pocałowała go, przeszła przez sypialnię i opuściła apartament.

Cross odprowadził ją wzrokiem, a potem wrócił na balkon. Chwilę później Athena wyszła z hotelu i wsiadła do samochodu z jego ludźmi. Cross podniósł słuchawkę i zadzwonił

do Lii.

- Wzmocnij ochronę Atheny - polecił.

O dziesiątej wydzielona z sali balowej sala kinowa była pełna. Widzowie czekali na projekcję roboczej wersji Messaliny. W pierwszych rzędach stały miękkie fotele i konsola telefoniczna w środku. Na jednym pustym fotelu leżał wieniec z szarfą „Steve Stallings”. W pozostałych fotelach zasiedli: Claudia, Dita Tommey oraz Bobby Bantz z Johanną. Melo Stuart z Lizą. Skippy Deere natychmiast objął w posiadanie telefon.

Ostatnia przybyła Athena witana oklaskami ekipy operatorskiej oraz kaskaderów. Pracownicy wyższego szczebla, pozostali aktorzy oraz inni ludzie siedzący w fotelach klaskali i cmokali ją w policzek, kiedy przepychała się ku swemu miejscu w środku. Usiadła, a wtedy Skippy Deere podniósł słuchawkę i polecił operatorowi zaczynać.

Napis na czarnym tle głosił: „Pamięci Steve’a Stallingsa”. Widzowie nagrodzili go bezgłośnie, wyrażającymi szacunek oklaskami. Bobby Bantz i Skippy Deere byli przeciwni umieszczeniu tego napisu, lecz Dita Tommey ich przegłosowała, Bóg jeden wie dlaczego, jak opowiadał Bantz. Ale co tam, to tylko wersja robocza, a poza tym taki sentymentalny gest może się spodobać prasie.

Rozpoczął się seans...

Athena była fascynująca, seksowna, na ekranie nawet bardziej niż w życiu, i błyskotliwa, co nie dziwiło nikogo, kto ją znał. W rzeczy samej, Claudia miała jej inteligencję na uwadze, gdy pisała dialogi. Film nie wypadł tandetnie, a podstawowe sceny erotyczne nie raziły wulgarnością.

Nie ulegało kwestii, że Messalina po tylu kłopotach będzie filmem-przebojem. Było to już wiadomo, a jeszcze miała dojść muzyka i efekty specjalne. Dita Tommey nie posiadała się z radości, że nareszcie zakwalifikuje się do kasowych reżyserów. Melo Stuart obliczał w pamięci, ile zażąda dla Atheny przy następnym filmie; Bantz, skrzywiony, myślał o tym samym. Skippy obliczał, czy to, co zarobi, wystarczy mu na odrzutowiec. Wystarczy.

Najbardziej przejęta była jednak Claudia. To jej film oglądali. Jej i tylko jej nazwisko występowało w czołówce, scenopis był jej oryginalnym dziełem. Dzięki Molly Flanders dostanie punkty od zysku brutto. Ben Sly, oczywiście, coś tam lekko przerobił, ale za mało, żeby się podpisać pod robotą.

Wszyscy skupili się wokół Atheny i Dity Tommey, żeby złożyć im gratulacje. Molly tymczasem nie spuszczała z oka jednego kaskadera. Kaskaderzy, wiadomo, szaleńcy, mieli wspaniałe ciała i niezrównany temperament.

W tym zamieszaniu ktoś zrzucił na podłogę wieniec dla Steve’a Stallingsa i wszyscy

po nim deptali. Molly zauważyła, że Athena odłączyła się od tłumu, podniosła wieniec i położyła go z powrotem na fotelu. Spotkały się wzrokiem, wzruszyły ramionami, Athena uśmiechnęła się smutno, jak gdyby mówiła: „Taki jest ten świat”.

Tłum posuwał się w kierunku drugiej części sali balowej. Tam grał już zespół, lecz nikt nie zwracał nań uwagi, bo wszyscy chcieli jak najprędzej znaleźć się przy bufecie. Dopiero potem zaczęto tańczyć. Molly podeszła do kaskadera, który rozglądał się bezradnie; na tych bankietach kaskaderzy zwykle sprawiali wrażenie zagubionych. Czuli się głupio, bo na planie musieli brać po pysku od tych ciamajdowatych aktorów, których w normalnym życiu załatwiliby jednym ciosem. Typowy kaskader, już mu stoi, pomyślała Molly, gdy facet wyprowadził ją na parkiet.

Athena była na bankiecie godzinę. Z wdziękiem przyjmowała gratulacje, choć nie lubiła siebie w takiej roli. Zatańczyła z oświetleniowcem i innymi członkami ekipy, a potem z kaskaderem, którego natarczywość wpłynęła na jej decyzję o powrocie.

Czekał na nią należący do „Xanadu” rolls z uzbrojonym kierowcą i dwoma ochroniarzami. Kiedy wysiadła z samochodu, ze zdziwieniem zobaczyła, że od sąsiedniej Willi idzie jej na spotkanie Jim Losey.

- Świetna byłaś w tym filmie - powiedział. - Nie znam kobiety o równie ponętnej sylwetce, a szczególnie pupie.

Athena wystraszyłaby się może, gdyby nie to, że z rollsa wysiadł już kierowca i ochroniarze. Zrobili coś, co w żargonie teatralnym nazywano „przyblokowaniem partnera”. Zauważyła, że stanęli przy tym tak, aby nie znaleźć się na linii strzału innego. Zauważyła również, że Losey na ich widok zacisnął szczękę.

- Ta pupa nie była moja - oświadczyła z uśmiechem. - Tak czy owak, dziękuję za komplement.

Raptem Losey złapał ją za rękę.

- Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką znam. Zapomnij o tych nadętych, pedałowatych aktorach i spróbuj raz z prawdziwym mężczyzną.

Athena wyrwała mu rękę.

- Ja też jestem aktorką i wcale nie jesteśmy nadęci. Dobranoc.

- Mogę wpaść na jednego? - nie ustępował Losey.

- Niestety, nie. - Athena nacisnęła dzwonek. Drzwi otworzył lokaj, którego przedtem nie widziała.

Losey zrobił krok, żeby wejść z nią do środka, ale wtedy lokaj wyszedł przed drzwi i ku jej zdumieniu pchnął ją przez próg. Następnie trzech ochroniarzy stanęło murem między

nią a Loseyem.

Losey popatrzył na nich z pogardą.

- Coście za jedni, do jasnej cholery?

- Jesteśmy ochroną panny Aquitane. Prosimy pana o opuszczenie tego miejsca - powiedział lokaj, który pozostał przed drzwiami.

Losey wyjął legitymację policyjną.

- Zobacz, z kim masz do czynienia - warknął. - Tak cię załatwię, że rodzona matka cię nie pozna, a potem zamknę w pierdlu.

Lokaj spojrzał na legitymację.

- Pan pracuje w Los Angeles. Tu pana legitymacja nie działa - stwierdził i wyjął swoją. - Ja jestem z okręgu Las Vegas.

Athena Aquitane stała za progiem, słuchając. Zdziwiło ją, że nowy lokaj okazał się policjantem, powoli jednak zaczynała coś rozumieć.

- Proszę nie robić z tego wielkiej sprawy - powiedziała i zamknęła drzwi, zostawiając ich wszystkich na zewnątrz.

Schowali legitymacje do kieszeni. Losey przyjrzał się dokładnie każdemu ze swych przeciwników.

- Zapamiętam was, chłopaki - warknął.

Nie zareagowali. Odwrócił się. Miał coś ważniejszego na głowie. Za dwie godziny Dante Clericuzio przyprowadzi do ich Willi Crossa De Lena.

Dante Clericuzio w swym nieodłącznym toczku na głowie na razie bawił się na bankiecie. Uważał, że nic tak dobrze nie robi przed akcją jak zabawa. Jego uwagę przyciągała pewna kelnereczka, która jednak na niego nie patrzyła, bo wdzięczyła się do kaskadera, który z kolei robił do Dantego groźne miny. Ma szczęście, pomyślał Dante, że czeka mnie coś ważniejszego. Spojrzał na zegarek, ciekawe, czy poczciwy Jim zdołał już usidlić Athenę. Tiffany się nie pokazała, mimo że Cross mu to obiecał. Dante zdecydował się zacząć pół godziny wcześniej. Poleciał telefonistce, żeby go połączyła z Crossem.

Odebrał Cross.

- Muszę z tobą porozmawiać - oznajmił Dante. - Jestem w sali balowej. Wspaniały bankiet.

- Przyjedź na górę - powiedział Cross.

- Nie - odparł Dante. - To rozkaz. Nie możemy rozmawiać o tym ani przez telefon, ani w twoim apartamencie. Zjedź na dół.

W słuchawce zapadła długa cisza.

- Zaraz tam będę - zgodził się w końcu Cross.

Dante tak się ustawił, żeby widzieć, jak Cross będzie przechodził przez salę balową. Chyba nie miał ochrony. Klepiąc denko kapelusza, Dante przypomniał sobie ich dzieciństwo. Ze wszystkich chłopców bał się tylko Crossa i z tego powodu często toczyli bójki. Ale podobał mu się wygląd Crossa, zazdrościł mu wyglądu. Zazdrościł mu też pewności siebie. Szkoda, że...

Skoro jednak zabił Pippię, nie mógł zostawić Crossa przy życiu. Przyjdzie mu stawić czoło donowi. Z drugiej strony, dziadek go kocha, zawsze okazywał mu miłość. Pewnie nie będzie zachwycony, ale przecież nie użyje swej wszechmocnej władzy, żeby ukarać ukochanego wnuka.

Cross stał już przed nim. Teraz trzeba zaciągnąć go do Willi, w której czeka Losey. Dalej będzie z górki. Zastrzeli Crossa, potem wywiozą jego zwłoki na pustynię i zakopią. Żadnych bajerów, jak uczył Pippi De Lena. Samochód już czekał, zaparkowany za Willą.

- O co chodzi? - spytał ostro Cross. Niczego nie podejrzewał. - O, nowy kapelusz - zauważył z uśmiechem.

Dante zawsze zazdrościł mu tego uśmiechu. Kiedy się tak uśmiechał, Dantemu wydawało się, że Cross czyta w jego myślach.

Dante nie spieszył się. Wziął go za łokieć i wyprowadził na dwór pod ogromny kolorowy baldachim, który kosztował „Xanadu” dziesięć milionów dolarów. Migające neony - niebieskie, czerwone i purpurowe - oblały ich sylwetki kolorowym światłem rozbielonym przez księżyc nad pustynią.

- Giorgio przyleciał, jest w mojej Willi - szepnął Dante Crossowi do ucha. - To tajemnica. Chce się natychmiast z tobą zobaczyć. Nie mogłem powiedzieć ci tego przez telefon.

Ku najwyższemu zachwytowi Dantego na twarzy Crossa pojawił się niepokój.

- Nie kazał ci tego mówić, ale jest wkurzony. Myślę, że dowiedział się czegoś o twoim ojcu.

Na te słowa Cross spojrzał na Dantego ze smutkiem, niemal z niezadowoleniem.

- No to chodźmy.

I poprowadził Dantego na przełaj do Willi.

Strażnicy przy bramie poznali Crossa i bez słowa wpuścili ich do środka. Dante otworzył drzwi od swej willi z ukłonem i zamiótł ziemię kapeluszem.

- Zapraszam - powiedział z chytrym uśmieszkiem, który nadawał mu łobuzerski wyraz twarzy.

Cross wszedł.

Wściekły jak osa, że ochroniarze Atheny pokrzyżowali mu szyki, Jim Losey zawrócił do swojej Willi. Część mózgu, nastawiona na czujność, wysłała sygnał ostrzegawczy. Po co tu tylu ochroniarzy? No tak, ale Athena to gwiazda, nie mówiąc o tym, że sprawa z Bozem Skannetem musiała ją nieźle wystraszyć.

Otworzył kluczem drzwi swojej Willi, która wydała mu się dziwnie wyludniona. Widać wszyscy poszli na bankiet. Miał ponad godzinę, żeby przygotować się na przyjęcie Crossa. Podszedł do walizki i wyjął z niej swego glocka, błyszczącego, wypucowanego. Otworzył drugą walizkę, która miała sekretną kieszeń. W niej trzymał magazynek z nabojami. Załadował magazynek do glocka, pasek z kaburą zawiesił na ramieniu, włożył do niej pistolet. Gotowe. Zauważył, że jest zdenerwowany, a przecież zawsze był bardzo opanowany. Jak na dobrego policjanta przystało.

Z sypialni przeszedł do kuchni. Jedno było pewne, w tej Willi nie brakowało korytarzy. Wyjął z lodówki butelkę importowanego piwa i tacę z zakąskami. Zanurzył zęby w kanapkę - kawior. Westchnął z przyjemnością. Tak trzeba żyć. Tak przeżyje resztę życia - kawior, tancerki, a któregoś dnia może nawet Athena. Musi tylko dziś wykonać swe zadanie.

Z kanapkami i butelką wszedł do ogromnego salonu.

Oślepiła go upiornie biała folia, pokrywająca podłogę i meble. A następnie zobaczył siedzącego w fotelu mężczyznę, który palił cienkie cygaro i trzymał w ręku szklanekę brzoskwiniowej brandy. Mężczyzną tym był Lia Vazzi.

Co to ma być, do diabła? - zdenerwował się Losey. Postawił tacę z kanapkami i butelkę na niskim stoliku i powiedział:

- Szukałem cię.

Lia puścił dym z cygara i popił brandy.

- No to mnie znalazłeś - odparł. - Możesz znowu mnie uderzyć.

Losey był zanadto doświadczonego policjantem, żeby nie zdawać sobie sprawy z powagi sytuacji. Złożył jedno do drugiego. Dlaczego inne apartamenty w Willi są puste? To dość dziwne. Od niechcienia zapiął marynarkę i uśmiechnął się krzywo do Lii. Nie tylko cię uderzę, pomyślał. Do przybycia Dantego z Crossem została jeszcze godzina, popracuje trochę przez ten czas. Był uzbrojony, więc nie bał się tego sam na sam z Lią.

Nagle pokój zaczął zapełniać się jakimiś ludźmi. Wysypywali się z kuchni, z hallu, z pokoju telewizyjnego. Byli więksi od Jima Loseya. Tylko dwóch wyciągnęło broń.

- Wiecie, że jestem policjantem? - spytał Losey.

- Tak, tak, wiemy. - Lia podszedł do niego. W tym samym momencie tamtych dwóch

przystawiło mu do pleców pistolety.

Lia wsunął Loseyowi rękę pod marynarkę i wyciągnął glocka. Oddawszy go jednemu ze swych ludzi, pacnął Loseya.

- Mówiłeś, że masz do mnie jakieś pytania. Pytaj więc.

Losey jeszcze się nie bał. Martwił się tylko, że w każdej chwili może wejść Dante z Crossem. Nie mógł uwierzyć, że ktoś taki jak on, ktoś, komu udało się szczęśliwie wyjść z wielu niebezpiecznych sytuacji, dał się tak głupio podejść.

- Wiem, że to ty załatwiłeś Skanneta - powiedział - i prędzej czy później cię za to wsadzę.

- Lepiej prędzej - poradził mu Lia. - Później nie będzie. Tak, masz rację, umrzesz szczęśliwy.

Losey wciąż nie mógł uwierzyć, że ktoś ma czelność grozić oficerowi policji. Owszem, handlarze narkotyków nieraz do niego strzelali, owszem, jakiś stuknięty bambus mógł wypalić ze strachu, zobaczywszy blachę, czy też rabusie zwiewający z banku, ale żaden wypierdek nie odważyłby się tak po prostu zabić oficera policji. Narobiłoby to za dużo smrodu.

Wziął zamach, żeby odepchnąć Lię i zyskać nad nim przewagę. Ale nie zdążył, bo poczuł na brzuchu ogień i nogi się pod nim ugięły. Zachwiał się. Teraz dostał czymś grubym w głowę, poczuł ogień w uchu i przestał słyszeć. Osunął się na kolana. Dywan wydał mu się ogromną poduchą. Spojrzał do góry. Nad nim stał Lia Vazzi z cienkim jedwabnym sznurem w ręku.

Uszycie dwóch worków na zwłoki zajęło Lii Vazzi dwa dni. Worki były z ciemnobrązowego brezentu, z jednej strony ściągane sznurkiem. Każdy miał pomieścić zwłoki dużego mężczyzny. Nie przepuszczały krwi, a po ściągnięciu sznurka, można je było zarzucić na ramię jak worek marynarski. Worków tych, leżących na kanapie, Losey nie zauważył. Teraz dwóch mężczyzn zapakowało jego zwłoki do jednego z nich, a Lia silnie zaciągnął sznurek. Postawił worek pionowo, opierając go o kanapę. Poleciał ludziom, żeby otoczyli Willę, ale nie pokazywali się, póki ich nie wezwie. Wiedzieli, jakie zadanie czeka ich potem.

Minąwszy bramę, Cross i Dante skierowali się ku Willi Dantego. Noc wylewała na nich kocioł gorącego powietrza znad pustyni. Pocili się obaj. Dante zauważył, że Cross ma na sobie spodnie, koszulę i zapiętą marynarkę, czyli mógł być uzbrojony...

Siedem Willi, na których lekko falowały zielone flagi, stanowiło wspaniały widok. W świetle księżycy wydawały się budowłami z innej epoki. Ach, te balkony, te zielone

pomarszczone markizy nad oknami, te ogromne białe drzwi zdobione złotem. Dante złapał Crossa za łokieć.

- Spójrz, jaki piękny widok - powiedział. - Podobno dymasz tę ślicznotkę z filmu. Gratuluję. Daj mi znać, jak ci się znudzi.

- Dobra - zgodził się Cross. - Spodobałeś się jej, a zwłaszcza twój kapelusz.

Dante zdjął z głowy toczek.

- Wszystkim podobają się moje kapelusze - stwierdził z przekonaniem. - Rzeczywiście powiedziała, że się jej spodobałem?

- Była tobą oczarowana - odparł Cross sucho.

- Oczarowana - powtórzył Dante z rozmarzeniem. - To kobieta z klasą.

Swoją drogą ciekawe, czy Loseyowi udało się zwabić Athenę do ich Willi na kieliszek czegoś mocniejszego, zastanawiał się. To by było coś. Wiedział, że zdenerwował Crossa, o czym świadczyło lekkie zirytowanie w jego głosie.

Znaleźli się przy drzwiach. Żadnych ochroniarzy w zasięgu wzroku. Dante nacisnął dzwonek, poczekał, nacisnął jeszcze raz. Ponieważ nikt nie otwierał, wyjął z kieszeni klucz. Skierowali się do apartamentu Loseya.

Losey pewnie migdali się z Atheną, pomyślał Dante. Nie najlepszy to pomysł, gdy zaplanowało się akcję, ale na jego miejscu zrobiłby to samo.

Weszli z Crossem do salonu i Dante przystanął zdziwiony na widok folii na ścianach, dywanie i meblach. Ogromny płócienny worek stał oparty o kanapę, na której leżał podobny worek, tyle że pusty. Wszystko przykryte folią.

- Chryste, po co ten plastik? - spytał Dante, odwracając się do Crossa.

Cross trzymał w dłoni mały pistolet.

- Żeby nie zaplamić krwią mebli - wyjaśnił. - Powiem ci szczerze, że nigdy nie podobały mi się twoje kapelusze i nawet przez chwilę nie wierzyłem, że mojego ojca zabił ćpun.

Gdzie wcięło Loseya? - zaniepokoił się Dante. Zawołał go, równocześnie myśląc, że pistolet takiego małego kalibru nie może mu zrobić wielkiej krzywdy.

- Zawsze byłeś Santadiem - dodał Cross.

Dante zakręcił się na pięcie, żeby Crossowi trudniej było w niego trafić i skoczył na niego bokiem. Dobrze to wymyślił, kula zamiast w pierś trafiła go w ramię. Już ucieszył się, że wygra, kiedy drugi pocisk oderwał mu pół ramienia. Wtedy zrozumiał, że sytuacja jest beznadziejna. Ku zaskoczeniu Crossa zdrową ręką zaczął ściągać z podłogi plastikowe płachty. Krwawiąc obficie i ciągnąc za sobą plastik, usiłował zwiększyć odległość między

sobą a Crossem, a kiedy mu się to nie udało, zasłonił się plastikiem niczym srebrną tarczą.

Cross zrobił krok do przodu. Wymierzył i strzelił w środek tej tarczy, po czym znowu strzelił. Pociski eksplodowały z hukiem, a twarz Dantego pokryła się małutkimi kawałkami teraz czerwonej folii. Gdy Cross strzelił ponownie, lewe udo jakby oddzieliło się od reszty ciała Dantego. Dante upadł, a na białym dywanie pojawiły się koncentryczne szkarłatne kręgi. Cross ukląkł obok Dantego, owinał folią jego głowę i znowu strzelił. Renesansowy toczek, który wciąż tkwił na jego głowie, podskoczył do góry, ale natychmiast opadł z powrotem, bo był przypięty do włosów czymś w rodzaju klipsa. Spoczął na otwartej czaszce Dantego. I jak gdyby pływał.

Cross wstał, schował pistolet do kabury, którą miał na wysokości krzyża. W tej chwili do pokoju wszedł Lia. Popatrzyli na siebie.

- No to załatwione - powiedział Lia. - Idź do łazienki umyć się, a potem wracaj do hotelu. Pozbądź się tego ubrania. Daj mi pistolet, to go oczyszczę.

- Co będzie z dywanem i meblami? - spytał Cross.

- Już ja się wszystkim zajmę - uspokoił go Lia. - Umyj się i wracaj na bankiet.

Po wyjściu Crossa Lia wyjął cygaro z pudełka stojącego na stoliku z marmurowym blatem i obejrzał, czy nie ma na nim krwi. Nie było. Za to o kanapie i podłodze lepiej nie mówić. No cóż.

Zawinał zwłoki Dantego w folię i przy pomocy swych dwóch ludzi wsadził je do pustej torby. Zebrał resztę plastikowych płacht i wepchnął je do tej samej torby. Zaciągnął sznurek. Najpierw odnieśli do garażu Willi worek ze zwłokami Loseya. Wrzuciwszy go do furgonetki wrócili po worek z Dantem.

Furgonetka, specjalnie przerobiona przez Vazziego, miała podwójną podłogę. Lia i jego ludzie wcisnęli worki między te dwie podłogi i zamknęli drzwi.

Jako fachowiec Lia był przygotowany na każdą ewentualność. W furgonetce przywiózł dwa kanistry benzyny. Osobiście zaniósł je do Willi i oblał benzyną podłogę i meble. Ustawił zapalnik, zostawiając sobie dwie minuty na ucieczkę. Wskoczył do furgonetki i ruszył w długą drogę powrotną do Los Angeles.

Przed nim i za nim jechali jego ludzie.

O świcie dojechali do nabrzeża, przy którym czekał na niego jacht. Wyładował worki z furgonetki, wniósł je na pokład. Jacht zaczął oddalać się od brzegu.

Dochodziło południe, kiedy na pełnym morzu patrzył, jak żelazna klatka ze zwłokami Dantego i Loseya powoli opuszcza się do wody. Ostatnia komunია.

Molly Flanders ulotniła się z kaskaderem. Wolała pójść do jego pokoju w hotelu

zamiast do apartamentu w Willi, bo mimo całej swej sympatii dla ludzi stojących niżej na drabinie społecznej nie chciała, żeby w Hollywood się rozeszło, że sypia z „fizycznymi”.

Bankiet pożegnalny powoli tracił impet. Świtało, zza horyzontu wysuwało się złowrogo czerwone słońce, a na jego spotkanie ufnie biegła cienka smużka niebieskiego dymu.

Cross przebrał się, wziął prysznic, po czym wrócił na bankiet. Usiadł z Claudią, Bobbym Bantzem, Skippym Deerem i Ditą Tommey opijającymi pewny sukces Messaliny. Nagle rozległy się jakieś krzyki. Grupa hollywoodzka wybiegła na dwór, Cross popędził za nimi.

Nad neonami głównej ulicy Vegas unosił się triumfalnie wąski słup ognia, który następnie rozszerzał się, przybierając formę grzyba, wielkiej poduchy śliwkowych i różowych chmur na tle piaskowych gór.

- O Boże! - krzyknęła Claudia, łapiąc Crossa za rękę. - Toż to twoja Willa.

Cross milczał. Patrzył, jak płomień i dym ogarnia zieloną flagę. Główną ulicą Vegas pędziły z wyciem syren wozy strażackie. Dwanaście milionów dolarów poszło z dymem, żeby ukryć ślady krwi Dantego. Lia Vazzi był fachowcem, który nie liczył się z kosztami i nie cofał się przed żadnym ryzykiem.

Rozdział dwudziesty trzeci

Detektyw Jim Losey oficjalnie przebywał na urlopie, nic więc dziwnego, że jego zniknięcie zauważono dopiero pięć dni po pożarze w „Xanadu”. Zniknięcia Dantego, rzecz jasna, nie zgłoszono żadnym władzom.

Dochodzenie doprowadziło policję do zwłok Phila Sharkeya. Podejrzanie padło na Loseya, uznano, że uciekł, by uniknąć przesłuchania.

Ponieważ Loseya ostatnio widziano w hotelu „Xanadu”, detektywi złożyli wizytę Crossowi. Ale nie stwierdzili żadnych powiązań między tymi dwoma mężczyznami. Cross wyjaśnił, że widział przelotnie Loseya na przyjęciu i to wszystko.

Cross nie przejmował się policją. Czekał natomiast z niepokojem na reakcję don Clericuzia.

Clericuziowie na pewno zauważyli zniknięcie Dantego, na pewno też wiedzieli, że był w „Xanadu”. Dlaczego więc nie skontaktowali się z nim, żeby się czegoś dowiedzieć. Czyżby wszystko miało się rozejść po kościach? Cross ani przez chwilę w to nie wierzył.

Ale na razie prowadził hotel, opracowywał plan odbudowy spalonej Willi. Lia Vazzi radykalnie zlikwidował krwawe ślady.

Niespodziewanie zjawiała się u niego Claudia. Była bardzo podniecona. Cross zamówił

kolację do apartamentu, żeby mogli swobodnie porozmawiać.

- Nie uwierzysz w to, co ci powiem - zaczęła Claudia. - Twoja siostra będzie szefową LoddStone Studios.

- Gratuluję - Cross objął ją po bratersku. - Czy nie mówiłem zawsze, że jesteś najtwardsza ze wszystkich Clericuziów?

- Na pogrzeb ojca pojechałam ze względu na ciebie. Nie kryłam tego - odparła Claudia, marszcząc brwi.

Cross roześmiał się.

- Faktycznie. Udało ci się wkurzyć wszystkich z wyjątkiem dona, który powiedział: „Niech sobie kręci te swoje filmy i niech Bóg ma ją w opiece”.

Claudia wzruszyła ramionami.

- Mam ich w nosie. Pozwól jednak, że opowiem ci, jak do tego doszło, bo to dziwna historia. Otóż kiedy wszyscy odlatywaliśmy z Vegas odrzutowcem Boba, sprawy wyglądały jak najlepiej. Ale kiedy wylądowaliśmy w Los Angeles, rozpętało się istne piekło. Policja aresztowała Bobby'ego. Zgadnij, za co?

- Za kręcenie chałwatych filmów? - zażartował Cross.

- Nie. Słuchaj, bo to niezwykła historia - powiedziała Claudia. - Pamiętasz tę dziewczynę, tę Johannę, którą Bantz przyprowadził na bankiet? Pamiętasz, jak wyglądała? No więc, okazało się, że ona ma tylko piętnaście lat. Oskarżono Bobby'ego o gwałt i zniewolenie, ponieważ wywiózł ją za granicę stanu. - Oczy Claudii z podniecenia zrobiły się wielkie jak ćwierćdolarówki. - Zastawiono na niego pułapkę. Żebyś słyszał, jak jej matka i ojciec darli się w niebogłosy, że biedna mała Johanna została zgwałcona przez mężczyznę starszego o czterdzieści lat.

- Absolutnie nie wyglądała na piętnastoletnią dziewczynę - rzekł Cross. - Jeśli już, to na doświadczoną prostytutkę.

- Zanosilo się na straszny skandal - ciągnęła Claudia - ale kochany stary Skippy Deere wziął sprawy w swoje ręce. Wyciągnął Bantza z aresztu i nie pozwolił, żeby doszło do procesu, a cała sprawa trafiła do mediów. Niebezpieczeństwo zostało więc jakoś zażegnane.

Cross uśmiechnął się. Widać kochany stary David Redfellow nie zapomniał dawnych sztuczek.

- To wcale nie jest takie zabawne - obruszyła się Claudia. - Biedny Bobby wpadł jak śliwka w kompot. Dziewczę przysięgło, że w Vegas Bobby zmusił ją, żeby mu się oddała. Ojciec i matka przysięgli, że nie robią tego dla pieniędzy, ale ku przestrodze przyszłych gwałcicieli małych, niewinnych dziewczynek. W wytwórni zagotowało się. Dora i Kevin

Marrion tak się zdenerwowali, że zaczęli mówić o sprzedaniu wytwórni. Wtedy wkroczył znowu Skippy. zaproponował dziewczęciu rolę w niskobudżetowym filmie na podstawie scenariusza napisanego przez jej ojca. Za bardzo dobre pieniądze. Następnie ściągnęli Benny'ego Slya, żeby w jeden dzień przerobił scenariusz. Za bardzo dobre pieniądze. Niezłe mu to wyszło, trzeba przyznać, że Benny jest w pewnym sensie geniuszem. Słowem, wszystko zostało załatwione. Aż tu nagle prokurator okręgowy Los Angeles oświadcza, że zamierza złożyć oskarżenie w sądzie. Prokurator, któremu LoddStone Studios załatwiły wybory, prokurator, którego Eli Marrion traktował jak króla. Skippy bez wahania zaproponował mu pięcioletni etat w dziale spraw handlowych wytwórni za milion. Oferty Skippy'ego nie przyjął, zażądał natomiast zwolnienia Bobby'ego Bantza ze stanowiska szefa wytwórni. Wtedy może się ewentualnie układać. Nikt nie rozumie, czemu tak się uparł.

- Nieprzekupny urzędnik państwowy - zauważył Cross, wruszając ramionami. - To się zdarza.

I znowu pomyślał o Davidzie, który słysząc takie stwierdzenie, gwałtownie by się obruszył. Wyobraził sobie, jak Redfellow to wszystko załatwił. Przypuszczałnie powiedział prokuratorowi: „Proszę tylko, żeby zrobił pan to, co do pana należy. Czy to jest przestępstwo?” Co do pieniędzy, to Redfellow proponował górną stawkę. Dwadzieścia, domyślił się Cross. Czym jest dwadzieścia milionów wobec dziesięciu miliardów, które należało zapłacić za wytwórnię? A prokurator niczym nie ryzykował. Działał zgodnie z prawem. Eleganckie posunięcie.

Tymczasem Claudia mówiła dalej jak nakręcona:

- W każdym razie Bantz musiał ustąpić. A Dora i Kevin zgodzili się sprzedać wytwórnię. Pod warunkiem, że dostaną zielone światło na pięć filmów i miliard dolarów gotówką do kieszeni. Wtedy w wytwórni zjawia się ten mały Włoch, zwołuje zebranie, na którym oświadcza, że jest nowym właścicielem. A mnie ni stąd, ni zowąd mianuje prezesem. Skippy był wściekły. Teraz ja jestem szefową. Czy to wszystko nie jest trochę zwariowane?

Cross popatrzył na nią z rozbawieniem. Potem się tylko uśmiechnął.

Nagle Claudia wstała i przyjrzała mu się uważnie. Jej oczy były ciemniejsze, spojrzenie bystrzejsze, bardziej inteligentne niż kiedykolwiek dotąd. W końcu uśmiechnęła się łagodnie i powiedziała:

- Dogoniłam chłopców, prawda, braciszku? Zająłam miejsce przeznaczone dla mężczyzny. I nawet nie musiałam pójść z nikim do łóżka...

Cross był zdumiony.

- O co ci chodzi, Claudio? Myślałam, że jesteś zadowolona.

- Jestem - odparła Claudia pogodnie. - Chodzi mi tylko o to, że nie jestem głupia. A ponieważ jesteś moim bratem i kocham cię, chcę, żebyś wiedział, że nie dałam się nabrać.

Obeszła stół i usiadła na kanapie obok niego.

- Kłamałam, mówiąc, że pojechałam na pogrzeb taty tylko ze względu na ciebie. Pojechałam, ponieważ chciałam znaleźć się wśród ludzi, do których on należał, do których ty należysz. Pojechałam, ponieważ miałam dość unikania tych ludzi. Ale nienawidzę ich, Cross. Dona i pozostałych.

- Czy to oznacza, że nie chcesz kierować wytwórnią? - spytał Cross.

Claudia roześmiała się głośno.

- Co to, to nie. Przyznaję, że w głębi duszy jestem Clericuziem. Chcę robić dobre filmy i zarabiać mnóstwo forsy. Filmy wyrównują szanse, Cross. Mogę robić dobre filmy o wspaniałych kobietach... Zobaczmy, jak to będzie, kiedy wykorzystam to, co mam z Clericuziów, w dobrych celach, nie w złych.

Oboje wybuchnęli śmiechem. Potem Cross objął ją serdecznie. Pocałował w policzek.

- Cieszę się z takiego obrotu spraw, naprawdę, bardzo się cieszę - stwierdził.

Miał tu na myśli zarówno siostrę, jak i siebie. Skoro bowiem don zrobił ją głową wytwórni, to widać nie łączył z nim zniknięcia Dantego. A więc udało się.

Skończyli kolację, a potem jeszcze długo rozmawiali. Kiedy w końcu Claudia zaczęła zbierać się do odejścia, Cross wyjął z biurka sakiewkę z czarnymi sztonami.

- Zagraj sobie na koszt firmy.

Claudia klepnęła go w policzek i powiedziała:

- Pod warunkiem, że nie będziesz znowu odstawiał starszego brata i mówił do mnie jak do dziecka. Tamty razem miałam ochotę cię kopnąć.

Przytulił ją. Miła była mu ta bliskość. Ulegając słabości, powiedział:

- Gdyby coś mi się stało, wiedz, że zapisałem ci trzecią część mojego majątku. A jestem bardzo bogaty. Możesz w każdej chwili powiedzieć w wytwórni, żeby pocałowali cię w nos.

Oczy Claudii błysnęły dziko.

- Wiesz, Cross, bardzo cenię sobie twoją troskę o mnie, ale nawet bez twoich pieniędzy mogę powiedzieć w wytwórni, żeby pocałowali mnie w nos... - Nagle przeraziła się. - Czy coś się stało? Jesteś chory?

- Nie, nie - uspokoił ją. - Chciałem tylko, żebyś wiedziała.

- Dzięki Bogu - odetchnęła. - Teraz, kiedy do nich wstąpiłam, ty możesz wystąpić. Możesz zerwać z Rodziną. Możesz być wolny.

- Ależ ja jestem wolny - odparł Cross ze śmiechem. - Niedługo wyjeżdżam. Zamieszkać z Atheną we Francji.

Dziesiątego dnia po południu zjawił się w „Xanadu” Giorgio Clericuzio. Crossowi ze strachu ścisnął się żołądek. Pomyślał, że w żadnym wypadku nie wolno mu wpaść w panikę.

Ochroniarzy Giorgio zostawił za drzwiami, w towarzystwie strażników hotelowych. Cross był świadom, że w razie czego będzie miał ich wszystkich przeciw sobie. Wygląd Giorgia też nie napawał go optymizmem. Giorgio jakby stracił na wadze i był bardzo blady. Pierwszy raz w życiu wydawał się zagubiony.

Cross przywitał go entuzjastycznie.

- Giorgio! Co za miła niespodzianka. Słuchaj, zadzwonię do recepcji i każę ci przygotować Willę.

Giorgio uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Nie możemy zlokalizować Dantego... - oznajmił. - Zniknął nam z pola widzenia. Ostatni raz widziano go tutaj, w „Xanadu”.

- Chryste, to poważna sprawa - rzekł Cross. - Ale znasz Dantego, już nieraz się urywał ze smyczy.

Teraz Giorgio nawet nie zadał sobie trudu, żeby się uśmiechnąć.

- Widziano go wraz z Jimem Loseyem, a on też zniknął.

- Zabawny duet - zauważył Cross. - Zawsze mnie intrygowali.

- Byli kumplami - wyjaśnił Giorgio. - Staruszkowi się to niezbyt podobało, ale Dante doręczał Loseyowi forszę.

- Możesz liczyć na moją pomoc - przyrzekł Cross. - Zaraz przepytam personel hotelowy. Tylko, że Dante i Losey nie byli u nas oficjalnie zameldowani. Nie meldujemy gości Willi.

- Personel przepytasz po powrocie - powiedział Giorgio. - Don chce porozmawiać z tobą osobiście. Wyczarterował dla ciebie samolot.

Cross milczał przez dłuższą chwilę.

- Spakuję torbę - skapitulował wreszcie. - Czy to poważne, Giorgio?

- Nie mam pojęcia - odparł Giorgio, patrząc mu w oczy.

W samolocie Giorgio studiował jakieś papiery. Cross uważał to za zły znak i nie narzucał mu się z rozmową. Wiedział, że nic od niego nie wyciągnie.

Na lotnisku czekały na nich trzy samochody z zaciemnionymi szybami i sześciu żołnierzy Rodziny. Giorgio wsiadł do jednego z tych samochodów, Crossa skierował do innego. Kolejny zły znak. O zmierzchu wjechali przez strzeżoną bramę do posiadłości w

Quogue.

Przy drzwiach stało dwóch żołnierzy. Po terenie posiadłości kręciło się mnóstwo mężczyzn, nigdzie zaś nie było widać kobiet i dzieci.

- Gdzie są kobiety i dzieci? - spytał Cross. - Pojechały do Disneylandu?

Giorgio udał, że nie pojął dowcipu.

Przechodząc przez bawialnię, Cross pierwszy raz w życiu zobaczył taki oto obrazek: ośmiu mężczyzn otaczało dwóch innych, którzy siedzieli i gawędzili przyjaźnie. Serce skoczyło mu do gardła. Tymi dwoma byli Petie i Lia Vazzi. Z boku przypatrywał im się Vincent z chmurną miną.

Petie i Lia zdawali się być w bardzo dobrych stosunkach. Ale Lia, który zwykle ubierał się bardzo formalnie, miał na sobie tylko spodnie i koszulę. Ani marynarki, ani krawata. Widać został przeszukany i rozbrojony. W istocie przywodził na myśl wesołą mysz otoczoną przez rozbawione, knujące coś koty. Przywitał się z Crossem smutnym skinieniem głowy. Petie natomiast zachowywał się tak, jakby go nie zauważył. Lecz kiedy Giorgio poprowadził Crossa do pakamery na tyłach domu, Petie przyszedł za nimi. Podobnie Vincent.

Tam czekał już na nich don Clericuzio. Siedział w fotelu i palił ulubione krzywe cygaro. Vincent podał mu kieliszek wina. Crossowi niczego nie zaproponowano. Petie stanął przy drzwiach. Giorgio usiadł na kanapie i dał znak Crossowi, żeby zajął miejsce obok niego.

Twarz dona, wychudła ze starości, była wyprana z wszelkich emocji. Kiedy Cross schylił się i pocałował go w policzek, don spojrział na niego ze smutkiem.

- Chytrze to przeprowadziłeś, Croccifixio - zaczął don. - Chcemy, żebyś przedstawił nam swoje racje. Jestem dziadkiem Dantego, moja córka jest jego matką, moi synowie są jego wujami. Odpowiadasz przed nami wszystkimi.

Cross starał się zachować spokój.

- Nie rozumiem.

- Dante. Gdzie jest Dante? - spytał ostro Giorgio.

- Chryste Panie, skąd mam wiedzieć? - udał zdziwionego Cross. - On mi się nie melduje. Pewnie pojechał do Meksyku i świetnie się tam bawi.

- Nic nie rozumiesz - rzekł Giorgio. - Możesz darować sobie tę gadkę. Zostałeś już uznany za winnego. Gdzie go zakopałeś?

Vincent, który stał przy barze, odwrócił się tyłem, jak gdyby nie mógł na niego patrzeć. Cross usłyszał za sobą szmer. To Petie podszedł z tyłu do kanapy.

- Macie dowody? - spytał Cross. - Kto mówi, że zabiłem Dantego?

- Ja mówię - powiedział don. - Uznałem cię za winnego. Od mojego wyroku nie ma

odwołania. Okażę ci litość, ale musisz się przyznać, że zabiłeś mojego wnuka.

Słyszając ten głos, ten wyważony ton, Cross zrozumiał, że to koniec. Dla niego i dla Lii Vazziego. Vazzi wiedział o tym pierwszy. Czytało się to z jego spojrzenia.

Vincent odwrócił się przodem do Crossa. Jego granitowa twarz dziwnie złagodniała.

- Wyznaj prawdę, Cross - powiedział. - To twoja szansa.

Don pokiwał głową.

- Twój ojciec był dla mnie kimś więcej niż siostrzeńcem, Croccifixio. Podobnie jak w tobie, płynęła w nim krew Clericuziów. Twój ojciec był moim serdecznym przyjacielem. Dlatego wysłucham twoich racji.

Cross był na to przygotowany.

- Dante zabił mojego ojca. Osądziłem go tak samo, jak wy osądziście mnie. Zabił mojego ojca z zemsty i ambicji. W jego sercu wziął górę Santadio.

Don milczał.

- Miałem nie pomścić swojego ojca? - kontynuował Cross. - Miałem zapomnieć, komu zawdzięczam życie? Szanuję Clericuziów, podobnie zresztą jak mój ojciec, i nawet przez chwilę nie podejrzewałem was o popełnienie tej zbrodni. Ale odniosłem wrażenie, że wiecie, kto zabił Pippię, tylko postanowiliście przejść nad tym do porządku dziennego. Czy w tej sytuacji mogłem przyjść do was i prosić o wymierzenie sprawiedliwości?

- Dowody? - spytał Giorgio.

- Ktoś taki jak Pippi nie dałby się głupio podejść - powiedział Cross. - Z drugiej strony ten Jim Losey. Za dużo dziwnych zbiegów okoliczności. Wszyscy w tym pokoju wiecie, że Dante zabił Pippię. Don opowiedział mi historię Santadiów. Kto wie, co Dante planował zrobić po zabiciu mnie? Bo coś na pewno planował. Może zamierzał zabić swych wujów? - Cross nie miał odwagi powiedzieć, że Dante zamierzał zabić dziadka. - Liczył na to, że mu wszystko wybacysz - zwrócił się do dona.

Don odłożył cygaro. Z jego twarzy nadal trudno było coś wyczytać, co najwyżej smutek.

Głos zabrał Petie. Petie utrzymywał z Dantem najbliższe stosunki.

- Co zrobiłeś ze zwłokami? - spytał.

Cross nie mógł tego powiedzieć, słowa nie przechodziły mu przez gardło.

Zapanowało długie milczenie. Wreszcie don podniósł głowę i przemówił.

- Uroczysty pogrzeb nie pasuje do młodych. Nie zrobili niczego godnego pochwały. Nie zdążyli zyskać sobie szacunku. Młodzi nie wiedzą, co to współczucie, wdzięczność. Moja córka jest chora, nie sprawiamy jej już więcej bólu, nie przekreślamy jej szans na

wyzdrowienie. Powiemy, że Dante uciekł, ona nieprędko domyśli się prawdy.

Obecnym w tym pokoju wyraźnie kamień spadł z serca. Petie usiadł na kanapie obok Crossa. Vincent, stojąc za barem, uniósł kieliszek z brandy gestem, który można by uznać za toast.

- Jakkolwiek na to patrzeć, wystąpiłeś przeciw Rodzinie - stwierdził don. - Musimy cię ukarać. Wymierzmy ci grzywnę pieniężną, ale Lia Vazzi zapłaci głową.

- Lia nie chciał śmierci Dantego, a jedynie Loseya - powiedział Cross. - Pozwól, że zapłacę za jego życie. Jestem właścicielem połowy „Xanadu”. Połowę mych udziałów przepiszę na was jako okup za mnie i Vazziego.

Don Clericuzio rozważał jego słowa w milczeniu.

- Jesteś lojalny - stwierdził wreszcie. Spojrzał po kolei na Giorgia, Vincenta i Petiego.
- Jeśli zgodzicie się, to ja też.

Milczeli. Don westchnął jakby z żalem.

- Dobrze, przepisz na nas połowę swych udziałów, ale chcę, żebyś usunął się z naszego świata. Vazzi niech wraca na Sycylię, z rodziną czy bez, to już jego sprawa. Tyle tylko mogę dla was zrobić. I nie wolno ci już nigdy rozmawiać z Vazzim. Rozkazuję moim synom, w twojej obecności, żeby nie szukali pomsty za śmierć swego siostrzeńca. Masz tydzień na uregulowanie swoich spraw i przekazanie Giorgiowi niezbędnych dokumentów. Zapewniam cię, że nic nie wiedziałem o planach Dantego - dodał surowym tonem. - A teraz odejdz w pokoju i pamiętaj, że kochałem twego ojca jak własnego syna.

Po wyjściu Crossa don dźwignął się z fotela.

- Zaprowadź mnie do łóżka - powiedział do Vincenta.

Vincent pomógł ojcu wejść po schodach. Don ostatnio tracił siłę w nogach. Jego wiek dał w końcu znać o sobie.

Epilog

Nicea Quogue

Ostatniego dnia w Vegas Cross De Lena siedział na balkonie swego apartamentu i spoglądał na zalaną słońcem główną ulicę. Neony wielkich hoteli - „Cezar”, „Flaming”, „Zajazd pustynny”, „Miraż” i „Piaski” - starały się świecić jaśniej od słońca.

Don Clericuzio postawił sprawę jasno: Cross musi opuścić Vegas. Ojciec Crossa nie wyobrażał sobie życia gdzie indziej, Gronevelt uważał Vegas za swą Walhallę, on jednak nie podzielał ich miłości do tego miejsca. Oczywiście nie stronił od tutejszych przyjemności, ale miały one dla niego chłodny smak stali.

Zielone flagi na siedmiu Willach zwisały nieruchomo w pustynnym stojącym

powietrzu - jedna na czarnym szkielecie spalonego budynku. Upiór Dantego, pomyślał Cross. Oglądał to wszystko po raz ostatni.

Lubił „Xanadu”, kochał ojca, Gronevelta, Claudię. A mimo to czuł, że w pewnym sensie nie spełnił ich oczekiwań. Zawiódł Gronevelta, gdyż nie dochował wierności „Xanadu”; sprzeniewierzył się marzeniom ojca, który widział go jako członka Rodziny Clericuzio; oszukał Claudię, pozwalając jej wierzyć, że nie ma z nimi nic wspólnego. Teraz uwolnił się od nich. Zaczyna nowe życie.

Co zrobić z miłością do Atheny? Gronevelt, ojciec, a nawet stary don ostrzegali go przed romantyczną miłością, słabością, która potrafi doprowadzić do zguby najsilniejszych mężczyzn. Czemu więc zlekceważył ich przestrogi? Dlaczego składał swój los w ręce kobiety?

Cóż, po prostu uszczęśliwiała go obecność Atheny, jej krzątanie się, dźwięk głosu, dzielenie z nią radości i smutków. Kiedy był z nią, świat nabierał barw. Jedzenie mu smakowało, słońce rozgrzewało kości, a słodkie pożądanie uświęcało istnienie. Śpiąc z nią, nie miewał koszmarów.

Minęły trzy tygodnie, odkąd ją widział, a dziś rano słyszał jej głos. Zadzwoił do Francji, żeby zapowiedzieć swój rychły przyjazd. Ucieszyła się, że jest cały i zdrow. Kto wie, może go kocha. Za niecałe dwadzieścia godzin będą razem.

Cross wierzył, że pewnego dnia Athena odwzajemni jego miłość, nie będzie go osądzać i jak anioł ochroni go przed piekłem.

Athena Aquitane była we Francji przypuszczalnie jedyną kobietą, która malowała się i ubierała tak, aby wyglądać niekorzystnie. Nie, żeby chciała wyglądać brzydko, nie była przecież masochistką, ale w pięknej powierzchowności zaczęła upatrywać zagrożenie dla psychiki. Nie lubiła poczucia wyższości, jakie dawała piękna twarz i zgrabna sylwetka. Nienawidziła próżności, która wciąż niszczyła jej duchowość i kolidowała z tym, co miało być jej życiowym dokonaniem.

Pierwszego dnia pracy w klinice w Nicei postanowiła upodobnić się do dzieci autystycznych. Chciała wyglądać jak one, a nawet tak samo chodzić. Z wyrazem bezmyślnego zadowolenia na twarzy zaczęła poruszać się w ten dziwny, koślawy sposób dzieci z uszkodzonym mózgiem. Rzecz jasna, nie uszło to uwagi doktora Gerarda.

- Bardzo dobrze - powiedział ironicznie - ale poszła pani w złym kierunku. - Potem wziął ją za rękę i dodał łagodnie: - Nie chodzi o to, żeby dzieliła pani ich nieszczęście. Pani musi z nim walczyć.

Athena poczuła się zbesztana i zawstydzona. Znowu aktorska próżność zamieszala jej

w głowie. Ale gdy opiekowała się tymi dziećmi, odczuwała jakąś dziwną błogość. Im nie przeszkadzało, że kaleczyła francuski, zresztą nie starały się jej zrozumieć.

Nawet irytująca rzeczywistość nie wytrącała jej z równowagi. A dzieci wciąż coś niszczyły, nie pojmowały zasad społecznego współżycia, toczyły boje ze sobą i z pielęgniarkami, smarowały kałem ściany, oddawały mocz, gdzie popadnie. Chwilami przerażały swym nieokiełznaniem, wrogością do świata zewnętrznego.

Athena tylko raz wpadła w rozpacz - kiedy nocą w mieszkaniu, które wynajmowała w Nicei, przeczytała historie chorób małych pacjentów kliniki. Była to tak przygnębiająca lektura, że Athena wpełzła do łóżka i rozplakała się. W przeciwieństwie do filmów, w których grała, te historie miały przeważnie nieszczęśliwe zakończenie.

Kiedy Cross zadzwonił, że przyjeżdża, ucieszyła się niepomierne. Żył i spieszył jej na pomoc. Potem opadły ją wątpliwości. Podzieliła się nimi z doktorem Gerardem.

- Co pan by zrobił na moim miejscu? - spytała.

- Wiemy, że Bethany lubi towarzystwo pana De Leny - odparł lekarz. - Mnie interesuje, jak będzie się do niego odnosić na dłuższą metę. A pani jego obecność też dobrze zrobi. Matki nie powinny być męczennicami swych dzieci.

Myślała o tej rozmowie, jadąc po Crossa na lotnisko.

W Nicei od samolotu do terminalu szło się piechotą. Cross wciągnął w płuca powietrze, które okazało się balsamiczne i słodkie, a nie parzące i siarkowe jak w Vegas. Przed betonowym dworcem pyszniły się czerwone i purpurowe kwiaty.

Kiedy ujrzał Athenę, pokręcił głową z podziwu dla jej nowej charakterystyki, która jeśli nie całkiem maskowała, to przynajmniej tonowała jej oszałamiającą urodę. Przyciemnione szkła w złotych oprawkach zmieniły kolor oczu z cudownie zielonego na szary. Ubranie sprawiło, że wydawała się niższa i grubsza. Jasne włosy zginęły pod włożonym na bakier dżinsowym kapeluszem. Cross wyprężył dumnie pierś - był tu jedynym człowiekiem, który wiedział, jakie piękno się kryje pod tym przebraniem.

Niecałą godzinę później znaleźli się w apartamencie hotelu „Negresco”, w którym Napoleon posiadał Józefinę. W każdym razie tak głosiła ulotka hotelowa włożona w drzwi. Kelner zapukał i wniósł na tacy butelkę wina i porcelanowy półmisek z tycimi kanapkami. Postawił ją na stoliku na balkonie, z którego rozciągał się widok na Morze Śródziemne.

Na początku oboje czuli się trochę niezręcznie. Athena trzymała Crossa za rękę trochę władczo. Dotyk jej ciepłego ciała obudził w nim pożądanie, ale pomyślał, że ona jest jeszcze nie całkiem gotowa.

Apartament był pięknie umeblowany, wystawniej niż Wille „Xanadu”. Nad łóżkiem

wisiał baldachim z ciemnoczerwonego jedwabiu, na odpowiednio dobranych roletach wyhaftowano złotą nitką fleur-de-lis. Stoły i fotele odznaczały się elegancją nieznaną w świecie Vegas.

Athena wyprowadziła Crossa na balkon. Kiedy cmoknął ją w policzek, zdecydowanym ruchem sięgnęła po mokrą serwetkę, owiniętą wokół szyjki butelki szampana i starła okropny makijaż. Potem zwróciła ku Crossowi rozpromienioną, zaróżowioną, wilgotną twarz, położyła mu rękę na ramieniu i pocałowała go delikatnie w usta.

Z balkonu widzieli wiekowe kamienne domy, pokryte splowiałymi zielonymi i błękitnymi tynkami. Mieszkańcy Nicei przechadzali się po Promenade Des Anglais, młode dziewczęta i młodzi chłopcy opalali się skąpo ubrani na kamienistej plaży, pluskali się w niebieskozielonej wodzie, dzieci zakopywały się w ciemnym piasku. Na horyzoncie majaczyły obwieszane światłkami białe smukłe jachty patrolowe.

Ledwo Cross i Athena zdążyli łyknąć wina, rozległ się stłumiony ryk i z czegoś, co przypominało lufę ogromnej armaty, a w rzeczywistości było rurą ściekową wystającą z kamiennego obmurowania, buchnęła brązowa ciecz prosto w dziewiczy błękit morza.

Athena odwróciła głowę.

- Jak długo zostaniesz? - spytała.

- Jeśli się zgodzisz, to pięć lat.

- Ależ to nie ma sensu. - Zmarszczyła czoło. - Co będziesz tu robił?

- Jestem bogaty - rzekł Cross. - Może kupię jakiś hotelik.

- A co z „Xanadu”?

- Sprzedałem swą część - powiedział, a po krótkiej chwili dodał: - Nie musisz się martwić o pieniądze.

- Ależ ja mam pieniądze - rzekła Athena. - Zrozum, Cross, że zamierzam zostać tu przez pięć lat, a potem zabrać Bethany do domu. Nie obchodzi mnie, co powiedzą lekarze, postanowiłam, że nie oddam jej już do żadnego zakładu, będę się nią opiekować do końca mego życia. A jeśli coś się jej stanie, wezmę pod opiekę inne takie dziecko. Widzisz więc, że nie możemy żyć razem.

Cross zrozumiał ją doskonale. Sformułowanie odpowiedzi zabrało mu dłuższą chwilę. Kiedy się wreszcie odezwał, jego głos był silny i zdeterminowany:

- Atheno, jedyną rzeczą, jakiej jestem w tej chwili pewien, to to, że kocham ciebie i Bethany. Naprawdę. Wiem, że nie będzie łatwo, ale zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Chcesz pomóc wyzdrowieć swojej córce, nie rób jednak z siebie ofiary. Na to będzie jeszcze czas. Stanę na głowie, żeby ci pomóc. Będziemy jak ci gracze w moim kasynie. Szanse, że

wygramy, są małe, ale przecież nie zerowe.

Zobaczył, że Athena się waha, więc kuł żelazo póki gorące.

- Pobierzmy się - poprosił. - Możemy mieć jeszcze inne dzieci i żyć jak normalni ludzie. Postaramy się, żeby nasze dzieci żyły w lepszym świecie niż my. Każda rodzina ma jakieś problemy. We dwoje damy sobie radę. Wierzysz mi?

Wreszcie Athena spojrzała mu w oczy.

- A ty wierzysz, że cię kocham?

Dopiero w sypialni, kiedy leżeli razem w łóżku, Athena uwierzyła w szczerą intencję Crossa, a Cross w miłość Atheny.

- Kocham cię, naprawdę cię kocham - mruknęła, odwracając się do niego.

Cross schylił głowę, żeby ją pocałować.

- Naprawdę cię kocham - powtórzyła.

Który mężczyzna by jej nie uwierzył? - pomyślał Cross.

Będąc sam w swej sypialni, don podciągnął pod szyję chłodne prześcieradło. Śmierć stała nad jego łóżkiem, ale on udawał, że jej nie zauważa. Delektował się myślą, że wszystko poszło tak, jak sobie zaplanował. Młodych łatwo przechytrzyć.

Przez ostatnie pięć lat największym zagrożeniem dla jego genialnego planu był Dante. Don wiedział, że Dante będzie przeciwny wtopieniu się Rodziny Clericuzio w społeczeństwo. Ale jak mógł temu zaradzić? Kazać zabić swego własnego wnuka? Zresztą, czy Giorgio, Vincent i Petie wykonaliby taki rozkaz? A nawet gdyby wykonali, to czy nie uważaliby go za potwora? Baliby się go, zamiast kochać. A Rose Marie na pewno by się wszystkiego domyśliła i kompletnie oszalała.

Ale kiedy zamordowano Pippię De Lena, kości zostały rzucone. Don bez trudu zgadł, kto to zrobił, przeprowadził dochodzenie na temat powiązań Dantego z Loseyem i wydał wyrok.

Wysłał po Crossa Vincenta i Petiego. Z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Opancerzony samochód i tym podobne. A potem, żeby go ostrzec, opowiedział historię wojny z Santadiami. Och, trudno reformuje się ten świat. Kto będzie podejmował te wszystkie straszne decyzje, kiedy go zabraknie? Dlatego najwyższy czas, żeby Clericuziowie zerwali z dotychczasową działalnością.

Vinnie i Petie zajmą się swymi restauracjami i budowlami. Giorgio będzie kupować akcje na Wall Street. Nastąpi całkowita zmiana frontu. Zaprzeszają nawet rekrutacji żołnierzy do Enklawy Bronxu. Od dziś Clericuziowie będą żyć w majestacie prawa i zwalczać przestępców, którzy ostatnio się bardzo namnożyli w całej Ameryce. A on nie będzie się winił

za dawne błędy, nieszczęście córki i śmierć wnuka. Crossa w każdym razie rozgrzeszył.

Zanim zasnął, miał wizję. Nie umrze całkiem, krew Clericuziów będzie płynąć w żyłach ludzkości po wsze czasy. Zapoczątkował ten ród i obdarzył go swymi cnotami.

Lecz, och, co to był za straszny świat, skoro popychał człowieka do grzechu.

i*Drewniane kule, włoska odmiana kregli (przyp. tłum.).